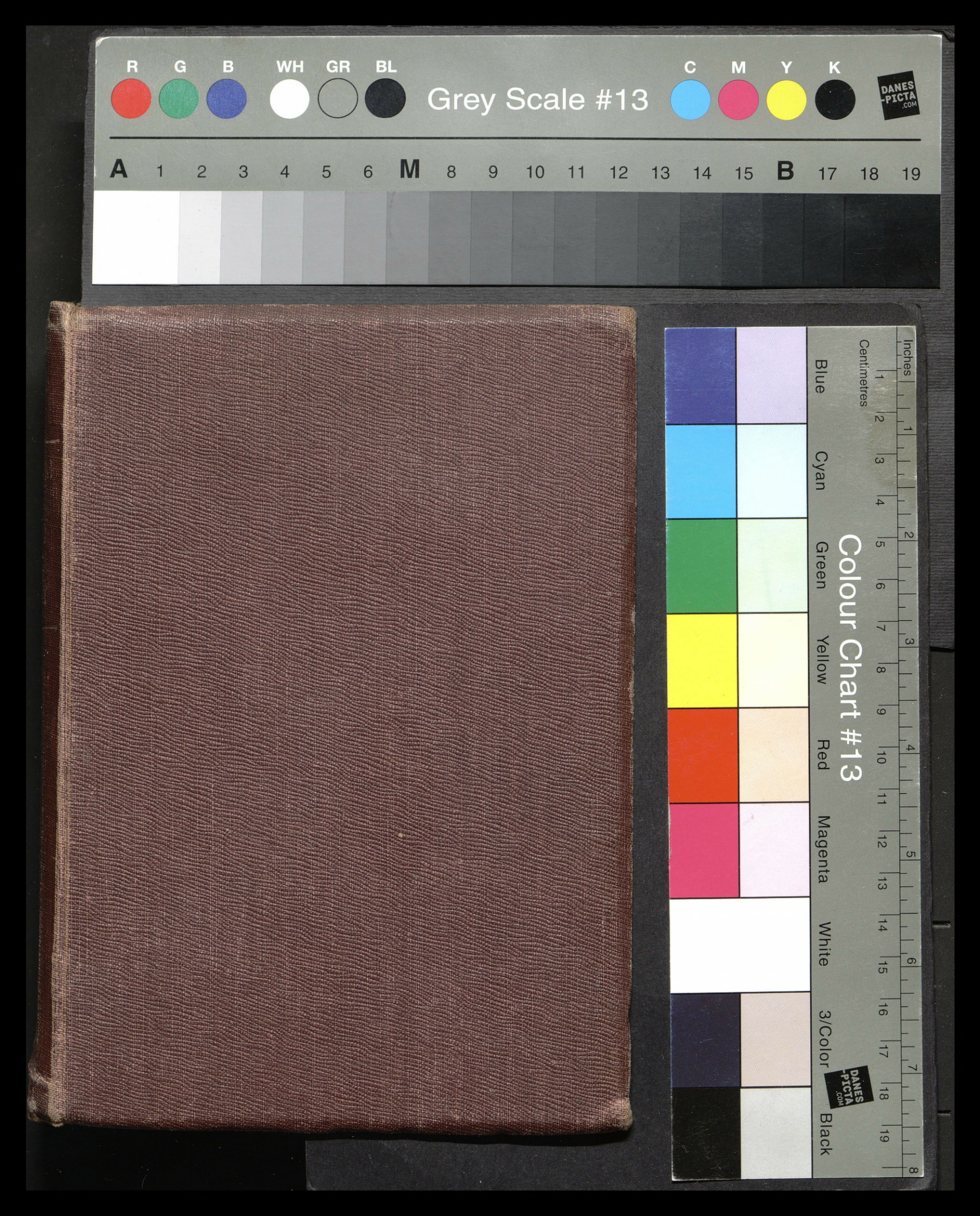

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

PISMA - MOWY - ROZKAZY

Zakł. Graf. „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2.

JÓZEF PIŁSUDSKI.

206 F

PISMA-MOWY-ROZKAZY

WYDANIE ZBIOROWE PRAC
DOTYCHCZAS DRUKIEM OGŁOSZONYCH

TOM VIII

INSTYTUT BADANIA
NAJNOWSZEJ HISTORJI POLSKI
WARSZAWA MCMXXXI
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „POLSKA ZJEDNOCZONA"

DUBLET
Dubl. 6519

Komitet Redakcyjny:
MICHAŁ SOKOLNICKI I JULJAN STACHIEWICZ

Sekretarz Redakcji:
WŁADYSŁAW MALINOWSKI

Przy redagowaniu tomu VIII współpracował
KAZIMIERZ ŚWITALSKI.

3241/D
Dublet Biblioteki Narodowej
Biblioteka Wojsk. Akad. Polit. im. F. Dzierżyńskiego
16278/1
Z. 651/57
11 XI

I.

DEMOKRACJA A WOJSKO

(25 maja 1924).

Gdy przemawiam w klubie, pamiętam, że kluby mają swoją ojczyznę. Pochodzą one z wielkiego narodu, gdzie zrodził je luksus siły. Anglja, gdy wytworzyła kluby, to wytworzyła je jakby dla luksusu, dla nadmiaru po koniecznej, codziennej pracy.

Klub jest luksusem. Daleko od powszedniej szarzyzny przyjaciele jednakowego mniej więcej wieku, miłośnicy pewnego tematu, zbierają się dla pogawędki, aby spokojnie, zdala od utylitaryzmu ująć pewne zagadnienie, jakby ujmowali djament w ręce. Czynią to, unikając wszelkich zgrzytów, jakie z musu daje codzienna szarzyzna życia, jego walki i sprzeczne interesy.

Dlatego i ja, przemawiając w klubie, pragnę wam dać czyste zagadnienie, jakbym dawał djament w wasze ręce, by rzucał nam swe błyski.

Jedne błyski jego będą dla mnie — dla was może inne będą widoczne. Kamień ten obrobiony sztuką szlifierską, jest to luksus; daje kolory; barwa biała, barwa codzienności, — zanika, a wyodrębnić można oddzielnie kolory rozmaite...

Gdy mówię o ciężkim problemacie dziejowym — demokracja i wojsko, siła i swoboda, działanie nakazu i brak nakazu — gdy mówię o tym problemacie, który się mścił na ludzkości strumieniami przelanej krwi, to wybieram kolory zgodnie z chęcią uniknięcia zgrzytów. Biorę kolor lazuru nieba, kolor wieczności, obojętnej na mękę ludzką —

i drugi kolor, zieleni, kolor życia, kolor nadziei, głupoty ludzkiej i tęsknoty.

Rozpatruję problemat bez zgrzytów życiowych. Lazur nieba daje wieczność. Wieczność ludzka jest względna, ale istnieje jako pojęcie. Otóż jeden z rzeczowników w tytule mego referatu — wojsko — ma treść może najbardziej w dziejach wieczną. Czyż archeolog, odczytując hieroglify, odnajdując rysunki dawne, nie znajdzie postaci rycerza, uzbrojonego w dzidę i strzały i niosącego wojnę? Szereg rycerzy, z wodzem na czele, prowadzi dzieje człowieka. Jak historja długa — wszędzie znajdujemy wojsko. W tej względnej wieczności naszej — wojsko jest wszędzie, wojsko jest musem. Oko etnografa, sięgające do głębi puszcz pierwotnych, znajdzie wojsko i wodzów u kolebki ludów. A również i dziecko, gdy oczki ciekawie w książki zapuszcza i z drżącem serduszkiem czyta dzieje *Tygrysich pazurów* i *Orlich piór*, to znajdzie tam wszędzie dzieje wojowników i ich wodzów. Dotąd ludzkość krwią znaczy swój pochód i dotąd widzimy wieczyste istnienie żołnierza i wojska.

To wieczne istnienie wojska daje nawarstwienia w dziejach, które i dziś wywierają swój nacisk.

Dzieje wojska — to dzieje nakazu. Rozkaz jest życiem wojska, rozkaz, idący od człowieka do człowieka, zmuszający do tej, a nie innej czynności i pracy. Jest to odwieczne życie wojska — rozkaz i mus, związany z rozkazem. A rozkaz najgłębiej sięga tam, gdzie idzie nietylko po przejawy życia, lecz gdzie zaprzecza jestestwu — i idzie po życie samo. Rozkaz i posłuch, nakaz i mus — to sfera,

w której obraca się wojsko. Rozkaz wychodzi od człowieka, nie ubiera się on w żadne abstrakcje. Uosobienie rozkazu można znaleźć praktycznie w równym sobie człowieku, — nawet w pogardzanym przez innych; a jednak rozkaz działa.

Czy jest coś bardziej sprzecznego, gdy zestawić to wszystko z demokracją? Splatać w jeden rym demokrację i wojsko — czy jest coś trudniejszego?

Wieczysty problem! Dla takich problemów wiek jest mrugnięciem oka.

W przeszłości długiej, w tej wieczności względnej człowieka, oglądamy i inne dziedziny, nietylko żołnierza, co broń nosi, nietylko to, co było zawsze funkcją siły. Pochód ludzkości z tych dawnych, zamierzchłych, a łatwo zapominanych czasów wywleka postacie umarłe, które teraz stają przed nami, jak nagie kościotrupy, świadczące o dawnym blasku życia. Ludzkość ogromną część swego bytowania przeżyła pod władzą królów i cesarzy. Królowie, cesarze, imperatorzy byli dla wszystkich — i dla wojska, i dla tych, których to wojsko broniło, — źródłem siły musu i nakazu. Siła musu i nakazu istniała nietylko dla tych, którzy byli rycerzami, którzy ubiór drużyn królewskich nosili. Był mus i dla tych, którzy w domu pozostawali. Mus królów, cesarzy, imperatorów. I gdy pod jedną połą gronostajowego płaszcza było wojsko, to pod drugą — wszystko to, co wojskiem nie było. Była równość obywatelska wobec nakazu i musu. Ogromną pracę dziejową, nad którą dziś tylko echa grają, szczepy i narody przeszły w takiej, a nie innej formie, dającej nie sprzeczność życia, ale jego jednolitość.

Gdy pochód ludzkości dotąd wojnami jest znaczony, najwyraźniejszą barwą, którą litery historji są pisane, jest barwa krwi czerwonej, przelanej przez żołnierzy. Przy tej barwie znajdziemy barwę korony złotej i barwę purpury płaszcza królewskiego. A na pomoc szedł lazur nieba, szła cała symbolistyka, na jaka ludzkość stać było, by uświęcić przelaną krew. Niebo dawało siłę, dawało treść moralną nakazom — nieraz bezecnym i potwornym.

I długo ludzkość świętokradzką ręką po korony sięgnąć nie śmiała. Nietylko więc w zaraniu dziejów, w tajniach puszcz odwiecznych, czy w trudnych do odcyfrowania księgach dawnych znajdujemy jednolitość musu i nakazu, tyczącego się i wojska, i nie wojska.

Przyszły czasy tak zwanej demokracji.

Dla życia ludzkości stanowią one mgnienie oka, chwilkę tak niedługą, tak krótkotrwałą, że tylko pozioma zarozumiałość ludzka jest w stanie mówić o osiągnięciu szczytu. W załomach duszy uwarstwienie dawnych wieków daje się wyczuć tak silnie, że to, co nazywamy demokracją, wydaje się nieraz pozorem życia — jak frak, który w odświętne dni ubieramy.

W walce i krwi rodziła się demokracja, w krwi i burzy.

I gdy my, zmęczeni siedmioletnią wojną, mówimy, żeśmy przeszli tak dużo, to pomyślcie o tem wstrząśnieniu i o tym kryzysie, który nasi ojcowie przeżyli. Gdy w roku 1789 dziecko się rodziło, to gdy kryzys mijał, dziecko, dorosłym będąc, umierało za cesarza. Pokolenie całe nie znało innego życia, jak ciągła burza, — niezliczone wojny to-

czyło, by to, co się nazywa demokracją, na świat powstało.

Gdy księgi tych dziejów przeglądam, znajduję nowe dźwięki: więc państwo rozumu, państwo wyborów, państwo równości praw i obowiązków, hasła: *égalité, liberté,* swoboda od nakazu, swoboda od musu, równość praw każdego człowieka. I wszystko to siłą wprowadzane w życie, siłą bezwzględną, z rozmachem okrutnym.

Czyż wtedy istotę wojska — nakaz i mus — naruszono? Czy chciano wtedy je łamać, gdy setkami ofiar znaczono zwycięstwo rozumu i demokracji — i trony, jak trzaski, padały, a dumne dwory kłaniały się marszałkom zwycięskiej demokracji? Czyż wtedy ten mus łamano, czy próbowano siłę nakazu naruszyć, czy szukano państwa rozumu, coby obywatelowi-żołnierzowi równość prawa dawało?

Owszem. Nie zatrzymano się przed tą przegrodą. Dano wojsku prawo wyboru tych, których słuchać miało. Dla wielkich republikanów niemożliwem było zatrzymać się przed tą przeszkodą. Z wielkich republikanów największy — Danton, suchy Robespierre, dla nich nie dać praw obywatelom, ludziom równym sobie — rzeczą było nie do pomyślenia.

Spróbowano. Wybory w wojsku ogłoszono. Kompanja wybierała dowódcę kompanji, dowódcy kompanij — dowódcę bataljonu, ci znów dowódcę pułku i tak szło wyżej. A wybór tych, co najcenniejsi, tych, co mózgiem i duszą wojska są, co orłami będąc, w bój wojsko prowadzą, krwawemi oczyma i siłą skrzydeł burze tną, co symbolowi demokracji cokół pod nogi stawiają, — pozosta-

wiono wybranej najwyższej władzy demokracji. Głowy zaś wielkich wodzów oddano jej w ręce; głowami bowiem wodzowie płacili za porażki. Siła była potrzebna demokracji wobec sprzysiężenia całego świata. W walce, w boju, którym demokracja żyła, szukano tego, co broni potrafi używać, co bronić jej miał, co kohorty obywateli z dźwiękiem *Marsyljanki* na ustach do boju miał prowadzić.

Lecz krótko trwały te próby. Już niedługo potem cnotliwy Carnot, organizator sił wojskowych, i wszyscy referenci krwawego Konwentu cofnęli się. Demokracja cofnęła się od problemu, przerażona bezsilnością, odwróciła się, zostawiając wojsku najbardziej starodawne normy z zamierzchłej przeszłości, każąc mu, jak dawniej, nieść ciężar rozkazu indywidualnego i musu, — nakazu i posłuszeństwa.

Problem w walce pierwszej nie został rozwiązany. Sprzeczność zostawiono następcom.

Został problem. Istnieje on dotąd w całej pełni. I tylko ten, kto nie chce widzieć, nie widzi go.

Rzucę oto przed wami zieleń nowoczesnego, demokratycznego życia.

Czy ktokolwiek z panów ma nakaz ubioru? Nie widzę tego. Każdy może sobie wybrać ubiór, jaki mu się żywnie podoba. Od tego jest swobodnym demokratą. A żołnierza, dziecko musu i nakazu, w guziki nakazu zapięto, — jest on niewolnikiem guzika! Czy ktokolwiek z panów, demokratów, może być skrępowany w doborze małżonki? Czy który z panów o ten wybór pytał kogokolwiek, prócz krewnych? Lecz w świecie demokratycznym są ludzie, którzy obowiązani są to czynić, i w przepisach życia mają powiedziane, że muszą komuś —

jakiemuś może głupcowi — dać prawo kiwnięcia głową na wybór towarzyszki życia, na zawarcie małżeństwa. Panowie swobodnie wybieracie swój pokarm, lecz mamy dwieście kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy jeść muszą to, co im dają. Gdy swobodny obywatel demokrata po alejach się przechadza i ukłony znajomym tak lub inaczej oddaje, to obok niego jest człowiek, praw ludzkich, demokratycznych pozbawiony, który może być skrzyczany, gdy palec inaczej przyłoży do daszka. A zajrzyjcie do koszar, gdy obywatel swobodnej demokracji, świeżo w mundur ubrany, wybiera się na miasto, — spostrzeżecie dziecinną trwogę przed tak powszednią rzeczą, przed każdym ruchem, który ma wykonać; on się boi, czy na ulicy potrafi zachować się tak, jak żołnierzowi przystało. Jeśli zechcecie, panowie, dalej tę sprzeczność oglądać, spojrzyjcie na wieś, jak drągal jakiś, opłakiwany przez matkę, sam becząc, jak dziecko, do wojska idzie. Biedny Maciek lub Bartek opuszcza kraśne dziewoje, opuszcza życie i idzie gdzieś na dwa lata na służbę, — pozbywa się złotej swobody obywatelskiej, złotej swobody ruchów. Akrobatyczne sztuki czynić mu każą, a on wie, że tymczasem inny Bartek swobodnie z dziewczynami zostanie, — ba! na posła wybranym być może.

To są codzienne sprzeczności demokracji i wojska. I niema przesady żadnej w tem, co opowiedziałem przed chwilą.

W chwili wielkich walk o demokrację od problematu się cofnięto.

Bratnia Francja, próbując go rozstrzygnąć, chciała zrobić z *soldat — citoyen-soldat.* I przestraszyła się zadania. Gdy w morzu krwi we Fran-

cji odtąd problem ten się rozstrzygał, gdy więcej, niż pół wieku, trwały walki i wstrząsy, znaczone powstaniami każdego pokolenia, — znajdujemy po cofnięciu się demokracji od problemu zawsze to samo — oto dzieci nakazu i dzieci swobody w wielkich wstrząśnięciach stoją przeciw sobie. Dzieci nakazu bronią swego jestestwa, bronią istoty nakazu, a obok toczą swą walkę dzieci swobody.

W tej samej wielkiej Francji, co tyle dla ludzkości uczyniła i tyle uroku dotąd daje swoją pracą, przy ostatecznem zda się zwycięstwie demokracji i jej wyrazu, parlamentaryzmu, znajdujemy klęskę i porażkę dzieci nakazu. W roku 1870 w dniach klęski Francji, dzieci nakazu zostały rozbite i wstyd długo palił się w ich sercach; a na ich porażce fundowało się nowe życie, nowa epoka demokracji. I gdy demokracja przez tyle lat mówiła: wielka niemowa — armja, dzieci nakazu we wstydzie się paliły.

Ale i dziś, gdy dzieci nakazu w glorji zwycięstw chodzić poczęły, — to nie sądźcie, że problem demokracji i wojska teraz jakoś inaczej, niż jak po klęsce wygląda.

A teraz dam jeszcze przykład niewielkiego kraju, ideału demokracji, małej Szwajcarji.

Przykład, niedoścignły przez nikogo, perełka, przez Boga rzucona dla demokratycznego eksperymentu, przykład, gdzie ludowładztwo się iści, gdzie prawo musi być uchwalone nawet na budowę mostu, gdzie ludzie 2/3 życia głosują i wybierają i gdzie nakazu indywidualnego i musu niktby nie zniósł.

Cóż tam się dzieje z wojskiem? Szwajcarja wojsko posiada. Ubrała je niedemokratycznie. Nie zapomnę nigdy wrażenia, którego doznałem w Genewie. Z jednym ze znajomych będąc na dworcu, ujrzałem pana, ubranego po prusku, w *Königsrock*, w mundur nieledwie galowy z wciętym pasem, idącego elastycznym krokiem żołnierskim. — Któż to jest? — spytałem. — To jest profesor uniwersytetu i pułkownik wojsk szwajcarskich, który idzie obecnie na ćwiczenia. — Pułkownik — to w Szwajcarji najwyższa ranga. Byłem zdumiony. Potem, gdy byłem Naczelnikiem Państwa, Szwajcarja przysłała do Polski swego reprezentanta. Mam w oczach tę chwilę jego przyjęcia: wchodzi pan pułkownik, ubrany w mundur, i staje przede mną na baczność! Przypomniało mi się owo wrażenie z Genewy i moje zdumienie ówczesne.

Czyżby ów problemat tam, w małej Szwajcarji rozwiązano? Czyżby obywatel i żołnierz tak się tam zlewał w życiu demokratycznem, że nie istnieją już sprzeczności? Czy nie jest to poprostu wynikiem tego, że Szwajcarja nie wojuje, że nakaz tam trwa pół dnia, a drugie pół dnia żołnierz jest wolny — i może mówić: *bon jour, monsieur!* swemu wojskowemu przełożonemu?

Nie chcę zmniejszać wartości wojska szwajcarskiego. Wydobywa ono z siebie cuda pracy. Gdzieżby jaka inna armja potrafiła, jak szwajcarska, w ciągu jednego dnia cała stanąć na nogi? W czasie ćwiczeń wydobywa ona z siebie cuda siły i wartości. Więc może wieczny problemat owych rażących sprzeczności znalazł tam rozstrzygnięcie? Może w ten sposób znajdziemy uspokojenie — i zgodę dzieci nakazu i dzieci swobody?

Gdy ten problemat rzucam przed wami, to dlatego, że swoją zagadkowością i trudnością zawsze mnie nęcił. Bóg zaszczepił w moje łono elementy siły i mocy nakazu, co posłuch wzbudzać umie. Dał mi w zalążku, w uczuciu, miłość dla mocy i siły. A jednocześnie przez długie życie przeszedłem z bojownikami demokracji. Dlatego to problemu owego szukałem. Szukałem rozwiązania, nie cofałem się przed załamaniami, które ultrafiolet dają, które ultrafioletem oślepiają. Nie chciałem być niewolnikiem, szukałem swobody; byłem dzieckiem swobody — i dla niej, dla tej swobody mocy szukałem. A mocy bez siły nakazu i przymusu nigdzie nie znalazłem. I w tym wieczystym problemacie, w tej sprzeczności demokracji i wojska, byłem długo chowany. Problemat ten ujmowałem w ręce, nie czując wstydu ani niechęci, bo byłem dzieckiem swobody. Ale sprzeczności nakazu i swobody dotąd nie rozwiązałem.

Problem ujmuję w oprawę i, jak kamień, go podaję. Zostaje próba rozstrzygnięcia.

Gdy tysiące razy dzieje problemu w myśli przerzucałem, gdy rażących sprzeczności nie mogłem rozwiązać, szukałem symbolu, tej potęgi symbolu niezbadanej, która ludziom posłuszeństwo narzuca silniej, niż zwyczajna moc nakazu.

Symbolistyka duszy ludzkiej — jakaż ona jest głęboka! Jak wiele jest prawdy w cynicznem określeniu pana wojny, wielkiego Napoleona: Dajcie mi guzik — a zmuszę ludzi żyć i umierać za ten guzik!

Tajemnica symbolu z wieczystego nieba! Czy nie w niej znajdziemy rozprószenie zgrzytu, usunięcie lub złagodzenie problemu?

Gdy ongiś władzę królewską w purpurę i w złoto strojono, nicość ludzką temi barwy pokrywając, ściągano aż z nieba symbol wieczności, by nicość nie raziła. Potęga symbolu tego tak była wielką, że pod gronostajowym płaszczem królów ludzkość wieki żyła. Gdy oficer pruski z dumą *Kaiserrock* nosił, potęga symbolu była na nim wyryta.

Czy demokracja symbolu nie znajdzie? Czy ma tylko kamizelki i krawaty rozchełstane i nieokiełzaną swobodę szargania wszelkiej powagi? Radzę się namyśleć, dzieci swobody!

Wszędzie symbolem demokracji od jej początków jest to, co jest prawem. Usiłuje ona dać surogat siły, dając, jako symbol, — prawo, wiszące nad ludem. Prawo usuwa kaprys indywidualny, usuwa osoby, wyraźne twarze ludzkie, nie darząc ich nigdy momentem wieczności, czyniąc je zawsze reprezentantem czegoś, każąc im słuchać wyborców, dając abstrakcyjny symbol. Prawo gronostaje królewskie ubiera. Koronę złotą na głowę mu kładą. I dziś błędem jest demokracji, że sędziów tylko w skromne czarne togi ubiera.

Czy jest to symbol wystarczający? Czy zimny blask prawa grzeje i pociesza? Czy nakaz i mus za sobą prowadzi? Czy niema w niem zbyt daleko sięgających wyjątków? Czy demokracja sama sobie nie przeczy, gdy mówi: naszym królem est prawo, — i zarazem grzechy królików w grzechy prawa przeistacza?

Szukajmy jeszcze dalej. Czy są inne jakieś symbole, które w historji, jak cement, używane były, jak spoidło, dla budowy demokracji? Gdy mowa o wojsku, jeden symbol jest widoczny. Gdy

władza królewska się chwieje, gdy nadchodzi nowa epoka, zamiast symbolów, które z nieba brały swój początek, zostaje surogat cnoty: honor.

Honor — to bóg wojska, który niesie nakaz; ma taką siłę uderzenia, że śmierć wywołuje.

Strzeżcie się, panowie demokraci, go naruszać! Ostatni cement pęka, ostatnia więź pęka! Honor jest potęgą. I wszystkie złączone z nim zwyczaje, śmieszności nawet są upiększeniem życia helotów demokracji, dzieci nakazu, żołnierzy i ich wodzów.

Prawo i honor, honor i prawo.

Gdy życie biorę i barwę zieloną życia, kolor nadziei ludzkiej, rozpatruję, gdy tych rzeczy szukam, które mają siłę symbolu, — nie mogąc rozwiązać problematu, wahając się pomiędzy miłością dla siły a miłością dla swobody, prócz prawa i honoru nic nie znajduję.

Prawo i honor, honor i prawo — cement to może wystarczający.

Trzeba im dać żyć. Gdy kwiaty te zaczną żyć — to i problem w całej swej bezwzględności odejdzie ku przyszłości. Niebo innym roślinom każe wtedy żyć na ziemi... a my w niej już będziemy.

Wahając się pomiędzy miłością dla siły i mocy a między mdlejącą siłą swobody, problemu nie rozstrzygam. Oddaję go, jak brylant, w ręce wasze. Problemat to jeden z najcięższych, który żyje życiem odruchów, problemat, który boją się ludzie w ręce brać i wolą nad brylant prawdy błyskotki szychu i pozoru.

A problem wśród nas żyje i swe istnienie tarciami społecznemi przejawia, głosząc groźbę zagłady — tym czy innym: czy dzieciom swobody, czy dzieciom nakazu, czy demokracji, czy wojsku.

II.

CZEREMOSZNO

(6 lipca 1924).

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit. im. F. Dzierżyńskiej

Ledwiem zdrzemnął, gdy mnie obudzono. Zgodnie z rozkazem, wieczorem przeze mnie wydanym, Brygada cała jest zaalarmowana. Na tak zwanem przedmościu słyszano strzały, a Opieliński przysłał ułożoną zgóry wiadomość, że ma przed sobą kozaków. Wymaszerowujemy. Gorąca herbata już jest na stole, konie rozkazano siodłać, a w całej Komendzie Brygady zwykły ruch ordynansów, pakujących szybko rzeczy i bagaże, by tabor brygadowy nie opóźniał pochodu. Dusi mnie dotąd i złość jakaś bezmierna, i pusty śmiech. Po oczach oficerów sztabu widzę, że doskonale wiedzą, co się święci. Chcieliby nawet zażartować, lecz widząc mnie surowo namarszczonego, wyciągają poważnie twarze, a śmiać się im chce, jak wesołym chłopcom, gdy płatają figla. Herbata przełknięta — odmarsz, panowie!

Na dworze jeszcze ciemno. Kasztanka stoi przed gankiem już pod siodłem i niecierpliwie się kręci. Zobaczyła mnie i zwykłym ruchem wyciąga pysk po chleb, który trzymam w ręku. Na ulicach i uliczkach w okolicy mej kwatery słyszę zwykły przed odmarszem rejwach. Słychać już turkot wozów i armat, tupot nóg kolumn kompanijnych, wymaszerowujących na miejsce zbiórki bataljonów. Za chwilę opuścimy Kowel, który śpi jeszcze i nigdzie nie daje znaku życia.

Otwieram w dziwaczny sposób nową kartę historji naszej. Ze śmiechem pustym myślę, jak za

parę godzin w szanownej *K. und K. Komando von Legionen* dziko otworzą oczy na wiadomość, że cała Brygada odmaszerowała w pościgu za kozakami i że zatem wychodzi z pod jej łaskawej opieki. Lecz jazda! I za chwilę kasztanka wykręca w jakieś uliczki wąskie i brudne, z których wydostajemy się szybko za miasto. Tu już kolumna się wyciąga, dymią kuchnie, podciągają wozy taborowe, szukając swego miejsca. Śmigły melduje mi stan rzeczy. Daję rozkaz odmarszu do Czeremoszna, z zatrzymaniem w pół drogi na parę godzin dla przerwy obiadowej. Liczę, że w Czeremosznie piechota będzie gdzieś na godzinę 4—5. Kozaków w drodze nie przewiduję żadnych, więc polecam nie zwracać uwagi na mnie; Śmigły otrzyma dalsze rozkazy w Czeremosznie.

Puszczam cugle kasztance, gdy kolumna już jest w ruchu. Klacz wyciąga nogi w stępie, wyprzedzając zwolna kompanję za kompanją. Czuję wciąż na sobie oczy żołnierzy i oficerów. Jest w nich zapytanie, marsz ten jest dla nich niespodzianką. Oficerowie salutują i, udając powagę, dają poznać, że oni doskonale wiedzą, o co chodzi. Żołnierze nie udają nic i starają się z twarzy Komendanta wyczytać odpowiedź na pytania, które sobie stawiają. Witam się co chwilę, rzucając od czasu do czasu żartobliwe słowo. Kasztanka nie lubi tłumu i towarzystwa. Kiwa wesoło łysym łbem, omija starannie najmniejszą kałużę, nie chcąc zabłocić pończoszek parska, jakgdyby mówiła „a ja wiem, a ja wiem". Nie dba o nic głupia klacz, gdy nie słyszy strzałów. Jestem już przy czołowej kompanji. Zdala na szarej drodze widać plecy szarej drobnej kolumny — to kompanja awangardowa, śpiesząca, by wziąć nale-

żyty od kolumny przedział. Gdy mijam już czoło. oficerowie salutują, a w oczach żołnierzy widzę naganę dla mego postępowania. „Znowu Komendant będzie maszerował z awangardą, także zwyczaje!"

Wreszcie jestem na drodze sam. Za mną kilku oficerów i grupka konnych ordynansów. Żadnych oczu nie czuję na sobie, żadnych pytań do mnie skierowanych, żadnych niedyskretnych kwestyj o tem — „co będzie?" Bo co ja mogę wiedzieć, co właściwie będzie? Ileż razy wściekałem się na to głupie pytanie! Dziwna rzecz, jak to jest śmieszne — im człowiek jest głupszy, tem bardziej szuka pewności tam, gdzie żaden rozumny człowiek pewnym nie jest. Tak i w tej kochanej ojczyźnie, gdy się tylko zacznie rozmawiać, zawsze to samo: trzeba wiedzieć na pewno, co jutro będzie, dopiero wtedy jest się rozumnym. Trzeba wiedzieć, ale to tak na pewno, by to głupie pytanie rozwiązywać, jak najprostsze arytmetyczne zadanie, wtedy dopiero ma się patent na rozum. A im głupszemi argumentami się operuje, tem pewniejszym jest efekt i tem pewniejszy patent. Naprzykład, to wiecznie żydowskie pytanie, która strona wygra? Bo by taki pytający wiedział przecie z kim trzymać i, co główna, komu służyć. Nic nie pomoże odpowiedź, że nikt na świecie z tych, co wszystkie nici ma w ręku, na to pytanie odpowiedzieć samemu sobie nie może. Nic nie pomoże! Odpowiadać musi kto? — Polak, który najmniej wie, najmniej rozumie i którego, wysługując się nim, jak bydlęciem, każdy oszukuje! To dopiero nasz rozum polityczny! W takt kroku kasztanki, która o te mądrości nie dba, a z Żyda i filistra polskiego ma tylko to, że się bardzo, ale to bardzo boi strzałów, wzbiera we mnie wściekłość.

Więc znowu awantura! Kowel za mną, nie czuję nawet „zapachu bardzo zdrowe“ tego miasteczka. „Śliczne miasto sobie stoi!“ Pamiętam, gdym kilka dni temu, przejechawszy setki kilometrów końmi z Warszawy, w Kowlu Brygadę swoją znalazł, Kowel, jak zresztą cała Polska, miał nowego pana. Zniknął „nasz“ — Moskal, jest inny pan, nieznany, obcy. Zalał miasteczko masą nowych żołnierzy, zmęczonych wojną, uważających taki Kowel za jakiś raj utracony. Raj ten należy do nowego pana — obcego, nieznanego żołnierza. I nieszczęsny cywil z zamętem w głowie do nowego pana usiłuje się przystosować, coś od niego zarobić, gdzieś go trochę wyzyskać, odnaleźć jego słabe strony. Ba, myślę ze złością, przypominając obrazki kowelskie, cała Polska to samo robi, co te Żydki kowelskie. Może mniej cynicznie, może mniej otwarcie zabiega i szuka jakiegoś nowego modusu vivendi. Tu, w Kowlu, przystosowanie idzie otwarcie. W sklepikach na ladach rozłożone niewielkie ilości tych czy innych towarów, większe składy tego towaru gdzieś ukryte. W sklepikach pełno szwendających się bez celu żołnierzy. Z bezczelną twarzą obmacują wszystko — i wdzięki sklepikarki, i smakołyki na ladzie. Wystraszone, lecz chytre twarze autochtonów mrugają do siebie, chcąc oszukać to na cenie, to na pieniądzach i ich wymianie. Byle handel szedł! Jakieś żołnierskie przekleństwo najbardziej cyniczne kręci mi się po głowie i dusi gardło. Tak radzi i Polską gdzieś handlują! Więc awantura!! Z gorzkim uśmiechem przypominam wczorajszy wieczór. Rzuciłem wściekły rozkazy na ziemię, wyrzuciłem za drzwi oficera z *K. und K. Komando* legjonowej, który mi je przyniósł. Sosnkowskiemu, o którego duszę już chytrze się targowano, nęcąc karjerą,

kazałem zachorować. Odmówił mi zastąpienia mnie w dowodzeniu Brygadą, kazałem mu więc wyjechać na tyły i robić jakieś głupstwa w głupiej Warszawie. Wbrew wszystkim rozkazom kazałem, przygotowawszy alarm, wymaszerować, gdzie oczy poniosą — ku nieprzyjacielowi. Będę, psia wiara, charatał się z kozakami sam, bez tych Kościuszków w obcych mundurach, bez tych szpiegów, udających najgorętszych patrjotów, a robiących na naszych plecach karjerę austrjacką. Kaki przeklęte ze swemi szykanami w sosie patrjotów polskich!!

Dusi mnie pasja jakaś i wściekłość i z tej wizyty mojej w Warszawie, i z widoków kowelskich, i z tych przeklętych stosunków w Legjonach, i z tego, że te malcy, idący posłusznie za mną w zwartych szeregach, nie chcieli zwolnić mnie od tej mordęgi. Awantura! — mają więc awanturę razem ze mną. Idziemy dzisiaj w niewiadomą przyszłość, połamawszy wszystko, co jest rozkazem w wojsku, co jest służbą na wojnie. Idziemy sami ku nieprzyjacielowi, nie szukając nigdzie ani oparcia, ani pomocy.

Uspakajam się nieco, gdy o tej samotnej eskapadzie myśleć zaczynam. Wczoraj studjowałem mapę, wytykając drogę dla niej. Dzisiaj nieprzyjaciela nie mam, będę go miał dopiero jutro. Za Stochodem — też zabawka nowa! — stoi 2-ga kozacka skombinowana dywizja. Tę znam — była pod Kowlem. Teraz, zepchnięta za Stochód, coś zapewne przesłania — ale co? Tego narazie nie wiem. tajemnicę odgadnę dopiero pojutrze. Bo jutro zepchnę ku wschodowi oddziały jej z brzegu Stochodu pewno łatwo. Dalej sam Pan Bóg wie, co robić! Chcę się oderwać od dotychczasowych stosunków,

by odejść do innych. Raz już mi się w ten sposób udało, gdym przez Ulinę wyrwał się z opieki I korpusu. Trafiłem wtedy nieźle. Zdecydowałem skręcić na południe i wyjść gdzieś za Styr koło Czetwiertni. Tam kończy się Hauer ze swym korpusem jazdy i przyczepioną do niej *K. und K.* Komendą Legjonów. Tam wchodzę w obszar sąsiedniego korpusu jazdy, który jakoby posunął się znacznie ku wschodowi. Może tam będzie lepiej. No, a może skończy się wszystko przez ten skandal, co zrobiłem, i powiedzą mi: dosyć! Tem lepiej! W każdym razie skręcę na prawo ku południowi. Lecz gdzie? Wczoraj zdecydowałem, że zrobię to dopiero po zajęciu Trojanówki, którą na kozakach zdobyć muszę. Lecz czy wtedy Moskale dadzą mi możność swe manewry czynić, czy nie skupią większych, nieznanych mi sił przeciw mnie i mojej Brygadzie? Spojrzałem na prawo. Gdzieś w oddali majaczy długi szereg słupów. Jest to telegraf, idący obok kolei Kowel—Kijów. Jutro na tym telegrafie brzęczeć będą depesze, zawiadamiające różne oddziały w tyle za kozacką dywizją. Zwoływać będą być może nowych nieprzyjaciół przeciwko mnie. Machnąłem ręką. Niech! Lepiej to wszystko, niż te wieczne głupie spory samego z sobą, niż te nikczemne szykany tam w Kowlu!

Jutro więc muszę rozerwać zasłonę kozacką, a pojutrze — co Pan Bóg da! Jeżeli za nimi blisko nie stoi nic, dam sobie radę, jeżeli zaś mają gdzieś niedaleko silniejsze rezerwy, może być już pojutrze ciepło i bardzo ciepło! Uspakajam się już teraz zupełnie. W każdym marszu naprzód jest jakiś dziwny urok, który tyle razy odczuwałem, a który zapewne odczuwa każdy oficer, gdy w żyłach krew

gorąca mu płynie, a nie cuchnąca ciecz tchórza. Nęci jakaś tajemnica, która wszędzie się czai, wszędzie znaki pytania stawia. Jest ona nieledwie w każdym zdala widzianym krzaku, jakgdyby mówiła — „jestem, jestem, nie zbliżaj się, rycerzu!“ Jak w bajce!

Jestem już na miejscu, wyznaczonem na przystanek obiadowy. Spojrzałem na zegarek — mamy jeszcze czasu dosyć, nie chcę męczyć ludzi. Muszą dobrze wypocząć. Jutro będzie ciężkie, a pojutrze jeszcze cięższe! Przyjdą noce niespane, będą nerwy napięte aż do zupełnego wyczerpania. Niech narazie w spokojnym marszu z dłuższym wypoczynkiem nie zmarnują niepotrzebnie sił. Szeroka obszerna polana z ubogiemi łanami. Zdala widać wioskę, do której już widzę zdążające patrole. Kolumna nadciąga. Za chwilę zacznie się zabawa obiadowa. Słabsi położą się natychmiast, wyciągając nogi, silniejsi zrzucą ekwipunek i będą baraszkować. Gdy ochota będzie większa, zagrzmią muzyka i śpiewy. Opanowuje mnie jakieś rozleniwienie. Nie chcę myśleć, ani rozmawiać. Decyduje się po krótkim spoczynku jechać naprzód wprost do Czeremoszna, tak, aby jeszcze na wieczór trafić do Smolar, gdzie Berbecki przygotowuje przeprawę przez Stochód. Sprawdzę stan rzeczy, będę bliżej tajemnicy jutrzejszej.

W zupełnem już rozleniwieniu odjeżdżam od kolumny w stronę Czeremoszna, dokąd już posłano moje wozy i pojechał oficer kwaterunkowy. Nie chcę myśleć o niczem, odkładam wszystko na później. Opanowuje mnie dziecinna ciekawość do nowych miejsc, do nowego, nieznanego dotąd kraju. Kasztanka zna już na pamięć zwyczaje marszowe;

wie, że teraz gdzieś niedaleko czeka stajnia, obrok i odpoczynek. Przyśpiesza kroku, by prędzej stanąć u mety. Ileż to marszów mamy już za sobą, ileż tych nowych krajów, nowych krajobrazów! A jednak za każdym razem jakaś dziecinna wrażliwość nakazuje oczom szukać jakgdyby całkiem innych, całkiem nieznanych obrazów. Jakgdyby sosna miała za każdym marszem rosnąć inaczej, inaczej bór ma szumieć, inaczej wdzięczyć się brzoza, inaczej kwitnąć kwiaty. Tym razem mogło to być inaczej — wkraczaliśmy i szliśmy w głąb obszaru Polesia i oczy szukały czegoś nowego, nieznanego. Jest dziwny czar wielkiej przyrody, gdy człowiek czaru nie zakłóca. Początek jesieni, ciepły, prawie letni dzień, nie dopuszczający jeszcze myśli, że gdzieś już czai się zima. Pustkowie dokoła — z pól wojna wygnała ludzi. Gdzieniegdzie stoi dojrzały nietknięty owies, dość wysokie, prawie ogrodowe grzędy z kartoflami. Człowieka ani dojrzeć. Przyroda łagodnie pieszczotliwym podmuchem lekkiego wiatru powoli koi wzburzone tak niedawno myśli. Zdaleka majaczą krzyże cmentarza. Jakie dziwne krzyże! Wysokie, z wąskiemi ramiony strzelają ku niebu, a dwie włócznie łączą podstawę z ramionami. Niewielka figura Chrystusa ledwie widna gdzieś u góry. Pomimo, że ludność prawosławna krzyż nie przekreślony w żadnem miejscu. Ciekawe — myślę — jakieżby to właściwości duszy ludzkiej tę inną konstrukcję krzyża wydały? Krajobraz przypomina mi nieco mój litewski — wszędzie dokoła horyzont ograniczony ścianą boru, piaski, jak u nas. A jednak jest inaczej — brak weselszych załamań i pofalowań gruntu. Płaska, melancholijna, równa przestrzeń, którą tylko las i wysokie krzyże urozmaicają.

Przyroda robi swoje. Zamiera zupełnie wewnętrzny bunt, jest w powietrzu jakaś kojąca cisza, jakaś chęć zapomnienia o burzach, bólach i walkach. „Nie było nas, był las — nie będzie nas, będzie las“ — myślę, i gdzieś powstają jakieś senne, urywkowe wspomnienia z dawnej, dziwnej przeszłości, z dziecinnych przygód przy konnych wycieczkach, z braterskich swarów o przymioty i wartości koni. Nie chce mi się nic, jeno pośmiać się trochę bez troski o jutro, bez myśli złośliwej o czemkolwiek. A już zdaleka widzę szeroko rozrzucone Czeremoszno. Na skraju osiedla widać duży park, świadczący o zabudowaniach dworskich, u wejścia do wsi konna postać oczekującego na moje przybycie podoficera-kwatermistrza. Za chwilę zsiadam z konia u wrót do parku. Oficer melduje mi, że cały dwór jest zupełnie zniszczony, ani jednego mebla wewnątrz. Muszę wybrać — albo stanąć we wsi, albo kazać ściągnąć trochę mebli do dworu na nocleg. Obchodzę park i zabudowania. Dziwny dwór! Niczem nie przypomina naszych polskich dworów. Jest kilka will-szaletów, rozrzuconych w parku. Zręcznie wysunięte ganki barwnie oszklone różnokolorowemi szybkami, pokoje o całkiem eleganckiej wewnętrznej strukturze; posadzki i wysokie okna. Dokoła gazony i oranżerje. Lecz jakież głupie, barbarzyńskie zniszczenie! Każda najdrobniejsza szybka rozbita specjalnem uderzeniem, gazony zdeptane, oranżerje połamane, wszędzie mnóstwo kału, w pokojach ani jednego mebla, potłuczone garnki i talerze rozsypane pomiędzy kwiatami. Jakaś mściwa ręka musiała tu pracować i szukać zemsty na wabiącej barwą szybie, na pięknym krzewie czy kwiatku. Dowiaduję się, kto tego bar-

barzyństwa dokonał. Majątek należy —tak mi doniesiono — do jakiegoś księcia rosyjskiego, który te zalotne szalety dla swej kochanki pobudował i tu z nią spędzał lato. Zniszczenia dokonano przez włościan, gdy ich ewakuowano. sprawdzono zaś, że meble, a przynajmniej część ich, znajdują się już w posiadaniu Żydów w miasteczku. Decyduję się stanąć we dworze. by być w tym pięknym parku. gdzie stare drzewa mówią o dawnych czasach, a krzewy i kwiaty o gniazdku miłości śpiewają Chodzę po parku, nim kwatera się oporządzi i nim herbata się zagotuje.

Za chwilę otacza mnie wesoła, gwarna „banda", jak ją nazywam, sztabowa. Jest cała podniecona, a widzi mnie uśmiechniętego. Wypadki kowelskie są żywo omawiane z żartem i śmiechem. Wszyscy są zadowoleni — skandal w Kowlu ich podnieca, idziemy wszyscy razem na awanturę, na jakąś nową bajkę, gdyśmy już tyle bajek przeżyli. Jest zupełnie wesoło. Zaczyna się proces ze mną.

— Dosyć tego, Komendancie, — woła gruby doktór, — my chcemy być żołnierzami! Dosyć Komendant nas trzymał w cuglach!...

— Ba! — dodaje inny — a skutek tych cnót, do których nas Komendant zmusza, jest taki, że te Austrjaki nas nie chcą uważać za żołnierzy i wciąż nam kłują w oczy, że jesteśmy cywilną bandą!...

Wszyscy zaczynają się przekomarzać ze mną. Jeden przypomina moje ostre określenia z czasów przedwojennych.

— Komendant zawsze mówił, że mamy — my, Polacy — nerwy słabe i sentymentalni jesteśmy, jak histeryczki, że wojny nie wytrzymamy. Tak, tak, oto słowa Komendanta, które pamiętam: — Cóż

chcecie? Wojna to jest gwałt i przemoc, to jest pożoga. to jest gwałcenie kobiet. i kto mówi o wojnie, musi wiedzieć, że to jest nieodłączne od wojny. A jakeśmy na wojnę poszli, to halt! Komendant wszystkim kazał być cnotliwymi. Ani na pamiątkę zadnej rzeczy nie wolno zabrać, gdy obok Węgrzy grabią do cna. zabierają wszystko. Ani nawet płotu nie zniszcz u jakiegoś nikczemnego endeka, gdy obok meblami plecy grzeją. A bądź z każdym grzeczny! Dosyć tego rycerstwa, Komendancie!

Jeszcze jeden filozoficznie dodaje: — Tak, a pamiętacie w tym dworze w Radomskiem, gdy Litwinowicz krowy rekwirował i dziedziczka łamała ręce, że polski żołnierz holenderskiej krówki nie szanuje. Boć jeśli jesteś rycerz, to siedź o głodzie. A Komendant kazał tej jędzy najchudszą krowinę wybrać dla żołnierzy!

— Cha, cha, cha! — zabrzmiał chór śmiechu — pamiętamy, pamiętamy, zaraz przyszedł potem feldfebel austrjacki i na babę huknął. Zabrał jej z obory z dziesięć krów najspokojniej, to dziedziczka prawie gdzieś go z szacunku pocałowała!

— Dosyć, Komendancie, my chcemy być żołnierzami, chcemy rabować, gwałcić. Już niech sobie Polska — już ją mamy za plecami — niech sobie pieści się z nowym „naszym", ale tu dosyć tej cnoty!...

Opadli mnie, śmiejąc się, jak duże dzieci. — Dosyć, dosyć! — ryczy chór cały. Wzięła mnie ich pustota. Zmarszczyłem się i zawołałem. — Dyżurny oficer do mnie!

Wszedł oficer dla wysłuchania rozkazu, wyprostował się, rzucając na mnie pytającym wzrokiem.

— Poruczniku! — dobitnie rozkazałem, zmarszczony — dostarczyć ma pan i zarekwirować jed-

ną Żydówkę, może być i stara, dać ją doktorowi, ma ją przy panu zgwałcić. Wykonanie zameldować!

Wybrałem dobrze. Doktór, żonkoś, który więcej się bał żony, niż Komendanta i wszystkich kozaków na świecie, osłupiał.

— Dlaczego ja, Komendancie? — zapytał.

— Wy tu jesteście inicjatorem, a ja na pewno pani waszej to powiem. Mam dosyć tych skarg. Albo — albo, mój panie!

Śmiech był powszechny. Wszyscy obiecywali kontrolę nad doktorem. Doktór się oburzał i rzucał. Oficer ordynansowy wodził po wszystkich zdumionem okiem, stojąc dotąd wyprężony na baczność. Śmiałem się i ja.

Wpadł podoficer, przynosząc meldunek Berbeckiego. Rzeczywistość wołała do porządku. Meldował mi, że wszystko do sforsowania Stochodu ma przygotowane, że boi się tylko, czy artylerja przez bród przejdzie i że może lepiej odesłać ją do Hulewicz, gdzie brody są zupełnie pewne, że wreszcie nieprzyjaciela na wschodnim brzegu jest bardzo mało, że więc przejście ranne jest zupełnie pewne.

Namyślałem się chwilę, wreszcie zdecydowałem. Nocuję tu, w Czeremosznie, do Smolar nie pojadę; wystarczają mi te dane. Wylenię się trochę i skończę ten dzień bez troski, zostawiając kłopoty na jutro. Kłopot był jednak bardzo blisko i moja złota swoboda już się skończyła. Jak na złość, gdym już się przygotowywał do snu, szanowna *K. und K. Komando* dała znać o sobie. Do Czeremoszna zjawił się oficer z zapieczętowaną kopertą, którą mi wręczył.

Pamiętam, chwilę dobrą kopertę trzymałem w ręku, nie rozpieczętowując. Dziwne, — myślałem —

gdybym był się nie lenił i wyjechał, jak zamierzałem, do Smolar, koperta by tu leżała, czekając na mnie, a jabym spokojnie dalej był swobodnym. W kopercie znalazłem depeszę od arcyksięcia, dowódcy armji, z rozkazem, bym jak najprędzej przyjechał do Łucka do jego kwatery. Zaśmiałem się. Depesza musiała być skutkiem mego skandalu, którym w Kowlu zrobił. Chwilę wahałem się. Mogłem swobodnie nie śpieszyć i parę dni ściągnąć w wyczekiwaniu, tymczasem zaś zrobić swoje — sforsować Stochód i stanąć w kontakcie z nieprzyjacielem. Dałem jednak spokój. Zdecydowałem jechać zaraz. Rozumiałem, że będę miał bajkę, której chciałem. Szukałem wyjścia, mam je gotowe. Brygada moja zostanie, jak chciałem, na froncie jako szkoła, a ja będę mógł zerwać *bon gré mal gré* z fałszywą sytuacją. Jeszcze kładąc się spać, gdym wydał rozkazy, by Śmigły komendę objął i Stochód jednak forsował w tym czasie, kiedy ja do Łucka pojadę, myślałem ze śmiechem przekory, że los dał mi wygraną nad moimi chłopcami. Jeszcze parę dni temu w Kowlu nie chcieli ani myśleć, by się ze mną rozstać i gwałtem żądali, by iść na skandal z Austrjakami razem ze mną. Teraz, będąc w kontakcie z nieprzyjacielem, skandalu żadnego nie zrobią, a ja będę go miał sam w kwaterze arcyksięcia. Habent sua fata homines!

Druskieniki, 6 lipca 1924 roku.

III.

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ POWSTANIA LEGJONÓW

(10 sierpnia 1924).

Szanowne panie i szanowni panowie!

Dziesięć lat! Dziesięcioletni jubileusz! W Brygadzie, którą dowodziłem, do jubileuszów śpieszono. Obchodzono tam rocznicę 6 sierpnia nie raz, lecz dwa razy do roku. Co pół roku musiała być uroczystość, przy której wymagano ode mnie mowy. Według więc I Brygady mielibyśmy już dwudziestą rocznicę, nie dziesiątą. I nie mogę nie stwierdzić, że ten pierwszobrygadowy zwyczaj ma głębokie podstawy. Sądzę bowiem, że śmiało możnaby było ilość rocznic jeszcze powiększyć, by dojść co najmniej do półwiecza, to znaczy okresu, w którym jedno pokolenie w swojej większości wychodzi za światy, by dać miejsce nowemu pokoleniu i nowemu życiu.

Niewątpliwie, moi panowie, okres czasu, który przeżyliśmy w przeciągu ubiegłych lat dziesięciu, jest tak bogaty w zmiany, że żaden człowiek nie mógł nie ulec równie głębokim przemianom wszystkiego, co jest jego jaźnią. Każdy ma swe codzienne życie inne, niż dziesięć lat temu. I gdy uprzytomnimy sobie, ile jest tych zupełnie innych myśli i zupełnie innych czynności, które wypełniają całe nasze dzisiejsze życie, to możemy zupełnie spokojnie i śmiało powiedzieć, że mamy teraz do czynienia z całkiem innemi oso-

bami, niż te, które nosiły ongiś to samo imię i to samo nazwisko.

Cała szarzyzna poprzedniego życia codziennego jest dla każdego człowieka inną, niż dziesięć, jedenaście, piętnaście lat temu. O każdej z drobnych spraw, z których składa się przecież życie, inaczej się dziś myśli, inaczej ją załatwia. Znikły dawne kłopoty, związane z najmniejszą choćby podróżą, inaczej się dziś myśli o zajęciu codziennem, inaczej o rozkoszach zabawy. Trwogi zaś i bóle, radości i szały, inny *timbre* mając, rylcem swoim inaczej kształtują duszę człowieka, czyniąc go niepodobnym do siebie samego z czasów przedwojennych. Fizycznie może jesteśmy ci sami, lecz jako osobniki socjalne, będące w związku stałym i koniecznym z innymi ludźmi, zmieniliśmy się tak dalece, że mowy być nie może o robieniu porównań nas z temi samemi osobnikami fizycznemi z owych przedkatastrofalnych czasów. I jeśli to mówię, szanowne panie i szanowni panowie, to nie dlatego, żebym każdego zwyczaju I Brygady chciał przed wami bronić lub go uzasadniać, lecz dlatego, by zdobyć prawo spokojnej oceny i spokojnego stosunku do wszystkiego, co się ongiś, temu lat dziesięć fizycznych, a co najmniej z pięćdziesiąt lat moralnych, działo i widziało.

Pokolenie całe minęło i odeszło w zaświaty, mamy życie nowe, mamy życie inne. Więc niech nie brzmi paradoksalnie dla pań i panów, gdy żądam i proszę o spokojną ocenę grzechów i zasług, śmieszności i psot naszych — że tak powiem — ojców i matek, dziadów i babek. Można przecież spokojnie odnieść się do tej epoki, nie

szukając koniecznie upiększenia sobą samym głupstw czy niecnot swoich przodków.

Jesteśmy całkiem inni i przykładów potemu nie brak. Ja, naprzykład, w Polsce osiwiałem, gdy niegdyś rówieśnicy i koledzy zazdrościli mi płowej czupryny, nie mającej siwego włosa. A gdy sięgnę do przedpotopowego i przedkatastrofalnego zasięgu kulturalnego i wyciągnę stamtąd jakieś znalezisko, naprzykład — mamuta, to nie mogę tego ponurego włosatego monstrum, opędzającego się długim, śmiesznym ogonem od mnóstwa napastujących owadów, porównać z młodem słoniątkiem, igrającem w słońcu swobody Polski, — chociażby ten mamut i to małe słoniątko toż samo nosiły imię. Albo, szanowne panie i szanowni panowie, — inne znalezisko przedpotopowe: poczwarny potworek ichtjozaurowy! Ongiś siedział na podkurczonym pod siebie, długim jaszczurczym ogonie, z wdzięcznie kangurowato w pałąk wygiętym grzbietem, nastawionemi lisiemi uszkami i chytrze biegającemi oczkami. Czy można go poznać i uznać za to samo stworzenie, gdy obecnie jaszczurowatym ogonem, jak sztandarem, wgórze wywija, grzbiet po wielkopańsku prostuje, a na ziemię naszą z bezzębnej paszczy krokodylej siarkowodór zieje?

Głębokie te zmiany, któreśmy przeżyli, sięgają tak daleko, że staliśmy się nowymi ludźmi. Wielkość zmian nie odpowiada wcale owemu względnie krótkiemu okresowi czasu, który nas dzieli realnie od życia tych — według mego określenia — ojców czy dziadów naszych. Pochodzi to stąd, że pomiędzy nami a między rokiem 1914

istniała katastrofa, istniał potop z tak szybko postępującemi, nieuchronnemi i koniecznemi przeżyciami, że o powolnej ewolucji mowy być nie mogło. Gdy w procesach geologicznych ślimaczek ze ślimaczkiem gdzieś się zlepiwszy, w wiek potem wytworzą cal jakiegoś lądu, gdy drobna kruszyna piasku gdzieś z jakimś startym do miału kamyczkiem zczepiona, w ciągu lat i wieków wytwarza u ujścia rzek maleńką wysepkę, jest to proces ewolucyjnej pracy przyrody, za której skutkami człowiek nie nadąża całem swojem życiem. Gdy zaś ziemia w jakiejś potwornej konwulsji wnętrze swe otworzy, wchłaniając kilometry kwadratowe ziemi, potem i pracą ludzką zmienionej w ogrody i osiedla; gdy we wstrząśnieniach na powierzchnię mórz wyrzuci nagle wielkie wyspy; gdy zmieni łańcuchy gór, łamiąc i niszcząc jedne, a tworząc nowe, — mamy proces katastrof. Wtedy życie ludzkie na miejscach dotkniętych katastrofą skraca się do jednej chwilki, tak, że wczoraj jest całkiem odmienne od dzisiaj. Dwa te procesy ewolucji i katastrofy nie mogą być ze sobą porównywane. Inaczej rzeźbią one nasz padół płaczu, inaczej każą ludziom czas liczyć.

Mieliśmy w ostatniem dziesięcioleciu katastrofę. Katastrofą tą była wojna europejska. Szła ona na Polskę ówczesną jakimś piorunowym pędem, w jakichś lamparcich podskokach, oszałamiając szybkością swego rozwoju i nieubłaganą koniecznością wszystkich ludzi. Ileż wojen wypowiedziały państwa państwom! Portugalja ogłaszała wojnę Niemcom. Niemcy stawiały ultimatum na prawo i na lewo. Austrja zaczynała woj-

nę z Serbją, Rosja z Austrją i z Niemcami, Francja odrzucała ultimatum, Anglja je stawiała. Deklaracje wojen zajmowały w dziennikach ówczesnych całe szpalty.

Trzeba stwierdzić, że Polska ówczesna, to znaczy ci Polacy, którzy w owym czasie żyli, wojny nie chcieli i wojny nie wywoływali. Dobrze teraz od czasu do czasu nagle zadeklamować, że Polacy, zgodnie z wolą Mickiewicza, modlili się o wojnę światową, ale to przecież był tylko Mickiewicz, który, jak wiadomo, do pokolenia 1914 roku wcale nie należał! Pokolenie ówczesne, zgodnie ze wszystkiemi świadectwami, do żadnego ryzykanctwa skłonne nie było i gdyby politycy, rzucający się w wir wojny świata, zechcieli posłuchać sądów i opinij ówczesnych Polaków, trwożliwie rozmawiających w kawiarniach i domach, to na pewno nie byłoby wojny.

Polska więc, stwierdzam to raz jeszcze, wojny nie chciała i wojny nie wywoływała. Więcej nawet! W mnóstwie deklaracyj, składanych z powodu wojny, w całym szeregu mów odpowiedzialnych kierowników państw, w nieskończenie wielkiej ilości artykułów w pismach całego świata, w rozmowach i dyskusjach o tej piorunowo na ludzi następującej katastrofie mowa była o wszystkiem. Mówiono więc o nieprzedawnionych prawach do tej czy innej prowincji sąsiada, o odwiecznych a złośliwych wrogach narodu czy państwa, o konieczności posiadania miejsca pod słońcem, o obrazach *prestige'u*, o mordach i zabójstwach bez kary, o gwarancjach pokoju czy bezpieczeństwa. Mowa była o wszystkiem, o wszystkich możliwych moty-

wach czy powodach katastrofy, lecz o Polsce, czy jej prawach i interesach, czy miejscu pod słońcem — mowy nie było wcale. Stwierdzić to należy z całą stanowczością, gdyż z tego wynikały wielorakie następstwa. Dopiero znacznie później, gdy wojna już wielkie szczerby w sile wszystkich państw zrobiła, zdarzył się fakt, że Ameryka, przystępując do wojny, zgłosiła deklarację, w której jeden z jej czternastu punktów żądał Polski, jako państwa, mającego mieć dostęp do morza. Na początku jednak katastrofy, w roku 1914, nikt o Polskę wojować nie chciał.

Polska więc wojny nie szukała, wojny nie chciała, wojny nie wywoływała — wojna, przez innych toczona, nie miała żadnych, choćby najmniejszych zadań, tyczących się Polski. Polska miała być jedynie teatrem wojny. Z tego zaś faktu wynikły różne następstwa, do których, między innemi, należy i początek Legjonów.

Nim do wyjaśnienia znaczenia teatru wojny przystąpię, zatrzymam się na decyzji i postanowieniach nie Polski, gdyż ta jako całość do decyzji powołana nie była, lecz ówczesnych Polaków. Polska w owych czasach, jak to wszystkim wiadomo, rozdarta była przez trzy państwa zaborcze: Rosję, Austrję i Niemcy, które właśnie przystępowały do orężnej rozprawy. Jeżeli weźmiemy ogół Polaków ówczesnych, to pomimo, iż żyli w całkiem odmiennych warunkach, pomimo, że w początkach tej z błyskawiczną szybkością postępującej wojny w żaden żywy sposób zmówić się nie mogli, to jednak decyzja wszystkich Polaków wypadła zdumiewająco jednako-

wo. Wszędzie zdecydowano poddać się losowi wojny i, oddawszy Bogu — co boskie, — to jest westchnienie, oddać cesarzowi, co cesarskie, — to jest życie i mienie. Nie chcę wcale wchodzić w to, jakiemi były motywy, czy myśli, czy uczucia, czy sentymenty w owej chwili. Chcę jedynie stwierdzić fakt niezaprzeczony, że we wszystkich trzech częściach Polski mobilizacja sił państwowych, to znaczy zaborczych, względnie najzupełniej się powiodła. Fakt ten można najrozmaiciej tłumaczyć, najrozmaiciej upiększać lub ganić, z powodu niego cieszyć się czy boleć, — przejść jednak nad nim do porządku dziennego, twierdzić, że Polacy postąpili inaczej — niepodobna. Obojętnem jest również, czy ten lub ów Polak szedł w szeregach obcej armji z trwogą czy namiętnością, z wyrachowania jedynie czy z przekonania, zawsze w każdym z tych indywidualnych Polaków musiała być cząstka decyzji dla postępku tego a nie innego. Mogę więc śmiało twierdzić, że wogóle Polacy zdecydowali nie opierać się prawom swego państwa zaborczego i służyć podczas wojny pod sztandarami, godłami i znakami obcych, zaborczych armij. Użyczali w ten sposób państwom dla ich politycznych, niezwiązanych z Polską celów tego, czego państwa te wymagały, — żołnierza.

Danina ta stawała się dla Polaków specjalnie ciężką. Obciążało ją dodatkowe brzemię, z powodu którego ludzie szaleli prawie z rozpaczy. Państwa zaborcze miały toczyć wojnę między sobą na polskim teatrze wojny — Polacy musieli być awangardą i toczyć wojnę od pierwszego momentu bratobójczą. Przemawiam w Lublinie,

i na niedalekich stąd polach pierwsze krwawe i mordercze boje toczone były przez Polaków z Polakami. Z jednej strony więc — austrjackiej — szły ku Lublinowi korpusy I i X, krakowski i przemyski, w których co najmniej 90% stanowili Polacy. Odwrotnie, z rosyjskiej strony, w obronie Lublina i jego okolic stawał XIV korpus rosyjski, z tej właśnie ziemi zmobilizowany. Na północy, ze strony niemieckiej, szedł korpus XVII gdański, zmobilizowany z dzisiejszego Pomorza, a przeznaczony do walki z korpusami rosyjskiemi, mobilizowanemi w Warszawie, Płocku, Łomży, Grodnie i Wilnie. Ten mus bratobójczej walki następstwem był koniecznem i naturalnem oddania cesarzowi, co cesarskie, i poddania się losowi wojny, nie o Polskę prowadzonej. Podkreśla to silnie fakt, który zaznaczałem wyżej, że Polacy wogóle nie szukali jakiejkolwiek innej decyzji, jak tej, która im była dana przez państwa zaborcze. I znowu powtórzę, że jest obojętnem dla samego faktu, jakie uczucia szarpały serce tego czy innego Polaka, gdy strzelał do swych zakordonowych braci na rozkaz swego zaborcy. Przecież nie można podejrzewać, by nasi bracia Wielkopolanie, zmobilizowani w V i VI rezerwowym korpusie poznańskim, z dumą i radością wkładali na głowy pikielhauby i, w ciasny mundur pruski odziani, szukać chcieli zwycięstwa nad Francuzami pod Verdun.

Stwierdziwszy ten fakt niezaprzeczalny, przechodzę do wyjaśnienia okoliczności, że Polska stać się musiała teatrem wojny. Każdy teatr wojny w każdem starciu orężnem nieść musi wielkie

ofiary, lecz ma także i swoje beneficja. Jest to prawo wojny. Prawo, znane mi doskonale ze studjów nad wojną, znane również z doświadczenia, jakie zebrałem zarówno z wojny europejskiej, jak z naszej — polskiej. Znać trzeba dokładnie teatr wojny, gdyż daje to jedną z poważnych szans zwycięstwa. A usposobienie ludności w stosunku do wojsk, toczących wojnę, niemałe ma znaczenie, stwarza bowiem ułatwienia lub przeszkody dla żołnierzy i ich wodzów.

Polska miała być takim teatrem wojny. Widzieliśmy więc, jak w pierwszej chwili, gdy tylko wojna wybuchła, monarchowie wszystkich trzech państw zaborczych zapałali nagle wielką sympatją do naszego narodu, proklamując ją w specjalnych odezwach. Niewiele różniły się one zasadniczo pomiędzy sobą. Sędziwy monarcha ludów Austrji i Węgier, Franciszek Józef, w tych samych prawie słowach stwierdzał swoją ojcowską miłość dla Polaków, jak surowy monarcha niemiecki, Wilhelm II, i wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, który stanął na czele wojsk białego cara. Odezwami temi, wyrażającemi uczucia i sympatje dla Polaków, starano się ubrać przykry nieraz przymus posłuszeństwa względem zaborców w jakieś chociażby skrawki piękniejszych i idealniejszych motywów. Poza temi odezwami zastosowano do Polski zwykły repertuar środków, związanych z teatrem wojny. Więc najprzód terror w najszerszem tego słowa znaczeniu. Wszystko, co mogło być uznane za podejrzane, co bez wojny mogłoby żyć nadal spokojnie, uwięziono, by internować gdzieś w głębi państw, toczących wojnę. Wzmocniono,

jak zawsze, prawa wojska w stosunku do ludności, zaostrzając kary za wszelkie występki, zakłócające działania wojskowe.

Skierowano też, jak zwykle, na teatr wojny strumień złota, by tam, gdzie nie wystarczy skrawek idealizmu czy strach, wzniecony terrorem wojny, spróbować zwykłego w takich wypadkach środka — przekupstwa. Złoto więc płynęło pod różnemi pozorami: czy w postaci wynagrodzenia za straty, dawanego hojniej pokornym, a odmawianego lub dawanego w małych kwotach obojętnym czy niepokornym; czy w postaci najrozmaitszych subsydjów pismom, instytucjom i towarzystwom; czy w tej najgorszej i najbrzydszej postaci — kupowania sobie ludzi jako szpiegów i informatorów w najrozmaitszych kwestjach i dla najrozmaitszych celów.

Oto zwykłe ofiary i zwykłe beneficja teatru wojny.

Bywają jednak i beneficja nadzwyczajne, związane albo z wpływowymi na teatrze wojny ludźmi, albo ze szczególnemi względami, które chce się brać w rachubę. Są to, że się tak wyrażę, beneficja specjalne. Do nich należy i to, co nazywamy teraz czynem legjonowym. Człowiek, noszący to samo nazwisko, co ja, należał do rzędu ludzi wpływowych, mających w owe czasy szczególny, że tak powiem, kaprys. Stał on bowiem na czele niewielkiej zresztą garści ludzi, szerzących przekonanie, że Polska z poniżenia niewoli wyjść może jedynie zapomocą zbrojnego ruchu, korzystając z tego czy innego momentu. Straszono go więc z jednej strony zwykłym środkiem — zamknięciem wraz z przyjaciółmi w ja-

kichś twierdzach czy obozach dla internowanych; z drugiej strony zgadzano się na próby tworzenia oddziałów polskich, zgóry lekceważąc te poczynania. Zgoda ta była więc jednym ze środków udzielania wpływowym ludziom beneficjów specjalnych, których prawdopodobnie w innej postaci, nie tak krzyczącej, udzielano łaskawie ze strony wszystkich trzech zaborców. A ciekawy historyk pewnie w niedalekiej przyszłości odnajdzie dosyć dokumentów dla potwierdzenia tej prawdy.

W ten sposób powstał początek tego, co nazywamy obecnie czynem legjonowym. Było to dla jednego z zaborców coś w rodzaju sposobu rozdawania beneficjów specjalnych, dla mnie zaś i tych, którzy za mną poszli, była to próba rozstrzygnięcia problemu, męczącego w owe czasy wielu Polaków, podczas gdy ogromnej większości naszego narodu był najzupełniej obcy. Narody i państwa, biorące udział w wojnie, jako swoją reprezentację czynną wysłały na plac boju wodzów i żołnierzy. Wszyscy Polacy, jak to już mówiłem, pogodziwszy się z losem, wyrzekli się jej. Dali żołnierza pod obce, zaborcze znaki i godła i zwiększyli w ten sposób siłę reprezentacji obcych, zaborczych wodzów. My zaś, legjoniści, rozstrzygnęliśmy tę sprawę inaczej. Daliśmy próbę reprezentowania na polu bitwy Polski, więc narodu bez państwa i rządu — tak, jak to czynili inni, to znaczy przez własnych wodzów i własnych żołnierzy.

Próba ta została zlekceważona przez wszystkich, skazana przez wszystkich zgóry na nieudanie, przez wszystkich uznana za niemożliwą do

wykonania. Jest zupełnie obojętnem dla mnie i dla moich wywodów, jak kto o tem sądził wtedy czy sądzi teraz, jakie kto o mnie czy o moich kolegach wydawał wtedy lub wydaje teraz opinje. Jest obojętnem, czy ktoś za jakimś żulikiem Zamorskim powtarzał, iż prowadziła nas chęć rabunku i bandytyzmu, czy uważa nas wraz z innymi za płatnych agentów Wilhelma czy Franciszka Józefa, czy przypisywał nam wówczas lub przypisuje teraz szaleństwo i bezrozum, czy na moją siwiejącą głowę rzucał czy rzucać będzie przekleństwa za gubienie szlachetnej młodzieży, czy wreszcie w owe czasy sentymentalne ronił łzy nad ofiarami szlachetnych i zielonych głów młodych — jest to zawsze wszystko jedno dla historycznego faktu, że ja i legjoniści postąpiliśmy w te czasy, gdy potop wojny zalewać zaczął naszą ziemię, inaczej, niż wszyscy Polacy. Niepodobna było sfałszować tego faktu, gdyż każdy z przyszłych historyków znaleźć musi dla tej chwili całe mnóstwo dokumentów historycznych w postaci rozkazów, raportów, opisów działań i czynności, zarówno moich, jak i moich kolegów z Legjonów.

Jak już wspomniałem, próbę tę zlekceważono ze wszystkich stron, uważano, że niemożliwa jest do wykonania i że wymaga co najmniej licznych i zasadniczych poprawek. Nawet przez wielu przyjaciół wystąpienia mego i legjonistów rzecz uważana była za niepodobną do wiary i zasługiwała na lekkie wzruszanie ramionami. Uważano specjalnie jedną poprawkę za konieczną ze stanowiska, jak sądzono, rozumu, rozsądku i użyczenia powagi przedsięwzięciu. Sądzono, że

jest rzeczą nieodzowną oddać całą pracę organizacyjną, mającą przekształcić oddziały strzeleckie w istotne wojsko, oficerom z armji austrjackiej, inaczej przedsięwzięcie nie będzie miało autorytetu dla nikogo, nawet, jak mówiono, dla nas samych — legjonistów.

Podkreślam więc i powtarzam raz jeszcze — gdy wojna w 1914 roku wybuchła, Polacy we wszystkich trzech zaborach zdecydowali oddać Bogu — co boskie, cesarzowi — co cesarskie. Ja i legjoniści postąpiliśmy inaczej, a bez względu, jak kto wtedy patrzał i jak teraz to widzi, zdecydowaliśmy spróbować, czy nie można dać naszemu narodowi bez państwa przedstawicielstwa wojennego w postaci wodza i żołnierza. Usiłowania te przyjęto albo zupełnie niechętnie, albo z niedowierzaniem, specjalnie jeśli chodzi o próbę zdobycia reprezentacji przez wodza. Chciano wybrać go z pomiędzy oficerów austrjackich, chociażby dla dodania powagi i rozumu przedsięwzięciu.

Odrzuciłem odrazu wraz z Brygadą, którą dowodziłem, wszelkie próby w kierunku obdarzania nas tą powagą i tym rozsądkiem.

Wobec powszechnego niechętnego i niedowierzającego do nas stosunku zapytać się godzi, czy nam, legjonistom, próba ta się udała, czy zdołaliśmy choć w części swe zamiary wykonać i zrealizować. Nie chcę powtarzać myśli, wypowiedzianych w zeszłorocznym moim odczycie, wygłoszonym we Lwowie przy naszem dorocznem święcie. Powiem tylko, że armja austrjacka, znając powszechne ku nam niedowierzanie, pośpieszyła odrazu wykorzystać szeroką bazę uczuć,

istniejącą w Polsce w stosunku do nas, by wszelkiemi sposobami nas skrępować, wszelkiemi metodami nas pokory uczyć i wszelkiemi drogami, negliżując nas, nam władzę narzucać. A jednak już w końcu roku 1914, zaledwie w trzy miesiące po rozpoczęciu przez nas tak zwanego czynu legjonowego, zostaliśmy postawieni narówni z normalnemi oddziałami wojska, i też same, co innym, poruczano nam zadania. Ba, nie chcę być dumnym ani się chwalić, lecz w końcu października, po ciężkim boju, nazywanym przez nas pod Laskami, nie komu innemu, jak mnie i nam, powierzono najcięższą dla żołnierza służbę, służbę arjergardy, osłaniającej odwrót przed zwycięskim nieprzyjacielem. Pocóż negować te fakty lub je fałszować, gdy o tym szybkim awansie naszym — na równorzędnych z innymi żołnierzy — świadczy całe mnóstwo dokumentów w postaci raportów, rozkazów i relacyj różnych dywizyj, korpusów i armij.

Niewątpliwie wobec silnego przeciwdziałania zaborców, opierającego się, jak mówiłem, na niechęci lub niedowierzaniu nam naszych własnych rodaków, droga legjonistów była trudna i żmudna. Szliśmy, zwolna torując sobie nadzwyczajnemi wysiłkami drogę ku postępowi, pozostawieni najczęściej tylko własnym siłom. I jeżeli w sprawie zdobycia reprezentacji przez żołnierza nie mogliśmy osiągnąć dostatecznej liczby, daliśmy wzamian szacunek dla jego tężyzny. O wodza prowadziliśmy walkę zaciętą i często zupełnie beznadziejną. Zmagania te, jak wiadomo, zakończyły się katastrofą dla legjonistów i katastrofą dla tego, kogo na wodza ich wysu-

wano, to znaczy dla mnie. Zostałem aresztowany i wywieziony do twierdzy magdeburskiej, a Legjonom złamano skrzydła i możność rozwoju.

Nie mówię tego, szanowne panie i szanowni panowie, w jakimś celu osobistym. Żądając od wszystkich, by umieli spokojnie się odnieść do dziejów naszych fizycznych osób z tej dalekiej moralnie przeszłości, mam ten sam spokój w stosunku do dziejów własnych. Podkreślam tylko z naciskiem, że w walce naszej o niezależnego wodza byli zaborcy właśnie najmniej ustępliwi, że posiadali w tej sprawie najsilniejsze poparcie polskiego społeczeństwa, które nawet wtedy, gdy popierało Legjony, szukało, jakgdyby naumyślnie, najbardziej zależnego, najbardziej związanego człowieka, aby mu oddać dowództwo nad nami. Bezwiednie przypominają mi się czasy już swobodnej Polski, gdy nieraz się zdawać mogło, że Polacy najbardziej cieszyliby się z możności osiągnięcia tego, aby na ich czele, a specjalnie na czele wojska, stał nie Polak, lecz człowiek, zależny od innego narodu lub będący pod rozkazami innego państwa czy armji. Widocznie jest to ściśle związane z charakterem narodowym.

Gdy teraz, po dziesięciu latach fizycznych, a pięćdziesięciu co najmniej latach moralnych, rozważam często próbę, czynioną przez nas w owe czasy, waham się w swojej konkluzji, jako historyk. Próba co do jakości żołnierza udała się niechybnie znakomicie. Udała się w tak dziwnie szybkiem tempie, w tak niesłychanie krótkim czasie, że zaszczyt to przynosi wszyst-

kim dowódcom mniejszym i większym, którzy tego dokonać potrafili. Lecz niema wątpliwości, że pod względem liczby siła naszej reprezentacji wojennej była nikłą w porównaniu z liczbą Polaków. Próba zaś siły, by zdobyć reprezentację w postaci wodza, zakończona katastrofą w 1917 roku, powodzenia nie miała, zostawiając jedynie głęboki ślad ciężkiej walki naszej nietylko w duszach legjonistów, lecz w znacznie szerszych kołach i kręgach naszego narodu.

Usiłowania te wiążą się ściśle z inną, może najbardziej istotną cechą całej pracy legjonistów w owych czasach. Mówię tu o próbie naszej podniesienia godności narodowej i honoru polskiego. Niema dwóch zdań, że twarde prawo wojny z przymusem stałego ulegania musi dławić i dusić ciężko ludzi wogóle, lecz gdy prawo to w obcej jest ręce, poniżenie ludzi staje się najbardziej dotkliwem. Polska, będąca teatrem wojny, odczuła to poniżenie odrazu z trzech stron walczących. Bo jakby to sobie chciał kto upiększyć: czy zawiłem rozumowaniem i taką czy inną racją stanu, czy nagłem zamiłowaniem w bratanіu Słowian, czy też wdzięcznością dla sędziwego monarchy, Franciszka Józefa, pod którego opieką była Galicja najswobodniejszą częścią Polski — wszystko jedno! — prawa wojny ciążyły nad Polakami dotkliwiej, niż nad innymi, dając w skutkach upokorzenie każdemu prawie Polakowi czy Polce. Na ziemi polskiej tańczono olbrzymiego kontredansa, przy którym całe połacie polskiego kraju przechodziły z rąk do rąk raz po raz. Ludzie się zatracali w tem zmienianiu bezustannem jednego pana na drugiego. Co

chwila trzeba było przystosowywać się do innych żądań, do innych wymagań i innych kaprysów. Bezsilność i bezradność ludzka, którą obserwowałem podczas tych kontredansów na ziemiach polskich, była tak krzyczącą, że nie mogę sobie wyobrazić, by najmniej czuły na godność i honor narodowy człowiek nie odczuł głębiej poniżenia ludzkiego, które czyniło z niego jakąś istotę niższego rzędu, spychaną systematycznie do błota.

Nie miałem sposobności obserwować bezpośrednio tych zjawisk po stronie wszechsłowiańskiej armji rosyjskiej. Mogłem jedynie chwytać błyski nienawiści ku tej armji na Podhalu, gdzie w bojach pod Limanową tańczyłem również swego maleńkiego kontredansa i widziałem wsie i miasta, oswobodzone od Moskali. Przypominam sobie z wściekłością powtarzane imię jaki goś wszechsłowiańskiego generała, hrabiego Kellera, który po pijanemu kazał sobie co noc sprowadzać dziewuchy z okolic, zajmowanych przez jego dywizję jazdy. Jeszcze silniejsze i jaskrawsze błyski nienawiści obserwowałem wtedy, gdy Rosjanie przy cofaniu się z Królestwa palili wsie i sioła, pędząc ludność, jak barany, w dalekie i obce kraje. Ciekawem jest, że właśnie od tego czasu zastygł na ustach polskich zaimek „nasz", który do tego czasu stale był używany w Królestwie w stosunku do żołnierza rosyjskiego.

Zjawiska poniżenia godności ludzkiej u Polaków i zatracania się ich w ogromie wojny mogłem z natury rzeczy obserwować bliżej po tej stronie wojny, gdzie walczyły wojska austrjac-

kie i niemieckie. Rzucę przed wami, szanowne panie i szanowni panowie, kilka przykładów.

W czasie, w którym byliśmy przyczepieni do I korpusu austrjackiego, składającego się przecież z 90% żołnierzy i 60% oficerów — Polaków, w okresie walk, toczonych w powiatach sandomierskim i opatowskim, otrzymałem razu pewnego od komendy tegoż korpusu rozkaz okólny. Głosił on, jak dla Polaków, cynicznie, że wojna nie toczy się wcale o polskie interesy, że zatem komenda korpusu wymaga, aby w stosunku do ludności zachowywać się jak najsurowiej, jako do ludności wrogiej, i że koniecznem jest utrzymanie autorytetu wojska, chociażby jak najdrastyczniejszemi środkami. Osobiście ten rozkaz odesłałem z oświadczeniem, że słuchać go nie będę. Lecz proszę wyobrazić sobie uczucia oficerów i żołnierzy — Polaków, którzy w Opatowskiem mieli się zachowywać w stosunku do swoich rodaków jak najbardziej wrogo i surowo.

Oto obrazek drugi. W czerwcu 1915 roku z tego samego Sandomierskiego zostałem wezwany do Naczelnej Komendy austrjackiej. Przejeżdżając w aucie wzdłuż etapów 1-ej armji austrjackiej, skonstatowałem, że w miasteczkach polskich nakazano wszystkim mieszkańcom, nie wyłączając kobiet, schodzić z chodników na ulicę przy spotkaniu oficerów, wszystkim zaś mężczyznom zdejmować przed nimi nakrycie głowy. W Komendzie Naczelnej austrjackiej zrobiłem z tego powodu awanturę i oświadczyłem, że zarówno ja, jak i moi oficerowie, zachowywać się

będą odwrotnie i sami przed każdą kobietą będą schodzili z chodnika na ulicę.

Nie mogę wreszcie nie przytoczyć tu charakterystycznej odpowiedzi, którą otrzymałem raz w sztabie sławnego Hindenburga w Kielcach, gdym dawał drastyczne przykłady sposobu zachowania się niemieckich żołnierzy i oficerów w stosunku do ludności. Twierdziłem, że możnaby zupełnie śmiało tych szykan nie robić i nie zaczepiać, naprzykład, rozmyślnie na ulicach kobiet pytaniem, gdzie tu jest dom publiczny, nie palić w piecach meblami i nie rozbijać wszystkich szkieł od lamp przy opuszczaniu wsi lub miasteczka. Wyższy oficer sztabu, z którym w tej kwestji rozmawiałem, po obietnicy wydania rozkazu, polecającego inne postępowanie, dodał filozoficznie: „Panie, gdyśmy wchodzili do Polski, byliśmy zupełnie niepewni tego, jak się ludność do nas odnosić będzie. Stąd to wahanie między środkami gwałtownemi i łagodnemi. Tem niech pan sobie tłumaczy Kalisz, który wobec tego, cośmy w Polsce spotkali, był zupełnie niepotrzebny. Znaleźliśmy bowiem jakieś miękkie ciało, przez które gdy przechodzimy, to na spodniach zostają tylko tłuste plamy".

To cyniczne określenie sztabowca pruskiego stało mi w pamięci przez cały czas wojny, gdy z niepokojem w duszy przyglądałem się temu, jak Polacy na zjawiska wojenne reagują, jak śmieszni muszą być w oczach tych, którzy znają prawo wojny — ze swoją bezradnością sądów, ze swojem pokornem przystosowywaniem się do każdego żądania i każdego wymagania. Nigdy nie było jednak dla mnie wątpliwości, gdym na

to patrzał, że gdzieś na dnie serc, gdzieś w ukrytych załomach duszy było uczucie głębokiego upokorzenia i jakiś stłumiony bunt przeciwko bezlitosnemu wdeptywaniu nas w błoto coraz to innym butem żołnierskim.

Legjoniści byli w tych czasach wyrazicielami tego buntu i to wyrazicielami jawnymi, walczącymi publicznie o szacunek dla tego, co polskie nosi imię. Nie chcę mówić o mojej walce, która, rozgrywana na terenie wyższych sztabów i wyższych dowództw, nie mogła być ani jawną, ani publiczną i wpływu bezpośredniego na ludzi wskutek tego wywierać nie mogła. Na oczach natomiast wszystkich szli legjoniści naprzód, przepychając się nieledwie łokciami, szli każdego dnia — wbrew ogólnemu codziennemu upokarzaniu się — na awantury, na małe, ale liczne utarczki z obcą zaborczą ręką w obronie swojej godności, jako żołnierzy polskich.

Ileż takich drobnych scen staje mi w pamięci, gdy o tem mówię! Ileż śmiesznych, komicznych epizodów tej walki przeżyć musiał nieledwie każdy legjonista w tych czasach, gdy nosił mundur, świadczący o tem, że jest Polakiem i pod polskiemi godłami i znakami chce służyć!

Któż z tych, co w końcu września 1914 roku byli ze mną nad Wisłą, pod Nowym Korczynem i Opatowem, nie wspomina tej zabawnej sceny, gdy przybyła z Krakowa kompanja uzupełniająca topiła w Wiśle czarno - żółte opaski, w które ją ubrano przy opuszczaniu Krakowa? Wstydem bowiem było u nas nosić jakąkolwiek oznakę, przypominającą mundury Austrjaków czy ich kolory. Ileż to walk stoczono z temi oznaka-

mi! Ileż było starć publicznych na dworcach kolejowych, na ulicach miast z powodu bezprawnego jakoby noszenia czy to naszych własnych oznak na mundurach, czy naszych własnych gard przy szablach, czy wreszcie, co się najczęściej zdarzało, z powodu oddawania honorów nie całą dłonią, lecz tylko dwoma palcami! Codzienną walkę, widoczną dla oczu wszystkich, toczyli legjoniści o najmniejszy drobiazg, o polskie słowo komend, o głośne polskie rozmowy pomiędzy sobą w miejscach publicznych, o otwarte demonstrowanie wspólnoty swojej z otoczeniem polskiem, o jawne szanowanie polskich zwyczajów, o odwet za próby obrażania tego, co polskie. Legjoniści robili sobie z tej walki sport, przekraczający nieraz granice zwykłej przyzwoitości, szukali często sami publicznej zaczepki. Stali się przez to głośnymi we wszystkich urzędach, szczególnie etapowych, i znosić musieli z tego powodu całe mnóstwo szykan. Odpowiadali na nie hardo, wyszukiwali specjalnie obraźliwych słów, by wykazać swoją wzgardę dla tych ukłuć.

Walka ta nie mogła być niewidoczną dla ludzi. Nie mogła również nie dawać pewnej dozy satysfakcji zdeptanemu uczuciu honoru i dumy narodowej. I nieraz, gdy o tem myślę, przychodzę do przekonania, że ta hardość w pracy, noszącej zewnętrzne cechy pracy polskiej, była podstawą tego niezaprzeczonego faktu, że w końcu 1916 roku i do połowy 1917, gdy Legjony stały postojem na ziemi ojczystej, miały niezaprzeczoną szeroką popularność i coś w rodzaju sentymentu dla siebie w obu okupacjach: niemieckiej i austrjackiej. Osobiście odczuwałem ten

stosunek zupełnie jasno i wyraźnie podczas swego pobytu w Warszawie, zakończonego aresztowaniem i wywiezieniem do Magdeburga.

Uczucia te zjawiały się wszędzie, gdzie tylko legjoniści stanęli kwaterą. Szli oni tam tak jaskrawo wpoprzek zarządzeniom władz okupacyjnych, tak śmiało i hardo przekraczali rozmyślnie przepisy, ciążące nad całą ludnością, tyle czynili złośliwości, z tak niezrównanym humorem wykpiwali publicznie robotę austrjacką i niemiecką, że doprawdy nieraz oczekiwałem, iż nastąpić musi jakieś krwawe starcie, przy którem część ludności wesprze legjonistów przeciwko władzom okupacyjnym. Odczuwali te tlejące iskry dokładnie niektórzy z legjonistów, gdy w okresie tak zwanego kryzysu przysięgowego, w roku 1917, proponowali mi, jak rzecz według nich możliwą, by siłą oprzeć się wszelkim próbom narzucania nam przysięgi. Twierdzili przytem, że niechybnie będą podtrzymani w tym wypadku przez wszystkich włościan okolicznych.

Szanowne panie i szanowni panowie! Starałem się w przeciągu dzisiejszego swego przemówienia wyświetlić najistotniejsze cechy tak zwanego czynu legjonowego. Chciałem oswobodzić się od wszystkich domieszek i dodatków, wytworzonych w przeciągu ubiegłych dziesięciu lat zarówno przez tych, którzy niechętnie do nas się odnosili, jak przez tych, którzy ten czyn wyolbrzymiają i przesadzają jego znaczenie.

Być może uraziłem niektórych ze swoich słuchaczy, usuwając na bok w tej analizie pierwiastki uczuciowe. Uczyniłem to jednak rozmyślnie, gdyż nie mam zamiaru nigdy twier-

dzić, że my, legjoniści, i ci, którzy nas kochali, mają wyłączne prawo do miłości ziemi ojczystej, lub, jak to się często mówi, do tytułu ofiarności. Polska bowiem i Polacy ponieśli podczas wojny tyle ofiar, składanych nieraz z wielką goryczą w sercu, że wobec ich ogromu drobnostką były nasze ofiary legjonowe, opłacane przytem wielką nagrodą, bo wewnętrzną satysfakcją.

Wywody moje, które panom w tem przemówieniu dałem, są owocem częstych moich rozważań i rozmyślań nad pracą moją i pracą kolegów, podjętą w epoce, gdy Polska dopiero się stawała, gdy się odwracało wielkie koło historji, które ongiś nas w błoto niewoli wgniatało.

Streszczam swe myśli. Polska i olbrzymia większość Polaków wojny nie chciała, wojny nie wywołała i świadomą była tego, że ona nie o Polskę się toczy. Nie mając samodzielnego przygotowania do wypadków wojennych, Polacy uczynili przy wybuchu światowej katastrofy to, co czynili już dobre półwiecze w życiu codziennem — poddali się nakazom zaborców, wzmacniając w ten sposób siły każdego z nich. Niewielka garść ludzi, zwanych legjonistami, zdecydowała postąpić inaczej. Chciała dać Polsce podczas wojny reprezentację w postaci polskiego żołnierza i polskich dla niego dowódców. Wskutek naturalnej niechęci i oporu ze strony zaborców, wskutek ogólnego niedowierzania, by zamiar ten mógł być zrealizowany, — próba udała się tylko w części. Stan ten musiał doprowadzić do silnych tarć, przy których my, legjoniści, walcząc nieustannie o swoje cele, staliśmy się najjaskrawszym wyrazem obrony honoru i dumy narodowej

wobec systematycznego wgniatania nas w błoto przez maszynę wojenną wszystkich trzech zaborców. Dlatego też, pomimo, iż uległiśmy w walce, mamy za sobą tę wielką satysfakcję, żeśmy pierwsi w Polsce zaczęli żyć życiem wojska polskiego i przy powszechnem poniżeniu Polaków mieli spokój co do swego honoru i częste zadośćuczynienie dumy i godności narodowej.

Niech mi wolno będzie na zakończenie dodać słów parę o dziwacznej, tak często wypowiadanej, a głęboko dla mnie zabawnej opinji o czynie legjonowym. Jest ona związana z nadzwyczajnie śmiesznem interpretowaniem słowa „romantyczny". Nie wiem doprawdy, czy ten przymiotnik nie był istotnie najczęstszem, najbardziej używanem określeniem w stosunku do naszej pracy w społeczeństwie polskiem. Powiadam, że wydaje mi się to niesłychanie śmiesznem. Słowo to przecież oznacza właściwie pewien okres w dziejach literatury całego świata; okres ten wszędzie, a więc i u nas, wydał ludzi, którymi się chlubi każdy naród. Każde dziecko zna nazwisko Adama Mickiewicza. Mnóstwo miast ma jego pomniki, każde bodaj miasteczko ulicę, ochrzczoną jego wielkiem imieniem. Lecz u nas, po upadku powstania 1863 roku, słowo „romantyczny" nabrało jakiegoś dziwacznego charakteru, zaczęło oznaczać poprostu „głupi".

Ze śmiechem zawsze myślę o tych nieromantycznych tatach, którzy napędzają dzieci do klepania napamięć wierszy „romantycznego" wielkiego poety. A iluż to śmiesznych pismaków, używających słowa „romantyczny" poprostu jako „głupi", pękłoby z radości i dumy, gdyby

ktokolwiek trzepał tak napamięć ich piśmidła, jak dzieci nasze polskie mówią napamięć utwory „romantycznego“ Mickiewicza.

Lecz chcę ustąpić opinji polskiej i używać słowa „romantyczny“ jako „głupi“. Jest zwyczajem nazywać grzecznie „romantycznym“ tego, komu się coś nie udało. Jest zwyczajem, żeby człowieka niepraktycznego, który zabłądzi choćby w trzech sosnach, który drogi żadnej znaleźć nie potrafi, mienić nie głupim, lecz „romantycznym“. „Romantyczny“ to coś w rodzaju małego, niezdarnego dzieciaka, który, siedząc na ręku matki, niepraktyczne, niepewne rączki wyciąga po jakąś błyskotkę, i ku wielkiemu swemu zdziwieniu nie ją chwyta, a — naprzykład — kosmyk włosów matki!

I takiem właśnie romantycznem dzieckiem mieliśmy być my, legjoniści. Jakiż to zabawny sposób krytyki, świadczącej chyba tylko o głębokiej nieudolności myślenia! Czegoż chcieli legjoniści? Poco wyciągali oni nieudolne, dziecinne rączki? Chcieli dać Polsce żołnierza. Powiedzmy, chcieli błyskotki. Wyciągali jednak rączkę tak zręcznie i tak umiejętnie, działali tak praktycznie, tak trafnie dobierali odpowiednich środków, że pomimo przeszkód, stawianych im w tem nietylko przez zaborców, lecz i przez „nieromantycznych“ Polaków, — błyskotkę tę mieli w ręku! Ba, powiedzieć nawet można więcej! Zdołali pomimo wszelkich trudności dać w dziedzinie wojskowej imiona, któremi Polska może się szczycić.

Porównajmy tę praktyczną, umiejętną pracę Legjonów z pracą ich krytyków. Z pracą tych

„nieromantycznych"! Chcieli oni, siedząc na ręku matki — państw zaborczych — mieć w nieromantycznej rączce nie głupie błyskotki, lecz praktyczny kosmyk włosów matki. Czyż go mieli i mają? Czyżby więc nie czas było, zamiast wzruszać ramionami na „romantyczne", a zatem głupie główki legjonistów, pomyśleć o własnej „romantyczności" i głupocie. Czyżby nie czas było pomyśleć o swojej nieumiejętności orjentacyjnej, która w 1914 roku zmusiła szanownych krytyków do błądzenia pomiędzy trzema sosnami zaborczemi, do czepiania się każdej z nich pokolei i do tracenia często przytem dużo zdrowia moralnego.

Szanowne panie i szanowni panowie! Kończę, prosząc zawsze o jedno. Spróbujmy spokojnie odnieść się do faktów, które się działy ongiś. Spróbujmy sobie spokojnie powiedzieć: grzechy, zrobione przy wybuchu wojny przez wielu Polaków, głupota, ongiś przez nich wykazana, nie upiększają, być może, historji naszej ojczyzny, — działo się to jednak tak dawno, a my sami przeżyliśmy tyle zmian, że doprawdy nie warto o tych wypadkach tak dużo kłamać. Nie warto na nasze polskie imię narzucać tyle fałszu i tyle bezecnego łgarstwa, aby, jak to mi niegdyś mówił jeden z wielkich ludzi tego świata, Polak i łgarz było zwyczajnym synonimem. Nie warto pracować tak usilnie fałszem, aby słowom i określeniom polskim nie chciano nigdzie dawać wiary. Na nasz czyn legjonowy narzucono niewiadomo dlaczego tyle śmieci, tyle brudu i tyle kłamstwa, tylu ludzi pragnęło być *auch ein wenig* legjonistami, jakgdyby chciano ciągle i da-

lej stwierdzać, że byłoby najlepiej dla Polski, gdyby w niej nie było ani jednego wyjątku i wszyscy Polacy w chwili, gdy godzina dla nas na dziejowym zegarze biła, poddali się bez zastrzeżeń woli, nakazowi, żądaniom i nawet kaprysom swoich zaborców. Czyż nie dosyć tej dziwnej namiętności do poszanowania czasów niewoli — niewoli, upokarzającej Polaków i Polskę?

IV.

LIST DO REDAKTORA „POLSKI ZBROJNEJ“

(25 sierpnia 1924).

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze pisma Pańskiego z dnia 24 sierpnia ukazała się oficjalna enuncjacja, powtórzona i w innych pismach, związana w swej treści z moją osobą.

Wobec tego, że enuncjacja ta została wydrukowana bez jakiegokolwiek z mej strony udziału i bez powiadomienia mnie o tem, musiały się zjawić w tem ogłoszeniu niedokładności, niekiedy przykre dla mnie, co mnie zmusza do prośby umieszczenia następującego sprostowania.

Po pierwsze — po swojem wystąpieniu z wojska w połowie zeszłego roku, jedyną propozycją powrotu do służby państwowej w wojsku, którą otrzymałem, była propozycja nie czyja inna, jak generała dywizji Kazimierza Sosnkowskiego, ministra spraw wojskowych, w końcu ubiegłego roku. Zgodnie z moim poglądem postawiłem mu warunki, które poza krótkiemi rozmowami z nim samym były przedmiotem rozpraw, toczonych ze mną z kilku członkami gabinetu pana Władysława Grabskiego w Belwederze. Zastrzegam, że mowy tam nie było ani o generalnym inspektorze armji, ani o jakichkolwiek jego funkcjach. Odpowiedź odmowną na moje warunki ze względów politycznych otrzymałem od pana premjera Władysława Grabskiego przez pana ministra Miklaszewskiego, który w tym celu przybył do mnie do Sulejówka. Wszystkie więc inne określenia w enuncjacji, związane z wymienioną propozycją, nie są zgodne z prawdą.

Po drugie — czuję się w obowiązku zaznaczyć dla uniknięcia nieporozumień, które mogą być wywołane treścią dalszą enuncjacji, że pan generał dywizji Sikorski, obecnie minister spraw wojskowych, wkrótce po objęciu przez siebie urzędu przysłał do mnie swój projekt organizacji najwyższych władz wojskowych z prośbą o moją ocenę i opinję co do tego projektu. Przesłałem panu ministrowi zgodnie z jego prośbą tę ocenę.

Ogólna treść opinji mojej była: projekt, zdaniem mojem, nie daje się zastosować w naszych warunkach, a samo sformułowanie funkcyj trzech głównych osób — ministra spraw wojskowych, szefa sztabu i generalnego inspektora jest o tyle niejasnem i nieodpowiadającem wymogom pracy wojskowej, według mego zrozumienia, że nic oprócz stałych tarć i sporów wyniknąć z tego nie może.

Czy projekt ten i w jakim stopniu został przez kogokolwiek zmieniony i w jakiej formie został do sejmu wniesiony — nie wiem, gdyż nikt mnie o tem nie powiadamiał, dlatego też powstrzymuję się od wypowiadania jakiegokolwiek o nim sądu. Nie sądzę jednak *a priori*, znając dotychczasowe próby ustalenia organizacji najwyższych władz wojskowych, abym mógł na podstawie tych prób, w dodatku czynionych beze mnie, przypuszczać, by te próby odpowiadały moim poglądom, gdy dotąd spotykałem prawie zawsze sprzeciw w tej właśnie sprawie.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie, zapewnienie wysokiego szacunku, z jakim pozostaję.

J. Piłsudski.

Sulejówek, 25 sierpnia 1924 roku.

V.

PŁYTY GRAMOFONOWE

(5 września 1924).

I.

Szanowne panie i szanowni panowie! Człowiek jakoby ujarzmia żywioły. Żywioły, nie jego ręką wytworzone na naszym padole płaczu. Żywiołów tych dawniej liczono zaledwie kilka, a liczba ich rośnie prawie z roku na rok. Zaprzęga je człowiek do roboty, jak jakie woły robocze. Woda więc obraca koło, słońce ogrzewa pola i elektryczność pracuje we wszystkich kierunkach. Ogień daje ciepło. Woły robocze czyni z elementów człowiek. I dumny jest z tego, że dzieło nie swoje opanował i zmusił do niewolniczej roboty dla swojej jedynie wygody.

Dumny jest z tego, lecz czyż ma dostateczne do tego zasady? Czyż nie spostrzega, że żywioł, będący w codziennej robocie, i klęski zadawać mu może? Rozszalałe powodzie, słońca pożogi, spalające pola, ogień, niszczący miasta i wioski, pioruny, z nieba bijące, zarazki powietrza, trzęsienia ziemi — czyż nie są dostatecznym powodem do większej skromności człowieka w stosunku do żywiołów?

A jednak jest żywioł nie boski, lecz ludzki i może dlatego człowiek tak mało go szanuje. Żywiołem tym jest praca, praca ludzkich mózgów, praca ludzkich serc i praca ludzkich mięśni.

Dzieje ludzkie, w całych tysiącleciach, wszystko to, co nazywamy kulturą, są właściwie prze-

tworem tego ludzkiego żywiołu, człowieczej pracy. A człowiek zamiast być dumnym z opanowania tego, co może opanować, chce być dumnym z opanowania żywiołu nie swego, żywiołu boskiego. Specjalnie człowiek nie chce szanować największej potęgi swego żywiołu: pracy zbiorowej, chociaż ta właśnie największe cuda tworzy. Zdaniem mojem, zasadniczym postulatem stosunków jest zawsze umowa i lojalne tej umowy dotrzymanie. Umowa polega na warunkach, które wzajemnie umawiający się stawiają i które umową się stają: i czy stróż, zamiatający ulicę, czy minister, rządzący krajem, czy stolarz, obracający heblem, czy profesor, wykładający w wyższej szkole, dla wspólnej pracy z innymi warunki stawia, warunki przyjmuje.

I gdybyż wzajemnie lojalnie je dotrzymywano, jakżeby inaczej życie wyglądało!

Drugim podstawowym postulatem jest szacunek dla instrumentu pracy. Instrument bowiem nie szanowany kaleką, lub efektu nie daje.

Wobec tego, że mam przed sobą instrument pracy, z maszyny i żywego człowieka złożony, będę go lojalnie szanował.

Warunkiem umownej pracy jest czas, który już mi mówi — dość!...

II.

Stoję przed jakąś dziwaczną trąbą i myślę, że głos mój ma się oddzielić ode mnie i pójść gdzieś w świat beze mnie, jego właściciela. Zabawne pomysły mają ludzie! Doprawdy, trudno się nie śmiać z tej dziwnej sytuacji, w której nagle głos pana Piłsudskiego się znajdzie. Wyobrażam sobie tę zabawną chwilę, gdy jakiś ananas korbą nakręci, śrubkę naciśnie — i jakaś trąba zamiast mnie gadać zacznie. Ciekawe! Chciałbym widzieć wtedy zebrane dzieci, do których trąba ludzkim głosem gada. A gdy pomyślę, że wśród tych dzieci nagle znaleźć się mogą moje własne, które napewno pomyślą, że tatuś z niemi gdzieś za trąbą w chowanego się bawi, pusty śmiech mnie bierze, że ten biedny mój głos, ode mnie oddzielony, przestał nagle być moją własnością, że należy już nie wiem do kogo, nie wiem do czego: do trąby, czy do jakiegoś akcyjnego towarzystwa. Najzabawniejsza jest jednak myśl, że kiedy mnie już nie będzie, głos pana Piłsudskiego sprzedawanym będzie za trzy grosze, gdzieś na jarmarkach, prawie na funty, jak pierniki, prawie na łuty, jak jakie cukierki.

Powiadają, że to jest uwiecznienie. Gdy więc moja pusta myśl łączy tę trąbę z wiecznością, chciałbym zastrzec, by głos ten jedną piękną prawdę krzyczał: prawdę o śmiechu.

Żywiołem szczęścia jest śmiech. A im bardziej jest pustym i szczerym, im bardziej nazywamy go dziecinnym, tem więcej jest w nim szczęścia, tem więcej jest w nim nieba na ziemi.

Umiałem, jak dobry żołnierz, śmiać się wesoło, gdy życiu niebezpieczeństwo groziło.

I gdy przed tą maszynką stoję, wciąż mnie jedna myśl prześladuje, bym mógł uwiecznić nie głos, lecz śmiech.

Śmiać się na zamówienie nie umiem. lecz powiem panom jedną uwagę z powodu śmiechu.

Witaliśmy Polskę odrodzoną nie dźwięcznym śmiechem odrodzenia, lecz jakimś kwasem śledzienników i jakąś zgryźliwością ludzi o chorych żołądkach. Więc głosem z trąby błagam: matki i ojcowie, gdy sami śmiać się nie możecie. w kąt rzućcie instrumenty pedagogiczne, gdy wesoły srebrny dzwonek śmiechu roześmianych buziaków dziecinnych w waszych domach się rozlega. Niech się śmieją polskie dzieci śmiechem odrodzenia, gdy wy tego nie umiecie! A gdy wam teraz do śmiechu już usta się układają, śmiejcie się dowoli, gdy ja z tej trąby was żegnam pustym, dziecinnym, żołnierskim śmiechem i słowem: dowidzenia!... 5.IX.1924.

VI.

DEDYKACJE NA KSIĄŻCE „ROK 1920"

(4 października 1924).

WALEREMU SŁAWKOWI.

Kochany Gustawie! Jeszcze wczoraj widziałem twe rozdrażnione na mnie oczy i myślałem, ileż to razy mieliśmy na siebie w życiu rozdrażnione oczy. Jesteśmy jak dwa stare niezmęczalne konie, co chodząc często jakiemiś wertepami osobno, spotykają się na prostym gościńcu swego życia raz po raz, by się przywitać wesoło i stanąć razem do ciągnięcia tej samej bryki.

Ciągnęliśmy dawniej razem kałamaszki i bryczułki, ciągnęliśmy i ciężkie ładowne często błotem bryki — znane, stare, niezmęczalne konie!

Śmieszne, co?! Na gwiazdkę, mój drogi, przyjmij wraz z książką przyjaciela przyjaźń i serca całej rodziny.

J. Piłsudski.

Sulejówek, 24 grudnia 1924 roku.

ALEKSANDROWI PRYSTOROWI.

Kochany Olku! Nie dla starej przyjaźni, lecz dla honoru służby ze mną, Kolego, ofiarowuję Ci tę książkę, pierwszy płód mózgu, pracującego nad prawdą o wojnie i pierwszych dniach Polski. Byłem tam Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem. W tych zawiłych, a tak brudnych, tak wściekle brudnych stosunkach wojna na chłodny rozum musiała być przegrana. Mówiłem to sobie tysiące razy, gdym objektywnie i chłodno szanse swoje i Polski rozważał. Rok kryzysu, 1920 rok, prawie to udowodnił, prawie pokazał, gdzieśmy właściwie stali ze swym rodzimym brudem i brakiem honoru służby, a z nadmiarem hańby służby sobie tylko lub jedynie jakimś brudnym obliczeniom na rzecz mafji tej czy innej, szukającej jakąś bandycką drogą zysku i władzy.

W tych warunkach okręt państwa w stanie wojny często podlega katastrofom i bez masztów i żagli jest właściwie rozbitkiem, oddanym prawie na łaskę fal i wiatru. I wtedy wszystko zależy od kapitana-sternika, jego woli, jego nerwów i jego serca. Załoga czy pasażerowie albo są balastem i przeszkodą, albo pomocą. Wśród załogi naszego okrętu byłem tym kapitanem-sternikiem, a w niej miałem zaledwie kilku ludzi, których przy analizie nazywam *équipe de la volonté du chef* — zaledwie

kilku! Kilku tylko ufałem bezgranicznie, że ani mnie i moich tajemnic nie sprzedadzą dla zysku i władzy, ani przyczynią się do osłabienia woli czy nerwów, ani wreszcie swoją niedostatecznie udolną pracą nie wywołają z mojej strony nadmiaru pracy i nadmiaru nerwowego wysiłku. Broniłeś mej woli. Kochany Kolego, wszędzie i zawsze, z zupełnem zapomnieniem o sobie, dla dzieła zwycięstwa, stawałeś wszędzie, gdzie Cię posłałem, znosząc wszystkie ciężary moralne, które na Cię spadały, bez skargi i szemrania, tak, jak znosisz, niestety, i teraz często następstwa Twej honorowej służby.

Z wdzięcznem sercem posyłam Ci swoją pracę, prosząc Cię przyjąć jako upominek i chęć serdecznej z Twej strony pamięci o człowieku, który, patrząc na brudy i zdrady polskie, szukał w ręku bata, mogąc go mieć, najczęściej wtedy, gdy brud i zdrada dotykały zbrodniczą ręką nie mnie, lecz Was, tej *équipe de la volonté du chef* podczas burzy i żeglowania bez masztów i żagli po rozszalałem morzu.

J. Piłsudski.

Sulejówek, 6 stycznia 1925 roku.

BOLESŁAWOWI
WIENIAWIE-DŁUGOSZOWSKIEMU.

Kochany Wieniawo! Szaleńcze, co uzdę starasz się nakładać sam sobie, nie dla starej przyjaźni, lecz dla honoru służby ze mną, Kolego, ofiarowuję Wam tę książkę, pierwszy płód mózgu, pracującego nad prawdą o wojnie i pierwszych dniach Polski. Byłem tam Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem. W tych zawiłych, a tak brudnych, tak wściekle brudnych stosunkach wojna na chłodny rozum musiała być przegrana. Mówiłem to sobie tysiąc razy, gdym objektywnie i chłodno szanse Polski i swoje rozważał. Rok kryzysu, rok 1920, prawie to udowodnił, prawie pokazał, gdzieśmy właściwie stali ze swym rodzimym brudem i brakiem honoru służby, a z nadmiarem hańby służby sobie tylko lub jedynie jakimś brudnym, sprzedajnym często mafjom, szukającym często bandycką drogą zysku i władzy.

W tych warunkach okręt państwa, będącego w stanie wojny, często podlega katastrofom i bez masztów i żagli jest właściwie rozbitkiem, oddanym na łaskę fal i wiatru. I wtedy wszystko zależy od kapitana-sternika, jego woli, jego nerwów i jego serca. Załoga czy pasażerowie albo są wtedy balastem i przeszkodą, albo pomocą. Wśród załogi byłem tym kapitanem-sternikiem, a w niej

miałem zaledwie kilku ludzi, których przy analizie nazywam *équipe de la volonté du chef* — zaledwie kilku! Kilku tylko ufałem bezgranicznie, że oni mnie ani moich tajemnic nie sprzedadzą wolnie czy bezwiednie, ani przyczynią się do osłabienia woli czy nerwów, ani wreszcie swoją niedostatecznie udolną pracą nie wywołają z mojej strony nadmiaru pracy i nadmiaru nerwowego wysiłku. Broniliście wtedy mej woli, kochany Kolego, wszędzie i zawsze z zupełnem zapomnieniem o sobie dla dzieła zwycięstwa i stawaliście wszędzie, gdzie Was posłałem, znosząc wszystkie ciężary moralne, które na Was spadały, bez skargi i szemrania, tak, jak teraz znosicie, niestety i teraz często, następstwa tej honorowej służby.

Z wdzięcznem sercem posyłam Wam swoją pracę, prosząc Was przyjąć jako upominek i chęć serdecznej z Waszej strony pamięci o człowieku, który, patrząc na brudy i zdrady polskie, szukał w ręku bata, mogąc go mieć, najczęściej wtedy, gdy brud i zdrada dotykały zbrodniczą ręką nie mnie, lecz Was, tej *équipe de la volonté du chef* podczas burzy i żeglowania bez masztów i żagli po rozszalałem morzu.

J. Piłsudski.

Sulejówek, 6 stycznia 1925 roku.

TADEUSZOWI PISKOROWI.

Kochany Generale!

Pisząc tę książkę, nieraz myślałem o najbliższej pomocy w mojem dowodzeniu podczas wojny. Jeżeli teraz jeszcze mogą być spory, mogą być projekty, związane z jakąś upartą myślą możliwego skrępowania Naczelnego Wodza przez jego najbliższych pomocników podczas wojny, to kilka lat temu stanowiły one treść życia Polski i treść życia wojny polsko-rosyjskiej z naszej strony. Praca przeciw Naczelnemu Wodzowi, stałe jego oszukiwanie, by był możliwie bezbronnym wobec swych podwładnych, było prawem życia pomocy w dowodzeniu, w sztabie. Dla tego też w chwilach swojej pracy musiałem być bardziej samotny, niż to bywa przeciętnie z naczelnymi wodzami na wojnie, i nie znam wojny tak oryginalnie obrzydliwej, jak nasza. Tem większą wdzięczność i serdeczną pamięć czuję wobec tych, którzy postępowali w pomocy dowodzenia odwrotnie, którzy zamiast osłabienia dowodzenia naczelnego i pomagania w ten sposób nieprzyjacielowi wzmacniali je bezinteresownie, dając w ten sposób oparcie w chwilach wątpliwości i słabości i odetchnięcie w chwilach kryzysu. Nazywam tych kilku ludzi *équipe de la volonté du chef*. Ekwipaż okrętu na burzliwych falach, gdy tylko wytężona uwaga i siła i pewność

ramienia i głowy kapitana ratuje okręt. Byliście, Generale, jednym z tych, którzy mnie wsparli, którzy do tej *équipe* należeli. Przyjmijcie więc tę książkę ode mnie z tą żywą pamięcią o mnie, jaką dla Was zachowuję.

J. Piłsudski.

Sulejówek, 9 lutego 1925 roku.

JULJANOWI STACHIEWICZOWI.

Kochany Stachie-Wiczu, drogi Generale!

Współpracownikiem mi byłeś i przy ciężkiej pracy wojennej, jak i przy żmudnej pracy zebrania materjałów i wydania *Roku 1920.*

Gdy o tym roku wspominam, jak o zwycięstwa dobie, nie mogę zapomnieć ciężaru duszy i pewnego obrzydzenia, jakie mi pozostały w pamięci z powodu braku istotnej uczciwej pomocy, jaka była udziałem moim, ówczesnego Naczelnego Wodza Polski. Wydawało mi się niekiedy, że byłem tak często i tak chętnie zdradzany na prawo i lewo przez plotki, opowiadania, kłamstwa i oszczerstwa, że często nie mogłem nie myśleć, że robiono to rozmyślnie, aby oddać i mnie, i Polskę nieprzyjacielowi dla pokrycia nadużyć, których było bez liku. I wtedy strzec się musiałem tak bardzo, że nerwy nawet tak mocne, jak moje, były zbyt często szarpane i naprężone do najwyższych rozmiarów. Stałeś zawsze, Generale, z kilku innymi na straży nerwów i duszy swego wodza, jak wierny przyjaciel, jak dobry żołnierz i rozumny sztabowiec, jak wierna straż *de la volonté du chef,* rozumiejąc, że ta wola jest dobrem i siłą armji i jej zbawieniem

w burzy klęsk i porażek. Dzięki Ci za to, Generale. Przyjm więc jako słaby upominek wdzięczności mojej i serdecznej przyjaźni ku Tobie.

J. Piłsudski.

Sulejówek, 12 sierpnia 1925 roku.

VII.

WPŁYW WSCHODU i ZACHODU NA POLSKĘ W EPOCE 1863 ROKU

(październik 1924).

WYKŁAD I.

(27 października 1924).

Szanowne panie i szanowni panowie! Chciałbym we wstępie do moich wykładów wyrazić słowa podziękowania i głębokiej wdzięczności dla Senatu Uniwersytetu w Wilnie. Było jednem z marzeń mojego życia, gdy czas na ich snucie miałem, a więc czy to w więzieniu, czy w wolnych od pracy chwilach, by móc w Polsce mówić publicznie i spokojnie o wypadkach 1863 roku. Będąc dzieckiem tej epoki, w której o Polskę walczono, czułem zawsze tę głęboką niesprawiedliwość, jaką pokolenie nasze robiło pracy dziejowej ludzi 1863 roku. Zdawało mi się, że wstyd mnie spali, że nie będę mógł przeżyć tej boleści wewnętrznej, jeżeli nie będę mógł kiedykolwiek, gdziekolwiek w Polsce mówić publicznie o 1863 roku. Dlatego też dzisiaj, gdy tutaj w Wilnie, gdzie niegdyś karano mnie za używanie polskiego języka, mogę o tej karcie naszej historji opowiadać i realizować w ten sposób moje marzenia, wyrażam serdeczną wdzięczność Senatowi Uniwersytetu za to ułatwienie mi ziszczenia moich marzeń.

Szanowne panie i szanowni panowie! Tytuł moich wykładów jest: *Wpływ Wschodu i Zachodu na Polskę w epoce 1863 roku.* Wybrałem ten temat, bo wydawało mi się, że w dziejach 1863 roku ta właśnie strona jest za mało i pod mylnym kątem widziana. Ograniczę się rozważaniem początku

powstania. Na szersze traktowanie przedmiotu nie pozwala mi ani czas, którym rozporządzam, ani nawet zakres mych prac, jakie temu okresowi historji poświęciłem w mojem życiu.

Jeżeli, moi panowie, mówimy o jakiejś epoce, o pracy ludzi, żyjących w danym czasie, musimy zawsze sądzić o nich nie z punktu widzenia naszych własnych dzisiejszych przeżyć, lecz brać ludzi takich, jakimi oni wtedy byli. Stąd konieczność uwzględniania tła epoki i życia kulturalnego w tym czasie, gdy u nas powstanie wybuchło.

Jesteśmy w stanie znać dziś znacznie dokładniej, niż owi ludzie, którzy powstanie robili, fakty historyczne, które przed niem i po niem nastąpiły, możemy skontrolować pewne wypadki, które dla współczesnych jeszcze zakrytemi były. Epoka 1863 roku była czasem najrozmaitszych zmian w całym prawie świecie. Na Zachodzie wtedy różne rzeczy nowe się rodziły, a stare umierały. Epoka ta była dalszym ciągiem tej dziwnej godziny dziejowej, która w 1848 roku burzą przeszła przez całą Europę, by zatrzymać się u ściany państwa rosyjskiego. Prądy oswobodzicielskie i ruchy wolnościowe przepływały wtedy przez wszystkie kraje Europy, wywołując w nich olbrzymie zmiany historyczne.

Dalszym ciągiem roku 1848 było wytworzenie cesarstwa francuskiego. Niegdyś wielka rewolucja francuska, zmęczona wewnętrznemi walkami, złożyła jakgdyby na barki jednego człowieka swoje całe dziedzictwo, dając możność Napoleonowi Wielkiemu na ostrzach bagnetów swoich grenadjerów przejść przez Europę całą, nieść jej nowe prawa, nowe instytucje, nowe myśli i łamać stare. Teraz również przez taki sam zamach stanu, jakiego 18 *brumaire'a* dokonał Napoleon I, dostał człowiek

z tej samej dynastji, Napoleon III, takie same dziedzictwo, którego Francja sama, zmęczona wewnętrznemi walkami, wypełnić nie zdołała. Napoleon III miał więc za sobą rewolucję 1848 roku i jej wymagania. Jej hasłem było oswobodzenie i zjednoczenie narodów i powołanie ich do życia samodzielnego.

Niedługo przed powstaniem, w roku 1859, wojska francuskie odniosły zwycięstwo nad wojskiem austrjackiem, dając życie nowemu państwu, państwu włoskiemu. Zjednoczenie Włoch poprzedziło tuż epokę 1863 roku. Te wypadki włoskie, którym towarzyszył zapał ówczesnego światka włoskiego, ówczesnego światka francuskiego, były oświetleniem, że tak powiem, tej epoki i dla Polski. Rok 1848 i jego dziedzictwo w postaci cesarstwa francuskiego miał trzy narody w Europie, które nie były oswobodzone, nie miały pełnego państwowego życia, nie były zjednoczone. Były niemi Włochy, Niemcy i byli niemi Polacy. Świeżo żyjące więc w pamięci wypadki, jak niedawna wojna austrjacko-francuska, świetne przejawy działalności i zwycięstwa włoskich patrjotów i spiskowców, pod kierownictwem rewolucjonisty Mazziniego i wielkiego potężnego ich wodza Garibaldiego, dawały Polsce nadzieję i podnietę. Obok, w sąsiednich Niemczech, działy się rzeczy zgodne jeszcze z tradycją 1848 roku. Rozpoczynała się więc wojna o zjednoczenie Niemiec, wojna słuszna czy niesłuszna — nie chcę tu wchodzić, faktem jest jednak, że wojska małych państewek niemieckich w połączeniu z Prusami i Austrją rozpoczęły wojnę nie o co innego, jak o przyłączenie kawałka ziemi, którą uważano za niemiecką. Mówię o wojnie duńskiej. Była to epoka, w której 1848 rok ze wszystkiemi swoje-

mi hasłami jeszcze silnie działał, a Francja, na ich rzecz rzucająca wówczas całą swą potęgę, dawała nadzieję, że te hasła będą zwycięskiemi i w innych ziemiach, nietylko we Włoszech.

Zaczynała się, coprawda, i inna epoka. Rok 1863 stoi bowiem jakgdyby na rubieży zmian wielkich, potężnych, które my, nasze pokolenie, przeżywało nieraz bardzo boleśnie. Niedalekim był rok 1866, gdy zwycięstwo Prus zmieniło postać Rzeszy Niemieckiej. Niedaleki był rok 1870, kiedy Prusy w połączeniu z resztą Niemiec zwyciężyły Francję. Ci sami ludzie, którzy walczyli w 1863 roku w Polsce, walczyli w siedem lat później jeszcze przeciwko Niemcom we Francji. Następowała epoka, tak nam już znana, epoka rozwoju państwa niemieckiego pod względem techniki i kultury materjalnej, państwa, dążącego temi środkami do przewagi i panowania nad światem. Była to więc wielka epoka, gdy na Zachodzie rodziła się nowa Europa, nam tak dobrze znana, gdy jeszcze nie umarła stara. Zorza wieczorna dla jednych prądów i dla jednych myśli mieszała się z zapowiedzią zorzy porannej nowego świata, a złudzenia świetlne łączyły jedną zorzę z drugą, jako zorzę wspólną, jako zorzę wschodzącego słońca.

Był, proszę panów, wpływ olbrzymi, wpływ ogromny na Polskę tej epoki, którą przeżywał Zachód. Całe mnóstwo ówczesnych Polaków brało jeszcze udział w walkach włoskich Garibaldiego, brało udział jako czynni tych ruchów działacze. Wystarczy wspomnieć nazwisko Langiewicza, który przeszedł kampanję włoską, jako oficer Garibaldiego. Dużo Polaków brało wówczas udział we wszystkich spiskach, które sięgały aż do dworu w Tuilleries, do dworu Napoleona III. Najbliższy

kuzyn Napoleona III, jego brat stryjeczny, brał w nich udział, a Napoleon III, który niegdyś przed swoim zamachem stanu był również członkiem tych sprzysiężeń, bał się jeszcze ich siły.

Nie można lekceważyć tego olbrzymiego wpływu epoki 1848 roku, która zatrzymała się w swoich reformatorskich dążeniach na ścianie zachodniej państwa rosyjskiego. Wywierały one bowiem wpływ na całą Europę, wywierały one wpływ na każdy z narodów. Pociągały one lub odpychały, wywołując takie lub inne zjawiska historyczne.

Innym był wpływ Wschodu. Niedawno Mikołaj I przegrał wielki pojedynek z całym światem. W krymskiej kampanji Rosja została rozbita, wojnę przegrała i wielki przedstawiciel Wschodu, a zarazem wielki dla całego świata przedstawiciel legitymizmu, Mikołaj I, umarł, nie mogąc przeżyć wstydu i hańby. W Rosji nastąpiła nowa epoka, epoka wielkich zmian podczas panowania Aleksandra II.

Reformy, które w owych czasach robiono, sięgały głęboko w podstawy państwa rosyjskiego. Reformy te szły jedna za drugą, szły w jakiemś piorunującem tempie, w tempie, które oszałamiało ludzi, które nie pozwalało przyzwyczaić się do jednej chwili, gdy nazajutrz już ta chwila była prześcignięta. Szły reformy sądownictwa, zmieniające je do gruntu, robiące próby prześcignięcia wzorów europejskich, szły reformy administracji, reformy samorządu, reformy we wszystkich kierunkach życia ludzkiego. Wreszcie rzucono najcięższą, największą reformę, zmieniającą w zupełności strukturę życia ówczesnego: uwłaszczenie włościan; zrobiono z włościan ludzi, gdy dotychczas państwo rosyjskie uważało ich za niewolni-

ków. Bowiem inaczej, jak niewolnictwem, nazwać nie można było tego, że każdy z uprzywilejowanych, który posiadał *dusze*, mógł oddzielić matkę od córki i sprzedać za pieniądze matkę gdzieindziej, a córkę gdzieindziej, i mógł wyrwać syna od rodziny, aby go sprzedać w innej stronie. Uwłaszczenie włościan uwolniło nagle całe mnóstwo ludzi od tego niewolnictwa. Ustrój całego życia rosyjskiego pękał w ogniu tych reform, które szły jedna za drugą w błyskotliwie szybkiem tempie. Zdawało się, że Aleksander II wraz ze swoimi współpracownikami chciał się oswobodzić od wrażenia klęski starego świata Mikołaja I, klęski, poniesionej na polach krymskich, i dążył do tego, by jak najszybciej zbliżyć Rosję do Europy. Te prądy liberalne wówczas, jak i długo jeszcze potem, nosiły nazwę ruchu *zapadnikow*. Przyznawano się do tego więc otwarcie, że chciano starą Rosję zmienić na sposób europejski, na sposób zachodni i zbliżyć ją pod względem struktury, pod względem życia codziennego do Zachodu.

Szanowni panowie! Dla przerobienia takich reform w szybkiem tempie potrzebni są nowi ludzie, nowi tak zwani *aparatczyki*, to znaczy ludzie, zdatni do stworzenia nowego aparatu państwowego, którzyby potrafili to zrobić i przeprowadzić. Musiano się liczyć i z innem zjawiskiem, ze zjawiskiem oporu, który stawiali dawni *aparatczyki*. Musiano obawiać się ze strony ludzi dawnych czasów sabotowania nowej pracy państwowej, przeciwdziałania ze strony tych, których w dzisiejszej Rosji nazywa się *sabotażnikami*. Gwałtowne wprowadzenie reform musiało w Rosji wywołać okropne tarcia wewnętrzne, gdy życie wielu ludzi wywracało się najzupełniej. Nowa epoka wysunęła jakichś no-

wych ludzi, których według dawniejszych pojęć trzeba było właściwie do więzienia zamykać. Ludzie ci stawali u władzy, u władzy nad tymi, którzy tak niedawno jeszcze ich zamykali, trzymali w więzieniach, wysyłali na Syberję.

Ten nagły przewrót, ten nagły skok w przepaść jednych straszył, drugich podniecał. Dlatego też państwo rosyjskie przeżywało w owym czasie epokę ogromnych zmian, głęboko sięgających w ustrój państwa. Życie w niem zbliżyło się pod względem tendencyj ogólnych do tego samego okresu, który charakteryzował się na Zachodzie jako okres oswabadzający, jako okres 1848 roku, który posiadał swoje wpływy państwowe we Francji, który miał świeżą pamięć zwycięstwa swojego na polach włoskich pod Solferino i świeżą budowę nowego państwa na zasadach roku 1848.

Gdy więc mówimy o ówczesnej epoce, w której nasi ojcowie niegdyś krwawe boje zaczęli staczać, musimy pamiętać zawsze o tym głębokim wpływie, jaki ona wywierała i na Polskę. Musimy mieć na uwadze, że ówczesne prądy tak Zachodu, jak i Wschodu, szły w tym samym kierunku, szły w kierunku oswobodzenia, w kierunku budowy państwa narodowego, tak, jak tego chciały ówczesne hasła liberalne.

Szanowne panie i szanowni panowie! Zarysowałem w ogólnych zarysach ówczesną epokę i mam zawsze poczucie dumy, gdy mówię, że rok 1863 stał w najściślejszym związku z ówczesnemi prądami Europy i że w tem samem tempie on pracował, co świat cały. Nie można wyrywać roku 1863 z całej historji świata cywilizowanego, robić go jakimś zaściankiem, przy którym się wkłada żałobne welony i na który patrzy się przez łzawe

szkiełka. Rok 1863 był rokiem takiej samej pracy dziejowej, jaka dokonywała się w owej epoce wszędzie: we Francji, w Anglji, we Włoszech, w Niemczech i w Rosji. Wyodrębniać roku 1863 z tego ówczesnego światowego prądu nie powinien żaden historyk, który chce siebie szanować.

Niech mi wolno będzie powiedzieć kilka słów o historji. Historja każda opiera się na źródłach, szuka w nich oświetlenia objektu swojej pracy. Nie można, ściśle mówiąc, nazwać historykiem człowieka, który swoje własne lub życie swoich współczesnych opisuje. Praca jego może być tylko źródłem dla właściwej historji późniejszej. Dlatego przed każdym historykiem staje jako konieczność wejście w epokę, zżycie się z ludźmi, którzy ją robili, którzy byli wówczas czynnikiem historycznym. Jest mus zetknąć się z ludźmi, o pracy których się sądzi, z ludźmi, których się opisuje, z ludźmi, których się krytykuje. Historyk musi umieć przez poznanie źródeł stanąć w parze z tymi ludźmi, których nie zna, których nie widzi, których pracy bezpośrednio nie obserwuje. Gdy już wejdzie on w pracę tych ludzi, wtedy wolno mu wybierać tak, jak robili ci, którzy w badanym przez niego czasie żyli całą pełnią życia, wolno mu wybierać, kogo ma potępić, a kogo uznać, bo on razem z nimi przeżył tę część życia, razem z nimi współpracował.

Obszerne dzieje 1863 roku mają tylko kilka dzieł historycznych, jeżeli pominiemy wszystkie wspomnienia i ich zbiory, jako mające charakter źródeł, i pominiemy dzieła tych, którzy sami, jak Koźmian lub Bolesław Limanowski, byli uczestnikami 1863 roku, gdyż oni właściwie nie mogą sobie rościć pretensji do miana historyków.

Przez długi okres czasu trudnym był wogóle dostęp do źródeł 1863 roku, a tem samem niemożliwe było ich zebranie. Skorzystali z tego ci, którzy mieli dostęp do pewnych materjałów, a więc niektórzy historycy rosyjscy, jak: Berg, Pawliszczew i inni. Z polskich dzieł najbardziej znanemi i rozpowszechnionemi są prace pana Walerego Przyborowskiego, operujące wielką ilością faktów, dat i nazwisk. Do jego dziesięciotomowej historji nie można jednak nie odnosić się z wielką ostrożnością. Ma ona specjalny układ, specjalny swój sposób pisania i specjalną metodę wykorzystywania materjałów. Głównem źródłem, na którem tak pan Przyborowski, jak i wspomniani historycy się opierają, są cztery tomy zeznań, napisane podczas śledztwa przez Oskara Awejde. Należał on zarówno do Centralnego Komitetu Narodowego, przygotowującego powstanie, jak i do Rządu Narodowego. Awejde po aresztowaniu w Wilnie zaczął, mówiąc językiem technicznym, „sypać" i „sypał" bardzo dużo, bo napisał aż cztery tomy. Do Oskara Awejde przyłączył się mniej płodny w celach więziennych pisarz, Karol Majewski, który tak samo był członkiem Rządu Narodowego i Centralnego Komitetu, a który jest autorem dopisków do czterech tomów Oskara Awejde.

Moi panowie! Pan Walery Przyborowski odnosi się do tych zeznań z zupełnem zaufaniem, uważając, że są one źródłem najszacowniejszem i najbardziej pewnem. Wszyscy inni uczestnicy powstania, którzy pozostawili mnóstwo wspomnień, mnóstwo swoich zapisków, dla niego prawie nie istnieją. Te źródła nie są dla pana Przyborowskiego miarodajne, oprócz pewnych autorów, którzy są dla niego faworytami. Natomiast Oskar Awejde jest to auto-

rytet i powaga. Moi panowie, siedziałem w więzieniach i byłem nieraz „sypany"; składano na mnie takie czy inne zeznania i znam, jaką wartość mają takie zapiski, w ten sposób zrobione.

Jednym z ludzi, najbardziej „zasypanych" zarówno przez pana Oskara Awejde, jak i przez innych, którzy w tym czasie „sypali", był Zygmunt Padlewski, którego można było uważać za naczelnego wodza powstania, gdyż on wydawał instrukcje i rozkazy przed wybuchem 22 stycznia. Padlewski był już wtedy rozstrzelany, gdy go „sypano". Wszyscy go ze spokojem „sypali", przypisując mu mnóstwo rzeczy, których on wcale nie robił, właśnie dlatego, że był on już rozstrzelany, a oszczędzano, naprzykład, Jarosława Dąbrowskiego, który nie został na śmierć skazany. Jest to względna uczciwość „sypiących", którzy kryją jednych, obciążając innych.

W takich zeznaniach śledczych znaczenie mają stosunki przyjaźni i powinowactwa, one oszczędzają niektórych, pomimo, że są oni bardziej winni od tych, których „sypano". Z historji mojej, jako spiskowca i jako rewolucjonisty, znam całe mnóstwo podobnych wypadków, które mnie samemu wydawały się śmiesznemi, o których mówiono, jako o rzeczach niewiarogodnych. Taką jest jednak psychika „sypiących". Opierać historję na zeznaniach ludzi nieszczęśliwych, którzy nie wytrzymali próby siły charakterów i którzy mnóstwo ludzi posyłali na szubienicę albo do ciężkich robót, na takich podstawach robić historję powstania jest rzeczą dość oryginalną. Trzeba mieć szacunek dla upodlenia, żeby z takich danych czerpać dane dla historji Polski.

Proszę panów! Wezmę przykład, który da wam próbkę stylu historycznego pana Przyborowskiego. Leży przede mną tom pierwszy jego *Dziejów 1863 roku*. — „Padlewski, jako naczelnik miasta, w głębi duszy pragnący powstania, trapiony niepokojem serca, zranionego nieprawą i pozbawioną nadziei miłością, liczący wiele na mniemany spisek oficerów, którzy mu obiecali wydać Modlin, nakazał"... to i to. Jest to dziwny sposób charakteryzowania człowieka. Niechybnie, proszę panów, miłość prawa czy nieprawa wpływa na człowieka. Ale zapytajcie historyka, dlaczego on w stosunku do strony polskiej, to znaczy do naczelnego wodza polskiego, używa tego motywu, którego nie używa nigdy w stosunku do Rosji? Dlaczego nie mówi on o wpływie historycznym kochanek Trepowa albo kochanek wielkiego księcia Konstantego? Dlaczego on zniesławia wodza polskiego i mówi o nieprawej jakiejś miłości, jakgdyby to właśnie miało charakteryzować działania Zygmunta Padlewskiego? Ten niesmaczny przysmaczek, który znajdziemy raz po raz w *Dziejach 1863 roku* Przyborowskiego sprawił, że choć praca ta stanowi narazie jedyny zbiór różnych danych, których gdzieindziej się nie znajdzie, — zawsze, gdy brałem tę książkę w ręce, odrzucałem ją z niesmakiem. Robi ona na mnie wrażenie roboty, opłacanej przez rosyjski rząd dlatego, by zohydzić powstanie 1863 roku.

W *Historji dwóch lat* tegoż samego autora znalazłem charakterystykę jednego z ludzi, którzy byli w Centralnym Komitecie Narodowym przed wybuchem powstania. Jest to mój znajomy, którego spotykałem na Syberji, z którym byłem w wielkiej przyjaźni — Bronisław Szwarce. Został on

ujęty przed samem powstaniem, bo w grudniu 1862 roku. Oto, jak pisze o nim pan Przyborowski: „Szwarce, wychowany we Francji, inżynier z fachu, był przy tem wszystkiem głową bardzo słabą, lekkomyślny i mało wyrobiony. W tym mózgu szalonym idee zachodnie, rewolucyjne, nieprawy związek zawarły z ideałami polskiemi i mrzonki reform socjalnych z myślą odbudowania Polski; istny groch z kapustą, który czynił ze Szwarcego osobistość bardzo niebezpieczną, bardzo zaślepioną i przez ciasnotę umysłu groźną dla kraju i jego przyszłości. Najrozumniejsze zdania, najoczywistsze dowody nie były go w stanie nigdy przekonać, że źle robi, że ojczyznę na współkę z jej wrogami na krzyżu rozpina, jeżeli w swej głowie zakutej, w swem zacietrzewieniu uznał, że właśnie to, co on wymyślił i postanowił, jest najlepsze i najrozumniejsze".

Nie chcąc mówić mojej opinji o Szwarcem, biorę dla porównania sąd o nim innego człowieka, znanego całej Polsce. Jest nim wielki pisarz polski Teodor Tomasz Jeż-Miłkowski, który znał prawie wszystkich członków ówczesnego Centralnego Komitetu Narodowego i który pozostawił w swoich zapiskach najrozmaitsze o nich sądy, sądy niekiedy bardzo krytyczne. Jako artysta, miał to wczucie w ludzkie charaktery, miał tę intuicję, tę umiejętność odróżniania jednego człowieka od drugiego. Oto są jego dane o Szwarcem: „Ufność największą wzbudzał we mnie Szwarce, obraz energji młodej, ciałem i duchem silny, odważny, bystro rzeczy umysłem obejmujący i umiejący w koniecznem kroczeniu ku wytkniętemu celowi ślepe miotanie się odróżnić od ruchu obmyślonego. Losy skrzywdziły nas, wydając go przed samym wybuchem

powstania Moskalom w ręce. Przekonany jestem, że jego w tym momencie i w ciągu walki obecność przyczyniłaby się była znacznie do uniknięcia niejednego błędu, niejednego kroku fałszywego".

Cytuję ten ustęp jedynie dlatego, ażeby wskazać na niebezpieczeństwo korzystania bezkrytycznego z prac pana Walerego Przyborowskiego, będących, jak dotąd, najobszerniejszą próbą historji 1863 roku.

Proszę panów! Pierwszym i głównym błędem historyków powstania 1863 roku jest absolutna ich jakaś niechęć do zrozumienia poprzedniego pokolenia, do zrozumienia jego epoki, stylu, że tak powiem, umysłowości, duszy ówczesnego pokolenia polskiego. Widzę wśród panów ludzi mego wieku. Odwołuję się do nich, jak oni styl pokolenia 1863 roku musieli odczuwać jeszcze w swojem dzieciństwie, jeszcze w swojej młodości. Styl ten był tak powszechny, tak silny, że rodzice nasi byli właśnie nim przejęci, byli dziećmi epoki 1863 roku. Bez uwzględnienia stylu tej epoki pozostaniemy nadal niesprawiedliwymi w swych sądach o 1863 roku.

Dla unaocznienia tego stylu biorę cytaty ze wspomnień Dubieckiego i Szwarcego. Pan Marjan Dubiecki jest człowiekiem jeszcze żyjącym. Pracował on dużo w powstaniu 1863 roku. Był człowiekiem o wielkiem umiarkowaniu i o niezwykłej, że tak powiem, łagodności. Dubiecki nie miał może tego temperamentu, nie miał może tej siły czy aktywności ducha, jaką miało wielu powstańców. Największe zasługi położył w okresie tak zwanej epoki Traugutta, w której pracował jako jego sekretarz, przekazujący rozkazy Rządu Narodowego do jego rozmaitych wydziałów. Przed powstaniem

brał udział w manifestacjach, za co został wysłany do północnych gubernij państwa rosyjskiego.

Biorę fragment z jego opisu wielkiej manifestacji, którą zrobiono na polach w Horodle. W dzisiejszej niepodległej Polsce o Horodle się zapomniało, natomiast w owych czasach pamięć dawnej Polski była daleko silniejszą i akt unji horodelskiej był niezwykle czczony. Urządzono manifestację wbrew zakazom rządu ówczesnego. Na polach horodelskich zebrało się mnóstwo ludzi, którym starano się udowodnić, że ziemie Rzeczypospolitej Polskiej pozostały nadal, jak ongi, złączone. Punktem kulminacyjnym uroczystości było usypanie małego kopca i postawienie na nim krzyża. Dokonano tego w obliczu artylerji i mnóstwa wojska rosyjskiego, ściągniętego dla przeszkodzenia tej manifestacji. Na pamiątkę tego aktu — jednej z wielkich manifestacyj ówczesnego pokolenia — stawiano potem w różnych miastach krzyże, podobne do tego, który był postawiony na polach w Horodle, za co wielu rząd carski aresztował wtedy i więził.

Oto fragment opisu przez Marjana Dubieckiego zjazdu horodelskiego:

„Gdy podczas podniesienia wyniosła postać kapłana Hostję uniosła ku górze i tak ją dłuższą chwilę trzymała — pieśń ust i piersi w przestworzach zamarła; śpiewały jeno wśród ogólnej ciszy — dusze owych tysięcy, a łkały serca.

Po mszy świętej były przemowy... Chwila wielkiej dziejowej przeszłości w początkach XV wieku i chwila ówczesna, na tychże polach Horodła święcona, dostarczały wspaniałych tematów dla mówców. Wrażenie przemówień było wielkie, gdy zaś jeden z mówców wezwał do podpisania manifestu, w którym oświadczono, że protestują przeciw roz-

darciu społeczeństwa, rzucono się tłumnie do podpisów.

Miano chwilowe złudzenie, że to, co zdziałały dziesiątki lat i moc niezmierna klęsk, — już nie istnieje. Szły zastępy po kilku lub bodaj samowtór czy samotrzeć do podpisu z różnych województw i ziem.

— My z Nowogródzkiego, — wołano — z Nowogródzkiego!... — i przeciskały się przez zwartą masę podlasiaków i sandomierzan promienne młodością, w kontusiki przybrane dziarskie postacie sąsiadów kolebki Mickiewicza.

— My ze Żmudzi!... — wołano z innej strony — i sunęli do podpisów Żmudzini.

— A ja z pod Gdańska, tu jestem!... — w tłumie wołał Tokarski, ziemianin z Pomorza, ówczesny poseł do sejmu pruskiego, i kładł swój podpis.

I tak szli z owej różnobarwnej masy, zalegającej ściernıska pól horodelskich, jednostki i grupy z ziem dalekich, oddawna rozjednanych, w których już zapomniano, z jakich to części ta prastara ich macierz się składała".

W opisie tym przebija sentymentalny styl ówczesnego pokolenia, styl, którym my dziś już tak swobodnie władać nie potrafimy. Gdy sobie przypomnę moich rodziców — ojca, matkę — to widzę, że oni i ci ludzie, opisani przez Dubieckiego, to jedno i to samo, to ten sam styl ówczesnej epoki.

Oto drugi obrazek. Marjan Dubiecki wyjeżdża ze swoim bratem do Wiatki. Oto scena, którą przeżywało ze wzruszeniem całe mnóstwo zesłańców. Jest zima i pana Marjana Dubieckiego wraz z bratem w kibitce uwożą w dal nieznaną. Dzieje się to w guberni mohylowskiej, nazywanej wówczas województwem mścisławskiem:

„W tym dniu wieczorem mieliśmy przekroczyć starą polską granicę z roku 1772. Było to w dniu Zaduszek. Wieczorem późnym rzeczywiście dotarliśmy do owej miedzy granicznej, prastarej, w rzeczywistości niczem nieoznaczonej, na mapach niezawsze teraz łatwej do odnalezienia, w pamięci ludzi wszakże żyjącej. Jechaliśmy... pędząc cwałem po równym, murowanym gościńcu. Wreszcie woźnica zwolnił biegu i w otwartem polu nagle konie wstrzymał... i, wskazując krótkim swym biczem na coś szarzejącego wśród śnieżycy, powiedział po białorusku: „To Polski granica". Podnieśliśmy głowy, szeroko rozwarły się oczy, a mocno zakołatały serca... Wpatrzywszy się pilniej w punkt, ku któremu woźnica rękę wyciągał, dostrzegliśmy jakiś słup niezbyt wyniosły, może w części śniegiem zasypany. — „To krzyż, na samej granicy on stoi"... — mówił pocztarz... Wysiedliśmy z bryki pocztowej, aby uchylić czoła przed ostatnim krzyżem przydrożnym, jaki spotyka wędrowiec, udający się na wschód, aby pożegnać ziemię, zroszoną krwią i potem ojców naszych, zoraną pługiem cywilizacji europejskiej. — „A stąd Rosja już się zaczyna?" — pytaliśmy pocztarza. — „Stąd, — rzekł, rzucając ręką przed siebie — stąd już „zabrany kraj" zaczyna się, ale jeszcze nie „Moskwa". — „Jakto „zabrany"? — dopytywałem się. — „Smoleńszczyzna, kraj od Polski kiedyś oderwany — tłumaczył mi zapytany".

Proszę panów! Jest to przykład stylu ówczesnego pokolenia, w którego duszy żyje i istnieje państwo polskie z jego dawnemi granicami.

A oto, co pisze Szwarce o sobie:

„Piszący te wspomnienia należał od samego początku do tej garstki, można powiedzieć, ultra-kon-

serwatywnej, dla której wszystko, co się stało od rozbioru, a nawet od Sasów, było nielegalnem, dla której cały obszar Rzeczypospolitej był wyłączną własnością ludów polskich i którzy zaznaczali tę konserwatywność na każdym kroku ubiorem, wieczną protestacją, wiecznem odwoływaniem się do republikańskiej przeszłości. Dla nas nawet Konstytucja 3 Maja, hasło ówczesnych czartoryszczyków, było reakcyjne, bo odstąpiło od konstytucji XVI wieku i od zasad Unji Lubelskiej".

Proszę panów! To także jest styl, styl ówczesnego czasu, i nie sądzę, panowie, że to jest pusty frazes, że to tylko upiększenie słowami tego, czego się nie czuje, tego, czem się już nie żyje. Otwórzcie całe mnóstwo ówczesnych wspomnień ludzkich, a znajdziecie w nich zawsze jedno i to samo: żywą i trwałą prawdę o państwie polskiem, które realnie przecież nie istniało, znajdziecie żywą i silną myśl o mechanicznem jedynie złączeniu ziem polskich z innemi państwami. Prawda ta była własnością ówczesnego pokolenia bez względu na to, do jakiej warstwy, do jakiego zaboru ci ludzie należeli, bez względu na to, czy wychowywali się w województwie mścisławskiem, czy w województwie krakowskiem, czy w zaborze pruskim. W duszach polskich istniała żywa, trwała granica przynależności państwowej ludzi do Polski, choć jej, jako państwa, nie było. To poczucie stanowiło wówczas życie wewnętrzne, siłę, jaźń ludzi bez względu na to, czy byli za powstaniem, czy byli przeciwko niemu. Świadomość ta była podstawą ówczesnych dusz ludzkich, której następnemu pokoleniu już zabrakło. Studjując owe czasy i nad niemi się zastanawiając, zawsze wydawało mi się przy porównywaniu pokolenia 1863 roku z poko-

leniem, w którem ja żyłem i pracowałem, że u moich współczesnych płynie krew, przesiąknięta składnikami krwi zaborców. Dla pokolenia zaś powstania 1863 roku obieg krwi państwowej, bez względu na to, do jakiego państwa Polacy należeli, był tylko mechanicznym obiegiem, przy którym chemiczna wartość krwi obcej, przekraczając granice państwa polskiego, roztwarzała się w krwi polskiej, nie czyniąc w niej żadnych zmian. Późniejsze pokolenie przyjmowało sole z krwi obcej już jako swoje, mieszając krew swoją z krwią obcą.

Ten styl ówczesny, tak mało potem zrozumiały i tak niekiedy dla nas naiwny i śmieszny, był stylem życia wszystkich ludzi owej epoki, był stylem ich myśli, był stylem ich serc i stylem całej ich jaźni. Tak myślał i jakiś szalony powstaniec, i przeciwnik tego ruchu. Dla wszystkich istniało państwo polskie, jako państwo z jego granicami historycznemi, istniało jako żywe i tylko mechanicznie było połączone z innemi państwami. Zdaniem mojem, takie samo pojęcie istniało i wśród zaborców.

Kwestja polska istniała w owych czasach dla całego świata, istniała jako rzecz, narzucająca się z konieczności, jako dalszy ciąg zwycięstwa francuskiego nad Austrją i oswobodzenia Włoch, jako dalszy ciąg prądów wolnościowych i jako dalszy ciąg prądów liberalnych, powstających w państwie rosyjskiem. Sprawa polska wyglądała w epoce 1863 roku całkiem inaczej, niż dla późniejszego pokolenia. Obcem było w tym czasie sądzenie o Polsce, jako o nawpół żyjącym organizmie.

Historyk owego czasu powinien spróbować wchłonąć w siebie tę atmosferę epoki i wtedy do-

piero ma prawo wydawać swe sądy, wtedy spokojnie może się odnieść zarówno do zasług, jak i do niecnot tych przodków, którzy ongiś w innym stylu żyli, myśleli i pracowali.

Moi panowie! Gdy myślę o dotychczasowej historji 1863 roku, zawsze mi się wydaje, że stawia ona pod pręgierzem jednych poto, żeby mówić o zasługach innych. Nie można mieć pretensji do Zygmunta Padlewskiego za niewiedzenie, że w 7 lat potem inna epoka w Europie nastanie i pod druzgocącym mieczem pruskim nastąpi hegemonja świata, uzbrojonego w żelazne pięście, w wynalazki techniczne, będące monopolem silnych. Sądzić Padlewskiego za to byłoby również śmiesznem i równie niedorzecznem, jak sądzić Wielopolskiego i jego zwolenników za brak przewidzenia, że w roku 1904 i 1905 mała Japonja pobije wielką Rosję, lub że w 1924 roku jakiś Józef Piłsudski w sali teatru wileńskiego, zaproszony przez uniwersytet polski w Wilnie, mówić będzie o nim, jak i o Zygmuncie Padlewskim. Mówić będzie o jednym i drugim równie swobodnie, jednocząc ich w związek wspólny Polaków, w związek tego samego stylu ówczesnego pokolenia, w związek ludzi wierzących, że Polska, jako państwo, mające określone granice, jest żywą i nietylko żywą, ale zdatną do tworzenia rzeczy realnych.

WYKŁAD II.

(28 października 1924).

Szanowne panie i szanowni panowie! Starałem się w poprzednim mym wykładzie dać próbę stylu polskiego ówczesnej epoki 1863 roku. Wspomniałem również bardzo ogólnie o tem, co się działo wtedy na wschodzie od nas. Dzisiaj chcę poświęcić temu tematowi więcej uwagi. Chcę wskazać, jak silnem i jak głębokiem było oddziaływanie prądów, które ogarniały w tym czasie Rosję, na życie nasze ówczesne, jak silnym był ten wpływ i ile rzeczy on historycznie w Polsce przetwarzał. Pragnąłbym, podobnie jak to starałem się zrobić w stosunku do Polski, dać możność odczucia i zrozumienia, chociażby ogólnikowo, czem była ówczesna Rosja.

Zatrzymam się na dziejach jednego z naszych rodaków, którego tutaj, w Wilnie, czcicie — Zygmunta Sierakowskiego. W 1848 roku był on wmieszany w jakieś polityczne spiski czy konspiracyjne gawędy w Petersburgu. Jako student uniwersytetu petersburskiego został Sierakowski za to wysłany, jak wówczas mówiono, *w soldaty*, gdzieś na stepy kirgiskie. Nie przeszedł przez pałki według ówczesnych zwyczajów tylko dlatego, że należał do stanu uprzywilejowanego — był szlachcicem. Miał odsługiwać jako zwykły żołnierz, jako szeregowiec, co uważano wówczas za karę, swoje przewinienia. Było to w 1848 roku. Dopiero

w roku 1854, więc w jakieś sześć lat potem, dzięki usilnym staraniom jego znajomych złagodzono mu nieco los. Został awansowany na podoficera i jako taki miał prawo zamieszkać w stolicy tamecznych krajów — w Orenburgu.

Lecz jakżeż gwałtownie zmienia się życie tego człowieka od chwili upadku Mikołaja I i z przyjściem na tron Aleksandra II! W jakimś dzikim podskoku leci wgórę ten człowiek. Awansowany na oficera w 1855 roku, w 1857 kończy najwyższy wojskowy zakład naukowy — petersburską akademję wojenną, a w 1859 roku jest już profesorem tej akademji, wykładającym więc i uczącym innych rosyjskich oficerów. Wkrótce potem zostaje nieodłącznem, koniecznem kółkiem machiny państwowej rosyjskiej, jest zaufanym człowiekiem ministra spraw wojskowych, Milutina, jest delegatem państwa rosyjskiego na paru kongresach międzynarodowych. Wywiera wpływ w sferach wojskowych tak olbrzymi, że, jak powiadano wówczas w ministerjum spraw wojskowych, nic się nie działo w armji rosyjskiej bez woli lub wpływu Zygmunta Sierakowskiego. Takie metamorfozy w państwie „fachowców", jakiem była *par excellence* Rosja, wydawały się niepodobne do wiary. A jednak karjera Zygmunta Sierakowskiego jest faktem historycznym. Zygmunt Sierakowski nie uważa nawet za potrzebne kryć swoich patrjotycznych uczuć, nie ukrywa, jak to czynili później nasi rodacy, że jest Polakiem. Mówi o tem głośno i spokojnie. Zygmunt Sierakowski nie używa swoich wielkich wpływów w stolicy carów, aby kogoś protegować, nie używa swoich wpływów dla zburzenia spisku w Polsce czy wewnątrz Rosji.

Ten obrazek, który wam tu daję, nie świadczy przecie o niczem innem, jak o tem, jak głębokie zmiany wówczas zachodziły w Rosji, jak styl państwa się zmieniał, a życie stawało nieledwie do góry nogami i rzeczy niemożliwe wczoraj stawały się możliwemi dzisiaj, i wczoraj niepodobne było do dzisiaj, a dzisiaj do jutra.

Biorę drugi obrazek. Oto przyjaciel Zygmunta Sierakowskiego, pułkownik sztabu rosyjskiego, Sawicki, który w powstaniu przybrał, podobnie jak to robili nasi legjoniści, pseudonim *Struś*, opisuje we wspomnieniach swój wyjazd do powstania ze stolicy carów, z Petersburga. Dzieje się to w maju, dnia 26 maja, gdy, jak wiadomo, powstanie wybuchło już 22 stycznia.

W nadnewskiej przystani parostatków „zebrało się grono przyjaciół, odprowadzających mnie do Kronsztadu, gdzie miałem przesiąść się na szwedzki statek i udać do Altony. W s z y s c y w i e d z i e l i d o k ą d i p o c o j a d ę, bo przed nimi nie taiłem zamiaru udania się tam, dokąd obowiązek mnie wzywał. Dymisja ze służby wojskowej i paszport zagraniczny głosiły, że jadę dla poratowania zdrowia do zagranicznych wód mineralnych. O czwartej popołudniu podniesiono kotwicę i statek ruszył w dół wspaniałej rzeki. W ciągu dwugodzinnego przejazdu muzyka najęta grała i rozmowa toczyła się wesoło, wino ożywiało ją jeszcze".

Oto próba stylu epoki, panującego w sąsiedniem państwie. Pułkownik sztabu generalnego rosyjskiego wyjeżdża poto, żeby się bić z Rosjanami, w chwili, gdy strzały już grzmią na polach Polski. Żegnają go nieledwie, jak *attaché* polskiego, którego należy szanować i któremu na pożegnanie mówi się: „Szczęść Boże!" Żegnają go prawdopodob-

nie jego właśni koledzy wojskowi, którzy spokojnie mówią: Jutro, być może, na polu bitwy spotkamy się, lecz dziś jeszcze uściśnijmy dłoń, dziś jeszcze możemy powiedzieć sobie: „Szczęść Boże!"

Czy nie widzicie, panowie, w tych dwóch obrazkach tych głębokich zmian i przeobrażeń, które dokonywały się pod wpływem oswobadzającego, liberalnego kierunku w Rosji? Była to epoka olbrzymiego zachwiania się dawnych podstaw państwa. Na czele tego kierunku liberalnego stał nie kto inny, jak wszechwładny pan Rosji — Aleksander II. Zagorzałym zwolennikiem tego prądu był inny członek rodziny panującej, brat carski, Konstanty, który najsilniej i najdłużej podtrzymywał ten kierunek liberalny w państwie rosyjskiem. On to właśnie zostaje wysłany do Warszawy, jako cesarski namiestnik.

Mówiłem już o konieczności w takich czasach radykalnych reform zmieniania *aparatczyków*, wykonawców woli rządu. Mówiłem o przeszkodach, które stawić mogą *sabotażniki*, którzy nie chcą lub nie mogą przeprowadzić w życie rzeczy niemożliwych dla nich do zrozumienia. Ileż przewrotów myślowych wynikło w owych czasach w głębi duszy rosyjskiej, ile powagi rządu na szwank narażono, ilu autorytetami zachwiano, ile niemożliwych do rozstrzygnięcia kwestyj stawiano przed ciemne, ogłupiałe nieraz głowy urzędników i generałów!

Gdy zajmowałem się tą epoką, a studjowałem ją ze źródeł rosyjskich więcej, niż z polskich, porywał mnie śmiech niekiedy i ogarniała mnie niewiara w fakty bezsprzecznie prawdziwe. Historja tego dziwnego czasu sprawia wrażenie jakichś bajek z tysiąca i jednej nocy..

Niech mi będzie wolno z tej historycznej literatury rosyjskiej przytoczyć fakt, który wam, wilnianom, dziwaczność tych czasów rosyjskich jaskrawo wyobrazi. Do Wilna zostaje wysłany Murawjew. Był on znany jako obrzydliwy złodziej i łupieżca, był na czarnych listach wszystkich spisków, był niezdatny do użycia w państwie rosyjskiem, należał do ludzi pogardzanych, gdyż był jednym ze zdrajców, którzy za czasów spisku wydali sprzysiężonych w ręce Mikołaja I. Chcąc więc podwyższyć autorytet wysyłanego do Wilna Murawjewa, nakazano, żeby go żegnano na dworcu możliwie najuroczyściej. Lecz generał-gubernator petersburski, *kniaź* Arkadjusz Suworow, nietylko sam nie wyszedł żegnać Murawjewa na kolej, lecz zabronił swemu garnizonowi, by jakikolwiek oficer ważył się zjawić na jego pożegnanie.

Ten jeden fakt daje wyobrażenie, w jakiej dziwacznej sytuacji znajdować się musiał wtedy każdy wykonawca woli rządu rosyjskiego, ile konfliktów myśli i serca musiało się wytwarzać przy pracy rządu rosyjskiego, jak osłabionem było państwo rosyjskie w owym czasie, gdy się spotkało z kwestją polską, która, jak mówiłem, żyła nietylko w sercach i umysłach Polaków, w sile nieznanej późniejszym naszym pokoleniom, lecz żyła również w sercach wielu Rosjan.

W dalekiej Anglji działał wtedy jeden z emigrantów rosyjskich, niezwykle zdolny publicysta i pisarz, Aleksander Herzen, który zaczął wydawać pismo pod tytułem *Kołokoł (Dzwon)*. Historja mówi, że jeden z egzemplarzy tego pisma był bity na specjalnym papierze. Dla kogo? Dla cesarza Aleksandra II.

Oto, co pisze o wpływie tego pisma Włodzimierz Milowicz, uczestniczący w pracach Rządu Narodowego, ziemianin z Wołynia, człowiek o względnie bardzo umiarkowanych przekonaniach, który, kreśląc swe wspomnienia znacznie później, stara się być krytycznym w stosunku do samego siebie i do swoich kolegów:

„Herzen wziął się do wykonania swego projektu (założenia zagranicą pisma rosyjskiego) z zapałem i najzupełniejszem oddaniem się, a będąc sam pisarzem znakomitym, postawił rzeczywiście pismo swe w rzędzie najlepszych publikacyj tego rodzaju. Z początku pismo to nie dochodziło prawie do Rosji, bo Herzen był osamotniony i z krajem swym stosunków nie miał, ale po kilku miesiącach istnienia emigracja polska, widząc w nim dobry środek szerzenia agitacji w Rosji, przyszła Herzenowi w pomoc i stosunkami, i drogami, które miała oddawna, zaczęła rozpowszechniać je między Moskalami. *Kołokoł* sprawił nadzwyczajne wrażenie na Moskali, każdy numer jego był przepisywany na tysiące egzemplarzy i czytany z największym zapałem, a ponieważ pismo to zajmowało się głównie krytyką rządów Mikołaja i wykryciem nadużyć, popełnianych przez ludzi, którzy pozostali jeszcze w tych czasach na najwyższych szczeblach hierarchji urzędniczej, a których miejsca chcieli zająć urzędnicy młodsi, pismo Herzena znalazło początkowo nietylko pewną tolerancję rządu, ale nawet tajemnych protektorów pomiędzy osobami, najbliżej cara stojącemi. Faktem to jest dowiedzionym, że wiele szczegółów, dotyczących nadużyć i kradzieży, popełnianych przez dygnitarzy mikołajewskich, przychodziło do Herzena z rozmaitych ministerjów z Petersburga i od ludzi, u władzy

stojących, a cały dwór carski, wszyscy dygnitarze i sam car nawet, czytywali *Kołokoł*. Imię Herzena stało się więc głośne i popularne, a pismo, przezeń wydawane, rodzajem wyroczni, w której cała Rosja zaczęła czerpać mądrość polityczną i cnotę".

Herzen stanął odrazu na stanowisku tem, na którem stali Polacy, na stanowisku odrębności państwa polskiego, uznawania granic 1772 roku, które, jak mówiłem poprzednio, żyły jeszcze w całej pełni w sercach, mózgach i nerwach polskich.

Chciałbym dać przykład, do czego prowadzi, moi panowie, takie rozchwianie myśli państwowej rosyjskiej, o którego skutkach i my, późniejsze pokolenie, możemy mieć także pewne wyobrażenie. Oto leży przede mną pamiętnik Romana Rogińskiego, który w momencie powstania stanął na czele ruchu na Podlasiu i przygotowywał napad na garnizon rosyjski, stojący w Białej. Garnizonem dowodził generał Mamajew. Ma on pod swojem dowództwem w Białej baterję artylerji, kompanję piechoty i kilka kompanij inwalidów, oprócz tego sotnię kozaków i żandarmów. Wszystkie więc rodzaje broni są tu reprezentowane.

Nie będę wchodził w szczegóły planu akcji Rogińskiego. Nie udało mu się. Nie udało mu się dlatego, że oficerowie rosyjscy, z którymi był w zmowie, w ostatniej chwili przestrzegli Mamajewa. Ten, nie czekając wyznaczonej na wieczór zbiórki powstańców, zamierzających dokonać napadu w nocy, już o godzinie 10 rano zaalarmował cały garnizon.

Na rynku w Białej stanęła w pełni cała siła rosyjska. A na drugim końcu tego samego rynku Rogiński, zaskoczony alarmem, zbiera z trudem swoje siły. Od godziny 10 rano odbywa się ta powolna

zbiórka sił polskich, nieledwie o 30—40 kroków od siły rosyjskiej i trwa to, moi państwo, godzinami całemi, a generał Mamajew nie rusza ani jednym krokiem. Ba, więcej, Rogiński, bojąc się o swoje położenie, nakazuje ekstra-poczcie, żeby leciała czemprędzej ściągać ludzi do niego. Poczta wyjeżdża z tegoż rynku, przelatuje tuż przed frontem armat i wojska rosyjskiego — Mamajew nie rusza ani krokiem.

„Siły nasze były zbyt nierówne — pisze Rogiński — bym się odważył uderzyć na rynek. Czekam więc do dwunastej na posiłki, lecz dwunasta wybiła, a nikt jeszcze nie nadszedł. Widząc, że posiłków jak niema, tak niema, wysyłam trzy ekstrapoczty z rozkazami. Wojska na rynku — rzecz charakterystyczna — przepuszczają je, a trąbki pocztyljonów donoszą mi, że rozkazy moje pobiegły. Rozkazałem, by oddziały pośpieszały i skierowały się na drogę z Białej do Janowa. Tam miałem zamiar je spotkać, jeśli mi się uda wyjść z miasta. Przeczekałem jeszcze do godziny pierwszej — bezskutecznie. Trzeba było więc coś stanowczego przedsięwziąć. Licząc na popłoch i zdetonowanie przeciwnika, gdy nas zobaczy, wyciągnąłem linję moich kosynierów, jednego kosyniera postawiłem na brzegu z kosą i zawołałem: „Prowadź! Pójdziemy przez rynek, nie zaczepiając wojska, zaczem się opamiętają, przejdziemy przez miasto w kierunku Janowa, a tam spotkamy swoich, z którymi, jeśli będzie można, wrócimy napowrót do miasta". Sam zaś, mając za sobą jedenastu strzelców, wznosząc rewolwer w górę, zawołałem: „Bez mego rozkazu ani jednego strzału! Bracia! Naprzód! W imię Boże!" Tak wyszliśmy na rynek. Stał tam generał Mamajew z całą swoją, dziesięć razy więk-

szą, siłą, z ośmiu armatami, czterystu karabinami i stu lancami. Przechodzimy o 30 kroków zdala przed frontem wojsk rosyjskich — głuche milczenie — słychać tylko odgłos naszych kroków miarowych. Tak przechodzimy rynek w ulicę Janowską do skraju miasta".

Cóż się działo u Mamajewa? Co miała znaczyć ta jego taktyka? Przecież ten obrazek mówi o jakiejś niesłychanej bezczynności, o jakiemś dzikiem niezdecydowaniu. A objaśnienie jest proste: Mamajew się boi, czy czasem poruszenie jego nie będzie źle zrozumiane przez Konstantego, który siedzi w Warszawie. Drży, czy czasem nie straci łaski swego przełożonego, jeżeli ruszy tych „oberwańców". On się boi, on głowę ma rozchwianą, on nie wie, jak postąpić. Otrzymuje instrukcje takie, jakie mieli, pamiętam, oficerowie etapów, by z moją partją, idącą na Sybir, obchodzić się grzecznie i surowo, i żaden oficer tego nie wiedział, jak wybrnąć z tej grzecznej surowości i surowej grzeczności. Biedny Mamajew! Miał za mało elastyczną głowę, by wyjść z takich łamigłówek i rozwiązać rebusy surowej grzeczności i grzecznej surowości w stosunku do powstania. Oto próbka zamętu pojęć w głowach ludzi rządu rosyjskiego. Zamęt był wywołany szybkiemi zmianami, przy których dziś nie było podobne do wczoraj.

Gdy pragnie się poznać styl jakiejkolwiekbądź epoki bez możności, że tak powiem, przebrnięcia jej swem własnem życiem, trzeba umieć przybliżyć sobie życie tamtych czasów do własnych przeżyć.

Moi panowie! Należymy wszyscy do pokolenia, które może najwięcej z pomiędzy pokoleń pol-

skich przeżyło w życiu zmian, pomimo tego, żeśmy się o nie sami zanadto nie starali. Byliśmy świadkami przemian tak wielkich, tak głębokich i tak nagłych, że dosyć jest poruszyć niedawne popioły zapomnienia, by z nich iskry pamięci innego zupełnie życia wydobyć.

Jeden przykład na myśl mi przychodzi, gdy widzę przed sobą moją panią siostrę. Przykład z czasów, gdy wczoraj jest niepodobne do dzisiaj, gdy dzisiaj jest niepodobne do jutra. Biorę epokę, gdy również reformacyjna gorączka przebiegała po całej Rosji, epokę wojny japońskiej i rosyjskiej przegranej. Odwiedziłem wtedy siostrę po raz pierwszy po długiem niewidzeniu się, spowodowanem obawą, by jej wobec władz rosyjskich nie skompromitować. Już sam fakt, że mogłem ni stąd, ni zowąd zjawić się u siostry po długich latach, już sam ten fakt mówi, że co było wczoraj, jest niepodobne do dzisiaj.

A było to tak powszechnem w owe czasy, że gdy je przypominam, smutno mi się robi zawsze. Wydaje się bowiem nieraz, że wtedy najbardziej jaskrawo, najbardziej jasno wystąpiło na jaw, jak daleko wewnętrznie zostaliśmy „organicznie wcieleni“ do obcego nam organizmu. „Wcielano się“ wtedy z zapałem od prawa do lewa, od starszych do dzieci. Ba! Zdrajcą kraju i wyzbytym z wszelkiego patrjotyzmu czy innych wzniosłych idej można było być ogłoszonym, gdy się naruszało ten zgodny chór chwalców „organicznego wcielenia“. Dom mojej siostry był jeszcze szczęśliwym wyjątkiem pod wielu względami z tej powszechnej potulnej zgody z losem i z musem zapału dla „wcielenia się“ jak najchętniejszego.

Kiedyś i siostra, i ja straciliśmy nadzieję, że się kiedykolwiek spotkamy. Pierwszy raz wtedy zobaczyłem jej dzieci. Jak rzeczy się zmieniły! Dzieci z zapałem, godnym lepszej sprawy, bawiły się nie w co innego, jak w *zabastowkę*. Z podziwem oglądałem to, pani siostro, widząc, że styl naszych ojców i styl naszych rodziców był nieco przyćmiony. Dzieci, bawiące się w *zabastowkę* przeciwko niewiadomo czemu, przeciwko rodzicom, przeciwko szkołom, przeciwko bo ja wiem czemu, za co by wczoraj rózgami ich sieczono i wyrzucano z gimnazjów, to dowód, jak dziś było całkiem niepodobne do wczoraj.

I jeżeli, panowie, dotkniecie waszej pamięci, znajdziecie również w tych nagłych zmianach, któreśmy przeszli, całe mnóstwo wczoraj, które nie było podobne do dzisiaj, całe mnóstwo dzisiaj, które nie było podobne do jutra. Dosyć wspomnieć epokę wojny i jej kalejdoskopowe zmiany, przez które każdy z nas przechodził, nie mówiąc o wielkiej epoce, którą obecnie przeżywamy, gdy w roku 1918 zgodnie z określeniem galicyjskiem „Polska wybuchła" i rzeczy, które były niemożliwemi, stawały się możliwemi.

Niech mi wolno będzie ze wspomnień, tyczących się 1863 roku, przytoczyć fakt, dowodzący, jak wówczas szybko następowały zmiany, jak rzeczy, niedawno jeszcze niemożliwe do przypuszczenia, zamieniały się na rzeczywistość, jak wczoraj stawało się niepodobne do dzisiaj.

Za czasów Mikołaja kuratorem okręgu szkolnego w Warszawie był niejaki pan Muchanow, człowiek, który doszedł do olbrzymiego wpływu po śmierci Paskiewicza, gdy namiestnikiem był niedołężny książę Gorczakow. Muchanow właściwie

rządził w Polsce. Był on powszechnie znienawidzonym, drżała przed nim cała administracja warszawska. Na jego skinienie czekały całe tłumy urzędników. Jego rozkazy były wypełniane prędzej, niż rozkazy Gorczakowa, a społeczeństwo polskie żyło w strachu przed tym potworem.

„Dnia 22 marca 1861 — pisze Giller — otrzymał dymisję Muchanow ze wszystkich swoich urzędów i w tym dniu jeszcze zdał tymczasową władzę nad komisją spraw wewnętrznych i duchownych w ręce Biernackiego, naczelnika wydziału... Jednocześnie z Muchanowym otrzymał dymisję, jako członek senatu, Pawliszczew i Plehwe, naczelnik wydziału oświecenia, główny pomocnik Muchanowa.

Zmiany te były dobrze przyjęte, a szczególnie dymisja Muchanowa, którą Kraszewski ogłosił publiczności w Resursie, a dzienniki ogłosiły dopiero nazajutrz, chcąc mu bezpieczny odwrót z Warszawy zapewnić; oburzenie było w istocie wielkie i należało się obawiać o jego osobę. Już 22-go zebrały się tłumy przed pałacem Mostowskich z zamiarem zrobienia mu kociej muzyki. Wysłani przez delegację ze straży obywatelskiej, nakłonili piszczących do rozejścia się. W dniu jednak następnym, w którym na godzinę 9 wieczorem zamówiony był osobny pociąg dla Muchanowa, zebrało się przed dworcem kolei żelaznej mnóstwo ludzi ze świstawkami, katarynkami dla przywitania ministra wrzaskiem, piskiem, a pożegnania go pociskami. Próżne było jednak oczekiwanie zwolenników dysharmonji — wszechwładny przez wiele lat, trzęsący Polską minister, wymykał się z Warszawy tajemnie, bocznemi drogami, przez nikogo nie odprowadzany, sam jeden w powozie z żoną, młodą Polką, drżącą z obawy o siebie i męża, który marzył dla

narodu, z którego pochodziła, o krwawej kąpieli, i wsiadł do pociągu kolei żelaznej dopiero w Pruszkowie. Na każdej jednak stacji, aż do granicy, a nawet za granicą, we Wrocławiu, grano mu kocią muzykę i rzucano w szyby kamieniami i słomą. Tak Polskę opuszczał Muchanow, któremu przed niedawnym czasem nikt oprzeć się nie śmiał, na którego skinienie w milczeniu oczekiwali wielcy dygnitarze".

Mówiłem o *zabastowkach* w rodzinie mojej pani siostry. Nasuwa mi to miłe wspomnienie, że jednym z pierwszych objawów i przejawów tych zmian, dokonywujących się w życiu państwowem Rosji w 1863 roku, był bunt studentów gimnazjum w niedalekich stąd Święcianach. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności spotkałem w życiu swojem jednego z wybitnych ludzi rosyjskich, który wywierał bardzo poważny wpływ na przebieg wypadków w Rosji i był w swoim czasie do pewnego stopnia czemś w rodzaju Herzena, — człowiekiem niezwykle utalentowanym, mającym wpływowe znajomości — niejakiego pana Natansona, sprawosławionego Żyda.

Ile razy z obcymi prowadziłem polemikę o sprawie polskiej, ile razy występowałem w obronie takich czy innych poglądów, tyle razy Natanson stawał zawsze po mojej stronie. Szanował kulturę polską, szanował granice dawne polskie i występował zawsze przeciwko szowinistycznym prądom rosyjskim. Gdy go raz spytałem, co go właściwie skłoniło do takich zapatrywań, odpowiedział mi z dumą, że pierwszem jego wystąpieniem życiowem, jako sztubaka pierwszej klasy gimnazjum w Święcianach, był udział w „rewolucji polskiej". Dowiedziałem się od niego, na czem ta rewolucja polega-

ła. Pewnego dnia w Święcianach zginęły wszystkie godła rosyjskie, a w miejsce ich zawisły białe orły. Gimnazjum, ma się rozumieć, zamknięto, a sztubaków ostro ukarano. Ta demonstracja zawieszania godeł polskich w Święcianach, w granicach historycznych Polski, miała styl ówczesnego okresu. Sole polskiej krwi roztwarzały swą tężyzną wtedy jeszcze krew obcą, która do niej wchodziła. Dlatego Natanson, dzięki swym wspomnieniom dzieciństwa, czuł w krwi swojej epokę 1863 roku.

W tym dziwnym czasie przed styczniowem powstaniem, gdy wszystko było — *zabastowką*, — gdy niespodziewane upadki i dziwaczne karjery łamały siłę państwa rosyjskiego, rodziły się dla Polski różne możliwości wzmocnienia sił swoich, gdy mechanizm wrogiego państwa stawał się tak słaby. Jedynie na tej podstawie można zrozumieć możność powstania 1863 roku, jedynie pod wpływem tych przemian i zmian życia rosyjskiego myśl polska nabierała odwagi. Przejawami wzrostu tej śmiałości były i zamierzenia powstańcze, i próby zdobycia reform. Dopiero gdy Muchanow wyrzucony został z kocią muzyką z Polski, dopiero wtedy Wielopolski pisał swoje propozycje, swoje żądania do rządu, dopiero wtedy ośmielał się on, jak ośmielała się cała Polska. Krew polska nie była wtedy jeszcze chemicznie zmieszana z krwią obcą i jeszcze nie było między niemi organicznego związku, ale mechaniczny wspólny obieg państwowy niósł infekcję, niósł zarazę gorączki, niósł zarazę myśli, dawał Polsce nadzieję, że to, co wczoraj było niemożliwem, to staje się możliwem dzisiaj.

Tylko wtedy, gdy sobie przedstawimy skazanego w *soldaty* Sierakowskiego, zasiadającego prawie na ministerjalnem krześle w Petersburgu, gdy sobie

przedstawimy możliwości, które się wszystkim Polakom otwierały w owe czasy, zrozumieć jesteśmy w stanie epokę 1863 roku i pracę dziejową, której podejmowali się wtedy ojcowie nasi.

Powstanie jednak było wojną w ścisłem tego słowa znaczeniu. Strzelano, padały trupy i ranni, odnoszono zwycięstwa, ponoszono klęski. Dlatego też, jak w każdej wojnie, a wojna trwała rok cały, wagę ma to, co wygrywa, i to, co przegrywa: ważnymi są oficerowie i wojsko. Dlatego wielcy ludzie ówcześni, Sierakowski i inni, rozpoczęli na długo przedtem pracę nad spiskami i organizacjami wojskowemi. Organizacje wojskowe były niezwykle rozgałęzione i rozwój ich do wybuchu powstania stawał się coraz szerszy. Organizacja obejmowała oficerów nietylko polskich, ale i rosyjskich, tak, że trudno niekiedy ustalić, gdzie się kończyła konspiracja polska, a odkąd zaczynała rosyjska.

Zygmunt Sierakowski był jednym z założycieli ówczesnej organizacji *Ziemli i Woli*, był tym. który pchnął, korzystając ze swoich wpływów, jakie miał w Petersburgu, młodzież wojskową na drogę konspiracyjną, na drogę spisku. Po pewnym przeciągu czasu Centralny Komitet Narodowy zawarł umowę z organizacją *Ziemli i Woli*. Umowa wymagała od wszystkich oficerów, należących do tej organizacji, przystąpienia do powstania w pierwszej chwili, wymagała posłuszeństwa władzom polskim, nie pozwalała zorganizowanym ani chwili się wahać i odstąpić od obowiązku wspólnej pracy. Łatwo zrozumieć, jak taka możność liczenia na pomoc w szeregach wroga ułatwia wojnę, pozwala obliczać rozumnie szanse, daje podstawę techniczną dla spisku.

Chcę przytoczyć parę ustępów z ówczesnych wspomnień na dowód, jak szeroko rozgałęziona musiała być organizacja wśród rosyjskich wojskowych. Józef Oxiński, pułkownik wojska polskiego, zostaje przed samym wybuchem powstania wyznaczony na Kaliskie. Ma on za zadanie przetransportowywanie broni, idącej przez Prusy, i przygotowanie wybuchu powstania w ziemi Kaliskiej.

Oto, co pisze Oxiński:

„Na parę dni przed wyjazdem z Warszawy, to jest około połowy stycznia, będąc u Potjebni, ówczesnego prezesa związku rewolucyjnego moskiewskiego *Russkaja Ziemla i Wola*, prosiłem go o wtajemniczenie w organizację tego związku między wojskami, w województwie kaliskiem stojącemi, a ponieważ nie mógł mnie w tej chwili objaśnić z powodu, iż tą częścią kraju nie zarządzał, a jego zastępca na tę część kraju chwilowo jest nieobecny w Warszawie, przeto z powodu nagłości mego wyjazdu powiedział mi: „możesz śmiało rachować na oficerów artylerji — wielu z nich jest w związku, a ci, którzy w nim nie są, są tak przyzwoici i uczciwi ludzie, iż żaden roli policyjnej nie podejmie się".

Czy panowie sobie przypominają wyjazd pana pułkownika Strusia-Sawickiego z Petersburga, gdy mówią mu Moskale: „Szczęść Boże!" Teraz czytamy o radzie, dawanej oficerowi polskiego powstania, że do każdego oficera artylerji rosyjskiej można zwracać się śmiało i na pomoc jego rachować, bo albo do spisku należy, albo jest przyzwoitym człowiekiem, który nie zdradzi. Wobec tego, że artylerja była rozrzucona po całym kraju, tych „uczciwych i przyzwoitych ludzi" było całe mnóstwo.

Popatrzmy teraz, w jaki dziwaczny sposób Oxiński trafia na nici konspiracji rosyjskiej, sposób, który mnie, starego konspiratora, tylko śmieszyć może. Oxiński przyjeżdża do miasteczka Warty, które wybrał sobie jako główny punkt koncentracyjny na wypadek powstania. Stoi tam między innemi baterja artylerji. Dowiedziawszy się w cukierni o nazwisku i mieszkaniu dowódcy baterji, zwraca się poprostu do niego.

Oto opis ich zaznajomienia się: „Na podstawie udzielonego mi objaśnienia wstąpiłem do mieszkania kapitana artylerji, pana Spławskiego, a oddając służącemu palto — zapytałem, czy kapitan jest w domu i czy sam się znajduje? — na twierdzącą odpowiedź wszedłem do pokoju, gdzie spotkałem się oko w oko z młodym, około 30 lat mającym mężczyzną, o inteligentnem wejrzeniu i układzie wojskowym, pytającego mnie czystą polszczyzną: „Czego pan sobie życzysz?“ Zamiast odpowiedzi wręczyłem mu kartkę błękitną, przedstawiającą mnie jako agenta Komitetu Rewolucyjnego *Ziemla* i *Wola*, dodając jednocześnie, iż jeżeli spotkałem uczciwego człowieka, udzieli mi żądanych objaśnień, — jeżeli przeciwnie — może łatwym sposobem uzyskać jedną gwiazdkę więcej. Popatrzył na mnie uważnie i, wyciągając ze skrytki swego pugilaresu kartkę wyglądu błękitnego, wręczył mi ją za całą odpowiedź.

Przekonawszy się, iż spotkałem współtowarzysza w pracy, zwróciliśmy sobie nasze niewinne karty wizytowe, przy uścisku dłoni, a powiedziawszy mu moje legalne nazwisko usiedliśmy z papierosami w ustach do koleżeńskiej gawędy“.

O czemże oni mówili?

Postanowiliśmy — pisze dalej Oxiński — „1) proskrybowanych i zorganizowanych pozostawić w mieście i tajnie przygotować dla nich siekiery i topory; 2) na parę godzin przed wybuchem mają się znajdować pod pozorem odwiedzin u gospodarzy domów, w których kwaterują żołnierze, aby w chwili sygnału roztworzyć drzwi wchodowe do domów i wraz z przybyłymi proskrybowanymi bądź wyciąć, bądź uspokoić znajdujących się na kwaterach żołnierzy; 3) na koszary kozackie i stajnie przeznaczyć 30 ludzi, uzbrojonych w broń palną i siekiery, którzy, obstawiwszy drzwi i okna, nie dopuściliby wyjścia żadnemu kozakowi, zabijając bez litości usiłujących się wydostać; 4) na szopy artyleryjskie przeznaczyć 25 ludzi, uzbrojonych w siekiery i przynajmniej 5 strzelców w dobre dubeltówki, a zgładziwszy w cichy sposób pod osłoną nocy szyldwachów, osadzić drzwi i okna i nie wypuścić nikogo żywego na zewnątrz".

Od tegoż rosyjskiego kapitana otrzymuje Oxiński zapewnienie, że w terminie wybuchu sprosi on do siebie wszystkich oficerów i junkrów na ucztę koleżeńską — „aby tak zebranych wszystkich oficerów komendy w stanie upitym oddać pod rozporządzenie powstańców, sam bowiem, jako kolega z kolegami, a przedewszystkiem jako uczciwy człowiek — wzdrygał się od wszelkiego postępowania".

Oto jest jeden z najjaskrawiej opisanych wypadków współdziałania powstańców z rosyjskim wojskowym. We wspomnieniach o nocy styczniowej znajdziecie podobne wypadki wszędzie. Znajdziecie więc je u Lewandowskiego, który był naznaczony dowódcą województwa podlaskiego. Znajdziecie te same wiadomości u Rogińskiego, który wspomina,

że w spiskowej organizacji w Białej „mieli udział dwaj oficerowie w rosyjskiej służbie: dowódca baterji Suchodolski i adjutant jego Zalewski — oprócz tego było szesnastu kanonierów Polaków w owej baterji i kilku żołnierzy z piechoty"; owi oficerowie rosyjscy „zobowiązali się w razie alarmu nie opuścić swoich kwater, kanonierzy zaś, należący do organizacji, mieli wystraszyć konie wystrzałami, by ich trudno było użyć artylerzystom".

Podobne wiadomości znajdziemy w wspomnieniach Deskura, którego sprzysiężeni oficerowie rosyjscy przestrzegają przed zamiarem aresztowania go, i tak dalej.

Było mnóstwo wypadków zdrad czy przestrachu oficerów rosyjskich w ostatniej chwili, lecz sam fakt rozgałęzienia tajnej organizacji, sam fakt przystąpienia w każdem prawie miejscu oficerów do sprzysiężeń zarówno polskich, jak i rosyjskich, mówi o ogromnym technicznym rezultacie spiskowej pracy polskiej w owej chwili, mówi o tych ogromnych możliwościach, które się mogły nasunąć i narzucić ludziom powstania 1863 roku, gdy obliczali swoje szanse powodzenia, gdy robili rachunek swojej pracy i rachunek tego jutra, przed którem stawali.

Proszę panów, przechodzę do rzeczy najgłówniejszych. Wszyscy historycy bez wyjątku wspominają o zasadniczym planie, powziętym na posiedzeniu Centralnego Komitetu Narodowego. Wspomina o nim mimochodem i Walery Przyborowski, unikając prawdopodobnie wstydliwych zakątków historji, nie naszej, ale rosyjskiej. Plan ten był przysłany nie przez kogo innego, jak przez ówczesnego wodza polskiego, Jarosława Dąbrowskiego. Siedział on wtedy, niestety, już w cytadeli i zastę-

pował go słabszy pod względem charakteru od niego Zygmunt Padlewski. Z chwilą, gdy zdecydowano, że wybuch nastąpić musi jako odpowiedź na brankę Wielopolskiego, nie liczono na natychmiastowe zwycięstwo i, odkładając silniejsze wystąpienia do wiosny, zaczęto ściągać do Polski transporty broni z zagranicy.

Wówczas Jarosław Dąbrowski przysłał natychmiast swój plan działania, według którego napad miał być prowadzony przedewszystkiem na fortecę Modlin. Modlin miał obsadę bardzo słabą, składającą się z inwalidów, to znaczy żołnierzy, niezdatnych przeważnie do boju i spełniających tylko wartowniczą i garnizonową służbę. Poza tem Modlin był siedzibą junkierskiej szkoły, której połowa była wciągnięta do spisku. Wreszcie w Modlinie, jak to zwykle w fortecy bywa, leżały zapasy wojskowe na wypadek wojny — przedewszystkiem 70000 karabinów z mnóstwem amunicji. Wiedział o tem Dąbrowski, który był jednym z wyborowych oficerów sztabu rosyjskiego, jednym z ludzi nadzwyczajnie zdolnych i energicznych i stąd wynikł jego plan napadu na Modlin. Wszystkie napady, które robiono w nocy styczniowej, były właściwie akcjami dodatkowemi, były próbą odciągnięcia wojsk rosyjskich od miejsca głównego ataku.

Rząd Narodowy był tak przekonany o możliwości udania się tego planu Dąbrowskiego, że poczynił przygotowania, by część członków rządu mogła wyjechać natychmiast do Płocka, gdzie mieli podpisać już własnem imieniem i nazwiskiem manifesty i deklaracje Rządu Narodowego o wojnie z Rosją. Chciano, jak na jednem z posiedzeń mówiono, mieć rząd jawny i byli gotowi oddać swoje

nazwiska do wiadomości społeczeństwa polskiego, a do rozporządzenia wrogowi.

Nie chcę wchodzić w to, dlaczego plan się nie udał, nie chcę rozpatrywać tych rzeczy, gdyż zawsze mam podejrzenie, że gdzieś tam siedział jakiś rosyjski Oskar Awejde i na czas donosił. Dziwiło mnie przy studjach nad tym okresem, jak wiele niektórych usiłowań zostało na czas uprzedzonych. Z Modlina szkoła junkierska została wysłana do Rosji i sprowadzony został nowy garnizon.

Moi panowie! Przytaczałem fakty i urywki wspomnień ludzi 1863 roku, abyście odczuli ten styl ówczesnej epoki, styl zarówno polski, jak i rosyjski. Był to czas głębokich zmian i przewrotów umysłowych, czas rozchwiania potęgi Rosji i wzmocnienia siły polskiej przez najrozmaitsze wpływy. Bez uwzględnienia tych objawów cała historja 1863 roku jest niezrozumiałą, wydaje się śmieszną, jak chce to przedstawić Walery Przyborowski.

Nie chcę zakończyć dzisiejszego wykładu bez przypomnienia jednego epizodu, który odbiega od ówczesnego stylu polskiego i który jakby wskazywał na początek nowej ery i nowego pokolenia, do którego my należymy. Mówię o dziwacznej próbie zrobienia gdzieś, nad Wołgą, korzystnej dla powstania polskiego dywersji. Ówcześni kierownicy losów Polski wierzyli w skuteczność tego przedsięwzięcia i poświęcili na nie dużo sił. W Kazaniu rozstrzelano wtedy między innymi kilku oficerów polskich, rzuconych tam na tę imprezę.

Jaką wagę przykładano do tej akcji nad Wołgą, świadczy fakt, znany mi z opowiadań jednego z tych, którzy kończyli szkołę kadetów w Brześciu.

Uczniowie starszych klas mieli wyznaczone przez kierowników tajnych organizacyj wojskowych, gdzie mają się zjawić w momencie wybuchu powstania. Tymczasem rząd rosyjski zamianował nagle, bez egzaminów, uczniów wyższych klas oficerami i wyznaczył im garnizony w głębi Rosji. Powstanie jeszcze nie wybuchało i zaskoczeni temi zarządzeniami uczniowie wysłali delegatów do Warszawy z zapytaniem, co mają robić. I oto ze strony władz spiskowych dano rozkaz, by do oficjalnych odkomenderowań zastosowali się ci, którzy zostali wyznaczeni do pułków, stojących nad Wołgą. Co więcej, byli ludzie, którzy z Polski wyjechali, by brać udział w tej nadwołżańskiej imprezie, pomiędzy innymi kapitan Mroczek, który miał, według Rogińskiego, już wyznaczone dowództwo na Podlasiu i który przed samem powstaniem jedzie do Kazania, by być tam rozstrzelanym.

Cały ten pomysł robienia dywersji nad Wołgą, który kosztował dużo sił polskich, wynikł z egzageracji zaczynającego się podówczas kierunku, tak zwanego *narodniczestwa*. Zaczęto wierzyć w jakiś mesjanizm rosyjski, w jakieś wewnętrzne siły ludu czy państwa rosyjskiego, tak, jak niedawno wierzono w słowiańskie moce, w Rosji ukryte.

Zaczyna się, moi panowie, przedsmak tych soli rosyjskich, które do owego czasu w żyłach naszych się nie rozkładały, a które w następnem pokoleniu już zmieniały skład chemiczny naszej własnej krwi.

Rok 1863 więc leży na rubieży naszych dziejów, zmienia styl życia polskiego, daje nowe pokolenie, całkiem inne, niż tamte, nad którem sądy tak łatwo chcą ludzie wydawać.

Nakreśliłem w tym wykładzie wpływ Wschodu, wpływ Rosji, dla zrozumienia ludzi 1863 roku. Widzieli oni skazańców, którzy stawali się nieledwie ministrami i widzieli ministrów Mikołaja, jak wygwizdani, ośmieszeni kocią muzyką, wyjeżdżali z Warszawy. Wszystko, co oczy ich widziały, wszystko, co nerwy ich czuły, ulegało przemianom gwałtownym, niespodziewanym i wielkim, przetwarzając z dnia na dzień życie polskie. Rodziło to w nich myśli o możliwości przedsięwzięć najśmielszych, dawało pewność posiadania szans powodzenia, których im późniejsze pokolenie stale chciało odmówić.

WYKŁAD III.

(29 października 1924).

Szanowne panie i szanowni panowie! Przy omawianiu oddziaływania Zachodu na epokę 1863 roku nie mogę trzymać się sposobu, którego używałem przy rozpatrywaniu wpływów Wschodu. Wpływy Wschodu skupiały się w pewnych osobach, czynnych w tym okresie lub w pewnych specjalnych działach pracy. Wpływ Zachodu był niezmiernie rozległy, co wynikało ze wspólnego z nim właściwie życia Polski. Stąd mnóstwo pierwiastków, które się na ten wpływ składały.

Przeżyliście, panowie i panie, niedawno swoje zmiany duchowe, jakże często pod wpływem Zachodu. Podlegaliście nieraz w swych sądach i w swych postępkach nawet ploteczkom, idącym z Zachodu. Łatwo możecie sobie więc przedstawić, że Polacy ówcześni mało się różnili od was pod tym względem.

Wpływ Zachodu dałby się wszechstronniej wyjaśnić dopiero wtedy, gdybym przyniósł ogrom ksiąg, zrodzonych na Zachodzie, a oddziałujących wtedy na Polskę, gdybym czytał noty dyplomatyczne, wskazywał tajne wskazówki, dawane stamtąd czy z owąd, gdybym wreszcie zaczął cytować całe mnóstwo ówczesnych plotek i całe mnóstwo drobnych najrozmaitszych egzageracyj, podobnych do tych, które wy z własnego niedawnego doświadczenia, z własnego życia tak dobrze znacie.

Oddziaływania Zachodu szły różnemi drogami. Na wyodrębnienie zasługuje wpływ Francji i Włoch. Wspomniałem już, że cały rozpęd 1848 roku, cały rozpęd wolnościowych prądów, uderzających o ścianę państwa rosyjskiego, ześrodkował się w działaniach Napoleona III. Nie rozporządzał on, jak jego przodek, wielką armją, gotową na rzucenie jej w pierwszy lepszy punkt Europy. Naród francuski był zmęczony i rewolucjami, i wojnami, ale zato Napoleon III w całej swojej działalności dyplomatycznej nie był, bezwątpienia, człowiekiem przeciętnym. Dlatego wpływy Francji były i w Polsce olbrzymie. Łączyły się one z tą legendą, która szła stamtąd, legendą oswabadzania i tworzenia nowych skupień państwowych na podstawie narodowości.

Świeży przykład Włoch, niedawno pod wpływem zwycięstwa pod Solferino oswobodzonych od ucisku austrjackiego i zjednoczonych w jedno państwo, był żywym w pamięci ludzi, którzy zaledwie kilka lat przedtem widzieli to ogromne zjawisko życia europejskiego. Wielu dziejopisów tego okresu stwierdza zawsze, że wpływ Francji przedłużał wojnę polsko-rosyjską, ośmielał Polaków, budził nadzieje na danie nowej pomocy z jej strony. Zewnętrznemi przejawami tego francuskiego poparcia były znane noty dyplomatyczne, których nie chcę tutaj omawiać. Ale ileż tajnych, prócz tego, kanalików biegło wtedy z Paryża w kierunku kierowników powstania, ażeby ich do trwania zachęcić. Przesadą jest zapewne mówić, że właściwie cała epoka, poza kilku miesiącami powstania, była dziełem Francji, niechybnie jednak przedłużenie stanu wojny Polski z Rosją było wynikiem wpływu Francji.

Wpływ jej łączył się i jednoczył z legendą zjednoczenia Włoch. Wielu z was musiało mieć sposobność oglądania albumów uczestników powstania styczniowego. Wszędzie napotkać tam można fotografje Włochów, którzy pośpieszyli na pomoc Polsce. Lecz nie na tych objawach współpracy Polski i Włoch chciałbym się zatrzymać. Pokonanie Austrji przez Francuzów i Włochów pod Solferino wywołało w Europie podziw dla wielkich patrjotów włoskich. Jeżeli siła woli, siła umysłu i tężyzna sprytu genjalnego Mazziniego pozostały ukryte i nie przemawiały wskutek tego do wyobraźni, to wystąpienia zewnętrzne wielkiego wodza Włoch — Garibaldiego, śmiałe rzuty, któremi on Włochy — ojczyznę swoją — przebiegał, stanowiły epokę, epokę myśli całej Europy. Teraz jeszcze, gdy się myśli i mówi o wielkich wodzach, przychodzi nam na pamięć imię Garibaldiego.

Praca jego, jako wielkiego wodza, odznaczała się specjalną cechą — zdobywał on znaczne efekty bardzo małemi siłami. Rozporządzał tysiącami lub zaledwie setkami ludzi, a dokonywał dzieła historycznego wyzwolenia państw i państewek włoskich ich własnemi wysiłkami. Wszyscy znamy jedną z pierwszych pieśni powstania, śpiewaną przez nasze matki: „Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę". Jest to kopja tych „tysiąca walecznych", którzy opuszczali niegdyś Nervi dla zdobycia Sycylji i zdobycia Neapolu, tysiąca walecznych Garibaldiego, którzy szli na zwycięstwa i na wywalczenie sobie zjednoczenia ojczyzny.

Wypadki włoskie, podobnie, jak to, co się działo na Wschodzie, dawały polskim wodzom śmiałość myśli, śmiałość wystąpień i poczucie szans zwycięstwa. Każdy ze współczesnych widział i pamię-

tał to zjednoczenie Włoch i zdawał sobie sprawę, jak stosunkowo małemi środkami tak wielki efekt został osiągnięty. Ludzie 1863 roku byli z jednej strony, od Wschodu, świadkami osłabiania Rosji, pękania w niej autorytetów tak niedawnych i tworzenia się wewnątrz aparatu państwowego sprzymierzeńców sprawy polskiej, a z drugiej strony, od Zachodu, szła do nich pewność pomocy francuskiej i działał przykład włoski, fakt historyczny, że istnieją Włochy zjednoczone i że dokonane to zostało względnie łatwo, dzięki zwycięstwom Garibaldiego na polach włoskich.

Podkreślam te dwa czynniki, nie chcąc zapominać, jak na codzienne życie polskie, na codzienne nasze sądy wpływały ówczesne pojęcia ogólno-europejskie.

Rewolucja 1848 roku ze wszystkiemi prądami, które wywołały tak głębokie zmiany w Europie, stanęła i zatrzymała się, jak mówiłem, u ścian państwa rosyjskiego. Rosja była uważana za coś barbarzyńskiego, za coś obcego światu cywilizowanemu. Pomimo, iż duch liberalny rosyjski i reformy Aleksandra starały się zjednoczyć Rosję z Zachodem. to jednak pozostało stare przekonanie, wspólne nam i Europie, że świat kultury zachodniej kończy się na wschodnich granicach Polski, że dalej idzie Azja. Ten wpływ, jednoczący Polskę z Zachodem, był nadzwyczajnie wyraźny, nadzwyczajnie jasny. Spostrzegamy go nawet po upadku powstania, gdy i rówieśnicy nasi, i starsze pokolenie chcieli widzieć przyczynę naszej przegranej, a wygranej Rosji — tylko w okrucieństwie Moskali, w okrucieństwie barbarzyństwa moskiewskiego, o którem z ust do ust mówiliśmy wtedy na spółkę z całym światem europejskim.

Wpływy Zachodu na codzienną naszą pracę i codzienne nasze myśli były silniejsze od wpływów Wschodu. Szły one jednak, jak panowie widzicie, w tym samym kierunku: ośmielały nas, dawały nadzieję, oręż myślowy, ba, nawet techniczny.

Mówię o fakcie drogim Polsce, o fakcie, o którym zawsze ze wzruszeniem myślałem, o próbie szukania miejsc dla pracy państwowej, zanim się wolności na swych ziemiach nie wywalczy. Mówię o szkole wojskowej, którą założono we Włoszech.

Rozumiecie państwo, że wtedy, kiedy idzie się na wojnę, i wtedy, kiedy się do wojny przygotowuje, trzeba mieć dla niej wyszkolony materjał ludzki. W społeczeństwie ówczesnem, w stylu ówczesnym nie było tego cywilizmu i wstrętu do broni, jaki późniejsze pokolenia polskie odznaczał. Wtedy jasnem i zrozumiałem było, że trzeba tworzyć szkoły wojskowe; były one w logice zdarzeń. Nie wystarczało szukać oficerów i dowódców w spiskach tajnych, rozwiniętych w wojsku obcem. Chciano wytworzyć swoją własną szkołę, przygotowującą przyszłych dowódców.

Mówię ze specjalnem wzruszeniem o tem ze względu na to, żem sam przed wojną europejską taką szkołę wojskową tworzył i że Cuneo to właśnie taka szkoła strzelecka. Przeszły przez nią setki ludzi, którzy wszyscy do apelu stanęli, dając wszędzie energję, siłę charakteru i to, co daje wychowanie wojskowe, — ciągłość pracy i tę psychiczną karność wewnętrzną, która nie może nie słuchać rozkazów. Dowodem spełnienia swych obowiązków przez wychowanków szkoły w Cuneo jest choćby to, że straty ich są procentowo nierównie wyższe od ofiar innych uczestników powstania.

Pomoc więc efektywna, pomoc techniczna została, jak widzimy, z Włoch dana. Ciekawym jest fakt historyczny, że ta szkoła w Cuneo przyczyniła się do pewnych zmian politycznych Europy. Została ona bowiem zamknięta przez rząd włoski niedługo przed powstaniem za cenę uznania przez Rosję zjednoczonych Włoch i Cavour kazał zwinąć tę szkołę wtedy dopiero, kiedy otrzymał od Aleksandra II uznanie oficjalne Włoch zjednoczonych.

Chciałbym wreszcie zwrócić uwagę na jeden objaw wpływu na rok 1863 tradycyj zachodnich, związanych z rokiem 1848.

Studjując jeszcze przed wojną powstanie styczniowe, zainteresowałem się zagadnieniem dostawy broni do Polski. Transporty broni mogły iść przez Prusy lub przez Austrję, tworzące granicę teatru wojny. Przekonałem się, że łatwość transportu broni na całej granicy galicyjskiej zależała stale i przeważnie od jednej rzeczy — mianowicie, jakie wojska stały na granicy ze strony austrjackiej. We wszystkich wspomnieniach, choćby, naprzykład, tegoż pułkownika Strusia-Sawickiego, znajdziecie fakty wykorzystywania tych odcinków, na których stały węgierskie pułki, gdyż tam żołnierz, podoficer, nie mówiąc już o oficerze węgierskim, otwierał bramę granic w jedną i drugą stronę, pracy polskiej przeszkód nie stawiał, a wprost przeciwnie — ułatwiał ją. Jest to wpływ 1848 roku, wpływ walk Węgrów o swobodę swoją i wpływy pomocy polskiej, wtedy im danej. Generałowie z 1830 roku, Bem i Dembiński, byli generałami węgierskimi, pamięć ich działalności musiała być wtedy bardzo silną, skoro jeszcze podczas niedawnej wojny spotkałem Węgrów, którzy stawali na baczność, gdy wspominali imię Bema lub Dembińskiego. Wska-

zuję na ten fakt, bo on również maluje styl epoki ówczesnej, któryśmy zatarli już w duszach naszych, którego już nie chcemy nieraz rozumieć, a bez uwzględnienia którego sądzić o powstaniu nie wolno.

Szanowni panowie i szanowne panie! Boję się pewnego wpływu moich wykładów. Stylem naszego pokolenia było łatwe oskarżanie rodziców, że zrobili powstanie 1863 roku. Nasze pokolenie starannie chowało wstydliwe zakątki zaborców, wystawiając na pośmiewisko i pogardę pracę naszych ojców. I dlatego obawiam się posądzenia, że chcę zwalić winę powstania na Rosję albo na Zachód, że chcę zmniejszać pracę powstania i pracę naszych ojców przez wykazywanie ułatwień, idących dla nich od strony Rosji albo ze strony Zachodu. Tak nie jest, jestem od tego jak najbardziej daleki. Twierdzę jedynie zawsze, że jeżeli mamy szukać winy czy zasług, związanych z 1863 rokiem, to powinniśmy ich szukać nie gdzieindziej, jak u tych, którzy tego powstania byli sprawcami.

Kierunki historyczne, wyrosłe ze stylu naszego pokolenia i jemu wierne, chciały zmusić nas do poglądu, że kilkunastu wartogłowów, kilkunastu warjatów, kilkunastu głuptasów, świadcząc o lekkomyślności polskiej, świadcząc o głupocie polskiej, przeszkodziło polskiej rozwadze, rozumowi i powadze obdarzyć Polskę niewiadomo jakiemi dobrami. Przeciwstawiając się temu poglądowi, odpowiadam zawsze jedno: kiepską jest ta powaga, kiepskim jest ten autorytet, kiepskim jest ten rozum, który nie zdołał zrobić tego, czego chciał. Była wojna, wojna rok cały trwająca, wojna, panowie, którą wielka Rosja rok cały prowadzić musiała, aby ją wygrać. Czyż można takie zjawisko przy-

pisać jedynie głupocie i śmieszności polskiej, czyż można być tak naiwnym, żeby przypuszczać, iż cały rok wielkie państwo wysilać się będzie nato, by zdusić kilku smarkaczy, zdusić kilku głuptasów, którzy swemi działaniami starają się przeszkodzić rozumowi stanu. Zawsze twierdziłem, że stronnictwo ruchu, jak wówczas zwano obóz, który powstanie nakazał, zrobiło to, co chciało, a ich przeciwnicy, którzy myśl powstania zwalczali, nie potrafili zrobić tego, czego pragnęli i czego chcieli. Więc rozum, praktyczność środków była po stronie pierwszych, nie po stronie drugich.

Proszę panów! Nieraz starałem się porównywać pracę naszych ojców i matek w roku 1863 z działalnością naszych dziadów i pradziadów w roku 1830. Nie mogłem nigdy zgodzić się z tym widocznym dla mnie nonsensem mówienia o słabości, głupocie, czy lekkomyślności naszych przodków jedynie dlatego, że zostali oni zwyciężeni. Rok 1830 miał więcej szczęścia, niż rok 1863. Rok 1830 i 1863 działały innemi metodami — w jednym działała wojna, w drugim — spisek. Kto o tych różnicach nie myśli, nie może wydać o tych dwóch epokach słusznego sądu. Chcieć sądzić o pracy 1830 roku i roku 1863 bez uchwycenia siły spisku i siły wojny — niepodobna.

Siła spisku, a więc i jego szanse powodzenia, były, mojem zdaniem, sto miljonów razy większe w 1863 roku, niż w 1830. Siła spisku 1830 roku była minimalną. Ilość ludzi, wciągniętych wtedy do sprzysiężenia, i ich jakość stanowiły siłę tak drobną, tak małą i nieznaczną, że dziwić się należy, w jaki sposób spisek ten mógł osiągnąć swoje. Już z samego faktu, że nikt ze spiskowych nie wyszedł na górę, nikt z nich nie został wodzem dalszej

akcji, już z tego samego wnosić można, jak nikłemi były siły tego spisku. Na podstawie własnych zeznań belwederczyków i podchorążych stwierdzić się musi, że nie było w nich wiary, by oni sami mogli osiągnąć zamierzone cele. Ścigani przez kawalerję rosyjską, następującą na nich trop w trop, po odparciu ich ataku, idą przez Nowy Świat, stukając beznadziejnie do bram i do okien. Sami oni świadczą, że widząc głuche miasto, zabić się chcieli z rozpaczy. Gdy słabość woli Konstantego wyprowadziła wojska rosyjskie z miasta, przywódcy spisku — Wysocki, Zaliwski i inni — przestają istnieć, jako kierownicy, szukają u innych ratunku dla wszczętej akcji, innym mają oddać dorobek swego czynu, nie umieją wybrnąć z sytuacji, którą sami stworzyli. Cała starszyzna wypowiedziała się przeciwko nim, wszyscy się od nich chowali, jak od zarazy. Oto jest słabość spisku, słabość tego instrumentu, którym działać chciano.

Jakżeż inną jest siła spisku w 1863 roku. Rozkaz, przez jego władze wydany, jest bezapelacyjnie spełniany, tysiące ludzi zbiera się tylko dlatego, że nakazano dzisiaj o godzinie takiej a takiej stanąć pod sztandarem.

Jest inna jeszcze różnica, dzieląca epokę 1830 roku od czasów styczniowego powstania. W obu wypadkach spiski dążyły do wywołania wojny. Narzędziem wojny jest wojsko. W stylu czasów powstania listopadowego leżało to, że wojsko jeszcze nie było ściśle złączone z ludnością, z narodem, było ono uważane za wyodrębniony od społeczeństwa instrument rządu, jemu jedynie podlegający. Dlatego też spiskowcy polscy w 1830 roku czekają odpowiedzi tylko wojska, na nic innego

nie rachują, o nic innego nie dbają. Idzie im tylko o wojsko, jako o instrument wojny.

Inaczej ma się rzecz w powstaniu styczniowem. Wspomniałem już, że rok 1863 stoi na rubieży, na rubieży pojęć i wielkich prac dziejowych. Pewne rzeczy się kończyły, a wschodziła nowa zorza, zorza wielkich państw, zakutych w żelazo, wielkich państw, uzbrojonych w najświeższe wynalazki, stosujących środki techniczne, jako swój monopol i jako swoją siłę. Ale zarazem mocarstwa te poczynają szukać wzmocnienia swych sił przez ścisły związek swego aparatu z obywatelami, z poddanymi, chcą powiększyć swą potęgę przez wytworzenie spółki — pracy państwa i społeczeństwa. Epoka ta świeżo przed naszemi oczyma się skończyła. O wynikach ostatnich krwawych zapasów świata rozstrzygnęła ostatecznie nie techniczna praca, prowadzona przez samo wojsko, ale wysiłek duchowy miljonów, który pękał lub wytrzymywał. Narody całe szły milionami nato, by państwo popierać, i od siły narodów, od ich wytrzymałości, od ich wartości jako człowieka, od ich spółki z państwem, prowadzącem wojnę, zależało zwycięstwo.

Rok 1863 stoi na rubieży. Nie skończyła się epoka 1863 roku, a już gdzieś widniały początki nowej epoki, zmieniającej i zadania wojska. Rok 1863 dał ludzi, idących w awangardzie nowych prądów. Polska myśl ówczesna mocowała się z nowemi zagadnieniami. Widziała upadek dotychczasowych form pracy wojskowej, form jedynie technicznych, form, opartych na dwudziestoletniej nieraz służbie wojskowej. Nasza myśl ówczesna szukała dla Polski, dla swego państwa, nowych sił wojny. Za temi nowemi metodami pracy wojskowej poszła niedługo

pod batem konieczności cała Europa, gdy poczęła przerabiać miljony ludzi na żołnierzy.

Spisek 1863 roku, przewyższający wielokrotnie swą siłą i potęgą spisek 1830 roku, szukał sił szlachetnych, wrzących w narodzie, chciał znaleźć oparcie o wewnętrzną całość moralną, o wytrzymałość całej masy ludzi, będących Polakami.

Przykładem nowych dążeń był Zygmunt Sierakowski. Posiadał w państwie rosyjskiem wpływ magiczny właśnie dlatego, że szedł w nowym kierunku stworzenia żołnierza, niebędącego fachowem bydlęciem do zabijania, a obywatela, związanego ze swoim narodem. Jako spiskowiec polski, był promotorem nowych metod, które szły już na całą Europę, licząc, że maszyna rosyjska, dowodzona przez ludzi starej szkoły, wierzących tylko w pałkę i policję, nowych zmian nie wytrzyma i siła jej pęknąć musi.

Proszę państwa! Rok 1863 stał na rubieży. Jeszcze wtedy polskie struny brzmiały jednem brzmieniem ze strunami całego świata. Polska nie była zaściankiem, rzuconym w kąt, szmatą, którą poniewierano, o której starano się zapomnieć. Małość Polski późniejszego pokolenia, jakżeż daleko odbiega od wielkości Polski w tamtej epoce!

A jednak vae victis! Biada zwyciężonym! Jakżeż różne były koleje losu wielkich ludzi ówczesnych! Gdy we Włoszech nie znajdziecie miasta czy miasteczka, gdzieby nie stały pomniki Garibaldiego, nie było ulicy Mazziniego, to koledzy ich polscy, którzy umieli być autorytetem u Garibaldiego i innych, podlegali losowi zwyciężonych.

Vae victis! Lecz kiedy zwycięzca te słowa wymawia i mówi: biada zwyciężonym! — to jest to rzeczą zrozumiałą, lecz kiedy sam zwyciężony po-

twierdza te słowa, by w śmiech i pogardę obracać wielkość swojej rzeczy, to biada narodowi, który w ten sposób do wielkich rzeczy swoich się ustosunkowuje.

Marzyłem niegdyś, jak to na początku tych moich wykładów wspomniałem, że będę może kiedyś miał możność swobodnie wypowiedzieć ten ból, ten wściekły wstyd, którego zawsze doznawałem, gdym widział stosunek mego pokolenia do wielkiej epoki 1863 roku, do wielkiej pracy narodu, który w jednem brzmieniu z całym otaczającym światem szedł na bój, na bój wielki, bój wspaniały.

Naród polski umiał wtedy wydobyć z siebie wielkość, potęgę i moc, by rok cały walczyć z największem państwem świata, by rok cały zmagać się z niem i umieć w przeciągu tego roku ulec, lecz ulec tylko zwyciężonym.

Czyż tylko wstyd jest udziałem zwyciężonych? Czyż my teraz, gdy wolne państwo żyje, gdy tyle naszej własnej słabości poznaliśmy, czyż zawsze we własnych sercach, tak słabych w wielu próbach, mamy jeszcze czcić tych, którzy nie umieli zatrzymać tego nieszczęścia, jakiem miało być jakoby powstanie, a nie czcić tych, którzy mieli siłę i odwagę iść tak, jak inni szli i jak my teraz idziemy? Gdy nie będziecie odwoływać się do tego, co jest bezsilnością, gdy nie będziecie rozumować jako tchórze i gdy we własne przeżycia wejrzycie, znajdziecie w sobie szacunek i ufność dla pięknej i wielkiej epoki, epoki Padlewskiego, epoki Sierakowskiego, epoki Szwarcego i epoki wielkiej dziejowej godziny, gdy ojcowie nasi szli ongiś na boje.

VIII.

PIERWSZE DNI RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

(Listopad 1924).

WYKŁAD I.

(15 listopada 1924).

Szanowne panie i szanowni panowie! Gdy rok temu namyślałem się nad odczytami swojemi w Krakowie, próbowałem również ustalić i tytuł tych odczytów. Jako tytuł wybrałem: *Pierwsze dni Rzeczypospolitej Polskiej.*

Tytuł jest dwuznaczny. Słowo: „dzień" ma bowiem dwa znaczenia: jedno — to dzień w pojęciu astronomicznem, to okres czasu 24 godzin, mający swą numerację w miesiącu, a więc to, co się datą nazywa. Drugie znaczenie słowa: „dzień" — jest figuralne. Oznacza wtedy ten wyraz nie ściśle 24 godziny, a okres czasu, który każdy sobie najzupełniej dowolnie wyznacza.

Byłem w walce z sobą, w jakiem znaczeniu mam użyć słowa: „dzień" — czy w znaczeniu astronomicznem, czy przenośnem. Wolałem określenie figuralne. Mówiąc więc o pierwszych dniach Rzeczypospolitej, biorę okres czasu między końcem października a końcem listopada, gdyż ścisłe daty z wielką trudnością dają się ustalać.

Ta walka właśnie z samym sobą nad określeniem bardziej ścisłem czasu jest może charakterystyczną rzeczą dla tej epoki. Świadczy to o trudności oznaczenia daty, kiedy Rzeczpospolita

Polska, jako ustrój państwowy, mogła o sobie powiedzieć: jestem!

Robiłem najrozmaitsze próby, aby dojść do próby określenia tej daty. Panowie wiecie dobrze, że macie zawsze i wszędzie wielkie trudności z ustaleniem dat czy to uroczystości, czy też takich czy innych przykrości osobistych. Zawsze będziecie wtedy błądzić.To samo dzieje się, gdy idzie o całość Rzeczypospolitej Polskiej. Starałem się ustalić tu datę, próbując swojej metody, że tak powiem, historycznej.

Chciałem tą metodą ustalić ściśle datę, związaną z tym faktem, że Rzeczpospolita jest. że to zjawisko historyczne zaczyna istnieć. Próbowałem drogi, być może, błędnej, ale związanej z moim sposobem myślenia. Próbowałem drogą analizy poszczególnych prób rządzenia znaleźć wśród najrozmaitszych dat, jakie mogą istnieć w umyśle lub jakie pozostawiła historja, datę jedną, albo przynajmniej daty częściowe, parcjalne, w stosunku do pracy rządzenia.

Każdy ustrój państwowy ma rząd, który ma prawa w stosunku do swych obywateli. Data powstania każdego nowego tworu państwowego dałaby się historycznie określić jakimś przejawem życia, naprzykład, jakąś uroczystością, podobną do uroczystości położenia kamienia węgielnego pod gmach, którego przecież jeszcze niema.

Skoro jednak każdy ustrój państwowy ma rząd, który ma prawa w stosunku do swych obywateli, a ci — obowiązki wobec niego, to istotnym sprawdzianem istnienia jakiegoś ustroju państwowego jest to, że przez pewien okres czasu prawa rządu są historycznie zbadane i posłuszeństwo tych, którzy go na pewnym obszarze, związanym z ustro-

jem państwa, słuchają i słuchać muszą, jest historycznie sprawdzone.

Wobec tego mam do czynienia z dwiema rzeczami — ze zjawiskiem Rzeczypospolitej Polskiej z jednej strony, a z drugiej z próbami odszukania tej daty, gdy obywatele Rzeczypospolitej Polskiej usłuchali jakiegoś nakazu przez pewien okres czasu.

Fakt, że trudno jest znaleźć jakąś uroczystość wspólną dla wszystkich, — wspólną dla wszystkich datę, — świadczy o tem, że Rzeczpospolita Polska się stawała, to znaczy, że upłynął pewien okres czasu, zanim się stała.

W tym okresie czasu robiono wszędzie najrozmaitsze próby czy półpróby tworzenia półrządów, próby, które dawały te czy inne rezultaty i które w ten sposób popychały do ostatecznego historycznego faktu, że Rzeczpospolita jest.

Przechodzę do analizy tych prób.

Zaczynam od Krakowa, bo jestem jego gościem. Jeżeli, panowie krakowianie, usłyszycie może jakieś gorzkie słowa, to znaczy tylko, że podzielacie los na równi z innymi, którzy podobnych określeń też słuchać mogą. Spokojnie stawiam swoją osobę w rzędzie tych, którzy mogą słuchać gorzkich słów. Dlatego proszę, abyście nie byli rozgoryczeni, bo nie będę mówił w chęci dokuczenia krakowianom, a będę przytaczał historyczne fakty, którym ani ja, ani nikt inny poradzić nie może.

Kraków chce święcić dzień 30 października, przynajmniej próbuje to ustalić. Co oznacza dzień 30 października? Oznacza akt zniesienia sposobem gwałtu tego, co istniało przedtem, to znaczy rządu austrjackiego i jego organów. Panowie! Akty gwałtu mogą istnieć, lecz nie oznaczają jeszcze rzą-

dzenia. Akt gwałtu, dokonany więc na przedstawicielach rządu austrjackiego w Krakowie, to znaczy rządu zaborczego w stosunku do części Polski, nie jest jeszcze równoznaczny z aktem rządzenia. Historycznie rzecz biorąc, ludzie, którzy dokonali tego gwałtu, nie rządzili. Ba, mam dokumenty, które stwierdzają, że rządzić nie chcieli. Instytucją tu działającą była „Komisja Likwidacyjna". Gdy zaś uprzytomnimy sobie samą nazwę: „Komisja Likwidacyjna", to jest już w tem bardzo ostrożny stosunek do spraw rządzenia, albowiem jest ona „komisją" i w dodatku „likwidacyjną". Wygląda to na to, że „Komisja Likwidacyjna" likwiduje wszystko i likwiduje i siebie.

Nazwa wynikła z tego, że „Komisja Likwidacyjna" rozpoczęła swoje istnienie i swoją pracę na podstawie aktu nie swojego, ale obcego, zaborczego państwa, na podstawie aktu cesarza Karola, który rozwiązał niejako Austrję. Oparta na tym akcie „Komisja Likwidacyjna" zaczęła rządzić tą częścią Polski, która była związana z Krakowem. Dlatego nazwała się w tak dziwaczny sposób „Komisją Likwidacyjną", — likwidująca stan zaboru i nie mająca właściwie charakteru rządzenia.

Dość jest bowiem trudno przypuścić, aby sam fakt rządzenia opierał się na likwidacji. Powtarzam, że to oznacza i likwidację samej siebie, co też historycznie i nastąpiło. Komisja ta jest związana z likwidowaniem Austrji, ma zatem „Komisja Likwidacyjna" z natury rzeczy cechy współrządzenia i pozbawiona jest ona charakteru tego, co jest zawsze rządem — suwerenności w stosunku do swych działań.

Panowie! Mam przed sobą pewien dokument, który chcę scharakteryzować. Autorami jego, jak

wydaje się z treści odezwy, są ludzie, którzy akt 30 października, to jest rozbrojenie, robili. Podpisana jest ta odezwa przez Polską Organizację Wojskową. Czytamy w niej: „Nocy dzisiejszej dokonaliśmy tego, czego naród pragnął. W miejsce austrjackich wojsk i obcej komendy staje garnizon polski, poddany najwyższej władzy w kraju, Polskiej Komisji Likwidacyjnej. Dziś rano oddajemy owoc naszej pracy do dyspozycji Polskiej Komisji Likwidacyjnej, jej decyzje i jej rozkazy wskażą dalszą drogę postępowania".

Ludzie, którzy dokonali tego aktu rozbrojenia i usunięcia cech zaborczych, mogli działać albo z poruczenia, albo bez poruczenia „Komisji Likwidacyjnej", której się potem poddali. Nie chcę tego badać i nie chcę tego faktu, którego dobrze nie znam, gdyż przy tem nie byłem, analizować. Odezwa świadczyłaby jednak, że „Komisja Likwidacyjna" tego rozbrojenia nie nakazała i publicznie do tego się nie przyznała, że „Komisja Likwidacyjna" — rządząca, czy próbująca rządzić — nie ułatwiła tego aktu.

Przypomina to z naszej przeszłości fakt, gdy Piotr Wysocki z Zaliwskim urządzili noc 29 listopada i nazajutrz szukali — używając słów cytowanej przed chwilą odezwy — „do czyjej dyspozycji" mają „oddać owoc swej pracy", i jak wiemy, oddać tej władzy nie mieli komu.

Dokumenty, które za chwilę przytoczę, świadczą, że ten stan współrządzenia trwał dość długo. Czytamy w *Czasie* z dnia 6 listopada 1918 roku następujący telegram własny z Wiednia:

„Dzienniki tutejsze donoszą, że minister dla Galicji dr. Gałecki podał się do dymisji".

W *Czasie* z dnia 8 listopada 1918 roku znajdujemy w związku z tą wiadomością inny telegram własny z Wiednia, który mówi: „Ministrowi Gałeckiemu Komisja Likwidacyjna poleciła zastępstwo w Wiedniu. Minister Gałecki z ramienia Komisji Likwidacyjnej objął agendy poszczególnych resortów ministerstwa, o ile one dotyczą Galicji. Wiadomość, podana przez niektóre dzienniki tutejsze, jakoby minister Gałecki podał się do dymisji, jest nieprawdziwa".

Samo określenie, mówiące tu o jakiejś niewyraźnej pracy „Komisji Likwidacyjnej" i byłego ministra dla Galicji przy rządzie austrjackim, świadczą o tej połowiczności poglądów, o tej połowiczności decyzji, o tym stanie współrządzenia z innymi.

Najcharakterystyczniejszą pod tym względem dla moich wywodów jest depesza z dnia 9 listopada 1918 roku, w tymże *Czasie* pomieszczona. Brzmi ona: „*Polnische Nachrichten* upoważnione są ze strony miarodajnej do oświadczenia, że doniesienie, jakoby prezydent ministrów Lammasch dotąd nie załatwił prośby dr. Gałeckiego o dymisję, z tego powodu jest nieprawdziwe, że pan Gałecki prośby takiej wogóle nie wręczył. Także twierdzenie, że pan Gałecki powołany został przez rząd warszawski do Komisji Likwidacyjnej jest nieprawdziwe. Dr. Gałecki zamianowany został przez Polską Komisję Likwidacyjną jej reprezentantem na Wiedeń".

Jak widzicie panowie, znowu mamy akt, który świadczy o jednem i tem samem. „Komisja Likwidacyjna" nie ma pretensji, aby być rządem polskim. „Komisja Likwidacyjna" ma tylko tendencję likwidowania, razem z innemi krajami, Austrji.

To jest jej cel i zadanie. Pracą jej jest nie rządzenie, a współrządzenie. Suwerenności „Komisja Likwidacyjna“ w stosunku do siebie nie ma i nie ma jej w stosunku do kraju.

Mamy tu do czynienia z charakterystycznem dla owego czasu stawaniem się Polską — okolic, że tak powiem, Krakowa, gdyż jest faktem historycznym, że wszelka praca „Komisji Likwidacyjnej“, mająca jakiś jednolity charakter, zatrzymała się jednak na granicach niedalekich stosunkowo od Krakowa. „Komisja Likwidacyjna“ nie sięgnęła swoją działalnością poza linję, od której na północ zaczynała się część Rzeczypospolitej Polskiej, okupowana wtedy przez Austrję; zatrzymała się na Sanie, nie przekraczając prawem rządzenia tej granicy, ponieważ tam to prawo zostało skontrowane przez innych; nie wspominając już o takich tworach, z któremi i ja miałem potem swoje kłopoty, jak naprzykład, Tarnobrzeg i okolice, gdzie był rząd księdza Okonia, nie poddający się wcale „Komisji Likwidacyjnej“. Zakres jej działania jest więc terytorjalnie znacznie ograniczony. Cały ten okres czasu jest próbą rządzenia, jest okresem stawania się Polską — jednej części naszego kraju.

Przechodzę do innego zaboru, do zaboru pruskiego, w którym znajdziecie zupełnie analogiczne zjawiska robienia w owym czasie prób stawania się Polską. Próba rządzenia polskiego w tej dzielnicy znana jest pod nazwą tak zwanej „Rady Ludowej“ w Poznaniu. Zobaczymy, jak ona się stworzyła.

Pierwsze podobieństwo między zaborem austrjackim a pruskim, które rzuca się w oczy, polega na tem, że próby rządzenia polskiego wywołane są przez nie co innego, jak przez akty samych za-

borców, zmieniających swe urządzenia państwowe. Po tak zwanej rewolucji nastąpił w Niemczech rząd o dzikiej nazwie, nieznanej dotychczas w świecie Zachodu, a importowanej z Rosji: *Soldatenraty* i *Arbeiterraty*, rady robotnicze i żołnierskie. Z nakazu zaborcy zostały utworzone *Soldatenraty* i *Arbeiterraty* wszędzie na całej przestrzeni państwa niemieckiego. W Poznaniu również z nakazu rządu niemieckiego zawiązały się *Soldatenraty* i *Arbeiterraty*, jako część prac państwa niemieckiego. Do tego, że tak powiem, przyczepiła się strona polska i ogłosiła, że istnieje Komitet Obywatelski polski, który został utworzony poprzednio, a teraz z mroków tajności wychodzi na jaw.

Mam przed sobą *Kurjer Poznański* z dnia 12 listopada 1918 roku. Jest to drugi czy trzeci dzień po rewolucji berlińskiej i po powołaniu tego dziwnego rządu *Soldaten-* i *Arbeiterratów*.

Czytamy w nim: „Zebranie Komitetu Obywatelskiego odbyło się po południu o godzinie 3, w mieszkaniu dr. Głowackiego, dyrektora „Vesty". Zanim się rozpoczęło, wkroczyli na zebranie wysłannicy Rady żołnierzy, oświadczając, że zebranie rozwiązują. Dopiero po wyjaśnieniu, że Komitet Obywatelski nie zamierza bynajmniej przeciwdziałać Radzie żołnierzy, lecz, przeciwnie, zdąża również do podtrzymania ładu i porządku, wysłannicy wojskowi zgodzili się na odbycie zebrania, zaznaczając, że jako delegatów Komitetu Obywatelskiego na zebranie Rady żołnierzy taż Rada zamianowała panów Karola Rzepeckiego, Kazimierza Krajnę, dr. Stanisława Krzyżankiewicza i Franciszka Budzyńskiego. Z łona Komitetu oświadczono, że ci czterej panowie są na zebraniu obecni i że do Komitetu należą, że jednak Komitet

zastrzega sobie w całej pełni prawo swobodnego wyboru osób, a zarazem, że prosi o przyznanie Komitetowi siedmiu delegatów na pierwsze zebranie, które Rada wyznaczyła na godzinę 7 w gubernatorstwie poznańskiem. Delegacja żołnierzy zgodziła się na to, poczem niemieccy delegaci zebranie opuścili, a za wzajemną zgodą pozostali na zebraniu trzej polscy delegaci żołnierzy".

Tak powstaje ta pierwsza próba rządzenia się polskiego. Odrazu spotyka ona sprzeciw zaborcy, który narzucił jej swą formę, nieznaną dotychczas w Polsce, mianowicie formę Rady robotniczej i żołnierskiej. Ba, po pewnym czasie pertraktacje doprowadziły do zwycięstwa nazwy *Volksratu* nad nazwą Komitetu Obywatelskiego i nazwa ta znika prędko pod naciskiem zaborcy na korzyść *Polnischer Volksrat in Posen.*

Ta „Rada Ludowa" przystępuje do współrządzenia. Pewne akty tego współrządu są dość komiczne. W *Kurjerze Poznańskim* z dnia 13 listopada czytamy następujące „oświadczenie":

„Pogłoska, jakoby legjoniści polscy byli w pochodzie na Poznań, zaniepokaja ludność. Rada robotniczo-żołnierska natychmiast utworzyła komisję, która pod przewodnictwem posła dr. Seydy i z udziałem innych posłów polskich do parlamentu i sejmu udała się na granicę kraju. Posłowie polscy oświadczyli, że w żadnym wypadku nie dopuszczą na starcie z żołnierzami niemieckimi.

...Rada robotniczo-żołnierska oświadcza, że wykluczone jest zupełnie niebezpieczeństwo dla ludności Poznania.

. . . . . .

Wzywamy wszystkie klasy społeczeństwa, aby zachowały spokój i porządek".

Więc naskutek nacisku Rady żołnierskiej. *Volksrat*, — „Rada Ludowa“ w Poznaniu zarządza kroki dla powstrzymania nieprzyjacielskich jakoby kroków jakichś Legjonów polskich. mających atakować Radę żołnierską niemiecką w Poznaniu.

Jak widać. te próby rządzenia są zawsze związane nie z czemś innem. jak z istniejącym dotychczas zaborcą. który narzuca formę pracy polskiej. nakazuje kroki nieraz przykre. prąc jakoby do wystąpienia przeciw innym Polakom i nakazując utrzymać ściśle tę granicę. jaka była narzucona przez zaborców. Zaborca jest tu wciąż współrzędnym rządem. zaborca istnieje obok Polaków.

Analizując próbę poznańską. która historycznie trwała względnie długo. musimy powiedzieć, że ona najbardziej i najsilniej podlegała zaborcy. Albowiem „Komisja Likwidacyjna“ spokojnie i jasno stwierdziła, że jest tylko instytucją, „likwidującą“ stosunek zaborcy do Polski. W Poznańskiem jest wyraźne współrządzenie. nawet uleganie dalsze zaborcy. Widać to ze wszystkich aktów. o których na chybił trafił mówiłem. dlatego. aby stwierdzić. że wszyscy w Poznańskiem pod tym względem nie szli na dalej idące kroki.

Oto mam przed sobą znowu *Kurjer Poznański* z 15 listopada. w którym jest odezwa wszystkich posłów Koła Polskiego w sejmie pruskim i Koła Polskiego w parlamencie niemieckim. Czytamy w niej:

„Patrzymy na niebywały przewrót stosunków politycznych i społecznych w Niemczech. Pod jego wpływem powstają wszędzie Rady żołnierzy i robotników. O ile w naszej dzielnicy zadaniem ich jest utrzymanie ładu, porządku i wyżywienia ludności, wzywamy lud polski, aby w tych gra-

nicach wszędzie z Radami żołnierzy i robotników współdziałał, zapewniając sobie przynależny wpływ".

Panowie, którzy są pod odezwą podpisani, nie mogą mieć chyba pretensji, żeby być specjalnymi amatorami *Soldaten-* i *Arbeiterratów*. A jednak takie wezwanie podpisali!

Taką samą instrukcję znajdujemy w odezwie „Komisarjatu Naczelnej Rady Ludowej", podpisanej przez księdza Adamskiego, Korfantego i Poszwińskiego, gdzie czytamy:

„Rady Ludowe powiatowe, miejskie i gminne ... tam, gdzie istnieją Rady żołnierzy i robotników, postarają się o porozumienie z niemi i o wprowadzenie do nich przedstawicielstwa polskiego".

Znowu więc mamy fakty współistnienia obu władz, przymusowego współrządzenia i poddawania się władzy zaborców, jako władzy bardziej silnej, bardziej suwerennej.

Przechodzę do zaboru rosyjskiego.

Zabór rosyjski miał w owym czasie tę charakterystyczną cechę w porównaniu z innemi zaborami, że był rozdarty, podzielony według woli okupantów. Jeżeli panowie zechcecie odtworzyć sobie w pamięci te miłe czasy, to przypomnicie sobie, że, jadąc stąd do Warszawy, w pewnych miejscach na prawo od kolei był zabór austrjacki, a na lewo zabór pruski, tak, że na stacje, o ile były na prawo położone od toru kolejowego, trzeba było brać przepustki od władz niemieckich. Ten podział kraju wzdłuż linji kolejowej wzbudzał we mnie śmiech i twierdziłem wówczas, że z równym sensem możnaby poprowadzić granicę wzdłuż ulicy Marszałkowskiej w Warszawie i wymagać prze-

pustek, pozwalających na przechodzenie z jednej strony ulicy na drugą.

Zaborca, to znaczy wojska niemieckie i wojska austrjackie, gdyż okupacja była militarna, pokrajały zabór rosyjski w tym czy innym kierunku na najrozmaitsze części i z tego powodu narzuciły w czasie powstawania Polski inny sposób postępowania w różnych częściach byłego Królestwa. Dlatego znowu daty prób rządzenia w tej czy innej części tego kraju z sobą się nie zgadzają.

Próby w okupacji niemieckiej idą w parze i w pewnej równoległości z próbami w Poznańskiem, gdyż zależały one nie od czego innego, jak od takich czy innych aktów, od pracy lub bezpracy zaborczego rządu. Ponieważ zabór austrjacki, jak wogóle cała Austrja, usuwał dotychczasowe rządy prędzej, niż zabór niemiecki, więc Lublin, czyli okupacja austrjacka, miał możność działania szybszego, w porównaniu z okupacją niemiecką.

Dla charakterystyki stosunków w okupacji niemieckiej wybrałem dokument, związany z moją osobą. Jak wiadomo, w końcu października 1918 roku utworzył się nowy rząd w Warszawie, tak zwany rząd Świeżyńskiego, który mianował mnie ministrem ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, gdyż nic o tem nie wiedziałem i dowiedziałem się o tem, siedząc w Magdeburgu, z dziennika *Woche*, wręczonego mi pokryjomu przez podoficera, mającego rozkaz mnie pilnować. Przeczytanie tej wiadomości, że już jestem ministrem polskim, wywołało śmiech ogromny zarówno u mnie, jak i u generała Sosnkowskiego. Nie wiedziałem również o tem, że Świeżyński żądał mego zwolnienia. Na to żądanie kanclerz niemiecki odpowiedział:

„Pan prezes ministrów Świeżyński, Warszawa.

Mam zaszczyt potwierdzić Waszej Ekscelencji odbiór telegramu z dnia 23 października 1918 roku, w którym pan donosi mi o objęciu urzędu prezesa ministrów i daje wyraz nadziei, że rząd niemiecki okaże gotowość internowanemu obecnie w Magdeburgu brygadjerowi Józefowi Piłsudskiemu, wobec jego powołania na stanowisko ministra spraw wojskowych, umożliwić powrót do ojczyzny. Niemiecki zarząd okupacyjny zdecydował się w swoim czasie tylko z naglących względów utrzymania porządku i spokoju w kraju na to, aby brygadjera Piłsudskiego, który z początkiem wojny po stronie mocarstw centralnych walczył o uwolnienie swej ojczyzny i jako członek Tymczasowej Rady Stanu brał czynny udział w rozpoczętej przez mocarstwa okupacyjne budowie państwa polskiego, internować w Niemczech. Ekscelencja wyraża przekonanie, że leży to w dobrze uzasadnionym interesie obustronnym państw obu, aby brygadjer Piłsudski niezwłocznie powrócił i objął powierzony mu urząd. Zapatrywanie to mógłbym podzielać tylko wtedy, gdyby brygadjer Piłsudski porzucił wrogie stanowisko wobec władz okupacyjnych, które doprowadziło do jego usunięcia z Polski, i gdyby z całą szczerością stanął na gruncie przestrzegania obustronnych interesów państwowych. Jest w mocy polskiego rządu przyczynić się do tego przez dostarczenie zarządowi okupacji takich dowodów, któreby mogły usunąć wątpliwości, zachodzące obecnie w kwestji powrotu brygadjera Piłsudskiego, tudzież przez objęcie za dalsze zachowanie się jego takich poręczeń i gwarancyj, których żądać ma prawo rząd niemiecki, dopóki, jako władza okupa-

cyjna, ponosi odpowiedzialność za utrzymanie spokoju i porządku na terenie okupacji.

Kanclerz Rzeszy
Maksymiljan, książę Badeński.

Z wielką przyjemnością odczytuję te słowa. od bardzo niedawna mi znane. Nie znając tej depeszy, zawsze myślałem z podziwem. dlaczego tak uporczywie prześladuje mnie oskarżenie o specjalny germanofilizm. Wytłumaczenie tego znajduję.

Natomiast odpowiedź Świeżyńskiego z dnia 2 listopada 1918 roku na tę depeszę jest następująca:

„Na telegram Waszej Wielkoksiążęcej Wysokości z dnia 31 października 1918 roku mam zaszczyt imieniem rządu polskiego oświadczyć, co następuje:

Według naszego rozumienia. powołanie na ministra obrony krajowej brygadjera Piłsudskiego służy za najlepszą gwarancję, że tylko w razie jego uwolnienia możemy wziąć odpowiedzialność za spokój w kraju i poprawne likwidowanie okupacji, niezbędne ze względu na obustronny interes.

Powrót Piłsudskiego jest dla rządu polskiego rękojmią utrzymania spokoju w kraju, wobec czego musimy ponownie kłaść nacisk na niezwłoczne umożliwienie mu przybycia do kraju.

Prezydent ministrów Świeżyński".

Znowu więc znajdujemy tu określenie „likwidowanie", tak, jakgdyby to słowo szło krok w krok, para w parze z pracą i próbami rządzenia w Polsce.

Wybrałem tylko te dwa dokumenty. Dlaczego? Dlatego, że ze wszystkich prób, czynionych

w Polsce. — o swojej powiem na końcu — próba rządzenia wbrew okupacji była ze strony rządu Świeżyńskiego najsilniejsza i najbardziej ostra. Jeżeli więc ta próba rządzenia wbrew okupantom, wbrew rządowi zaborczemu, miała taki charakter, że wszystkie słowa i określenia mówiły tylko o tem, że rząd okupacyjny jest silniejszy od rządu Świeżyńskiego, to wtedy niema mowy o innych, którzy byli znacznie słabsi w wystąpieniach, niż rząd Świeżyńskiego.

Przechodzę do tak zwanego „rządu lubelskiego".

Został on stworzony bardzo późno w porównaniu z innemi próbami rządzenia, albowiem, jeżeli wszystkie próby rządzenia, o których mówiłem, noszą daty ostatnich dni października, to „rząd lubelski" przekracza październik i wchodzi pod koniec pierwszego dziesiątka dni listopada. Rząd ten miał więc w porównaniu z innemi bardziej ułatwione zadanie. Rząd austrjacki, jeżeli jeszcze miał co likwidować wewnątrz Austrji, na terenach państw z niej powstających, — to w okupacji swojej w Królestwie nie miał nawet co likwidować i był stroną słabszą w porównaniu z siłą zaborcy we wszystkich innych częściach Polski. Dlatego też w wystąpieniach „rządu lubelskiego" jest nuta, której gdzieindziej niema. Nuta, która mówi o rządzie, a nie o współrządzie i dlatego jest to próba, która poszła najdalej i najsilniej w kierunku stania się rządem polskim. „Rząd lubelski" poszedł nawet tak daleko, że przedstawiał się, jako rząd jedyny, i żądał od wszystkich innych prób rządu, aby mu się poddały. To znaczy, zrobił on pierwszą historyczną próbę zrobienia rządu jednolitego na całym obszarze Rzeczypospolitej, próbę, która jednak historycznie nie dała rezultatu.

„Rząd lubelski“ powstaje wtedy, gdy proces osłabienia państw zaborczych już poszedł bardzo daleko, z drugiej zaś strony ma samego zaborcę najmniej zorganizowanego. Ma więc ten rząd ułatwienia takie, jakich kto inny nie miał, zarówno dzięki słabości zaborcy, jak i wskutek tego, że jest próbą rządzenia, powstałą względnie późno. Wskutek tego cokolwiek mogłoby się mówić przeciw tak zwanemu rządowi lubelskiemu, pozostanie prawdą to, że poszedł on w próbie rządzenia najdalej i wygląda on pierwszy na rząd polski.

Konkurentem zarówno dla Niemiec, jak i dla „rządu lubelskiego“, była tak zwana „Rada Regencyjna“, która istniała już wcześniej, jako rząd polski „in spe“, i kontynuowała w swoich wystąpieniach ówczesnych próby rozciągnięcia tego rządu na razie na zabór rosyjski. Są nawet próby rozszerzenia jego władzy i na zabór austrjacki, gdyż jest faktem, że do Krakowa, do „Komisji Likwidacyjnej“, zjawił się przedstawiciel „Rady Regencyjnej“, żądając od Komisji poddania się Radzie. Czytaliśmy w poprzednio przeze mnie cytowanych aktach, że istniały nawet pogłoski, jakoby ówczesny minister dla Galicji Gałecki poddał się ówczesnemu rządowi warszawskiemu, czyli „Radzie Regencyjnej“.

Jakiekolwiek byłyby jednak czyjeś sądy o tych dwóch instytucjach, występujących w roli pewnych konkurentów, historycznie pozostanie faktem, że ani „Rada Regencyjna“, ani „rząd lubelski“ w pierwszych dniach Rzeczypospolitej Polskiej nie utrzymały się przez czas dłuższy.

Na innych obszarach Polski były również wówczas najrozmaitsze próby rządzenia się samodzielnie czy współrządzenia na podstawach polskich.

próby jakgdyby przygotowania faktu stawania się Polski. Mówię tu o kresach.

Świeżo bawiąc w Wilnie, mówiłem ze znanym profesorem Ruszczycem, który mi opowiadał bardzo ciekawe szczegóły, jak przy wypieraniu zaborców, Niemców, próbowano wszędzie skupić się, aby próbować rządzić. W oszmiańskim powiecie próbowano zapomocą komitetów parafjalnych być gotowymi do ujęcia w swoje ręce rządu w imieniu Polski. Takie próby znane mi są z Wilna, Wileńszczyzny, Grodna i Grodzieńszczyzny. Dzięki specjalnym stosunkom rozbijały się te usiłowania na poszczególne części i kawałki — bez możności związania się w jedność.

Przechodzę do próby rządu emigracyjnego. „Komitet Narodowy“ w Paryżu szedł na próbę utworzenia rządu na emigracji, podając się za rząd, bo ja wiem jaki, i próbujący rządzić wspólnie ze zwycięzcami Niemiec i Austrji, wspólnie z rządami tak zwanej *Ententy*. Nawet był uznany przez jej rządy. Nie śmiał on brać na siebie nazwy rządu, tak, jak to zrobił „rząd lubelski“. Nazwał się skromnie nie komisją likwidacyjną, bo nie miał w *Ententcie* czego likwidować dla Polski, a „Komitetem Narodowym“, który był tylko próbą ze strony Polski kierowania losami Polski wspólnie z innymi. Prawa suwerenności nie brał na siebie, bo zaznaczył zbyt silnie, kto z nim współrządzi, zresztą — jak miał wykonywać prawa suwerenności w stosunku do Polski, z oddalenia, z Paryża? Próba tego rządu o tyle była w tym czasie słaba, że, jak panom wiadomo, przy zawieszeniu broni, które też wypadło na okres listopadowy, nie próbowano nawet, jak przypuszczam, wymagać tego, ażeby Polska została oswobodzona od Niemiec czy Austrji, i odłożono,

że tak powiem, żądania Polski na czas lepszy, albowiem w podpisanym ostatecznie 12 listopada zawieszeniu broni z Niemcami ani słowa o Polsce niema. Niema w niem wymagania od Niemiec, aby w stosunku do Polski jakiekolwiek nakazane pakty wykonały.

Przechodzę wreszcie do prób moich.

Powróciłem z Magdeburga 10 listopada. Próby moje odrazu były bardzo nikłe. Byłem przerażony tem, co zastałem, i chciałem — wyznam — najbardziej tchórzliwie uciec z Warszawy. Zastałem tam bowiem to, co w myślach nazwałem oddawna konkubinatem z zaborcą, konkubinatem, w którym zaborca jest zawsze silniejszy od Polski. Dlatego, zastawszy stan chaosu, — półrewolucji, pół — nie wiem czego — chciałem nazajutrz wyjechać z Warszawy. Wykazałem więc tę samą niechęć do rządzenia, tę samą niechęć do wyraźnego postawienia sprawy, jaką mieli wszyscy inni, robiący w owym czasie próby rządzenia. Byłem w tym pierwszym okresie prześcignięty przez „rząd lubelski", o którym, gdym przyjechał, nie miałem zielonego pojęcia.

Zastałem w Warszawie ten sam fakt — jak go nazywam — konkubinatu z zaborcą, konkubinatu, z którym mieli do czynienia i nasi rodacy w Wielkopolsce. *Arbeiterrat* nie mógł być tu sformowany, bo nie wystarczało na to sił, ale zato *Soldatenrat* został tu również stworzony. W nocy tego samego dnia, w którym przyjechałem, zjawili się do mnie przedstawiciele *Soldatenratu* z prośbą o omówienie sposobu, zapomocą którego możnaby było zarządzić likwidację okupacji, czyli istnienia zaborcy w Polsce. Pamiętam dobrze ten moment, gdy w chwili kładzenia się spać zjawiło się do mnie

sześciu czy siedmiu panów, pierwszy raz widzianych, którzy mi swą prośbę ułożenia sposobu likwidacji zakomunikowali. Daremnie dowodziłem, że to do mnie nie należy i że nie chcę się do tego mieszać, że to należy do „Rady Regencyjnej" i napróżno namawiałem ich, by zwrócili się do kogo chcą, ale nie do mnie. Wtedy ci panowie wyrazili swoje obawy, że jeżeli się zwrócą do jednych, to drudzy zato tylko, że się do tamtych zwrócili, zaczną na nich napadać i zarzynać, gdy zaś zwrócą się do przeciwników „Rady Regencyjnej", to kto wie, czy „Rada Regencyjna" nie zacznie ich napadać i wyrzynać. W położeniu tem, w jakiem się znaleźli. muszą mieć gwarancję, że żołnierze, oficerowie, żony oficerskie i tak dalej powrócą do kraju. Żądają odpowiedzi, gdyż jutro będą musieli przejść do zabezpieczenia swego życia i swoich podwładnych. Wtedy dopiero się zawahałem i postawiłem warunek, że mogę wziąć na siebie obronę ich życia, ale muszą przyrzec posłuszeństwo. Ewakuacja odbędzie się na mój rozkaz, nie na ich. Cały materjał kolejowy i cała broń pozostanie w Polsce. Tylko w tych warunkach idę na zgodę. Delegaci odwołali się do swoich *Soldatenratów* i przyjęli te warunki.

Pierwsze więc moje próby czynione były znowu w okolicznościach, które słusznie nazwałem konkubinatem, od którego nie można się było uwolnić. Różnica była tylko ta, że w tym konkubinacie ja byłem na górze, a zaborcy na dole.

Nie będę się zatrzymywał nad pracami mojemi w tych pierwszych dniach po powrocie do Polski, bo zdążam do ustalenia daty, daty, zdaniem mojem, jedynej, którą można wybrać dla powiedzenia, że Polska jest. Bo próby tworzenia rządu,

o których będę mówił jutro, to jest co innego, ale dopóki ten rząd polski nie wydał jakiegoś edyktu, usłuchanego historycznie, dopóty Polski, jako państwa, nie było. Dlatego też przy przebieżeniu myślą całej swojej pracy ówczesnej, zatrzymam się na jednej wyraźnej dacie, którą ze swej stronybym proponował jako datę prawnie i historycznie sprawdzoną, na dacie, która mówi, że Rzeczpospolita istnieje, bowiem wszystkie zarządzenia, które wtedy zostały uczynione — zostały przez Polskę usłuchane i trwają nawet dotychczas.

Jest to mój dekret, ustalający naczelne władze państwa, i dekret, nakazujący wybory sejmowe. Pochodzą one z końca listopada. Zarządzenie, zawarte w dekrecie, podpisanym przeze mnie dnia 22 listopada 1918 roku, a kontrasygnowanym odręcznie przez ówczesnego prezydenta ministrów Moraczewskiego, ustaliło fakt istnienia Naczelnika Państwa, fakt istnienia rządu z musem odpowiedzialności czyjejś przed czemś, wreszcie nazwę: Rzeczpospolita Polska. Wszystkie tym dekretem ustanowione instytucje istniały przez dłuższy czas. Istniał Naczelnik Państwa, istniał prezydent ministrów, kontrasygnujący jego zarządzenia, pomimo, że Naczelnik Państwa z tego stanu nie bardzo się cieszył, i tak dalej.

Drugi fakt, to wydanie dekretu o ordynacji wyborczej i o wyborach do sejmu, dekretu, podpisanego 28 listopada. Istotnie naskutek tego aktu historycznie sejm został na podstawie zarządzonej wówczas ordynacji wybrany, zebrał się i trwał te nieszczęsne cztery lata mojego naczelnikowania.

Więc okres pomiędzy 22 listopada a 28 listopada 1918 roku jest okresem ostatecznego sformowania się państwa. Jeżeli wezmę datę 28 listopada, jako

datę dekretu, zarządzającego wybory do sejmu, dekretu, który w całej swojej rozciągłości został przez obywateli państwa wykonany, to przyjmując ją jako datę powstania państwa polskiego, byłbym w porządku ze swojem określeniem, że wtedy państwo poczyna istnieć, gdy dekrety i ustawy rządu są przez obywateli usłuchane. Wiążę więc swoją propozycję z datą 28 listopada. 28 listopada jest bardzo bliski 29 listopada, tem bardziej, że dekret ten był podpisany w nocy. Łączy się to ściśle z datą 29 listopada, z dniem rocznicy powstania listopadowego. Wtedy ustanawiałem również miejsce rezydencji Naczelnika Państwa. 29 listopada przeniosłem się do Belwederu i dotychczas ten gmach jest rezydencją państwa.

Znowu więc mamy fakt, który, wtedy ustanowiony, trwał historycznie przez pewien czas dłuższy, tak, jak stworzona wówczas władza centralna, podpisująca dekrety, które historycznie znalazły powszechny posłuch u obywateli.

Panowie, jeżeli przy tej mojej próbie ustalenia daty Rzeczypospolitej Polskiej mówiłem przykro, to — powtarzam — mówiłem o sobie samym również przykro. Chciałem stchórzyć i chciałem w pierwszym momencie uciekać z Warszawy. Mówię to samo sobie, co i innym, więc proszę się nie obrażać.

Przechodzę do drugiej części mego odczytu, która się tyczy stylu epoki owych dni. Jestem zdania, że ten, kto nie chwyta stylu danego okresu, nie jest historykiem, nie ma prawa mówić prawdy o danej epoce. Styl to jest coś, co ściśle określić się nie da; jest to jednak to, co zmusza w pewnym okresie czasu ludzi nawet niechętnych do mówienia zarówno w aktach urzędowych, jak i na ulicach,

rzeczy podobnych i robienia mniej więcej jednego i tego samego. Ten, kto nie potrafi wykryć stylu danego okresu, kto nie umie przeżyć wewnątrz siebie życia pewnej epoki, ten nie jest w stanie zrozumieć tego czasu, który chce badać. Daremnie będzie się silił na przedstawienie tych czy innych form organizacji, takich czy innych aktów. W splocie różnych faktów zawsze pozostaje styl, który nie wykryty nie da klucza, że tak powiem, do duszy danego okresu. Dlatego też staram się możliwie wniknąć w pierwsze dni Rzeczypospolitej polskiej i danemu okresowi historycznemu wyszukać styl, zrozumieć ówczesnego człowieka, zrozumieć jego nędzę, biedę, słabość.

Pierwszą rzeczą, która się w tej epoce rzuca odrazu w oczy, jest słabość, słabość, wyrażająca się w niemożności powiedzenia tego, czego się chce. Na zegarze dziejowym bije godzina Polski. Wszyscy nie mają sił, aby powiedzieć to, co zegar wydzwania. Wszyscy jakgdyby szukają ucieczki od wypowiedzenia tego, co każdy pragnie, do czego każdy dąży. Uciekają tak, jak ja chciałem uciec z Warszawy, w której zatrzymał mnie nie kto inny, jak *Soldatenrat*.

Wszyscy chwytają się półpowiedzeń, półdecyzyj. Rządem jest „Komisja Likwidacyjna", rządem jest *Volksrat* poznański, rządem jest nierządząca „Rada Regencyjna", która rządzenie w nocy komuś innemu oddaje, rządem są efemerydy, które, jak „rząd lubelski", występują i w kilka dni konają. Wszędzie mamy półsłowa, półśrodki, półdecyzje, charakteryzujące ogólną słabość.

Słabość ma zawsze jedną konsekwencję — zamiłowanie do wielkich słów bez treści. Mamy też to wszędzie. Jeżeli się przebiega dokumenty histo-

ryczne, czyta ówczesne określenia, znajdziemy wszędzie pompatyczne słowa, którym treść nie odpowiada. Wszędzie, że tak powiem, słowa przekraczają zamiary, gdyż zamiary istotnie są skromne, a wielkie słowa wyrzucane są jakby dla przykrycia skromnych zamiarów, dla ukrycia swej niemożności istotnego wprowadzenia w życie tego, co się mówiło. Jest to charakterystyka zawsze słabości. Silny nigdy tak nie postępuje.

Związana jest z tem jakaś dziwna nerwowość, która jest też wypływem słabości. To, co jest, wie się dziś, a nie wie się, co będzie jutro. Wydaje się, jakgdyby wypadki biegły, nie licząc się najzupełniej z tem, co człowiek mówi i co myśli, przerastając w danej godzinie człowieka, który jest za mały w stosunku do zdarzeń. Stąd ciągłe oczekiwanie, że ktoś coś zrobi.

Jest wreszcie słabość, polegająca na poczuciu zależności od czegoś, co nie jest Polską, i na braku sił do złamania tego, co nie jest Polską. Nie jest nam przyjemny konkubinat, jednak na ten konkubinat idziemy, godzimy się na współrządzenie z tem, co nas chce załamać. Wszystkie te wybitne cechy słabości są najbardziej charakterystyczne dla stylu owej epoki.

Jest jeszcze jeden rys ówczesnego stylu, niezależny zupełnie od nas samych. Ulegamy temu, co idzie z zewnątrz. Jest charakterystycznem, że w tym czasie wszyscy, którzy byli przeciwnikami pewnych słów, nieraz bardzo surowo je sądząc, — sami zaczynają te właśnie słowa wypowiadać. Więc mówią o „szerokich warstwach pracujących“, o „konieczności udziału ludu“ w tem czy w innem, o „konieczności ludowładztwa“ — wszyscy przeciwnicy „ludowładztwa“ i „warstw pracujących“. Dochodzą

oni do tego, że, nienawidząc tych określeń, spokojnie podpisują te wszystkie słowa w aktach urzędowych. Powtarzam, trudno podejrzewać wielu ludzi, podpisanych pod aktami „Rady Ludowej" poznańskiej, aby byli zakochani w *Arbeiterratach* i *Soldatenratach,* a wypowiadają słowa, związane z *Arbeiterratami* i *Soldatenratami,* i kładą pod tem swoje nazwiska i imiona. To samo jest z rządem Świeżyńskiego, którego odezwy do ludności mówią o konieczności rządu warstw pracujących, o konieczności wprowadzenia do rządu wielkich idej sfer ludowych, i tak dalej, i tak dalej. gdy nikt poprzednio nie podejrzewał ani Świeżyńskiego, ani jego rządu o żywienie takich chęci.

Ten mus ulegania podobnym słowom stanowi styl epoki ówczesnej. Tym stylem szli wówczas specjalnie sąsiedzi nasi z prawa i lewa, z zachodu i wschodu, i Polska ulega pod tym względem temu, co idzie z zewnątrz. Jest to charakterystyczne dla zbiorowych poczynań naszej duszy. Jeżeli wezmę szumnie brzmiące odezwy „rządu lubelskiego", to wątpię, czy rząd ten chciał wszystkie w nich wypowiedziane słowa wprowadzić w życie, — tyle jest tam określeń nie swoich, ale żywcem wziętych z manifestów takich czy innych rządów.

Niedawno, przed przyjazdem do Krakowa, rozmawiałem o pewnych cechach „rządu lubelskiego" z posłem Poniatowskim, który był w nim ministrem rolnictwa. Od niego dowiedziałem się, że pierwszym aktem „rządu lubelskiego" było doprowadzenie nie do czego innego, jak do porozumienia obywateli ziemskich ze strejkującymi parobkami, gdyż rząd ów obawiał się, by wskutek strejku nie powstały trudności aprowizacyjne. Po rozmowie z panem Steckim, jak i z innymi właścicielami

ziemskimi, opublikował zapomocą plakatów, bo innego środka zawiadomienia nie miał, — zniesienie strejku przeciw tym obywatelom ziemskim, którym groził nie wiem czem w odezwach. Ten system, który zmuszał ludzi do pewnego jakgdyby fałszowania siebie, jest niechybnie stylem epoki.

Cechą dalszą owego okresu pierwszych dni Rzeczypospolitej jest niezwykła rozbieżność wszystkich prób rządzenia. Wygląda to tak, jakby czterdziestu mężów próbowało robić każdy z nich odrębny rząd, a za nic w świecie nie chcą się oni porozumieć między sobą.

Wszędzie są próby odrębne. Wszędzie te próby na coś ciągle jeszcze czekają, żeby się porozumieć i wtedy dopiero próbować stworzenia ogólnego rządu. Wszędzie jest ta dziwna rozbieżność celów tych prób rządzenia i środków, używanych dla tych celów. A więc likwidacja, jak to stawiał sprawę zabór austrjacki, który tem samem zacieśniał się tylko do pewnej części Polski, bo likwidacja tyczyła się tylko Austrji. To samo w zaborze pruskim. Ale tem zajmę się szerzej w następnym wykładzie.

Pozostaje wreszcie jeszcze jeden styl owej epoki, którego nie chcę wywyższać specjalnie, lecz który istnieje historycznie, to znaczy styl żołnierski. Ten styl nie był tylko naszym stylem. Przecież rządy „rad żołnierskich“ były wymysłem innych. Styl ten jest związany z epoką wojny, dlatego też styl żołnierski robi swoje, wywiera swój wpływ. I wyznaję panom, że ze wszystkich ówczesnych stylów najbliższy mi był styl żołnierski, gdyż był on najszybszym w postępowaniu, gdyż nie dawał się wyprzedzać wypadkom, gdyż szukał wyrazu siły, gdyż szukał on zawsze zrobienia czegoś tak wyraźnego

i jasnego, by nikt już potem nie był w stanie temu zaprzeczyć.

Dlatego też mamy wówczas wszędzie jakby wyodrębnienie się wojska od tego, co nie jest wojskiem. I choć to wojsko było nieraz słabe, czy w owej chwili nikłe, to jednak wszędzie mieliśmy natychmiast do czynienia z szukaniem jakiejś władzy wojskowej, która bierze wszystko w rękę i przez to samo ratuje społeczeństwo od tego chaosu, który idzie na Polskę. To też kiedy próbowałem odezwać się do żołnierzy, wszędzie stanęli mi oni z pomocą, bez względu na to, jaki był ten żołnierz.

W Warszawie natychmiast generał Rozwadowski poddał się pod moje rozkazy, gdy tego od niego zażądałem, pomimo, że był dowódcą odrębnej zupełnie jakiejś części armji. Tak samo wyodrębnił się Rydz-Śmigły z „rządu lubelskiego" i oświadczył, że słucha mojej komendy. Tak samo tutaj, w Krakowie, Roja również natychmiast poddał się jednej władzy wojskowej.

I to jest, panowie, ten styl żołnierski, który ogromnie ułatwił pracę dziejową w owym czasie, bo wyprzedzając innych, stworzył potem mus ulegania tym faktom. Na to bowiem niema ratunku, że ten, kto w tyle idzie, musi ulegać temu, co naprzód kroczy.

Panowie, muszę zakończyć ten wykład przykrą dla mnie koniecznością mówienia o sobie.

Czy człowiek ma prawo mówić o sobie?

Jestem postawiony w tem dziwnem położeniu w Polsce, że jeżeli ktoś mówi o sobie — to mówi o mnie rzeczy przykre, lecz jeżeli ja mówię o sobie — to nie jest to w porządku, to ja choruję na egotyzm. Przyzwyczaiłem się oddawna do takiego

stawiania sprawy. Twierdzę, że mam pewne prawo mówienia o sobie, gdyż każdy historyk, który się zetknie z tą epoką, musi mówić o mnie, musi mówić, czy chce, czy nie chce, o tym objekcie historycznym, który się nazywa Józef Piłsudski, dlatego, bo byłem skazany na pracę indywidualną. Moja praca indywidualna polegała na tem, że naczelników państwa nie mogło być dwóch w jednem państwie, jak również dwóch naczelnych wodzów. Mimo wszystkie rozbieżności, jakie wówczas istniały, Polska doszła jednak do tego zrozumienia, że nie potrzebuje sześciu czy dwunastu naczelników państwa i dwudziestu pięciu naczelnych wodzów.

Wobec tego, że byłem na tych stanowiskach jednym, historja musi trzymać się tego faktu, iż przez dłuższy okres czasu był w Polsce człowiek, który się nazywał Józef Piłsudski i który był skazany na indywidualną pracę, czy to jako Naczelnik Państwa, czy jako Naczelny Wódz armji polskiej.

Dlatego muszę mówić o sobie i o swoim stylu personalnym.

Pamiętam dobrze tę chwilę, kiedy, o niczem nie mając żadnych informacyj, wyjechałem pociągiem specjalnym, złożonym z jednego wagonu i lokomotywy, z Berlina do Warszawy. Miałem jako towarzysza, opiekującego się mną, jakiegoś oficera pruskiego, który, zdaje się, uciekał wtedy od *Soldatenratów*, gdyż na każdej stacji wyskakiwał, wypytywał się, czy w tej miejscowości jest już *Soldatenrat*, czy *ancien régime* i z ulgą komunikował nam wiadomości, że tu jeszcze stary porządek panuje.

Oficer ten przez cały czas bał się, by jego misja odstawienia niebezpiecznego towaru do Polski nie

została skontrowana przez inną władzę. Odsyłał mnie bowiem z Niemiec *ancien régime* w chwili przymusowego konkubinatu z nową władzą, i oficer bał się, że odstawienia mnie do Polski może dokonać rząd inny. Z Polski żadnego pozwolenia na przyjazd nie było.

Jechałem, nie wiedząc zupełnie, co w Polsce się dzieje, gdyż jedynym informatorem moim, który mi podczas swej u mnie wizyty w hotelu berlińskim parę słów o Polsce powiedział, był hrabia Lerchenfeld.

Ja i generał Sosnkowski skazani byliśmy na zupełną niewiadomość tego, co się w Polsce dzieje. Nie dawano mi w niewoli żadnego pisma, prócz *Magdeburger Zeitung*. Dlatego, nie mając zupełnie żadnych danych, nie miałem w pociągu nic innego do roboty, jak myśli i marzenia, wytykające sobie takie czy inne drogi postępowania, gdy się zjawię w Polsce. I muszę powiedzieć panom o jednem stylowem dla mnie marzeniu, które nie przestało dotychczas być marzeniem. Sądziłem, jadąc radośnie wreszcie do Polski, że w chwili, gdy Polska pośpiesznie się buduje, zastanę tam kochanych i niekochanych rodaków, zmieniających pod wpływem tego samego faktu, że Polska powstaje, i swoje dusze i że w ich piersiach znajdę pierwiastek siły, którego dotychczas w Polsce brakowało. Z tem marzeniem i z tą iluzją przyjechałem do Polski.

Panowie widzieli, gdy mówiłem tu o ówczesnej słabości, że zostałem rozczarowany bardzo silnie. Przy pierwszem spotkaniu swem z Polską nie znalazłem tego, czego się spodziewałem.

WYKŁAD II.

(16 listopada 1924).

Szanowne panie i panowie! Wczoraj mówiłem o stylu tych dni, w których Polska się stawała. Wskazałem, jako na główną cechę tego stylu, — na słabość. Słabość nieodłączna jest od stanu niewoli, od stanu zależności. Dlatego cechę tę można było przewidzieć, oczekiwać jej, gdyż i poprzednie dni dawały zawsze słabość Polakom.

Dziś chcę się zająć inną cechą owej epoki — rozbieżnością usiłowań Polski, cechą, która niekoniecznie wynika tylko ze słabości, która musi mieć więc specjalne swoje przyczyny.

Mówiłem już wczoraj o tej rozbieżności usiłowań, która źródło swe miała w ówczesnej słabości Polski. Wszędzie we wszystkich próbach rządzenia, z wyjątkiem może „rządu lubelskiego", widzieliśmy jakgdyby konieczność tego przeklętego konkubinatu z zaborcą, który jeszcze istniał, z którym Polacy współdziałali czy to z musu, czy to pod wpływem rozwagi i rozumu, czy to dla tych, czy innych racyj.

Ta jakgdyby konieczność kondominium Polaków i zaborców, wynikająca ze słabości polskiej, wytwarza rozbieżności w poszczególnych częściach Polski, gdyż zależni jesteśmy nie od swojej

woli, ale od woli zaborców. Stwarza to mus stawiania sobie innych celów w różnych częściach Polski i używania innych środków w każdem z tych, jakby sąsiadujących ze sobą, państewek polskich. Rozbieżność, stąd płynąca, wywiera ogromny wpływ na przebieg pierwszych dni Rzeczypospolitej polskiej.

Niestety, rozproszenie usiłowań polskich szło jeszcze dalej. Nawet dla jednakowego celu wytwarzał się jakgdyby mus stosowania zupełnie różnych środków. Gdy nad tym faktem się zastanawiałem i próbowałem go zanalizować, zawsze przychodziłem do wniosku, że najlepszem określeniem, tłumaczącem rozbieżności, tak daleko idące, jest słowo: *ghetto.*

Co to jest *ghetto? Ghetto* to ugrupowanie ludzkie, które mimo, że musi współżyć w tych czy innych dziedzinach z otoczeniem, wytwarza dla siebie swoje wewnętrzne prawa, swoje ustawy i ustawki, nieznane innym, a które są dla tego ugrupowania ludzkiego silniejsze, niż jakiekolwiek inne zewnętrzne działania.

Każde *ghetto* tworzy określenia, niezrozumiałe dla innych, każde *ghetto* stwarza swój język, swój żargon, tworzy słowa, które obowiązują *ghetto,* a które nieznane są innym ludziom.

Nie wiem, czy gdziekolwiek w naszej historji jest epoka, czy są gdziekolwiek dni, w których walka o słowa była tak silnie rozwinięta, jak w owym czasie, gdy słowa ukochane przez jednych były wstrętne dla drugich, gdy na podstawie słowa bez treści sypano oskarżeniami, gdy słów jednych nie chcieli rozumieć drudzy i gdy te same słowa, które gdzieindziej przez ludzi były używa-

ne, jako element zgody, u nas doprowadzały do walki.

Znam te *ghetta* słów, w których niektóre wyrazy i określenia są święte i dotknąć ich nie wolno, *ghetta,* w których słowa i określenia łączą ludzi dla celów, mających nieraz z temi słowami bardzo mały związek. Znam ten żargon niezrozumiały dla innych, a który ułatwia współżycie *ghetta,* ułatwia pracę takiej czy innej kliki, takiej czy innej grupy. Gdzie istnieje prawo języka *ghettowego,* istnieją zamiłowania do życia *ghetta* i istnieje wspólna niechęć do wszystkiego, co poza *ghettem* się znajduje, co innego używa żargonu i inaczej o słowach myśli.

Należałem zawsze do ludzi, którzy byli przeciwnikami *ghetta,* którzy się starali wyjść poza nie. Dlatego w każdem ugrupowaniu ludzkiem, w którem kiedykolwiek byłem, byłem uważany za coś w rodzaju heretyka, za człowieka, który z zamiłowaniem walczy przeciw słowom, walczy przeciw świętościom, walczy przeciw słowom, które treści nie mają. We wszystkich ugrupowaniach, do jakich w życiu swojem należałem: czy to było małe stowarzyszenie gimnazjalne, czy większy związek, zmierzający do jakiegoś celu, — zawsze byłem taki sam. Był to mój styl personalny, który nieraz dawał mi wielkie plusy, gdyż *ghetta* łatwiej rozumiałem, gdyż łatwiej pustość dźwięków i słów spostrzegałem i łatwiej istotny sens rzeczy chwytałem, bo mnie nigdy żadne prawo *ghetta* i żadna świętość słów, żadne ukłony w kierunku takiego czy innego pustego dźwięku nie brały.

Jak panowie wiecie, przeszedłem podczas wojny światowej przez silne *ghetto,* jakiem były Legjony. Znacie barwny styl Legjonów, który wy-

tworzył specjalne określenia, zrozumiałe tylko dla tego zrzeszenia. Dla jego języka trzebaby encyklopedję stworzyć, aby zrozumieć znaczenie i siłę jego *ghettowych* określeń. Przyszedłem do Polski ze swojego *ghetta*, z tego *ghetta* silnych określeń, nie bojących się niczego, nie dbających o żadne inne *ghetta* i przechodzących z radosnym uśmiechem nad wszystkiem w Polsce do porządku dziennego.

Siłę wszelkich *ghett* polskich powiększał element zaskoczenia. Jak widzieliśmy wczoraj, Polska w owym okresie nie tworzy swych losów i dziejów samoistnie. Zapoczątkowanie wszystkich prób samodzielności było często zawisłe jedynie od tego, czy zaborca słabnął, czy padał; próby te były zależne od tych czy innych zmian w Wiedniu czy w Berlinie, od zwycięstw dalekiej *Ententy*. Zależeliśmy od działań innych i dlatego wypadki skakały naprzód lamparcim skokiem, wyprzedzając myśli i działania Polaków, stwarzając coraz to nowe sytuacje, coraz to nowe konieczności, do których słaby dopasować się musiał. Ten element zaskoczenia sprawiał zawsze to, że *ghetta* polskie, będące wtyle, stanowiły hamulec, nie pozwalały na ruch, nie pozwalały na przystosowanie się do nowo stworzonych sytuacyj. A wypadki w stosunku do Polski biegły z szybkością elektryczności, a nie powolnym ruchem żółwia. Godziny na zegarze dziejowym śpieszyły, biły szybko jedna za drugą, jakgdyby wymagały od Polaków, aby szli w takt bicia zegaru, gdy godzina do godziny stawała się niepodobną.

Może najwięcej zaskoczonym byłem ja sam. Przyszedłem z miejsca, gdzie przez rok cały nie miałem w ręce ani jednego polskiego drukowanego słowa, gdzie przez rok cały nie widziałem ani

jednego Polaka, gdzie przez rok cały nie współżyłem wogóle z Polską. Czułem na sobie ten ciężar izolacji, odcięcia od całego życia, czułem tę nieznajomość ludzi, zmieniających się w tej godzinie dziejowej szybciej, niż poprzednio, czułem jakieś waśnie, o których nic nie wiedziałem, czułem jakieś spory, z któremi nigdy nie miałem do czynienia. Byłem sam, zupełnie samotny.

Przyjechałem, jak mówiłem, z myślą, że odrodzenie Polski odrodzi i dusze, że znajdę innego człowieka, który łatwiej, niż przedtem, do zadań życia dopasowywać się będzie.

Miałem wtedy ciągle do czynienia z próbą wytworzenia jakiegoś centralnego rządu. Wszystkie usiłowania zbliżenia ludzi do siebie, zmuszenia ich do współpracy ze sobą, pękały mi w ręku w jednej chwili, gdym tego zagadnienia dotykał. Nikogo namówić nie mogłem, aby przekroczył przekleństwo *ghetta*, przekleństwo języka *ghettowego*, aby Polacy zechcieli się zastanowić nad koniecznością współpracy, nad koniecznością umowy i nad koniecznością ugody już nie z zaborcą, lecz z samymi sobą.

Nie mogłem niczego zrobić. Gdym pertraktował z „rządem lubelskim", to ten w całości oświadczył mi natychmiast, że z nikim w całym zaborze rosyjskim pertraktować nie będzie i z nikim do zgody nie pójdzie. Pod wpływem mego nastawania zgodził się wreszcie „rząd lubelski" pójść na próbę pertraktacji z obcym dla tego *ghetta* elementem, ale tylko z takim, który pochodzi z zaboru pruskiego. Zgoda, powiedziałem, i wezwałem panów z zaboru pruskiego, aby zechcieli stanąć do współpracy, do wspólnej roboty.

Panowie! Dwa ciężkie dni spędziłem na katorżnej robocie, aby słuchać *ghettowych* określeń jednej i drugiej strony, które w żaden żywy sposób punktu stycznego nie znachodziły, bo słowa jednych wzbudzały u drugich odrazu słowa przeciwne, bo mus sprzeczności wyrastał natychmiast. Dwa długie katorżne dni spędziłem na słuchaniu tych samych argumentów, powtarzanych co godzina, a sprzecznych z sobą. Zdawało mi się, że mam do czynienia z ludźmi, z których każdy mówi innym językiem, chcąc widzieć w słowach to, czego w tych słowach nie było, i robiąc wrażenie ludzi, którzy przyszli jedynie poto, aby w twarz sobie pluć, a nie poto, by sobie podać ręce.

Mówiłem w przeszłym wykładzie o stylu pierwszych dni Rzeczypospolitej, o tym musie i nakazie, który szedł na słabą Polskę z lewa i z prawa, z Zachodu i Wschodu, nakazie, który cisnął i dusił, i zmuszał ludzi do wypowiadania słów innych od tych, któremi chcieliby naprawdę mówić. Był mus bycia radykalnym, mus wypowiadania wspaniałych słów, których nigdy przedtem nie mówiono, słów o „rządach rzesz pracujących", o „ludzie, który musi wziąć władzę w swoje ręce". Ten mus skłaniał, jak mówiłem, panów w Poznańskiem do wypowiadania słów, których może nawet nienawidzili, do ulegania presji *Soldatenratu;* ten mus kazał rządowi pana Świeżyńskiego wydawać demagogiczną proklamację.

Mimo dwóch dni katorżnej pracy dla znalezienia możliwości współpracy, nie byłem w stanie *ghetta* przełamać, żargonu usunąć. Żargon i prawa *ghetta* były silniejsze!

Niemożność osiągnięcia porozumienia wydaje się tem dziwaczniejszą, że wszyscy zdają się mówić

rzeczy podobne. Dla przykładu biorę *Kurjera Poznańskiego* z dnia 15 listopada 1918 roku. Jest w nim umieszczona, cytowana już przeze mnie, odezwa posłów polskich, należących do Koła polskiego w sejmie pruskim i do Koła polskiego w parlamencie niemieckim. Znajdziemy w tej odezwie następujące zwroty:

„Ginie świat stary, rodzi się nowy. Z zgliszczów i pożarów powstaje nowy ustrój ludzkości, związek narodów, a filarami jego wolność narodów, swoboda obywatelska i sprawiedliwość społeczna“,

a dalej:

„Doniosłość chwili wymaga skupienia wszystkich sił narodowych i podziału brzemienia odpowiedzialności na koła najszersze. Przyszła Polska ludową będzie i ludem tylko stać może“.

Wyrażenia te niedaleko odbiegają od stylu proklamacji „rządu lubelskiego“. Dlaczegóż jednak panowie Poznańczycy, gdy w Warszawie się znaleźli, tutaj słów takich uznać nie chcieli? Bo te same słowa inaczej były rozumiane w *ghettowym* języku poznańskim, a inaczej w języku *ghettowym* „rządu lubelskiego“, bo *ghetta* te zazdrość i zawiść wzajemna unosiła, bo *ghetta* te nienawiścią na siebie pluły.

Proszę zastanowić się, jak było ciężko przedrzeć się przez te *ghetta*, aby coś wspólnego dla wszystkich zrobić, aby zacząć spajać w jeden rym usiłowania, wszczęte po różnych kątach Polski i używające tak rozmaitych i rozbieżnych środków.

Każdego historyka, który ówczesne dokumenty i podpisy, pod niemi położone, odczytywać będzie, zastanowi na pewno i ten jeszcze dziwny fakt, że ci sami ludzie w jednem miejscu zgodnie pracować

mogą, a w innem miejscu ci sami ludzie kłócić się muszą.

Proszę wziąć „Komisję Likwidacyjną". Składała się ona ze wszystkich stronnictw, ze wszystkich możliwych *ghett*. Wszyscy razem w niej się znaleźli i pomiędzy siebie najrozmaitsze funkcje podzielili. Waśnie i spory mogły sobie gdzieś dalej iść, ale to nie przeszkadzało temu, że można było zasiadać do jednego stołu i przy czarnej kawie i papierosie spokojnie — jak ongiś w Wiedniu — rzeczy roztrząsać.

Ci sami ludzie, gdy nie o konkubinat z zaborcą, a o próbę centralnego rządu polskiego chodziło, stawali się wrogami, nie chcącymi pomiędzy sobą rozmawiać. Wyglądało to tak, jakby w Wiedniu czy Berlinie, pod batem zaborcy, zawiści wstrzymywać i godzić się umiano. Umiano w *ghettach* parlamentarnych przy czarnej kawie zasiadać i ręce sobie podawać, by niekiedy szynk czy koncesję z rąk zaborcy wyrywać, a niekiedy wśród obcych taką czy inną pracę dla Polski zrobić. Ale ten mus opanowania siebie niknął natychmiast, gdy Wiedeń i Berlin znikły.

Zjawiał się mus kłótni i sporów nawet nie między stronnictwami, a między *ghettami*, przekraczającemi podział na partje. Dlatego te same słowa, które były używane w oficjalnych enuncjacjach posłów polskich do Berlina, stawały się, jak wskazałem, zdrożnemi w Warszawie. Przy tak olbrzymiem pomieszaniu w tych pierwszych dniach Rzeczypospolitej *ghett* i żargonów wydawało mi się niekiedy, że, gdy wszystkie *ghetta* jednakowo usiłują i dążą wszelkiemi środkami do wiecznego plątania węzłów jednego za drugim na sznurze

dziejowym, to niema siły, aby te węzły, raz po raz wiązane, można było co chwila rozplątywać i że niema innego wyjścia, jak użyć siły Aleksandra Wielkiego, który węzeł gordyjski mieczem rozciął.

W *ghettach* wszelakich, które niewola u nas stworzyła, wytworzyły się odrębne żargony. Ten mus mówienia innym językiem był tak silny w Polsce, jak silną była niewola. A przywiązanie do słów było wtedy ogromne. Słabość siły istotnej nie posiada i dlatego nagość swą ubiera w słowa, słów szuka, aby się upiększyć. Stąd ta psychologiczna niejako konieczność kochania słów, w które stroiła się tęsknota do siły. Dlatego w tym momencie, gdy niewola ustawała, gdy zaczynało się stawanie się Polski, tak wielkie znaczenie i moc miały słowa i określenia, nie mające nieraz z istotą rzeczy nic wspólnego.

Wszędzie wówczas, gdzie polska mowa się rozlegała, tworzyły się lokalne ugrupowania polskie, usiłujące stworzyć siłę własną. Takie usiłowania były zarówno w Polsce centralnej, gdzie zaborców siła osłabła najbardziej, jak i na kresach, gdzie Polacy łączą się dla znalezienia siły zarówno w dzikich warunkach rewolucji rosyjskiej, jak i tam, gdzie istniał nacisk niezłamanej jeszcze potęgi niemieckiej. Wszystkie te lokalne ugrupowania, trzymające się jednego ogólnego nakazu, by siłę Polski wytworzyć, stwarzają równocześnie coraz to inne lokalne *ghetta*. Tworzą się nowe węzły, utrudniające pochód ku jedności, czyniące ten pochód uciążliwym i trudnym.

Głównemi *ghettami* były zabory. W swoich odczytach, wygłoszonych niedawno w Wilnie o 1863 roku, mówiłem, że styl epoki 1863 roku jest cał-

kiem inny, niż styl epoki mojego pokolenia. Wówczas były tylko mechaniczne związania krwi polskiej z zaborcami, chemicznego związku krew polska nie dopuszczała. Przy krążeniu krwi państwowej w olbrzymich organizmach zaborczych mamy wtedy zawsze to zjawisko, że sole obce, idące z zewnątrz, artretyzmów i podagry starczej w naszym organizmie nie wywoływały.

Styl epoki naszej, epoki popowstańczej, był inny. Krew państw zaborczych miała siłę dokonywania w naszej krwi przemian chemicznych, wywołując w tych czy innych załomach podagrę starczą.

Jakże ten właśnie styl jest widocznym w chwili, gdy w roku 1914 godzina dziejowa początek Polski wydzwaniała! Wszyscy Polacy poszli wtedy na służbę do swoich zaborców. Styl epoki 1863 roku nie pozwoliłby na takie zachowanie się, taki fakt w tamtem pokoleniu byłby niemożliwy.

Po przełomach wojennych, po burzach, pożogach i mordach, po trudach i zmęczeniach, które wojna wywołała, po wysługiwaniu się zaborcom, po daniu im krwi swojej, po przeklętej epoce tak zwanych „orjentacyj“ zjawia się mus, nad którym przejść do porządku dziennego nie było można, mus wytworzenia własnego rządu. Czyż panowie w tych chwilach, gdy Polska się stawała, gdy szły godziny, które Polskę musiały budować, nie znajdziecie przekleństwa epoki niewoli, choć Polska już jest wolna, a jej zaborcy w proch padli? Czyż nie znajdziecie „orjentacyj“, *ghett*, które zaborcom służyły, a teraz zaborcze plwociny w oczy innym Polakom plują, *ghett*, rzucających oskarżeniami, *ghett*, podstawiających sobie nogi? Sole krwi zaborców tworzą podagrę, sole zaborców, w krwi

polskiej będące, zmuszały do plwocin, przekleństwo niewoli wiązało *ghettome* węzły i wzniecały spory o słowa, które już żadnej treści nie miały.

Bo niechby sobie ktoś był kiedyś moskalofilem, austrofilem, czy germanofilem. Prosty interes wykluczał, by ktokolwiek w Polsce w godzinie jej powstania mógł być germanofilem, austrofilem czy moskalofilem. To było skończone. A przecież temi oskarżeniami pluły na siebie stronnictwa. Te krzyki i wrzaski niczem innem nie były, jak echami przeszłości, która znikała, a rzeczywistością było to, że — gdy cały świat w pokoju poczynał żyć, — na Polskę, zmęczoną wojną, szła nowa pożoga, nowa burza, i że Polska o synów wołać musiała.

Panowie! Gdy epokę tę badam i śladów siebie w tych dniach szukam, doznaję jakiejś niechęci. Byłem zawsze przeciwnikiem wszelkich *ghett,* przeciwnikiem przykładania słowom zbyt wielkiej wagi. Byłem człowiekiem, rozkochanym w *réalité des choses,* szukającym rzeczy samej, która słowami nieraz określić się nie daje, a o której zawsze jednak pamiętać trzeba. Byłem człowiekiem, który fizycznie choruje, gdy decyzji powziąć nie może, który śpiesznie wszystko na bok odrzuca, by mieć przed sobą najprostsze rozstrzygnięcia: „tak“ lub „nie“ i który wtedy, gdy „tak“ lub „nie“ powiedzieć sobie nie może, wybiera trzecie rozstrzygnięcie: „odłożyć“.

Człowieka tego los rzucił, aby przeniósł kłótnie, brak decyzji i spory o słowa, w których wartość do tego nie wierzono. Dałem panom wczoraj przykłady tego stylu szumnych słów i robienia tego, co z temi słowami było sprzeczne. Jak Polska szero-

ka i długa, wszędzie i ciągle biegła ta sprzeczność słów wielkich z małemi czynami.

Kłócono się o drobiazgi, najczęściej o słowa. *Réalité des choses* zanikła w powodzi sprzeczności słów, w mnóstwie węzłów, zaplątywanych codziennie, co godzina na sznurze dziejowym, węzłów, które prosiły i błagały, by miecza wydobyć i ciąć je jeden po drugim.

Gdy sięgam pamięcią w owe czasy, gdy myślą dzień po dniu i tydzień po tygodniu przebiegam, gdy przypominam sobie ówczesną pracę innych i swoją, to nie szukam goryczy, a prawdy jedynie, która daje historję, tę wielką mistrzynię życia. Prawda cicho jeszcze stąpa przez Polskę, która historji swojej dotychczas nie zna.

A prawda jest tak łatwa: wszyscyśmy grzeszyli, wszyscy byliśmy słabi, wszyscyśmy od musów dziejowych uciekali. Czyż prawda tak trudna jest do powiedzenia? Czyż trzeba przez słowa kłamliwe nowe węzły plątać? Czyż łgać ciągle w Polsce trzeba, gdy się o sobie mówi?

Powtarzam zawsze i błagam: prawdy pod korcem nie chować, bo ona wyjdzie, skoro jedno kłamstwo drugiemu zaprzeczać musi. Nie wiem, czy dzieci nasze, swojemi oczkami na nas patrząc, nie wyczuwają tej powodzi kłamstwa, w której rodzice żyją, i czy nie trwożą się główki dziecinne, gdy widzą starszych tak zakłamanych.

Mówiłem o stylu dziejowym pierwszych dni Rzeczypospolitej, o słabości polskiej i jej skutkach, o *ghettach*, które stworzyło przekleństwo niewoli. Niech mi będzie wolno na zakończenie usprawiedliwić i te objawy:

Nie lubię ckliwych poetów, lecz umieją oni niekiedy dawać cudne określenia. Rosyjski poeta Nat-

son mówi gdzieś w jednym ze swych małych wierszyków, jak to serce ludzkie jest dziwne, że kajdany kwiatami wiosny ubierać musi.

Z przeżyć moich sięgam do dni największego mojego triumfu, gdy hejnał zwycięstwa bił mi w piersi, gdy dzień wielki swój święciłem, gdym do Wilna swego, jako zwycięzca, wkraczał, gdym konno po ulicach Wilna jechał, gdy przede mną szwadron podkowami po bruku tętnił i gdy wtedy w takt podków śnił mi się — dźwięk łańcucha. I gdzieś pod powieką u zwycięzcy łza tęsknoty się zbierała za snami pięknemi niewoli, które Mickiewicza nam dały, za cierpieniami i bólami, za zapachem kwiatów, które kajdany ubierają.

Podczas naszej długiej stuletniej przeszłości, gdyśmy wolności nie mieli, wytworzyliśmy, biegnąc tęsknotami z pokolenia na pokolenie, swoje życie niewoli i swoje życie kajdan. Ileż cudów piękna dało to życie, ileż tęsknot, bólów i cierpień, ileż szczytów pozwoliło osiągnąć!

Idą teraz godziny za godzinami, zwycięstwo za nami, przed nami szerokie życie. Burz dla nerwów niema, piękno jakby stygnie i człowiek czeka na nowego człowieka, aby piękno odrodzenia gdzieś wyszło, piękno chwili wiosny — wiosny nowego polskiego życia.

Gdy myślę o tem, zbliżając się co krok do grobu, to zawsze mi się zdaje, że odrodzenie, piękno i pieśń odrodzenia nie z naszych niewolniczych piersi się wyrwie, — że piersi dziecinne i głosiki dziecięce tę pieśń, gdy dorosną, wyśpiewają, że one zobaczą Polskę odrodzoną, pełną śmiechu i szczęścia, gdy my, niestety, spotkaliśmy Polskę z kwasem śledzienników i burczeniem ludzi o chorych żołądkach.

IX.

W KSIĘDZE PAMIĄTKOWEJ SZKOŁY PODCHORĄŻYCH

(21 listopada 1924).

Kiedym w roku 1918, dnia 29 listopada, wziął jako mieszkanie Belweder, nakazałem, by Szkoła Podchorążych zaciągnęła tam warty. Mówiono mi, że pewnej nocy książę Konstanty ukazał się któremuś z podchorążych, że oglądał jakoby warty w otoczeniu Belwederu. Śmiałem się z tego, twierdząc, że zdziwiony chciał zapytać, co zacz są nowi mieszkańcy i wartownicy Belwederu. Co za nowi, nieznani ludzie? Po sześciu latach nieraz pytam siebie znowu, co zacz są nasi podchorążowie, ten nowy gatunek ludzi, którzy wkładają mundur żołnierski, by się stać w naszej armji oficerami? Mamy dwuletnią służbę wojskową, którą wielu uważa za czas stracony, nieznośny dla siebie, czas, który się dłuży, gdy się trzeba zająć rzeczami i pracami niezrozumiałemi. Czy oficer, któremu czas dwuletni jest krótkim zaledwie okresem jego służby, potrafi uczynić, by czas dla innych też się nie dłużył? Czy zdoła uczynić go czasem zyskanym, a pracę piękną i zrozumiałą? Czy zdoła wreszcie sprawić, by stojącym na warcie żołnierzom inne, niż książę Konstanty, śniły się duchy?

Józef Piłsudski.

Sulejówek, dnia 21 listopada 1924.

X.

WYWIAD W SPRAWIE PROJEKTU ORGANIZACJI NAJWYŻSZYCH WŁADZ WOJSKOWYCH

(11 grudnia 1924).

Na zapytanie, czy projekt ustawy umożliwiałby Marszałkowi przyjęcie tego stanowiska, które ma być równoznaczne ze stanowiskiem Naczelnego Wodza na wypadek wojny, Marszałek oświadczył:

— Ustawa o organizacji najwyższych władz obrony państwa wprowadza Generalnego Inspektora wojsk, który jest „przewidziany na Naczelnego Wodza wojska polskiego w czasie wojny". Ponieważ Naczelnego Wodza mianuje Prezydent Rzeczypospolitej dopiero w chwili wybuchu wojny, może nim być i inny generał. W każdym razie Generalny Inspektor jest tym, który przygotowuje pracę Naczelnemu Wodzowi.

Generalny Inspektor, który przygotowuje lub bierze na siebie najtrudniejsze zadanie — dowodzenia w czasie wojny, musi być uważany przez wojsko z natury rzeczy za oficera o najwyższym autorytecie.

Projekt ustawy o organizacji najwyższych władz obrony państwa został tak sformułowany, by utrudnić przyszłemu wodzowi jego odpowiedzialną pracę i by ją oddać w ręce innych.

Ustawa wnosi jakiś fałsz do życia państwa i wojska, gdyż nakazuje, jakoby z obowiązku, żywić niezaufanie do tego, kto ma być w razie wojny Naczelnym Wodzem. Tendencja ta jest widoczną zwłaszcza w sposobie ujęcia w projekcie ustawy stosunku Generalnego Inspektora do szefa Sztabu

Generalnego. Oba te czynniki są w jednakowem prawnem położeniu, gdyż obaj konstytucyjnie nie są odpowiedzialni. Szef Sztabu Generalnego jest w myśl projektu ustawy „przewidziany na szefa Sztabu Naczelnego Wodza w czasie wojny", jest więc jego bezpośrednim pomocnikiem w okresie wojny.

Jest on jednak mianowany przez Prezydenta Rzeczypospolitej na „wniosek Rady Ministrów, przedstawiony przez ministra spraw wojskowych" i Generalny Inspektor nie ma żadnego wpływu na wybór swego najbliższego pomocnika na czas prowadzenia wojny. Ten szef Sztabu „podlega bezpośrednio ministrowi spraw wojskowych", nie podlega więc Generalnemu Inspektorowi", kieruje on pracami Sztabu Generalnego, podejmując je na podstawie rozkazu ministra spraw wojskowych, dyrektywy Generalnego Inspektora i z własnej inicjatywy.

Wiążą więc szefa Sztabu tylko „dyrektywy" Generalnego Inspektora, a pozostawione mu zostaje pole dla jego własnej inicjatywy. Może więc on „na podstawie rozkazu ministra spraw wojskowych" i z własnej inicjatywy rozpoczynać prace i je prowadzić wręcz odmiennie, niż tego chce ten, który jest przewidziany na jego bezpośredniego przełożonego w czasie wojny. Ta nieufność do Generalnego Inspektora, do przyszłego Wodza, idzie tak daleko, że w myśl artykułu 13 wykonywać może „zwierzchni nadzór nad Wyższą Szkołą Wojenną" nie bezpośrednio, ale nawet ten „zwierzchni nadzór" musi wykonywać jedynie przez szefa Sztabu. Chodzi więc o to, by Generalny Inspektor był jak najstaranniej ukrytym przed wojskiem i by

broń Boże, nie zetknął się bezpośrednio ze swymi przyszłymi podkomendnymi.

— *Czemże motywowano tak zdumiewające postawienie sprawy?*

— Dla usprawiedliwienia ograniczeń zakresu działania Generalnego Inspektora użyto w projekcie ustawy zupełnie bezwartościowych frazesów. W artykule 13 jest powiedziane, że minister spraw wojskowych zatwierdza plany operacyjne, plany mobilizacji i koncentracji armji, „stosując się w tym względzie do ogólnych zamierzeń rządu, który określa cele wojny". Co znaczy to określenie celów wojny przez rząd w okresie pokojowym? Celem wojny jest zawsze odniesienie zwycięstwa, inne cele mogą się zjawić podczas wojny, ale nie przed wojną.

Projekt ustawy chce zrobić z przyszłego Naczelnego Wodza błazna, a ministra spraw wojskowych i szefa Sztabu wstawić w położenie nie do zniesienia pod względem moralnym dla ludzi honoru. Decydować mają w najmniejszych drobiazgach o pracach, przygotowujących wojnę, a ciężar jej prowadzenia i moralną za nią odpowiedzialność spychają na barki kogo innego.

— *Skądże się wziąć mogły tak niesłychane pomysły?*

— Geneza projektu takiego unormowania stosunku do siebie najwyższych władz wojskowych leży, jak mi się zdaje, w tem, że przyzwyczailiśmy się patrzeć na wzory armij monarchicznych, w których każdy panujący niezależnie od swoich zdolności i wykształcenia był Naczelnym Wodzem.

Zrodziło to tendencję obstawiania takiego „Naczelnego Wodza" tak, by nie on, a ktoś inny był tym wodzem de facto. Jest rzeczą niezdrową dla

demokracji iść za wzorami monarchicznemi i, jeśli temu przyszłemu wodzowi powierza się obronę demokracji, to trzeba umieć również obdarzyć go i zaufaniem.

— *Co Pan Marszałek sądzi o innych postanowieniach tego projektu?*

— Projekt ustawy jest wogóle zredagowany tak niezupełnie i niedokładnie, że wymagałby on wydawania później mnóstwa rozkazów uzupełniających, redagowanych pod wpływem subjektywnego ujmowania tych kwestyj przez tych, którzy te rozkazy będą pisali.

Przechodząc do szczegółów, zwracam uwagę na niektóre artykuły projektu ustawy. Artykuł 3 ustala skład Rady Obrony Państwa, do której, jak widać, wchodzą wszyscy prawie ministrowie, prócz ministrów oświaty, sprawiedliwości i pracy. Przyjmując taki skład tego ciała, wydawałoby się rzeczą o wiele rozsądniejszą brać już pełną Radę Ministrów i uzupełnić ją przedstawicielami wojska. Projekt ustawy wymienia jako członków Rady Obrony Państwa ze strony wojska prócz ministra i Generalnego Inspektora jeszcze i szefa Sztabu, podkreślając jeszcze raz w ten sposób, że oba te czynniki są równorzędne. Innych przedstawicieli wojska niema. Niewiadomo, naprzykład, dlaczego pominięty jest szef Administracji Armji, o którym się nagle w artykule 19 mówi, że „zastępuje w zasadzie ministra spraw wojskowych wobec izb ustawodawczych i w rządzie".

Artykuł 6 wprowadza generała, który kieruje pracami sekretarjatu Rady Obrony Państwa. Jest on powoływany i odwoływany przez prezesa Rady Ministrów na wniosek ministra spraw wojskowych. Znowu więc ktoś, kto ma za specjalne zada-

nie zajmowanie się obroną państwa, a który jest najzupełniej bez wpływu Generalnego Inspektora wyznaczany i który ustanowiony jest chyba tylko w tym celu, by odstawić Generalnego Inspektora od zetknięcia się z rządem, by — broń Boże — nie miał na niego wpływu.

W artykule 7 powtórzono dla zwiększenia powagi ministra spraw wojskowych określenia z zakresu jego władzy z artykułu 46 Konstytucji. Opuszczono jednak postanowienie tegoż artykułu, że minister spraw wojskowych jest odpowiedzialny za „akty, związane z dowództwem w czasie wojny", gdyż to zmuszałoby go być istotnym Naczelnym Wodzem.

Artykuł 9, ustanawiający Radę Wojenną, poleca ministrowi spraw wojskowych zasięganie jej zdania we wszystkich de facto kwestjach wojskowych. Przyczem Rada ta zbiera się cztery razy do roku. Na ministrze spraw wojskowych nie ciąży natomiast obowiązek zapytania się w ciągu całego roku ani razu o zdanie w tych sprawach Generalnego Inspektora. Jeszcze raz w ten sposób została zaakcentowana nieufność do przyszłego Naczelnego Wodza.

— *A jak się przedstawia strona redakcyjna projektu z wojskowego punktu widzenia?*

— Są pewne niejasności w terminach, używanych w projekcie ustawy. Tak, naprzykład, w artykule 9 mowa jest o „planie dyzlokacji i koncentracji". Można mówić o zmianach, ale nie o planie dyzlokacji. Chyba więc w planie dyzlokacji kryje się niezrozumiała tajemnica, która w połączeniu z planem koncentracji daje powód do nieufności dla Generalnego Inspektora.

Artykuł 13 nakazuje Generalnemu Inspektorowi „ustalać wytyczne dla planów operacyjnych oraz dla planów mobilizacji i koncentracji armji na wypadek wojny". Są to znowu terminy bardzo niejasne. Na zapytanie moje, co znaczy termin: „plany operacyjne", minister spraw wojskowych na konferencji odpowiedział mi, że rozumie przez to „myśli operacyjne". Ponieważ istotą pracy przygotowawczej są plany koncentracji, a wszystko inne jest już tylko „myślami operacyjnemi", które „ustalić się" nie dają i ponieważ dalej te plany koncentracji przepracowuje szef Sztabu Generalnego, podlegający rozkazom ministra spraw wojskowych, Generalnemu Inspektorowi pozostaje snucie „myśli operacyjnych" i ich „ustalenie" dla samego siebie, podczas gdy istota pracy przygotowawczej oddana zostaje ministrowi spraw wojskowych i szefowi Sztabu, którzy wojny nie prowadzą i od odpowiedzialności za jej los uciekają.

— *Gdzie leży przyczyna takiego projektu ustawy, który równocześnie robi z Generalnego Inspektora manekina, a z ministra spraw wojskowych i szefa Sztabu Generalnego ludzi, którzy decydują o sprawach, za których prowadzenie jakby wstydzili się wzięcia odpowiedzialności?*

— Być może, że mamy tu do czynienia z wpływem czynnika personalnego, który oddziałał przecież i na redakcję Konstytucji. Wymieniany jestem jako kandydat na stanowisko Generalnego Inspektora. Widocznie brak zaufania do mnie wywołuje chęć obstawienia mnie zawczasu w taki sposób, jaki praktykowany był za czasów monarchistycznych w stosunkach do głupich monarchów, bym nie mógł działać ani na szkodę państwa, ani wojska, ani rządu, czy sejmu. Jeżeli tak jest, to stokroć razy

lepiej nie brać mojej kandydatury pod uwagę, wziąć kogo innego na to stanowisko i nie psuć personalnemi względami i ustawy, i życia wojska. Lepiej jest albo takiej ustawy nie uchwalać, albo zdecydować się, by zrobić ministra spraw wojskowych Naczelnym Wodzem w razie wojny. Będzie to przynajmniej logicznem i nie będziemy mieć do czynienia z ubieraniem przyszłego Naczelnego Wodza w szaty błazna, ani ze strojeniem się ministra spraw wojskowych i szefa Sztabu Generalnego w cudze piórka, czyniąc im wstyd, a wojsko obrażając.

XI.

WSTĘP
DO TOMU II
„WSPOMNIEŃ LEGJONOWYCH"

(17 grudnia 1924).

Pierwszy tom *Wspomnień legjonowych*, wydany z mojej inicjatywy, wbrew oczekiwaniom wielu nie zalega półek księgarskich, tak, że rozpoczęte wydawnictwo ma swoją podstawę finansową. Daje to pewność, że cele wydawnictwa łatwiej uda się osiągnąć.

Gdym rozpoczął starania o próbę wydania szeregu wspomnień z życia legjonowego, szukałem nietylko rozpowszechnienia niesfałszowanych danych o naszem życiu wśród obecnie żyjącego pokolenia, lecz zarazem chciałem dać przyszłym historykom swoisty materjał in crudo. Jako wzór brałem znany zbiór wspomnień powstańców 1863 roku, wydany w czterdziestą rocznicę powstania. Studjując w swoim czasie powstaniową dobę, znalazłem w tym prostym, in crudo podanym materjale całe mnóstwo wyjaśnień dla męczących mnie pytań, a wiele z wątpliwości, które miałem, zostało rozwianych. Bez takich wspomnień bowiem historyk nie ma sprawdzianu, gdy dokumenty są sprzeczne lub niejasne, gdy wreszcie dokumentów potrzebnych jest brak lub wzbudzają wątpliwości, czy nie są rozmyślnie sfałszowane. Wreszcie wspomnienia dają to, co nazywam stylem epoki, dają bowiem przeżycia ludzi, których dziełem i pracą było to, co jest objektem pracy historycznej, dają dobę minioną, przeszłość, która zawsze odmienną jest od teraźniejszości, a cechy jej istotne trudne są często do odcy-

frowania, jak hieroglify dawnych zapomnianych ludów i szczepów.

Niechybnie, każdy historyk doby stawania się Polski, każdy historyk pierwszych lat istnienia Polski nowoczesnej będzie zmuszony odbyć studja i nad tem zjawiskiem naszego życia społecznego, które my nazywamy Legjonami. Wydaje mi się to musowem z wielu względów. Wymienię jeden, może nawet nie główny istotnie, lecz narzucający się, że tak powiem, zewnętrznie. Jest nim fakt niezaprzeczony, że fakty historyczne, to jest to, co się stało rzeczywiście po roku 1914 — po początku wojny europejskiej — jakgdyby dały rację nie komu innemu, jak nam, którzyśmy od samego początku wzięli najwyższy ton w pożądaniach, pragnieniach i pracach wśród społeczeństwa polskiego. Żądaliśmy bowiem od siebie i od innych nie służby dla tego czy innego zaborcy — a ci historycznie przegrali, — lecz próby samodzielnego życia wojennego Polski, co znowu wbrew oczekiwaniom ogromnej większości Polaków ziściło się historycznie. Byliśmy więc jakby awangardą historyczną, taka zaś awangarda wymaga zawsze od ludzi silniejszych, niż przeciętne, charakterów oraz wielkiej spoistości w pracy. Bujne więc życie legjonowe ma swój niezapomniany przez legjonistów urok wraz z tą siłą koleżeństwa, co nieraz uraża, już nie wiem dlaczego, innych. Pociągać więc będzie, powtarzam, każdego historyka w przyszłości chęć zbadania tego życia, jako koniecznego elementu pracy historycznej Polaków z doby powstawania i powstania Polski wolnej i niepodległej. A że z legjonistami walczono nieraz zacięcie, więc zgodnie z tą walką starano się, niestety, zbyt często sfałszować to życie czy w dokumentach, czy w opowiadaniach i wszel-

kiej pisaninie dodatkami i przekręceniami, które w błąd mogą wprowadzić nie współczesnych z nami ludzi — bo o to mniejsza, — lecz przyszłych badaczy i historyków. Niech więc koledzy zechcą się przyczynić swemi pracami do wyjaśnienia prawdy historycznej, niesfałszowanej, swemi szczeremi opisami momentów, przeżytych ongiś we wspólnej pracy.

Zwracając się w ten sposób do kolegów legjonowych i zapraszając ich do współpracy, nie szukam wcale ani literackich, przerobionych pracą i mozołem utworów, ani wspomnień osobistych dłuższych, gdyż wiem dobrze, że wyjątki tylko z pomiędzy nas zdołają to uczynić. Szukam wspomnień ulotnych, urywków — że tak powiem — życia, które najjaskrawiej w pamięci pozostały, nie będą bowiem zatarte przez przeżycia późniejsze i odtworzą w ten sposób bez fałszu i pretensji ten czy inny moment, silniej przez poszczególnego kolegę przeżyty. Pracę tę literacką doprowadzić do przeciętnej formy zdoła komitet redakcyjny. W ten sposób każdy prawie z legjonistów stać się może naszym współpracownikiem.

Wreszcie chciałbym wspomnieć i zaprosić do udziału w naszej pracy i tych, którzy nas otaczali sympatją, którzy nam w pracy legjonowej pomagali, nie będąc z nami w szeregach. Dadzą oni bowiem może łatwiej, niż to my zrobić możemy, odtworzenie przeżyć całego ogółu polskiego podczas naszej awangardowej historycznej roboty. Zapraszamy nawet tych, którzy w stosunku do Legjonów byli niechętni lub im byli przeciwni, byle ich wspomnienia ze spotkania z nami nosiły charakter szczerości historycznej i nie miały w sobie cech fałszu. Polemiki z kimkolwiek i z czemkolwiek uni-

kamy, nie chcemy tylko kłamstwa i odpieramy wszelką próbę przekręcania naszego życia, naszych prac i naszych cech.

Kończę wyrażeniem nadziei, że to moje wstępne słowo nie pozostanie bezskutecznem i znajdzie łaskawe echo u wszystkich kolegów i u tych, co miłują prawdę historyczną.

Sulejówek, 17 grudnia 1924 roku.

XII.

OŻARÓW

(29 grudnia 1924).

Stanąłem kwaterą w Bidzinach. Ładny dwór, miłe otoczenie. Właściciele są w jakiemś pokrewieństwie z beliniakami, jak wiele z domów obywatelskich w Sandomierskiem. Oprócz tego dwór jest nam wdzięczny. Nasze patrole ułańskie zbawiły dwór od zniszczenia. Dwór stoi niespalony dzięki krwi ułanów, którzy na polach bidzińskich stoczyli zwycięską potyczkę, spędzając kozaków, przykrywających początek palenia Polski.

Tak — palić mają Polskę Moskale, wycofujący się widocznie ku wschodowi. Patrole moje doniosły, że niedalekie miasteczko Ożarów jest spalone zupełnie, że ludność cała jest wygnana gdzieś na wschód i że kościół nie chciał się palić, więc go trzykrotnie naftą oblewano, by go zniszczyć. Linja nasza stanęła przed Ożarowem, gdzie na ruinach miasteczka stoją forpoczty rosyjskie.

Wieczorem w Bidzinach zacicha życie. Sztab mój mieści się w oficynie, gospodarze dyskretnie pozostawili mnie samego. W parku i sadzie coś cicho szemrze, strzałów nie słychać na froncie, natomiast rozlega się zwykłe wiejskie szczekanie psów. Można się zapomnieć, można myśleć, że się jest gdzieś u sąsiadów, dbałych o wygody gościa. Przede mną stoi mocna herbata, jakieś ciasto na talerzyku — wojny jakgdyby w tej chwili niema, nic mi jej nie przypomina. W głowie jednak mam zamęt, nie mogę się pogodzić z kwietyzmem, gdy uparcie świdruje

mi głowę pytanie — co znaczą właściwie te pożary, to palenie Polski?

Nie mogę znaleźć zadawalającej odpowiedzi na to pytanie i to mię dręczy i niepokoi. Najbardziej prawdopodobną hipotezą wydaje mi się dotąd, że jest to wysiedziana myśl jakiegoś bardzo głupiego *staeblera* rosyjskiego czy w Petersburgu, czy w kwaterze wielkiego księcia Mikołaja, sztabowca, któremu w pamięci stały wzory, zaczerpnięte z *otieczestwiennoj wojny* 1812 roku. Wiem przecież, jak ta wojna uważana była za objaw patrjotyzmu rosyjskiego i rozumu specjalnie wojskowego Iluż poetów, nawet wielkich, ją opiewało! Przecież mnie w szkołach uczono Lermontowskich wierszy:

Wied' nie darom
Moskwa, spalonnaja pożarom,
Francuzu oddana!...

Gdzieś historja i dokumenty trochę inaczej o tem mówią, twierdząc, że pajacowaty Rostopczyn uznał pożary w Moskwie jako swój czyn, gdyż była to praca zwyczajnych rozbójników i łupieżców. Lecz legenda zrobiła z tego nietylko czyn wielkiego patrjotyzmu, ale i czyn głębokiego rozmysłu który jakoby wypędził Napoleona z Moskwy. Końby się z tej mądrości śmiał!

Więc teraz jakiś inny pajac sztabowy z wielkiego patrjotyzmu polsko-rosyjskiego zaśpiewał:

Wied' nie darom
Polsza, spalonnaja pożarom,
Niemcu oddana!...

i z tą lekkomyślnością głupca zostały wydane rozkazy: palić, wysiedlać, zostawiać tylko pustynię!

Brawo! Pustynia! Ładna pustynia! Jak okiem sięgnąć — pola i pola, na których czekające pracy żniwiarza stoją zboża, chylące ku ziemi dojrzewające kłosy. Przyjdzie po nie nie żniwiarz, co je siał, zostawione są one dla nowego pana, z tem, by nie dał już nic a nic pędzonemu gdzieś w świat siewcy. Zabraknie domów do mieszkania? Co za głupstwo dla wojska! Piękne, ciepłe lato jakby zaprasza do biwaku żołnierza. Zabraknie ludności na ziemi? Ale cóż to dla celów wojny Niemcom i Austrjakom szkodzi? Niech sobie, może nawet lepiej, mniej kłopotów! I zresztą to spalenie doszczętne udać się technicznie nie może, nawet gdyby zwożono na to pociągami specjalnemi naftę z Kaukazu. Kościół w Ożarowie trzy razy naftą oblewano. Wyobrażam sobie, gdyby tak zaczęto palić Warszawę, Lublin. Przecież to praca, którą wobec operacyj wojennych przerywać trzeba w zależności od nacisku nieprzyjaciela.

W głowie mi się mąci, gdy myślę o tem. Ani rozumnego celu, ani dostatecznych środków do wykonania tego zamiaru nie widzę, tylko jakieś bezecne znęcanie się nad niewolniczą ziemią. Wydaje mi się, że wszyscy zaborcy, którzy na naszej ziemi biją się obecnie, chichotać muszą rozkosznie, gdy Polska się pali. Żadnemu z nich to nie szkodzi.

Czuję jakby policzek na twarzy. Pali mię ta hańbiąca bezsilność nasza. Spędzą chłopków i baby nahajem, puszczą czerwonego koguta i hulaj dusza bez kontusza — szeroka natura Wschodu! Dwór gdzieniegdzie wykupi się łapówką, tak samo, jak niektóre miasta czy miasteczka. Odpowie ten, kto najgłupszy lub najsłabszy. Nie mogę sobie dać rady, gdy chodzę niespokojnie, ćmiąc papierosa za papierosem. Czy to głupi pomysł nowego bezro-

zumnego środka wojny, czy poprostu zwykłe bezmyślne moskiewskie barbarzyństwo?

*

* *

Noc spędziłem źle, nie daję sobie rady z tem nowem zjawiskiem. Chcę uniknąć rozmów, a wiem, że otoczenie — oficerowie, gospodarze domu, austrjackie komendy — będzie pytało o zdanie, będzie żądało rozmowy na temat pożarów, a ja właściwie zdania nie mam. Zdecydowałem się jechać obejrzeć ruiny Ożarowa, leżącego tuż przed naszemi forpocztami. Rozkazy, które otrzymałem, mówią mi, że gdzieś na północy prowadzony będzie przez Austrjaków atak; my właściwie zadania nie mamy — prawie dzień spoczynku dla mnie i dla wojska.

Siadam na kasztankę i jadę. Równia sandomierska, przecinana jarami. Gdzieś majaczą słupy telegraficzne przy zupełnie nowej kolei, zbudowanej za drogie pieniądze i licho, a oddanej do użytku wojska akurat na kilka dni przed wycofaniem się ku wschodowi. Także pustynia! Ciepły, upalny dzień, wszędzie dokoła stoi niezżęta pszenica z ciężkiemi złotemi kłosami. Drwi ze zniszczenia, uśmiechając się do nowych panów. Mijam jakiś drobny folwark — zdaje mi się, Wyszmontów — który jeszcze nie uległ zniszczeniu. Tu zatrzymuje mnie jakaś komenda — proszą, bym dalej nie jechał konno. Dawna, leniwie pracująca, tchórzliwa dywizja z korpusu Miszczenki gdzieś znikła z przed oczu, przed nami stoją grenadjerzy moskiewscy. Ci pracują lepiej — ich patrole i posterunki badają dobrze okolicę; słychać od czasu do czasu karabinowe strzały do nieostrożnych i ciekawych legu-

nów. Niema co robić, zsiadam z konia i idę w dal pieszo w kierunku Ożarowa, którego spalone mury widne mi już są od czasu do czasu, gdy wejdę na szczyt jakiegoś sfałdowania terenu. Miedzą wśród zbóż wznoszę się zwolna ku małej placówce, leżącej na skraju pola i ukrytej w zbożu. Schylając się, układam się w zbożu i przygotowuję lornetkę, by obejrzeć Ożarów. Żołnierz — niewysoki chłopak — leży wśród porozrzucanych naboi koło mnie, ściskając w ręku karabin. Szepcze mi:

— Komendancie, tam za tym dużym kominem jest ich dwóch. Tu niedobrze, raz po raz strzelają.

Jakby na potwierdzenie słów, słyszę nad sobą cichy, melancholijny śpiew kuli. Ileż to razy słyszałem ten dziwny dźwięk! Zawsze myślę, że kula śpiewa o śmierci — śmierci człowieka, czy kuli, co legnie gdzieś, zaryta w ziemię. Śpiew łagodny, nie mogę go porównać z gwizdem czy świstem, tak, jak o nim mówią potocznie. Wydaje mi się zawsze, że kula śpiewa. Jest w niej i przy niej jakaś powaga śmierci, która może zmusza ludzi skłaniać przed nią głowę, tak, jak przed pogrzebem. Tak i teraz w zbożu skłoniliśmy głowy, przyciskając je do ziemi. Powoli rozejrzałem się w sytuacji i dostrzegłem nieco wbok ode mnie wysunięte poza pole jakieś spalone domostwo, jakby przysiółek Ożarowa. Spytałem żołnierza, czy tam stoją nasi?

— Tak, Komendancie, tam stoi oficerska placówka.

Zdecydowałem się odejść stąd, gdzie przez zboże trudno obserwować. Zsunąłem się raczej, niż odszedłem, trochę na dół i na przełaj przez zboże, brnąc, jak w gęstej wodzie, w bujnej pszenicy, doszedłem do ruin kilku murowanych domów, o jakie pół kilometra odległych od samego Ożarowa. Usado-

wiłem się wygodnie i przez lornetkę zacząłem obserwować spalone miasteczko.

Miasteczko miało jeszcze niedawno, jak mi mówiono, kilka tysięcy mieszkańców. Stare miasto, prawie całe murowane, było teraz ruiną. Nie poddało się pożarowi w zupełności, jak widziane nieraz potem słabe drewniane budowy sadyb wiejskich. Przeważnie spaliły się tylko wewnętrzne urządzenia, mury jednak stały wzdłuż ulicy, idącej w głąb gdzieś ode mnie ku jakiemuś rozszerzeniu — prawdopodobnie rynkowi miasteczka. Domy-trupy świeciły na ulicę pustemi oczodołami — oknami bez szyb o zczerniałych od dymu bokach. Gdzieniegdzie części murów spadły na ulicę, tworząc na niej rumowiska i zasłaniając jakieś dziwaczne szczerby i zazębienia, jak w starych zamczyskach.

Z tego oddalenia Ożarów wyglądał piękniej, niż był może za życia. Przypominał jakąś umarłą dawno siedzibę ludzką, którą upiększa nietylko kapryśna rzeźba czasu, strojąca mur w koronki i nieoczekiwane załomy, lecz i groza oraz powaga śmierci, śmierci nie ludzi, lecz i wiekowych wysiłków, i długiej a wytrwałej pracy. Obserwowałem długo, myśląc wciąż: poco? naco? Nie pod celową pracą wojny, szukającej zwycięstwa potęgą ognia z dział, zginął Ożarów, lecz z jakiejś dzikiej, bezmyślnej zabawy w pustynię. Gdy po kilku dniach maszerowałem spokojnie z wojskiem przez ulicę Ożarowa, którą oglądałem uprzednio przez lornetkę, nie zatrzymała mnie rzekoma pustynia nie na dzień jeden, lecz nawet nie na minutę.

Poco więc i naco?

* * *

E pur si muove! A jednak jest i daje się spostrzegać wpływ tego barbarzyńskiego aktu palenia Polski dla jakichś wielkich strategicznych korzyści. Wpływ — ale jaki? — akurat odwrotny chyba, niż tego spodziewali się podpalacze! Czuję to, gdy mówię z ludźmi o tem. Dodam odrazu, że gdym wkrótce potem Wisłę przeszedł, by w składzie innej armji iść na północ przez Lubelszczyznę ku Lublinowi, odczułem to już zupełnie wyraźnie. Zaczyna zanikać ten, tak mi znany, zaimek „nasz".

Z tym „naszym" przeżyłem sam w sobie zabawną, chociaż dużo mnie kosztującą, ewolucję uczuć i myśli. Spotkałem się z tym zaimkiem w ustach włościan wszędzie. W Królestwie mówiono o rosyjskiem wojsku, że jest „naszem". Mówiono w ten sposób: „nasz" już poszedł, „nasi" tu wrócą. Ba, nawet wtedy, gdy ostrzegali mnie przed Moskalami, gdy mi opowiadali o nich szczegóły, gdy mówili o nich niechętnie — i wtedy używali przez przyzwyczajenie „nasz", „nasi". Odwrotnie—w Galicji mówiono tak samo o wojsku austrjackiem. Tam żołnierz austrjacki był „nasz", wojsko austrjackie było „nasze". Niekiedy dla lepszego wytłumaczenia dodawano w Królestwie: „ten ruski", w Galicji: „cesorski". Byłem narazie w początku wojny wściekły na ten niewolniczy zaimek; wydawał mi się on czemś wstrętnem i oburzającem, jakiemś świadectwem spodlenia i znikczemnienia Polski.

Może do czasów ożarowskich jedynym wyjątkiem było Podhale, gdy w długich moich tańcach przed wielką bitwą pod Limanową przemaszerowałem w okolicach Limanowej i Nowego Sącza prawie wszystkie wsie i drobne miasteczka tej okolicy. Tam jedynie do chwili spotkania ożarowskich pożarów tym „naszym" byłem ja z mojemi kilku

bataljonami. Dawano mi tak chętną i tak narażającą siebie pomoc, że zawsze z rozrzewnieniem wspominam te ciężkie zimowe dnie, gdy czułem wspólne z otoczeniem życie. Wojska austrjackie nazywano „austryjoki“ albo „cesorscy“, przeciwnicy byli „moskale“ i „kozacy“, my zaś byliśmy „nasi“ i „strzelcy“, nawet nie „leguny“ — z czego zresztą i ja, i moi żołnierze byliśmy niezmierni radzi. Pamiętam, jak byłem zdumiony i rozrzewniony, gdy w prostej chacie góralskiej, w biednej okolicy, gaździna za nic przyjąć nie chciała żadnej zapłaty za produkty, które dla siebie i swej adjutantury wziąłem. Byłaby to „obraza Boska“, jak mówiła gaździna. Coprawda, głównymi przedstawicielami Austrji były wojska węgierskie, z któremi często nikt nawet dogadać się nie mógł, a które nieraz ciężko dawały się we znaki mieszkańcom własnego *Vaterlandu.*

Przyzwyczaiłem się potem do tego zaimka. Z zawiłej psychologji chłopskiej wyłowiłem wreszcie prostą myśl, która polegała na konsekwencji faktu, że parobczaki poszły do jakiegoś wojska, które przez to stało się „naszem“.

Jeszcze niedawno słyszałem zabawne określenie i rozumowanie. Gdyśmy w maju wymaszerowali naprzód za cofającymi się Moskalami z nad Nidy, otrzymałem rozkaz, by przygotować się do ataku na nowe pozycje nieprzyjacielskie, wybudowane w okolicach Staszowa. Były rozdane szkice tych pozycyj, zrobione ze zdjęć lotniczych — nowość w ówczesnych czasach — i moja Brygada otrzymała wyraźny odcinek dla przypuszczalnego ataku. Rozkazy co do ataku brzmiały nieco chwiejnie — byliśmy, coprawda, na tym odcinku frontu względnie słabi, a pozycje wydawały się mocno i solidnie zbu-

dowane. Okazało się jednak, że cofający się nieprzyjaciel nie bronił tych pozycyj wcale i wysłani naprzód moi ułani spędzili łatwo słabe arjergardy kozackie, zajmujące okopy za silnemi drucianemi przeszkodami. Gdym oglądał te fortyfikacje spotkałem paru niemłodych włościan, z którymi nawiązałem rozmowę.

— Nie wrócą już „nasi", panie, — kiwając głową, mówił mi sędziwy gospodarz — nie wrócą już!

— Dlaczego? — pytałem, zdumiony tem po raz pierwszy usłyszanem proroctwem.

— Ależ, panie, — machnął mi pogardliwie ręką — tyle pracy, całą zimę kopali, tyle lasu zepsuli, tyle drutu nakręcili i poszli sobie, nie bronili się wcale. Nie wrócą „nasi", nie wrócą...

W tym sądzie nie słyszałem i nie odczułem ani cienia goryczy, ani cienia zawodu.

A teraz słyszę ten sąd inaczej brzmiący. Gdy rozmawiam z ludźmi, zaimek „nasz" niknie najwidoczniej w świecie. Teraz jest to „łajdak" i jest to, jak zwykle „kozak", na którego głowę tradycyjnie w Polsce łatwo się zwala wszystko to, co wstrętne czy barbarzyńskie; jest to wreszcie „zbój", „świnia", czy inne jeszcze jakie wyzwisko. Nikt zrozumieć nie może, dlaczego niedalekie stąd wioski, o dzień marszu na zachód oddalone, nietknięte zostały klęską, dlaczego właśnie Ożarów i okolica nawiedzone zostały przez tego „łajdaka".

Zastanawiałem się i ja nad tem początkowo, rozpytując się, czy może ludność swojem zachowaniem dała jaki po temu powód. Odrzuciłem jednak tę hipotezę, gdy wszyscy inteligentniejsi i więcej wiedzący stwierdzili mi, że jest to nowy rozkaz i tyczy się całej Polski, która, jak myślę, ma być tą obszerną Moskwą, co

...nie darom
spalonnaja pożarom
Niemcu oddana...

Więc skutek widoczny jest: jakieś psychiczne przesunięcie się zaimka. Zaczynam się uśmiechać, myśląc o tem. Jeden z panów Polski odchodzi widocznie, wyrzeka się swej zdobyczy i utrzymać jej nie może. Czy to ułatwi, czy utrudni stosunek do nowych panów — Niemców i Austrjaków? I czy to ułatwi, czy utrudni nasze życie — legunów I Brygady — tego małego chochlika, „ducha wiecznego rewolucjonisty"? Tem kończyłem swoje rozmyślania, bo wojna wołała o swoje prawo.

Sulejówek, 29 grudnia 1924.

XIII.

O ISTOCIE DOWODZENIA

(styczeń 1925).

WYKŁAD I.

(19 stycznia 1925).

Stając przed tem audytorjum, przypominam sobie dawne ubiegłe lata, gdym niegdyś w miastach Galicji próbował budzić myśl polską, by się zechciała zająć zjawiskami wojny. Wydawało mi się, jako człowiekowi, żyjącemu intelektualnem życiem, że jest niepodobieństwem, aby ludzie nie wiedzieli, jak silnie na ich życie, na ich los, wpływały w przeszłości i miały wpływać w najbliższym czasie zjawiska wojny. Wydawało mi się poprostu niezrozumiałem, dlaczego ludzie tak obojętnie i tak spokojnie przechodzą nad zjawiskami wojny, które ich depczą, dlaczego nie starają się ich zbadać, dlaczego przechodzą nad swoim własnym losem, nad swoim własnym interesem, gdy nieszczęścia wojny, którego się obawiają, od którego zbawienia proszą w świątyniach Pana, — nie chcą zrozumieć.

Starałem się wtedy — i uważałem to za początek swojej karjery wojskowej — choć najogólniejsze pojęcie dać ludziom o zjawiskach wojny, tak, jak ja je rozumiałem. Cieszę się więc, że teraz mogę po długich latach spróbować niejako kontynuować swoją dawną pracę.

Szanowni państwo! Sam przechodziłem prace wojskowe w specjalny zupełnie sposób. Studja swoje zacząłem nie tak, jak inni; studja swoje

prowadziłem bez jakichkolwiek nauczycieli; jestem więc tem, co się nazywa samoukiem. Przedzierałem się przez lasy sprzeczności i trudności, które się na mnie waliły, nie pytając się nikogo, jak sprzeczności te rozwikłać. Ten dziwoląg pracy, że tak powiem, którego dokonałem w tej dziedzinie, jeżeli był obdarzony efektem, śmiało mówię, zawdzięczam tylko wybitnym zdolnościom w tym kierunku. Musiałbym upaść pod tym ciężarem, jaki się na mnie walił, i jeżeli wybitne zdolności, talent, które posiadałem w tej dziedzinie, pozwalały mi wyjść z tej pracy cało, to jednak, jeżeli to mówię teraz, to nie dla pustej chwalby, lecz dlatego, by wam powiedzieć, że samouctwo zostawia swoje głębokie ślady w metodzie i ujęciu pracy, które to ujęcia często do innych przychodzą już przeżute i przygotowane przez nauczycieli. Znajdziecie zapewne i w moich teraźniejszych wywodach te właśnie ślady.

Gdym przystąpił do swoich studjów wojskowych na jaki dziesiątek lat przed wojną, miałem ogólne pojęcie o wojsku, to ogólne pojęcie, jakie spotykamy wszyscy wśród siebie samych. Gdy przychodzicie do wojska, albo do niego wchodzicie, albo też — odwrotnie — nie wchodząc do niego nigdy, o nim myślicie i spytacie siebie znienacka, jaka jest charakterystyczna cecha wojska w porównaniu do niewojska, to znajdziecie zawsze jedno wyraźne określenie: jest niem nieznośne posłuszeństwo względem człowieka, względem tego drugiego, któremu żołnierz jest obowiązany posłuszeństwo.

Prowadzi to odrazu do ogólnego pojęcia, które znajduje każdy nawet najmniej myślący: jest to posłuszeństwo względem swego dowódcy. Zdawa-

łoby się więc, że pojęcie dowódcy przenikać musi całość myślenia wojskowego, że to, co jest dowódcą, i to, co jest pracą dowódcy, powinno być przedewszystkiem brane w rachubę przy wszystkich pracach wojskowych. Proszę sobie wyobrazić moje olbrzymie zdumienie, gdym przy początku moich studjów został zupełnie oszołomiony, znajdując, że wcale tak nie jest, znajdując, że to, com przypuszczał, to, czegom szukał, — człowieka dowodzącego i człowieka dowodzonego, w całym olbrzymim przerzucanym materjale książkowym, czytając książkę jedną za drugą, nie znalazłem. Zdawało mi się to tak potwornym nonsensem i tak śmiesznie dzikiem, że nie chciałem sam sobie wierzyć. Wydawało mi się, że albo ja jestem warjatem, który nie rozumie co czyta, albo — odwrotnie — panowie wojskowi nie umieją powiedzieć tego, co istotnie czują. Spotkałem systematyczne, stałe zawalanie pracy nie czem innem, jak formułami, prawidłami i prawidełkami, za któremi człowieka prawie nie dostrzegałem. Spotkałem całe mnóstwo technicznych najrozmaitszych określeń, ogromnie rozwiniętą terminologję, poza któremi tak samo człowieka niema. Wydawało mi się czasami, że panowie wojskowi, pisząc książki, starannie unikają człowieczeństwa w swojej pracy, jakgdyby chcieli powiedzieć, że słuchać należy prawideł, ustaw i ustaweczek, wszelkich technicznych określeń, ale nie człowieka.

Pamiętam swoje olbrzymie zdziwienie, gdym czytając jedną z pierwszych książek wojskowych, które zacząłem studjować, mianowicie — wielkie wydawnictwo najwyższej w owym czasie instytucji wojskowej, wielkiego niemieckiego sztabu generalnego, spotkałem obliczenie wojska, w którem

starannie chciano uniknąć człowieka; liczono tam bowiem nie na ludzi, lecz na szable i bagnety, a więc na to, co człowiek nosi, tak, jakgdyby ten człowiek, który tę szablę nosi, tym karabinem błyska, nie istniał wcale, tak, jakgdyby działa nie były przez nikogo obsługiwane. W tem samem dziele czytałem o tem dużo, że wszystkie próby działania właśnie tym pałaszem, właśnie tym bagnetem są zawodne i że dawno minęły czasy, kiedy trzeba było liczyć na szable i bagnety. Pamiętam swoje ogromne zdziwienie i swoją skłonność do przypuszczania, że panowie oficerowie niezbyt umieją swoją myśl wyrazić, gdy zaprzeczając wartości szabli i bagnetów, obliczają siebie na szable i bagnety. Długo, moi panowie, z tą dziwną prawdą rady sobie dać nie mogłem, długo szukałem, co właściwie powoduje tę dziwną niechęć do człowieka, to dziwne poszukiwanie zawsze prawideł, takich czy innych martwych rzeczy, wtedy, gdy się ma do czynienia z ludźmi; skąd to właśnie płynie, jaka jest tego przyczyna głębsza, gdy we wszystkich prawie studjach swoich ten typ pracy spotykałem?

Po dłuższym dopiero czasie mogłem się pogodzić z tą metodą teoretyzowania wojskowych, jedynie po dłuższej walce i przełamaniu siebie zgodziłem się na to, by dalej pracować: tak nonsensowna wydawała mi się ta praca, tak nonsensowny sam sposób myślenia. Wydawało mi się bowiem, że na pierwszym planie musiało być wysunięte nie co innego, jak człowiek, który dowodzi, i człowiek, który jest dowodzonym; tymczasem musiałem brnąć przez całe morze prawideł, najrozmaitszych szczegółów, nim docierałem do człowieka.

Moi panowie, ten stan rzeczy jest wynikiem nie czego innego, jak ogromnej pracy technicznej, któ-

rą każdy kształcący się wojskowy przejść musi, ażeby dojść do tego, by być dobrym w swoim fachu. Jeżeli użyć nieodpowiedniej metody, prowadzi to niechybnie do zabicia człowieka. Im bardziej technika wojskowa się rozwija, im bardziej przychodzi skomplikowana praca z instrumentem broni, tem wyższe stawia się oficerowi wymagania. I z pewnem przerażeniem myślę, że gdy zażądamy od oficera, by był elektrotechnikiem, jakim jest najlepszy monter, broń rozumiał tak, jak inżynier, gdy zażądamy od niego, by był nieledwie dobrym szoferem i naprawiaczem automobili, przytem gdy zażądamy, by jeździł i znał konie, jak w cyrku, robił pałaszem tak, żeby mógł wystąpienia publiczne robić pałaszem, jeżeliby najrozmaitsze gimnastyczne sztuki w dodatku czynił, gdy zawalimy go jeszcze całem mnóstwem ustaw, ustaweczek, słów pisanych i wszelkiego rodzaju nomenklatury, to boję się, że miejsca nie wystarczy na człowieka. Ze studjami swojemi pogodziłem się wtedy dopiero, gdym spostrzegł w dziedzinie praw wojny, że prawa człowieka są dostatecznie zagwarantowane, że wszędzie poza tą masą techniki i pracy istnieje człowiek. Niemożliwem jest przypuszczać, aby było inaczej, gdyż najlepsza maszyna wojenna nie jest nic warta, jeżeli człowiek ją popsuje złą albo niechętną pracą. Żadna praca wojenna nic nie daje, jeżeli człowiek w niej nie bierze udziału, jeżeli człowiek jej nie przeprowadza; zaś wszelkie błędy człowieka odbijają się natychmiast na skutkach jego pracy.

Zbudowawszy ten sylogizm, mógłbym już być spokojnym, gdyby wszystkie studja i obserwacje wojny nie doprowadziły mnie do pewnika, że człowiek w wojnie ma bardzo szerokie granice

pracy i działania. Z tą chwilą komunał, że wojsko obowiązuje posłuszeństwo, zyskuje na sile. Wojsko zatem jest kierowane przez ludzi, którzy dowodzą. Cała reszta jest dodatkiem do ludzi i ten dodatek może wywołać te czy inne skutki, jeżeli człowiek tych wszystkich rzeczy umiejętnie czy nieumiejętnie umie użyć.

Proszę panów, ażeby odrazu usunąć wszelkie przeszkody, przechodzę również do fałszu ogólnego w słowie, jaki istnieje, kiedy się mówi o dowodzeniu. Przeciętne słowa, których się używa, zdawałyby się świadczyć, że człowiek nie chce dowodzić ludźmi. Mówi się, że oficer dowodzi pułkiem, tamten dowodzi szkołą, inny plutonem, batalionem, armją i tak dalej. Znowu są to same pojęcia, któremi się w tym wypadku operuje, a w których jest zanik człowieka, — są to pojęcia zbiorowe, pojęcia nieżyjące. I w tem jest fałsz w słowie, który odnajdziemy bardzo łatwo, jeżeli wejdziemy w istotę pracy, jaką człowiek spełnia. Dowódca pułku dowodzi pułkiem, dobrze, — lecz dlaczego on nie dowodzi każdym człowiekiem z osobna, stojącym w szeregach pułku? Dowodzi kilkunastu ludźmi, wszyscy inni są dowodzeni przez kogo innego, przez jego podwładnych. Można, naturalnie, znaleźć słowa usprawiedliwienia, że dowódca może każdego żołnierza wywołać z szeregu, dowodzić nim, lecz przeciętną jego codzienną pracą jest dowodzenie dowódcami niższymi. Ten ogólny fałsz ma raczej symboliczne znaczenie, pojęcie bowiem realne mówi, że dowódca dowodzi dowódcami, że od samego dołu aż do góry idzie łańcuch dowódców, łączących się w pracy dowodzenia nad drugimi.

Z chwilą, gdy przechodzę do wyjaśnień, co to jest dowodzenie, do szukania wyrazu tego dowodzenia, to wszystkie próby moje, które robiłem, doprowadzały mnie zawsze do jednego określenia: że dowodzenie jest to rozkazywanie. Wszelkie próby, które często czynią w tych czy w innych podręcznikach, w tych czy w innych określeniach, są skierowane raczej ku temu, aby powiedzieć, jak dowodzić, żeby dojść do dobrego dowodzenia, ale nie mówi się o samej istocie i treści dowodzenia. Można dowodzić źle i dobrze, a jednak dowodzenie istnieje. Znaną jest rzeczą, że nietylko są dobrzy i źli dowódcy, ale są zupełnie marni dowódcy, którzy jednak są dowódcami. Istotną treścią dowodzenia jest zawsze tylko rozkaz ludzki, dany ludziom, który inni ludzie muszą wypełnić. Praca dowodzenia jest stałem rozkazywaniem ludziom, ze wszystkiemi tego konsekwencjami.

Przechodzę do najcięższej pracy dowodzenia w warunkach, dla których wojsko właściwie istnieje, do dowodzenia podczas wojny. Przeżyliśmy tyle wojny, 7 lat długiej pracy wojennej, która na naszych ziemiach się przewalała. Wiemy dobrze, dlaczego to ludzie modlą się po kościołach, szukając zbawienia od głodu, ognia i wojny.

Wojna pociąga za sobą jedno bardzo nieprzyjemne uczucie, to jest mianowicie strach. Strach zaś jest wywołany przez niebezpieczeństwo. Na wojnie więc dowódca i człowiek działa w niebezpieczeństwie. Jest to określenie starego Clausewitza, który od tego swoje prace o filozofji wojny zaczyna: działanie wojenne jest to działanie w niebezpieczeństwie. Żeby wam to uprzytomnić, tym, którzy niebezpieczeństwa wojennego bezpośrednio nie przeżywali, dałbym przykład chociaż-

by w tej sali. Całkiem inaczej panowie słuchalibyście moich wywodów, gdyby nagle te szyby brzęczeć zaczęły i kule przelatywać przez pokój. Ta praca, czyniona w niebezpieczeństwie, jest rzeczą stałą, codzienną dla dowodzącego. Te same nagłe uczucia, któreby powstały przy przykładzie w tej sali, znajdziecie również w pracy dowódcy i dowodzonego, podczas niebezpieczeństwa w czasie wojny. To znaczy, zgóry sama atmosfera pracy wojennej w niebezpieczeństwie oddziaływa na pracę dowodzenia. Druga rzecz, którą Clausewitz porusza, jest to działanie w niepewności; w niepewności, to znaczy w stanie chwiejności duszy. Jest to z jednej strony wywołane przez niebezpieczeństwo, a z drugiej strony przez specjalną cechę działań wojennych, działań, o których szerzej będę musiał powiedzieć, działań w sprzeczności.

Ja tylko dotknę tej sprawy. Niepewność polega na nieposiadaniu dostatecznych danych o tem, z kim się walczy, a z drugiej strony jest wynikiem nie czego innego, jak tego, że się działa w ustawicznej sprzeczności.

Dla ilustracji tego, co mówię, rzucę przed wami kilka przykładów zmyślonych, niehistorycznych. Dziś mówię o dowodzeniu niższem i trudno z historji dobierać przykładów dla takiego dowodzenia, więc biorę wypadki zmyślone i tym sposobem staram się dojść do nowych praw, związanych z dowodzeniem.

Proszę panów! Każdy z panów wojskowych zna na pewno jedną drogę, którą często przejeżdżam i którą często oglądałem, to jest drogę do Rembertowa. Przy skręcie z szosy brzeskiej w stronę Rembertowa są zabudowania obok drogi, rozmaicie rozsypane, i wreszcie droga prowadzi do lasu przez

Rembertów; przed lasem są pagóreczki, zdatne do ukrycia dosyć wielkiej ilości ludzi.

Dla przykładu, wyświetlającego pracę dowodzącego w niebezpieczeństwie i niepewności, daję przykład: zbliża się wieczór i na tej drodze ukazuje się pluton kawalerji z dowódcą na czele, który ma za zadanie stwierdzić, gdzie się nieprzyjaciel zatrzymał. Przy skręcie otrzymuje strzały, idące od lasu. Oto jest sytuacja, wobec której postawiony jest dowódca niewielkiej ilości wojska, 10 — 15 ułanów. Pierwsze, co się rzuca w oczy, jest to możliwość z jego strony wszelkich rozstrzygnięć. Jest on zupełnie swobodny w wyborze i odrazu musi go dokonać. Pierwsze jest stwierdzenie, że nieprzyjaciel stoi pod lasem i strzela, zatem dalej nie potrzebuje iść — zrobił swoje, zadanie swoje wypełnił. Drugie rozstrzygnięcie jest spróbować stwierdzić, co to jest za nieprzyjaciel, bliżej go zaobserwować. Trzecie rozstrzygnięcie jest, kiedy kule zanadto gwiżdżą, trochę zostać wtyle, znaleźć ukrycie i napisać raport, że się bacznie obserwuje nieprzyjaciela. Ja widzę, że panowie się śmieją, jako doświadczeni kawalerzyści. Mamy więc trzy proste rozstrzygnięcia — jest ich całe mnóstwo. Człowiek dowodzący ma zupełną swobodę wyboru pod tym względem. Może zupełnie spokojnie rozstrzygnąć, zrobić jedno, drugie, albo trzecie.

Panowie, którzy do broni wybranej przeze mnie nie należą, muszą wiedzieć również o wielkim czynniku, który istnieje w kawalerji, to jest o koniach; tu znowu mnóstwo jest rozstrzygnięć, związanych z koniem. Pierwsze: staję, a w pobliżu są murowane domy, za niemi ukryję konie. Inny sądząc, że nieprzyjaciel się cofa, myśli: za-

szarżuję go i, nie szczędząc koni i człowieka, puszczę konie naprzód, by czemprędzej dopaść słabo strzelającego nieprzyjaciela. Mamy więc przykład, przy którym człowiek ma do wyboru kilka rozstrzygnięć, a jest ich całe mnóstwo. Ba, jest jedno rozstrzygnięcie, i to jest jedno z najgorszych: nie wiedzieć, jak rozstrzygnąć, i stać pod kulami; to na pewno prowadzi do straty koni i ludzi. Można znaleźć wreszcie rozstrzygnięcie najgorsze: zostawić wszystkich i wskoczyć do tego domu murowanego, który daje osłonę. To jest także rozstrzygnięcie, które się często na wojnie zdarza, ubrane w różne preteksty, chociażby dlatego, żeby napisać raport do dowódcy; do napisania go trzeba mieć przecież spokój. Tak więc w tej sytuacji tak prostej, tak prawie codziennej na wojnie, mamy dowódcę, który staje przed możliwością dania rozstrzygnięć w najrozmaitszych kierunkach i ma swobodny wybór, jak postąpić dalej.

Proszę panów, wezmę drugi przykład z bronią inną, artylerją. Wezmę na tej drodze położenie nazajutrz. Nieprzyjaciel cofa się i tą drogą, która prowadzi do Rembertowa, idzie bataljon piechoty, a za nim baterja artylerji. Słychać strzały, i pada rozkaz do komendanta baterji, by wyprowadził armaty, stanął na pozycji i otworzył ogień. Mamy znowu dla komendanta całe mnóstwo rozstrzygnięć bardzo podobnych do tych, które miał kawalerzysta. Może się długo namyślać, a wówczas baterja z długim szeregiem wozów stoi na drodze, zawalając drogę innym, pozbawiając bataljon piechoty, który poszedł naprzód, tej pomocy, którą mu dać może. Drugie rozstrzygnięcie: natychmiast zorganizować pracę swoją w baterji, wybrać miejsce dla armat, dla obserwacji, zrobić to

wszystko możliwie szybko, gdyż widocznie dowódca chce otrzymać pomoc ognia armat. W tem rozstrzygnięciu może on armaty postawić nieco naprzód lub nieco wtyle, i wtedy albo wyzyskuje dalekonośność swojej armaty na cofającego się nieprzyjaciela znacznie dalej, albo, postawiwszy armaty bardziej wtyle, nie będzie mógł wyzyskać jednego albo półtora kilometra dalekonośności swojej armaty.

Gdy już rozkazał, zaczynają się musowe konsekwencje jego rozkazu; gdy rozkaz, wyrażający decyzję dowodzącego, ma już spełnienie swoje przez dowodzonych, którzy także w swoich granicach mają swobodę wyboru swego postępowania, konsekwencje wtedy są już nieuchronne i idą jedna za drugą, a dowodzący musi je brać na siebie.

W przykładzie z wywiadem kawalerji, naprzykład, w razie rozkazu ruszenia naprzód, otrzymamy jako konsekwencje duże straty, gdyż nie wiedząc dobrze o tem, jak silny jest przeciwnik, mógł natrafić na silny oddział, który go zniszczy; wówczas braknie go w dalszej walce. W drugim wypadku może napisać raport, niedostatecznie wyjaśniający sytuację, tak, że nazajutrz główne siły wojska wpadną w złą sytuację, dlatego, że kawalerja nie spełniła swego ostatecznego zadania; będziemy mieli ciągłe konsekwencje, które idą jedna za drugą i tak daleko, że niepodobna ich potem odwołać, bowiem one się już stały w chwili, kiedy rozkaz jest dany.

Gdy rozkaz zaczęto wykonywać, można go odwołać i przerwać tylko nowym rozkazem, który jest znowu wyborem między kilku rozstrzygnięciami.

Proszę panów, nigdy nie zapomnę swego wrażenia, gdym przyszedł do przekonania, że człowiek

istnieje z właściwością swobodnego wyboru swego postępowania, że pomimo całego ogromu pracy technicznej, jaka jest zużytkowana przez ludzi wojny, istnieje człowiek, swobodny w wyborze swoich decyzyj. Istnieje więc coś w rodzaju wolnej woli, coś w rodzaju zaprzeczenia musowości pracy wojennej, a wyraża się to tak jaskrawo, gdy kto wejdzie głębiej w istotę wojny, że może w żadnej czynności ludzkiej tak jaskrawo istnienie wolnej woli nie występuje, jak na wojnie. Lecz z chwilą, gdy rozkaz jest dany, idą z żelazną koniecznością najrozmaitsze konsekwencje i konsekwencje te przy każdym wyborze są różne, wywołując to, co mówiłem poprzednio, — wikłanie się w sprzecznościach. Jeżeli ktoś poszedł na prawo, to znaczy poszedł na prawo; jeżeli ktoś stoi na miejscu, to znaczy nie poszedł naprzód. Są to zaprzeczenia przez wydawanie innego rozkazu. Wydawanie innego rozkazu jest zaprzeczeniem wszystkim innym możliwym rozkazom, które można było wydać.

Stąd wynikają bardzo daleko sięgające sprzeczności dla pracy dowodzenia. Gdyby, powiedzmy, ten podporucznik, który dowodził plutonem jazdy na skręcie do Rembertowa, zechciał dłużej pomyśleć, toby te sprzeczności z łatwością wynalazł. Polegałyby one na tem, że jeżeli on idzie naprzód, to może mieć osłabiony pluton, może potracić konie, więc wszelkie pójście naprzód jest związane z osłabieniem siły, którą pluton posiada, i jaką pułk, do którego należy, posiadać winien. Odwrotnie, jeżeli nie pójdzie naprzód, to nie da tego, co mu nakazano, — dowiedzieć się ściśle o nieprzyjacielu. Mamy więc sprzeczność, której rozwikłać żadnem rozumowaniem nie można, bo to, co jest dobre, że-

by dowiedzieć się o nieprzyjacielu, jest złe dla strat. Jeżeli weźmiemy, że zdecydował pracować, to przez to konie, instrumenta pracy, będą bardziej zmęczone, mniej zdatne dla pracy jutrzejszej, będą dłużej stać pod siodłem, a koń, jak i jeździec, bardzo źle na tem wychodzą, jeśli są kwaterowane po nocy. Znów staje się w sprzeczności, której inaczej nie można rozstrzygnąć, jak rozkazem i wzięciem na siebie odpowiedzialności za to, co się kazało. Jeżeli weźmiemy artylerję, to wyjechanie niedalekie naprzód może rzeczywiście dać znaczną pomoc piechocie, i artylerja nie potrzebuje zmieniać pozycji, a na znacznie dalszą przestrzeń da odrazu wojsku jak najdalej idącą ochronę; lecz zato piechota łatwo trafia pod ogień. Znów mamy te sprzeczności; z jednej strony straty ludzi, straty koni, zaprzężonych do armat, a z drugiej — efekt, który można w danej sytuacji wydobyć z narzędzi pracy. Sprzeczność niemożliwa do rozstrzygnięcia, dopóki nie zapadnie decyzja, która te wszystkie sprzeczności usuwa na bok. Usuwa się na bok wszelkie dobre strony na koszt jednej dobrej strony, którą się przy rozstrzygnięciu wybiera.

Ten niechybny system wojenny i działanie w niebezpieczeństwie, działanie w niepewności, działanie w ciągłych sprzecznościach i rozstrzyganie ich jedynie rozkazem jest stałem zjawiskiem i stałą pracą dowodzenia.

Nic dziwnego, proszę państwa, że ludzie bardzo trudno niekiedy wytrzymują dowodzenie. Wszak każdy w innym zawodzie wie dobrze, jak trudno jest ciągle wikłać się w sprzecznościach pracy z jednej strony, jak trudno działać i trudno pracować przy ciągłem niebezpieczeństwie. Jest to

ten żywioł pracy wojennej i pracy dowodzenia wojskiem, z którym każdy dowodzący ciągle i ustawicznie musi mieć do czynienia.

Z chwilą, gdy dowodzenie jest rozkazywaniem, chcę zanalizować metody rozkazywania. Rozkazy daje się na trzy sposoby: jeden rozkaz jest ustny, drugi pisemny, trzeci rozkaz jest przez człowieka do człowieka, przez posłańca. To są trzy metody, prócz których innych wynaleźć niesposób. Wszystko, co jest telefonowaniem i temu podobnem, sprowadza się do tego samego. Siła rozkazu albo nabiera wartości od takiej czy innej metody rozkazywania, albo ją traci. Każda metoda ma dobre i złe strony.

Pierwsza metoda daje całego człowieka rozkazującego i z tego powodu odsłania całą siłę lub bezsilność człowieka rozkazującego. Najsilniej działa rozkaz, gdy jest dany bezpośrednio, patrząc na człowieka i nie oddając swoich wahań. Wtedy rozkaz nabiera większej siły, a są pewne rzeczy, które, gdy się użyje silniejszego tonu, pozostają silniej w pamięci. I tu zaczyna się niebezpieczeństwo tego rozkazu.

Jeżeli ustny rozkaz ma tę dobrą stronę, że reprezentuje całego człowieka, który rozkaz wydaje, to ma on swoją stronę słabą: wrażenia dalsze zacierają siłę rozkazodawstwa ustnego w porównaniu z pisemnym rozkazem, który można przeczytać choćby sto razy.

Bezpośrednio dany rozkaz ma siłę człowieka, który go daje, a pisany rozkaz siłę człowieka zawsze zaciera. Trudno przecież od ludzi wymagać, aby byli stylowymi w pisaniu rozkazu i umieli w rozkazie styl siły zrobić.

Najsłabszem natomiast jest wydawanie rozkazu ustnie przez pośrednika; metoda ta jest używa

na często w wyższem dowodzeniu, podobnie, jak i w niższem, a ma ona wszystkie słabe strony dowodzenia bezpośredniego i wszystkie słabe strony pisemnego, nie dając rozkazowi prawie żadnej dobrej strony. Dlatego też rozkaz przez pośrednika powinien być bardzo krótki; nie można za długo pośrednio przez innego człowieka rozkazywać.

Jeżeli zatrzymałem się nad metodą rozkazodawstwa, to tylko dlatego, że od metody bardzo dużo zależy w pracy dowodzenia. Wynika to z tej prostej przyczyny, że decyzja musi być oddana komuś, i metodą oddawania komuś można decyzję zepsuć albo podać w pierwotnej, nieskalanej szacie.

Rozkaz niezrozumiany działa tak, jakgdyby był wydany inny rozkaz, jakgdyby decyzja była inną, a nie tą, która przy dawaniu rozkazu istniała.

Dlatego też rozkazywanie stanowić musi jedną z poważniejszych rzeczy przy pracy dowodzenia, jedną z rzeczy, nad którą każdy dowódca dobrze pomyśleć powinien, nim wybierze odpowiednią dla siebie metodę rozkazywania. Gdyż, powtarzam, rozkaz niezrozumiany nie jest tym rozkazem, który chciał wydać, jest innym rozkazem ze wszystkiemi innemi konsekwencjami, nieraz zupełnie sprzecznemi z temi, jakie zamierzał osiągnąć rozkazodawca.

Dlatego też rozkaz, praca rozkazodawcza, jako wyraz decyzji ludzkiej, należą do najpoważniejszych rzeczy w wojnie. Proszę panów, nawet sam *timbre* głosu, jakim każdy rozkaz jest wydawany bezpośrednio, odgrywa nieraz decydującą rolę. Nawet spojrzenie odgrywa rolę tak wielką, iż trudno sobie wyobrazić. Jest sposób zwrócenia się przy bezpośredniem rozkazywaniu, który zostawia tak

jakgdyby człowieka rozkazującego w umyśle i duszy tego, kto rozkaz otrzymuje. Nawet matki, gdy rozkazują dzieciom, muszą głos podnieść.

Szanowni państwo, kończę dzisiejszy wykład stwierdzeniem kilku ogólnych praw.

Szukałem zawsze w swoich studjach wojennych człowieka; w pracach nauki wojskowej, w pracach myśli wojskowej, znalazłem go niezwykle przykrytego mnóstwem form i formułek, ustaw i ustaweczek, mnóstwem technicznych określeń, któremi nauka i wykształcenie wojskowe są przepełnione. Jest to wynikiem rozwoju techniki, tak szybko postępującej, że od kształcącego się oficera coraz więcej się wymaga, z coraz mniejszą nadzieją osiągnięcia wymaganych rezultatów, gdyż wymagania są coraz rozmaitsze, coraz bardziej rozbieżne.

Dzięki tej wielkiej pracy techniki, techniki pracy bojowej, którą nazywamy prawidłami, czy jakiemiś innemi pojęciami taktyki, te wszystkie prawa i prawidełka zacieśniają widok człowieka.

Tymczasem w pracy człowieka na wojnie elementarnym faktem jest fakt dowodzenia. W dowodzeniu tym faktem jest, że człowiek dowodzi człowiekiem, nigdy zbiorowemi jednostkami. Każdy komendant dywizji ma komendanta pułku i brygady i przez nich dalej dowodzi. Komendant pułku ma komendantów bataljonów, komendantów kompanij. Poza tem ma do dowodzenia swego adjutanta, o ile nie jest opanowany przez jego żonę, i ma ordynansa.

To jest dowodzenie komendanta pułku, które idzie od człowieka do człowieka bezpośrednio i to dowodzenie łączy dowódców wszystkich, całego wojska, w jeden łańcuch, tak, że podoficer, dowo-

dzący plutonem, słusznie może wyciągnąć rękę do swojego naczelnego wodza, mówiąc „kolego", bo wszyscy dowodzimy.

Dowodzenie jest rozkazywaniem; rozkaz jest aktem dowodzenia. Przed daniem rozkazu trzeba mieć decyzję, a praca psychiczna, która daje decyzję, jest jednym z najważniejszych procesów, gdyż jest robiona w niebezpieczeństwie, w niepewności, w ciągłem wikłaniu się w sprzecznościach.

Tem się odznacza praca wojenna w dowodzeniu niższem, która wiedzie codzienne swoje życie po pierwsze w sferze niepewności, po drugie w sferze niebezpieczeństwa i po trzecie w stałej sprzeczności.

Proszę państwa, ograniczając się tylko do dwóch wykładów, nie chcę zatrzymywać się na jednem z najważniejszych zagadnień, mianowicie — na analizie procesu, jak się robi decyzja, jak się w człowieku decyzja wytwarza i jak się przelewa na rozkaz. Sam proces wytwarzania się w człowieku decyzji charakteryzuje bardzo często sam rozkaz.

Ponieważ następny wykład chcę poświęcić wyjaśnieniu różnicy pomiędzy wyższem i niższem dowodzeniem, co stwarza całkiem inne i nowe komplikacje dowodzenia, zatrzymuję panów nad tą rzeczą, której powtarzać już nie będę, nad tem, że dowódca dowodzi tylko dowódcami niższymi, że dowodzenie to jest rozkazywanie, i wreszcie nad tem, że rozkazywanie w wojnie ma dodatkowy ciężar, obciążający dowodzenie, to jest działanie i rozkazywanie w niebezpieczeństwie, niepewności i w stałych sprzecznościach.

WYKŁAD II.

(26 stycznia 1925).

Zaczynam dzisiejszy mój wykład od powtórzenia pewnych rzeczy, o których mówiłem w przeszłym wykładzie i które mi się nasunęły, gdym jeszcze był więziony w fortecy w Magdeburgu. Ubrałem je wówczas w formę specjalną; przyszło mi na myśl z powodu tak wielkiej ilości czasu, który miałem, zilustrować swoje zasadnicze myśli o dowodzeniu, zapomocą swoich własnych wspomnień, zilustrować dowodzenie tak, jak ono mi się przedstawiało podczas wykonywania dowodzenia przez siebie samego.

. . . . . .

Streszczam to, com mówił poprzednio. Mus decyzji, obowiązek rozkazywania, w tem się streszcza cała treść istotna dowodzenia wojskowego. Dziś mam się zająć dowodzeniem wyższem. Z chwilą, gdy się mówi o dowodzeniu wyższem i niższem, wchodzi się w określenia, które są bardzo względne, co jest wyższe i co jest niższe. Dowodzenie jest to samo określenie, pozostaje różnica wyższe i niższe. Zastanawiałem się nieraz przy najrozmaitszych swoich myślach, czy to przy pracy, czy organizacji

wojskowej, i sam z siebie się śmiałem, że może najlepszą odpowiedzią na to, co jest wyższe, a co niższe dowodzenie, że to jest jednostka, której się daje większe zadanie, a to jest jednostka niższa, której się daje mniejsze zadanie. Właściwie jednak mówimy tautologję, to samo, — jednostka mniejsza, jednostka wyższa, mniejsze zadanie, większe zadanie. Trzeba uchwycić to, co stanowi różnicę najgłębszą, co stanowi treść.

Niewątpliwie, moi panowie, wszystkie określenia, dążące do ścisłości, które jakikolwiek umysł wymyślił, zawsze są nieścisłe i nigdy nie dają zadowolenia krytycznemu umysłowi, który wynajdzie, że to czy inne określenie nie jest ścisłe i proponuje inne. To też, moi panowie, stwierdzam, że wszystkie określenia, z których dużo konsekwencyj się wysnuwa, są bardzo trudne i dlatego tautologiczne określenia uznać należy za najprostsze: lecz trzeba poddać to analizie. Weźmy określenia przedwojenne. Ściśle nie przypominam sobie tych określeń w słowach, jak one były zawarte w tym czy innym regulaminie; określały one jednak treść wyższości jednostki i wyższego dowodzenia w sposób mniej więcej następujący: idzie o to, że jednostka wyższa jest zaopatrzona w broń i we wszelkie inne sposoby zadowolenia potrzeb ludzkich na czas dłuższy, niż to jest z niższą jednostką. Tak więc zaopatrywano dywizje, korpusy tak, by one wszelkie wojenne sytuacje wytrzymać mogły przez tydzień. Miały zatem dostateczną ilość broni wszelkiej, tak, by na broń nieprzyjacielską odpowiednio odpowiedzieć, i miały zaopatrzenie na przeżycie, na możliwość nieposiadania żadnej pomocy przez określoną ilość czasu. Natomiast niższe dowodzenie przeważnie było zaopatrzone na dwa

dni. Z chwilą, kiedy się mówi dwa dni, to rachuba nie może iść w ten sposób, że są to dwa dni; rachuba musi iść, zmniejszając ten okres czasu. Zaopatrzenie na dwa dni, to znaczy, że w rachubie zaopatrzenia ogólnego trzeba to liczyć jako jeden dzień, nie można bowiem doprowadzić jednostki, przeznaczonej do walki, do tego momentu, kiedy ona nic nie posiada, trzeba to powiększyć zapasami, pracą wyższą, która daje zaopatrzenie, tak, żeby zaopatrzenie stale szło codziennie, możliwie regularnie. W najnowszych czasach zaczęły się wzmagać potrzeby bojowe, ze względu na zaprowadzenie wszelkiego rodzaju nowych wynalazków: wskutek tego ciężar materjału zwiększał się z każdym dniem w sposób potworny, pochłaniając ogromne pociągi, naprzykład, jedynie z nabojami. Zaczęło się więc coraz bardziej wzmacniać przekonanie, że zaopatrzenie bojowe jest tą główną rzeczą, o którą przy zaopatrywaniu i organizacji jednostki wyższej dbać trzeba. Tak więc wyższa jednostka daje gwarancję czasu większego, niższa — mniejszego. Historycznie podczas wojny rozwinęła się przewaga taktyki bojowej; zdaniem mojem, jest to tendencja niezdrowa, dlatego, że bój, jako bój, pomimo, że jest silnym środkiem pracy wojennej, jest zawsze tylko środkiem. Musi czemuś służyć i nie każdy bój, jak historja dowodzi, jest rozsądnym; bój, jako bój, i zaopatrzenie bojowe nie rozstrzyga całości działań wojennych. Działania wojenne i z jednej, i z drugiej strony są prowadzone dla zwycięstwa, celem boju każdego jest szukanie zwycięstwa. Lecz gdy zwycięstwo jest ciasne, gdy zwycięstwo daje przewagę na niewielkiej przestrzeni, to z tego jeszcze nic nie wypływa dla zwycięstwa szerszego.

W przeszłym wykładzie mówiłem o tym patrolu, który szedł od szosy brzeskiej w stronę Rembertowa. Mógł on być prowadzony bardzo dobrze, mógł nawet lokalnie zwyciężyć, mógł nieprzyjaciela odsunąć, mógł teren, zagarnięty przez nieprzyjaciela, zabrać, lecz nic to nie znaczy, jeżeli on swych wiadomości na czas nie dostarczył temu, kto wyżej dowodzi. Może się bawić w patrole każdy, ale patrol jedynie wówczas jest wartościowy, jeżeli wiadomości, które zebrał, dostarczy na czas temu, kto dowodzi wyżej. Ten mały przykład daje wartość boju. Bój jest instrumentem siły, instrumentem mocy, lecz tylko wtedy, gdy jest rozsądny, dany dla szerszego celu.

Wielki wódz świata, Napoleon, mówił, że więcej wojen wygrał nogami żołnierza, niż bojem, pomimo, że był majstrem nadzwyczajnym w prowadzeniu wojny. Można różnemi metodami uzyskać przewagę i zwycięstwo, a bój będzie jedną z wielu. Do dziś istnieją różne określenia taktyki i strategji, czy taktyki niższej i wyższej. Ja za najmiarodajniejszą podstawę różnicy uważam czas. Czas — wielki pan świata! Gdy starożytni w obrazowem przedstawieniu swego światopoglądu czas przedstawiali, to zawsze opierał się on nogami o kulę ziemską. Kulę ziemską miał pod nogami, tratując ją, tratując ziemię. Czas matematyk, czas wielka potęga niezmienna! W ludzkich obliczeniach czasu zmienić niepodobna. Czas daje wzrost dzieciom, które jeszcze wczoraj mówić nie umiały. Czas — potęga nieprzezwyciężona! Miałem zawsze zamiłowanie do tego, by myśląc o dowodzeniu, gdy dla dowodzenia czas tak dużo znaczy, w czasie szukać rozwiązania różnic, jakie istnieją dla rodzajów dowodzenia.

Na czem polega różnica w czasie wyższego i niższego dowodzenia? Pozwólcie, panowie, że wejdę w jedną rzecz, którą obserwujemy codziennie, a która wielki wpływ na pracę wojenną wywiera. Mamy codzienną zmianę dnia i nocy; jak sięgnąć pamięcią, zawsze dzień zmieniał się z nocą. A ciemność nocy wpływa olbrzymio na działalność wojenną i dla tego, kto ma w rozporządzeniu taktykę pracy na placu boju, zmiana dnia i nocy jest decydującą. Nie wolno pracować na wojnie w nocy tak, jak w dzień, i odwrotnie.

Czas jest niezmienny dla obu stron. Niegdyś był człowiek, był czarownik, był wódz, który chcąc wyzyskać dzień, modłami go przedłużył, jak to mówi biblja o Jozuem. Jednak już od tego czasu historja ani jednego faktu podobnego nie stwierdza. Dzień niezmiennie idzie za nocą i zmienia podstawy myślenia i dowodzenia taktycznego jako mus, jako konieczność. Zmienia je niezmiennie dzień za dniem, zmuszając do zmiany rozkazów, danych we dnie, na rozkazy nocne. We wszystkiem żołnierz zachowywać się musi inaczej w dzień, inaczej w nocy. W dzień bowiem ma do rozporządzenia niezwykle silnie rozwinięty zmysł — oczy, które stają się słabemi, gdy noc zapadnie. Stąd, proszę państwa, jedna z wielkich podstaw do powiedzenia, że taktyka niższa liczy się godzinami, rachunek pracy swojej prowadzi godzinami, i pomimo, że może mieć zadanie, trwające kilka dni, jednak cała praca jest obliczona godzinami i dnia nie przerasta.

Kiedy sięgniemy do wyższego dowodzenia, to dla niego zamierają oczy. Oczy nie odgrywają tej wielkiej roli taktycznej, jaką posiadają w taktyce na placu boju. Dowodzącemu muszą wyrastać oczy

duchowe, nie fizyczne. Musi widzieć nie fizycznie, lecz myślą i temi dopiero środkami ilość czasu rozporządzalnego dla siebie wyolbrzymia. Gdy więc taktyka placu boju, co jest charakterystyką niższego dowodzenia, ma do czynienia z rachunkiem godzinowym i z prawdopodobieństwem, liczonem jedynie na dnie, to dowodzenie wyższe godziny przeskakuje. Rzadkie są wypadki takie, ażeby rozporządzając tą liczbą ludzi i tą liczbą środków, jakie ma wyższa jednostka, godzina była dla niej rozstrzygająca. Rozstrzygają dni. Im wyższe jest dowodzenie, tem ten czas się przedłuża, tem trudniejszym i zawilszym staje się rachunek. Według mego doświadczenia, jeżeli sięgniemy od wyższego do niższego dowodzenia, które kończy się na pułku — tam liczą godzinami, liczą się ciągle ze zmianą dnia i nocy każdego dnia, operując inaczej w dzień, inaczej w nocy, — miałbym określenie, które wydaje mi się na podstawie doświadczenia dość prawdopodobnem, że dywizje liczyć muszą okresami 3 do 4 dni — myślenie duchowe przepracowywać zawczasu na 3 do 4 dni, armje muszą liczyć tygodniami, naczelne dowodzenie miesiącami. Tak szybko rośnie progresja czasu wraz ze wzrostem rozmiarów dowodzenia. Mówię o tem, że duchowe oczy wyrastać muszą, gdyż fizyczne nie wystarczają. Oto, panowie, gdzie jest ta trudność, związana ze wzrostem czasu.

Wojna polega na tem, że dwie strony walczą z sobą. Jedna i druga szuka zwycięstwa. Jedna i druga mają te same prawie środki, które zwykle z sobą się spotykają. Jedna i druga mają wreszcie wielkiego pana — czas. Czas upływa obojętnie dla jednych i drugich, bez względu na to, czy jest po-

trzebny komuś wieczór, czy nie, i wszystkie prace jednego i drugiego są sprzeczne.

Jeżeli się ludzie biją, to nie dlatego, by sobie przyjemność zrobić; jeżeli się ludzie biją, to wyrastają guzy. Wszak szuka się przewagi nad tym, z którym się walczy. Jeżeli przyrównać to do gry w karty, to jest ciągłe zadawanie sobie konter, gdy gra przez kogoś jest ogłoszona. Jest to widoczna walka, przy której się szuka słabych sił, słabych stron, słabości nieprzyjaciela, by akurat tam uderzyć. Codziennie odbywa się walka, jeżeli nawet jest cicho na tak zwanym froncie, odbywa się walka myślowa dowódców, którzy wyszukują, badają i szukają, jakby przeciwnikowi to czy inne paskudztwo uczynić.

I, proszę panów, przy niższem dowodzeniu, w tym względnie krótkim przeciągu czasu, te rzeczy są obliczalne łatwo, gdyż są zmysły, które ostrzegają, a działanie brutalne broni daje efekt prawie natychmiastowy, zrozumiały przez straty, przez gęstość ognia, zrozumiały przez wszystkie odgłosy i przez całą muzykę boju, jaką nowoczesna harmonja wojny dać może.

Przy wyższem dowodzeniu jest czas. Przy wyższem dowodzeniu im bardziej czas przedłużamy, tem bardziej dajemy możność splątania wszystkich rachunków przez działanie na nieprzyjaciela, tem bardziej nieprzyjaciel swojem działaniem przeciwdziała naszym rachubom i zmienić może wszystkie postanowienia i wszystkie decyzje, dane przez wyższego dowódcę. Im dłużej przeciągamy czas wojny, tem więcej jest trudności w myśli i tem trudniejszy, łatwiejszy dla błędu jest rachunek dowodzenia. Dlatego też namiętnie lubiłem przywiązywać przy wszystkich swoich studjach

różne swoje myśli nie do czego innego, jak do ilości czasu, czasu, którego przezwyciężyć niepodobna, który jest czemś niezmiennem, czemś nieprzezwyciężonem dla jednej i drugiej strony.

Tak więc, moi panowie, przy tych wszystkich streszczeniach, przy tych wszystkich sposobach analizy, któremi dojść chciałem do myśli, czem się różni dowodzenie niższe od wyższego, zawsze dochodziłem do ostatecznego określenia: jedno ma do czynienia z placem boju, drugie z teatrem wojny. Sposoby i zadania nabierają innego charakteru przy wyższem dowodzeniu w porównaniu z niższem, gdyż dla jednych wygrana i przegrana są na placu boju, a dla innych przegrana i wygrana są na całym teatrze wojny. Wprowadzi to nas odrazu do pojęcia strategji, taktyki i tak dalej. W czasie niższa taktyka, niższe dowodzenie ma do pobudzenia zmysły człowieka, któremi przeważnie pracować musi, gdy wyższe dowodzenie zmysły gubi, zmysłów nie posiada i pracować musi myślą, pracować musi duchowemi zmysłami.

Gdy więc panowie zechcą przypomnieć mój wykład poprzedni, gdzie wspominałem o Clausewitzu, który twierdził, że wojna to jest działanie w elemencie niebezpieczeństwa, w elemencie niepewności, znajdujemy różnicę znowu pod tym względem w tej sprawie następującą: niebezpieczeństwo fizyczne dla dowodzenia wyższego się zmniejsza, lecz zato olbrzymio się powiększa działanie w niepewności. Niepewność wzrasta w tak olbrzymiej progresji, że nie można ich wcale porównać.

Pozwolą państwo na parę przykładów historycznych, które może dadzą pewne wyświetlenia, pewną ilustrację, pewne dotknięcie do tego objektu, którym tu się zajmujemy.

Jako pierwszy przykład wybrałem działalność 1-ej armji niemieckiej w 1914 roku na polach francuskich. 1-sza armja niemiecka oddaną została pod dowództwo generała von Klucka. W porównaniu ze wszystkiemi innemi armjami niemieckiemi miała tę właściwość, że miała iść na skrzydle. Każdy z panów rozumie, jak trudno jest iść na skrzydle, gdy nie mamy oparcia własnego, gdy mamy albo świeże powietrze, albo nieprzyjaciela, w porównaniu z tym, który idzie *en cadre* pomiędzy innymi. Dlatego możnaby było przypuszczać, że dano do dowodzenia człowieka najsilniejszego, człowieka, który miał w sobie dość siły, dosyć hartu, by tę sytuację wytrzymać i przezwyciężyć. Do dowodzenia dano mu prawie sześć korpusów, czyli około 300 do 400 tysięcy ludzi, uzbrojonych w to wszystko, coby mogło przetrzymać to wielkie zadanie, które mu powierzono. Gdy przebiegam organizację tej armji, spostrzegam chęć uzbrojenia tej armji w siłę; szukano bowiem najlepszych wojsk dlatego, że najcięższe zadanie spełnić miały; szukano tych, którzy zapytani, czy są Niemcami, odpowiadali — *nein, wir sind Preussen* — my jesteśmy Prusakami. Szedł korpus pomorski, szedł III brandeburski z korpusem rezerwowym, szedł IV magdeburski ze swoim rezerwowym korpusem i dodano jej wszelką pomoc, a nadto dodano jej korpus altoński, IX. Zadanie, które miał do spełnienia, przerastało zwykłą miarę. Miał zabezpieczyć wszystko, stojące na skrzydle, zabezpieczyć prawie wszystkie armje, idące dalej koło niego, a obok tego spadł na niego obowiązek, zasłaniając wszystkich, przebiec największą przestrzeń. Przypuszczam więc, że wierzono święcie, iż generał, na którego to włożono,

miał siłę dostateczną. Istotnie, fakty mówią, że generał von Kluck nie był zwyczajnym człowiekiem. Pomyślmy, że przerzucił on czterysta tysięcy ludzi przez jedno miasto, to bowiem było mu wyznaczone do początku marszu, dalej zaś za miastem zaczynała się 2-ga armja; stanął w mieście na czele sam, wyznaczając porządek przemarszu przez ulice — mówię o Akwizgranie, — trzymając silnie żołnierzy, tak, by rachunek ani na jedną chwilę się nie zatrzymał, żeby prędzej przebiec ciasną przestrzeń z tak olbrzymią ilością wojska; że mając tę wielką pracę do przezwyciężenia, odrazu wyskoczył naprzód w porównaniu ze swymi kolegami, którzy mniejsze trudności mieli do przełamania; że odrazu miał do czynienia ze stotysięczną armją belgijską, którą zniegliżował zupełnie, zasłaniając się od niej jakąś słabą siłą, odwracając się od niej tyłem, poto, żeby iść naprzód i tak, jakby ta stotysięczna armja belgijska nie miała żadnej wartości; przechodził nad nią do porządku dziennego, nie tracąc ani jednego dnia marszowej wielkiej racji dla swoich wojsk, tak, jakgdyby tych sto tysięcy ludzi, chcących mu dać kontrę, nie znaczyło dla niego nic; że gdy spotkał armję angielską, rzucił się na nią w jednej chwili tak, że gdy policzymy przebieg marszu 1-ej armji niemieckiej aż za Paryż, znajdziemy, iż przechodziła ona codziennie dwadzieścia do dwudziestu paru kilometrów, tak, jakgdyby te boje, te krwawe kontry, które mu zadawano, nic nie znaczyły. Wielka potęga, wielka siła tego charakteru, siła wartości wojska, którem dowodził. i dufność, pewność siebie, którą ten człowiek posiadał, mówią mi zawsze, że Niemcy miały w nim jednego z czyn-

nych ludzi, wielkiego wodza, któremu nic strasznem nie było.

Spójrzmy, proszę państwa, na czas, na kwestję czasu, którą miał ten człowiek do rozstrzygnięcia. Nigdy nie zapomnę wrażenia, gdym tę bitwę ze strony niemieckiej studjował, gdy szef sztabu generała von Klucka, von Kuhl, opisuje, gdy 3 września wahano się, czy przejść Marnę, czy nie. Przejść Marnę to już mieć Paryż po prawej stronie, tak, jak niegdyś czyste powietrze, tak tu Paryż zostawić po prawej stronie. Gdy nie otrzymał rozkazu od wyższego dowództwa, Kluck zdecydował przejść i oddalono się od Marny o cały długi dzień niemieckiego marszu, przechodząc mimo Paryża. Ciężkiem musiało być przejście tego człowieka, gdy 5 września rano otrzymał rozkaz od głównego dowodzenia następującej treści: „1-sza i 2-ga armja pozostają przeciw wschodniemu frontowi Paryża, 1-sza armja pomiędzy Oise i Marną, trzymając przejścia przez Marnę, 2-ga — pomiędzy Marną a Sekwaną". Zostawił za sobą już 5 dni temu Marnę, do której dojść musiał, wczoraj, minął, poszedł sobie naprzód. Proszę sobie wyobrazić to głębokie upokorzenie człowieka, który tyle dokonał, tyle zrobił z siebie i żołnierza, z tak bezgraniczną siłą się uporał, przeleciał przestrzeń, by złamać ostatecznie nieprzyjaciela, gdy mu rozkaz jego przełożonych mówi, — żeś, bracie, za dużo zrobił. Jak von Kuhl, szef jego sztabu, mówi, zastanawiano się nad treścią tego rozkazu, który przyszedł radjotelegraficznie, i nie wierzono swoim oczom. Użyte było słowo *verbleiben* — armja 1-sza pozostaje. *Verbleiben konnten wir nicht, wir konnten nur dorthin zurückmarschieren* — mówi von Kuhl. Nie możemy „pozostać", gdyż jesteśmy

poza Loarą i poza Marną. Rozkaz ten oznaczał: maszerować wtył, zpowrotem. Zpowrotem o dwa do trzech dni marszu, który już był zrobiony. Ta ciężka walka, którą stoczył z sobą generał Kluck, gdy ten rozkaz dziwny otrzymał, nakazujący cofnąć się bez boju przed cofającym się nieprzyjacielem, którego widział ciągle w odwrocie, musiała być jednem z upokorzeń ludzi, nie liczących się z czasem, którzy ten czas prześcignąć chcieli, którzy z czasu, wielkiego pana, sługę zrobić chcieli. Czas się zemścił. Kluck zdecydował jednak jeszcze jeden dzień pozostać, sądząc, że jeden korpus, który pozostawił wtyle, załatwi wszystkie kłopoty w razie niebezpieczeństwa. „Dojdę do Sekwany" — tak zadepeszował do głównego dowództwa. Nazajutrz przymuszony, musiał wracać zpowrotem tam, gdzie go wołał ów rozkaz wyższego dowodzenia; zmuszony przez działania nieprzyjaciela. Całą armję musiał zawrócić, by rzucić ją wtył dla osłony całego wojska przed działaniem nieprzyjacielskiem. Czas-matematyk szedł dla jednych i dla drugich, czas-matematyk sprzyja sile, sprzyja rozumowi i nie pozwoli siebie przezwyciężać.

Dla porównania daję drugie swoje studium z tego samego wojska. Jest to wielkie zwycięstwo Hindenburga w Prusach Wschodnich. Gdym przerzucał, gdym szukał zgodnie ze swoją metodą, jak się obchodzono z czasem i umiano czy nie umiano obrócić czas, by rydwan zwycięski ciągnął, byłem zdumiony; zdumiony i wprost przerażony. Historja daje fakty niezaprzeczone. Poprzedni dowódca niemiecki pierwszą bitwę, którą Rosjanie mu wydali, przegrał, i pobity się cofnął, przegrał tę bitwę przeciw jednej armji, armji generała Rennenkampfa. Zmieniono dowódcę, przeznaczono do

dowodzenia ludzi, których imiona historja wojny ciągle potem powtarza, — Hindenburga i Ludendorffa. Nie zmieniono nic innego, gdyż narazie żadne posiłki nie nadeszły, dopiero się zbierały do odjazdu. Pozostały te same siły, jakie posiadał generał Prittwitz. Tymczasem szła na niego już druga armja, oprócz tej, która go pobiła poprzednio, szła armja, silniejsza liczebnie od tej, którą miał Rennenkampf — armja Samsonowa. Gdy człowiek już to jedno zestawi, to jedno przed oczy sobie rzuci, dojdzie do wniosku, że działo się coś niesamowitego. Dlaczego Prittwitz przedtem przegrał, a dlaczego Ludendorff rozbił jedną armję za drugą i, pobiwszy tak wściekle Samsonowa, pobił Rennenkampfa, poprzedniego zwycięzcę. Gdzież kryje się zagadka człowieka, gdzież czai się zagadka siły i potęgi ludzi, którzy takie cuda czynić umieli? Gdzież kryje się dusza tych ludzi, którzy tyle zrobić mogą, jakaż to wielka wewnętrzna siła, jakież to wartości heroiczne, które przetworzyć umieją widoczną klęskę w świetne zwycięstwo? Gdy przebiegałem obliczenia swoje, powiedziałem sobie na zwycięstwo nad Samsonowem: ci ludzie mieli tylko dwa dni czasu. Miara niezwyczajna dla większych mas ludzkich. Wydawało mi się, że dając dwa dni czasu, daje się za dużo, gdyż wydawało mi się, że nazajutrz Hindenburg i Ludendorff nie będą mogli zrobić już tego, co zrobili wczorajszego dnia, że jedna doba było to obliczenie, w którem to wielkie zwycięstwo odniesiono. Zdołali więc oni, wyżsi dowódcy, skurczyć w sobie czas, jakgdyby wielka masa ludzi pracowała tak, jak małe bataljony, a pracowała na wielkich przestrzeniach. Dotąd myślę nad tem, że gdy skurczyć to do jednej doby, czy jest to możliwe dla ludzkiej siły, dla siły

duszy, która wie i rozumie, że jeżeli dziś nie zrobi do końca, to jutro zginie. Otóż panowie wojskowi to przecież wiedzą, że zawrócić jeden bataljon z taborami zajmuje czas, lecz zawrócić trzy lub cztery korpusy w jeden dzień, to jest bardzo trudna rzecz i musi to zabrać znacznie więcej czasu; ta groźba, pod którą Hindenburg i Ludendorff pracowali dla zwycięstwa nad Samsonowem, była tak wściekle krótką, że wydaje się, iż bitwa jest jedynie taktyką, że to skurczenie do ocznych wrażeń nieledwie robi widzenie ducha tak silnem, tak przejrzystem, jakgdyby to byli dowódcy bataljonu, idący do boju. Tymczasem oni mieli kilometry i kilometry, gdzie oko ludzkie nie sięga.

Macie panowie dwa historyczne przykłady, dwa przykłady, tak dziwne i tak wiele mówiące o istocie wojny. Wybrałem rozmyślnie silnych ludzi, którym nikt nie odmówi wielkości siły, wielkości woli i potęgi ducha. Mamy jednego i drugiego w wielkim pościgu dla prześcignięcia czasu, dla dania kontry wielkiemu panu świata, czasowi.

Jeden przegrywa, drugi wygrywa; i gdy się zastanawiać, gdy szukać, gdzie jest sprawiedliwość na świecie, która Hindenburga policzy pomiędzy wielkich, a Klucka zaliczy do nieudanych wodzów — to doprawdy trudno dać na to odpowiedź. Ciężary pracy, ciężary siły były jednakowe. Obaj skurczyć chcieli czas, który skurczyć się nie daje. Obaj kurczyli czas do tej nadzwyczajnej miary, by z armji robić bataljony, by dowodzić godzinami, zachowując całą potęgę tygodni, całą potęgę myśli i całą potęgę duszy, zmienionej w wzrok duchowy, który widzi nie widząc, słyszy nie słysząc, dotyka nie dotykając, który w swojej potędze wewnętrznej daje siłę duszy tak

wielką, że zmysł realny zamiera. A jednak Hindenburg jest wielki, a Kluck jest mały.

Proszę panów, wracamy do analizy Marny. Przypominacie panowie, w zeszłym wykładzie mówiłem o metodzie dawania rozkazu. Metoda dawania rozkazu bezpośredniego, pośredniego przez kogoś i metoda rozkazu pisemnego. W bitwie nad Marną użyto najnowszego wynalazku, dawano rozkazy, dawano raporty przez radjo. Teraz wystarczy drucik, przy którym można słuchać dowódcę, gadającego w oddali, lecz w owym czasie radjo w dowodzeniu zawiodło. Zawiodło tak dziwnie, że gdy się dowodzenie nad Marną u Niemców studjuje, to wydaje się to wprost niewiarogodnem, by tak wielka i tak potężna armja takie głupstwa czyniła. Raporty i rozkazy szły nieraz po dwadzieścia parę godzin, nim doszły. W tym właśnie wypadku, który rozpatrywałem, wieczorem przy przejściu przez Marnę, Kluck zadepeszował do głównej kwatery o swojej decyzji. Zadepeszował, dając motywy w krótkich słowach, dlaczego to tak robi, zadepeszował o tem, że rozkaz następny znajdzie go już na południe od Paryża. Gdy otrzymał odpowiedź, jemu się zdawało, odpowiedź, przewracającą do góry nogami wszystko to, co czynił, ze słowem *verbleiben* — pozostać, tak, jakgdyby główna kwatera nie wiedziała nic o tem, że on tę Marnę przekroczył i ma półtora dnia od Marny.

Tu wchodzę, proszę państwa, jak poprzednio przy końcu wykładu, do rozkazodawstwa. Gdy przy niższem dowodzeniu rozkazy mają czas minimalny dla wysłuchania, dla przeczytania karteczki, która jest posłana, to w wyższem dowodzeniu samo rozkazodawstwo czas mierzy. Ten, kto dla rozkazodawstwa czasu nie mierzy, ten zawsze

błądzi, kto czasu biegnącego rozkazu nie wymierzy i uważa, że rozkaz dany jest już przez to rozkazem, a raport napisany i odesłany już przez to jest skończony, i na podstawie tego działa, zawsze błądzi. Na tym przykładzie widzimy, że dni mijają, nim rozkaz dojdzie, nim będzie odczytany, dni mijają, nim raport posłany dojdzie i nim do rachunku wciągniętym będzie. I ten, moi panowie, kto miary czasu do rozkazodawstwa nie stosuje, ten w wyższem dowodzeniu nic nie wart, nie zdziała nic, ten długo się musi uczyć myśleć, przemyśleć swój czas, bo rozkazy kontredansa tańczą z raportami, które jeszcze nie doszły.

Gdy więc, panowie, w samem rozkazodawstwie, w samem raportowaniu ten czas jest tak wielki, dam jeszcze drugi błąd, najczęściej istniejący, najczęściej czyniony: polega on na tem, że oblicza się swoje działania bez stałego przeciwdziałania nieprzyjaciela. Wygląda to tak, jak wielki Podbipięta, który triumf chciał widzieć, gdy trzy głowy Turków tak ustawi, by je mógł mieczem ściąć. Ale nieprzyjaciel, moi panowie, nie jest tym Turkiem, który się dla przeciwnika ustawia, by łatwo główki można było ścinać.

Jest to błąd najczęstszy, jak również i błędy w obliczeniach czasu w rozkazodawstwie.

Na zakończenie Józef Piłsudski stwierdził, iż dowodzenie niższemi jednostkami jest w czasie teraźniejszym, kierowanie zaś jednostkami wyższemi jest to ciągle stawanie się, bezustanna zmiana. Aby to opanować, trzeba umieć nie bać się myśleć. Najwyższą cnotą wyższego dowódcy jest to, by nie bał się myśleć i przewidywać, by zawsze

rozmyślał się co siebie, co sytuację nieprzyjaciela, co okoliczności.

To też — *zakończył* — życzę Polsce i jej armji, by w nich było jak najwięcej ludzi, nie bojących się myśleć.

XIV.

PRZEMÓWIENIE NA ZEBRANIU „RODZINY WOJSKOWEJ"

(3 lutego 1925).

Szanowne panie!

Spotkał mnie zaszczyt, iż zostałem zaproszony przez komitet, organizujący dzisiejsze zebranie, nato. bym je zagaił.

Szanowne panie! Zostałem zaproszony dlatego, że byłem ongiś Naczelnym Wodzem Polski w czasie wojny, żem był tym, który szafował krwią waszych najbliższych, waszych mężów, tych, których żegnałyście nieraz z trwogą i bojaźnią o ich los. I nieraz, gdy przemyśliwałem o swej i waszej przeszłości, gdy myślałem o tym urzędzie szafarstwa krwi, miałem swoje czarne dni, miałem swoje czarne godziny, które sądzą samego siebie, które szukają gdzieś innego sądu, niż swego własnego. Szafarstwo krwi bowiem nie należy do przyjemnych, przeciwnie — należy do tych czarnych godzin.

Są jednak chwile radości i triumfu. Lecz gdy myślę, że biuletyny zwycięstwa są czytane przez wiele istot nie z radosnem biciem serca, lecz z sercem, ściśnionem trwogą, sercem, bijącem niepokojem. że w czarnych literkach szukają numerów dywizyj i pułków. tam, gdzie głowa dobra i kochana słyszy świst kul, które nie szukają, lecz znajdują gdzieś swoje ofiary, — gdy w czarnych godzinach przebiegam myślą sumienie, mówiące o szafarstwie krwi, gdy w czarnych godzinach kiedyś przez najwyższy sąd szafarstwo to inaczej i innym

rozumem sądzone być może, niż naszym ludzkim, i że są blizny niezagojone, takie, które goi tylko grób, i blizny nigdy niezapomniane, w tych czarnych godzinach nieraz myślę o was, panie, o kobietach, o tych, które pozostały w domu, o tych, które sztandaru łopoczącego nie słyszały, ale mają tylko trwogę i niepokój i niepewność o innych, o tych, którzy wyszli. Dzięki więc wam zato, panie, żeście mnie zaprosiły, że w godzinach czarnych ulgę mi sprawiacie, że nawiązałem węzły z wami, najcięższemi ofiarami wojny.

Szanowne panie! Rodziny są to gniazda, są to gniazda, gdzie jest ich dwoje, a poza nimi istoty inne, istoty rosnące, o niewinnych główkach i niewinnych oczach, i wiem, jak ciężkie są chwile, gdy to wszystko zostanie zrujnowane. Gołąb gdzieś w bój uleciał, zostaje ta jedna gołąbka, która czuwać musi nad resztą rujnującej się rodziny.

Rodziną zwać chcecie swoje stowarzyszenie. A rodzina wtedy, gdy pioruny w nią biją, najbardziej jest narażona, bo pioruny biją także w was, w was, które związane jesteście węzłami nierozerwalnemi tam z tymi, co na bój się narażają i ciężary bojowe znosić muszą. Rodzina cała wtedy się kruszy i rozpada. Niema ich dwojga, została tylko gołębica, trwożliwie nad gniazdem latająca, bo i w gniazdo pioruny biją, w gniazda ludzkie, w rodziny, związane tyluletnią pracą, codzienną myślą o drobiazgach życia — i jest wszystko jedno, czy znicz domowy oświetlał kłótnie małżeńskie, czy też zgodę i śmiech, i radości rodzinne, bo znicz domowy tleć przestaje.

Wiem, że dzieliłem losy z wielu ojcami, którzy widzieli dziecko, nie znające ojca, a które tylko paluszkiem nie żywą istotę ojca wskazuje, ale na

fotografję, oznaczając ją słowem „tata“. Rodziny w niwecz się obracają, rodziny się rozprzęgają, pozostają w ruinach i szczątkach. I wtedy przypominam sobie moje czarne godziny dowodzenia, godziny, gdym nieraz sobie o paniach myślał, gdym widział niepokój ojców, idących na wojnę, niepokój matek, niepokój mężów, którzy w gwiździe kul słyszeli płacz żony pozostawionej i jęk dzieci.

Kryzys ciężki, który panuje nad bliźnimi podczas wojny, panuje najciężej nad rodzinami wojskowemi, którym znicz domowy gaśnie, rodzina się psuje.

Gdy panie zebrałyście się tutaj, by o rodzinie radzić, by o rodzinie myśleć, by dla rodziny, dotkniętej kryzysem, szukać ratunku, myślę nieraz, że przyszły szafarz krwi polskiej będzie szczęśliwszym, niż ja, gdym nieraz przemóc nie mógł, gdym nieraz złamać nie mógł naszych urządzeń, tak łatwych dla wszelkich zniewag, a tak trudnych dla pracy nad utrzymaniem rodziny. Panie wtedy swem zrzeszeniem, swą pracą dopomogą przyszłemu szafarzowi do zwycięstwa, dopomogą mu nieść jego historyczną ciężką odpowiedzialność.

Szanowne panie! Gdy mówię do was, staram się nawiązać jakiś węzeł pomiędzy mną mówiącym, a pomiędzy wami, węzeł, który mi w czarnych godzinach ulgę sprawia. Niech mi wolno będzie wymienić drugi węzeł, który do tragicznych nie należy. Byłem tym w państwie polskiem, który z piórem w ręku, z uśmiechem na ustach podpisał wasze prawa, prawa kobiet, równające je w swoich prawach z mężczyznami. Węzeł więc inny, który wiąże mnie z wami.

Szanowne panie! Mam tylko jedno zadanie, mam mówić nie o waszych obywatelskich zadaniach, nie

o tem, co was zająć powinno, mam mówić tylko ogólnie o tem, jak dobrze jest, żeście się zebrały radzić o sobie samych, o swoich własnych rodzinach.

Mówicie o rodzinach. Rodzina psuć się może i w czasie pokoju, nietylko więc wtedy, gdy kryzys ciężki, spadający na cały kraj, jak pożar, swe panowanie roztoczy. W czasie pokoju życie wojskowych nie jest tak łatwe dla rodziny, nie jest tak proste do zniesienia, nie jest tak proste do przeżycia. I dlatego współpraca pod tym względem kobiet, niosących ulgę swoim mężom, wspierających ich dla przebycia nieraz ciężkich chwil w życiu oficerskiem, jest bardzo pożądana. Trzeba pod tym względem dużo męstwa i dużo dobrej woli.

Niech mi wolno będzie na zakończenie prosić o jedno. Ja sam jestem człowiekiem rodziny i wiem, co znaczą prawa mężczyzny i prawa kobiety. Niech prawodawstwo, głoszone przez wielkich prawodawców, tworzy nowe prawa — w Polsce prawa kobiety w rodzinie są znaczne — a oto moja prośba:

Niech panie, które są obdarzone temi prawami, które wojskowym nie przysługują, zechcą nie znęcać się nad tym nieszczęśliwym oficerem, by wykorzystywać swe prawa.

XV.

PRZEDMOWA DO „MOICH PIERWSZYCH BOJÓW“

(7 lutego 1925).

Latem 1917 roku zostałem aresztowany w Warszawie przez władze okupacyjne niemieckie i wywieziony w głąb Niemiec. Przez pewien czas przewożono mnie z więzienia do więzienia, nieraz trzymając w najgorszych warunkach, by wreszcie po kilku tygodniach osadzić w twierdzy magdeburskiej, gdzie po roku i kilku miesiącach doczekałem się powstania państwa polskiego. W Magdeburgu, ku wielkiemu memu zdziwieniu, wywyższono mnie nagle do wysokiej rangi generała i trzymano, że tak powiem, z odpowiednim dla takiej szarży szacunkiem. Miejscem mego pobytu była cytadela dawnej, starej fortecy magdeburskiej, a właściwie jeden z jej zakątków — zabudowanie, które, jak się o tem mogłem przekonać z tablic, zawierających przepisy zachowania się w celach, nosiło zabawną nazwę: *Sommeroffiziersarreststube*. Miało to najoczywiściej oznaczać, że w tem zabudowaniu odsiadywali swoją karę aresztu za te czy inne przewinienia oficerowie garnizonu magdeburskiego, lecz zarazem nazwa ta wskazywała, że zabudowanie to nie jest przeznaczone dla takiego użytku w zimie. Przetrzymano mnie tam wprawdzie przez cały czas zimy z 1917 na 1918, lecz nie mam zresztą z tego powodu do Niemców specjalnych pretensyj. Bywało i zimno, lecz nie mogę powiedzieć, aby się nie starano, nieraz i bardzo gorliwie, o usunięcie tych braków. Przypuszczam, że wybrano dla mnie to miejsce

dlatego, że w niem najłatwiej można było wykonać surowe nakazy zgóry — zupełnego izolowania mnie od całego świata. Mieszkałem zresztą wcale wygodnie. Do rozporządzenia miałem na pierwszem piętrze trzy cele: pokój sypialny, coś w rodzaju pokoju, w którym mogłem kogoś przyjąć, a co w mojej sytuacji mogło mnie tylko do śmiechu pobudzać, i trzeci — pokój jadalny. Wszystkie trzy cele, dzień cały otwarte, wychodziły na ogródek, w którym było kilka drzew owocowych i trochę niewielkich krzewów czy roślin. Za ogródkiem był wielki wał ziemny dawnej fortecy, porosły murawą, wyższy znacznie od domu. Na dole, w parterowych celach, mieszkali podoficerowie, przeznaczeni do pilnowania mnie, i ordynansi, których systematycznie co pewien czas mi zmieniano. W ogrodzie stał żołnierz uzbrojony, jako stała warta. Cały ogród był oddzielony od reszty świata, czyli od ogromnego podwórza cytadeli, wysokim szczelnym parkanem, zbitym z desek. Do świata zewnętrznego prowadziła furtka, za którą stał inny posterunek, wydzielony z fortecznego odwachu.

Jakby dla pocieszenia mnie i uhonorowania, powiedziano mi odrazu, że w tym właśnie gmachu przeleżał i przesiedział przez dłuższy czas generał belgijski, dowódca twierdzy Liège, ranny przy jej obronie.

Narazie wolno mi było spacerować w ogrodzie przez trzy godziny dziennie, potem przestano mnie w tem krępować i miałem prawie cały dzień do zmierzchu otwarte drzwi z górnego piętra do ogrodu. W tych warunkach przesiedziałem rok cały zupełnie samotnie i dopiero w połowie sierpnia 1918 roku przybył, jako towarzysz niedoli więziennej,

generał Sosnkowski, z którym pozostałem aż do zwolnienia mnie w listopadzie 1918 roku.

Do życia więziennego, jak mi się zdaje, byłem urodzony. Bardzo łatwo znoszę samotność, nie odczuwając, jak inni, całego jej ciężaru i umiejąc łagodzić pracą myślową najcięższą stronę życia więziennego — tęsknotę. Niema bowiem wątpliwości, że każdego więźnia przytłaczać musi tęsknota do wolności, do swobody ruchów, do takiego stanu, gdzie niema tylu zakazów, ograniczeń, skazujących człowieka na monotonność długiego szeregu dni, spędzanych zawsze jednakowo, zawsze w tych samych warunkach. Dla ludzi tak skrupulatnie izolowanych, jak ja byłem odcięty od świata w Magdeburgu, życie staje się ciężarem prawie nie do zniesienia. Dla mnie musiało to być tem cięższem, że wyrwany zostałem z życia, tak pełnego zmian i tak bogatego codzień w inne wrażenia. Żyłem życiem wojennem, w którem nerwy ludzkie przyzwyczajają się do wiecznego ruchu, do codziennej a koniecznej zmiany zajęcia, do koniecznej a codziennej przemiany samego siebie w coraz to nowy instrument walki, który pracuje coraz to innym wysiłkiem woli, nerwów, umysłu czy serca. Cisza więc więzienna i niezwykła, bo niemiecka, monotonja dni była doskonałym gruntem dla żrącej nieraz tęsknoty do barwnej i pełnej ruchu wstęgi życia wojennego. Zupełna izolacja przytem nie dozwoliła mi nawet wiedzieć, co się stało lub co się dzieje z kolegami i przyjaciółmi, z którymi się zbratało w ciężkiej i twardej, lecz tak niezwykle uroczej i tak bratersko przeżytej pracy wojennej, odbytej w mojej I Brygadzie legjonowej. Nieraz też w długich, samotnych przechadzkach po ogród-

ku wyrastały mi, jak żywe, kwiaty wspomnienia o niedawnych przeżyciach. Cisnęły i łudziły one, jak fantomy oaz na pustyni, gdy podsuwały mi pod oczy miłe twarze przyjaciół, gdym w uszach słyszał nieledwie ich śmiechy obok huku armat i grzechotu karabinów, grających swą muzykę wojenną.

Dla zżarcia trawiącej mnie tęsknoty zmuszałem siebie do analizy swego postępowania, jako dowódcy. Bawiłem się w krytykę czy to siebie, czy to swych podwładnych, by oczy przestały widzieć, uszy słyszeć, serce bić mocniej, by móc te prawie zmysłowe wrażenia zamknąć w rozmyślania analityczne. Długo, długo pracowałem myślą jedynie. Wtedy zacząłem odczuwać, jak nieraz w poprzednich już moich więziennych przeżyciach, że zaczynam żyć jakiemś nierealnem życiem, jakąś pracą głowy jedynie, tak, że zamierać zaczyna normalna praca organizmu. Zdecydowałem się zerwać z tem i, zrobiwszy dla próby gimnastykę woli przez zaniechanie na dwa tygodnie palenia, przyszedłem do przekonania, że najprostszym sposobem pozbycia się ciężaru tęsknoty jest próba rzucenia wspomnień na papier. Mieć pióro w ręku i jego mechaniczną pracą związać siebie ściślej z życiem, chociaż tak ubogiem we wrażenia, lecz jednakże realnem!

I wtedy przyszły mi na myśl moje niegdyś, z czasów przedwojennych, dziesięcioletnie studja nad zjawiskiem wojny w świecie. Dziesięć lat wżerałem się w istotę pracy dowodzenia, w żywiole — jak mówi Clausewitz — niebezpieczeństwa, w żywiole niepewności, w żywiole wreszcie — jak ja określam — wiecznych sprzeczności nie do rozwikłania, rozcinanych, jak gordyjski węzeł, mieczem

decyzji, mieczem rozkazu. Pamiętam, gdym szedł na wojnę w sierpniu 1914 roku, postanowiłem sobie bacznie obserwować zjawiska wojny, bacznie analizować samego siebie, by sobie samemu rozwiązać mnóstwo wątpliwości, odpowiedzieć na mnóstwo pytań, pozostałych w duszy i w głowie z okresu studjów nad książkami. Teraz w Magdeburgu zdecydowałem się spróbować, czy pójdzie mi łatwo ziszczenie dawnych marzeń, bym mógł szczerze i spokojnie zilustrować sobą samym prawdę o istocie dowodzenia, prawdę o duszy dowódcy, uginającej się pod ciężarem niebezpieczeństw, niepewności i sprzeczności. Walczy z niemi, bo są one żywiołem wojny, każdy żołnierz. Dowódca niesie prócz tego ciężar odpowiedzialności za swych podwładnych, a na policzku swoim czuć musi piekący wstyd upokorzenia, gdy mu praca dowodzenia się nie uda, a za niepowodzenie krwią płacą inni. „Śmieszne ongiś marzenia — mówiłem sobie — możesz teraz w więzieniu urzeczywistnić, gdy przezwyciężysz lenistwo do pióra".

Taką była geneza leżących przed czytelnikiem wspomnień moich z pracy dowodzenia w roku 1914. Zdecydowałem wtedy odrazu, że wybiorę dla opisu trzy najcięższej przeze mnie przeżyte prace w I Brygadzie. Momenty, w których ja, szafujący niezwykle ostrożnie krwią podwładnych, unikający nieraz rozmyślnie pracy dla sławy, by nie płacić za nią za drogo, umiałem czy musiałem zaryzykować całym nieledwie przeze mnie dowodzonym oddziałem, stawiając na kartę i siebie, jako dowódcę. Najcięższe moje prace dowodzenia: Ulina Mała, Marcinkowice i Kostjuchnówka. Zdołałem skończyć tylko Ulinę Małą i Marcinkowice. Byłem tak zmę-

czony i przeżyciem, i pracą, w której bezwiednie obok prostego opisu oddawałem tęsknotę do wszystkiego, co jest Polską, — do drogi błotnistej, do wsi zapadłej, do ludzi, krajobrazu i drogich mi kolegów, że zdecydowałem nie próbować narazie najcięższych wspomnień o najcięższej bitwie, o bitwie wśród borów i błot Polesia wołyńskiego. Lecz pióro się rozpędziło. Wspomnienia swawolne pobiegły w inną, milszą nieco stronę, w stronę przeżyć pierwszych prawie wrażeń wojny, pierwszych, jeszcze nieśmiałych wobec siebie samego prób dowodzenia. gdy rozmach szeroki myśli zwalczany był usilnie przez nieśmiałość i niepewność siebie. Tam bitwy niekrwawe z kawalerją rosyjską dawały pierwsze wrażenia muzyki bojowej, pierwsze wrażenia wczucia się w żywy teren obok pierwszych prób śmiałego manewru z grą trzema rodzimemi rzekami: Wisłą, Nidą i Dunajcem. Wobec tego zacząłem opisywać swoje tańce obok tych rzek we wrześniu 1914 pod tytułem: *Nowy Korczyn— Opatowiec.*

Pracę, prawie do końca już doprowadzoną, przerwało przybycie do magdeburskiej twierdzy generała Sosnkowskiego. Odtąd tęsknota stała się lżejszą, a pióro zostało w kąt rzucone dla nieskończonych rozmów i wiecznych szachów. Ustępy o Nowym Korczynie i Opatowcu nie zostały zakończone.

W ten sposób moje zamiary uprzednie nie urzeczywistniły się. I dlatego musiałem włożyć trochę pracy, aby teraz do druku oddać rzeczy bardziej skończone. Zmiany, które wprowadziłem, są bardzo niewielkie. Konieczność ich wynikała stąd, że musiałem pracować w Magdeburgu w specjalnych wa-

runkach, narzuconych mi przez więzienie. Po pierwsze więc nigdy nie mogłem być pewny, czy wszystko, co z pod pióra mego wyjdzie, nie będzie mi w jakiejś chwili odebrane, może na zawsze. Z tego powodu, przyzwyczajony za młodu do przemyślności więźnia, postanowiłem oszukać swych aniołów stróżów. Zapowiedziałem więc, że chcę wnieść skargę zarówno na moje aresztowanie, jak i na trzymanie mnie, wbrew prawu pruskiemu, w zupełnej izolacji. O tych przepisach prawnych dowiedziałem się zupełnie wypadkowo od starego generała niemieckiego, dowódcy w Weslu, gdzie przewieziono mnie ze Spandau pod Berlinem. Oświadczył mi on z całą otwartością, że zaprotestował stanowczo przeciwko temu, aby w twierdzy, którą on dowodzi, postępowano z którymkolwiek z więźniów wbrew prawu pruskiemu, zabraniającemu, według niego, trzymać kogokolwiek w odosobnieniu i samotności, prócz tych, którzy albo znajdują się pod śledztwem, albo sądownie na karę odosobnienia zostali skazani. Przypomniawszy sobie więc w Magdeburgu oburzenie generała z Wesla, zażądałem dla napisania swojej skargi większej ilości papieru, gdyż, nie znając dobrze niemieckiego języka, zniszczę z pewnością co najmniej kilkanaście konceptów polskich, nim je przystosuję do obcej, nieznanej mi dokładnie mowy. W ten sposób zdobyłem sobie wszystkie przybory do pisania oraz stworzyłem pozór, dlaczego przesiaduję przy stole z piórem w ręku. Cały ten przemyślny wybieg odbił się jednak bardzo wyraźnie na sposobie mego ówczesnego pisania. Nad całą moją pracą literacką w Magdeburgu ciąży, jako mus, oszczędność papieru. Nietylko

wszystkie kartki są zapisane niezwykle drobnem, trudno czytelnem pismem, lecz i sam styl ma na sobie piętno owej oszczędności. Dlatego też przy oddawaniu do druku musiałem wprowadzić drobne zresztą poprawki, obawiając się, że skróty mego myślenia nie będą dostatecznie zrozumiane przez czytelników. Wreszcie musiałem dokończyć opisu przeżyć moich z okresu pierwszych bojów pod Nowym Korczynem i Opatowcem.

Dla uzupełnienia historji rękopisu dodam, że pisałem go bez żadnej myśli o wydaniu kiedykolwiek. Wydawało mi się bowiem rzeczą nieprawdopodobną, aby uniknął on zwykłego losu wszystkich notatek więźniów, losu, mówiącego, że bardziej należą one do tych, co więźnia więżą, niż do niego samego. Istotnie, przez dłuższy czas nie znajdowały się one w moich rękach i zawdzięczam zwrot rękopisu, jak i wielu rzeczy moich, pozostałych w Magdeburgu, skrupulatności rządu niemieckiego, który zwrócił mi je wtedy, gdy już byłem w Belwederze. Wywieziono bowiem mnie i generała Sosnkowskiego z Magdeburga w tak nagły i niezwykły sposób, że o zebraniu wszystkich rzeczy mowy nawet nie było.

Pewnego dnia w początkach listopada 1918 roku zjawili się dwaj oficerowie niemieccy, ubrani już po cywilnemu. Oświadczyli nam, że jesteśmy wolni i że mamy natychmiast wyjechać do Berlina, skąd o szóstej wieczorem tegoż dnia odjeżdżamy pociągiem, odchodzącym do Warszawy. Gdy, zdziwieni, oglądaliśmy cywilny ubiór oficerów, powiedzieli nam oni z zażenowaniem, że rewolucja wybuchła w Magdeburgu i że wyjedziemy autami, nie jako wojskowi, ale jako zwykli śmiertelnicy.

Przepraszając, prosili nas bardzo, byśmy nie zabierali żadnych swoich rzeczy z sobą, gdyż obawiają się, że może to zwrócić uwagę manifestantów, chodzących po ulicach. Nie wiem, cobym był wówczas postanowił, gdyby w tem oświadczeniu oficerów nie było obietnicy, że już o szóstej wieczorem będę siedział w pociągu, wiozącym mnie do Warszawy. Pod wpływem tej nadziei, zdecydowaliśmy się z Sosnkowskim szybko. On wziął mały neseserek, ja wyszedłem z twierdzy magdeburskiej, zawinąwszy w papier najkonieczniejsze tylko przybory toaletowe. Wyznam, że wtedy nie myślałem wcale ani o rękopisie, ani o jakichkolwiek rzeczach, które pozostawiałem w *Sommeroffiziers-arreststube.*

Gdyśmy po przejściu, niby spacerkiem, niedalekiego mostu na Elbie przystanęli, zajechały dwa auta, które za chwilkę w szybkim pędzie unosiły nas ze zrewoltowanego miasta.

Rękopis otrzymałem względnie bardzo niedawno do swoich rąk, gdyż przy zwrocie rzeczy magdeburskich został on, widocznie przez omyłkę, odesłany generałowi Sosnkowskiemu wraz z jego papierami i rzeczami. I teraz dopiero odnowiłem swoje wspomnienia magdeburskie, przeglądając swoją więzienną próbę zilustrowania samym sobą pracy dowodzenia na wojnie.

Sulejówek, dnia 7 lutego 1925 roku.

XVI.

PRZEDMOWA DO WYDAWNICTWA „POLSKA INWALIDOM"

(18 kwietnia 1925).

Są rany i blizny, są blizny i rany. Są rany i blizny fizyczne, są też i moralne. I niewiadomo często, która bardziej piecze, która silniej boli,—czy ta, co przez kulę i bagnet zadana, czy ta, co w głąb serca sięga lub mózg wierci i przegryza. Jedno jest wspólne, że w dnie pochmurne, fizyczne czy moralne, rana daje znać o sobie, przypominając i miejsce, i okoliczności zranienia i wołając, jakgdyby na nowo o opatrunek, prosząc, jakgdyby o pieszczoty dotyk. Gdy więc myślę o inwalidach wojny, sądzę zawsze, że szukać muszę koleżeństwa u tych, co rany i blizny moralne, jak oni fizyczne, hardo noszą, by razem dać sobie dotknięcie ręki blizkiej a pieszczotliwej.

J. Piłsudski
były Naczelny Wódz Armji Polskiej.

Sulejówek, 18 kwietnia 1925 roku.

XVII.

PSYCHOLOGJA WIĘŹNIA

(24 maja 1925).

Szanowne panie i szanowni panowie!

Zostałem zaproszony przez komitet, mający w opiece byłych więźniów politycznych, do wygłoszenia odczytu na temat psychologji więźnia. Polska jest może jedynym krajem, obecnie istniejącym wśród wielu innych narodów i krajów, gdzie jest możliwem jeszcze mówienie swobodnie o rzeczy, tak kompromitującej człowieka, jak kryminał. I gdy staję przed wami w mundurze najwyższego rangą oficera, w mundurze najwyższego przedstawiciela armji polskiej, i śmiało mówię o kryminale, to jest to jedynie dlatego, że 150 lat historji polskiej nie zrobiło z więzienia nic innego, jak tylko życie codzienne ludzi. W Polsce więzienie jest stałym, codziennym jakgdyby towarzyszem myśli ludzkiej. Jest to część kultury myślowej, część kultury politycznej, kultury codziennego życia Polski. Rok za rokiem, dziesiątki lat za dziesiątkami lat, pokolenia za pokoleniami oswajały się z więzieniem, jako z rzeczą codzienną, jako z rzeczą, wchodzącą w myśli ludzkie, tak, jak może gdzieindziej wchodzą inne problemy życia, a nie więzienie.

Literatura jest odbiciem życia, i te czarne literki, rzucane na papier, mają tę własność, że gdy są rzucone ręką talentu, zostają nietylko świadectwem talentu człowieka, lecz i świadectwem jego,

co było w życiu całego miljona ludzi. Jeden z naszych wielkich pisarzy mówił w cudownym wierszu do matki - Polki: „wcześnie okręcaj łańcuchem szyję dziecka, naucz go oddychać parą zgniłą i wilgotną". Gdzieindziej byłoby to rzeczą niemożliwą; tu mamy zjawisko, że w Polsce prawie przymusowo wdziera się to do uczuć matki, — matki, myślącej o przyszłości swego dziecka, matki, lękającej się w swojem matczynem sercu jakiejś biedy czy jakiegoś nieszczęścia dla ukochanego dziecka. Dziecko rodziło się, jakgdyby predestynowane do rozumowania i myślenia o więzieniu. I gdy zaraz po upadku Polski mamy jedno imię, które najmniejsze dziecko powtarza jeszcze obecnie, jako imię, wiążące się z myślą i sercem polskiem, imię Tadeusza Kościuszki, — widzimy go, jako jednego z pierwszych prawie, osadzonych w więzieniu zaborców.

Tadeusz Kościuszko, ranny pod Maciejowicami, wywieziony jest nie gdzieindziej, jak do twierdzy Petropawłowskiej w Petersburgu. A imię tak głośne i rozgłośne, jak imię wielkiego Mickiewicza — jest również u wstępu życia złączone z więzieniem. Niema więc żadnej przesady dla tego pokolenia, przed którem przemawiam, gdy mówię o więzieniu, jako o rzeczy zwykłej, tak, jak niema przesady, gdy się mówi o bohaterstwie, ofiarności, poświęceniu — gdyż tak szerokiem jest to zjawisko, jak daleko sięga wstecz codzienna myśl ludzi przez 150 długich lat. Niech mi wolno będzie z siebie wziąć również ten przykład, który mnie się wydaje także historycznie stwierdzającym wartość więzienia, jako części życia polskiego.

Przybyłem do Polski wprost z więzienia. Magdeburg bowiem był więzieniem i przybyłem po-to, ażeby przy pierwszym rozkwicie życia nowej Polski wejść na najwyższy szczebel reprezentowania jej, jako świeżo wypuszczony z więzienia człowiek. To prawda niechybna. Ta prawda prosta powinna być ujęta nie w sposób naciągany takiemi czy innemi słowy nadzwyczajnemi, gdyż prostota tej prawdy historycznej, gdy się mówi o Polsce ojców i praojców, jest sama za siebie mówiąca i nie potrzebuje zanadto wielkich frazesów.

Gdy zastanawiałem się nad tem, jak mam traktować przedmiot, który wybrałem sobie, — psychologję więźnia — zatrzymywałem się na najrozmaitszych sposobach. Odrzuciłem je prawie wszystkie, z wyjątkiem jednego, który dla mnie był najłatwiejszym. Nie mam zdolności do badania czegoś tak zwaną naukową metodą. Jedynym przedmiotem, który badałem metodą naukową, jest praca wojenna. Wszystko inne przebiegałem inną metodą. Naukową metodą badać więzienie i psychologję człowieka, zamkniętego w więzieniu, jest to ująć w ramy statystyki zdrowie, zniszczone przez więzienie, statystykę obłąkań, wywołanych przez więzienie, statystykę śmierci przedwczesnej więźniów, skracających sobie życie, statystykę kubicznych metrów powietrza, tej pary zgniłej i wilgotnej, którą oddychać nieraz trzeba. Wszystkie te fakty i fakciki dzielić, mnożyć i odejmować na najrozmaitszy sposób, przerabiać na sposób znaków algebraicznych i ścisnąć, tak, bym mógł te rzeczy oddać w krótkim odczycie — jest dla mnie absolutnie niemoż-

liwe. Nie potrafiłbym w taki sposób badać swego własnego życia. Dlatego też, po odrzuceniu tego sposobu, zdecydowałem się na sposób najprostszy, choć może najbardziej egoistyczny. Jestem więźniem, który nie przez jedno więzienie przechodził. A wobec tego, że statystykę wspomniałem, to jeżeli wszystkie więzienia i lata więzień policzyć i podzielić przez całą ludność polską, to jednak na jedną moją osobę przypadłoby trochę więcej, niż przeciętnie na niejedną głowę, jeżeliby policzyć ilość ludności polskiej. Dlatego, że byłem niezwykłym szczęściarzem w życiu, to i pod tym względem szczęście mi służyło. Albowiem ilość więzień, które przebyłem w życiu, jest już znacznie wyższa, niż ilość więzień, która przypada na każdego przy podziale przez liczbę ludności polskiej. Dlatego też spokojnie i z pewnem prawem i poczuciem moralnem powiedziałem, że gdy będę mówił o psychologji więźnia, to będę mówił więcej o sobie, niż o innych. Albowiem przebyłem przez wielką ilość więzień i niejeden rok straciłem nie na co innego, jak na więzienne życie. A wobec tego, iż podstawa więzienia, baza więzienia materjalna, jest jednakowa dla każdego człowieka, nie przypuszczam, bym daleko odbiegł, mówiąc o psychologji tego więźnia, którą sobie przypominam jako od zasadniczej rzeczy, istniejącej dla każdego więźnia.

Więzienie ma dwie wyraźne cechy zasadnicze, które, gdy się odrzuci wszystkie inne dodatki — streszczają się w sposób nadzwyczaj prosty. Mianowicie, więzienie jest poto, aby było ludziom przykro. Dla przyjemności nikogo do więzienia

nie wsadzają. Przykrem jest dlatego przedewszystkiem, że jest to ograniczenie swobody materjalnej. ograniczenie swobody materjalnej do minimum, ograniczenie swobody ruchu do niewielkiej przestrzeni, przeznaczonej jako miejsce zamieszkania w więzieniu, to znaczy miejsce, ograniczone czterema ścianami, szerszemi czy mniejszemi drzwiami, wiecznie zamkniętemi, oknem zakratowanem. Oto jest więzienie.

Jest to powtóre fakt, nie ulegający żadnej wątpliwości, że więzień każdy jest poddany codziennej, cogodzinnej obserwacji. Jego życie, jego postępowanie nie zależy od jego chęci i woli. To jest druga cecha, występująca najzupełniej wyraźnie przy pojęciu więzienia. I to bez względu na to, dlaczego, poco i naco — przepraszam, że mówię po galicyjsku — do tej ubikacji został więzień wsadzony. To już zupełnie obojętne.

To są cechy więzienia, które, gdy odrzucić wszystko inne. pozostają stałe i niezmienne dla każdego więzienia.

Ile razy w więzieniu siedziałem, mając dużo swobodnego czasu na zastanawianie się, starałem się w ten sposób ułatwić sobie życie więzienne: mówiłem sobie, że moje więzienie jest równie dobre, jak i więzienie poza temi murami, przez które ludzie życiowo przechodzą. Człowiek, który swej pracy biurowej nie lubi, ma nieznośne uczucie, gdy idzie do pracy biurowej, codziennie jednej i tej samej, codziennie idzie po tej samej ulicy, jest skrępowany w wyborze, musi dojść do pewnego miejsca, do którego nie lubi chodzić, usiąść przy tem samem biureczku, wziąć ten sam przeklęty papier do ręki, prze-

pisywać. czy pisać, oglądać te same mury, wiecznie te same, chociaż niezakratowane okna, by potem, znudzony i zmęczony życiem, powracać do siebie, do domu, temi samemi ulicami, bo jeść mu się chce. Gdy sobie tak przesadnie wymalowałem więzienie tego człowieka — robiłem to umyślnie, ażeby uprzyjemnić swój pobyt, ażeby uświadomić to sobie w przeciwstawieniu do ludzi, którzy mogą chodzić swobodnie po ulicach. To może daje odczuć tę psychologję ogólną człowieka, który wbrew swojej woli, wbrew swojej chęci, wbrew wszystkiemu temu, co jest jego istotą, ma zamkniętą przestrzeń dla swobodnego ruchu, i nie znosi tego dlatego, że jest mu to przykre.

Dla drugiej podstawowej rzeczy dobiorę, jako przykład, niedobrane małżeństwo, gdzie się jest pod okiem, codziennie oglądającem z jakiemś podejrzeniem, wtedy, gdy się dobierze para, która parą nie chce być ze sobą. I bez względu na to, mówię jako mężczyzna, czy te oczy są piękne, czy brzydkie, bez względu na to, jakiego są koloru, są to nieznośne oczy, ciążące codziennie na człowieku, od których się oswobodzić nie można, chyba wyraźną ucieczką. Bo do tego ta druga istota ma pełne prawo i spokojnie tego prawa używa i nadużywa. Wobec tego, że mogłoby to wyglądać tak, jakbym powiedział to przeciwko kobiecie, to oświadczam, że i kobieta ma prawo powiedzieć to samo o mężczyźnie w niedobranem małżeństwie. To też odrazu cofam swe powiedzenie. Zastanawiałem się bowiem w więzieniu nieraz, jak znacznie ciężej jest kobiecie być w więzieniu, niż mężczyźnie, gdyż ma

ona na sobie wiecznie oko jakiegoś brutala mężczyzny, mającego prawo we wszystkich chwilach, w których przeważnie uchodzi przed okiem mężczyzny, być podglądaną bez ceremonji, i odczuwa to tak, jakgdyby nastąpienie brutalnej stopy na samą istotę myśli kobiety. To jest więzienie.

Przechodzę do psychologji walki z tem, co więzienie ciężkiego daje. Niema bowiem więźnia, któryby kiedykolwiek został w więzieniu zamknięty, aby nie zaczął z ciężarem więzienia w ten czy inny sposób walczyć, szukać remedjum, lekarstwa na brak swobody materjalnej i na tę nieznośną zależność, zależność brutalną, wyrażoną przedewszystkiem przez oko, mające prawo co chwila zajrzeć, — walki przeciwko warunkom, w których człowiek nie ma nic rozporządzalnego dla siebie.

Pierwsza walka, którą więzień zawsze odbywa, jest to chęć przynajmniej oszukania tych, którzy go do więzienia wtrącili. Oszukać w przestrzeni, która jest zamknięta. Oszukuje się więc oko wiecznie patrzącego stróża. Szuka się wyjścia, aby choć na chwilę to oszukaństwo udać się mogło. Różni ludzie różnie postępują. Ja należę do istot dość zuchwałych. I dlatego robiłem sobie pociemku nachuchania na szybie, aby choć przez chwilę stróż nic nie widział. Próbowałem schować się do kąta, aby się spłaszczyć, jak papier, przy ścianie.

Wszyscy — jako pierwszą rzecz — odczuwają, jako nieszczęście, jako przykrość, jako drażnienie. że się jest wiecznie podglądanym. Potem łatwo się o tem zapomina, łatwo się do tego przyzwyczaja

i przechodzi do porządku dziennego nad obcem okiem, które widzi doskonale i samo znudzone przygląda się dlatego, że może to zrobić, a szuka rozrywki, jak więzień szuka rozrywki w swojem więzieniu.

Drugą rzeczą, która przychodzi — a niema pod tym względem więźnia na świecie, któryby, trochę dłużej w więzieniu siedząc, nie przeszedł przez tę chorobę — to szukanie metod ucieczki z więzienia. Jest to tak psychicznie prawdziwe, że nawet jest jakgdyby prawem, przez które przechodzi więzień wtedy, gdy materjalny brak swobody zaczyna mu ciążyć.

Jedni szukają tego zapomocą dowcipnych środków oszukiwania tych, od których więzienie zależy, inni szukają wyjścia zapomocą marzenia o jakichś chytrych, jakichś nadzwyczajnych sposobach przepiłowania krat i tak dalej. Ale jest to zawsze uporczywie wracająca myśl, która człowieka ściga i z którą się człowiek pieści. Uciec z więzienia! Wyjść z braku ruchu materjalnego! Stać się człowiekiem, jak inni! Mieć możność przejścia się po ulicach!

Zaczyna się wtedy dalej walka wewnętrzna o stworzenie sobie czegoś, co jest niezależnem od nikogo, stworzenia zapomocą siebie samego życia w więzieniu. Na tem może polega najcięższa prawda więzienia. Stworzyć życie z czego? Z siebie samego, sobą samym stworzyć życie, w tak niezwykłych postawione warunkach, tworzyć bez nikogo, bez pomocy, szukając w jakiś sposób źródła tego, co ja nazywam „luksusem więzienia". Luksus więzienia polega na tworzeniu wewnętrznie przez siebie samego czegoś, co

jest potrzebne dla mnie tylko i co jest niezależne od tych, którzy człowieka do więzienia wsadzili. Kiedy człowiek szuka materjału do tego, spostrzega, iż jest tak ograniczony w środkach, tak ograniczony w sposobach, że prawie cofa się przed tem zadaniem. Ręce nie mają co robić, narzędzi dla tworzenia czegoś dla siebie niema. Materjalne rzeczy są tak ograniczone i tak małe, że z trudem myśl pracuje, aby się o coś zaczepić.

Cóż w więzieniu jest? Są ściany, takie czy inne przedmioty, bardzo nieliczne, które się więźniom daje. Czyni się najrozmaitsze próby naśladowania życia, które bije pracą gdzieindziej w szybkiem tempie. W więzieniu więc będą muchy i inne stworzonka, które w ten czy w inny sposób w więzieniu się znalazły. I nie jest wcale kłamstwem, że znajdują się ludzie, którzy się zakochiwali nawet w pluskwach, robiąc sobie z nich objekt swych prac, krystalizując swoją potrzebę niezależności około tak obrzydliwego stworzenia. Cóż mówić o rzeczy, czytanej ongiś przeze mnie, że jeden z więźniów, który długo siedział w więzieniu, wychował sobie pająka, z którym to pająkiem przez dłuższy okres czasu robił *rendez-vous*, próbując go sobie przyswoić, chcąc go nawet cyrkowych sztuczek nauczyć. Jest to mus szukania życia poza warunkami więzienia, stworzenia luksusu, któryby dla mnie tylko błyszczał, — mus psychiczny więźnia.

Co do mnie, zawsze się śmiałem, że jestem urodzony na więźnia, bo mnie łatwo przychodziło stworzenie sobie czaru życia. Mogłem z duszy swojej wysnuć najniemożliwsze bajki i myśli, jedynie dlatego, że dusza łatwo pod tym wzglę-

dem pracowała. Nie przywiązywałem się do żadnej materjalnej rzeczy. A jednak, gdy siebie w różnych więzieniach prześledzę, znajdę jedno, co było dla mnie niezwykle przyjemnem. Było mi mianowicie przyjemnem, jeżeli mogłem cokolwiek w celi więziennej przerzucić i poruszyć. Ale w wielu więzieniach nic się poruszyć nie da, bo wszystko jest przytwierdzone i na moc przyśrubowane i nic nie da się poruszyć. Dlatego, między innemi, gdy siedziałem w X pawilonie w Warszawie, czuję rozrzewniającą przyjemność, wspominając o nim. W innych więzieniach człowiek nie miał nic dla siebie. Tu wszystko to należało do kogoś, kto miał prawo tem poruszać.

Świetny numer 26 cytadeli warszawskiej w X pawilonie, gdy mnie do niego przyprowadzono, wydał mi się pięknem zjawiskiem, tak, jak numer hotelu, bardzo kiepskiego, coprawda, ale hotelu, w którym leży moja waliza, w której mogę przebierać swe rzeczy, które mogę w ten lub inny kąt postawić lub przerzucać, mogę stół kopnąć noga i odsunąć, a on się usunie i mnie słucha. Jeżeli w ten sposób przedstawiam życie więzienne, to nie sądzę, by to nie stanowiło przyjemności. Mogłem walczyć z warunkami więzienia, miałem szybką i żywą fantazję i umiałem stworzyć sobie życie, życie myśli, życie marzeń, życie rojeń, życie, w którem swobodniej szalałem, niż można szaleć w codziennem życiu, gdzie jest tyle oczu, podglądających człowieka z podejrzeniem. Niema żadnej żenady, gdy się zupełnie negliżuje tego pana, patrzącego na mnie. Wtedy tworzyłem wszystko, co mnie

się żywnie podobało, bo czasu było dosyć. Jeżeli panowie sądzą, że ja, który miałem pod tym względem swobodną, bujną fantazję, która przed rzadką rzeczą się zatrzymywała, która przebiegała wszystkie myśli, różnię się pod tym względem od innych więźniów, którzy nie mają tej swobodnej myśli, jaką ja posiadałem, — to jest nieprawda, gdyż ile razy rozpytywałem jakiegoś więźnia, zawsze znajdowałem jedno.

Próbował myślą przeżyć to, co było, próbował znaleźć w sobie czy innych wady. Samokrytyka i samoanaliza jest wyostrzona z powodu przeżywania raz jeszcze śladów swej przeszłości. Prowadzi to bardzo często więźnia na bardzo błędne i ciężkie drogi, prowadzi to do znienawidzenia ludzi w ten sposób, w jakiby nigdy ich nie nienawidził, gdyby w więzieniu nie siedział. Gdyż przy tej wyostrzonej krytyce ubiegłych czasów człowiek wyodrębnia pewne rzeczy tak silnie, jakby nigdy nie wyodrębniał ich, gdyby żył razem z niemi. To też ile razy więźniów, wychodzących z więzienia, widziałem, dostrzegałem u nich ten chorobliwy objaw więzienia.

U iluż więźniów widziałem zawsze chęć stworzenia sobie luksusu niezależnie od siebie! Czem się biedny więzień nie zajmuje! Zaczyna studjować języki. Ten, który nigdy w życiu języków nie studjował, zaczyna to robić. Męczy się biedaczysko nad jakiemiś dzikiemi słowami obcemi, szuka w nich sensu, nie umie wymawiać, nabiera błędów, których się potem nigdy pozbyć nie może, tak, jak ja w języku angielskim, bo ja w więzieniu nauczyłem się angielskiego języka. Nabrałem błędów, których nigdy poprawić nie

jestem w stanie, gdyż się przyzwyczaiłem do fałszywej wymowy. Nie będąc zamiłowany do języków na swobodzie, nie odważyłbym się ich uczyć, a jednak popełniłem ten grzech przeciwko sobie, ucząc się języka angielskiego, i męczyłem się nim w więzieniu.

Byłem ongiś namiętnym szachistą, lubiłem szachy szalenie, ale w szachy trzeba grać z kimkolwiek. Próbowałem urządzić sobie szachownicę maleńką i pamiętam, jak w Petropawłowskiej fortecy, nie mając żadnych instrumentów do tego, urządziłem sobie jednak szachownicę na książce, która w każdej celi tam leżała, to jest na Biblji. Zapomocą zapałek, gdyż zapałki miałem w ręku, bo szczęśliwie pozwolono mi palić, robiłem czarne pólka, szachy lepiłem tak niezgrabnemi rękami, że wstydzę się komukolwiek pokazać moją wieżę i mojego nieszczęsnego laufra. Chowałem to tak sprytnie i umiejętnie przed codzienną rewizją, która się odbywała w celi, by jak najdłużej zachować ten skarb oszukańczy, który zrobiłem w stosunku do bezlitosnych katów. Teraz śmiech mnie wzbiera, gdy przypomnę, jak urządziłem to życie więzienne. Ktoś inny do czego innego ciągnie. I gdy mówię o tej umiejętności tworzenia życia własnego, zawsze wspominam kilku ludzi, których imiona pozostały mi drogie.

Oto dwóch mieszkańców najcięższego więzienia, jakie Rosja kiedy miała, — Szlisselburgu. Oto jeden z rodaków, pochodzący ze Żmudzi, Janowicz, który, siedząc w Szlisselburgu, bronił się psychicznie od zarazy więzienia, które zabija psychologję ludzką. Wytworzył sobie systematy

statystyczne, na podstawie wszystkich ubogich źródeł, udowadniające najrozmaiciej jego ukochane pragnienie. Dowodził zapomocą tych skąpych źródeł statystycznych, siedząc w więzieniu szlisselburskiem, konieczności niepodległości Polski. Pompował z siebie raczej dane, niż z tych szmatek małych, które mu się udało dostać do czytania. Ileż niezwykle ciężkiej pracy przeszła ta dusza, nim mogła uwierzyć — bo człowiek był inteligentny — że to jest prawdą, co on robi, przy tak ubogim materjale, który on posiada. Zawsze wspominam z pewną przykrością, że człowiek, który tyle czaru umiał wydobyć w więzieniu, wypompował z siebie siły psychiczne do tego stopnia, że gdy go wypuszczono na Syberję, nie wytrzymał życia — skończył samobójstwem. A oto druga postać, która się przesuwa z konieczności na oczy. To jest także mój rodak, wilnianin, Łukaszewicz. Pamiętam go wtedy, gdy jako młodzieniec szedł na ogień matury, jako sława gimnazjalna. Poszedł na przyrodę; był prawie skończony przyrodnik, gdy zamknięto go w Szlisselburgu. Cóż on czynił? Bada trawki, rosnące mizernie na podwórzu więzienia, szuka śladów życia tam, w Szlisselburgu, na tej przestrzeni 100 sążni czy 100 metrów kwadratowych. Skończony wielki umysł przyrodniczy, który duszę ratuje w swój sposób. I zawsze, gdy go w Wilnie, w drogim mi uniwersytecie wileńskim, spotykam, widzę, jak ten olbrzym fizyczny z łagodną twarzą, z uśmiechem dzisiaj pracuje.

Jest mus, jest konieczność szukania czegoś przez siebie samego, szukania z okruchów tego, co człowiek wniósł do więzienia, i z tego, co mu

do rąk wpada, zlepienia nowego, więziennego, duchowego życia. Wszystko się jednak dzieje w czasie. Czas, ten matematyk, czas, który leczy blizny, czas, który nowe rany zadaje, — czas w więzieniu inaczej płynie. Gdy szukałem nieraz w więzieniu określenia, w jaki sposób czas w więzieniu biegnie, to znalazłem określenie, może nonsensowe, że on, stojąc, biegnie szybko. Bo czas właściwie się nie rusza. Czem my, ludzie, czas mierzymy? Tem, że czas ten dzielimy na kawałki, że przeżywamy takie czy inne wrażenie, tem, że jest coś przedtem i potem, mierzymy czas psychicznie. Im więcej mamy wrażeń, tem dzień i godzina jest dłuższa: przynajmniej tak się wydaje. Pomimo, że każda godzina jest jednakowa dla szczęśliwca i nieszczęśliwca, w więzieniu tego niema, bo nic się w więzieniu właściwie nie dzieje. Wrażenia więzienne są tak ubogie i nikłe, że dusza się czepia najbardziej nonsensowych rzeczy, aby czas ten na kawałki podzielić. Nie przypuszczam, abym się omylił, gdyż pod tym względem więźniów specjalnie nie badałem, i nie przypuszczam także dlatego, że do jedzenia nie przywiązuję wielkiej wagi. Ale w więzieniu obiad, kolacja, które dzielą czas na kawałki, są niesłychanie ważnym elementem życia, albowiem służą jako podziałka czasu, jako konieczność, do której myśl wraca, jak coś, co jest związane z ustawą życia codziennego. Czas jest podzielony na kilka *repas*. Mimowoli człowiek zaczyna myśleć o tem jedzeniu, — jakim będzie obiad, jaka kolacja? I najbardziej niesmakosz ma na pewno te same myśli, uważając obiad i kolację za niezwykle ważne zda-

rzenia w jego życiu. Ta ubogość życia codziennego, którą więzień przechodzi, daje mu mus pracy szukania jakiegoś podziału dnia, jakiegoś podziału czasu, a tymczasem dzień za dniem jest podobny tak niesłychanie, że różnić się on tylko może jakiemś osobistem wrażeniem, przeżyciem, naprzykład, tem, że człowiek jednego dnia jest w lepszym, innego dnia jest w gorszym humorze.

Bo w więzieniu nic się właściwie nie dzieje. Wypadkami niesłychanej wagi są dni, gdy drzwi mu się otworzą i pociągną nie na spacer, lecz na badania, gdy przejdzie się przez pewną ilość korytarzy, przestrzeni, lub gdy wsadzą do karetki i przez miasto szybko przewiozą. To są ewenementy niesłychanej wagi! Zdarzył się przypadek w życiu! Dzień do dnia jest tak bliźniaczo do siebie podobny, tak nic się doniosłego nie dzieje, że ten czas wydaje się stojący i godziny płyną niesłychanie wolno. Tak wolno, że godzina jest zupełnie dniem prawie. Przeżyć bowiem godzinę jest trudno. Jakże łatwo bowiem przeżywają się tygodnie, tygodnie stojącego czasu, który się nie rusza!

Ileż to dowcipnych i upokarzających człowieka sposobów i metod używają więźniowie, aby się ze sobą porozumieć! Ile dowcipnych znaczków i znaków wymyślono, aby człowiek człowiekowi na dzień nieraz jedno słowo mógł przekazać, aby człowiek człowiekowi tem czy innem pukaniem odpowiedział. Ulegania temu musowi psychicznemu więźnia wystrzegałem się stale. Ale pamiętam wrażenie, gdy kolega z poza muru zaczął ze złości walić do mnie pięścią, żem go nie słuchał, że mu nie odpowiadałem. Wtedy za-

czałem takie czy inne znaki dawać więźniowi — znaki, że go nie rozumiem.

Łukaszewicz badał faunę i florę, ja zawsze badałem w każdem więzieniu największego przedstawiciela fauny — człowieka. Wszystkich dozorców, każde drgnięcie muskułów, każdą zmianę łapałem natychmiast, szukałem człowieka i, zgodnie z moim charakterem, człowieka walczącego, człowieka, który przed walką nigdy się nie cofa, — szukałem nieprzyjaciela, by go zbadać i zrozumieć. Ileż rozkosznych minut spędziłem w cytadeli warszawskiej, która jest tak głupio akustycznie urządzona, że więzień słyszy w celi więziennej, co się mówi na korytarzu. Tak, jakby z rozmysłem robione były cele na to, aby badać dozorców, a nie więźniów. Spędzałem godziny, podsłuchując, jak dozorcy z sobą rozmawiają, i badając ich psychikę. Obserwacja ograniczona, lecz tem bardziej zaostrzona. Nie wiem, czy ktokolwiek z więźniów potwierdzi moje słowa, że najbardziej wydelikacony słuch mają więźniowie, siedzący w więzieniu. Szmer chwytają najdrobniejszy, szukają „części życia", zmieniają się nieledwie w myszki, które są tak czułe na każdy szmer.

Oto jakie są zasadnicze cechy psychiczne więźnia. Więzień jest ograniczonym człowiekiem w poruszaniu się i jest zmuszony poddawać się codziennej obserwacji innych. Z tego powodu w psychice więźnia wytwarza się mus odporu, odporu w stosunku do codziennej obserwacji przez najczęstsze negliżowanie, dla usunięcia z duszy „ciężaru obserwacji" i druga konieczność — wytworzenia dla siebie życia mimo ubó-

stwa środków, zapomocą których człowiek sobie życie układa.

Niema dla więźnia innych ludzi, a są konieczności życiowe. Niema instrumentów pracy dostatecznie silnych, ażeby zadowolić choćby najbardziej intelektualne natury. Z tego powodu wytwarza się cały ciężar życia, przy którym czas płynie, dusząc wściekle człowieka i duszę jego zabijając. Wtedy to powstają momenty buntu, nieraz z najbłahszego powodu.

Chcę skończyć pewnem zestawieniem swoich wrażeń, jakie miałem, przebiegając całą ogromną ilość więzień.

Gdy siedziałem w więzieniach w Rosji, widziałem dbałość o to, aby więzienie zrodziło strach. Jest to rozum kryminału, który robi „chęć poprawienia się więźnia“ zapomocą strachu. Na tem rozum kryminalistyczny polega. Poprawić zapomocą zadania postrachu, tak, jak się poprawia niegrzeczne dzieci, zadając im przykrość. Więzienia rosyjskie miały w sobie coś z poczucia prawa w stosunku do więźnia, poczucia prawa, ale prawa dozorcy w stosunku do więźnia. Nie działano tu już czystym gwałtem i przemocą, ale nieledwie naukowem poszukiwaniem boleści i przykrości dla więźnia, konsekwentnem robieniem mu strachu, robieniem go „innym, niż wszyscy“.

Polskie więzienia pod zaborem rosyjskim były całkiem inne. W Polsce wyobrazicielem tych więzień jest cytadela, X pawilon. Ci, którzy zamykali do tych więzień, nie dbali o nic. Wyraźnie szedł tu gwałt i przemoc, które nie szukały uprawnienia w jakikolwiek „moralny“ sposób.

Wszystkich szkodliwych zamykano w więzieniu. To też tak wesołego więzienia, jak X pawilon, na świecie nie widziałem. Wszystko prawie jest dopuszczalne, to, co gdzieindziej jest najsurowiej zakazane. Każde pokolenie w murach rozkopuje tunele, które najspokojniej naprawiają, by następne pokolenie te tunele znów świdrowało. Tak, jakgdyby było to tylko formalnością, że właściwie tuneli robić nie wolno, ale niech ich djabli, niech sobie robią tunele więzienne! Więzienie, w którem wszystko poruszać można, przerzucać stale z miejsca na miejsce, łóżko przeciągać, — takiego więzienia-hotelu nie widziałem. W tej izolacji, do której człowieka chcą doprowadzić, jest przepych siły brutalnej, idącej na człowieka, jak przemoc zwyczajna, która się niczem nie krępuje. Pamiętam moje olbrzymie zdziwienie, gdy, wyprowadzony na spacer, spostrzegłem namioty żołnierskie, rozbite w ogrodzie. Parę drzewek owocowych, z których ci żołnierze kamieniami zbijają gruszki. Rzecz nie do pomyślenia w żadnem rosyjskiem więzieniu, gdzie prawo kroczyło z poczuciem własnej wartości. Podobne rzeczy widziałem w Syberji, gdy już klamka zapadła i gdzie idzie się na karę, gdzie niema żadnych badań, gdzie kryminalista jest skończonym kryminalistą.

Bardziej swobodnie, niż w dawnych więzieniach polskich za czasów dawnych, rosyjskich, być, zdaniem mojem, nie mogło. Dlatego bodaj w cytadeli, za czasów przynajmniej mego pokolenia, ludzie najmniej się męczyli, najswobodniej się czuli. Czuli się więcej panami więzienia, niż to było gdzieindziej.

Jest to rodzaj współpanowania nad więzieniem z tymi, którzy przemocą trzymają. Ta specjalna charakterystyka rzucała mi się niesłychanie w oczy. Dlatego też z pewnym niepokojem jechałem jeszcze do jednego kraju, do więzienia, którego nie znałem, to znaczy do Niemiec. Niemców sobie zawsze wyobrażałem tak, jak Polacy sobie wyobrażają: „Tam dopiero jest porządek!" Ale niema nic gorszego dla więźnia, jak porządek więzienny, bo on chce zawsze ten porządek naruszyć. Byłem w tem więzieniu nadto w wyjątkowych warunkach. Do mnie nie chciano stosować wszystkich przepisów więziennych. Trzymano mnie, jako „wyjątkową osobę", w twierdzy magdeburskiej, w zupełnej izolacji, dając mi za to wiele wygód i wielką swobodę więzienną. Trzymano mnie, jako generała, dano mi trzy pokoiki, ogródek do rozporządzenia, ordynansów i tak dalej. Miałem zatem najswobodniejsze więzienne życie, o jakiem można było marzyć. Tak pięknie nie trzymano mnie nigdy w Rosji. Lecz przedtem przewieziono mnie przez cztery więzienia wcale nie generalskie. Przypatrywałem się więc temu, jak to jest u Niemców. Jest tam brutalne obejście, nakazane, musowe, dlatego, by utrzymać porządek i karność. Lecz poza tem chęci męczenia człowieka, chęci zadawania mu strachu, chęci robienia mu jakichkolwiek specjalnych przykrości nigdy nie spostrzegłem. Trzeba się trzymać przepisów, wywieszonych na ścianie, czego w Rosji nigdzie nie było. Tak, że z chwilą, gdy się przeczytało te przepisy na ścianie — każdy w Niemczech umie czytać — to się już wiedziało, czego się trzymać. Każdy tam „urzę-

duje". Urzęduje dozorca, urzęduje i więzień, siedzący w więzieniu. Każdy obowiązany jest spełniać przepisy. Byłem specjalnie zdumiony, gdy siedziałem w Spandawie pod Berlinem. O więzieniu w Spandawie wiedziałem, że Mierosławski w 1848 roku tam siedział. Wtedy prawdopodobnie było zupełnie inaczej. Podczas mojego tam pobytu życie więzienne wrzało poprostu i słychać je było na każdym kroku. Każdy miał inne zajęcia, każdy inaczej pracował. Wszystko chodziło, biegało, rozmawiało, nie było tam, poza samą karą, żadnej chęci zrobienia więźniom jakiejkolwiek przykrości.

Magdeburg był więzieniem specjalnem, w którem więcej szło o izolowanie człowieka dlatego, że jest niebezpieczny, niż o jakiekolwiek inne więzienne warunki. Miałem ordynansa, miałem podoficerów, którzy byli moimi stróżami więziennymi, miałem trzy pokoje, miałem ogród, po którym mogłem chodzić. Tylko wieczorem o godzinie dziesiątej światło musiało być zgaszone, albowiem w całem więzieniu o dziesiątej wieczorem gasi się lampy. Nie było żadnej w tem różnicy dla generała, porucznika, czy żołnierza. Poza takiemi drobnemi przepisami jednak było tam życie najswobodniejsze ze wszystkich tych, jakie kiedykolwiek miałem w więzieniu.

Dobiegając do końca, chcę wrócić do początku. Przez dłuższy okres czasu więzienie było częścią kultury polskiej. Smutne wyznanie, a jednak jest w tem jakiś czar i urok! Mickiewicz w jednym z największych swych utworów, w najpoważniejszej tego utworu części, przenosi nas nie gdzieindziej, jak tylko do więzienia, gdzie wię-

zień-poeta, po przeżyciu moralnem więzienia, po przebyciu tej drogi, o której mówiłem, po stworzeniu tam swojego więziennego własnego życia pisze: „...odradza się nowy człowiek. Natus est Conradus". Rodzi się nowy człowiek więzienny, człowiek, stworzony przez własną potęgę, przez własną siłę duszy, przemienioną w djament, który rył najtwardsze przedmioty i potem tak cudnie błyskał w Mickiewiczowskiej twórczości. Ten djament stworzyła siła wewnętrzna człowieka, który przeszedł przez twardą próbę.

Siła życia więziennego do tworzenia nowego życia niechybnie jest wielka, niechybnie czar taki daje. Niema wątpliwości, że przez te 150 lat polska psychika więzienna była czemś, co dotykało głęboko ludzi w Polsce, i nie było człowieka, któryby, przebiegając życie polskie dawnych czasów, o więzienie się nie otarł, o więzieniu nie mówił, do więzienia się nie zbliżał. Niema wybitniejszej czynności podczas 150 lat ubiegłych, 150 długich, długich lat, lat tyle, ile najstarszy człowiek nie jest zdolny pamiętać, przy której więzienie nie byłoby towarzyszem życia Polaka od kolebki aż do grobu.

O więzieniu mówił każdy, jako o żywej cząstce swej duszy... Nieraz zadaję sobie pytanie, czy te więzienne przeżycia Polski z całą ich ofiarnością, bohaterstwem, poświęceniem, z całym czarem męki duszy ludzkiej, w nienaturalnych warunkach skrępowanej, zbitej i zmęczonej, a jednak skorej do buntu, czy czar ten nie jest cechą charakterystyczną naszą i naszego pokolenia. I wtedy, gdy o tem myślę, gdy na dziecinne i młode oczy patrzę, żyjące w innych, szczęśliwszych,

niż my, warunkach, zapytuję siebie, czy niedalekim jest ten czas, gdy wiersze, które nam drgnięcia serca sprawiały, będą czytane, będą wypowiadane na lekcjach, jako rzeczy obce, jako rzeczy, nad któremi się przechodzi do porządku dziennego, tak, jak nad cudami greckiej poezji, gdy nam je do głowy wkładano...

I wtedy smutno robi się ludziom, którzy przebiegli życie więzienne z walką i buntem w duszy, tworząc z siebie i ze swych małych i wielkich cierpień pracę kultury polskiej, która mija. Jest nad więzieniem jakoby siła, i czar zapomnienia także. Mijamy w przeszłość, my, więzienni ludzie, my, ludzie z epoki więzień! Narasta młode pokolenie, nowe pokolenie, które obce wkrótce nam będzie, dlatego, że tej czary goryczy i rozkoszy, którejśmy dotykali, ustami swemi już nie dotknie. I zawsze, gdy myśl moja staje przed tem pytaniem — widzę oczka dziecinne, które patrzą ze zdumieniem, że mogły być takie czasy, gdy więzienie, a więc to, co jest upokorzeniem człowieka, to, co go przybija do ziemi — drgnięcia zapału w nas jeszcze budzi, oczy zapala, uśmiechem lica krasi. Zawsze jednak ze spokojem kończę te rozmyślania więziennego człowieka o tych, co idą. Niech zapomną o nas, o naszych walkach i cierpieniach, niech idą na nowe życie, tam, gdzie czar więzienia ust nie krasi, lecz i jadu nie daje — niech idą swobodnie, zapominając o nas, by życie nowe tworzyć.

XVIII.

PRZEDMOWA DO JEDNODNIÓWKI 6-GO PUŁKU PIECHOTY LEGJONÓW

(1 czerwca 1925).

6-ty pułk jest najmłodszy z formacyj wojskowych z Legjonów Polskich. Sformowany został w sposób zupełnie osobliwy. Gdy na początku wojny zorganizowałem w bataljony pierwsze wojenne kadry ze Strzelców i organizacyj wojskowych przedwojennych, przyjąłem jako zasadę, że mamy być słabą czy silną, sympatyczną dla kogoś, czy niechętnie widzianą emanacją sił Polski podczas wojny. Raczej, co zgóry przewidywałem, jedną z emanacyj pomiędzy wielu prawdopodobnemi, lecz taką, gdzie charakter wewnętrzny i zewnętrzny nie pozwoli na jakiekolwiek zmieszanie jej z jakiemikolwiek emanacjami prac zaborców w stosunku do Polski. Stąd stanowcze unikanie wszystkiego, co różnice pomiędzy nami — Strzelcami — a wojskiem austrjackiem usuwa, stąd też zupełnie decyzywne usuwanie możności przenikania do naszej formacji oficerów austrjackich, chociażby Polaków. Wyznaję, że pod tym względem zawsze wolałem, gdy to ostatnie było zamiennem, — nie Polaków, lecz oficerów obcej narodowości. Mniej wtedy było łamania zasady, by nasze próby utworzenia wojska polskiego były organicznie związane z jakimkolwiek z zaborców.

Naturalnie, stanowisko moje napotkało na silny opór ze strony władz austrjackich, które wci-

snąć chciały najsłabsze nawet próby, związane z próbą formacyj polskich, w ramy zespolenia ich z taką czy inną polityką austrjacką. Wyraziło się to historycznie w rozkazie wewnętrznym, który scharakteryzowałbym określeniem niemieckiem — Brygada została *kaltgestellt*. Ten chłód dał ujście szykanistom wszelkiego rodzaju oraz w stale powtarzanych próbach przeciwstawiania mnie i mojej Brygadzie innych prób, bardziej względem polityki austrjackiej ugodowo urobionych. Do takich prób należał i 6-ty pułk Legjonów Polskich.

Gdy zwycięstwa, zaczęte pod Gorlicami, stopniowo zaczęły oddawać w ręce Niemiec i Austrji całą Polskę, pośpieszono ze strony władz austrjackich możliwie szybko oddalić chwilę rozrośnięcia się I Brygady i jej wpływu na formacje wojenne polskie. Wbrew temu faktowi, że właśnie w I Brygadzie ześrodkowani byli najliczniej ludzie o wyższem wykształceniu ogólnem, którzy przeszli już przez największe doświadczenie wojenne, wbrew zatem temu, że oczekiwane z natury rzeczy wyzyskanie tego materjału ludzkiego dla rozszerzenia formacyj legjonowych musiało się oprzeć na I Brygadzie, wbrew wreszcie jasnemu i oczywistemu dla wszystkich faktowi, że wpływ mojej osoby. jako dowódcy I Brygady, był stale wzrastającym, tak, iż ochotnicy, którzy się zgłaszali do Legjonów, ciągle stawiali warunek, że chcą iść tylko i jedynie do I Brygady, — wbrew temu wszystkiemu władze austrjackie zdecydowały stworzyć przeciw I Brygadzie i jej dowódcy dwa nowe pułki — 4-ty i 6-ty. Na 6-ty, jako dowódcę, przeznaczono odrazu pułkownika austrjackiej służby, Grzesickiego, który głośno

i wszędzie mówił, że ma nawet wnętrzności nie jakie inne, jeno czarno-żółte.

Nic dziwnego, że gdy 6-ty pułk przyszedł na pole bojów — na Wołyń — spotkało go to, co było nieuchronnem: podejrzliwość i pewna niechęć ze strony I Brygady, pewne uprzedzenie co do jego wartości bojowej i moralnej. Mówię moralnej, gdyż nieraz szukano wewnątrz pułku ludzi, wysłanych poto, by byli szpiegami w stosunku do kolegów.

Rozumiem, że pisząc to, mogę urazić wielu z miłych i serdecznych przyjaciół z 6-go pułku, wiem i rozumiem, że i wtedy, gdy pułk 6-ty rozpoczął swe życie wojenne, dziesięć lat temu, gorycz nieraz wzbierać musiała wśród najlepszych kolegów z tego pułku. Nie chcę jednak przemilczeć tego faktu, gdy dzisiaj historję pułku się wspomina już na szczęście chłodniej, niż w owe czasy. Byłem wtedy jednym z pierwszych, którzy całym swym wpływem i siłą stanęli przeciw słusznej z wielu stron, lecz szkodliwej niechęci moich podwładnych do nowego intruza, przeciwstawionego nie czemu innemu, jak I Brygadzie i jej dowódcy.

Gdy więc teraz te pierwociny 6-go pułku przypominam, gdy słyszę w uszach jeszcze gniewny pomruk i złośliwe żarty moich podwładnych z owych czasów, z przyjemnością zarazem daję wyraz szczerej wdzięczności dla oficerów i żołnierzy kochanego pułku 6-go, którzy moje usiłowania natychmiast całą siłą poparli. W parę miesięcy bowiem potem 6-ty pułk we wszystkich sporach i tarciach legjonistów z władzami austrjackiemi ani razu nie zawiódł, stając zawsze w jed-

nym z I Brygadą szeregu. Z nią razem poszedł na twardy los Benjaminowa i z nią razem, w jedną dywizję legjonową złączony w wojsku polskiem, dzielił chwałę, dolę i niedolę żołnierza. Niech więc tych słów kilka, z historji pułku wyjęte, nie będą przyjęte przez pułk i starych towarzyszów broni jako złośliwa chęć przypomnienia im przykrego dla nich początku pułku, ale jako dowód, jak biednym i mozolnym był los żołnierza „bez ojczyzny".

Sulejówek, 1 czerwca 1925 roku.

XIX.

WYWIAD O NACZELNYCH WŁADZACH WOJSKOWYCH

(22 lipca 1925).

— *Jaki jest pogląd Pana Marszałka na zmiany, które w czasach ostatnich wprowadzono do projektu ustawy o naczelnych władzach wojskowych?*

— Zmian tych szczegółowo nie studjowałem, ale zmiany te nie dotykają zasadniczej wady całego projektu, — wady, mojem zdaniem, obrażającej uczucia każdego żołnierza. Jeden z oficerów jest w projekcie tej ustawy „przewidziany na Naczelnego Wodza" i ma ponosić odpowiedzialność za rzeczy i sprawy, któremi nie kieruje. Liczyć więc trzeba na głupca chyba, który nie rozumie tego, co czyni.

Naczelny Wódz jest najwyższym oficerem w armji, do którego też odpowiednio się trzeba stosować. Tymczasem ustawa obecna jest kiepską imitacją wzorów niepolskich z dodatkami, które ją całkowicie zniekształcają.

Daleko prościej byłoby powiedzieć, że kandydata na Naczelnego Wodza — niema.

— *Czy możliwym jest stan, przy którym się nie wyznacza zgóry kandydata na Naczelnego Wodza?*

— Stan taki jest zły, ale w danym wypadku byłoby to logiczne. Dzisiaj zupełnie nie widzę człowieka, któryby chciał objąć stanowisko „przewidzianego Wodza Naczelnego". Tylko ograniczony karjerowicz może się zgodzić na ponoszenie największej w świecie odpowiedzialności, będąc

skrępowanym w swoich działaniach, mając narzuconych sobie pomocników i tak dalej.

— *Czy Pan Marszałek nie przewiduje zasadniczej zmiany obecnego projektu ustawy?*

— Ja się w przewidywania nie bawię.

— *Czy nie byłby Pan Marszałek łaskaw wyrazić swą opinję o ustawie, na której wzorowano obecny projekt polski?*

— Uważam, że obecna francuska ustawa o naczelnych władzach wojskowych jest dużo lepszą od projektu, który jest teraz rozpatrywany przez komisję wojskową. Jest tam przewidziany generalissimus wojsk, ma nim być marszałek Pétain, którego stanowisko jest mocniejsze. Minister wojny jest we Francji osobą polityczną, a sztab generalny dowodzi tam wojskiem w czasie pokoju. Być może, że pod tym względem nasze urządzenia są rozsądniejsze. Ujawniono u nas tendencję do rozdzielenia pracy pokojowej a przygotowań do pracy wojennej. Wojna jest przecież wypadkiem, który wywraca wszystko do góry nogami, w wojsku — odrazu, w całem państwie — po pewnym czasie. Stąd rozsądniej jest może osobno traktować pracę pokojową, osobno pracę wojenną. Tylko to kierownictwo przygotowania wojny musi mieć decydujący wpływ na wykształcenie wojsk i na obsadzenie stanowisk, aby nie zawieść w chwili wojny, skutkiem nieznajomości swoich podwładnych.

— *O ile ja rozumiem — to projekt obecny dużą część odpowiedzialności przenosi na Radę Obrony Państwa?*

— Przewidziana w projekcie Rada Obrony Państwa jest poprostu Radą Ministrów w innym

pokoju. Jest to śmieszne przekręcenie przeze mnie wysuwanej zasady, że Prezydent Rzeczypospolitej musi się zapoznać, musi wżyć się w pracę, za którą będzie odpowiedzialny. Wybuch wojny pociąga zwykle zmiany w gabinecie ministrów, które są nieuniknione. Kto reprezentuje czynnik stałości, na kogo przedewszystkiem spada odpowiedzialność? Na dwóch ludzi — Prezydenta i Naczelnego Wodza. Dlatego też chciałem, aby Prezydent Rzeczypospolitej zbliżył się do terenu swej odpowiedzialności. Tymczasem według obecnego projektu w Radzie Obrony Państwa nie uczestniczy Prezydent, którego zastępuje prezes Rady Ministrów.

Pamiętać przecież musimy, że przecież wybuch wojny zmienia wszystko. Jednym z elementów, który działa wtedy zupełnie inaczej, jest czas. Wojna jest wstrząśnieniem życia każdej jednostki.

— *Wypowiada się przekonanie, że oddanie niepodzielnej władzy nad wojskiem w ręce ministra parlamentarnego doprowadzi poprostu do nominacji dowódców dywizyj według klucza partyjnego?*

— Tak daleko w głupstwie chyba nie zajdziemy. Mnie chodzi przedewszystkiem o to, że minister spraw wojskowych jest ciągle zmienny, po drugie — że musi ciągle załatwiać mnóstwo spraw, które z wybuchem wojny i wojną nie mają nic wspólnego. Kto chce połączyć odpowiedzialność za rolę Naczelnego Wodza i ministra, musi oprócz talentu wojskowego posiadać mnóstwo innych talentów, do krasomówstwa i... intrygi politycznej włącznie.

— *Przecież w ostatnich czasach nigdzie nie połączono stanowiska ministra i Naczelnego Wodza?*

— Nie, tego kroku nikt nie zrobił.

— *Więc, o ile rozumiem Pana Marszałka, Jego zdaniem — wadą projektu jest nietylko podrzędna rola Inspektora Generalnego, ale także odsunięcie Prezydenta od zapoznania się z przygotowaniami do wojny?*

— Tak jest, tak jest, obie te rzeczy traktuję równorzędnie. Jestem przeciwnikiem czynienia podczas wojny z Naczelnego Wodza podwładnego gabinetu ministrów. Prowadzi to tylko do tarć. Przecież Naczelny Wódz trzyma w swych rękach najrealniejszy czynnik — to jest zwycięstwo. Przecież od jednej przegranej bitwy wywracają się gabinety. Pomiędzy gabinetem a Wodzem Naczelnym istnieć powinna współpraca, a nie uzależnienie Wodza od rządu.

— *Panie Marszałku, ciągle powtarzanym argumentem zwolenników projektu jest powoływanie się na wpływ niemieckiej Kwatery Głównej, wywierany na rząd Rzeszy podczas ostatniej wojny?*

— Czegóż to dowodzi? Tego, że faktem historycznym jest, że Hindenburg i Ludendorff byli ludźmi, silniejszymi od Bethmanna Hollwega, tak samo, jak Falkenheim był człowiekiem słabszym, który rządowi uległ. Przy tym samym systemie w roku 1870 przewagę siły posiadał Bismarck, i Bismarck narzucał swą wolę władzom wojskowym. Chodzi tu poprostu o fakty historyczne, o wartości jednostek ludzkich, a nie o działanie ustawy, rozgraniczającej kompetencje.

XX.

W ZŁOTEJ KSIĘDZE DRUSKIENIK

(sierpień 1925).

Gdy Twórca nad dziełem swem się trudzi, ma musowe chwile zmęczenia i wtedy odpoczynek wyraża się w niespodziance wolnej od więzów pracy myśli, w odetchnięciu głębszem piersi i w uśmiechu radości z rozkoszy swobody i spoczynku.

Kiedy Wielki Stwórca równię nadniemeńską rzeźbił, szedł linją surową i w silniejszym skurczu dłoni kształty ziemi lepił. Bogato sypał na nią żółtawym aż do bezbarwia białości piaskiem, prószącją obficie mchem, jakby siwym od starości dziejów ziemi i swego istnienia. Jako wierne sługi swych wyroków, rzucił mnóstwo wiecznie zielonych sosen, ciskając je dłonią, w puszczę, na straż zaś puszcz wyrzucił na ich boki najsilniejsze, bujne sosny, co nielękliwe, z burzą i nawałnicą się pasując, w konwulsjach wysiłku mięśnie swe prężą i wykrzywiają, jak zamarli w walce rycerze.

Wyroki Stwórcy skazują ludzi, na tę ziemię rzuconych, na mozół i trud wielki, by z ubogiej gleby, jak ta sosna, życie wydobywali, by byli w trwałości pracy niezmienni, jak zieleń wieczna koron drzewnych, a na straż swej ziemicy wysyłali silnych, co w burzy się nie zegną.

Lecz gdy Stwórca-Rzeźbiarz do Niemna brzegu się zbliżył i, zmęczony surowością pracy, palcom spocząć pozwolił, z rozkoszy wolności i odpoczynku ku ziemi błogi uśmiech spoczywania posłał. Wdzięczna ziemia odkurczyła swą pierś ściśniętą

do prostoty płaszczyzny. Mała Rotniczanka skoczyła radośnie, śpiesząc ku Niemnowi, jakby samą siebie prześcignąć chciała, i tanecznym po kamieniach biegiem w niespodziane a narozcież otwarte wrota wąwozu się wsączyła. Szeroki, rozłożysty i wartki Niemen, głęboko prując pierś matki-ziemi, podobieństwo swawolnych gór czynił: z pod ziemi trysły źródła o różnych smakach, a barwna zieleń z niespodziewanemi i strzelistemi, jak gotyki, drzewami zastąpiła mech siwy i szary.

W ten sposób Druskieniki były niespodzianką myśli Stwórcy w odpoczynku, gdy Ten się uśmiechnął.

Nieraz, gdy myślę o tem, szukam małości myśli ludzkich wobec wielkości myśli Stwórcy. I wydaje mi się, że człowiek sądzi, iż piękna i miła Rotniczanka nie ku Niemnowi śpieszy, lecz ku kaskadom kąpielowym, by schudzone w upałach ciało miły chłód wody na się przyjmowało.

W zapomnieniu też myśli człowiek, iż potężny Niemen w skrętach biegnie, by w Druskienikach plażę sformować. A gdy matka-ziemia słonemi łzami swe bóle we wnętrzu omywa, człowiek w rury łzy chwyciwszy, podagrykom i sklerotykom uśmiech na lica chce powracać.

Wielkości, gdzie twoje imię? Małości, gdzie twoje myśli? I śni mi się często w Druskienikach, że bodaj w jednym tylko błogim uśmiechu swobody odpoczynku po pracy, jak w jakiejś wieczności prawdy o miłym śmiechu niespodzianki — spotkać się Wielkość i Małość mogą.

XXI.

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE LEGJONISTÓW W WARSZAWIE

(9 sierpnia 1925).

Kochani koledzy i towarzysze broni!

Rok każdy przemawiam na zjeździe legjonowym. O czemże przemawiać, jak nie o Legjonach, jak nie o naszej przeszłości?! Lecz rok każdy styl zmienić musi. Każdy z nas został wpleciony w jakąś awantur girlandę, w której płynęło nasze życie. Rok do roku był niepodobny, ba, miesiąc do miesiąca! Gwałtowne, szybkie nieraz przewroty losu, jak w jakiejś bajce. Styl zmieniony — może również z powodu poprostu mojej personalnej pracy. W tym roku nie chciałem zanadto pracować i dlatego zmuszony jestem przemawiać nieprzygotowany. Dlatcgo też wybrałem sobie styl, w którym mi łatwo przemawiać — bo styl bajki.

Bajka i prawda, prawda i bajka! Gdzie w bajce szukać prawdy, gdzie prawdę w bajki ubierać? A jednak są bajki o wieczystej prawdzie. Dlaczego? Płyną one gdzieś, kiedyś, przez kogoś osnute, nie mają wyraźnego autora, bajki, skomponowane przez jakąś prawdę życia, bajki, o wieczności prawdy mówiące, gdzieś dawniej, gdzieś za dawnych złotych czy tombakowych czasów, kryjące jakieś czyste bóle z wnętrza serca niezastygłej jeszcze ziemi, z której prawdy wieczyste w bajkach mówione. I każda bajka, która wieki całe przetrwała, tysiące lat opowiadaną była, jest w niej siła, — siła życia, siła prawdy. Są takie bajki, panowie, i gdym się zdecydował, że w stylu bajki

mówić o Legjonach będę, przerzucałem sobie w myśli mnóstwo znanych mi bajek, mnóstwo słyszanych bajek opowiadanych, które dzieci po tysiąc i tysiąc lat te same bajki mówią i te wiecznie trwałe, wydobyte z jakiejś prastarej krynicy życia, krynicy piękna, krynicy jakiejś publicznej moralności. Gdyż takie bajki, które starsi ciągle dzieciom powtarzają, mają chronić uszy dziecięce, mają skierować i wychowywać pacholęce dziecko ku dobremu.

Są takie bajki, co o prawdzie mówią. Prawda i bajka, bajka i prawda. Jeżeli bajkowem było nasze życie, jeżeli bajkowemi były nasze przeżycia, to bajkę jakąś znaleźć na moje przemówienie musiałem. Są takie bajki, panowie i panie, są takie bajki, koledzy i koleżanki! Znam jedną taką, którą gdy tysiące i tysiące lat dzieciom się opowiada, to z tych łez szklistych i perlistych, co z pod powieki dziecka płyną, nie strumienie, lecz potoki, ziemię zalewające, sformowaćby można. I gdyby zebrać całe gorące serca, które wtedy się rozwijają, gorące policzki, wiejące oburzeniem, to nie łuny, pożary, lecz jakiś oddech płonącego słońca ziemię by spalił. Są takie bajki, panowie i panie, w których prawda wieczna żyje, w których łezka dziecka płaczącego o moralności publicznej mówi, są takie bajki, co ogniem oburzenia płoną.

I taką bajkę o nieszczęsnym Kopciuszku wybrałem na odczyt dzisiejszy. Któż tej bajki o Kopciuszku nie zna, któż jej nie słyszał szeptanej na ucho, któż nie pałał gorącem oburzeniem na złą macochę, na złe siostry wyrodne, któż łez nie przelewał nad biedną dziewczyną, cud-dziewczyną w łachmany ubraną, bosonóżką trwożliwą i wierną wiecznie pracy? Lały się łzy rzęsiste dziecinne,

które biją strumieniem wszędzie. Biedny Kopciuszek, zła macocha i wyrodne siostry! Któż tej bajki nie zna? Znały ją nasze praprababki, tak samo nasze praprawnuczki pytać będą o nią. Każda matka, dbająca o dobre wychowanie dziecka, wzniecająca moralność publiczną, działa w kierunku pobudzenia do pracy, przyzwyczajenia do litości nad cierpieniem. Któraż z prababek i prawnuczek nie będzie zcałowywać łzy rzęsistej i perlistej swych dzieci, płaczących nad Kopciuszkiem, któraż nie będzie uspakajać pałających główek, nie będzie płaczących policzków ściskać, gdy dziecko jest śmiertelnie obrażone, że zło gdziekolwiek, kiedykolwiek triumfuje? Są takie bajki, co stoją na straży moralności publicznej. Bajka o Kopciuszku należy do nich.

Gdy dziecina gdziekolwiek się rodzi, złe i dobre wróżki stoją u kolebki. Złe wróżki-czarownice z wężowym sykiem, z złośliwemi oczami, nie widząc i nie znając jeszcze dziecka, brzękiem złota czarują oczka, do złego pchają, wszystkie świecidełka, co mamią, dla pociągnięcia dziecka, u kolebki jego życia pokazują. Lekkie życie obiecują. A gdzieś w kącie, u ściany, wróżka-staruszka zgarbiona, stulona, nieśmiała, z lękiem, zdaleka od dziecka, w ręku róże i ciernie ukazuje. Bajka i prawda — róże i ciernie!

Jak bajki od prawdy, tak róży od cierni oddzielić niesposób. *Cendrillony* ukochane — gdzieście wy się rodzili? Gdzie kolebka waszego życia? Hen, daleko — mury prastarej stolicy Polski, stolicy z chwałą Jagiellonów, stolicy siły Chrobrych, wielkie śmiałe czyny, mury Wawelu. A na Wawelu śpią królowie, a obok kopiec Kościuszki sypią. Kopiec i mury. A z grobu królewskie oczodoły

ciemne, a gdzieś nad murami proporce szumią i w krasnych rabatach ci, co walki honor czują, na rumakach śpieszą. Szum proporców, szum sztandarów, a gdzieś z pod Wawelu królewskie oczy patrzą nie wzrokiem, lecz ciemnemi oczodołami! A koło królewskich grobów w obcy mundur ubrany żołdak wartę trzyma. A kopiec Kościuszki w forty i armaty nie swoje, lecz obce ubrany! Dobra wróżka daje kwiaty i ciernie — bo te są nierozdzielne. Na ciebie wołali z grobów i z Wawelu, a z pod kopca szły konie i proporce wielkości, wielkiej sławy i wielkich potężnych walk, walk Batorych, walk hetmanów. Chwila i ruch! A róże wam uwiędną i ciernie zostaną! W zapach róż wielkich, w zapach róż przeszłości nie chciano wierzyć. Róże im uwiędły, a cierni mieć nie chcieli!

I gdzieś to w kolebce się rodził, legunie zatracony? Pod wawelskiemi murami mary stanęły, gdyś ty dzieckiem jeszcze był, gdy nad twą kolebką stanęły wróżki. Pocóż boleśnie nóżki do buzi włożyłeś? Nóżki ssać chciałeś. Brudny, nieskrępowany malec, jakgdybyś chciał powiedzieć, że piersi matczynej się wyrzekłeś, a złe wróżki i ludzie, a złe czarownice i gadzinowe syki już na ciebie, zatraceńcze, czekały! *Cendrillonie* zatracony, Kopciuszku ubogi, wyrok sam na siebie pisałeś. Złota brzęku nie chciałeś wcale, a róże ci uwiędły, a ciernie zostały. I biegałeś zuchwałemi krokami pod murami Krakowa — słupy graniczne burzyłeś! *Cendrillonie* kochany! W twoim tornistrze niebogatym cóż miałeś na piersiach za kwiaty? Zuchwalcze nieodrodny, gdy kwiaty uwiędły — to zapach kwiatów dawnej chwały w tornister swój wkładałeś! I pocóż, zatraceńcze, to czyniłeś? Serca złej wróżki nad kolebką twoją stały, serca dobre gdzieś uleciały.

Czy wy pamiętacie tę bajkę? Biedna uboga dziewczyna, o nóżkach bosych a cudna, zmarznięte stopki, pod głową marna poduszyna, na gołych deskach sypiająca, oczki tak ładne, tak cudne, zawalane, zasmolone. Smoluchu kochany, pracujący nad jakąś niepotrzebną nikomu robotą, jakieś przetaki i beczki, jakiś groch i kapusta, jakieś dziwolągi domysłów pracy bezlitosnej, pracy nieodrodnej! Zarabiasz, smoluchu, ręce do łokcia, zarabiasz, dziewucho, snu kilka godzin, popychadło to kuchenne, dziewczyno niefachowa, śniąca o zamążpójściu! Któż takiej dziewczynie cokolwiek zaufać może? Niech sukieńczynę nosi brudną, niech na plecach ma łaty, ot to popychadło zwyczajne!

Kwiaty i róże, róże i ciernie! Kwiatów nie dano, bo zwiędły, gruntownie zwiędły te kwiaty. Ciernie zostały, a cierni nikt nie chce! A jednak, utraceńcze, kwiatyś chciał nosić w tornistrze, gdy biegłeś na polskie pola i łany. I kwiaty nie więdnące chciałeś, wieczne!

Gdy bajka musi iść, gdy bajka to prawda, a prawda to bajka, to tam, gdzie Kopciuszek, musi być macocha, a tam, gdzie macocha, muszą być siostry wyrodne. Inaczej bajka nie jest prawdą. Smoluchu przebrzydły, gdy już raz się urodziłeś *cendrillonem,* pracuj na macochę i pracuj na siostry wyrodne. Tobie mąka i przetaki, tobie ciernie, tobie praca. Kwiatów ci się zachciewa! Dziewczyno wyrodna, smoluchu kochany! Nagiem ciałem bezwstydnie świecisz, — dobrze, że jesteś tak zasmolony i zabrukany! Ileż łez rzęsistych, perlistych dzieci na świecie całym nad losem Kopciuszka leją. Biedna dziewczyna, szepcą usteczka zbolałe, płaczą oczęta, a łzy strumieniem, jak potok wartki,

tak niespokojne i tak silnie moralności publicznej bronią. Tam, gdzie Kopciuszek, tam jest i praca. Dla kogo? Tam, gdzie Kopciuszek, tam jest macocha, a gdzie macocha tam i siostry wyrodne! Ktoś na Kopciuszku żer mieć musi. I nietylko wesz żołnierska po barkach ci łaziła, smoluchu wyrodny, na twojem cielsku durnawem nikt przyzwoity żeru nie znajdzie. Śnisz o niefachowem zamążpójściu? A jednak bajka musi iść, a jednak bajka to prawda, a prawda to bajka, a jednak są róże i ciernie i jest brzęk złota! Gdzie jest macocha, tam jest i wyzysk, a gdzie jest siostra wyrodna, tam jest zdrada. Inaczej na świecie nie bywa, kiedy Kopciuszek się rodzi. Pocóż, smoluchu, nóżki do buzi włożyłeś przy urodzeniu i piętki własne cmoktać chciałeś, piersi matczynej się wyrzekłeś? Tam, gdzie Kopciuszek, tam jest macocha, a gdzie macocha, to i siostry wyrodne. Żeru na smoluchu mało, zamążpójście niefachowe nic warte, ożenek byłby głupi, bo któż, do pioruna jasnego, gdy poduszka do snu skłania, marzy, że za siódmą górą, za siódmą rzeką oblubieniec w zbroi skrzydlatej gdzieś istnieje i gdzieś przed bojem, gdzieś przed wielkością oblubienicy szuka. Bajka jest bajką, niech straszy moralność publiczną! Macocha żyć musi, a zdradliwa siostrzyca także! Mus bajki musi iść! Niech smoluch pracuje, żer mały dać mu można, kwiaty jakieś z sobą w tornistrze zabrał. Uwiędłe być może, lecz i uwiędłe kwiaty gdzieś przy biedzie, przy braku ogrodów publicznych w domkach publicznych sprzedać można — radziły szpicelki zdradliwe, kurewki małe! Reklamki mało, na tyłach reklamki, reklamki nam trzeba! I w tany, i w tany!

Gdzie byłeś, głupi smoluchu, gdyś się urodził? Pocóż, głuptasie, nóżkę do buzi wkładałeś, poco nędzną poduszkę w snach ukochałeś? Matczynej piersi ci nie trzeba, niech cię macocha wyzyska i zdradzi siostrzyczka rodzona! Szpicelki kochane, kurewki małe! Reklamki na tyłach, — żer mały, lecz pewny!

Jak w bajce, tak w bajce. Bo bajka to prawda, a prawda to bajka!

Rok mija, jak w bajce. I w snach była dziewczyna, ręce do łokci urobione, zasmolone w dymach kuchni wojennej, a kwiatów nie chciała oddać. Czy wy pamiętacie rok 1915? Przez Polskę szły pożoga i dym. W kurzawie dymu i huku armat znikały z powierzchni sioła i miasta. Paliła się Polska, jak stos ofiarny, paliła się Polska, jak szeroka i długa. Czy wy pamiętacie ten rok ułudy, ten rok zmian gwałtownych i szybkich, ten rok, gdy nawałnica wojenna po polach polskich się tocząc, Polskę zjednoczyła? Polska, jak długa i szeroka, jednego miała pana. Polska prawie, jak te, co obecnie granice i gdy kto kiedy wszechsłowiaństwo gdzieś sprzedawał i innych Kopciuszków do pracy zmuszał, to żądał zjednoczenia pod jednym batem, by mieć jeden zamiast trzech. Ideały się ziszczają, bat jeden w dłoni i pan jest możny i bogaty. Buty ciężkie i ostrogi, w hełm stalowy łeb silnie zakuty, szedł, jak miecz potężny, na świecie! Pan jeden, bat jeden! Polska w tych samych, co obecnie mamy, granicach! Smoluchu zatracony, czy ty pamiętasz ten rok wielki, gdy jeden pan w Polsce i bat tylko jeden! A Polska taka, jak obecnie mamy granice, i wy z pod Jastkowa, i wy z pod Lublina — czy wy pamiętacie? Grzmią armaty, kiedy człowiek dumny boga w gromach uderzał, — czy

wy pamiętacie pożary i łuny, gdy niknęły sioła, sadyby i dwory! Gdy oddech gorący wojny, zniszczenia, jeden łan zboża zostawił, bo spalić ich niemożliwe, — czy wy pamiętacie krew waszą, którąście dali? Zuchwały zatraceńcze, — rzucałeś się dla obrony wsi, gdzie pożar wybuchł, bo Polska się paliła? Czy wy pamiętacie wasze rany w obronie kościoła, co do Boga w trwodze dzwonił? Czy wy pamiętacie te pola, te łany, czy pamiętacie, *cendrillony* zatracone? Pachła wam wtedy ojczyzna! Gdy słonko błysło, to krasne rabaty, ułany wąsate wjechały do Lublina. Miasto wielkie, miasto duże w trwodze było i pierwsze polskie wojsko ujrzało! Czy wy pamiętacie uściski dziewcząteк, czy pamiętacie te kwiaty, po raz pierwszy wam rzucane? Czy wy pamiętacie te uśmiechy, do was koralem ust i ząbków pereł się śmiejące? Słonko gdzieś z góry, wśród pożaru i dymu, wśród huku armat, całuje! Jakiż sen, utraceńcze zatracony, *cendrillonie* kochany, na ubogiej poduszynie śniłeś? Co się w twojem serduszku działo? Zmiany obfite, bogate, a nad Polską jeden pan, jeden bat!

I bajka istotnie, ta z wiecznej krynicy prawdy wysnuta, co moralności publicznej strzeże, ta wieczna bajka o Kopciuszku daje opis biednej dziewczyny. Śniąc, marząc, zaspana, nóżki zziębnięte, cud nóżki mrozem szczypane, w błocie kąpane, podkurczone, drżysz dziewczę jakąś trwogą czy pożądaniem? W gorączce całe liczko płonie, czuprynka na czole rozrzucona drży, cud-dziewica w gorączce czy pożądaniu. Sen to o zamążpójściu, smoluchu kochany, a usta szepcą: królewicz, królewicz! Królewicz na wojnę się wybiera za siódmą górą, za siódmą rzeką. Wróżka dobra już stoi

i w ręku pantofelek na nóżkę bosą, złotem szyty, srebrem sypany, na ręku u wróżki-staruszki suknia biała, atłasowa, a na podwórcu rumaki biją, rumaki siwe! Sen czarowny, sen czy mara, duch i wiara! Biedne dziewczynisko chore, słonko z za chmury wyjrzało. W królewicza uwierzyła i kwiaty bierze, i róże, i ciernie! Praca wam stopy krzywiła — dawała już chwałę, krasne rabaty, ułany wąsate, szare piechury, nosy do góry! A prawda bajki się ziści. Bo tam, gdzie Kopciuszek, tam jest i macocha, a tam, gdzie macocha, i siostry wyrodne. Leją się łezki cudne, perliste i z policzków dziewczęcych bije strumień prawdy wieczystej. Ludzkość triumfować musi, by łez strumieniem, policzków oburzeniem moralności publicznej pilnować. A więc są kule i referaty. A więc jest i krew, i atrament, są wojaki i kanclerskie głowy! A gdzieś w niebie wagi wielkie stoją i gdzieś na wagach losy Kopciuszka świata się chwieją. Wagi wielkie, wagi boskie! Na jedną wagę idzie pot i krew, idą róże i ciernie, idzie bajka prawdy skrzydlata, a na drugą wagę idą kanclerskie głowy, idą referaty, atrament i smród. Bo gdzie woń róż, to — prawdę mówiąc — jest woń i kloaki, *cendryllonie* zatracony — bajki i prawda, kwiaty i ciernie, burdel i kurwy, szpicle i oberszpicle. Reklama i majtałasy, sukienki w górę, tan się zaczyna! Pan bogaty i możny! Czy marka, czy koronka — wszystko jedno... Bajka musi iść i bajka idzie niedługo. Bajka i prawda, kwiaty i ciernie. Stulona dziewczyna śni na poduszynie, jak w gorączce się miota, jak w bajce, coś szepce, coś mówi. Co mówi, co szepce? Niech sobie śni tak cudnie, a pracować musi, musi na macochę. A wróżki czarowne i siostry wyrodne doglądają cud dziewicę. O pan-

tofelku śni wyrodna dziewczyna, do królewicza wyciąga ręce! A jeden pan, jeden bat! Poduszkę wyciąga, niech łezki moczą gołe deski. A kwiaty oddać nam musi! A z kwiatów powstają korpusy i posiłki, posiłki i korpusy, a sam pan jenerał będzie ubierał w maciejówkę łeb! Korpusy i posiłki, posiłki i korpusy — sam pan jenerał będzie ubierał i płacił sowicie — w maciejówkę łeb! Korpusy i posiłki, róże i ciernie. A gdzież referaty, gdzież atramenty, gdzie taniec i majteczki?... Gdzież szpicelki kochane, kurwy urodziwe?... A sen się iści. Kolega poseł się śmieje —i ja się śmieję. Pięć razy to powiem, bom to zdecydował — z Legjonów wyrzucony, podejrzany osobnik!

A bajka się iści — a chwała idzie. Wpleciony w awantur girlandę, jak nieszczęsny *cendrillon,* co rok — to awantura, co rok — to zmiany. Czy śnisz o królewiczu, *cendrillonku,* — śnij lepiej o więzieniu. Los ci cierni nie oszczędzi. Królewicz za murami, za górami, za siódmą rzeką, a w Polsce jeden pan i jeden bat! I bajka się iści, bo bajka to prawda, a prawda to bajka. Psie jadło dziewczynie w więzieniu i słoma zamiast poduszki — a sam pan jenerał będzie ubierał w maciejówkę łeb!

Prawda musi iść i moralność publiczna, broniona przez łzy dziatek, tysiąc lat płaczących nad biedną *cendrillonką,* żąda cudu. Co u licha — czyż wiecznie zła zwycięstwo będzie? Płoną oczęta oburzeniem, policzki od gorąca, kułaczki się zaciskają u dzieci, krzywdy nie mogą wytrzymać!... Za dużo cierni, mamusiu, ja nie chcę macochy!... Łzy rzęsiste, łzy perliste dzieci, płynące potokiem łez, broniące gorącem swych oddechów moralności publicznej. I cud się iści. Wplecione w awantur girlandę,

śmiejcie się, dzieci! Uśmiech triumfu dla *cendrillonki* — królewicz się zjawia i niefachowego żąda zamążpójścia. Czy głupi i czy czegoś zapomniał, czy upił się może, coś niesamowitego się dzieje! Krzyki i hałasy, wiwaty nieskończone, trzęsie się ziemia, zapada się, pańskie pałace się podnoszą. Wróżki się znajdują — śmiejcie się, dzieci, — *cendrillonek* w atłasy ubrany, pantofelek od królewicza otrzymuje, królewicz niefachowego żąda zamążpójścia!

Niesłychane! Niesłychane! Taki głupi — on był pijany! Co się dzieje? Ten królewicz złotolicy — wszystkie dzieci tak się śmieją, klaszczą w rączęta — och, cudowne życie, mój Ty, Boże! Oszaleją! Cóż się dzieje? Sen się dzieje — triumf cały — *cendrillona* królewicz żąda... A siostrzyce też struchlały i macoszka, w kąty patrzą! O Ty, Boże, o Ty, Boże! Polska cała oszalała, a królewicz jest pijany — niefachowy ślub bierze! Proszę panów! Bajka jest prawdą, prawda jest bajką! Historja taka była, a co się stało — nie odstanie, nie pomoże ani Bóg! Czy był pijany, oszukany — wszystko jedno, fakty są. Bajka jest prawdą i prawda jest bajką! Róże i ciernie, ciernie i róże! Macocha i wyrodne siostry — tam, gdzie Kopciuszek! I pamiętacie cudną bajkę, gdy dzieci znajdują się w stanie silnego rozdwojenia duszy? Nie mogą tej rzeczy znosić. Ile razy próbowałem na dzieciach tej bajki, zawsze miałem ten sam efekt. Łzy płyną gorące, złość nie osuszyła jeszcze łezek, kułaczki zaciśnięte!

I uczta się odbywa i głupi *cendrillonek* przebacza siostrom. Niesłychane! Dzieci rady dać sobie nie mogą, publiczna moralność jest obrażona. Tak nie można przecież żyć, takie życie jest obrzydliwe! Poco one zdradzały, niech ona je bije.

Wszystkie próby, z dzieckiem zrobione dotąd, takie wyniki dawały. Przecież Polska to jest cel, to jeden pan i jeden bat! Rozum stanu mądrych ludzi. Cud musi iść dalej. Wobec tego, że to mnie osobiście się tyczy, stylem bajkowym nie mogę przemawiać.

Pamiętam, jak w 1918 roku wypuszczony i uwolniony z Magdeburga, pod turkotem pośpiesznego pociągu, który wiózł mię z Berlina do Warszawy, kiedy nic o Warszawie nie wiedziałem, bo byłem długo izolowany, lecz wiedziałem, że nastąpiło trzęsienie ziemi, że zapadły się jedne pałace, a nasze, w Polsce, wyskoczyły do góry i ni z tego, ni z owego była Polska na pierwszego. Pamiętam różne swoje zdumienia. Bo przecież w więzieniu, piosnka, z której się śmiałem, to była, że „sam pan jenerał będzie ubierał w maciejówkę łeb". Bo przecież w Magdeburgu licznych ogłoszeń i referatów, licznych reklam i reklamek nie dawali mi czytać! Miałem więc zwyczaj dawne czasy rozmyślać, czasy, kiedy *cendrillonce* ku lepszej siostrzyczki wygodzie wyciągano poduszynę ubogą z pod głowy, aby ją zastąpić psim jadłem w więzieniu i aby słomą więzienie bogate dla was wszami skażone (a prawda, u Niemców to takiej wszy nie wolno było mieć, *Entlausung* — zapomniałem), ale ta słoma była dość przechodzowana. I to tylko miałem w oczach. Gdym pod turkotem pośpiesznego pociągu, który mię unosił z Berlina do Warszawy, w rozgorączkowanej głowie myślał i plany jakieś snuł, powiedziałem sobie odrazu prawdę, której dotrzymałem. Powiedziałem sobie: człowieku, żyłeś w kraju i pracowałeś w kraju, spodlałym doszczętu w niewoli, bogatym w tchórzliwy rozum, bogatym w materjalizm dziejowy, mówiącym o trzech gro-

szach, byłeś w kraju, który nie miał odwagi myśleć i żyć. Na tem tle musowo muszą wyrosnąć objawy takie, jak sprzedajność publiczna, publiczne domki, gdzie można fachowe zamążpójścia uprawiać, jak wszelkie inne zdrożności moralne, jakieś perwersje i związane z tem syfilistyczne kręciołki w głowie. Więc wobec tego powiedziałem sobie: czy chcesz, czy nie chcesz, jesteś głównym *cendrillonem* i bajka dla ciebie pisana! Sen się ziści, musisz ten pantofelek brać na nogi! Polska wielka ni z tego, ni z owego była na pierwszego. Niewiadomo — co robić? Pan jeden, bat — każdy osobno. Peowiaczki oszalałe, leguny, — mój Boże, coś trzeba zrobić! Odrazu sobie powiedziałem — musisz przejść do porządku dziennego nad całem mnóstwem objawów, któreś przedtem obserwował i wstręt do nich czuł. Nie mogłem przejść tak, jak rozum dziecka łatwo nad zdradliwą siostrzycą, nad tymi, co na tyłach reklamę noszą, w maciejówkę łby ubierają. Niechby kwiaty i ciernie prawdę bajki mieli. Poco róże kloaką farbować, można poprostu zarabiać. Poco na naszem ciele żerować ma wesz kudłata? Ale cierni nie chcieli, a pieniążki brali. Jeszcze róże i kwiaty, róże i ciernie błotem smarowali. Nad tem najtrudniej mi było przejść do porządku dziennego. Lecz chciałem wierzyć wtedy, jak w jakiś sen uroczy, że się jednak warunki tak gwałtownie zmieniły, że wraz z odrodzeniem Polski odrodzenie duszy ludzkiej pójdzie i że moralność publiczna przez łezki dzieci, tysiące lat ronione, że moralność publiczna, strzeżona przez tysiące lat gorącemi liczkami miljonów i miljonów dzieci, te góry piąstek dziecinnych, zaciskających się przez miljony lat u miljonów dzieci, jakąś górę, strzegącą od upadku moralnego, w odrodzonej Pol-

sce sformują. Lecz gdym nie chciał bata trzymać, a jeden pan i jeden bat — i suwerenów zwołałem, tak się przestraszyłem! Odrodzenia w suwerenach nie znalazłem. Gdy sobie przypomnę owe lata, gdy najważniejszą kwestją, o której przy gromach nowej nawałnicy mówione było, kto rozumny jakiemu zaborcy się sprzedawał, a kto miał nędzny rozum stanu, że się sprzedawał głupio. Kto rozumny się sprzedawał, gdy zapachy dawne, piękne, ładne do mnie doleciały: rodzime szpicelki, rodzime kurewki, kłócące się o to, kto więcej dawał, a kto więcej brał. Gdy sobie przypomnę, że każdy zabór dumny był raczej dziełem zaborców, niż swoją pracą, gdy pluli sobie w gęby dlatego, że ktoś nie wychowany przez *landrata*, co brał w brzuch i w pysk, gdy na tem patrjotyzm budowano, powiedziałem sobie: nie mogę! Moralność publiczna domaga się od tego głupiego *cendrillona*, ażeby nie dał krzywdzić tych, których w błoto zupełnie wdeptano tylko dlatego, że mniej rozumnie w burdelach służą. Wydawało mi się to tak oburzające i tak nieznośne dla moralności publicznej, żem przeszedł do porządku dziennego i nad szpicelkami rodzimemi, co reklamę na dupie noszą. Postąpiłem nie tak, jak kułaczki zaciśnięte dziecka każą. Nie będę, nie byłem fachowym w zamążpójściu!

Moi panowie! Skończyć chcę bajkę nieco historycznie. Ale prawda i bajka. Poco ciernie, poco róże, królowe kwiatów i zapachów, kult fałszywy? Jeślim dziś wybrał styl bajkowy dla dzieci, to dlatego jedynie, że styl bajki silniej w głowach pozostaje. Mam wyraźny cel. Niech róże i jej zapachy, niech ciernie zostają przynajmniej w historji różami i zapachami! Niech raz fałszerstwu historji tamę położę! Bo historja ma swoją legendę i legen-

da nieraz wygląda więcej, jak czysta prawda historyczna. Przypominam sobie — w wesołych chwilach przed uwięzieniem i wywiezieniem do Magdeburga, gdym, przeczuwając trudy, szukał rozrywek, stworzyłem jeden aforyzm. Nie rozumiem, dlaczego Kościuszko, co miał nos kulawy, na portretach z rokiem każdym staje się bardziej podobny do Apollina belwederskiego? Fałsz legendy na portretach Kościuszki daje się odczuwać. Ale moralność publiczna przeciwko temu protestować nie zdoła! Bo każdy taki Kopciuszek - Kościuszek gdzieś tam pracował, że mu potem kopiec sypną, że imię jego każda mała dziecina musi znać i szeptać słowa zaczną: to imię, to wielkie wspomnienie. A przecież ten Kościuszko, jak każdy Kopciuszek, miał róże i ciernie, miał zawistne siostry i macochy. Lecz tu fałsz idzie in plus. Idzie w kierunku upiększania, idzie w kierunku tej sprawiedliwości publicznej. Legenda mówi swoje. Panowie! Gdy jestem przy wesołych chwilach współczesnych, powtórzę jedną anegdotkę, którą w owe czasy powtarzano ciągle. Śmiały się leguny do rozpuku we wszystkich kabaretach legjonowych, we wszystkich jasełkach, u wszystkich wesołków ta anegdota była na ustach. Usłyszeli bowiem leguny, że ja w ten sposób o Kościuszce mówiłem, i powiadali tak: „Co to będzie z naszym Komendantem? Że też on, mając wąs sumiasty i brwi krzaczaste, nie każe sobie dobrego portretu zrobić. Co my na portrety patrzymy, to każdy inny. Rysują poprostu Komendanta tak, ażeby potem powiedziano, że takiego Piłsudskiego wcale na świecie nie było! Lecz on taki względny dla panów malarzy! Przecież jemu wielkie niebezpieczeństwo grozi. Jak mu zaczną wąsy skracać, jak mu zaczną brwi obcinać, jak

mu zaczną dokumenty fałszywe pisać, jak przeczytają wszystkie departamenty, referaty, to z niego zrobią Sikorskiego".

Komendanta trudno sfałszować, a udać Komendanta absolutnie niesposób! I wtedy już leguny mię ostrzegały. I wtedy przemądry *cendrillon*, co to dużo wie i dużo gada, rozumiał, gdzie się znajduje, i był bardzo ostrożny. I ostrzegał tego Komendanta: „Co ty robisz! Każ się dobrze malować!" Kochani koledzy! Ja teraz ciągle do was krzyczę: Komendanta sfałszować trudno! Pantofelek gdzieś od królewicza ukradł, zafasował, no i cóż z nim zrobisz! Bo co się stało — nie odstanie, nie pomoże nawet Bóg! Starania, naturalnie, są, ale wam grozi niebezpieczeństwo. I ja nawołuję wciąż was, *cendrillonków*, do tego, tak, jak wy mnie: strzeżcie się, bo was sfałszują!

Moi państwo! Opowiem wam niedawno napotkany fakt. Zwraca się do mnie jeden cudzoziemiec, Francuz, i przynosi dość gruby zeszyt, zatytułowany *Historja Legjonów*, prosząc mię, bym wydał opinję, albowiem jeszcze jakieś portrety nie są poważnym atutem, bo ja żyję. Czytam ten referat, czegoż tam niema?! Jezusie! Jezusie! Więc kto organizacje strzeleckie robił? Sikorski! Kto tam wykłady prowadził? Sikorski! Piłsudski tak, jak ta bajka. Piłsudski dopuszczony jest z łaski, ale już ani brwi krzaczastej, ani wąsa sumiastego nie powinien mieć! Z tego też powodu jego I Brygada walczy, że tak powiem, tylko, jako partyzantka, gdyż to była polityczna awantura i musiano nieledwie oddawać to wszystko pod komendę austrjackich oficerów! Czytam i sam sobie nie wierzę! Powiadam jemu: „Mój panie, jak może pan tyle kłamstw, tyle bzdur pisać?" On powiada: „Ja dlatego do pana to przy-

niosłem, aby pan mi opinję dał". Ja powiadam: „Przecież tu od początku do końca wszystko — fałsz!" — „To ja pana poproszę, ja dużo studjować historji Legjonów nie mogę, a praca potrzebna jest, ażeby prawda o Legjonach we Francji była rozpowszechniona — więc niech pan inną rzecz napisze". Na to ja powiadam: „To zostaw mi pan ten referat, to ja znajdę autora". — „Nie. panie, ten referat jest opłacony, to ja go muszę odesłać". Proszę, ja mówię otwarcie i szczerze! Gdy tchórzów bez liku, gdy zdrada tak łatwa, gdy pieniądze są tak cenione, to, proszę państwa, fałszu musi być dużo. Muszą być różne rzeczy komuś skradzione i musi być coś gdzieś upiększone. Lecz wszystkiemu jest miara!

Granica fałszu, fabrykowanego w Polsce, jest niesłychana. Byłem w tym kraju Naczelnikiem Państwa. Przewodniczyłem z musu w wielu obradach i każdy protokół z tych posiedzeń bezczelnie fałszowano. Radzę przyszłym historykom nie wierzyć polskim protokółom! Gdym studjował i przygotowywał swoją książkę *Rok 1920,* w archiwach Sztabu nie znalazłem całego mnóstwa dokumentów, które były mi potrzebne, natomiast znalazłem fałszywe. Skąd na moją biedną głowę rzucają jakieś urynały, odpowiedzialność, mówiąc, że ja nieledwie zdradę państwa nakazywałem. Przy takiem stałem fałszowaniu i reklamiarstwie można fałszować prawdę i ostrzegam was, leguny. Pracujcie nad prawdą historji sami, bo to, co historyk znajdzie, będą referaty, atramenty, no i brudy. Niechybnie, życie nie jest romansem, ale też nie powinno być i kałużą błota, w którem mybyśmy siebie czy też nasze dzieci, jak w lusterku, oglądali. Dlatego was ostrzegam, jak ongiś wyście mnie

ostrzegali! I ostrzegam was tak, jakgdyby historja przyszłości, przyszłości być może niedalekiej!

Gdy moje pannice, moje dwie córeczki, Wandzia i Jagusia, do matury staną i egzaminowane będą z historji swego tatusia, to spalą mi dziewczyny na maturze. Karjerę dziewczynom zepsują, patentu za nic w świecie nie dadzą, bo dziewczyny — powiedzą — hodowane były fałszem. Jakżeż, bo przecież pisano — moi państwo — jasno przecież napisano w dokumentach, że tatuś panienek był nicponiem! Dokument drugi głosi, że się wszystkim państwom sprzedawał, natomiast wielkie zwycięstwo i chwałę, róże i ciernie Polski, cierpienia i wiktorje odnosił suwerenny sejm, Sikorski i Szeptycki! Dlatego też ja was ostrzegam, bo jeśli tak przesadne historje o moich dziewczynach opowiadam, to jednak sądzę, że ten pantofelek *cendrillona*, który ongiś nosiłem, — do mego zawsze się stosuje: Co się stało, nie odstanie, nie pomoże nawet Bóg!

Lecz strzeżcie się, leguny, i piszcie swoje dokumenty!

XXII.

LIST DO REDAKTORA „KURJERA PORANNEGO" W SPRAWIE USTAWY O NAJWYŻSZYCH WŁADZACH WOJSKOWYCH

(12 sierpnia 1925).

Szanowny Panie Redaktorze!

Podczas ostatniego zjazdu legjonowego niejeden dziesiątek osób zwracał się do mnie z zapytaniem, czy istotnie nie miałem żadnych pertraktacyj z panem Sikorskim, obecnym ministrem spraw wojskowych, w sprawie ustawy o najwyższych władzach wojskowych. Stwierdzano przy tem, że przecie, jak ze strony pana Sikorskiego im wiadomo, poprawki wniesione do pierwotnego projektu są za moją zgodą i umową ze mną. Spotkałem się już z tem w rozmowach z kilku wyższymi oficerami.

Zawsze byłem zdziwiony tym faktem, gdyż raz po raz w sposób stanowczy ogłaszałem swój pogląd na tę sprawę, wręcz sprzeczny ustawie, omawianej w sejmie. Wyraziłem w odpowiedzi zdumienie, że logika mniej przemawia do interpelantów, niż pospolite kłamstwa, plotki i obmowa. Dodawałem, że widocznie potrzebne są silne bardzo argumenty i określenia, aby poprzez sieć kłamstwa i reklamy przedrzeć się w Polsce ze słowem spokojnej prawdy i logiki.

Dlatego też dla wyjaśnienia tej sprawy — jak widzę i nie wiem dlaczego, tak żywo obchodzącej wielu czynnych i byłych wojskowych — proszę o umieszczenie jedynej bezpośredniej korespondencji, którą wymieniłem w tej sprawie z panem

Sikorskim jeszcze w lutym zeszłego roku. Jest nią list następujący [1]).

Dziwny ten system kłamstwa i niegrzeczności, którego tak często w tem państwie jestem objektem, wprowadza — wyznaję — mnie nieraz w zakłopotanie, gdyż jest to już natrętną muchą z chlewa, ociężale latającą koło głowy. Niedalej, jak kilka dni temu, z gazet dowiedziałem się, że brać będę udział w manewrach tegorocznych. Ogłoszonem to zostało bez żadnego z mej strony upoważnienia, widocznie dla jakiejś chwilowej dla kogoś korzyści.

Pozwolę sobie na zakończenie przytoczyć moją rozmowę, którą miałem ongiś podczas mego urzędowania, jako Naczelnika Państwa. Jeden z bardzo eleganckich dyplomatów, reprezentujący jedno z wielkich mocarstw, przy rozmowie o sytuacji politycznej prosił mię, bym nie brał zanadto do serca dosyć obrażającej Polskę mowy publicznej, wypowiedzianej przez premjera rządu, który ów dyplomata reprezentował. Na usprawiedliwienie dodał, że, niestety, w Polsce wobec względnie świeżej i samodzielnie prowadzonej pracy państwowej tyle się rozsiewa fałszywych i nieprawdziwych wieści, tak śmiesznie a ubliżająco przekręca się każde słowo wypowiedziane, tak niezwykle śmiało i dziecinnie rozporządza się w druku bez upoważnienia imionami, nazwiskami i sekretami państwowemi, że uwzględnić trzeba ludzi, którzy, aby być zrozumianymi, dochodzą do najprostszych, nieużywanych gdzieindziej form mówienia. Dodał złośliwie, że

[1]) List ten umieszczony jest w tomie VI *Pism—Mów—Rozkazów* — na str. 321 — 325.

moja własna osoba w tem państwie jest dowodem prawdy jego słów w stosunku do Polski. Wydaje mi się często, że od niejakiego czasu mógłby ów dyplomata powtórzyć jeszcze raz swoje słowa.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy należnego szacunku, z którym pozostaję, oraz słowa wdzięczności za umieszczenie mego listu w szanownem piśmie.

J. Piłsudski.

Sulejówek, 12 sierpnia 1925.

XXIII.

LIST Z POWODU KOMUNIKATU SZEFA SZTABU GENERALNEGO, STANISŁAWA HALLERA

(1 września 1925).

Szanowny Panie Redaktorze!

Usłużny P. A. T. niedawno rozesłał do wszystkich pism apel pana Stanisława Hallera, obecnego szefa Sztabu Generalnego w Polsce, apel publiczny, tyczący się wyraźnie mojej, Józefa Piłsudskiego, osoby. Proszę więc Pana Redaktora o umieszczenie mojej równie publicznej na oświadczenie Polskiej Ajencji Telegraficznej odpowiedzi.

Pan Stanisław Haller przysłał do mnie pismo prywatne i rozesłał obwieszczenie publiczne za pomocą Polskiej Ajencji Telegraficznej. Te dwa akty różnią się pomiędzy sobą zasadniczo. Gdy pierwsze — prywatne — nie ma żadnej wzmianki o honorze, w drugiem — publicznem — pan Stanisław Haller, mój ongiś szef sztabu, staje w obronie „honoru żołnierskiego“ przeciw swemu Naczelnemu Wodzowi. Ta różnica jest charakterystyczna i wydaje mi się dostatecznie oświetloną przeze mnie w poprzednim moim liście, ogłoszonym w Pańskiem piśmie, gdy mówię o zwyczajach naszego państwa w stosunku do byłego Naczelnika Państwa i byłego zwycięskiego Naczelnego Wodza naszej armji.

W odczycie moim w sali miejskiej stołecznego miasta Warszawy na zjeździe legjonistów wypowiedziałem ostrzeżenie pod adresem przyszłych historyków, by byli ostrożnymi w stosunku do archiwów wojny i do archiwów państwowych z okre-

sów, gdy Naczelnikiem Państwa był Józef Piłsudski, gdyż znajdą w nich dokumenty fałszywe i nie znajdą wielu prawdziwych, które, jak sądzę, znalazły sobie miejsce albo w prywatnych piecach, albo w prywatnych zbiorach dokumentów. Nie cofam żadnego z tych słów, gdyż jestem głęboko o tem przeświadczony. Nie chcąc tu rozwlekać tej sprawy, przytoczę kilka faktów w stosunku do Stanisława Hallera, który broni „honoru żołnierskiego" przeciw swemu Naczelnemu Wodzowi. Nie mogę całej tej niesmacznej napaści postawić inaczej, gdy tyczy się ona nie czego innego, jak archiwum wojny, gdy ja byłem Naczelnym Wodzem, a pan Stanisław Haller moim, — nie jakimś innym — szefem sztabu.

Więc po pierwsze: przy studjach dokumentów dla swojej książki pod tytułem: *Rok 1920* natrafiłem na dokument, podpisany przez pana Stanisława Hallera, który odrazu uznałem za fałszywy. Mianowicie — po porażce, poniesionej przez Szeptyckiego nad Autą i Berezyną, powstała kwestja obrony Wilna, co animowało w owe czasy wszystkich. Analizę sytuacji wojennej i błędów Szeptyckiego podałem w swojej książce. Lecz przy studjach dokumentów znalazłem, że ówczesny mój szef sztabu, Stanisław Haller, wysłał rozkaz do Szeptyckiego, w którym, powołując się na rozmowę z Naczelnym Wodzem, zatem ze mną, negliżuje obronę Wilna, dając przytem do poznania, że Wilno może być oddane. Nie wiem, czy ten rozkaz był pisany z datą istotną, czy sfabrykowany był potem dla zwalenia win i błędów Szeptyckiego i Boruszczaka na mnie, i nie chcę tego badać. W każdym razie dokument ten jest fałszywy historycznie, gdyż rozmowy takiej ze mną szef mego sztabu

nie prowadził i żadnego prawa honorowego nie miał powoływać się na mnie w tej sprawie. Dodam, że natomiast niema w archiwum depeszy mojej, wysłanej wprost do Boruszczaka, dowodzącego w Wilnie, aby bez względu na stan jego sił bronił murów Wilna. Na depeszę tę powoływałem się na posiedzeniu ówczesnej Rady Obrony Państwa i bardzo ciekawbym był, jak wygląda protokół posiedzenia tej instytucji.

Po drugie: nie znalazłem, pomimo stałych moich poszukiwań w archiwum wojny depeszy mojej własnej, przesłanej z Siedlec do Warszawy dnia 20 sierpnia. Depesza trzymana była w tonie bardzo ostrym i skierowana była przeciw rozkazowi, wydanemu przez Józefa Hallera, dowódcę tak zwanego, a nazwanego nie przeze mnie „frontu północnego", który nakazał wbrew rozkazowi memu z 18 sierpnia koncentrację 1-szej armji ku zachodowi, zamiast nakazanego kierunku północnowschodniego. Piszę o tej depeszy na stronicy 193 mojej książki pod tytułem *Rok 1920*. O książce tej wspomina pan Stanisław Haller, ale wątpię, by przedtem, nim dotknął mego honoru żołnierskiego, zajął się wyszukaniem tej właśnie depeszy. Dodam, że depesza ta powinnaby się znajdować w archiwum wojny w dwóch egzemplarzach. Jeden z nich przez to, że odbiorcą jej był ówczesny szef mego sztabu Rozwadowski, drugi zaś egzemplarz był oddany przeze mnie lojalnie do archiwum wojny razem z innemi papierami, gdym wyszedł z Belwederu. Wobec tego, że dopomagał mi w pracy nad książką *Rok 1920* obecny generał Juljan Stachiewicz, ten zaś był w owym czasie szefem biura historycznego, przetrząsnął on wszystkie możliwe i dostępne dla niego zbiory dokumentów,

lecz ani śladu tej depeszy nie znalazł. Prawdopodobnie więc niewygodna dla kogoś z piszących oficjalną historję wojny depesza Naczelnego Wodza znalazła odpowiednie dla niej miejsce w jakimś prywatnym piecu, lub upiększa prywatny zbiór dokumentów, stwierdzając wartość oficjalnych prawd o archiwum wojny.

Nie będę przedłużał mojej odpowiedzi na oświadczenie o moim honorze żołnierskim usłużnego P. A. T. innemi, równie prawdziwemi faktami o dokumentach historycznych Polski nowoczesnej, jak, naprzykład, historją depeszy Naczelnego Wodza do generała Śmigłego, nakazującej mu wycofanie się z Kijowa drogą na Żytomierz, a sfałszowanej w niewiadomy mi sposób tak, że generał wycofał się w nieużytecznym dla wojny kierunku. Zakończę jedynie przypomnieniem panu Stanisławowi Hallerowi znanego przysłowia łacińskiego: O, si tacuisses philosophus mansisses!

Wobec wielkich wątpliwości, jakie posiadam co do równej usłużności Polskiej Ajencji Telegraficznej w stosunku do mnie w porównaniu z panem Stanisławem Hallerem, śpieszę wyrazić wdzięczność Panu Redaktorowi za umieszczenie mego listu.

J Piłsudski.

Druskieniki, 1 września 1925 roku.

XXIV.

NIECO O BIURZE HISTORYCZNEM

(październik—listopad 1925).

I.

Istnieje taka instytucja, która zowie się Biurem Historycznem Sztabu Generalnego w Polsce. Mieści się ona na placu Saskim. Nikt albo przynajmniej bardzo niewiele osób wie o istnieniu tej instytucji, nikt albo niewielka tylko grupka ludzi wie, co ona czyni lub co zamierza czynić. Jednem słowem, ciche, skromne, w ukryciu pracujące biuro, najmniej chyba głośne biuro ze wszystkich biur w Polsce. Nie zajmowałbym się i ja tem biurem w obecnej dobie, gdy złoty chwieje się, a ze złotym razem chwieje się i wielu ludzi w Polsce, gdyby to biuro nie zechciało się zajmować mną, to jest Józefem Piłsudskim. Trochę głośniej o biurze może mówić zaczęto, gdym na zjeździe legjonistów w swoim odczycie postawił tezę, że historycy powinni być ostrożni przy dotykaniu dokumentów historycznych doby obecnej, gdyż te są fałszowane lub niszczone. Słyszałem nawet, że to biuro w jego pracy ma zastąpić z tego powodu nowa instytucja, mianowicie „Komisja Historyczna", która, choć ma także zajmować się moją, to jest Józefa Piłsudskiego osobą, ma przytem unikać zetknięcia ze mną, a wyjaśnień ma jej udzielać nie kto inny, jak szef owego Biura Historycznego. Dlatego też zdecydowałem i ja zająć się tem Biurem.

Mam przed sobą właśnie pracę historyczną tego Biura. Mianowicie — *Bellona*, miesięcznik woj-

skowy, wydawany przez Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy, wydał, jako tom XIX, zeszyt 2, w sierpniu tego roku tom pod tytułem *Bitwa Warszawska 1920 roku.* Redakcja tego miesięcznika była tak grzeczna, że wysłała mi ten tom do Druskienik z dodatkiem, drukowanym na książce, głoszącym, że jest to „Egzemplarz Naczelnego Wodza". *Bitwa Warszawska,* gdy ją się przejrzy, jest właściwie zbiorem studjów i artykułów bardzo różnej wartości, bez jednolitego opracowania i jednolitego kierunku. Są tam rzeczy dobre, bardzo sumienne, i rzeczy, odwrotnie — złe, nawet bardzo złe. Nie chcę się zatrzymywać nad całością tej pracy, gdyż wygląda tak, że tytuł nie odpowiada treści i że zatem oczekiwać należy, że wydany w sierpniu tom jest chyba początkiem dla dalszej jakiejś, nieznanej jeszcze pracy. Zatrzymać jednak chcę się nad tem, co mnie dotknęło i co, zdaniem mojem, w sprzeczności jaskrawej stoi z pojęciem o historji i jej zadaniach.

Każdego ze studjujących historję interesują zawsze źródła, na których oparta jest ta czy inna książka czy studjum historyczne. Jest to zrozumiałe: są źródła znane i poglądy historyków na daną kwestję czy okres historyczny już utarte, i wtedy szuka się jedynie, czy i jak daleko odbiega pogląd piszącego od utartego, znanego już poglądu. Lecz gdy się spostrzeże, że badacz oparł swój pogląd na nowych, nieznanych dotąd źródłach, interes czytającego zawsze wzrasta, gdyż historja bez źródeł dla niej, sumiennie i krytycznie zbadanych i z innemi źródłami zestawionych, jest poprostu bajką, ba, często próbą pisania historji ad usum delphini. Co do mnie, znając zwyczaje historyków, przebiegam zwykle, nim zacznę czytać, notatki

u dołu stronic, gdzie piszący notuje źródła, na które się powołuje. Często liczność tych notatek jest tak wielką, że podejrzewałem nieraz piszących, że się chwalą publicznie swoją erudycją i oczytaniem w źródłach: dokumentach, listach czy dziełach innych historyków. Tak bowiem wielkim jest mus historyka, szanującego siebie, by go nie podejrzewano o fantazjowanie lub przypochlebianie faworytom, wybranym przez siebie. Tak też postąpiłem, gdym z ciekawością, ze względu na tytuł, otworzył książkę o *Bitwie Warszawskiej* z nadpisem „Egzemplarz Naczelnego Wodza".

Przeglądałem więc cytaty, zaczynając, naturalnie, od początku. Tom zaczyna swym utworem czy artykułem pan Kukiel, generał brygady i wychowaniec uniwersytetu, wszechnicy Jana Kazimierza. Artykuł ten historyczny ma tytuł *Pierwsza taktyczna operacji warszawskiej*. Tytuł trochę dziwaczny i pretensjonalny, przeczący tytułowi książki *Bitwa Warszawska*. Niech tam! Przeglądam więc cytaty. Źródła są i nowe, wcale mi nieznane przy dotychczasowych mych pracach nad tym samym przedmiotem. Przypomniało mi to, coprawda, list mój otwarty do szefa Sztabu Generalnego w Polsce o prywatnych dokumento-zbiorach, zamkniętych dla Naczelnego Wodza, lecz widocznie otwartych dla szefa Biura Historycznego i wychowanka wszechnicy Jana Kazimierza. Lecz trudno!.. Natomiast z pewną autorską dumą znalazłem u dołu drobnym drukiem — do czego śpieszę wyznać, nie mam pretensji — i moje nazwisko. Trafiłem do historyków! Wyraźnie stoi napisane: *Rok 1920 — Józef Piłsudski*. Przyjemnem mi to było i sądzę, że postąpiłem, jak może najczęściej postępują początkujący pisarze, zacząłem spraw-

dzać cytaty, chociażby dla przyjemności odczytania raz jeszcze ustępów ze swego dzieła.

Mój Ty, Boże! Zdumiałem! Przejrzałem i porównywałem kilka razy, nie chcąc oczom wierzyć. Cytaty w stosunku do pracy Naczelnego Wodza z jego książki, podpisanej imieniem i nazwiskiem — nie pseudonimem — w „utworze" pana Kukiela, generała brygady i szefa Biura Historycznego w Sztabie Generalnym w Polsce, a zarazem wychowanka wszechnicy Jana Kazimierza, uczonego w licznych seminarjach historycznych i bodaj mającego z tego tytułu prawo do dodania przed swojemi innemi tytułami magicznych specjalnie w wojsku liter „Dr." — nie są wcale historyczne. Cytaty te przynajmniej w „Egzemplarzu Naczelnego Wodza" z książką tego Naczelnego Wodza nic a nic wspólnego nie mają. Nieprawdaż, dziwne odkrycie?! Dziwna historyczność Historycznego Biura i historycznego tegoż biura szefa. A jednak jest to prawda najzupełniej oczywista. Zacznę od najśmieszniejszej, lecz zato najbardziej pieprznej i pikantnej.

Rozdział drugi artykułu wychowanka wszechnicy Jana Kazimierza ma podtytuł — *Ocena położenia. Decyzja.* U dołu zaś wymienione jest pomiędzy innemi źródłami — „Piłsudski l. c., str. 164 i nast." Istotnie, gdym otworzył swą książkę *Rok 1920,* znalazłem akurat na tej stronie słowa: „Przedewszystkiem sprostować chcę dziwaczne twierdzenie pana Tuchaczewskiego, jakoby z tą datą związana była jakaś rada wojenna, gdyż wszystkie zasadnicze decyzje w ciągu całej wojny pobierałem sam, nie zwołując żadnej rady". Poza tem na tej samej stronicy słowo „decyzja" użyte jest trzy razy w najrozmaitszych odmia-

nach i raz jeden użyte jest jako synonim słowo: „rozstrzygnięcie". Z tego punktu widzenia, bardzo zresztą formalnego, cytata wychowanka wszechnicy Jana Kazimierza jest zupełnie słuszna i nic jej zarzucić nie można. Zgodna nawet jest z drugą częścią podtytułu szefa Biura Historycznego Sztabu Generalnego w Polsce — *Decyzja*. Lecz poza tem, jak już napisałem, nie znalazłem ani w treści, ani w szczegółach, z wyjątkiem paru, które dalej wiernie zanotuję, nic wspólnego w artykule pana Kukiela z książką, cytowaną przez niego a napisaną przeze mnie, to znaczy ówczesnego Naczelnego Wodza.

Zacytowałem samego siebie, twierdząc wbrew Tuchaczewskiemu, że żadnej narady ani rady nie zwoływałem, na to pan Kukiel stwierdza odwrotnie, że „narady nie były protokółowane", tak nie były protokółowane, że „nie dochowały się też żadne szkice i bruljony z czasów przed 6 sierpnia". Narady więc były i wobec tego, że wychowanek uniwersytetu Jana Kazimierza stale w opisie tych narad miesza Naczelnego Wodza do tych narad, „uzgadniając" go stale nie z kim innym, jak z generałem Rozwadowskim, szefem Sztabu Naczelnego Wodza, wie zatem lepiej, niż ja, co ówczesny Naczelny Wódz czynił i robił. Jest jednak jeden szczegół w tem uzgadnianiu, jasno wypisany na stronicy 126 w tomiku *Bellony*. Szczegół ciekawy i całkiem mnie, Naczelnemu Wodzowi, nieznany, znany jednak dobrze widocznie szefowi Biura Historycznego Sztabu Generalnego w Polsce, który to szczegół pomimo stałego uzgadniania „w decyzji" mnie z moim szefem sztabu świadczy o głębokiej różnicy poglądów. Mianowicie, gdy Naczelny Wódz, co w ogólnych zarysach zgadza się z mo-

ją książką *Rok 1920*, upierał się przy prowadzeniu kontrataku od południa, szef Sztabu (niech w nawiasach napiszę Generalnego) „powracał raz po razu do myśli dwustronnego oskrzydlenia przeciwnika", „doprowadzając do manewru według wzoru Cannae". Brawo! Uczeń Schlieffena! Strzeżcie się, bolszewicy z Tuchaczewskim! Hannibal ante portas!! Hannibal i wielki hrabia Schlieffen niemiecki razem wzięci!

Wyznaję otwarcie, że gdym to czytał, uśmiałem się tak szczerze i tak serdecznie, jak dawno się nie śmiałem. Ileż tu bowiem bezwiednego humoru! W zasadzkę wciągnięci bolszewicy, jak wilki, nie, śmieszniej jeszcze—jak kaczki, czy kuropatwy, od Berezyny: sławnej Auty, aż pod Warszawę, aby „doprowadzić do manewru według wzoru Cannae". Drżyjcie! Hannibal ante portas! Mam nadzieję jednak, że nawet pan Kukiel, wychowanek historyczny wszechnicy Jana Kazimierza, nie zechce mi zarzucać, że ja, Naczelny Wódz, o tem wiedziałem. Jeśli bowiem „narady nie były protokółowane", jak pisze ten szef Biura Historycznego, i nawet „nie dochowały się też żadne szkice i bruljony z czasów przed 6 sierpnia", to gdy takowe nagle znajdą się w prywatnych dokumento-zbiorach, to może już nie będą historyczne.

II.

Pomimo całej śmieszności Hannibalskich czy Schlieffenowskich prac Kukiela czy mego szefa Sztabu (w nawiasie dodam — najgeneralniejszego, bo... w Polsce) wychowanek historyczny wszechnicy Jana Kazimierza, cytując książkę swego Naczelnego Wodza i posyłając do niego swój utwór hi-

storyczny z nadpisem „Egzemplarz Naczelnego Wodza", każe mu pracować dla wydobycia decyzji przez „ocenę położenia" nie inaczej, tylko tak, jak chce Hannibal czy Schlieffen. Gdy więc „takie w przybliżeniu myśli mogły być rzucone w toku n a r a d na placu Saskim" (cytuję szefa Biura Historycznego, stronica 128), „w nocy z 5 na 6 sierpnia Wódz Naczelny, pracując nad decyzją, ogarniał myślą sytuację własną i przeciwnika" (l. c. stronica 128). Zaczął więc myśleć Wódz Naczelny. Od czegoż zaczął? A no: „Na południu nieprzyjaciel pobity, ale nie zniszczony, wkrótce wznowić może działania zaczepne w większym stylu. Na północy bitwa trwa, — prowadzona z najwyższą energją i wolą zwycięstwa. Nieprzyjaciel jest tu niewątpliwie w pewnym stopniu związany i pod wrażeniem zaciętości oporu i przeciwnatarć" (l. c. stronica 128). Tak zaczął myśleć Naczelny Wódz u szefa Biura Historycznego w Sztabie Generalnym Polski, tak zaczął myśleć Naczelny Wódz historycznie w historycznym utworze wychowanka historycznego wszechnicy Jana Kazimierza. Więc pytać się godzi, co za skutek z tego założenia, które wprost twierdzi, że na południu jest gorzej, niż na północy? Chyba wprost ten, że trzeba, by północ pomagała południowi, by choć część wojska ze zwycięskiego prawie skrzydła północnego wyciągnąć, by zapobiec grożącym „działaniom zaczepnym nieprzyjaciela w większym stylu". „Większy styl" północy nie grozi, gdyż nieprzyjaciel jest tam nietylko związany, lecz nawet pod wrażeniem zaciętości oporu i przeciwnatarć. Nadzwyczajne! Potem bowiem ku wielkiemu przerażeniu Naczelny Wódz formalnie i zgodnie z istotną historją — zdecydował wyciągnąć właśnie z południa pomoc dla północy.

Biedny Naczelny Wódz, jakiż on głupi!! Nie słuchał rad Hannibala i Schlieffena, wyrzekł się „manewru według wzoru Cannae". Biedny! nie miał przy sobie generała brygady Kukiela, szefa obecnego Biura Historycznego i wychowanka wszechnicy od Jana Kazimierza i Marji Kazimiery, popełnił głupstwa bez dwustronnego oskrzydlenia „według wzoru Cannae". Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie północ, gdzie południe — nie wiedział; nie wiedział, gdzie lepiej, gdzie gorzej. Biedny, biedny Naczelny Wódz, który, gdy zaczął myśleć, popełnił odrazu głupstwo, gdyż sam wyraźnie pisał w swej książce, cytowanej zresztą przez historyka od historycznych studjów, że południe było silne moralnie, północ znacznie pod tym względem słabsza, że na południu było lepiej, na północy znacznie, ale to znacznie gorzej, że zaczepne działania i to nie w większym, lecz w największym stylu groziły właśnie na północy, że z tego powodu znegliżował „style" znacznie mniej groźne na południu. Jednem słowem, Naczelny Wódz zupełnie się skompromitował, gdy tylko zaczął myśleć na stronicy 128 tomu sierpniowego miesięcznika wojskowego *Bellona*. Ach, jakiż on kiep, ten Naczelny Wódz w sierpniowym tomie *Bellony!!*

Nie mogłem się wstrzymać od próby utrzymania — zgodnie zresztą z moją często głoszoną zasadą — powagi Naczelnego Wodza. Przeczytałem więc po tej kompromitacji Naczelnego Wodza na początku stronicy 128 historycznego tomu sierpniowego *Bellony* i całą 128. Lecz nie „następne", ale wyraźnie 129 i całą 130. Trochę odetchnąłem. Zaraz bowiem na tejże stronicy 128 coś się zmieniło. Mianowicie — w wierszu 13 od dołu okazuje się, że „własne siły zaangażowane prawie, reszty silnie

zużyte bojowo i stopniałe liczebnie"; w 11 wierszu od dołu, na tejże 128 stronicy „lewe skrzydło tej (4-ej) armji nie wytrzymuje". Niedosyć: w 10 wierszu od dołu, na tejże 128 stronicy, „armja 1-sza rozerwana na dwie części", w 9 wierszu już jedna z tych części jest „stłoczona przez siły przeważające w widły Bugu i Narwi". Ratuje jeszcze trochę sytuację fakt, że w wierszu 7 od dołu „grupa Roji jeszcze stosunkowo wysunięta naprzód", lecz biedna grupa już w 6 wierszu jest „zagrożona odcięciem i osaczeniem". Nic dziwnego, że kalkulacja na samym dole stronicy 128, malującej myślenie o „ocenie sytuacji" u Naczelnego Wodza, „musiała wypaść niekorzystnie dla strony naszej", bo „struna, naprężona do niemożliwości, może pęknąć z godziny na godzinę".

Psiakrew!!! Zepsuło się coś na południu, gdzie nieprzyjaciel — w 16 i 17 wierszu od góry „oceny sytuacji" Naczelnego Wodza na tejże stronicy 128 sierpniowego zeszytu *Bellony*, — groził „wznowić zaczepne działania w większym stylu". Zaczął pewnie ten „większy styl" wcale ładnie, gdy na północy — na tejże stronicy szefa Biura Historycznego, jednak w wierszu 18 wychowanka uniwersytetu i wszechnicy Marji Kazimiery i Jana Kazimierza — nieprzyjaciel jest tu niewątpliwie jednak w pewnym tylko stopniu związany, ale jest pod wrażeniem zaciętości oporu i, oho! — „przeciwnataré"!!! [1]).

[1]) Przyznaję się tu do fałszywej cytaty z szefa i generała brygady Biura Historycznego. Mianowicie, słowa: „jednak", „ale" i „oho" — (wraz z myślnikami i wykrzyknikami), są mojemi, nie wychowanka od uniwersytetu. Nie mogłem wytrzymać od pikantności i pieprzności „oceny sytuacji Naczelnego Wodza".

Biorę jednak w ręce książkę Naczelnego Wodza, to jest moją, i rzucam okiem na różne stronice. Ależ na Boga! Toż to na północy biła się „rozerwana na dwie części“ 1-sza armja, na północy też była 4-ta armja z grupą poleską i Brześciem. armja, której „lewe skrzydło nie wytrzymuje“, na północy też wysunięta grupa Roji, której grozi „odcięcie i osaczenie“. Na północy, gdzie „stylu“ nieprzyjacielskiego żadnego niema, gdzie tylko „jego energja zaczepna nie jest wyczerpana“. Na północy wreszcie jest stolica Warszawa, z której pod wrażeniem „większego stylu“ działań zaczepnych nieprzyjaciela wyjeżdża delegacja, jadąc do głównej kwatery nieprzyjacielskiej żebrać — jak piszę w swojej książce — o pokój. Nawiasem mówiąc, o tem wszystkiem u pana szefa Biura Historycznego Sztabu Generalnego w Polsce niema ani słowa, ani mru-mru.

Więc Wódz Naczelny, myślący o decyzji i ocenie sytuacji — na stronicy 128 u wychowanka uniwersytetu i wszechnicy Marji Kazimiery i Jana Kazimierza, — tańczy chyba historycznego kankana. Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie północ, gdzie południe, gdzie „styl“ przeciwnatarć i działań zaczepnych, gdzie portas, a gdzie Hannibal, gdzie Cannae, a gdzie hrabia Schlieffen — sam już nie wiem. Ależ, panie Kukiel! Marja Kazimiera szlocha, a Jan Kazimierz krzyżem leży w katedrze lwowskiej, błagając o przebaczenie dla swego uniwersytetu „sub auspiciis imperatoris“ *mit der* „eximia cum laude“.

III.

Dlaczego pan Kukiel cytował mnie „Piłsudski l. c. 164 str. i nast.“? Męczyło mnie to pyta-

nie, gdym odczytywał kilka razy stronicę 128 w sierpniowym tomie *Bellony*. Nie mogłem się pogodzić z myślą, żem mógł poplątać na jednej stronicy w swojej książce północ z południem, gdym tyle stronic przed tą 164 stronicą napisał o rozbiciu naszych wojsk właśnie na północy, gdym nawet podziwiał energję, rozwiniętą przez nieprzyjaciela w „działaniu zaczepnem w większym stylu" nie gdzieindziej, jak na północy. Nie mogę nie myśleć, że taki błąd w myśleniu popełniają ludzie tylko pod wpływem afektu, namiętności lub w potrzebie przypodobania się. Siebie o ten afekt oskarżyć nie mogę, chyba pana generała brygady z Biura Historycznego przy Sztabie Generalnym w Polsce, autora utworu w sierpniowym tomie *Bellony*.

Gdym stronicę 128 przebrnął, wziąłem się z pewną niechęcią do stronic 129 i 130. Szukałem siebie. Doznałem doprawdy trwogi i z niepokojem obejrzałem się dookoła. Wydało mi się bowiem, że się rozdwoiłem. Przypomniałem z trwogą siebie samego w owych czasach sierpniowych, gdym samotny chodził po pokoju w Belwederze i męczył się tak swoją bezsilnością, że—jak piszę na stronicy 170 (ta należy do cytowanych jako „nast.") mojej książki — „ten nonsens założenia męczył mnie tak niezmiernie, że doprawdy niekiedy wydawało się, że ze wszystkich kątów coś chichocze i kpi ze mnie, gdy nonsens i wyraźną głupotę biorę za podstawę mojej rachuby czy mojej decyzji". Męczył zaś mnie tak silnie mus liczenia się z trwogą stolicy, skąd wyjeżdżali posłowie, mający żebrać o pokój, wyjeżdżali zaś do głównej kwatery nieprzyjacielskiej, jak zwykle bywa przy przegranej wojnie. Nonsens zaś polegał na tem, żem z tej trwogi bał się z odcinka pasywnego, przeznaczonego na

obronę, wyciągnąć wojsko dla kontrataku i manewru, gdyż sił do tego manewru brakowało. Coprawda, była to próba oskrzydlenia jednostronnego, manewru nie „według wzoru Cannae". Nie byłem Hannibalem!!

Zasadniczego tego motywu trwogi o państwo i jego stolicę nie ma ten rozdwojony mój osobnik, którego poszukiwałem dokoła siebie, gdym odczytywał na stronicach 129 i 130, jak ten inny Naczelny Wódz, co się Historycznemu Biuru tak podoba, myśli o sytuacji. Jest to stanowczo inny człowiek, bardzo mało mi znany, bardzo dziwnie odnoszący się do obowiązków Naczelnego Wodza, który obok tego był Naczelnikiem Państwa. Jak innym jest ten oddzielny osobnik, można sądzić z drobnego szczegółu. Mianowicie, na stronicy 130 *Bellony* w wierszu 15 od dołu ten inny osobnik mówi o sobie: „Wódz Naczelny ocenia zrazu to, co może wziąć bez nadmiernego ryzyka z południa, na jedną brygadę piechoty, zapewne myśląc o tej 6-tej dywizji piechoty, której połowa walczy już na północy, oraz garstkę jakąś kawalerji". No, proszę! Nawet ten mądry szczegół jest znany. Dziwnym zbiegiem okoliczności szczegół ten zupełnie niezgodny jest z tym istotnym Naczelnym Wodzem, który był Naczelnikiem Państwa i nazywał się Józefem Piłsudskim. Ten w swojej książce pod tytułem *Rok 1920* na stronicy 172 (więc należącej do kategorji „nast."), zaczynając od 3 wiersza zgóry, pisze wyraźnie: „Wszystkie więc kombinacje, które w tej właśnie dziedzinie w nocy z 5 na 6 sierpnia robiłem, dawały mi tylko możność wyciągnięcia z południa — jeśli nie chciałem zanadto ryzykować — jakichś dwóch pułków piechoty i może jakiej brygady kawalerji". Gdy zaś chodzi o nume-

ry dywizyj, to nietylko nie myślałem o 6-tej dywizji, lecz myśl swoją zaznaczyłem bardzo wyraźnie na stronicy 173, zaczynając od wiersza 13 z dołu, słowami: „natomiast nakazałem jako konieczność wyciągnięcie z frontu południowego dwóch dywizyj, 1-ej i 3-ej, dla wzmocnienia kontrataku atakującej grupy". I dla każdego, znającego mój stosunek do poszczególnych części wojska, jasnem jest, że żądałem, abym miał dla kontrataku te jednostki, którym najbardziej ufałem.

Doprawdy, trwoga o to, że jestem rozdwojony, stale wzrastała, gdym czytał 129 i 130 stronice *Bellony* i gdym się zagłębiał w utwór historycznego szefa Historycznego Biura. Zdołałem jednak zaraz ustalić hipotezę, że to nie ja jestem rozdwojony, lecz jest nim sam pan Kukiel. Dlaczegożby nie? Dosyć sobie wyobrazić, że tak jest, że pan Kukiel rozdwoił się i że w pewnych momentach życia jest poprostu panem Kukielem, a w innych nagle wyrasta w swych oczach i staje się Józefem Piłsudskim i Naczelnym Wodzem, a także i Naczelnikiem Państwa, i już sprawa jest wyjaśniona. Musiał się biedak mocno napocić swoją niemądrą głową, by tak zbzikować megalomanicznie.

Jedno mnie męczyło i dręczy nieco dotychczas: poco właściwie pan Kukiel cytuje, mówiąc przytem wyraźnie, że cytuje Piłsudskiego? Nie pasuje to do postawionej hipotezy. A jednak próbuję i to wyjaśnić. Pana Kukiela, gdy jeszcze nie był megalomanem, uczono i to uczono ciągle w seminarjach historycznych w uniwersytecie cytować, cytować i cytować; opierać się na źródłach i cytować je w licznych referatach i dyskusjach. Tak usilnie wtłaczana w mózg praca pozostaje potem jako nieodbita konieczność. Jeżeli megalomanja i związa-

ne z tem rozdwojenie osobistości jest chorobą. to obserwowałem takie, naprzykład, jej objawy. Jeden badany objekt tego rodzaju wyobrażał sobie, że był Wszechmocnym, nie przeszkadzało mu to jednak zbierać po kątach okurki od papierosów i zaciągać się dymkiem z ogryzionych kawałków papieru.

Dziwaczna ta zmiana Naczelnego Wodza na Kukiela od Biura Historycznego w najgeneralniejszym Sztabie — bo w Polsce — przypomina mi ostrzeżenie, które dałem legjonistom na zjeździe tegorocznym. Mianowicie, twierdziłem wtedy — gdym jeszcze nie wiedział, co wychowanek od uniwersytetu, pan Kukiel, napisał o sierpniowych wypadkach 1920 roku w sierpniowym tomie *Bellony* — twierdziłem więc, że jeżeli legjoniści i szanujący prawdę historyczną nie wezmą się do pracy, to wkrótce dowiemy się, że Piłsudski wcale nie istniał, a że wszystko to, co niektórzy przypisują Piłsudskiemu, zrobił Sikorski. Kto wie, żartowali niegdyś legjoniści, znajdą się historycy, którzy stwierdzą, że Piłsudski był to pseudonim Sikorskiego. Nie! tak nie jest! narazie zastąpić ma Naczelnego Wodza w komisjach historycznych szef Biura Historycznego, jakiś Kukiel, a w historycznych historycznościach tegoż Biura zamiast Naczelnego Wodza ma myśleć i mówić pan Kukiel, wychowanek od uniwersytetu.

Gdy jednak na chwilę odrzucałem te śmieszne i dziwaczne hipotezy, związane z Naczelnym Wodzem i panem Kukielem, pozostawał smutny i bardzo brzydko świadczący o Polsce fakt, że Naczelny Wódz napisał książkę o swojem dowodzeniu. że szef Biura Historycznego wojska polskiego tę książkę cytował i że cytatę tę w treści najspokojniej

sfałszował. Naczelni wodzowie na całym świecie mają to do siebie, że ich szanują. Gdy zaś z imieniem któregoś z tych naczelnych wodzów związane są zwycięstwa — szanują ich w dwójnasób. Kiedy zaś zwycięstwa kończyły się zwycięską wojną, szanują ich w trójnasób. W Polsce jest inaczej. Jakiś Kukiel, wychowanek od uniwersytetu, ma przed sobą książkę, napisaną przez Naczelnego Wodza, — dobrze! Może odnosić się do niej tak czy inaczej. Ba! może uważać, że myśli Naczelnego Wodza były błędne, były głupie, nikt mu w tem przeszkodzić nie jest w stanie. Jest to jego prawo niezaprzeczone. Lecz, zrobiwszy cytatę z książki Naczelnego Wodza, treść jej zamilczeć, przerobić ją tak, że wydać się musi temuż Naczelnemu Wodzowi śmieszną i to o tyle śmieszną, że zmuszony jest pisać tak długo o oficjalnym historyku Naczelnego Wodza, można tylko w narodzie i w Biurze Historycznem wojska, nieszanującego ani sztandarów, na których wypisane są hasła „Honor i Ojczyzna". ani krwi tych, co pod rozkazami tegoż Naczelnego Wodza za ten honor i za tę ojczyznę ją przelali. Niewątpliwie, smutny objaw! Ale wobec licznych smutnych objawów spróbujmy iść dalej w analizie.

IV.

Wszystkie hipotezy o tem, że Kukiel albo dla interesu, albo dla chorobliwego stanu udaje Naczelnego Wodza, wróciły z całą siłą, gdym na stronicy 131, na samej górze tej stronicy, już w 3 jej wierszu przeczytał: „Z tą gotową decyzją zjawił się rano 6 sierpnia Wódz Naczelny na konferencji w Belwederze, w której wzięli udział szef Sztabu

Generalnego i wiceminister". Jakto, zjawił się? I gdzie? W Belwederze? Co się stało? Poco miał się „zjawiać", gdy tam, zdaje się, mieszkał oddawna. W książce mojej na stronicy 173 (i ta należy do „nast.") powiedziano: „Gdy 6-go rano zameldował się u mnie po rozkazy generał Rozwadowski, wszedł do mego gabinetu ze szkicem, jako jeszcze jedną propozycją czy kombinacją"... Rozumiem.

Szef Biura Historycznego w najgeneralniejszym ze sztabów — bo w Polsce — generał brygady i wychowanek uniwersytetu, doktór Kukiel, zjawia się zawsze u szefa Sztabu i u wiceministra. Gdzież-by mu się meldowały te wysokie osobistości! Tego nigdy nie widział. Gdy więc dla interesu albo dla chorobliwego stanu udawać zaczął Naczelnego Wodza na stronicach oficjalnej *Bellony,* odrazu „zjawił się" na samej górze 131 stronicy na konferencji z szefem Sztabu i wiceministrem z gotowym... papierkiem. Naczelny Wódz był na stronicach *Bellony* i w „utworze" szefa od historycznej historyczności Kukielem. Gdzież się podział Naczelny Wódz we własnej osobie?

Stawiam też dla pana Kukiela hipotezę równie dobrą, jak jego utwór. Naczelny Wódz zmienił się w kaczkę belwederską. Kaczka, jak wiadomo, Hannibalskiego śrutu z pod Cannae boi się niezmiernie. Wyfrunęła więc z konferencji belwederskiej i uleciała daleko, daleko. Poniosło ją licho hen! — na błota poleskie, gdzie mężny rycerz pokrywał te błota huraganowym ogniem swoim i nieprzyjacielskim, czyniąc z nich dla nikogo, prócz kaczek, zrywających się w sitowiach, zupełnie nieprzystępną fortecę. Dlatego też zaręczyć mogę, że na zjawiającej się belwederskiej konferencji Naczelny Wódz

nie był wcale. Był tam tylko Kukiel, jako Naczelny Wódz, i inne personaże.

Próba prostowania takich historycznych utworów, jak utwór szefa Biura Historycznego, należy do prac najtrudniejszych, jakie sobie wyobrazić można. Nieledwie co słowo, a już na pewno co parę wierszy podkreślać trzeba ołówkiem, jako fałsz wierutny. Oto, na tejże stronicy 131, gdzie pan Kukiel od Biura Historycznego „zjawił się" u szefa Sztabu Generalnego i wiceministra, już w 6 wierszu tenże historyk od historyczności Biura Historycznego pisze: „Szef Sztabu Generalnego referował d w a warjanty manewru od południa: z koncentracją 4-tej armji bliżej Warszawy i koncentracją jej za Wieprzem". W mojej książce *Rok 1920* na stronicy 173 ja, istotny Wódz Naczelny, piszę: „Gdy 6-go rano zameldował się u mnie po rozkazy generał Rozwadowski, wszedł do mego gabinetu ze szkicem, jako jeszcze j e d n ą propozycją czy kombinacją".

Mógł pan historyk od wojska polskiego, cytując Naczelnego Wodza i jego książkę, powiedzieć, co chce o myślach, pamięci tegoż Naczelnego Wodza. Mógł na podstawie dokumento - zbiorów historycznej historyczności Biura Historycznego od Sztabu Generalnego w Polsce stwierdzić, że zdanie, opinja, myśl czy pamięć Naczelnego Wodza niezgodna jest z tem, co wie taki Kukiel. Lecz udawać Naczelnego Wodza, fałszywie go cytować, naiwnie a chytrze liczyć na brak sprostowania, bez końca, bezczelnie, z małpim grymasem udawać człowieka, można tylko... w Polsce.

Na chybił trafił wybieram z innych stronic podkreślone przeze mnie piękności historycznego

utworu szefa Biura Historycznego. Oto, w 11 wierszu zgóry na stronicy 129 znajdują się wiekomądre słowa Kukiela, reprezentujące myśli Naczelnego Wodza: „Same przez się te odwody Wodza Naczelnego nie będą dosyć silne, by wywalczyć zwycięstwo; uczestniczyć w bitwie musi z pełną energją całe wojsko; ale wojsko to jest bliskie wyczerpania i zużycia". Konia z rzędem temu, kto to głupstwo zrozumie, sto koni z rzędem temu, kto ten nonsens wyczyta w dziele Naczelnego Wodza, cytowanem przez historycznego szefa od historji wojska polskiego.

Oto drugi ustęp, zaopatrzony przeze mnie przy czytaniu dwoma wykrzyknikami. W 20 wierszu od dołu na tejże 129 stronicy mam nową piękność swoich — Naczelnego Wodza — rozmyślań: „Nasuwa się wniosek, że sił, niezbędnych do zwycięstwa, nie uda się zebrać n a d B u g i e m". Gdzie Rzym, gdzie Krym; gdzie Hannibal, gdzie Schlieffen; gdzie Cannae, gdzie portas; gdzie śrut, gdzie huraganowy ogień; gdzie kaczka, gdzie Belweder; gdzie Bug, gdzie Wieprz; gdzie Historyczne Biuro, gdzie uniwersytet Jana Kazimierza — a gdzie Kukiel, udający Naczelnego Wodza, tego już nikt nie zrozumie. Mogę zaręczyć, że w noc z 5 na 6 sierpnia nie mogłem myśleć — bo byłbym osłem — o zbieraniu sił do zwycięstwa nad Bugiem.

Wstyd mój, wyznaję, nie jest mały. Oficjalny historyk wojska, którem dowodziłem, którego sztandary ozdobiłem laurem zwycięstwa, tak dawno nieznanem w historji polskiej, oficjalny, powtarzam, historyk, wyznaczony do tego przez władze wojskowe, niezgrabnie, z fałszywym uśmiechem udaje Naczelnego Wodza w sposób tak bez-

czelnie głupi, w sposób tak nikczemnie mały! Dzieje się zaś to w kilku latach po zwycięstwach, odniesionych w chwili, gdy młode państwo i jego stolica drżały pod ciosami nieprzyjaciela i gdy wszędzie wymazywano już imię Polski z pomiędzy żyjących państw i narodów. Nie mogę nie powiedzieć, że niemały geszeft musi prowadzić pana Kukiela, gdy przedsięwziął swe dzieło.

Nazwałem go poprzednio doktorem historiae sub auspiciis imperatoris *mit der* maxima cum laude. Nie chcę w ten sposób ubliżać ani starej Austrji, gdzie istniał starodawny zwyczaj na uniwersytetach wyróżniania przez koronę wybitnie odznaczających się wychowanków wszechnic państwa austrjackiego, — nie chcę też dotykać naszych wszechnic polskich w tem państwie, mianowicie uniwersytetów w Krakowie i we Lwowie. Chcę dotknąć specjalnie stosunku tego państwa do Polski. Pamiętam swoje olbrzymie zdziwienie, gdym przejrzał książeczkę historji ojczystej, używaną w szkołach początkowych w Królestwie Galicji i Lodomerji wraz z Księstwem Krakowskiem, Zatorskiem i Oświęcimskiem. Znalazłem ku swemu zbudowaniu bardzo mało o historji dawnej Polski, bardzo dużo o historji dynastji Habsburskiej i wreszcie wcale niemało o dobrodziejstwach dla Polski i łaskach wielkich, na nią spływających z dobrych i serdecznych rządów imperatorów. Wydawało się, czytając, że wielkość i szczęście Polski zaczyna się od rozbioru. Ogromnie się obawiam, że pisał podręcznik ten historyk, również doktór, wychowanek któregoś z wymienionych uniwersytetów, historyk, zdumiewająco podobny do doktora Kukiela. Tak, ten Kukiel ładnie cytuje!! Zobaczmyż jeszcze jedną cytatę!

V.

Nim przystąpię do omówienia jeszcze jednej cytaty z książki Józefa Piłsudskiego, Naczelnego Wodza armji polskiej w roku 1920, cytaty, zrobionej w oficjalnym utworze szefa Historycznego Biura tejże armji polskiej, zrobię próbę analizy cytaty innej, gdzie wspomniane jest imię jednego z moich przyjaciół. Jest nim francuski generał, ówczesny szef misji wojskowej w Warszawie, generał Henrys. Cytata ta uczyniona jest na stronicy 113 oficjalnego miesięcznika *Bellony* przez tegoż Kukiela. W notatce u dołu tej stronicy Kukiel pisze dosłownie: „1) O konferencji tej 27 lipca mówi obszernie pismo generała Henrysa do wiceministra i do szefa Sztabu Generalnego 3 sierpnia 1920 roku 1753/E. M." Zaznaczam odrazu, że na tej konferencji 27 lipca nie byłem wcale i nigdy o tak ważnem zdarzeniu nie wiedziałem. Lecz co najciekawsze, przy studjach dokumentów przed napisaniem książki mojej pod tytułem *Rok 1920,* dokumentu, cytowanego przez Kukiela, w ręku nie miałem i na oczy nigdy nie widziałem. Wobec tego zaś, co mówiłem na odczycie moim w sali miejskiej stołecznego miasta Warszawy, ostrzegając historyków, by się nie opierali na dokumentach historycznych ząbkującej państwowości polskiej, gdyż dokumenty są często kradzione albo fałszowane, boję się, że ucierpieć na tej patrjotycznej pracy mogę nietylko ja osobiście, ale i każdy z moich przyjaciół.

Generał Henrys zacytowany jest przez doktora Kukiela w ten sam sposób, jak był cytowany i Naczelny Wódz generała brygady doktora Kukiela. To znaczy: bez przytoczenia ani jednego słowa z cytowanego źródła, lecz poprostu cytowany wsadze-

ny jest, jak Piłat w Credo, w dopiski u dołu stronicy dla wykazania, zdaniem mojem, erudycji historycznej doktora Kukiela i domieszania powagi i autorytetu czyjegoś do niesmacznego plagjatu. Doktór, wychowanek uniwersytetu i historyk historyczności Biura Historycznego, niestety, armji polskiej, twierdzi, że przyjaciel mój, generał Henrys, „zapisał ów plan operacyjny na podstawie zakomunikowanych mu na konferencji 27 lipca przez szefa Sztabu Generalnego, generała Rozwadowskiego, powziętych już decyzyj". (Str. 115 *Bellony*, wiersze 4, 5, 6 i 7 od góry tej znakomitej stronicy). Na czemże owa decyzja polegała?

Biorę moją książkę do ręki i szukam odpowiedniego miejsca. Doktór maxima cum laude nie cytuje mnie w tem miejscu, natomiast wplątuje mnie mimochodem do tej głupiej historji na poprzedniej stronicy (114, wiersz 12 od dołu), gdzie „Wódz Naczelny oczekuje wyniku tej operacji do końca lipca". Prawdą jest, że to oczekiwanie Wodza Naczelnego tyczy się czego innego, ów zaś „plan operacyjny", omawiany na „konferencji 27 lipca", jest całkiem czem innem, lecz w takich wypadkach styl doktora sub summis auspiciis staje się tak zaplątanym i tak oryginalnym, że Wódz Naczelny wraz z generałem Henrysem idą pod rękę z Kukielem od Biura Historycznego, generałem Rozwadowskim, ba, pułkownikiem Piskorem, generałem Romerem i tak dalej, i tak dalej. Żwawym krokiem kroczy gęsie pióro doktora cum laude po mapach, papierach, cytatach, nazwiskach i wszelkich innych potrzebnych dla celów rzeczach. Wie, że wyprostowanie plagjatu i fałszu wymaga znajomości sprawy nieprzeciętnej i pracy prostowania każdego nieledwie słowa, każdego frazesu, każdego przecin-

ka. Może liczyć, że w komisjach historycznych, ad hoc już obecnie zwoływanych, referować będzie równie żwawo myśli Naczelnego Wodza, każdego z generałów, pułkowników, ba, poruczników! Referować będzie ad majorem gloriam tych, którzy do historycznej historyczności armji polskiej go postawili.

Już wspomniałem, że na stronicy 114 i na stronicy 115 idzie o dwa plany operacyjne, tak całkiem rozbieżne, że mieszać je razem może tylko plagjat, albo... taki pan, co wojska i operacyj wojskowych nie rozumie wcale. Streszczam pierwszy plan według mojej książki, gdyż doktór, szef Biura Historycznego armji polskiej, pisząc historję tego planu, chociaż ma moją książkę pod nosem, nie chce być tak ścisłym, jak jest ścisłym dla drugiego planu wraz z konferencją 27 lipca z przyjacielem moim, generałem francuskiej służby Henrysem. Na stronicy 155 mojej książki w 15 wierszu od dołu streszczam ten plan mój w sposób następujący: „Kołem rozpędowem wojny na południu była jazda Budiennego i nie sądziłem, by mi było trudno, po usunięciu lub przynajmniej znacznem unieszkodliwieniu tej jazdy, wyciągnąć większe siły z południa, by je skoncentrować gdzieś pomiędzy Kowlem i Brześciem i wraz z grupą poleską, mało bojami zmęczoną, przejść do kontrataku w kierunku północnym". Zwracam uwagę na znaczenie dla tego planu dwóch wymienionych miejscowości, dwóch węzłów kolejowych, będących w owe czasy jeszcze w naszem posiadaniu i połączonych pomiędzy sobą doskonałą szosą. To też na następnych stronicach (156 i 157), w mojem rozumowaniu, z powodu oddania Brześcia, Kowel wspomniany jest aż trzy razy. Oto najważniejsza z tego ro-

zumowania cytata na stronicy 157 (dodam w nawiasie, że doktór sub auspiciis Kukiel cytuje potem — naturalnie, fałszywie — stronice 156 i 157). „Było to dla mnie ważne, (czy Sikorski długo utrzyma Brześć), gdyż rozmyślnie zostawiłem na Stochodzie część 3-ej armji dla osłony od wschodu całego rejonu Kowla, gdzie w tym czasie zamierzałem koncentrować siły do kontrataku, gdy uda mi się skończyć z Budiennym". Takim więc jest plan pierwszy, związany o tyle ściśle ze mną, a nie z żadną konferencją, że wyjechałem osobiście do Chełma, aby być bliżej miejsca operacji, po której dużo sobie obiecywałem.

Oto zaś jest „ów plan operacyjny", gdzie doktór maxima cum laude Kukiel zczepia mego przyjaciela, generała Henrya, wraz z konferencją 27 lipca i decyzjami, które znalazły swój wyraz w rozkazie operacyjnym Naczelnego Dowództwa (tego genus neutrum, wykastrowanego z indywidualności i odpowiedzialności dowodzenia). Oto jest ten plan nieledwie Hannibalski, czy Schlieffenowski, czy nawet niebotycznie prześcigający obu w swojej potędze. „Manewr odwrotowy będzie wyzyskany do odtworzenia odwodów frontu, skupionych w dwie masy (lubię to słowo!! — przypisek mój, Józefa Piłsudskiego): jedną w Brześciu (9-ta i 14-ta dywizje), drugą w Ostrowiu (11-ta dywizja i 7-ma brygada rezerwowa").

To jedno! Niechby sobie kto i fantazjował! Lecz co najważniejsza: „Po zwycięstwie na południu 2-ga armja i znaczna część jazdy przejdą w okolice Siedlec, jako masa manewrowa Wodza Naczelnego". Jest to wyraźnie napisane u doktora Kukiela w końcu samym 114 i na początku 115

znakomitych stron *Bellony*. Kowel więc, jako punkt wyjściowy do kontrataku ku północy, jest już opuszczony, pozostają Siedlce, będące na tyłach grup, walczących w owe dni na Bugu. Cudowna zmiana!!

Gdyby ktokolwiek policzył marsze, które nieszczęsna armja z pod Beresteczka i Brodów musiałaby przemaszerować, by dojść do Siedlec, oddalonych od Kowla o 100 zgórą kilometrów; gdyby ktokolwiek zechciał zrozumieć, że wszelki kontratak wtedy byłby połączony z dwukrotnem przekraczaniem Bugu — raz, by osiągnąć Siedlce, drugi, by atakować z pod Brześcia, — ten mógłby w przybliżeniu ocenić genjalność wysokich kombinacyj, przekraczających natchnienie zwycięzcy z pod Cannae, wielkiego Hannibala, i rozum nauczyciela armji niemieckiej, hrabiego Schlieffena, marzącego o Cannae na największą skalę. Poco jednak mieszać do tego generała Henrysa, który „nalegał na jak najrychlejsze zakończenie operacyj przeciw Budiennemu", czem jakoby ten generał zakończył „konferencję z 27 lipca".

Gdy te czasy przypominam, pamiętam, że była mowa o stworzeniu rezerw, zebranych koło Siedlec i, o ile sobie przypominam, że dla tego celu wyciągniętą została zmaltretowana silnie podczas odwrotu hrabiego Szeptyckiego 2-ga dywizja legjonowa. Natomiast uważałbym siebie poprostu za śmiesznego, gdybym choć przez chwilę myślał o zakończeniu zwycięstwa nad Budiennym takim haniebnym odwrotem aż pod Siedlce. Zwycięstwo upoważnia do znacznie śmielszych kroków i te właśnie zamierzałem, licząc (powtarzam raz jeszcze), że Brześć utrzymanym będzie tak, abym

mógł najkrótszą drogą — naturalnie, nie via Siedlce — przez Kowel nadążyć pod Brześć. Tak, jak jasno zaznaczałem we wszystkich wypadkach w swojej książce, liczyłem na to, że znajdę zebrane siły (prawie 3 dywizje) grupy poleskiej, które dotąd w bojach zaangażowane nie były poważnie i cofały się jedynie dlatego, ponieważ cofały się wszystkie wojska. Grupa poleska bowiem nie miała nigdy przeciwko sobie żadnego poważnego nieprzyjaciela.

Lecz doktór Kukiel od maximae laudes cytuje moją książkę tylko dlatego, by przyplątać mnie do swoich pomysłów lub Hannibalskich, codziennie zmieniających się planów operacyjnych. Generał brygady od historji ma widocznie inny interes, niż uczciwie stanąć do oczu swemu Naczelnemu Wodzowi, gdy chce go krytykować, co, powtarzam raz jeszcze, zawsze jest w historji dozwolone. Wobec tego pięknego historycznego wychowania historycznego szefa Historycznego Biura ogromnie obawiam się, że generał Henrys, mój przyjaciel, dzieli u pana Kukiela mój los. Cytowany jest, bo panu Kukielowi dla maximae laudes jest to wygodne. Cytuje go bowiem, lecz ani jednego słowa z treści, choćby przez grzeczność, nie przytacza.

VI.

Przechodzę teraz do zanalizowania drugiej cytaty z mojej książki. Chciałem ją sprawdzić tem bardziej ochoczo, że tliła jednak we mnie jeszcze nadzieja, iż tym razem ten generał brygady, chociaż od bardzo złej historji, zechce być grzeczniej-

szym w stosunku do Naczelnego Wodza armji polskiej, Wodza, który nietylko bitwy, lecz i całą bardzo trudną wojnę potrafił zakończyć zwycięstwem. Idzie tu o stronice w *Bellonie* 120, 121 i 122.

Odrazu zawód ciężki mnie spotkał, gdy przeczytałem cytatę. Oto dosłownie ta cytata. Na dole pan Kukiel ze mną polemizuje otwarcie. Musi mieć widocznie nadzwyczaj wielkie po temu powody, czyli poprostu wygody. „Rozmowa juzowa Rozwadowski — Kutrzeba 2 sierpnia, godzina 21. Por. u Piłsudskiego l. c. str. 156—7, gdzie daty niedokładnie zapamiętane; wiadomość o upadku Brześcia miano w Chełmie dopiero 1-go koło północy i nie zwlekano doby z decyzją". Poważne muszą być motywy, gdy pan Kukiel w tym wypadku zmienia metodę. Zamiast cytować Naczelnego Wodza tylko u dołu w drobnym druku, zastępując go Kukielem, gdzie druk jest wielki, jak on sam, — widzieliśmy to przy poprzedniej cytacie — teraz, cytując same stronice (156 i 157 mojej książki), odrazu, tymże drobnym drukiem, rzuca mię do polemiki z Rozwadowskim i Kutrzebą i to 2 sierpnia, natomiast ubliża mojej pamięci dla powiedzenia, że „nie zwlekano doby z decyzją". Wobec tego, że niema w treści, to znaczy w tem, co Kukiel pisze wielkim, jak on sam, drukiem, ani słowa o tym polemicznym zwrocie i nic, ale zupełnie nic o treści 156 i 157 stronic z mojej książki, wobec tego, że w wielkim druku Kukiel zadawala się znowu tylko swojem, wielkiego Kukiela, rozumowaniem, muszę i ja dla celów sobie postawionych pisać prawie wyłącznie o tej oryginalnej cytacie z włączoną do niej polemiką ze mną — Naczelnym Wodzem tegoż ge-

nerała brygady od fałszywych cytat i fałszowania historji.

Spróbuję przytem wykryć, o co właściwie temuż doktorowi Kukielowi idzie, gdy tak zabawnie ze mną, Naczelnym Wodzem, polemizuje.

Gdy w swojej książce szukałem odpowiedniego miejsca, gdzie są użyte słowa, z któremi w przypisku pan Kukiel polemizuje, znalazłem je odrazu na stronicy 157, w wierszu 16 zdołu, gdzie piszę: „Po upadku tej niby fortecy (mowa o Brześciu) dobę całą przetrzymałem, nie zmieniając rozkazów, pomimo, iż dowódca 3-ej armji, generał Zieliński, znajdował się w Kowlu, miejscu mojej koncentracji, z otwartą zupełnie flanką u północy". Czytelnik niechybnie przypomni, jak zapomocą cudownej metamorfozy z przeciągnięciem na pomoc generała Henrysa, mego przyjaciela, plan mój, związany z Kowlem, zmienił się na Hannibalskie Siedlce. Jest to zupełnie ściśle związane z polemiką ze mną o „dobę czekania".

Pojmuję, że sprawa cała wydać się musi bardzo zawikłana. Zawikłana nawet dla ludzi, obeznanych z wojną i jej pracami; cóż dopiero mówić o ludziach, którzy z alfabetem tej pracy nie zetknęli się i powoli tylko sylabizują, często nie rozumiejąc roboty wyższego na wojnie dowodzenia. Dla tych maluczkich przeznaczona jest praca Kukiela. Spotkałem przecież względnie niedawno jednego z moich przyjaciół, oficera rezerwy, który po pobieżnem zresztą przeczytaniu utworu Kukiela uznał, że Kukiel jest jednak trochę „adoratorem Komendanta". Dla tych to maluczkich ten historyk historyczności Biura Historycznego armji polskiej, przez Józefa Piłsudskie-

go prowadzonej tak niedawno do zwycięstwa — dla nich to żwawo maszerując gęsim piórem po mapach i planach Hannibalów od Cannae i Siedlec, czyni grymasy historyczne dla zaplątania całej sprawy roku 1920. I nie warto być może tracić słów tyle dla tego pamfletu, gdyby po pierwsze pan Kukiel nie reprezentował armji polskiej i myśli Naczelnego Wodza nawet w ad hoc zwoływanych komisjach historycznych i gdyby nie zajmowała mnie myśl — poco właściwie ta praca jest czyniona, gdzie są jej cele i zamiary i kto płaci koszta tego zgrabnego po mapach i planach spaceru tej Kukielinki.

Żwawym, tanecznym krokiem stanęła Kukielinka z gęsiem piórkiem do swych *pas*. Więc *pas à la* Hannibal! Czy śrut na kaczki, czy huraganowy ogień na te same kaczki z Polesia, to jedno. Brawo, brawo, Kukielinka! Pod paszką teczka i zdaleka jaśnieją napisy „Honor i Ojczyzna", gdzieś nieco ztyłu w kolorach narodowych wstęgi z nadpisem „Historyczna historyczność Biura Historycznego Armji Polskiej". Brawo, brawo, Kukielinka!!

Jak widzieliśmy, wszystko, co historycznym, wielkim drukiem garmontowym jest w *Bellonie*, należy do Kukielinki i teczki Naczelnego Dowództwa, istoty płci nijakiej, wykastrowanej jednak niezupełnie od Hannibalskich skłonności. Naczelny Wódz ze swemi myślami, do których się przyznał głośno w swej książce, wygnany jest do drobnego druku cytatowego. Nic z niego w garmoncie i powiewnych podskokach Kukielinki niema. Ależ doskonale! Odrazu zgłaszam, że absolutnie nie mam żadnej pretensji i do tańców z trzymaniem w ramionach Kukielinki nie

mam żadnej chęci. Powtarzam, Hannibalem nie jestem i dlatego w swej książce wbrew świetnemu poprzednikowi Kukielinki, ukrywającemu się pod pseudonimem, autorowi świetnego dzieła *Kampanja 1920 w świetle (excusez du peu) prawdy* nie wspomniałem o wszystkich Hannibalskich efemerydach, rodzących się i ginących w godzinie jednej, jak ćmy, lecące na światło. Więc do tanecznych zawodów nie staję i zadowolony jestem ze swego losu, losu, aby być cytowanym drobnym drukiem u dołu stronic, bez efektu w garmoncie i w wielkim druku, metody, szefa Historycznego Biura dotąd zanalizowanej, metody historycznie niezwykle podejrzanej, metody, z powodu której już pytałem — cui bono to się czyni, ad cuius majorem gloriam tańczy zalotnie Kukielinka?

Starałem się potem wykazać, że przy drugiej cytacie z mojej książki metoda szefa Historycznego Biura armji polskiej nieco zmienia się na gorsze czy na lepsze, doprawdy nie wiem, — staje się jednak nieco inną. Staje się bardziej celową i bardziej jasną. Zalotnie tańcząca dla czyjejś większej sławy Kukielinka w jakiejś bardzo zawiłej i zawikłanej figurze tanecznej — gdzieś woła Piskora z Kutrzebą, coś mruga do Rozwadowskiego i juzowych rozmów, gdziesi nawet boczny ukłon składa Naczelnemu Wodzowi, wreszcie w upojeniu tańca chwyta jakiś kończyk munduru czy spodni mego przyjaciela francuskiego, generała Henrysa, a ucieszona tem, niezmiernie zalotnie przykryła w grubym wielkim druku Kowel, by z naiwną minką po konferencji 27 lip-

ca (na której ja nie byłem) z pod cudów spódniczki wydobyć — Hannibalskie Siedlce.

Stwierdzam więc, że w całej mojej książce ani o konferencji 27 lipca mowy niema, niema też ani chwili zastanawiania się nad Siedlcami, zato jest zastanawianie się nad Kowlem. Ten dziwny pociąg, taka ciągotka rozmownej baleriny historycznej do fałszowania wszędzie Naczelnego Wodza, gdzie go tylko zacytuje dało jej też możność reprezentowania myśli, zasad i czynności tegoż Naczelnego Wodza nietylko w Historycznem Biurze armji polskiej, lecz i w historycznej komisji. Brawo! Bohaterzy od jednostronnych protokółów i honoru i historji ojczyzny! Brawo i sama spódniczkowa Kukielinko!! Lecz jeszcze raz — poco to wszystko się czyni, cui prodest ta taneczna historyczna robota, dla kogo te teczki z nadpisem „Honor i Ojczyzna"? Ciekawe zagadnienie.

VII.

Przed omówieniem sprawy odtańczonego (mówiąc stylem wojskowym) Kowla, który w książce mojej zajmuje parę stronic druku, cytowanego właśnie przez historycznego szefa Historycznego Biura, przed próbą analizy motywów kuglarstwa nóg i rąk Kukieliny przy wydobywaniu z pod spódniczek „Hannibalskich Siedlec" — przedtem, dla wyjaśnienia i dla próby znalezienia pobocznych dowodów, przejrzałem oczywiście cały „Egzemplarz Naczelnego Wodza", przysłany mi do Druskienik w postaci sierpniowego tomu *Bellony*. Jak już nadmieniłem na początku, są tam prace niezłe i studja dobre, lecz są i bardzo

złe. Do złych i złośliwie ułożonych należy taniec Kukielinki na stronicach *Bellony*. Jest nim artykuł wstępny. Do bardzo złych. lecz nadzwyczajnie śmiesznych zarazem. należy inny artykuł w stylu Kukiela, artykuł, który nazwałbym *Operetką w czterech odsłonach nad Wkrą*. Istne arcydzieło! Znajdujemy i w tej operetkowej pracy podobną tendencję, co w balecie Kukielinki.

Gdy czytałem ten utwór, pomimo śmiechu. odczuwałem głęboką przykrość, że biedne wojsko, które tyle pracy włożyło w obronę stolicy w roku 1920, które nad tą Wkrą tak krwawo i męczeńsko się napracowało. doczekało się takiej reklamiarskiej historji swej pracy. Reklamę doprowadzono bowiem aż do komizmu przez przesadę.

Mamy więc w pierwszej odsłonie cudowny taniec rzek. Jak autor mówi, armja Sikorskiego otrzymała „skromne" zadanie. Lecz rzeki okazały się „nieskromnemi", równie „nieskromnemi", jak taniec huraganowego ognia na błotach poleskich. Mianowicie Orzyc w dziarskich hołubcach sunął ku wdzięcznie mizdrzącej się Wkrze. Dyryguje zdala Kukielinka, żonglując z Sikorskim teczkami o napisie, zdala świecącym: „Honor i Ojczyzna". W Modlinie zbierają się stare heroje departamentowo-legjonowe, a Hannibale na tych zjazdach modlińskich sławę Cann obiecują. „Dalej, drogie rzeczki, śmiało idźcie w „nieskromne" tańce, a my zaśpiewamy: „Patrz, Kościuszko, na nas z nieba". Stare, piękne legjonowe dzieje przypominają się herojom w Modlinie. I na rozkaz herojów skoczyły namiętne rzeki poprzez góry, poprzez lasy, by się złączyć w uścisku i utonąć w sobie. Bo idzie o rzecz niemałą: na rozkaz he-

rojów od Orzyca aż po Wkrę ma być zwycięstwo odniesione nad 15-tą, 3-cią i 4-tą armjami nieprzyjaciela. Legną w prochu nieprzyjaciele, w prysiudach idące w niewiadomym kierunku, legną wszystkie armje i dywizje — bo tak chcą heroje, co dawne dzieje wspominają, „nieskromne“ uniesienia poprzeć zawsze gotowi. A wszystko się dzieje ku większej sławie „najnieskromniejszego“ bohatera z Departamentu Wojskowego z murów Piotrkowa — Sikorskiego.

Tańczcie, rzeki polskie, jak ongiś w Departamencie Wojskowym tańczono, tańczcie namiętnie — Kukielinka dyryguje! Sikorski z Departamentu musi pobić wszystkie armje pomiędzy Orzycem a Wkrą. Nie może ujść herojowi nietylko armja, lecz dywizja, nietylko dywizja, lecz pułk — to jest cel utworu pod tytułem: *Bitwa 5-ej armji nad Wkrą.*

Gdy się ten utwór przegląda, nawet bez dokładnej znajomości historji sierpniowych bojów nad Wisłą 1920 roku, niepodobna powstrzymać się od śmiechu. Tak operetkowo i groteskowo ta rzecz jest napisana. Wyznać muszę, że przez chwilę myślałem, iż to ktoś chciał wydrwić Sikorskiego i jego raporty, pisane z tych bojów. Tyle w tem nonsensów i tyle bezwiednego komizmu. Zaczyna się to od nagłego zamiaru, by wtedy, gdy wszyscy się cofają, pójść ze skromnemi siłami z Modlina aż za Orzyc pod Ostrołękę. Cóż to szkodzi herojowi ze szkoły Departamentu Wojskowego N. K. N.? Gdy zaś siły ma zwiększone i gdy, zdawałoby się, heroiczny zamiar bardziej jest możliwy, zaczyna kontentować się Wkrą, która płynie tuż pod Modlinem. Heroje wtedy,

zebrane w Modlinie, decydują, że mają rozbić 15-tą armję sowiecką. Lecz na ich nieszczęście idzie na Modlin nie 15-ta, ale 3-cia armja. W meldunkach jednak, zgodnie z decyzją herojów, bita jest ciągle 15-ta, która właściwie sama bije słabe oddziały awangardy armji Sikorskiego, gdyż cała reszta tej armji jest zaangażowana przeciwko 3-ej armji nieprzyjaciela, atakującego uporczywie Modlin. Kończy się owa śmieszna plątanina słów i krzyków o zwycięstwach odebraniem Nasielska od 3-ej armji sowieckiej i to z wielkim trudem. „W dniu 16 sierpnia główne siły 15-ej armji i część 3-ej armji nieprzyjacielskiej zostały pobite i odrzucone w kierunku północno-wschodnim".

Jeżeli zatrzymuję tak długo czytelnika nad tym operetkowym artykułem, to dlatego, iż przyczynił się on znakomicie — przynajmniej dla mnie — do wyjaśnienia pytania, poco właściwie w Biurze Historycznem armji polskiej historja uprawiana jest w tak swoisty, Kukielinowski sposób. Przyczynia się to do wytłumaczenia, dla kogo właściwie tańczy tak zalotnie Kukielinka, gdy fałszywie cytuje Naczelnego Wodza tejże armji polskiej, której Biurem Historycznem rządzi generał brygady Kukiel. Wspomniałem przytem o herojach legjonowych, co w Modlinie swoje zjazdy nad Wkrą czynili. Wspomnienia legjonowe należą do tych, dla których zawsze mam pewną słabość serdeczną.

Przeproszę więc zgóry każdego z czytających, że nieco nad temi wspomnieniami o herojach się zatrzymam. Są one zresztą ściśle związane z generałem brygady Kukielem, autorem utworu w *Bellonie*. Nieraz bowiem już w przeszłości le-

gjonowej, tak mało, niestety, znanej w Polsce. łączą się wszystkie imiona herojów legjonowych, co się nad Wkrą zebrali w roku 1920, z historykiem armji polskiej.

Heroje legjonowe z nad Wkry, Józef Haller, Zagórski i Sikorski. mieli w Legjonach zupełnie specjalną, powiedziałbym specyficzną sławę. Pobudzała ona do wybuchów śmiechu bodaj wszystkich legjonistów i cytowana była z niesmakiem w sztabach austrjackich i niemieckich. Niekiedy wydawało mi się, że jest to specjalna intryga austrjacko-niemiecka, gdy tych, co nazywali *das sind die echten Legionäre* (są prawdziwymi legjonistami). wykpiwali otwarcie za ich istotnie humbugowy i groteskowy od chwalb styl raportów i opowiadań o bohaterskich czynach swoich. Gdy była mowa o patrolu, wychodzącym na przedpole zasiek drucianych. — trąbiono w huczne trąby o zwycięstwie legjonowego żołnierza; gdy przyprowadzono jednego nieszczęśliwego jeńca — grała już cała orkiestra symfoniczne utwory herojów. Kiedy zaś dokuczyli już wszystkim tą nieznośną brzęczącą nutą, wymyślali straty, poniesione w bojach, dla udowodnienia tej chwalby. Znana jest w Legjonach anegdota, jak z tak zwanej c. i k. Komendy Legjonów telefonowano o konieczności wysłania patrolu do jakiegoś źródełka przed drutami, gdyż sytuacja wydawała się taką, iż „garantirować można straty przy Quelli".

Są dokuczliwe muchy, podobno lubujące się w gnoju — które męczą ludzi hucznym, a jakby zupełnie pozbawionym sensu lotem. Jakby nerwy, podrażnione pustotą wartości muszego żywota, wyładowywały się w bezmyślnem ciągłem prze-

latywaniu z miejsca na miejsce jedynie dla zrobienia przykrości huczliwym nonsensem. *Die echten Legionäre,* jak tych herojów legjonowych z drwiącym uśmiechem nazywali Niemcy, byli takiemi muchami, jak mnie się zdawało, nasłanemi na nas, legjonistów, dla upokorzenia Legjonów i dla usprawiedliwienia różnych względem nich sekatur i prześladowań. *Die echten Legionäre!!!* Raritas *und specialitäten!!!* Ale za drwiny, no i za przyjemniejsze rekompensaty mieli protekcje i to protekcje niemałe. Wobec tego, że nawet buty zdejmowali zwycięsko, więc nawet pucybuty zwycięzcy otrzymywali gwiazdki i szlify, także dlatego, by być *auch echte Legionäre.*

Lecz gdy Józef Haller i Zagórski zajmowali się zwycięstwami bliżej frontu, do tyłów dla zwycięstw wydelegowany był Sikorski — szef Departamentu i to Wojskowego. Ten szalał referatami. Referatami zasypywał wszystko: i biura szpiegowskie niemieckie i austrjackie, i wszystkich możliwych i niemożliwych polityków austrjackich, no i wszystkie posterunki „agitacyjne", rozsiane po ogłupiałej od wojny Polsce. Referaty te byłyby ciekawą podstawą dla badań jakiejś komisji historycznej, która może, mając „dokument", przez jakiekolwiek „biurko" przedstawiony, uwierzyłaby w dziwnie zabawne pod względem historycznym rzeczy. Dowiedziałaby się bowiem ta komisja, że w Piotrkowie przebywał w owe legjonowe czasy jeden mąż, zwany szefem Departamentu Wojskowego N. K. N., pułkownik Sikorski, który pomimo swej skromnej funkcji miał olbrzymie znaczenie światowe. Od niego bowiem zależało, komu będzie oddana korona polska. Czy

królem polskim będzie sam cesarz austrjacki Karol, czy jego kuzyn, arcyksiążę Karol Stefan, czy do Warszawy zjedzie który z książąt saskich, czy wreszcie stanie kandydat wirtemberski, bawarski, ba — sam cesarz niemiecki, Wilhelm, lub który z jego synów. Wszystko to zależało albo bezpośrednio od pułkownika Sikorskiego, szefa Departamentu w dodatku Wojskowego N. K. N., albo od tego, by adresat, dla którego przeznaczone były te referaty, w czemkolwiek pomógł temu wybitnemu mężowi stanu, ubranemu nieskromnie w skromny mundur pułkownika Legjonów. W czemkolwiek, no — chociażby w powtórzeniu szeptanej na ucho przy wręczaniu referatu, ubliżającej komukolwiek, zwykle fałszywej, czy brudnej plotki.

Nadto, według tych historycznych referatów, zależało nie od kogo innego, jak od tegoż Sikorskiego, czy wojsko polskie będzie wogóle istniało, czy też trzeba się rozstać z tem marzeniem, gdyż I Brygada Józefa Piłsudskiego tak zbrodniczo i niepatrjotycznie się zachowuje. Od Sikorskiego też zależało w myśl tych referatów, czy ilość polskości (naprzykład, trochę mniej czy więcej języka polskiego) będzie w owem wojsku dopuszczona, przyczem zawsze doradzano w referatach umiarkowanie w dobijaniu się praw dla tego języka, gdyż zagrożona będzie możliwość, by Polak (czytaj Sikorski) był młodszym referentem w dziale personalnym w biurze ministerjum honwedów polskich.

Pytanie więc, które stawiam, polega na zagadnieniu: czy można napisać historję owych czasów legjonowych na podstawie referatów Sikorskiego, szefa Departamentu Wojskowego N. K. N.? Przy-

puszczam, że można byłoby znaleźć historyka — naturalnie, nie bezinteresownego — który, opierając się na tych „dokumentach historycznych", mógłby udowodnić, że w roku 1916, 1917 i 1918 w Piotrkowie był zapoznany w owe czasy mąż stanu — Sikorski — przed którym od czasu do czasu drżał Paryż, Londyn, Moskwa, Petersburg, ba — nawet Portugalja! Mniej więcej postępuje w ten sposób i pan Kukiel, gdy spokojnie opiera wszystkie swe wywody na „juzowanych" rozmowach generała Rozwadowskiego o koncentracji w Siedlcach. Opuszcza przytem pan Kukiel zupełnie w swych rozważaniach cytowaną zresztą moją książkę *Rok 1920*, w której ani słowa o koncentracji w Siedlcach niema, są natomiast aż dwie stronice o Kowlu, o którym znowu pan Kukiel ani słowa nie mówi.

Na koniec dykteryjka o rozmowach „juzowych". Kiedyś w wagonie słyszałem zabawną rozmowę dwóch kobiet. Jedna z nich boleśnie skarżyła się, że została haniebnie przez jakiegoś mężczyznę oszukana. Mianowicie, po wielu scenach i naleganiach otrzymała od owego mężczyzny depeszę — naiwnie dodała: napisaną drukowanemi literami — obiecującą przywiezienie dla niej nowego kostjumu i jedwabnych pończoszek. Uwierzyła w obietnicę święcie, gdy drukowane juzowe litery wysylabizowała, ale, niestety... pończoszki na jej nóżkę nie wskoczyły mimo juzowej depeszy. Pan Kukiel sylabizował juzowe drukowane litery tak długo, aż zdołał uwierzyć i w Cannae, i w Siedlce, podczas gdy w istocie ani Cann, ani koncentracji w Siedlcach nigdy nie było. Były tylko liczne juzowane rozmowy genera-

ła Rozwadowskiego o tych pończoszkach strategicznych. Doprawdy, szkoda przy oszczędnościowej polityce pieniędzy na taką historję, szkoda też i wojska, mającego historyka, wierzącego lub udającego, że wierzy, w juzowane pończoszki, chociażby jedwabne.

XXV.

PIĘKNE „WCZORAJ"

(22 października 1925).

Ludzie bez „wczoraj“, ludzie bez „dzisiaj“ i ludzie bez „jutra“ — tak możnaby podzielić gatunek ludzi na świecie. I nieraz, gdy myślę o rozpowszechnionej obecnie tak szeroko mistycznej teorji o reinkarnacji, sądzę, że człowiek istotnie rodzić się często na tym padole płaczu musi, by się stać pełnym człowiekiem. Człowiek bowiem w całem tego słowa znaczeniu kochać musi, nie wstydząc się swego „wczoraj“, by żyć, pracując w dniu dzisiejszym, by się jego znowu nie wstydzić jutro. Gdy w ten sposób myślę o dzisiejszej dobie polskiej, zawsze ze smutkiem konstatuję, że reinkarnacja musi być bardzo a bardzo stosowana do Polaków, gdyż poważna część tego narodu jest ludźmi bez „wczoraj“. Wygląda mi często, że to bez „wczoraj“ tyczy się u Polaków nietylko historycznego „wczoraj“, mierzonego dłuższemi okresami, lecz nawet najliteralniejszego „wczoraj“, odmierzonego najwyżej tygodniem. A miesiącem mierzyć ludzi wydaje mi się niemożliwem, gdy miesiąc jest już tak ciężkim okresem, że efemeryda duszy polskiego przeciętnego człowieka staje się tak, jak ta „kobieta święta“, co „nic nie pamięta“. Nie pamięta i basta! Biedna Polska, nowoczesny Polak reinkarnować się będzie!

Boję się też trwożliwie, myśląc, że P. O. W. pozbawiona będzie reinkarnacji za brak pamięci o swem „wczoraj“. Nie chce się bowiem jego wstydzić. Nie chce i basta! Cieszę się z tego bardzo, lecz

powtarzam — boję się, że przyczynić się to może do znacznego osłabienia Polski, gdy na nią spadnie deszcz reinkarnacyjny nowoczesnych bez „wczoraj" Polaków, a zabraknie reinkarnacji Polaków z „wczoraj". Zdaje się jednak, że Bóg Polskę kocha i jest sprawiedliwy. Bo znowu cała Polska stara się, by P. O. W. i jej ludzie byli ludźmi bez jutra. Mają „wczoraj", wcale ładne i tego nie wstydzą się wcale, mają „dzisiaj", tak, jak wszyscy, lecz o „jutro" dbać nie powinni. Przynajmniej o „jutro" fizyczne, P. O. W. bowiem protekcji nie posiada w nowoczesnej Polsce. Czy z tem Polsce do twarzy, to co innego, w każdym jednak razie błyska mi wobec tego nadzieja, że przy deszczu reinkarnacyjnych ludzi bez „wczoraj", nie zabraknie i deszczu ludzi bez „jutra", przynajmniej bez protekcyjnego fizycznie „jutra".

Co do mnie osobiście, cenię najwyżej w tem „wczoraj" P. O. W. wytworzenie w sobie olbrzymiej siły moralnej w dobie, gdy zorza poranna naszego istnienia państwowego zaledwie się na niebie paliła, walcząc bezsilnie z mrokiem nocy.

Założyłem P. O. W., wysyłając ś. p. Żulińskiego w początku wojny 1914 roku do Warszawy dla zorganizowania tam odpowiednika tego, co w historji legjonowej było ruchem I Brygady. Rozszerzyłem ją i z nowemi instrukcjami zostawiłem w 1915 roku, gdym w sierpniu był w Warszawie osobiście i zatrzymał rekrutację do Legjonów. Organizacja ta była przedmiotem targów i przetargów, prowadzonych ze mną w wyższych sztabach austrjackich i niemieckich w 1916 i 1917 latach. Dyskutowano o niej często w Radzie Stanu, utworzonej po manifeście listopadowym obu cesarzy, austrjackiego i niemieckiego, gdy jeden z zaborców

został, nie naszemi zresztą rękami, usunięty zupełnie z ziemi polskiej i gdy przy przewadze wzrastającej niemieckiej na ziemiach polskich, coraz jaśniej było dla wszystkich, że Polska ma ziszczonym powtarzany tak często przez Polaków ideał, streszczający się w słowach: „jeden pan, jeden bat!“ Wreszcie, gdy przy uwięzieniu mojem i wielu kolegów legjonowych znikły właściwie Legjony z powierzchni ziemi polskiej, P. O. W. zastąpiła w zupełności legjony, stając się ośrodkiem wszystkiego, co pokory w stosunku do „jednego pana i jednego bata“ uznawać nie chciało.

We wszystkich tych pracach organizacja P. O. W. opierała się jedynie na swoich własnych polskich siłach, szukając oparcia jedynie w rozwoju stałym wewnętrznej siły moralnej, siły duszy, niekiedy tak pięknej i prężnej, że przypominać może największe wysiłki narodu, gdy walczył o swój byt niezależny. Niechybnie, po zorzy porannej nastąpił dzień ze wschodzącem słońcem, który, jak zwykle, zaćmił wysiłek świetlny P. O. W. swą potęgą i dla tego P. O. W. brakuje, w porównaniu z poezją i czarem odpowiednich wysiłków naszego narodu w przeszłości, tego uroku, do któregośmy się przyzwyczaili w ciągu setki lat niewoli. Nie potrafię jednak nie powiedzieć, że P. O. W., gdy ją porównuję z ruchami w przeszłości naszej, ma zato inny urok — urok siły, mającej prawo do zwycięstwa, którego brakuje pracom narodowym w przeszłości. Pozostaje mi więc zakończyć serdecznem życzeniem, byście nigdy nie wstydzili się przeszłości i w odróżnieniu od wielu... bardzo wielu Polaków kochali swoje piękne „wczoraj“.

Sulejówek, 22 października 1925 roku.

XXVI.

DEKLARACJA, ZŁOŻONA PREZYDENTOWI RZECZYPOSPOLITEJ, STANISŁAWOWI WOJCIECHOWSKIEMU

(13 listopada 1925).

Uważam za swój obowiązek ostrzec Pana Prezydenta przed pominięciem interesów moralnych armji polskiej w rozważaniach przy rozwiązywaniu obecnego kryzysu. Czyniono to już dwukrotnie i ze smutkiem stwierdzić muszę, że rezultaty tego pominięcia doprowadzają do coraz silniejszego rozdrażnienia w wojsku. Niepodobna bowiem żądać, aby w państwie naszem wojsko służyło partjom politycznym i ich prywatnym do państwa interesom. Niepodobna także sądzić, iżby wojsko, przeznaczone, by być walczącą reprezentacją narodu w razie konieczności obrony zbrojnej granic państwa, mogło być posłusznem i utrzymanem w honorze służby, gdy ma pracować jako objekt przetargów pomiędzy poszczególnymi ambicjonizującymi generałami czy posłami. Sztandary nasze, okryte chwałą zwycięstw, mogą schylać czoło jedynie przed reprezentantem państwa i przed tymi, co wojskiem dowodzą.

Rozumiem, że żołnierze nie są wyborcami, o których dba poseł. Rozumiem, że mając nieraz krytyczne w stosunku do metody poszczególnych rządów poglądy, milczeć jednak muszą, gdy obok koszar i pola ćwiczeń szumnie i hałaśliwie odbywają się sądy i samosądy polityczne. Rozumiem mus rozkazu, panującego w wojsku, lecz nie rozumiem braku szacunku dla tych, co służąc w pokorze dla państwa całego, nie widzą, by ta honorowa służba

była brana w rachubę przy wyznaczaniu reprezentantów ich służby wobec sejmu.

Ostrzegam więc raz jeszcze Pana Prezydenta, nie mieszając się zresztą do kłopotów Pana obecnych. Wziąłem jednak na siebie ten obowiązek, jako poprzednik Pana w naczelnej reprezentacji Polski i jako ten, co armję formował, a nią w najcięższych próbach na wojnie dowodził, wreszcie jako ten, co w wojsku najwyższą ma rangę.

Józef Piłsudski.

Sulejówek, 13 listopada 1925 roku.

XXVII.

PRZEMÓWIENIE W ROCZNICĘ POWROTU Z MAGDEBURGA

(15 listopada 1925).

Kochani koledzy! Gdy przyszliście do mnie wspomnieć razem ze mną dzień— jak poetycznie wyraziciel waszych uczuć to nazwał — „zaślubin moich z państwem polskiem", nie mogę nie być wzruszonym, a względem was wszystkich — niezmiernie wdzięcznym. Miłe, drogie nam wszystkim czasy, miłe, lecz połączone z wielkim ciężarem duszy.

Gdym, wracając z więzienia niemieckiego w pośpiesznym pociągu z Berlina do Warszawy, w takt turkotu wagonu powtarzał sobie: „Do Polski! Do Polski!" — wiem, że również prawie wszyscy tu zebrani mieliście i przeżyliście taką chwilę, gdy marzyliście i śniliście, jak ja, że jedziecie do raju. Było to świadectwem jednego zjawiska, zjawiska, o którem przemyśliwałem pamiętnej mi zawsze nocy w wagonie.

Tyleśmy wszyscy przeboleli i tak przemęczyli swe dusze, zgniecione cieniem mrocznej bezsilności w dobie po ostatniem powstaniu narodu, że gdy chwila odrodzenia przyszła — a przyszła jednak nagle i niespodziewanie — zdawało mi się, że na straży tego odrodzenia stoją wielkie dusze z epoki dawnej mocy Rzeczypospolitej i z mniej dawnych porywów do odrodzenia, które umiały ślady naszego bytowania w świecie ongiś znaczyć nietylko dziełem miecza, lecz i wielką kulturą, szanowaną ongiś na świecie całym.

Zdawało mi się także, że gdy idzie odrodzenie bytu państwowego, o którem zaledwie zdołaliśmy marzyć w ciszy, — musi z tem formalnem odrodzeniem iść odrodzenie duszy Polaka, duszy, odrodzonej dla dania siły i mocy przy konieczności przetrwania i przewalczenia początków naszego życia.

Chciałem więc wierzyć mocy własnej naszej polskiej duszy, chciałem ufać, że zdołam zapomnieć o zawodach przeszłości i skrzepić siebie samego, widząc, jak słońce stapia lody duszy — zdawałoby się — już niezdatnej do życia i że dusza polska rozbłyśnie dawnem pięknem. Lecz i pan, generale, w swem przemówieniu dotknął prawdy, że tak wy, jak i ja, w raju odrodzenia spotkałem nowe zawody, gdym, jak pan mówi, — został „niepisanym dyktatorem Polski". Było to jakby odpowiedzią na podszepty zwątpień, które dusiłem w sobie, gdy przemyśliwałem swą rolę i życie, jadąc z Magdeburga do Polski.

Rozum bowiem i rozwaga nakazywały mi myśleć nietylko sentymentalnie, a mówiły mi, że życie tak łatwem nie jest, jak myśl ludzka i jak bicie gorączkowe serca. I nie wiem, czy wy, gdyście swe wierne głowy żołnierza przy błysku wiernych szabel nieśli pod kosę śmierci, dając świadectwo odrodzonej duszy polskiej, — myśleliście wtedy razem ze mną. Musiałem bowiem, jak każdy naczelny wódz, rachować i kalkulować nietylko szable i bagnety, nietylko wierne wasze ręce i głowy, lecz i siłę tych, co w rękach szabel nie mieli i żyli nie waszemi w polu głowami i pracowali nie waszemi, zbrojnemi w stal, rękami. I nie wiem, czyście kiedy dłużej — zajęci swą

pracą — rachowali i kalkulowali siły i moc całego państwa.

Pozostałem wierny swej sentymentalnej ufności w moc odrodzenia duszy polskiej przez czas cały, gdy musiałem się trzymać jednej i tej samej linji wytycznej, jako reprezentant całego państwa, który reprezentować musi nietylko piękno, lecz i brudy, nietylko siłę, lecz i tchórzliwą bezsilność, nietylko cnotę, lecz i zbrodnię. I wy — wierne druhy miecza w walce — nie myśleliście wtedy, że swoboda bezsilnego i zdziczałego często w niewoli narodu daje jako skutek — nadużycie tej swobody nietylko w tem, co jest uniesieniem i przesadą uczuć wyższych, lecz i przesadą i nadmiarem tego, co jest grzechem przeciw odrodzeniu i pospolitem, a poziomem przestępstwem.

I gdy nieraz w bólach zawodu i mękach upokorzenia sentymentalnie miecz sprawiedliwości na haku zawieszałem, chcąc, by siła moralna cnoty i kultury duszy bez gwałtu leczyła rany niewoli, byłem wciąż wierny błyskowi odrodzenia, co mi duszę w pierwszych dniach Polski rozświecił. I teraz, gdy razem z wami obchodzę siódmą rocznicę zaślubin naszych z szablą już polską, z wami, coście umieli w przeżyciach bojów być wiernymi tym błyskom — nieraz w zwątpieniach, już tyczących się historji — sądzę, iż bezsilność państwu daje ten, co karzącą dłoń sprawiedliwości zatrzymuje, a uczciwą i honorową pracę dla państwa przez to co najmniej osłabia, jeśli nie demoralizuje. Pozwólcie panowie, że zakończę tym razem słowami jednego z was, którego tu widzę: „honor — to bóg wojska; niemasz go — kruszeje potęga wojska".

Starałem się w obecnym kryzysie, przez jaki przechodzi państwo, stanąć w inny może sposób w obronie tej zasady przed Prezydentem Rzeczypospolitej, dając wyraz konieczności ochrony honoru naszych dziejów, honoru naszej sławy i honoru naszej pracy. Dziękując panom za pamięć o mnie, proszę zawsze o współpracę pomiędzy sobą dla takiej ochrony w drogiej nam wszystkim służbie dla ojczyzny.

XXVIII.

STOSUNEK WZAJEMNY WOJSKA I SPOŁECZEŃSTWA W 1863 ROKU

(24 stycznia 1926).

Moi panowie! Mam razem z wami uczcić rocznicę naszego ostatniego powstania 1863 roku. Mam jednak przed sobą inne audytorjum, niż zwykle miewałem w tych dniach styczniowych, mam bowiem przed sobą oficerów, stanowiących wojsko, a zatem ludzi, którzy muszą na działania wojenne zapatrywać się inaczej, niż ludzie, nie noszący munduru. Dlatego też, przemawiając dziś, nie będę odwoływał się ani do waszego sentymentu, ani do waszych uczuć, ani do waszych afektów, ani do wzruszenia. Chcę przemawiać do rozumu i rozwagi.

Epoka 1863 roku jest epoką wojenną, sama zaś praca historji w sprawie wojny 1863 roku jest tak zaniedbana i tak mało posiada źródeł, że praca nad dziejami samej wojny należy bodaj do najtrudniejszych, jakie spotkałem w swem życiu, studjując mnóstwo wojen, przeprowadzonych przez różne państwa i narody.

Dziś, mając do rozporządzenia tak niewielką ilość czasu, nie mogę powtarzać swoich na ten temat wykładów z przed 11 czy 12 laty. Nie mogę zastanawiać się ani nad określeniem tej wojny, ani jej charakterem, ani imionami poszczególnych wodzów, którzy bili się dobrze lub źle. Nie mogę przedstawiać ówczesnej taktyki ani mówić o uzbrojeniu ówczesnem, bo to zajęłoby mnóstwo czasu. Dlatego zdecydowałem wybrać specjalny temat z dziejów 1863 roku, żeby mu poświęcić rozważne i spokojne zastanowienie się nad niedawną względ-

nie epoką, której jesteśmy dziećmi. Będę mówił o temacie, który musi poruszać wszystkich wojskowych, gdyż jest obecnie najbardziej palącym: o stosunku wojska do otoczenia i otoczenia do wojska.

Problemat ten jest wieczny, albowiem wiecznemi, jak dotąd, są wojny. Problemat ten nowocześnie przełamał się w pewien sposób w pewną konieczność, albowiem wojsko obecnie na całym świecie wyznaje zasadę, że wojna inaczej nie może być prowadzona pomyślnie, jak jeno wtedy, gdy się wojsko zlewa w swoich wysiłkach z wysiłkami całego narodu, całego państwa, będącego w stanie wojny. Dlatego też głowę każdego wojskowego, choć trochę myślącego o sobie, musi zajmować problem stosunku do siebie, stosunku do wojska nie kogo innego, jak właśnie narodu i państwa, które musi dać siły wojenne. Śmiem twierdzić na podstawie badań historycznych, że niema ważniejszej epoki, niema większego pod tym względem zwycięstwa ducha wojny, jak rok 1863.

Polska, której dzieje pod tym kątem widzenia starałem się nieraz przebiegać, nie daje ani razu, nie wyłączając naszej epoki, tak szczęśliwego i tak daleko idącego rozwiązania tej pracy, jak to było w roku 1863.

Moi panowie, będę o tym problemacie mówił porównawczo, śledząc i badając, przebiegając szybko najrozmaitsze epoki, przez które Polska przeszła, i porównywując je z epoką, wybraną dla dzisiejszego odczytu.

Jeżeli weźmiemy najdalsze istnienie historyczne Polski, to znajdziemy wojsko budowane tak, jak ówczesny świat naogół je budował. Jest to wojsko królewskie, wojsko książęce, wojsko, które czerpało

swoje siły, biorąc prawie gwałtem ludzi do wojska albo na usługi wojska, nie pytając ich—chcą czy nie chcą, robiąc to siłą i tworząc w ten sposób siłę zbrojną, złożoną prawie wyłącznie z drużyn królewskich czy książęcych. W ten sposób wojsko było właściwie własnością króla, tak, jak i cały kraj. System ten, ściśle monarchistyczny, oparty na dziedziczności monarchji, stosowała Polska narówni z wszystkiemi innemi narodami przez długie wieki.

I chcę zwrócić odrazu na jedną rzecz uwagę, ażeby scharakteryzować stosunek, że tak powiem, Polski do wojska. Jeżeli weźmiemy w historji przydomki i tytuły królów, którzy byli zarazem zawsze naczelnymi wodzami, to znajdziemy jedną zabawną rzecz, nad którą jeszcze w dzieciństwie się zastanawiałem, mianowicie, że Polska przydomkiem „wielkiego" ochrzciła tylko jednego króla Królem tym był Kazimierz Wielki, który skończył dynastję Piastową. Był to król znany z absolutnie niewojennego charakteru panowania, król znany z tego, że Polskę jakoby wziął po ojcu Łokietku „drewnianą", a zostawił „murowaną". Jedyny więc przydomek „wielkości" zastosowany został do króla i do wodza, który wodzem nie był. Jeżeli zaś weźmiemy królów z tej samej dynastji, którzy byli moimi w dzieciństwie faworytami, to znajdziemy tam przydomki, znamionujące jakgdyby ścisłe koleżeństwo wojskowe. Znajdziemy tedy Bolesławów, jako tych, którzy najwięcej się bili: więc Chrobrego i Śmiałego.

*

* *

Potem idzie dynastja obca, z obcych stron przybyła, dynastja Jagiellonów, która dała Polsce największą potęgę wewnętrzną i największe wpływy

poza Polską. Bywały przecież okresy, gdy dynastja Jagiellonów panowała na Węgrzech i w Czechach, i ta wspólnota dynastyczna wzmacniała siłę centrum dynastji, jaką było państwo polsko-litewskie

W tym czasie zmieniło się już dużo, albowiem na całym świecie dojrzewała jedna z największych epok, znanych w dziejach Europy, — epoka odrodzenia, która niosła nowe prądy, budząc i tworząc siłę państwa. Epoka odrodzenia przyszła do Polski właśnie przy końcu dynastji Jagiellonów i miała swój wielki rozkwit, albowiem to wszystko, co cechowało epokę odrodzenia, działo się w Polsce prawie w jednakowem tempie z całym Bożym światem.

Moi panowie, są rzadkie książki, wydane jedynie w Polsce, białe kruki, poszukiwane przez wszystkich, jako świadectwa wielkiej kultury polskiej i wielkiej sławy epoki odrodzenia nie gdzieindziej, jak w Polsce. Lecz zarazem dokonano wtedy jeszcze jednej pracy, która — powiedziałbym — jest specjalnością polską, a której inaczej ochrzcić nie zdołam, jak próbą utworzenia demokracji, próbą utworzenia współrządów z królem absolutnym, próbą pracy szerszej, niż jednoosobowa. Daje to możność łatwiejszego, niż gdziekolwiek, widzenia i spostrzegania tego, co stanowi temat mego odczytu: stosunku Polski do wojska, stosunku Polaków do wojska. Jedynym krajem, który miał pod tym względem jakieś drobne podobieństwa do Polski, była Anglja, gdzie wprowadzono i parlament, i współrządy panujących dla lepszego zaspokojenia potrzeb, lepszego urządzenia życia ludzkiego. Tak, że bodaj i pod tym względem Polska szła, że tak powiem, na czele postępu, którego ślady nie dają się spostrzec w reszcie Europy.

Już w tych czasach stosunek do wojska staje się iście polski.

Dynastja Jagiellonów ze swoim wielkim autorytetem, który wraz z posuwaniem się ku Wschodowi coraz bardziej się zwiększał, mogła i zdołała narzucić ideę zaspokojenia potrzeb państwowych własną wolą i własnemi siłami. Własnemi siłami, gdyż król i dynastja była bogata, trzymała w ręku swoim mnóstwo ziemi, dającej dochody, i mnóstwo rzeczy, które można było sprzedać lub zastawić, jak to nieraz robiono dla prowadzenia wojny. I wojsko samo było trzymane w większej karności i w większym porządku, niż to nastąpiło potem. Wraz z wymarciem dynastji Jagiellonów przechodzimy do systemu państwowego, podobnego bardzo do dzisiejszego. Albowiem król elekt, wybierany każdorazowo, nie był niczem innem, jak wybierany dziś prezydent.

To, że był dożywotnim, nie stanowi wielkiej różnicy. Śmieszną rzeczą, która ciągle się powtarzała, było, że z królem zawierano pacta conventa, umowę, kontrakt i ważną rzeczą jest, że najczęściej w pacta conventa znajdujemy klauzule, które każą królowi płacić za wojsko, które każą przychodzić do Polski z pewnem wianem pieniężnem, ażeby oswobodzić się od opłat na wojsko.

Gdy zaś dodamy, że królów wybierano z zewnątrz, że wielka ich ilość przychodziła do nas z zagranicy, że nie byli Polakami, lecz ludźmi, związanymi także z różnemi innemi dynastjami i ich sprawami rodzinnemi, to widzimy i rozumiemy, że Polska w stosunku do wojska zachowywała się w ten sposób, jakgdyby wojskiem handel prowadziła i sprzedawała wojsko na rzecz interesów innych narodów. Mamy, naprzykład, dziwaczną

wojnę o prawa dziedziczne Wazów, przychodzących ze Szwecji, którzy chcieli wywalczyć polskiemi siłami nie co innego, jak tron szwedzki. Była to epoka, w której wojny toczono bardzo łatwo, tak, że bodaj nie było miesiąca w roku, żeby gdzieś nie wojowano, żeby gdzieś wielkiej pracy dziejowej krwią ludzką nie znaczono.

W czasie tych wojen nietylko wszędzie dokoła tworzono wojsko, ale podnoszono jego wartość czy to pod względem technicznym, czy organizacyjnym, czy umiejętności bitewnej.

W Polsce tymczasem wojsko właściwie nikogo nie obchodziło, poza wojskowymi. Polska zajmowała się czem innem, wojskiem nie interesowano się specjalnie, a głównie nie było chętnych do płacenia podatków na wojsko. Typ życia był tak odmienny od otoczenia, tak inny od wszystkiego tego, co naokoło się działo, że wydaje się on być cechą charakteru Polaków. Wszelkie próby historyków przekonania, że Polak a rycerz jest to jedno i to samo, wydają mi się absolutnie niemożliwemi do udowodnienia, gdy się bierze realnie historję. Naród rycerski dbać musi o przejawy tego rycerstwa w sposób rycerzom należny, albowiem według określenia jednego z moich współrodaków z pod Lidy: „nawet papieskie wojska i te jeść muszą, choć prawie są aniołami". To proste ujęcie prawdy o wojsku nie przychodziło do głowy naszym współrodakom w owych czasach. Wojsko nie było „papieskie" i jeść nie potrzebowało. Żołdu nie płacono. Wojsko musiało żyć nie wiadomo jak. I tu brak tej jedynej podstawy stałego życia wojska.

Gdy myślę o tej epoce, w której Polska wyraźnie skłaniała się ku upadkowi, gdy ginęła, codziennie obniżając swoją powagę na świecie i codziennie

niszcząc siebie samą, — znajduję zawsze jedno i to samo zjawisko: naokoło wojsko wyrastało, naokoło państwa budowały wojsko, jako siłę zbrojną, naokoło praca szła silnie i pewnie, podczas gdy w Polsce siła państwa, reprezentowana przez wojsko, stale upadała. Jeżeli przebiegniemy w owych czasach pracę ówczesnego sejmu i ówczesnych królów, między którymi niejedni byli wielkimi żołnierzami, jak Stefan Batory, jak Władysław IV, jak wreszcie wielki zwycięzca z pod Wiednia i Chocimia — Jan Sobieski, jeden z największych wodzów naszych, to znajdziemy zawsze jeden i ten sam przejaw życia, stale powtarzany w owym okresie, jakgdyby Polska wyraźnie mówiła: my wojska nie chcemy, — jest to jakiś ciężki wóz, który najlepiej jeśli sam sobie jakoś będzie dawał radę.

*

* *

W epoce tej jednak wojny były rok rocznie i żołnierze ciągle musieli iść na boje. Gdy się przejrzy, chociażby pokrótce, wypadki wojenne, w których brała udział Polska, znajdziemy jeszcze jedną bardzo charakterystyczną ich cechę. Była to jakby loterja, zależna prawie wyłącznie od wodza-hetmana. Z chwilą, gdy hetmanja stała się dożywotnią godnością, którą można było kupić lub uzyskać dzięki protekcjom, starano się zapobiec złym skutkom tej metody przez nowych regimentarzy, różne urzędy, związane z wojskiem, rozdawane znów na zasadzie protekcji. Urzędy te często były w rękach zupełnie przypadkowych, niezwiązanych z wojskiem, i kiedy weźmiemy cały szereg naszych hetmanów w ubiegłych czasach, musimy dojść do

wniosku, że naród jakgdyby powierzał swe losy protekcji Boskiej, żywiąc nadzieję, że może Pan Bóg się zlituje i tchnie w hetmana talent i ducha rycerskiego. Nie można zaprzeczyć, że niekiedy Pan Bóg nas bardzo protegował, gdyż dawał takich wodzów, jak Chodkiewicz, jak Żółkiewski, jak Czarniecki, że wymienię tylko największych. Nie zmienia to przecież w niczem faktu, że w pracy wojennej zależeliśmy poprostu od szczęścia czy nieszczęść.

Gdy jednak przejdziemy prawie do ostatnich chwil życia Rzeczypospolitej, znajdziemy rzeczy jeszcze gorsze; znajdziemy, wobec słabości własnych sił, poszukiwania protekcji nazewnątrz. Prawie wszyscy dygnitarze byli płatni przez obcych, brali pensje nadzwyczajne od obcych potencyj. Szukano protektorów utytułowanych: wielką protektorką Polski była Katarzyna II, wielkim „przyjacielem" Polski był również Fryderyk Wielki w sąsiednich Prusach i wreszcie trzecią protektorką Polski była Marja Teresa. Przy takich protekcjach, sądzę, nawet wysoka protekcja Boska pomócby nam nie zdołała; żaden bowiem genjusz i żadna siła ludzka nie potrafiła nigdy iść przeciw tak wielkiej protekcji, jak brzęcząca moneta. I wtedy jednym z na pierwszem miejscu stawianych warunków było nie co innego, jak rozbrojenie Polski, zmniejszenie jej siły wojskowej albowiem ten lub inny protektor-sąsiad miał przecież więcej wojska, niż Polska. Z chwilą zaś, gdy się ma protektora, poco wydawać pieniądze na wojsko, — wystarczy ta wielka protekcja.

Jeśli więc przebiegniemy cały okres historji, gdy Polska mogła przejawiać swój rozum stanu, zawsze znajdziemy jedno i to samo: z chwilą, gdy znikła

siła jednowładców-królów dziedzicznych, którzy mieli dostateczny autorytet i dostateczne siły, ażeby przeprowadzić, wbrew narodowi, prace, związane z wojskiem, gdy rządy przeszły do samego narodu, do demokracji szlacheckiej, która była bodaj bardziej rozwinięta, niż demokracja obecna, to natychmiast interes wojska był, że tak powiem, postponowany i usuwany na dalszy plan w porównaniu do innych potrzeb, niechybnie istniejących w państwie. I wtedy górę brało nie co innego, jak to, co nazywano gospodarką kraju i pracą organiczną. Winiary, płynące do Gdańska ze smaczną okowitą i bogatem ziarnem, za które ściągano również z Gdańska bogate likwory i jedwabie dla białogłów, znaczyły więcej dla ówczesnego państwa, niż twarda, żelazna praca, związana z wojskiem, z siłą zewnętrzną i pracą wewnętrzną nad duszą ludzką, która musi znowu stać się twardą i hardą w służbie wojskowej. Ten system, przez który Polska przez długie wieki przechodziła, doprowadził do charakterystycznego, a tak rzadkiego dla tego czasu upadku duszy polskiej do tego stopnia, że brano spokojnie pieniądze za zdradę Polski, że zagranicą szukano protekcji.

W końcu istnienia wolnej Polski zaczyna się epoka odrodzenia, przynosząca ze sobą troskę o wojsko. Znamy te prace z czasu ostatniego panowania Stanisława Augusta. Znamy je prawie wszystkie, przynajmniej bardzo wiele, gdzie szukano odrodzenia i dla wojska. I znowu gdy je dzisiaj przeglądamy i głębiej nad niemi zastanawiamy, przychodzi na myśl, że ta reforma, znacznie wcześniej zrozumiana i przeprowadzona, dałaby może Polsce zbawienie, tak, jak nie mogła go dać wtedy, gdy całe otoczenie prześcignęło nas o sto

kilkadziesiąt lat w pracy nad siłą państwa, nie zapominając równocześnie o pracy gospodarczej, wykonywanej znacznie lepiej, niż to robili Polacy.

Jeżeli przejdziemy do epoki, z której pochodzimy, to jest do epoki Polski zależnej. Polski podległej, która nie miała własnego państwowego istnienia, — znajdziemy odrazu bardzo wielką naprawę. Znajdziemy odrazu pracę wytężoną, stałą, silną i idącą z pokolenia na pokolenie. Zaczęto wówczas naprawdę kochać czerwono-biały sztandar, zaczęto kochać i lubić wszystko to, co jest żołnierzem. Zaczęła się epoka idealizowania stanu żołnierskiego. Była to jakgdyby spóźniona naprawa, spóźnione szukanie siły dla odbudowania tego, co zostało zgubione. Stosunek w Polsce podległej, w Polsce nieistniejącej do stanu wojskowego, do wojska i do służby żołnierskiej, zaczyna być takim, jakim on był powszechnie wszędzie od bardzo już dawnego czasu.

Rok 1863! W całej tej epoce, proszę panów, stoi na nowej rubieży historycznej nietylko nasza Polska, ale i cały świat. Albowiem rok 1863 poprzedza zaledwie o kilka lat wielkie zmiany, które czekały Europę, mianowicie — wielkie zwycięstwo Prus prawie nad całym ówczesnym światem. Zaczęła się epoka, z której już my literalnie pochodzimy — epoka wielkich państw, budowanych na podstawie wielkiej techniki, wielkich wynalazków, które charakteryzują koniec wieku XIX i początek XX, wielkiej pracy w budownictwie państwowem, jaką każdy z nas już dobrze pamięta.

Więc rok 1863 stoi na rubieży. Rok 1863 ma za sobą wielkie walki, toczone o swobodę i wolność narodów, o swobody i wolność obywatelską, jakie charakteryzują rok 1848, który burzą przeszedł

przez świat cały, który szukał haseł oswobodzenia każdego podległego narodu, który w programie świata stawiał oswobodzenie Polski, oswobodzenie i zjednoczenie Włoch. Rok 1863 stoi na przełomie, gdy jedno umiera, a drugie już się rodzi i gdy również stosunek do wojska wszędzie zaczyna radykalnie się zmieniać. Siły bowiem państw polegały nietylko już na wojsku samem, ale na chęci samego narodu, obywateli danego państwa, być żołnierzami. Następuje pewna pogoń za liczbą, za wystawieniem możliwie wielkiej ilości żołnierza na wypadek wojny. Następuje chwytanie w szeregi rycerstwa i żołnierstwa coraz więcej ludzi, następuje musowa służba wojskowa ludności, prawo o konieczności szanowania żołnierza, obowiązek traktowania, jak obywatela, żołnierza w wojsku i przymus służby w wojsku. Z tej epoki wywodzi się stosunek wzajemny żołnierza i społeczeństwa, jaki widzieliśmy w wojnie 1914 — 1918 roku.

Powtarzam, rok 1863 stoi na rubieży. I odrazu zaznaczam, że jednym z ludzi, którzy pchali w kierunku całkowicie nowoczesnym nietylko Polskę, ale i zaborcze państwo rosyjskie, był Polak, był jeden z wodzów powstania 1863 roku, a mianowicie — Sierakowski. Nazywano go w owe czasy w Petersburgu pomocnikiem ministra Milutina, albowiem pod jego kierownictwem i pod jego zarządem tworzyły się nowe prawa, związane ze służbą żołnierską w państwie rosyjskiem.

Sierakowski jest autorem prawa dla szeregowych, Sierakowski jest autorem prawa, zabraniającego bić szeregowego, a w owych czasach uczono żołnierzy tylko pałką. Sierakowski był promotorem wszystkich prac ministerstwa spraw wojskowych, idących w kierunku nowoczesnym, i nieraz, gdym

studjował rok 1863, zastanawiałem się sam nad tem, poco on właściwie starał się tak ulepszyć wojsko rosyjskie, ażeby potem bić się w powstaniu? Jaki cel mógł mieć ten człowiek, tak postępując? Nieraz zastanawiałem się, szukając wytłumaczenia dla tego człowieka, który tak tragicznie zginął, gdy chciał wzmocnić swego przeciwnika, z którym potem walczył. Dopiero w różnych pamiętnikach odnalazłem myśl przewodnią tego wielkiego żołnierza. Wierzył on, że Polska przez tę reformę myślową i duchową, przez tę reformę duszy ludzkiej łatwo przejdzie, zaś Rosja jej łatwo nie przeniesie, że ta reforma zatrzyma się w swojem zewnętrznem odzwierciadleniu na buntach żołnierskich przeciw władzy, przeciw swoim przełożonym, którzy nie zechcą wyrzec się prawa pałki w stosunku do szeregowych. Śpieszył więc, aby możliwie szybko dać tę reformę całej Rosji, żeby wzmocnić siły polskie przeciw siłom rosyjskim, starając się swoim talentem, swoją pracą i swojemi wielkiemi wpływami pośpiesznie je przeprowadzić, gdyż przypuszczał, że wywoła ona wielki rozdźwięk w wojsku rosyjskiem i że dzięki temu Polacy zdążą wyzyskać to osłabienie wojskowe organizacji rosyjskiej. Była to jego zasadnicza myśl. Zwracam więc na to uwagę, że jeden z wodzów powstania, Sierakowski, liczył i rachował na rozbudzenie pod tym względem w Polsce przekonania o konieczności pracy wojskowej.

Mamy więc w roku 1863 jednego z wielkich ludzi, który w całej pracy dla wojska był jednym z wielkich jej menerów, znanym nietylko u nas, ale w całym świecie. Mamy zarazem próbę, która zdecydowała o dacie roku 1863, czy nowa praca i organizacja wojska z jej duchem, z jej istotną my

ślą, wytrzyma próbę w porównaniu z przeciwnikiem, któremu wojnę wydano. Widzimy więc, że i tu, w roku 1863, myśl ta, bodaj najdalej wysunięta w porównaniu z wszelkiemi innemi epokami, stawia nas, Polaków, w rzędzie prawie przodowniczym w całym cywilizowanym świecie. Idziemy jeszcze zupełnie noga w nogę z całym światem, dając przytem ludzi, którzy ten świat w swoich myślach i w swoich koncepcjach wyprzedzali.

Nie będę się zastanawiał nad przebiegiem samego powstania, nie będę próbował analizować szans lub takich czy innych błędów.

*

* *

Chcę jednak zatrzymać się nad tem, co 1863 rok dał w tym problemacie, którego rozwiązania szukam przez bieg historji Polski. Dawał tak wielką pracę społeczeństwu na rzecz wojska, że przy próbie podziału na okresy samej historji powstania 1863 roku pod względem wojennym ochrzciłem jeden okres nazwą, że właściwie wojowało cywilne społeczeństwo o utrzymanie wojska, a nie wojsko o utrzymanie swego rządu. Potężna pod tym względem praca, do której należał i stary, i młody, i kobieta, i dziecko, była tak piękna i wielka, że potęga militarna państwa rosyjskiego z całą pracą swego aparatu rządowego nie mogła zniszczyć opieki nad wojskiem, którą dawali tak zwani cywile. Wojsko bowiem, od pierwszego uderzenia rozbite przez wroga, musiało mieć czas dla ponownego zorganizowania się i musiało mieć czas dla zrobienia z siebie odpowiedniej siły. I wtedy całe osłonięcie wojska w tym okresie leżało nie na kim innym, tylko na narodzie, nieubranym w mundury. Siła i potę-

ga owego okresu leżała nie w karabinach i nie w lufach strzelb, które noszono w lasach i bagnach, lecz w cywilnem społeczeństwie, które, nie bacząc na ofiary, wojska broniło, które wojska podejść nie dawało. Jeden z najpiękniejszych okresów, gdzie żołnierz mógł się czuć w ojczyźnie, gdzie ojczyzna żołnierza pieściła i kochała i gdzie ofiary, na które naród się narażał, dla żołnierza były wyższe, niż żołnierz z siebie dawać potrafił.

To też myślę o epoce 1863 roku jako o najwyższym wykwicie siły wewnętrznej, którą Polska wydobyć z siebie umiała, gdy dobrowolnie, bez przymusu płacono olbrzymie podatki, odmawiając ich rządowi panującemu, gdy był posłuch dla pieczątki rządowej i szacunek i miłość dla żołnierzy, — stanowiącym jeden z najpiękniejszych liści laurowego wieńca sławy narodu.

Gdy staram się porównać ten epizod naszej historji z przykładami całego świata, znalazłem tylko jeden: walkę Ameryki o niepodległość przeciw Anglji.

Podnoszę ten fakt, jako niezaprzeczalny i pocieszający, jako fakt, stwierdzający, że Polska zdolna jest do najwyższego wysiłku, albowiem działo się to w Polsce, w tym samym kraju, gdzie działy się te wszelkie bezeceństwa, które w czasie długich lat doprowadziły nie do czego innego, jak do najstraszliwszego upadku i znikczemnienia wewnętrznego.

Myśląc o tych czasach, ze zdziwieniem zawsze pytam, dlaczego rok 1863, gdy naród potrafił wznieść się do takiej wyżyny duchowej, dlaczego klęska, którą wszyscy wszędzie ponosić mogą i ponoszą w każdej wojnie, dlaczego ta klęska inną naukę dała Polsce, niż gdzieindziej, gdzie klęski

również ponoszono? Przecież w bardzo niedługim czasie po klęsce Polski w roku 1863 i 1864 Francuzi ponieśli także wielką klęskę, a jakże inną z niej wyciągnęli naukę, zbierając siły do odwetu. Tak było we Francji. W Polsce rok 1863 stoi na rubieży upadku wszystkiego tego, co jest wojskiem. Nietylko wszyscy uciekali od wojska, nietylko służba wojskowa należała do usuwanych z myśli polskiej, ale musem rozwagi, musem umiejętności myślenia była pogarda dla stanu żołnierskiego polskiego, staranne usuwanie myśli o żołnierstwie polskiem, było staranne wychowanie młodzieży i siebie we wstręcie i pogardzie dla służby i stanu żołnierskiego polskiego. Zwracam panom na to uwagę, że ten silny przełom po klęsce 1863 roku bez względu na to, jakbyśmy go tłumaczyli, idący z roku na rok, z godziny na godzinę, — żłobił myśl polską, żłobił serca polskie i żłobił dusze polskie. Dlatego, gdy mówię wam o wybranym przeze mnie temacie, ostrzegam, jak siebie ciągle ostrzegałem, że Polska na zdrowe drogi wejść nie będzie w stanie, nim pokolenie niewoli po 1863 roku nie wymrze. Zbyt głęboko sięgnęła trucizna w duszę polską, ażeby można było przypuszczać, że po tak świetnej epoce, jaką przeżyła Polska w 1863 roku w dziejach tego problematu, — w stosunku tego, co jest cywilnem, do tego, co jest wojskiem, — ażeby odrodzić się w jednej chwili z tego mogła.

Zastanawiałem się nad tym problematem od dawien dawna i dlatego w czasie naszej wojny przyglądałem się bacznie, czy niema pod tym względem śladu, czy niema pod tym względem prób odrodzenia w tem pokoleniu, do którego sam należałem. Liczyłem i rachowałem, przyglądałem się w różnych miejscach i w różnych warstwach, przygląda-

łem się w każdej prawie chwili swego naczelnego dowodzenia wojskiem i swojej względem świata reprezentacji Polski. Uważałem to za jeden z największych problematów, z którym do Polski przychodziłem, i śmiało rzec mogę, że moje słowa, które wypisałem w książce swojej o roku 1920, że za Polskę w 1918 i 1920 bił się tylko ten, kto chciał, i ten, kto był głupi, — są szczerą prawdą. Ucieczka od pracy w wojsku była prawie powszechna. Wszystkie moje próby obliczania, które czyniłem w pracy wojennej, zawsze doprowadzały mnie do jednego wyniku: bije się tylko ósma albo dziewiąta część wojska, reszta nie bije się wcale. Wszystkie obliczenia, na których kiedykolwiek Naczelny Wódz opierał się, — mówię o sobie w przeszłości — wszystkie te cyfry i daty były błędne, wszystko zawodziło. Jednem z moich twierdzeń przy studjach wojny jest: moralność na wojnie mierzy się moralnością tyłów. Tymczasem u nas tyły niesłychanie przerastały front, dezorganizując go i demoralizując.

Moi panowie, wojsko jest stworzone dla wojny. Myśl, że wojsko utrzymuje się nie dlatego, żeby uczyło się wojny, ale aby tak było dla jakiejś parady lub z obawy przed katastrofą, — jest nonsensem. U nas ludzie tej prawdy śmiałej i twardej boją się. Wojsko musi być utrzymywane tylko wtedy, gdy jest obawa wojny. Poco wydawać na nie tyle pieniędzy; poco tylu ludzi pozbawiać praw swobodnego obywatela; poco to wszystko czynić, jeżeli się nie ma obawy o swoje istnienie? Wojsko jest stworzone dla wojny i każdy z was uczyć się musi nie czego innego, jak prowadzenia wojny. Na tem polega nasza praca, do tego was się przyzwyczaja, do tego was się wciąga. W wojnie nowoczesnej wracamy nieledwie do prawdy pospolitego ru-

szenia, do prawdy plemion dzikich, które, wykopawszy siekierę i włócznię ze ścieżki pokoju, szły powszechnym tłumem na wojnę. Wtedy stosunek tego, co was otacza, do wojska jest rzeczą tak ważną i wielką dla powodzenia, dla zdobycia szacunku nieprzyjaciela, że pierwszy krok wojenny nie od czego innego zależy, jak od moralności społeczeństwa w stosunku do żołnierzy. Trzeba więc w duszy narodu szukać ideałów, które wyznawali nasi ojcowie w 1863 roku.

Proszę panów, dobiegam do końca i chciałbym naostatek powiedzieć o jednej prawdzie, która mnie samemu ciężko niegdyś przyszła, która jednak jest niezbita. Prawda ta mówi: jeżeli porównamy wszystkie fachy i wszystkie zajęcia, które ludzie wykonywują, jeżeli porównamy wszystkie prawdy o pewnej jakiejś wartości człowieka w wykonywaniu jego pracy, to jest jedna prawda, która żołnierza najwyżej stawia, jest jeden fakt niezaprzeczony, który się rzuca w oczy, a który tak trudno się przyjmuje, — że żołnierz jest tą istotą, która musi żyć i umierać nie dla siebie, a dla innych. Jest coś, co jest związane ze stanem żołnierza, i czy ten żołnierz gdzieś siekierą czy dzidą wywijał, szukając czaszki przeciwnika i narażając swoją, czy ten żołnierz czy rycerz w szranki wyjeżdżał i bił się z przypiętą na piersi kokardą damy swego serca, czy też musiał patrzeć, stojąc w szeregu, gdy kule korytarze w ciałach ludzkich przebijały, czy też w okopach gdzieś umierał, — to zawsze jest jedna prawda, że żołnierz cierpi i umiera nigdy dla siebie. Więc umiera on dla czegoś, umiera dla kogoś i żyć musi inaczej, niż inni, i czynić to musi także dla kogoś, także dla czegoś. Nie jest to w niczem współmierna praca i współmierne życie z innemi

współobywatelami. Żołnierz walczy i żyje dla wszystkich, podczas gdy wszyscy inni walczą o swoje jedynie interesy. Jest coś, co duszę żołnierską, gdy jest prawdziwa, podnosi, coś, co go czyni piękniejszym wewnętrznie od innych, co łączy wszystkich żołnierzy w jedno — to jest symbol i emblemat narodowy. Kto z naszych współobywateli dla symbolu i emblematu umierać zechce?

A tym symbolem, tym emblematem nie są nasze własne żołnierskie osobiste sprawy, bo żołnierz jest znowu obojętny, czy nad głową dowódców powiewa buńczuk z włosia końskiego, czy kolory i tarcze herbowe królów, czy też ma trupem paść, broniąc biało-czerwonych sztandarów narodowych. Jest coś wyższego, niż wszystkie ludzkie rachunki. jest coś, co jest wyższe nad poziom powszedni. Moi panowie, gdy żołnierz straci szacunek zarówno dla tych emblematów, jak i tego, co jest wyższe, co go wyżej stawia od innych, gdy piękności wewnętrznej niema — boję się o naród taki, gdy próba wojenna wypadnie.

XXIX.

ENUNCJACJE W SPRAWIE POWROTU DO WOJSKA

(styczeń — luty 1926).

LIST DO REDAKTORA „KURJERA PORANNEGO".

(12 stycznia 1926).

Szanowny Panie Redaktorze!

W piśmie Pańskiem, jak prawdopodobnie i w innych dziennikach, został umieszczony komunikat Polskiej Ajencji Telegraficznej o tem, jak „obok innych spraw bieżących" komitet polityczny „postanowił, aby pan prezes Rady Ministrów zwrócił się do pana marszałka sejmu z prośbą o przyśpieszenie prac sejmu nad projektem ustawy o naczelnych władzach wojskowych". Wedle tego komunikatu decyzja taka jest w związku z zapytaniem jednego z panów ministrów, zgłoszonem do pana prezesa Rady Ministrów w sprawie „ewentualnego powrotu do służby czynnej Marszałka Piłsudskiego".

Wobec powyższych urzędowych enuncjacyj śpieszę z publicznem wyjaśnieniem, gdyż jestem już z mnóstwa stron zasypywany pytaniami o mój „zmieniony stosunek" do sprawy ustawy o naczelnych władzach wojskowych. Specjalnie przykremi są mi zapytania wielu moich kolegów z wojska, z którymi spędziłem tyle czasu ongiś we wspólnej służbie na wojnie. Wielu wydać się bowiem może, że traktowano ze mną osobiście

przedtem, nim na komitecie politycznym — podkreślam umyślnie ten termin — radzono nad powrotem moim do służby czynnej na podstawie zgody mojej na ustawę o najwyższych władzach wojskowych.

Nie mogę więc nie zaznaczyć, że powyżej wspomniany komunikat nic wspólnego ze mną nie ma i że nie zmieniłem w niczem swego zdania co do ustawy o najwyższych władzach wojskowych. Uważam tę ustawę dziś, jak i dawniej, za niecną robotę, szkodliwą nie dla wojska jedynie, ale i dla państwa, — w stosunku zaś do mnie osobiście za wyraźny sposób powiedzenia, że Marszałek Piłsudski nie wejdzie do wojska nigdy, nawet przy najwyższem zagrożeniu istnienia samego państwa. Wynika to jasno ze wszystkich moich wypowiedzeń publicznych i oficjalnych, zarówno w stosunku do ustawy o naczelnych władzach wojskowych, jak i do jej autora, pana Sikorskiego.

Nadto nie mogę nie wyrazić swego zdziwienia, że pan prezes Rady Ministrów pomimo moich ostrzeżeń, aż nadto wyraźnych, wypowiedzianych przy początku ubiegłego kryzysu, i ostrzeżeń, wyrażonych w obecności pana prezesa Rady Ministrów przy składaniu Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej mego drugiego oświadczenia, oddał bez porozumienia się ze mną, na co najoczywiściej miał dosyć czasu, moją osobę na to, co nazwałem przy nim „handlem politycznym Marszałkiem Józefem Piłsudskim"! Jest to jeszcze jeden objaw zwyczajów i obyczajów politycznych w Polsce, co do których mogę powiedzieć tylko to, że gdy się kto skarży na złą Konstytucję u nas, to śmiało dodawać może, że jeszcze złą Konstytucję wytrzymać

można, ale złych i znacznie gorszych, niż zła Konstytucja, obyczajów i zwyczajów politycznych zaiste wytrzymać niepodobna.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy należnego szacunku i wdzięczności za umieszczenie mego do Pana listu.

J. Piłsudski.

Sulejówek, 12 stycznia 1926 roku.

WYWIAD I.

(14 stycznia 1926).

— *Ponieważ rząd w komunikacie oficjalnym dał do zrozumienia, że ewentualny powrót Pana Marszałka do czynnej służby w wojsku nastąpi po wejściu w życie znanej ustawy o organizacji naczelnych władz wojskowych, czy nie zechciałby Pan Marszałek wypowiedzieć swego zdania w tej sprawie?*

— Próbowałem już dziesiątki razy od chwili wniesienia tej ustawy do sejmu przez rząd pana Władysława Grabskiego sprecyzować swój bardzo ujemny stosunek do jej treści. Ustawa ta, zdaniem mojem, zupełnie rozmyślnie stawia generała, przewidzianego na wypadek konfliktu zbrojnego na Naczelnego Wodza, w możliwie niejasny stosunek do wojska i w możliwie fałszywą sytuację względem wszystkich instytucyj wojskowych i państwowych. Widziałem w tem wyraźną, niedwuznaczną chęć ubliżenia najcięższej pracy, jaka na oficera spaść może, gdy bierze na siebie naczelne dowodzenie podczas ciężkiej próby, jaka spada na państwo podczas wojny. Dodam zaś panu, że nie mogę nie uważać również samego przebiegu wnoszenia tej ustawy za wyraźną chęć ubliżenia także mnie osobiście. Byłem bowiem proszony przez pana Sikorskiego o danie swojej

oceny projektu ustawy. Dałem opinję bardzo ostrą, wskazując na główne jej braki. Odpowiedzią było zredagowanie jeszcze gorszej ustawy. Gdy zaś pan Władysław Grabski, pod naciskiem opinji, prosił mnie raz jeszcze o wyrażenie swego zdania, uczyniłem to w ubliżający dla pana Skorskiego sposób, powtarzając treść poprzednio danej opinji. Znalazłem potem wniesioną do sejmu ustawę bez żadnej zmiany, mimo, że pan Władysław Grabski nie wypowiedział w czasie konferencji ani jednego słowa.

Następnie zaś, zgodnie zresztą z bardzo niskim stanem przyzwoitości u pana Sikorskiego, rozpowszechniano ze strony ówczesnego rządu stale szeroko idące pogłoski, że ustawa robiona jest specjalnie dlatego, aby zapewnić mi wejście w stan czynny armji polskiej. Uważam więc teraz, jak i dawniej, że pan prezes ministrów Skrzyński, który w przeszłem ministerjum zasiadał, musiał wiedzieć dobrze o celu i podstawach tej ustawy. Z chwilą więc, gdy zdecydował pośpieszyć jak najgwałtowniej z urgowaniem w sejmie ustawy, która szczęśliwie po dymisji panów Władysława Grabskiego i Sikorskiego zaczęła drzemać na wieki, ma ten sam cel, co i pan Sikorski, — wyraźnego pozbawienia Polski mojej służby, nawet w razie konfliktu zbrojnego, gdyby ten na nieszczęście naszego państwa przyszedł!

— *Czy słuszną jest opinja, że jeśli chodzi o stronę merytoryczną sprawy, toczona jest z Panem Marszałkiem walka o instytucję Naczelnego Dowództwa?*

— Proszę pana, uważam całą ustawę za chęć narzucenia po raz drugi instytucji Naczelnego

Dowództwa. Z prawdziwą przyjemnością słyszę to pytanie, gdyż nieraz ze śmiechem przypominam sobie, kto jest właściwym twórcą tak zabawnej i nonsensownej instytucji. Zdziwi się pan, gdy powiem, że twórcą jestem ja sam. Instytucja nonsensowną jest dlatego, że już sama nazwa przeczy istocie dowodzenia wojskiem, gdy jest ona genus neutrum — rodzaju nijakiego, gdy dowodzi wojskiem, prowadzi wojnę tylko Naczelny Wódz. Jestem niesłychanie dumny, że ta śmieszna nazwa tak niesłychanie podobała się moim rodakom, że do niej tak tęsknią, chociaż jestem smutny, że nonsens, do którego zostałem zmuszony, należy do tak trwałych nabytków kultury umysłowej i politycznej Polaków. Wolałbym, żeby było inaczej.

Powiedziałem panu, że byłem w przymusowej sytuacji tworzenia Naczelnego Dowództwa. Byłem bowiem w ubiegłej wojnie postawiony w położenie już rzadkie w obecnej dobie historycznej. Byłem Naczelnym Wodzem i jednocześnie Naczelnikiem Państwa. Zaś Naczelnik Państwa, jak wszyscy przedstawiciele państw obecnie, jest nieodpowiedzialny pod względem sądowym i finansowym. Długo walcząc z sobą w początkach wojny i wiedząc, że każda wojna wymaga wiele pieniędzy oraz że w każdej wojnie dzieje się, niestety, wiele nadużyć o charakterze pieniężnym, wahałem się, czy mam siebie pozbawić, jako Naczelnego Wodza, wielkiej siły pieniądza, czy też odwrotnie — przejść do porządku nad poczuciem odpowiedzialności pieniężnej przy finansowaniu wojny. Po długiem i męczącem rozstrzyganiu różnych wątpliwości zdecydowałem,

że w nowobudującej się Polsce muszę ochronić najwyższego przedstawiciela państwa od wszelkich podejrzeń, że dotyka pieniędzy, co do których zgóry byłem przeświadczony, iż nieraz użyte będą z aż nadto widocznem ocieraniem się o kryminał. Dlatego też wyrzekłem się siły pieniądza i oddałem całą gospodarczą stronę wojny swemu szefowi Sztabu. Dlatego zaś, aby zachować dla pieniądza siłę zcentralizowanego rozkazodawstwa, umyśliłem nazwę Naczelnego Dowództwa dla tej strony wojny, chcąc w ten sposób jasno wskazać, że siły rozkazodawstwa wojennego w ścisłem tego słowa znaczeniu to dowództwo nie posiada. Nie przypuszczałem bowiem na chwilę, że mogą się znaleźć ludzie — co, niestety, okazało się niesłuszne — którzy zechcą widzieć w genus neutrum, w rodzaju nijakim, pozbawionym oznak płci męskiej, ideał narodowy pracy dowodzenia na wojnie.

— *Czy uwagi powyższe odnoszą się do tak zwanego Sztabu Generalnego?*

— Naturalnie, że nie. Sztab jest konieczną pomocą dowodzenia dla każdego dowódcy, tak, że nawet drobna jednostka wojskowa, jaką jest kompanja, ma swój mały sztab, który staje do rozporządzenia dowódcy kompanji i jest pod jego bezpośredniem dowództwem; idąc wgórę, przy każdym dowódcy musi być sztab z określonemi funkcjami dla poszczególnego oficera, będącego w sztabie. Byłoby więc dziwnem i zupełnie niezrozumiałem, gdyby najwyższe dowodzenie miało być pozbawione tego pomocniczego organu. Dlatego też Naczelny Wódz musi posiadać swój własny sztab, najlepiej dobrany przez siebie samego, który mu pomaga w niezwykle skomplikowanej je-

go pracy. Porównuję nieraz ten mus do konieczności posiadania przez każdego dowódcę pewnego rodzaju buchalterji, gdzie zestawiane są w osobnych rachunkach wszystkie elementy wojny. Bez takich stałych zestawień, bez ciągłego wglądania czy w całość rachunku, czy w poszczególne conta, niepodobna dobrze i rozumnie dowodzić. Z chwilą zaś, gdy pan dodaje do sztabu przymiotnik „generalny", wywołuje mi pan w pamięci dwie wielkie postacie wojen ubiegłych: wielkiego Napoleona i znacznie mniejszego od niego Moltkego. Po francusku sztab nazywa się *Etat Major* i każdy z dowódców napoleońskich z natury rzeczy posiadał swój sztab. Napoleon zaś sam posiadał przy sobie, jako najwyższy dowódca, *Etat Major Général* — czyli tytuł wyższy wiązał się z naczelnym wodzem. Była to konstrukcja, stworzona wyraźnie dla wojny i związana ściśle ze stanem wojennym. Inaczej rzecz się miała z Moltkem. Moltke był szefem sztabu generalnego, stałej instytucji państwowej, pracującej dla monarchy, który niekoniecznie i niezawsze mógł być równy w dziedzinie talentów wojskowych tak potężnemu władcy, jakim był Napoleon. Sztab generalny w teraźniejszem tego słowa znaczeniu był więc zabezpieczeniem kraju i państwa od nieudolności lub nieumiejętności naczelnego wodza, którym musiał być dziedziczny monarcha i który przecież mógł być nawet trochę podobny do idjoty lub zajmować się — powiedzmy — sztuką, nauką lub flirtem. Po zwycięstwach Prus i Niemiec, które były w wielkim stopniu zasługą Moltkego, system niemieckiego sztabu generalnego był naśladowany, mniej lub więcej nieudolnie, we

wszystkich państwach. My, w Polsce, znamy najgorszą w Europie kopję tego systemu, mianowicie — austrjacką, i według niej, niestety, kształtujemy sądy swoje i opinje o tym organie pracy wojskowej.

— *A w jaki sposób kwestję tę rozwiązuje projektowana obecnie ustawa?*

— W ustawie z wielkiej tęsknoty do genus neutrum, mającem dowodzić, i z tęsknoty do nonsensu Naczelnego Dowództwa zaniechano cokolwiek ściślej mówić o funkcjach szefa Sztabu Generalnego, aby mu tem większą zostawić swobodę w określeniu swej władzy przez niego samego. Natomiast, jakby dla naigrywania się z oficera, który ma wziąć odpowiedzialność i za tegoż szefa Sztabu Generalnego, postanowiono, że szef Sztabu ma poza nim wszelką moc inicjatywy, że szefowi Sztabu, a nie Generalnemu Inspektorowi podlega bezpośrednio cały aparat pracy i że szef Sztabu wyznaczony jest zgóry, jakby dlatego, aby Naczelnego Wodza stale zdradzał, i że takiego szefa Sztabu z musu będzie musiał przyjąć Naczelny Wódz i na wypadek wojny. Dlatego zawsze twierdziłem w swoich poprzednich wywiadach, że Polska przy takiej ustawie winna szukać na Naczelnego Wodza tylko idjoty albo osła.

— *W liście, ogłoszonym w „Kurjerze Porannym", Pan Marszałek wspomina o swojem drugiem oświadczeniu, złożonem w okresie przesilenia Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej w obecności pana Aleksandra Skrzyńskiego, jako prezesa rządu. Ponieważ treść tego oświadczenia nie była publikowana i przeto nie jest znana opinji, czy nie zechciałby Pan Marszałek udzielić w tej sprawie informacyj?*

— Przy pierwszym pobycie moim u Pana Prezydenta, Pan Prezydent zechciał zapytać mnie o moją radę co do osoby ministra spraw wojskowych, gdy tak wyraźnie przestrzegałem go przed powrotem stosunków, które w wojsku zapanowały przy panach Szeptyckim i Sikorskim. Odpowiedziałem wtedy, że nie jestem w stanie tego uczynić, dopóki Pan Prezydent nie powierzy komuś misji tworzenia gabinetu.

Dlatego, chociaż nie chcę wchodzić w istotne motywy Pana Prezydenta i prezesa ministrów, gdyż o nich nie wiem, — zostałem wezwany do Belwederu po sformowaniu gabinetu bez wyznaczenia ministra spraw wojskowych.

Jestem dotąd wdzięczny Panu Prezydentowi, że w ten grzeczny i lojalny sposób do mnie się odniósł. Złożyłem wtedy inne oświadczenie, którego nie ogłosiłem jedynie na prośbę Pana Prezydenta. Zastrzegłem sobie jednak prawo ogłoszenia tej enuncjacji, nie chcąc jej publikować w czasie pobytu pana Skrzyńskiego w Londynie. Nie chcę i teraz wchodzić w szczegóły tego oświadczenia, powiem tylko, że radziłem wybrać ministra z pomiędzy oficerów, którzy w przeciągu wojny zdobyli sobie szacunek, nie schodząc z pola walki ani chwili, i którzy nie prowadzili żadnych intryg politycznych. Następnie ostrzegałem przed prolongowaniem złych tradycyj austrjackiego sztabu generalnego w armji. Więcej w tej chwili nie chciałbym powiedzieć.

— *Czy pan Aleksander Skrzyński porozumiał się z Panem Marszałkiem w sprawie dysponowania Jego osobą?*

— Stawia mnie pan tem pytaniem w wielki kłopot, gdyż przez słowo „porozumiewać się“ rozu-

mie się zawsze dwie porozumiewające się strony, a ja doprawdy nie wiem, — przy obyczajach i zwyczajach politycznych, panujących w Polsce, które charakteryzowałem jako gorsze od najgorszych konstytucyj, — kto jak rozumie to słowo w stosunku do mnie. Zwyczajem i obyczajem stała się bowiem następująca metoda jakoby porozumiewania się ze mną. Wybiera się sobie kogokolwiek, najliteralniej kogokolwiek z moich znajomych, chociażby był on nawet moim nieprzyjacielem, pyta się go, co Piłsudski o takiej czy innej sprawie myśli, i potem nietylko mówi się, lecz nawet publikuje, że Naczelnik Państwa, że Naczelny Wódz, że Józef Piłsudski w danej kwestji ma takie zdanie, — i w ten sposób porozumienie jest najzupełniej zakończone. Przy przeszłym rządzie panów Władysława Grabskiego i Sikorskiego panowało rozwielmożnienie tego właśnie sposobu porozumiewania się ze mną, jak za najlepszych czasów tak zwanego suwerennego sejmu. Za owych czasów bowiem nie wstydzono się nawet zapomocą posłów zwyczajnych i nadzwyczajnych zagranicą zdanie i opinje Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa fałszować i to wtedy, gdy Polska wojnę prowadziła. Nazywałem to zawsze „handlem i handelkiem imieniem Józefa Piłsudskiego".

Nie wiem, jak pan Aleksander Skrzyński wyobraża sobie porozumiewanie się. W każdym razie stwierdzam, że w ostatnich czasach ani razu go osobiście nie widziałem, oprócz jedynego wypadku w Belwederze po sformowaniu jego gabinetu, i zatem — według mego rozumienia rzeczy — nie porozumiewałem się z nim ani jednego razu.

WYWIAD II.

(19 stycznia 1926).

— *Oświadczenie, zawarte w poprzednim wywiadzie, że Pan Marszałek nie wejdzie do wojska nawet w chwili największego niebezpieczeństwa, jeżeli ma się to stać na podstawie dyskutowanego w komisji wojskowej sejmu projektu ustawy o organizacji naczelnych władz wojskowych, wywołało głębokie zaniepokojenie w wojsku i społeczeństwie. Czy Pan Marszałek nie zechciałby wobec tego wyjaśnić motywów tej decyzji?*

— Opieram się w swojej decyzji na kilku zupełnie jasnych i sprecyzowanych motywach. Po pierwsze — Polska z natury rzeczy nie będzie prowadzić wojny zaczepnej. Wojna więc możliwa jest tylko wtedy, gdy będziemy wojennie zaczepieni. Wówczas w pierwszym krótszym czy dłuższym okresie wojny nieprzyjaciel ma tę przewagę, którą zawsze ma ofenzywa nad defenzywą, to znaczy — on dysponuje lepszem przygotowaniem i rozkładem sił, do którego my musielibyśmy się przystosować. Naturalnie, pan rozumie, iż nieprzyjaciel nie wybiera sposobu ugrupowania sił, wygodnego dla nas. Przy olbrzymiej zaś rozciągłości naszych granic niepodobna ściśle przewidzieć, w jaki właściwie sposób otwartą mogłaby być kampanja przez takiego lub innego nieprzyjaciela. Dlatego też w takim momencie ze strony naszej wyma-

ganą jest od Naczelnego Wodza niezwykła sprężystość i szybkość decyzji, naturalnie — decyzji, zrobionej samodzielnie, oraz odpowiednie przygotowanie przynajmniej wyższych dowódców do różnych ewentualności. Wszystkiemu temu najgruntowniej zaprzeczają prawa i prawidełka obecnego projektu ustawy, w którym rozmyślnie — co podkreślam bardzo stanowczo — wbrew mojej opinji pozostawiono jakieś głupstwa o zatwierdzaniu obowiązkowego planu koncentracyjnego. Jest to takim dla mnie, jako dla Naczelnego Wodza, nonsensem i takiem ciężkiem dla funkcji Naczelnego Wodza ubliżeniem, że wstydziłbym się ciągle przed sobą, gdybym taki nonsens miał na swojem sumieniu. Dodam, że mógłbym się wówczas nagle spotkać z tem, że jakiś plan koncentracji, wynikający z własnej inicjatywy szefa Sztabu Generalnego, byłby podpisany i mnie dany do wykonania. Trzeba pamiętać, że minister spraw wojskowych nie bierze nigdy odpowiedzialności personalnej za wykonanie czegokolwiek podczas starcia zbrojnego, wmieszany bowiem do intryg politycznych lub sam będąc roznamiętnionym politykiem — łatwo pada. Proponowany więc przez ustawę system, tak jaskrawo pomijający zmiany prac państwa w razie wypadku starcia zbrojnego, jest zupełnie niemożliwy dla mnie do przyjęcia. Powtarzam raz jeszcze, że widzę w tym projekcie ustawy zawsze i ciągle chęć odebrania Naczelnemu Wodzowi siły dowodzenia na rzecz jakiegoś Naczelnego Dowództwa i dania wszystkim możliwości szkodzenia Naczelnemu Wodzowi bez niesienia za niego realnej odpowiedzialności za prowadzenie wojny.

Drugi mój motyw jest to smutne doświadczenie, które wyniosłem, jako Naczelny Wódz, w czasie wojny. Nie da się nigdy zaprzeczyć, że główną podstawą powodzenia na wojnie jest moralna strona stosunku do wojny narodu, maszyny państwowej oraz żołnierzy. Największy genjusz wojenny nie potrafi przełamać, że się tak wyrażę, *moral insanity*, gdy ta jest silną w danym konglomeracie ludzkim, który czy nieopatrznie poszedł na wojnę, czy też był do niej zmuszony. Otóż pod tym względem doświadczenie moje z ubiegłej wojny dało mi jeden pewnik, który już podkreśliłem w swojej książce *Rok 1920*. Mogę sobie bowiem przypisywać zasługę zwycięstwa, lecz jasno sobie zdaję sprawę, że opierałem się w dowodzeniu i zwycięstwach na jednej tylko części narodu, która walczyła zawzięcie i wykazała ogromną ofiarność na rzecz obrony samoistności polskiej, robionej własnemi polskiemi rękami. Odwrotnie zaś, nie mogę nigdy zapomnieć rozwydrzenia innej części dość, niestety, licznej, która nie wahała się nigdy prowadzić w wojsku na froncie agitacji o charakterze destrukcyjnym w stosunku do dyscypliny wojskowej, skierowując przedewszystkiem wszystkie swe nicene ataki przeciwko mnie, jako Naczelnemu Wodzowi.

Stwierdzam też wyraźnie, iż wpływ tej *moral insanity* na ducha i treść omawianej ustawy jest aż nadto widoczny. I rozumie pan, iż nie chcę być sługą takiej ustawy, która wyraźnie zmierza do powtórzenia, już na podstawie prawa, tego samego gorszącego widowiska.

Wreszcie dodam trzeci motyw, który bardzo silnie wewnętrznie odczuwam. Jest to wyraźna i sil-

na niechęć moja do przeżywania tych wewnętrznych buntów, przez które przechodzę nietylko ja, lecz i wszyscy ci, specjalnie w wojsku, którzy uczciwie i wiernie, nie myśląc o własnym interesie i własnej kieszeni, służyli ojczyźnie, nie poto przecie, ażeby w stosunku do nich państwo zatraciło wszelką miarę przyzwoitości, systematycznie i stale. Wewnętrzny bunt, nad którym już nie chcę zupełnie panować, istniał w czasie całej ubiegłej wojny i kosztował mnie tyle, że napełnił mnie wstrętem do znoszenia jakiegokolwiek ubliżania. Nie ukrywam też tego nigdy przed moimi kolegami wojskowymi. I gdy, jak widzę, różni panowie chcą się opierać nie na poczuciu tych, którzy w ubiegłej wojnie dawali swe życie i krew, lecz na poczuciu tych, którzy od tego obowiązku uciekali lub robili przy wojnie geszefty, — to nie mam najmniejszej chęci łączyć z tem mego nazwiska, jak to wyraźnie już oświadczyłem panom Władysławowi Grabskiemu i Sikorskiemu w związku z tą ustawą. Uważałbym to za potwierdzenie, że z wojskiem, idącem na wojnę, można postępować niżej znanej mi w historji przeciętnej przyzwoitości. Na takiego Naczelnego Wodza nie jestem urodzony i jeszcze raz powtarzam — niech Polska szuka sobie na ten posterunek idjoty, osła lub szui.

— *Czy wobec odejścia od władzy osób, które wniosły tę ustawę, nie uważa Pan Marszałek, że zaszły nowe fakty, które mogłyby zapowiadać zmianę atmosfery pracy wojskowej?*

— Proszę pana, nie mogę nie stwierdzić faktów zanadto wyraźnych, wskazujących, że ta tak zwana przez pana atmosfera stęchła i duszna niełatwo się oczyszcza. Nie będę długo mówił. Przedstawię

tylko jeden fakt, który mnie najwięcej uraził. Jest to sprawa generała Dreszera. Jak pan wie, w rocznicę powstania Polski zeszła się u mnie w Sulejówku dość duża ilość oficerów, by mi wyrazić swoje serdeczne uczucia, w dniu, w którym w roku 1918 państwo i wojsko stanęło pod moją władzą, przy zupełnym prawie chaosie, w jakim zastałem Polskę, wróciwszy z Magdeburga. Bardzo być może, że jakaś komisja historyczna, ad hoc zwołana, wykreśli te pamiętne dni z historji i stwierdzi zapomocą sfałszowanych dokumentów, że Polska została zbudowana w roku 1914 przez trzy koła polskie trzech zaborczych *Reichstagów i Dum*. Bardzo być może, że stanie się to nawet prawdą oficjalną rządu. Lecz dotąd nią nie jest i specjalnie być nią nie może dla oficerów, którzy pod mojem dowództwem odnosili tak świetne zwycięstwa. Na zebraniu tem w imieniu kolegów przemawiał generał Dreszer. Wówczas pan Sikorski, upadający już minister spraw wojskowych, za uczczenie Józefa Piłsudskiego karnie przenosi generała Dreszera z Warszawy do Poznania, dodając, iż dyscyplina wojskowa polega na tem, że oficer musi być karany, gdy w organach prasy, płatnych zresztą przez tegoż Sikorskiego lub kogo innego, sprawa jest uważana za polityczną. Gdy zaś na szczęście dla wojska i dla Polski Sikorski odszedł, atmosfera — jak pan mówi — wytworzona przez rząd poprzedni, nie została oczyszczona. Mimo bowiem, iż fakt tej szykany w stosunku do generała Dreszera wywołał silne wzburzenie w wojsku i choć, o czem wiem zupełnie dokładnie, generał Żeligowski cofnął to wstrętne zarządzenie, wyciągnięto cały arsenał prawniczych wywodów, tym razem z rozkazu pana

Stanisława Hallera, także wówczas ustępującego szefa Sztabu Generalnego. Gdy zaś powiem panu, na czem główny prawniczy wywód polegał, który przeciągnął tak długo sprawę dochodzenia przeciwko generałowi, szanującemu swego Naczelnego Wodza, to pan tak łatwo nie zada pytania o oczyszczeniu atmosfery. Wywód bowiem prawniczy, jako podstawa dochodzeń, polegał na następującem: generał Dreszer przez swoje przemówienie nie zrobił nic, coby mogło podpadać pod jakiekolwiek określenie występku. Lecz „mógł wzbudzić wątpliwość", czy czasami nie mógł być podejrzany o brak całkowitej gotowości podlegania swemu bezpośredniemu dowódcy, co dodam — w tym wypadku — oznacza generała Konarzewskiego, dowódcę I Okręgu Korpusu, który był razem z tymże generałem Dreszerem u mnie w Sulejówku. I na podstawie tak dziwacznego pojęcia o prawie miano szykanować generała Dreszera, znanego nietylko u nas, ale i na całym świecie, gdzie się tylko zajmuja praca jazdy, jako jeden z najwybitniejszych kawalerzystów. Chciano szykanować generała, będącego chlubą naszej armji, dlatego, że w imieniu całego grona oficerów złożył hołd byłemu Naczelnikowi Państwa i byłemu Naczelnemu Wodzowi, który sztandary wojsk polskich otoczył laurem zwycięstwa, tak dawno nieznanego Polakom. Ten jeden fakt wystarczy na dowód, że atmosfera nie została oczyszczona. Świadczy on bardziej o sile *moral insanity*. A faktów, proszę pana, podobnych, świadczących o niezwykle niskim poziomie przyzwoitości publicznej, mógłbym naliczyć tysiące i to nietylko w wojsku. Radziłbym panu stanowczo, tak, jak i wielu Polakom, nie być tak naiwnym w przy-

puszczeniach i dobrze przypomnieć sobie szczegóły z historji naszej od roku 1918 aż po dzień dzisiejszy.

— *Jeszcze jedno pytanie, Panie Marszałku. W różnych sferach politycznych, mniej lub bardziej oficjalnych, mówi się, że przez wprowadzenie pewnych zmian do obecnej ustawy mogłyby zostać stworzone warunki powrotu Pana Marszałka do wojska. Propagowana jest nawet teza, że jest to najlepszy sposób wejścia Pana Marszałka do pracy wojskowej. Jaka jest opinja Pana Marszałka o takiem postawieniu sprawy?*

— Wątpię, aby ten środek w czemkolwiek pomógł. Chyba odwleka pan rozstrzygnięcie sprawy, związanej ze mną, nie na miesiące, a na lata. Natomiast stwierdzam jedno, że ustawa ta po przejściu przez dwa czytania, przez poprawki, dodawania i ujmowania: słów, pojęć i paragrafów — nie została zasadniczo zmieniona. Natomiast zwiększono śmieszność i dziwaczność jej formy, a zarazem tak zatracono poczucie logiki w jej treści, że stanowi to najbardziej charakterystyczną cechę tego projektu ustawy w obecnej jego fazie. Wątpić muszę, czy z tej poczwarki może się rozwinąć jakikolwiek motyl.

WYWIAD III.

(9 lutego).

— *Prasa codzienna przyniosła wiadomość, że toczą się z Panem Marszałkiem pertraktacje o wejście do czynnej pracy w wojsku. Czy Pan Marszałek nie zechciałby udzielić informacyj w tej sprawie?*

— Proszę pana — nie mogę twierdzić, aby pertraktacje z panem prezesem gabinetu były w jakikolwiek sposób toczone. Wobec tego wolę to nazwać rozmowami, które raczej, mówiąc językiem dyplomatycznym, były długotrwałem i męczącem dla mnie *pourparler*, które wreszcie absolutnie zerwałem wczoraj.

— *Czy można prosić Pana Marszałka o oświetlenie motywów tej decyzji?*

— Motyw zawsze jest jeden i ten sam. Jasno zawsze wypowiadałem się, że ustawa o najwyższych władzach wojskowych, wniesiona do sejmu przez poprzedni rząd, jest szkodliwa dla państwa, szkodliwa dla wojska, a jednocześnie ma charakter umyślnego ubliżenia mnie, Józefowi Piłsudskiemu. Dlatego też przy wszystkich *pourparler*, jako pierwszy warunek jakichkolwiek poważniejszych rozmów, stawiałem wycofanie tej ustawy z sejmu, do czego, jak wiadomo, jest zawsze upoważniony rząd i prezes ministrów. Z chwilą zaś, gdy się dowiedzia-

łem o próbie aktywowania tej ustawy z takiemi czy innemi odmianami, czy nowemi dodatkami, zdecydowałem jasno i wyraźnie nie znosić nadal ubliżającej w stosunku do mnie, a sądzę i wojska, gry handlowania między stronnictwami i partjami oraz prezesem Rady Ministrów. Zwrócę panu uwagę, że do takich metod w stosunku do mnie jestem przyzwyczajony w tem państwie i doskonale cele i zamiary tej gry rozumiem. Gra taka jest prowadzona tak dawno, jak państwo polskie istnieje, i wynika ona stąd, że jestem człowiekiem, zmuszającym swoją pracą do szacunku dla siebie, niezależnie od stosunku do mnie, wypływającego z jakichkolwiekbądź innych względów. Byłem Naczelnikiem Państwa i zdołałem w roku 1918 zapewnić spokój i wyrastanie państwa mimo powszechnego zatracenia się w powodzi zjawisk, wobec których zdziczałe w tchórzostwie i upokorzeniu niewoli społeczeństwo wyglądało tak, jakgdyby drżało przed samem istnieniem Polski, jako niepodległego państwa. Zdołałem otoczyć sztandary nasze tak wielkiemi zwycięstwami, jakich nawet pradziadowie nie znali, i dokonałem tego wówczas, gdy to samo tchórzostwo czyniło orła białego żółtym ze strachu. Dosyć przypomnieć Spa, któremu zaprzeczyłem zwycięstwami, i niecną jazdę do głównej kwatery nieprzyjaciela podczas zagrożenia stolicy. Wreszcie, wbrew zwyczajom polskim, potrafiłem, odchodząc — z powodów politycznych — od pracy państwowej, nie żądać nic od ubogiego państwa, a zapewnić sobie i swojej rodzinie życie własną pracą. Rozumiem dobrze, że nad takim człowiekiem niełatwo jest przejść do porządku, dopóki jeszcze oddycha i żyje. Lecz nigdy nie rozumiałem i nie ro-

zumiem braku odwagi cywilnej u ludzi, którzy gotowi są zawsze zapewniać, że o powrocie moim do pracy państwowej tylko marzą, robiąc przy tem, jak małe pieski, wszystkie możliwe małe, drobne, nikczemne obrazy w rodzaju komisji historycznej z fałszywemi dokumentami, w rodzaju prób dyskutowania stale o mnie beze mnie, jakoby dla dogodzenia i satysfakcjonowania mnie. System ten, tak stały w naszem państwie, który, sądziłem, będzie po upadku poprzedniego gabinetu zaniechany, został z lubością przyzwyczajeń wznowiony w całej rozciągłości, z całą nienależną takiej procedurze powagą, i to w kwestji obrony państwa w razie konfliktu zbrojnego, gdzie wszyscy najspokojniej twierdzą ciągle, że jedynym człowiekiem, który w tym wypadku wziąć musi na swoje barki całą odpowiedzialność, ma być nie kto inny, jak zwycięzca we wszystkich bitwach, które prowadził osobiście, Józef Piłsudski. Nie mogę przemilczeć, że uważam ten intrygancki system za ubliżający pracy, którą wykonałem dla państwa.

Gdy zaś pomyślę, że ten system, związany z ustawą, jest nie czem innem, jak aktywizowaniem wszelkiego rodzaju „Naczelnych Dowództw", jako prawa dla Polski, i gdy z własnego doświadczenia wiem, jak to instytucje „Naczelnych Dowództw" ułatwiały swoją pracą nie komu innemu, jak nieprzyjacielowi, uzyskanie przewag nad nami, — nie mogę nie być oburzonym na ludzi, którzy nigdy w skórze żołnierza nie byli, gdyż przeważnie od służby w wojsku uciekli, a później wyciągnęli ręce po beneficja, związane — dla mnie zupełnie wyraźnie — z ustawą o najwyższych władzach wojskowych.

— *A czy Pan Marszałek omawiał tę kwestję z ministrem, generałem Żeligowskim?*

— Pan generał Żeligowski stale rozmawiał ze mną i twierdził, że za główne zadanie poczytuje sobie wprowadzenie mnie do czynnej służby w armji. To też był dzisiaj u mnie i oświadczył, że czyni ostatnią próbę spowodowania cofnięcia tej ustawy z sejmu. Poszedł, o ile mi się zdaje, z gotową dymisją w kieszeni. Nie mogę więc nic, jak dotąd, zarzucić generałowi Żeligowskiemu, który, zdaje się, przy tej szarpaninie stracił nawet na zdrowiu.

— *Czy dymisja ministra Moraczewskiego pozostaje w jakimś związku z tą sprawą?*

— Pan Moraczewski stawiał jako jeden z postulatów przy wstępowaniu do gabinetu — jak mi to sam oświadczył — powrót mój do wojska, nie chcąc być ministrem, jeśli sprawa ta nie jest stanowczo zdecydowana. Prosiłem go wówczas, a było to przed samem sformowaniem gabinetu, by zechciał nie wiązać swojej osoby z tą sprawą. Uczyniłem zaś tak dlatego, że ceniąc wysoce tyloletniego mego przyjaciela i jego zawsze uczciwą i rozumną dla państwa pracę, nie chciałem mieć na swojem sumieniu zwiększenia jego kłopotów nietylko w rządzie, ale i we własnym klubie. Pan Moraczewski narazie się zgodził, lecz wiem, że będąc również drażliwym na wady naszych urządzeń politycznych, stawiał wniosek w rządzie o rozpoczęcie pertraktacyj ze mną. Zaplątał się prawie natychmiast w sieciach metod, tak mi dobrze znanych, a które opisywałem wyżej. Lecz wyjście pana Moraczewskiego z gabinetu — zgodnie z jego wyjaśnieniami — nie jest wcale ze mną związane. Chyba ten splot intryg i różnych machinacyj przyczynił się do wewnętrz-

nego stanu niezadowolenia, o co już nie chciałem pytać przyjaciela.

— *Czy Pan Marszałek ma jakieś przypuszczenia co do konsekwencyj wczorajszego — jak Pan to określił — zerwania pertraktacyj?*

— Droga, o ile mnie się zdaje, jest otwarta dla nowej ery Sikorskiego, gdyż mocno wątpię, żeby przy takiem mojem postawieniu sprawy łatwo było znaleźć wyższego oficera, któryby się podjął po próbie generała Żeligowskiego powtarzać jego doświadczenia.

WYWIAD IV.

(11 lutego 1926).

— *Wczorajsze posiedzenie Rady Ministrów rozbudziło rozmowy na temat, czy Pan Marszałek nie nabrał większej ufności, niż przy ostatnim wywiadzie?*

— Ależ, panie! System, o którym w poprzednim wywiadzie mówiłem, święci swój najwyższy triumf w tem posiedzeniu, gdyż nie kryje się nawet wcale — może dlatego, że już nie potrafi — za żadne zasłony przyzwoitości. Czyż nie jest to zabawnem, gdy dla jednego z obecnych ministrów, który zasiadał również i w poprzednim gabinecie, powodem, dla którego dowodził dokładnie i szeroko potrzeby zaniechania natychmiastowego wycofania znanej ustawy pana Sikorskiego, jest to, że nie można tego uczynić bez dokładnego namysłu i bez wejścia in meritum sprawy na specjalnem posiedzeniu Rady Ministrów. Stąd, widzi pan, wynika, że takiemu panu, który z wojskiem, naturalnie, nigdy nie miał do czynienia, nie wystarcza zdanie człowieka, który ze świeżo sformowanem wojskiem odnosił zwycięstwo za zwycięstwem. Prawdopodobnie ten pan, należąc do pewnego stronnictwa, ma patent na fachowca specjalnie wojskowego. Lecz podziwu godną jest odwaga śmieszności, że roztrząsając tę samą sprawę w poprzedniem i upadłem ministe-

rjum przed wniesieniem ustawy Sikorskiego do sejmu i będąc, naturalnie, obecnym i czynnym przy roztrząsaniu tejże ustawy w sejmie w ciągu roku, nie ma teraz dosyć tej „pięknotki-ustawy". a chce się nią nasycić i nalubować raz jeszcze, dyskutując ją in meritum w rządzie. Widocznie są argumenty, które silnie łączą obu fachowców wojskowych, pana Sikorskiego i danego ministra.

Byłoby więc dziwnem, gdybym mógł — jak pan mówi — mieć jakąkolwiek ufność, że interesy wojska, oprócz zmniejszenia budżetu i podrzucania biednemu generałowi Żeligowskiemu coraz to nowych deficytów z okresu rządów wojskiem jego poprzednika, znajdą zrozumienie w tym rządzie. Przypuszczam nawet, że zamówioną będzie jeszcze jedna komisja historyczna z nowymi czy dawnymi historykami, z udziałem może innych, lecz dobrze znanych generałów, autorów cennych pism historycznych, dla dowiedzenia, że żadne zwycięstwa nie były mojemi, lecz wszystkich „Naczelnych Dowództw", natomiast mojemi były wszystkie deficyty, powstałe ze wszystkich nadużyć, które czyniono podczas wojny i podczas pokoju.

— *Już kilkakrotnie pozwoliłem sobie niepokoić Pana Marszałka pytaniem w sprawie oficjalnych Jego wypowiedzeń się w sprawach wojskowych. Czy mógłby Pan Marszałek obecnie, choć w pewnej mierze, zadowolić ciekawość publiczną, gdyż wiele osób przypuszcza, że jednak pertraktacje z nim miały miejsce, a nawet rozpowszechniane jest mniemanie, że obecnie w wojsku dzieje się wszystko według zamierzeń Pana Marszałka?*

— Znana lojalność moja nakazywała mi powstrzymywać się od wyjawienia niektórych moich

jasno sformułowanych i zupełnie oficjalnych oświadczeń. Tak więc zaniechałem opublikowania mego drugiego oświadczenia, złożonego Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej po sformowaniu gabinetu pana Aleksandra Skrzyńskiego, bez obsady teki ministra spraw wojskowych. Nie zrobiłem tego, ponieważ pan Aleksander Skrzyński wyjeżdżał w tym czasie zagranicę, jako minister spraw zagranicznych, reprezentując w ten sposób Polskę. A chociaż nie należę do czcicieli jego polityki zagranicznej, nie umiem trzymać się zwyczajów tego kraju, nakazujących niektórym nawet stronnictwom kompromitować przedstawicieli swej ojczyzny, którzy ją reprezentują nazewnątrz. Przypomnę z własnego doświadczenia moje wizyty, jako Naczelnika Państwa, w Paryżu i Sinaja, i przypomnę upadek ministra spraw zagranicznych Sapiehy, gdy reprezentował Polskę na posiedzeniu Rady Ligi Narodów w Brukseli. Nie chciałem więc i w tym wypadku utrudniać sytuacji panu Aleksandrowi Skrzyńskiemu. Nie chcę zaś teraz, gdy tego zaniechałem poprzednio, roztrząsać tego oświadczenia w całości. Nie mogę jednak nie powtórzyć paru zawartych w nim spraw. Jedna z nich — zdaniem mojem — jest dokładnie ilustrowana i obecnym problematem, nad którym tak uporczywie chce sobie suszyć głowę rząd dzisiejszy. Mówiąc o sposobie pertraktacyj, które odbywały się w sejmie przed sformowaniem koalicyjnego rządu, pisałem między innemi w swojem oświadczeniu: „Wyrażam przytem swoją wielką obawę, że zgodnie z mojem ostrzeżeniem, stronnictwa więcej znacznie dbały o swoje prywatne do państwa interesy, niż o interesy moralne wojska — boję się zaś, że w tych ma-

terjalnych czasach — i o najzwyczajniejsze elementarne potrzeby żołnierza polskiego". Proponując kandydatów na posterunek ministra spraw wojskowych Panu Prezydentowi, ostrzegłem go również przed pielęgnowaniem tradycji austrjackiej w naszym Sztabie i to w następujących słowach: „Radziłbym dla uzdrowienia stosunków pominąć przy wyborze szefa Sztabu jakiegokolwiek oficera z dawnej austrjackiej służby sztabu generalnego, a to dlatego, że wydaje mi się, iż czas już zerwać z tradycjami w naszym Sztabie najgorszej tradycji austrjackiego sztabu generalnego. Oficerowie tego typu tak łatwo, niestety, wpadają w papierowy system biurowych swarów i uzgodnień bez końca, że narażają każdą rozpoczętą pracę na nieuniknione zatrzymanie, wprowadzając brak poczucia odpowiedzialności. Wreszcie mają taką skłonność do sekatur i szykan wszelkiego rodzaju i do tolerowania wszelkich nadużyć lub ukrywania ich dla zużytkowania w celu wymuszania, że przypominają najgorsze czasy panowania *K. Stelle* i personalnych oddziałów w sztabach austrjackich". Nie chcę i tym razem, jak i w samem oświadczeniu, pominąć zastrzeżenia, które brzmiało: „Nie mogę nie zauważyć przytem, że nie chcę nie pamiętać serdecznie o tych miłych kolegach z austrjackiej służby, którzy w pracy tych kardynalnych wad nie posiadali". Jeżeli więc pan z dymisji generała Stanisława Hallera czy z niewprowadzenia na nowe rządy wojskiem autora ustawy o najwyższych władzach wojskowych wnosićby chciał, że wszystko — jak pan mówi — w wojsku dzieje się według mojej chęci lub rady, to pan się myli. Wszak razem jesteśmy świadkami zjawiska,

które scharakteryzowałem w poprzednim wywiadzie, gdy w jego zakończeniu powiedziałem, że praca obecna rządu jest wyrównywaniem drogi do powrotu dwu generałów, którzy najbardziej zaszkodzili wojsku i przed którymi ostrzegałem Pana Prezydenta, pana Szeptyckiego i pana Sikorskiego.

— *A więc, Panie Marszałku, bez zmiany?*

— Bez zmiany.

WYWIAD V.

(16 lutego 1926)

— *Ponieważ wywiady, udzielone nam uprzejmie przez Pana Marszałka, wywołały na łamach prasy dość obfitą dyskusję na temat wojska i jego roli w państwie, czy Pan Marszałek nie zgodziłby się dać swoje miarodajne oświetlenie tego zagadnienia?*

— Proszę pana — niedawno miałem wśród oficerów odczyt w tej sprawie. Nieraz. gdy o tem myślę, wydaje mi się, że ta prosta skądinąd kwestja w Polsce została tak śmiesznie skomplikowana i tak po cudacku wykrzywiona, iż wydaje się być najlepszem świadectwem tego, czego dowodziłem w swoim odczycie w sali Szkoły Podchorążych. Dowodziłem bowiem tam historycznie, że Polska tradycji wojskowej nie posiada wcale, gdyż sięgaćby musiała aż do epoki Piastów i Jagiellonów, do czasów więc dość zamierzchłych. by do tej tradycji się dokopać. We wszystkich bowiem późniejszych epokach Polacy starannie raczej z instytucją wojska walczyli i od niej się odsuwali, niż się nią serjo zajmowali. Specjalnie zaś w tem pokoleniu, w którem żyjemy, istnieje wyraźna niechęć do ujmowania sprawy wojska, jako jednej z konieczności życiowych każdego państwa, przynajmniej dotąd, — będąca skutkiem wyraźnego znikczemnie-

nia umysłu polskiego po klęsce 1863 roku. Wojsko — proszę pana — istnieje wszędzie, gdzie tylko istnieją państwa zorganizowane. Słusznie czy niesłusznie tak jest, — nie ulega to żadnej wątpliwości i żadna komisja historyczna, chociażby ad hoc zwołana, nie potrafi temu zaprzeczyć. Istnieje więc i u nas i mimo wyraźnej niechęci po temu, może nietyle obywateli, ile ich przedstawicieli w sejmie i rządzie, pochłania nawet sporą ilość funduszów publicznych z naszego budżetu. Lecz zato sama treść wojska i związane z tą treścią interesy życia, nawet codziennego, są najzupełniej dalekie od wszystkiego tego, czem się codziennie zajmują panowie z sejmu i panowie z rządu. I nie dziwota! Na 600, powiedzmy, głów, mających myśleć centralnie o państwie, znajdziemy nie więcej, niż 20, należących do ludzi, którzy w wojsku, chociażby w szarży najniższej, służyli, i którzy z tej służby wynieśli wrażenia i wspomnienia, na czem właściwie ta służba polega. I ci tylko mogliby odpowiadać na pytanie, gdzie właściwie człowiekowi, zapiętemu w mundur, jest ciężko, jak właściwie myśleć może taki obywatel, ćwiczący w koszarach czy w polu: jak, naprzykład, i od czego zależy karjera służbowa podoficera czy oficera: nawet czego właściwie uczą żołnierza na ćwiczeniach i co z tego pozostaje czy w głowie, czy w przyzwyczajeniach człowieka, który służbę wojskową przeszedł. Jeżeli, naprzykład, każdy z tych 600 panów razem — powiedzmy — z panem i ze mną, po 8 latach ćwiczeń w szkołach średnich spokojnie i ze śmiechem mówi, że nie potrafiłby teraz *à livre ouvert* przetłumaczyć Herodota, Homera, czy Liwjusza, to żaden z tych panów nie ma tych podstaw do sądzenia, co po

kilku zaledwie miesiącach służby wojskowej zostaje w głowach ze skomplikowanej do nadzwyczajności obecnej musztry bojowej, powiedzmy, kompanji piechoty. A jednak o tem w podskokach, wesoło po rządach i sejmach się krzyczy.

Wojsko w Polsce, jak i wszędzie, jest zupełnie specjalną funkcją państwową, odrębną w zasadzie od innych. Ba! rozmyślnie wyłączoną jest ta funkcja z reszty społeczeństwa przez zakaz wpływu nawet głosem, oddanym przy wyborach, na życie polityczne. Dlatego zapytać się godzi, czemu to życie wojskowe, tak rozmyślnie wyłączone z życia politycznego, ma jednak zależeć co dnia tak bardzo od kaprysów tego życia politycznego? Tem jest konieczniejsze to pytanie, gdy zgóry rzec można, że to życie polityczne czy w sejmie, czy w rządzie żadnego zainteresowania w stosunku do tego życia w wojsku wcale nie ma i mieć nie chce, a racjonalnego sądu wyrazić nie może, choćby chciało. Istnieje w tem wszystkiem sprzeczność, która — niech mi pan wierzy — głęboko i nadzwyczajnie upokarza każdego z myślących żołnierzy, którzy nie tak łatwo chcą zostać *à la merci* zmiennych fluktów i humorów panów posłów i senatorów. Specjalnie, gdy widzę, jak w tych zmiennych humorach wybitną rolę ma gra najbardziej poziomych interesów czy to wybrańców, czy wyborców.

— *Z tego, co Pan Marszałek powiedział, zdaje się wynikać, że nasz parlament i rządy nie doceniają zasadniczej sprzeczności między życiem wojska i społeczeństwa. Czy dobrze zrozumiałem myśl Pana Marszałka?*

— Ale owszem. Chcę jeszcze bardziej tę sprzeczność uwydatnić, gdy powiem, że wojsko na całym

Bożym świecie, a więc i u nas, jest ciągle uczone tylko jednej rzeczy, mianowicie — jak bić się najlepiej na wojnie i jak nauczyć się zwyciężać nieprzyjaciela w zbrojnem starciu, wtedy, gdy życie wszystkich innych obywateli niewojskowych biegnie torem ściśle pokojowym, nie szukając ani w myślach, ani w zamiarach tego, co jest wojną. Więc z chwilą, gdy tak jest, a to sobie spokojnie w oczy powiedzieć zawsze należy, nie wolno ani przenosić swojej niechęci do prowadzenia wojny na wojsko, które, pomimo pokojowości życia, pełni swą służbę na wypadek wojny, — ani też ze zmienności pokojowych prac politycznych wnosić o konieczności podporządkowania tej zmienności i funkcji wojska w państwie, gdy, powtarzam, jest ona tak rozmyślnie wyodrębniona od życia politycznego, pędzonego w pokoju.

— *Przechodząc — jeśli wolno — od teorji do praktyki, czy dwuletnie perypetje projektów ustaw o organizacji naczelnych władz wojskowych nie są, zdaniem Pana Marszałka, ilustracją przeoczenia tego właśnie problemu u naszych parlamentarzystów?*

— Ustawy, o których pan mówi i o których mówiliśmy już nieraz, mają dwie, że tak powiem, strony, z których je zawsze ujmuję. Jedna z nich— to chęć uwiecznienia złych doświadczeń raczej wojny ubiegłej, niż pokoju, uwiecznienia kiepskich tradycyj „Naczelnych Dowództw" i sposobu finansowania wojny. O tem mówiłem już z panem nieraz. Lecz niechybnie, gdy się pomyśli o metodzie, z jaką ustawa ta była traktowana, i gdy się przypomni jej całe liche i marne życie w komisji wojskowej sejmu, z dodatkami, poprawkami i istotnemi motywami oraz środkami, zapo-

mocą których te poprawki, dodatki i zmiany przeprowadzano. — to jest ona istotnie największą, choć najlichszą, ilustracją tego, co poprzednio mówiłem. Święciły przy tej ustawie triumf wszystkie macherstwa i pokątne doradztwa wszystkich konwentyklów i tajnych układów w sejmie. niekiedy nawet nie stronnictw, ale poszczególnych posłów, w związku z ich wygodami najzupełniej prywatnemi, tak, że wydawaćby się mogło, iż prywatna wygoda dalekiej, może bardzo dalekiej kuzynki jakiegoś posła jest rzucona na szalę jedną obok takiej czy innej dostawy wojskowej, gdy na drugiej szali waży się krew ludzka, czyli żołnierska, metody przygotowania wojska do możliwych konfliktów zbrojnych, no i wszystkie sprawy, związane z życiem codziennem wojska, zarówno podczas pokoju, jak i wojny.

— *Czyżby to było możliwe, Panie Marszałku?*

— Niech pan nie będzie zanadto naiwny i niech pan więcej czasu poświęci piciu czarnej kawy lub czegoś mocniejszego, o ile stać pana na to, w bufecie sejmowym, gdyż dam panu zaraz jedną z najwspanialszych ilustracyj, z której obecnie przy swojej rekonwalescencji, leżąc w samotności na kanapie, nieraz pękałem ze śmiechu. Myślałem mianowicie o różnych perypetjach sojuszów i koalicyj, przez które przebiegł nasz sejm i nasi politycy w tak niedawnych jeszcze czasach. Niech pan sobie przypomni, naprzykład, nagły i niespodziewany sojusz dwóch panów, pana Stanisława Grabskiego z panem Stanisławem Thuguttem, przeciwko któremu zażartą prowadził walkę pan Norbert Barlicki. Niech pan teraz kota odwróci ogonem i zrobi nowy sojusz, pana Stani-

sława Grabskiego z panem Norbertem Barlickim z wykluczeniem pana Stanisława Thugutta. I niech pan pomyśli tylko, czy może wpływać na karjerę i służbę oficera i podoficera to, że przy czarnej kawie w bufecie sejmowym zgodnie czy niezgodnie rozmawiają ze sobą pan Norbert Barlicki z panem Stanisławem Grabskim. Niech się ci panowie całują w ten czy w inny sposób po buziach, niech w ten czy inny sposób czynią do siebie grymasy, niech sobie wygrażają pięściami lub te czy inne obiecują beneficja, lecz na miły Bóg, cóż to ma lub może mieć z urządzeniem wojska, z jego codzienną pracą, z kwalifikacją zdatności tego czy innego oficera do dowodzenia pułkiem, czy tego lub innego generała do dowodzenia dywizją? Są to rzeczy w żadnym wypadku niewspółmierne i gdy, naprzykład, jutro pan Stanisław Thugutt z panem Norbertem Barlickim siądą do stołu bez pana Stanisława Grabskiego, to znowu z tego nie można wyciągać wniosku o nowych poprawkach do ustaw o naczelnych władzach wojskowych, ani też o zmianie nauczania i ćwiczenia żołnierzy w koszarach czy w polu. Są to rzeczy całkiem dla treści życia wojskowego obojętne i żadnego między sobą logicznego związku nie mające. A jednak ustawy o naczelnych władzach wojskowych były prowadzone nie inną metodą, jak dogadzaniem głupstwom, gadaniu o wojsku i jego pracy i jego dowódcach przy tym czy innym stoliku z czarną kawą lub innemi napojami w bufecie sejmowym. A przeciągając dalej ten obrazek, możnaby było powiedzieć, że nawet los jakiegokolwiek paragrafu mógłby zależeć od mniejszego lub większego zadowolenia mniej lub więcej

dalekiej kuzynki mniej lub więcej wybitnego męża stanu.

— *Wobec tego, że kwestja wycofania tej ustawy jest aktualna, czy Pan Marszałek nie zmienił swej wypowiedzianej w poprzednim wywiadzie prognozy?*

— Kochany panie, — pyta mnie pan za każdym razem o to samo. Już z samego faktu zwlekania z tą prostą koniecznością to o jeden, to o dwa, to o cztery, to o pięć dni winienby pan wnosić o słuszności mojej prognozy, jasnej i niedwuznacznej. Brzmi ona zawsze jednakowo, a mianowicie: dla prolongowania zwyczajów i obyczajów, nabytych w dwóch sejmach, które to zwyczaje i obyczaje są tysiąc razy gorsze, niż krytykowana szeroko zła nasza Konstytucja, — koalicyjny rząd dla wywyższenia *prestige'u* tych właśnie zwyczajów i obyczajów wyrównuje drogę nie dla kogo innego, jak dla tych, co w stosunku do wojska magna pars fuerunt związania go nawet nie ze złą Konstytucją, lecz z tysiąc razy gorszemi zwyczajami i obyczajami dwóch sejmów, to znaczy dla generałów Sikorskiego i Szeptyckiego.

WYWIAD VI.

(18 lutego 1926).

— W rozmowach, pozostających w związku z obecnym stosunkiem rządu i sejmu do spraw wojskowych, Marszałek Piłsudski mówił, co następuje, o swoim rzekomym „militaryzmie", za jaki prasa rządowa uważa troskliwą uwagę, jaką Marszałek Polski poświęca wojsku:

— Wspomnienia, które mam z czasów wojny, należą do najmilszych, jakie posiadam, gdy mogłem osiągnąć tak wielki sukces dziejowy, jaki osiągnąłem. Wiem również, że nieraz w czasie ubiegłej wojny, gdym wydobywał na polach bitew ze świeżem i całkiem niedoskonałem narzędziem wojny — naszą armją, niespodziewane a bardzo efektowne zwycięstwa, chciano mnie porównywać, a raczej przypominano sobie równie efektowne zwycięstwa Napoleona. Przenoszono wtedy łatwo i na mnie, nie mogę powiedzieć, że grzechy, lecz może nieszczęsne musy Napoleona, który nieraz ze smutkiem wyznawał, że wojną żyć musi. To też jednym z ulubionych i nadzwyczaj szeroko rozpowszechnionych argumentów przeciwko mnie i przeciwko mojej pracy państwowej jest zarzucanie mi, jako zwycięzcy, tych wojennych skłonności. Na treść istotną tego zarzutu odpowiem krótko.

Każda wojna musi mieć postawiony jakiś cel. Inaczej nie warto jej prowadzić. Osobiście dla Polski nie widzę żadnego wyraźnego celu prowadzenia wojny, gdyż Polska nie umie sobie dać rady nawet z temi granicami, jakie posiada. Ryzyko zaś prowadzenia w jny z tak słabemi wewnętrznemi siłami narodu, jakie są w Polsce, jest zbyt wielkiem, abym zechciał nawet myśleć o narażaniu sławy mojej buławy z własnej chęci czy też myśli. Sądzę zaś wogóle, że Polska, należąc po ubiegłej wojnie do kompleksu europejskiego, nie jest w stanie, bez wymarcia poprostu całej generacji, zdobywać się na jakieś wojenne zakłócanie pokoju i dlatego, jak i inne państwa w Europie, jest pacyfistycznie usposobiona i bać się powinna wojny o tyle, o ile jej ktoś wojennie nie zaczepi. Jeżeli zaś udam się do swoich osobistych wspomnień z czasów wojny, to poza serdecznemi wspomnieniami o sobie i ludziach, którzy wydobyli z siebie najwyższe wysiłki, do jakich ludzie są zdolni, dla odniesienia zwycięstwa, — mam również tak obrzydliwe wspomnienia o bezsilności, tchórzostwie i poprostu ogromnej ilości zdrad w moim narodzie, — które to nikczemności stanowiły tło mojego codziennego życia w czasie wojny, — że te wspomnienia nie zachęcają wcale do prób powtarzania eksperymentów wojennych. Mam bowiem we wspomnieniach tyle gorzkich chwil, które przeżyłem, będąc upokarzanym, jako reprezentant swego narodu, nie dla czego innego, jak dla jakiejś namiętności do pokory i sprzedajności, tak szeroko wśród Polaków rozpowszechnionej. I wolę zawsze myśleć, by próby wojenne ominęły resztkę mego życia, a jeżeliby spaść miały na Polskę, wo-

łałbym. by oglądały je raczej moje dzieci, niż ja sam. Powtarzam więc — nie widzę żadnego celu dla Polski. która sobie z wewnętrznem życiem tak słabo daje radę. prowadzenia jakiejś wojny.

Lecz w tej sprawie istnieją i inne kwestje. nad któremi z nieszczęsnego swego musu nieraz głęboko się zastanawiałem. Dziwnym zbiegiem okoliczności. pomimo najoczywistszego nonsensu, Polska jest stale oskarżana w innych państwach o jakieś chęci i zamiary wojenne. Ba! Nawet w różnych projektach rozbrojeniowych Polska jest stawiana na pierwszy plan. chociaż jest najbardziej licho uzbrojona i najświeższą. a zatem i najsłabszą ma organizację wojska. Nie chcę wchodzić w motywy i powody takiego właśnie stawiania sprawy w świecie międzynarodowym. Chcę tylko powiedzieć. że jest w tem wyraźna i niedwuznaczna chęć posiadania w środku Europy państwa. którego kosztem można byłoby załatwiać wszystkie porachunki europejskie. Podziwu godne jest stałe zjawisko. że te projekty międzynarodowe znajdują tak chętne ucho. no i języki. nie gdzieindziej. jak w Polsce. Któż nie spostrzegł. że ile razy chciano w tej czy w innej materji na Bożym świecie zrobić krzywdę Polsce. natychmiast zaczynano oskarżać ją o militaryzm. o wojenne zamiary. co było podtrzymywane z jakąś zegarkową dokładnością przez wielką ilość naszych polityków i naszej prasy.

Stosunek do mnie pod tym względem. jako do zwycięzcy w wojnie i zatem będącego elementem siły naszego państwa. stanowił w tych wypadkach jeden z charakterystycznych dodatków do tej gry. prowadzonej — jak twierdzę — w ścisłym

kontakcie pomiędzy zainteresowanymi w utrzymaniu Polski w słabości i w bezbronności i pewnymi Polakami. Przyglądając się temu przez cały czas powojenny, nazywałem to zawsze terminem: „handel międzynarodowy Józefem Piłsudskim". Wyglądało to zawsze mniej więcej tak: gdy wysuwała się jakaś kwestja, w której międzynarodowo chciano kosztem Polski kogokolwiek zadowolić, zaczynano skarżyć się na Polskę, że będąc militarnie usposobiona, naruszać może pokój powszechny. Uosobieniem zaś tej jakoby istniejącej tendencji miał być zwycięzca w wielu bitwach i w wojnie — Józef Piłsudski. I wtedy wśród wielu chętnych do sławy wybitnych mężów stanu, polityków i dziennikarzy naszych dawano oferty ukrócenia tego nieokiełznanego militaryzmu, tej chętki do bitki przez wykazywanie szczerej wspólnoty w tej pracy z tą czy inną inicjatywą, idącą z zewnątrz. Mogę pana zapewnić, że niejedna drobna sławka polska w takiej czy innej stolicy świata wyrastała w ten właśnie sposób: no i prawdopodobnie niejedna uciułana została przy tej pracy fortunka. Specjalnie zabawnem mi się wydawało, gdym przez pewien czas śledził zestawienia chronologiczne i pod względem treści prasowych ataków na mnie w Moskwie, Warszawie i Berlinie. Mogę pana zapewnić, że dojść można do bardzo ciekawych wniosków, specjalnie, gdy dodać do tego i Pragę. Chciałbym bardzo wierzyć, że może już na szczęście są to *tempi passati*, lecz wobec tego że jesteśmy w epoce Locarna i rozbrojenia, nie mogę nie poddać się wrażeniu, że wkrótce oskarżony będę o szkodzenie międzynarodowym stosunkom Polski. Jestem prawie przekonany, że za kilka dni będzie

pan świadkiem znanych mi z przeszłości zjawisk. Z jednej strony okaże się bowiem, że przeszkadzam nawet rozwojowi ruchu budowlanego i pogłębiam w ten sposób nędzę bezrobotnych, z drugiej zaś strony zmniejszam powagę i znaczenie Polski w świecie międzynarodowym o tyle, że stałe miejsce Polski w Radzie Ligi Narodów jest z mojego powodu zagrożone lub przegrane...

Militaryzm jest pojęciem historycznem i związanem z tą epoką, którą wszyscy doskonale pamiętamy i którą przeżyliśmy przed rokiem 1914, przed wojną. Rozumiem dobrze — po tak wielkim wysiłku, jakiego ludzkość dokonała w przeciągu kilku lat wojny, — obawę przed powtórzeniem się podobnego wstrząśnienia. Nie mogę jednak nie powiedzieć, iż każdy myślący nieco szerzej człowiek musi dostrzec, że historja powtarzać się nie może i że nie trzeba ulegać obawom tak łatwo, jak to w wystraszonej obecnej generacji daje się zauważyć. Jedną z głównych przyczyn minionej wojny, chociaż może nie wyłączną, było istnienie trzech wielkich mocarstw w Europie, zaborczych w stosunku do Polski, które swą wewnętrzną strukturą przypominały najbardziej w całym świecie czasy nieledwie feodalne i średniowieczne i stanowiły w ten sposób wielką, w porównaniu z innemi państwami, anomalję. Jeżeli więc jako skutek tej wojny mamy bardzo znaczne osłabienie tej anomalji w świecie, to trudno mówić o możliwości, by te same pojęcia z przed 1914 roku mogły być żywemi i realnemi w obecnej epoce. Przy głęboko pokojowym nastroju, jaki już wskutek zmęczenia wojną istnieje u olbrzymiej większości ludzi w teraźniejszym czasie, — o militaryzmie, w znaczeniu

ubiegłej epoki, absolutnie mowy być nie może. Dlatego też wyznam, że gdy słyszę kogokolwiek nierozumiejącego tej prawdy, uważam go za głupiego, niezdolnego zdać sobie sprawy z wielkich zmian, jakie świat cały dzięki wstrząśnieniom wojennym przeżył. No, a jeżeli dodać do tego zwyczajne fizyczne i moralne tchórzostwo, to będzie pan miał konterfekt całego mnóstwa swoich rodaków.

Inną rzeczą jest wojsko, jako stała instytucja państwowa. Faktem jest, że wojsko wszędzie jeszcze istnieje i nie Polska jedna je posiada. Jest to wynikiem nie czego innego, jak prostej obawy, że po przekreśleniu mapy całej Europy, tak, że nie jest ona podobna do tej, którą my, jako sztubacy, ongiś musieliśmy znać na pamięć, — naruszono głęboko trwałość życia, do której pokolenia były ongiś przyzwyczajone. Specjalnie zwrócę panu uwagę na Polskę, która cała, jak istnieje, na mapach, których nas uczono, nie była rysowana. Naruszyła więc może najbardziej, już swem istnieniem, tę trwałość, o której mówiłem poprzednio. A jeżeli pan zechce zwrócić uwagę na głębokie tendencje pokojowe, jakie wszędzie istnieją, daje to niechybnie przewagę temu, kto pomimo tej pokojowości zdobędzie się na siłę agresji, gdyż wbrew wszelkim obietnicom wątpić należy, by ktokolwiek napadniętemu pośpieszył z pomocą. Jeżeli więc wszyscy wojsko stałe utrzymują, jest to wynikiem obawy o siebie. Nigdy nie mogę zrozumieć, dlaczego właśnie Polska, ta nowonamalowana istota państwowa w środku Europy, ciągle drżąca o swoje istnienie, gdyż to jest stałem zjawiskiem naszego życia, ma być najbardziej uprzedzająco grzeczna

w pracach nad ustaleniem gwarancyj życia pokojowego, gdy pod tym względem wyzbycia się siły zbrojnej nikt nam tego przykładu nie daje. Przecież jeszcze tak niedawno głośny był fakt brutalnego poprostu usunięcia Polski od jakichkolwiek prób uzyskania gwarancyj jej granic przez kogokolwiekbądź w świecie. Widocznem więc jest, iż nie my sami uważać możemy, że jeszcze byt i istnienie Polski, takiej, jaką posiadamy, nie są zupełnie pewne. I dziwiłbym się doprawdy, gdyby ktokolwiek — spokojnie rozważający pracę państwową — mógł takie obawy łączyć z pojęciem militaryzmu.

Nie chcę wchodzić w ten problemat o zakresie międzynarodowym głębiej; lecz powtórzę panu anegdotę, którą niedawno słyszałem od jednego z moich znajomych, który powrócił z tak zwanej zagranicy. Opowiadał mi on, że w jednem z pism humorystycznych znalazł następujące rozumowanie: Polska zagwarantować musi całą swoją siłą całość imperjum Brytyjskiego, wszystkich kolonij francuskich, włoskich, no i zresztą całość i nienaruszalność wszystkich państw i państewek, istniejących na świecie. Natomiast nikt nie potrzebuje myśleć o całości i nienaruszalności Polski, — nawet wtedy, gdy — jak to ma miejsce z Litwą — Polska ma ogłoszoną w stosunku do siebie wojnę i gdy dwaj inni jej sąsiedzi nie zechcieli także podpisać zobowiązania poszanowania jej granic. Dzieje się to jakoby — jak twierdzi owe humorystyczne pismo — dzięki niezwykłej potędze Polski i olbrzymiej sławie znanej *Polnische Wirtschaft*.

Jeszcze raz więc pana pytam, cóż za związek może być między militaryzmem o charakterze pruskim a wojskiem polskiem? Chyba ktoś chce

je karać za to, że wbrew *Polnische Wirtschaft* potrafiło niegdyś, pod mojem dowództwem, utrwalić byt Polski w obecnych granicach.

Marszałek poruszył także krytycznie sprawę inicjatywy posła Diamanda, by w tej właśnie chwili dopiero kosztem wojska ożywiać przemysł budowlany, gdy nie umiano czy nie chciano dawać sobie z tem rady w czasach obfitości kredytowych. W końcu rozmowy na zapytanie, czy Pan Marszałek ma jakie wiadomości w sprawie wyznaczonej na dzień dzisiejszy decyzji rządu w sprawie wycofania z sejmu ustawy o władzach wojskowych, Pan Marszałek oświadczył:

— Wiadomości nie szukam i ich nie mam. Sądzę zaś, że są trzy rozstrzygnięcia i na jednem z nich musi się sprawa zatrzymać. Jedno rozumne i pozytywne — wycofać tę ustawę, przeciwko której ciągle przemawiam. Drugie — bezrozumne i negatywne — zostawić tę ustawę dla świadectwa, iż rząd jest przeciwko moim żądaniom. Trzecie nareszcie — nie rozstrzygnąć nic i całą sprawę, po kilkakrotnem jej odkładaniu, odłożyć raz jeszcze. Skłonny jestem przypuszczać, że przy konstrukcji rządu na sposób koalicyjny z zależnościami od klubów i personalnych wpływów z zewnątrz wystąpi raz jeszcze z pełną jaskrawością brak decyzji i chęć naśladowania kobiet, które gdy mówią tak. to mówią i nie, a gdy, broń Boże, mówią nie, to mówią także i tak, — i... najlepiej odłożyć.

XXX.

LIST DO MINISTRA SPRAW WOJSKOWYCH

(20 marca 1926).

Szanowny Panie Generale i Ministrze!

W liście swym z dnia 1 marca 1926 roku zwraca się Pan do mnie z prośbą o wypowiedzenie się w sprawie treści dwunastu listów wyższych oficerów, skierowanych do Pana, a tyczących się wywiadu ze mną, pomieszczonego w wielu pismach.

Zaczynam więc od listu generała Kulińskiego, który jest inicjatorem całej pracy listowej owych oficerów, skoro oświadcza, że rozsyła w wojsku swój list jako komunikat, i gdy niektórzy z autorów tych listów nie na co innego, jak na list pana Kulińskiego się powołują. Treścią tego listu, rozsyłanego na prawo i lewo, a więc traktowanego publicznie, jest żądanie od Pana, jako ministra spraw wojskowych, obrony jego przede mną, połączone z groźbą pociągnięcia mnie — Józefa Piłsudskiego — do sądu za „oszczerstwo", nawet „notoryczne". Wobec tak oryginalnie postawionego Panu żądania i tak bezczelnego w stosunku do mnie postępowania, nie sądzę, Panie Generale, aby Pan mógł przeszkadzać panu Kulińskiemu w jego zamiarze skierowania swojej sprawy do sądu państwowego, gdyż do tego, jak każdy obywatel państwa, ma prawo, ja zaś mam obowiązek stawienia się tam również, zgodnie z obowiązkami obywatela. Mogę zaś Pana, Panie Ministrze, zapewnić, że nie omieszkam nigdy uczynić zadość tym żądaniom pana Kulińskiego.

Pominę nadzwyczaj zabawny ustęp listu generała Kulińskiego, który miesza i łączy z sobą w dziwaczny sposób naukę i dyplomy z wyższej szkoły ze służbą w Sztabie Generalnym, czy to polskim, czy austro-węgierskim, gdyż niebardzo rozumiem, co ja osobiście mam wspólnego zarówno z dyplomami „naukowemi", jak i służbą w sztabie austro-węgierskim pana Kulińskiego.

Przejdę zaś odrazu do treści.

Generał Kuliński czuje się obrażonym częścią ogłoszonego w kilku pismach wywiadu ze mną. Idzie mu o wyjątek z oświadczenia mego, skierowanego do Pana Prezydenta, gdzie go ostrzegałem przed mianowaniem szefa Sztabu Generalnego, któryby dalej uprawiał „najgorsze tradycje sztabu generalnego austrjackiego". Nie będę zatrzymywał się na całej treści ogłoszonych przeze mnie wyjątków, ani na tem, o ile ktokolwiek z oficerów polskich byłej armji austrjackiej może się czuć przez to obrażonym. Przypomnę tylko Panu, że oświadczenie moje przeczytałem Panu Prezydentowi w obecności teraźniejszego premjera, pana Aleksandra Skrzyńskiego, gdyż uważałem to za swój obowiązek. Jeżeli więc ktokolwiek może mieć pretensję do mnie za ogłoszenie części mego oświadczenia, to Pan Prezydent, który mnie prosił, bym tego oświadczenia nie ogłaszał, na co mu odpowiedziałem, że nie mogę tego obiecać. Nie sądzę zaś, by Pan, Panie Generale, mógł mieć jakiekolwiek prawo, już nie mówię jakiś obowiązek wtrącania się do tej sprawy, którą tak usilnie pan Kuliński z kolegami Panu narzuca. Dziwiłbym się bowiem niezmiernie, gdyby minister spraw wojskowych Polski stanął wogóle w obronie tak

straconej zresztą sprawy, jak tradycja austrjackiego sztabu generalnego, która wszędzie, jak świat szeroki i długi, uważana jest za złą i szkodliwą dla każdego wojska, gdy często klęski austrjackie przypisuje się nie czemu innemu, jak złej i wadliwej służbie austro-węgierskiego sztabu generalnego.

Co się tyczy listów innych wyższych oficerów w liczbie 11 (jedenastu), są one różnolite. Jedni z nich zupełnie zgadzają się z generałem Kulińskim i mogą, zdaniem mojem, przyłączyć się do procesu o oszczerstwo w jakimbądź sądzie. Wykluczam zaś jakąkolwiek możność dla mnie stanięcia w jakimkolwiek sądzie honorowym za moją kwalifikację służby moich podwładnych, którymi byli wszyscy autorowie listów, gdyż moje oświadczenie Panu Prezydentowi uważać muszę nie za co innego, jak kwalifikację, do której mam i miałem prawo, gdy podczas kryzysu zwracałem uwagę Panu Prezydentowi na niedomogi naszej armji, którą tworzyłem i dowodziłem zwycięsko podczas wojny.

Pozostawiając im więc wszelką swobodę w pisaniu jednostronnych protokółów, nie dotykających mnie honorowo ani odrobinę, nie sądzę, by Pan, Panie Ministrze, miał prawo kwalifikacje, dane przeze mnie, sądzić, — może Pan tylko dać swoją kwalifikację inną, niż moja.

Inni wyżsi oficerowie zastanawiają się więcej nad tem, czy słowa moje, związane z opinją o sztabie austrjackim i *K. Stellach*, tyczą się ich osobiście, czy też kogo innego. Co do tych żądań, powiedzieć Panu mogę jedynie to, że jestem absolutnym przeciwnikiem kwalifikacyj publicznych, które, zdaniem mojem, są niedopuszczalne w woj-

sku. Dodam, że z natury rzeczy, która jasno wynika z samej treści oświadczenia, ostrzegałem Pana Prezydenta przed panem generałem Szeptyckim i panem generałem Stanisławem Hallerem.

Wreszcie wobec tego, że pan Kuliński rozesłał swą elukubrację na prawo i na lewo, to znaczy postąpił publicznie, oskarżając mnie zarazem o „oszczerstwo" i to „notoryczne", nie uważam dla siebie za możliwe pozostawić swego listu do Pana w tajemnicy i ogłaszam go również publicznie.

Proszę przyjąć, Panie Generale, zapewnienie wysokiego szacunku, z jakim pozostaję.

Józef Piłsudski.

XXXI.

NACZELNY WÓDZ W TEORJI I PRAKTYCE

(21 marca 1926).

I.

Tematem, który wybrałem na ten odczyt, jest *Naczelny wódz w teorji i praktyce.* W pierwszych słowach chcę odrzucić nie co innego, jak rzecz, któraby stała mi na przeszkodzie, to jest samego siebie. Gdy będę mówił o naczelnym wodzu — nie będę mówił o sobie, albowiem jestem tylko jednym z bardzo wielu naczelnych wodzów, którzy istnieli na świecie. Teorji o naczelnym wodzu wygłaszać na podstawie swojej jedynie praktyki i swojego jedynie działania nie uważam za możliwe. Więc wtedy, gdy będę mówił o sobie, będę jasno to podkreślał.

Mówię o naczelnych wodzach wogóle i o ich praktyce. Drugie, co chcę uczynić ze względu na przyjęte obyczaje i zwyczaje w Polsce, to, że z chwilą, gdy mówić będę o naczelnym wodzu, nie oznacza to wcale, abym pragnął wojny i abym was do wojny zachęcał.

Zjawisko, znane pod nazwą naczelnego wodza, jest zawsze ściśle związane z innem zjawiskiem, zjawiskiem wojny. Bez wojny naczelny wódz nie istnieje, a wojna bez naczelnego wodza się nie obchodzi. Są to zjawiska historyczne, sprawdzone zarówno u najdzikszych plemion, jak również w Polsce. Nie wolno odłączać wojny od naczelnego wodza i naczelnego wodza od wojny. Są to rzeczy tak nierozerwalne, że — powtarzam — niema hi-

storji wojny bez naczelnego wodza i niema historji naczelnego wodza — bez wojny.

Zgodnie z samem pojęciem o naczelnym wodzu, wódz jest związany z wodzeniem — z dowodzeniem. Mus naczelnego wodza jest dowodzić, a dowodzić to znaczy rozkazywać. Naczelny wódz bez dowodzenia i rozkazywania nie jest naczelnym wodzem. Słowo zaś „naczelny" mówi tylko o szerokości dowodzenia, mówi, że indywidualnie dowodzi wszystkiem, co jest wojskiem, wszystkiem, co z bronią w ręku walczy na polach bitw.

I gdy spostrzegamy gdziekolwiek rozumowanie, polegające na tem, że tylko małą jednostką dowodzi się indywidualnie, a im wyżej sięga dowodzenie, tem mniej staje się ono indywidualne, to jest to błąd, niestety, często w Polsce spotykany.

Dowodzenie na wojnie jest czemś innem, niż jakiekolwiek dowodzenie, wymagające posłuchu. Istnieje bowiem jeszcze jedno zjawisko — zjawisko, nieodłączne od wojny i nieodłączne od rozkazodawstwa na wojnie. Jest niem rozkaz, noszący w sobie zarodek śmierci. Gdy ktokolwiek chce sentymentalnie usunąć od rozkazodawstwa wojskowego zjawisko śmierci, popełnia grzech, grzech przeciw grozie wojny i grzech przeciw naczelnemu wodzowi, który śmiało i odważnie winien brać na siebie rozkazodawstwo, związane ze śmiercią.

Zjawisko śmierci jest powszechne dla ludzi, gdyż ludzie są śmiertelni, lecz żaden rozkaz nie sięga tak głęboko w istotę duszy ludzkiej, jak rozkaz, związany z wojną, gdyż żąda on śmierci. Dlatego też porównywać jakiegokolwiek posłuchu czy posłuszeństwa z posłuchem, wymaganym od żołnierza,— niepodobna. Zjawisko śmierci unosi się nad posta-

cią żołnierza, jako stały jego towarzysz. Żołnierz na sztandar przysięga, żyć i umierać musi, jak prawy żołnierz, umierać na rozkaz dowódcy. Dlatego jeszcze raz powtarzam, rozkazodawstwo wojenne, związane z naczelnym wodzem, nie ma sobie równego w żadnem innem rozkazodawstwie. Zgodnie z mojem określeniem, które dałem ongiś na jednym z odczytów w Wilnie, stwierdzam, że ten tylko dobrym jest wodzem, który, po życie ludzkie sięgając, sięga do głębi duszy i żądając, by żołnierz dał duszę, sam żołnierzowi daje duszę.

Porównywując różnego rodzaju śmierci, które istnieją na świecie, stwierdzić należy, że śmierć żołnierska jest inna. Gdy jakiś bankier traci majątek i, bankrutując, po rewolwer sięga i przykłada go do skroni, gdy jakaś nieszczęsna dziewczyna z miłości rzuci się z mostu do Wisły lub po truciznę sięga — ulega własnej woli, ucieka od życia i od jego ciężaru.

Żołnierz umiera dla innych, nigdy dla siebie, zdrowe ciało rzuca molochowi wojny pod stopy. Tysiące śmierci, które w ten sposób jedna za drugą idą, śmierci na polu bitwy, śmierci w szpitalach z powodu ran i chorób, to związane są one nie z czem innem, jak z rozkazodawstwem naczelnego wodza. Dlatego też jeszcze raz powtarzam, że posłuch, który naczelny wódz wymusza, inny ma charakter, niż charakter posłuchu w jakiejkolwiek bądź innej dziedzinie życia.

Przechodzę do innej charakterystyki naczelnego wodza. Naczelny wódz musi do rachunków swoich wciągać siłę całego państwa, które reprezentuje na polach bitwy, musi siłę i jego słabości obliczać.

Najcięższym rachunkiem wodzów to mierzenie stanu moralnego całego kraju. Ilu nieszczęsnych

wodzów przegrało wojnę, gdy wbrew swemu sumieniu i zimnym rachubom musieli starać się o osiągnięcie zwycięstwa, by wydobyć efekty i niemi umysły i serca zaspokoić. Lecz naczelny wódz musi wciągać ustawicznie w swój rachunek i inne państwo — to, z którem wojuje. Musi wyszukiwać dla odniesienia zwycięstwa słabości innych państw, by w ich słabe miejsca uderzyć. Musi wynajdywać odpowiednie momenty, gdy państwo, z którem wojnę prowadzi, słabnie, by w ten sposób wymuszać zwycięstwo.

Moi panowie, na to zjawisko dowodzenia zapomocą rozkazów, aż do śmierci, aż po duszę i życie sięgających, które musi obliczać siły państwa całego i państwa przeciwnego, które wojuje, nikt nic poradzić nie jest w stanie. Prawo bowiem wojny jest wyjątkowe i wyjątkowych wymaga wysiłków. Wysiłków i mocy trwania, wymaga również wyjątkowych praw i pełnomocnictw.

W Polsce, która wojnę tak dokładnie znać musi, gdyż dłużej od innych państw na terenie swym własnym ją widziała i to tak niedawno, — powinno, zdawałoby się, istnieć zrozumienie, jak wyjątkowych wysiłków ona wymaga i jak wyjątkowemi prawami Polską wtedy rządzono.

Zastanowić się teraz muszę i nad psychiką, związaną z naczelnym wodzem. Wszyscy, którzy o tem próbują myśleć, podnoszą konieczność istnienia u niego poczucia odpowiedzialności, tej męki, którą człowiek jeden znosić musi, gdy ma na swoich barkach pracę wojenną, pracę wymuszania na nieprzyjacielu zwycięstwa. Albowiem wojna jest zjawiskiem, przy którem, w ostatecznym rachunku, nie gdzieindziej ważą się losy narodu i państwa,

jak tam, gdzie naczelny wódz działa. Gdy w historji będziemy liczyli państwa, które upadły, państwa, które zniknęły, to znajdziemy zawsze, jako ostateczny powód ich upadku, przegrane wojny. Gdy będziemy obserwowali większe przewroty, których państwa zaznały, znajdziemy zawsze, jako przyczynę ich, — zjawiska wojny. Od przegranej lub wygranej wreszcie na polach bitwy zależą nietylko tak wielkie rzeczy, jak państwo, lecz gabinety, ministrowie i rządy.

Więc pierwszem zjawiskiem, z którem liczą się ludzie przy ocenie prac naczelnego wodza, jest to ponoszenie przez niego wzmożonej odpowiedzialności. Z tego punktu widzenia rozpatrując tę kwestję, jeden z wielkich filozofów wojny, von Goltz, stwierdza, że — zdaniem jego — najcięższą pracą duszy, najcięższym obowiązkiem, jaki na człowieka spaść może, jest naczelne dowodzenie.

Wszelkie jego prace są związane z wyjątkowym stanem podczas wojny, dotykającym wszystkich absolutnie, czy chcą, czy nie chcą, i na których spadają wszystkie wyjątkowe prawa, rządzące wówczas ludźmi. Zgodnie z tem, każdy naczelny wódz podczas wojny staje się jakgdyby ogniskiem wszystkich oczu, wszystkich ciekawości, bez względu na to, czy wrogów, czy przyjaciół. Jest on stale przedmiotem rozmów i przedmiotem powszechnego zainteresowania. Każdy jakgdyby czuje, że od niego najbardziej zależy zwycięstwo, od niego zależy przebieg wyjątkowych praw. Naczelny wódz jest człowiekiem, który nerwy swoje nazewnątrz otwarte nosić musi, i każde oko, każda ciekawość, każde pytanie i każde zjawisko wojny o jego nerwy zaczepia i na tych nerwach czy wróg, czy przyja-

ciel, każdą nutę wygrywa, jak na swojej własnej lutni. Jest on wtedy publiczną własnością. Dlatego też niema człowieka bardziej narażonego na zepsucie nerwów, niż naczelny wódz. Jeżeli ludziom ciężko zdobywać się na decyzję i na postanowienia, związane nawet z ich prywatnym losem, to jakąż dopiero męką są decyzje o losie tysięcy ludzi, decyzje, które podejmować musi naczelny wódz w każdej chwili. Dlatego też ten sam von der Goltz, zastanawiając się nad kwestją, jakim musi być naczelny wódz, w sposób dosyć oryginalny stwierdza na podstawie porównania szeregu większych wodzów, że istnieje jedna tylko cecha, która robi dobrego naczelnego wodza.

Ileż różnych zupełnie typów znajdziemy w galerji wodzów świata — byli blondyni i bruneci, byli ludzie słusznego wzrostu i niskiego, byli mizerni i otyłej tuszy, byli tacy, co śmiech łatwo na ustach mieli, i tacy, którzy byli ponurzy, byli tacy, co chętnie się zapominali przy kielichu, i tacy, co alkoholu do ust nie brali, byli tacy, co mieli szczęście do kobiet, i tacy, którzy tego szczęścia nie mieli, byli tacy, co w karty lubili grać i nawet oszukiwać, byli tacy, co kart do rąk nie brali. Niema granic rozmaitości charakterów i rozmaitości uczuć ludzkich, gdy się przebiega postacie większych wodzów, którzy w historji są jako tacy znani. Jest, powiada von der Goltz, jedyna prawda, która wszystkie postacie wojny łączy i cechuje: dobry wódz musi umieć imponować ludziom, musi ludzi porywać; gdy tego nie umie — nie potrafi być dobrym wodzem. Bez tej wewnętrznej cechy, która daje moc rozkazodawstwa, nie sięgnie on nigdy tak daleko do wnętrza duszy ludzkiej, by żądać śmiało posłuszeństwa aż do śmierci.

II.

Przebiegłem główne cechy dowodzenia, to znaczy mus stałego rozkazodawstwa i konieczność ustawicznego rachowania sił swego państwa i sił państwa, z którem się walczy. Gdy dodamy olbrzymi ciężar odpowiedzialności, który zjada naczelnego wodza, żyjącego w krótkiem spięciu, gdy dodamy to, że nietylko musi on umieć wzniecać pożary, lecz sam w pożarach być, jak salamandra, — to przebiegniemy główne rysy najsmutniejszej prawdy, związanej z naczelnem dowodzeniem. Teorja wojny zawsze tak tę prawdę wyświetla, tę prawdę podaje.

Dotknę teraz odwrotnej strony teorji. Teorja każda ma swe egzageracje, ma swoje przesady, przesady w jedną czy drugą stronę in plus albo in minus. Ażeby panom uprzystępnić, jak te przesady się formują i jak one oddziaływują, przytoczę przykłady egzageracji teorji z innej dziedziny.

Niedawno rozmawiałem z jednym osobnikiem, który teoretyzował o cnocie prawdomówności. Gdy mu zarzucałem, że teorja bezwzględnej prawdy nie da się utrzymać, spotkałem się z żywą opozycją. Twierdziłem, że będąc w zasadzie prawdomównym, nie mogę nie wiedzieć, że — mówiąc wielkiemi słowami Goethego: *die Theorie ist immer grau* — teorja jest zawsze szara i że życie kłamstwa wymaga. Wszak naszym nieszczęsnym dzieciakom kłamiemy ustawicznie z obawy, że wielkiego ciężaru prawdy życia słabe ich główki i słabe ich ciałaby nie zniosły. Przecież lekarze, chcąc ratować chorego i podtrzymać jego siłę moralną, kłamią mu systematycznie o stanie jego zdrowia. Już nie mówię o dyplomatach, którzy dla reprezentacji państwa, jak mówi

przysłowie: mają język poto, żeby łgać; już nie mówię o mężach stanu, którzy od zgromadzenia do zgromadzenia zmieniają swe zdanie i kłamią sami sobie ustawicznie.

Egzageracja o prawdzie przypomina mi inną egzageracyę cnoty, z którą zetknąłem się kiedyś w Anglji w grupie tołstojowców rosyjskich. Teoretyzowali oni o niemożliwości sprzeciwienia się złu. Nigdy nie zapomnę gremjalnego śmiechu, gdy przy mnie jeden z ich nieprzyjaciół zapytał otwarcie panią, egzagerującą tę cnotę, czy ona i przy powszechnie znanej pracy łapania na sobie czarnych stworzonek w cudowne paluszki pozostaje wierną swej zasadzie niesprzeciwiania się złu.

Byłem obecny na dwóch bardzo długich posiedzeniach, gdy owi przedstawiciele teorji niesprzeciwiania się złu roztrząsali bardzo poważnie wypadek, przez siebie wymyślony.

Oto na okręcie jakiś warjat ma piekielną maszynę, którą ma zamiar zatopić statek na pełnem morzu. Na statku znajdują się same kobiety i dzieci, co komplikuje jeszcze bardziej wypadek. Przez dwa wieczory roztrząsano, czy można w tym wypadku sprzeciwić się złu, zebrać pasażerów, żeby tę piekielną maszynę ze statku usunięto, choćby kosztem, naturalnie, owego warjata. Przy mnie ta kwestja nie została jeszcze rozstrzygniętą i prezes tych egzagerantów przeniósł dalszą dyskusję na trzecie posiedzenie. Teorja jest szara, lecz w egzageracji teorji mamy odblask życia.

Niech mi wolno będzie wreszcie przypomnieć jeszcze jedną egzageracyę, związaną ze zjawiskami wojennemi, która wytłumaczy, jak łatwo ludzie do przesady dochodzą i jak wtedy trudno myślą. Gdy wybuchła wojna w 1904 roku pomiędzy

Rosją i Japonją, pracowałem w owe czasy wśród fachowych egzagerantów teorji, wśród socjalistów. Pierwsza odezwa, która się ukazała o tej wojnie, brzmiała — biją się dwie burżuazje, co nas, proletarjat, to obchodzi? Gdy wskazywałem, że właśnie polski proletarjat musi umierać na polu bitwy, gdyż będzie niechybnie zmobilizowany, to jednak egzageranci teorji od swego zdania nie odstępowali. Pamiętam, że rozwścieczony odpowiadałem moim egzagerantom teorji inną egzageracją, związaną z towarzyszem Katajamą, który był znany wówczas na świecie, jako reprezentant socjalizmu japońskiego. Ów towarzysz, prawdopodobnie rozwścieczony tem, że na jego ojczyznę napadają, stwierdzał wszędzie głośno na zebraniach publicznych, że Japonji wojnę należy wybaczyć. Prowadzi ona wojnę tak tanio, że nikt z kapitalistów dużo na tem nie zarobi. Lubiłem tego towarzysza Katajamę, gdyż istotnie każdy socjalista może być dumny, gdyby podczas wojny pilnował, żeby wojna, która jest tak droga, tak kosztowna, nie szła na korzyść kapitalistów i żeby z krwi ludzkiej wydobywane złoto nie napychało ich kieszeni.

Byłbym dumny z socjalistów polskich, gdyby w razie nieszczęścia wojny na naszej ziemi mogli tak spokojnie i otwarcie, jak Katajama, chwalić się swoim narodem.

Gdy w każdej teorji są nieodłączne egzageracje prawdy, to i w teorji naczelnego wodza są egzageracje, niestety, bardzo częste.

Zacznę, naturalnie, od egzageracji polskiej. Jedną z najczęściej powtarzanych jest tu rozważanie zadań dwóch istot, które podczas wojny mogą ze sobą się pokłócić. Temi dwiema osobami jest prezes ministrów i naczelny wódz. Egzageracja mężów

stanu Polski idzie systematycznie i stale ku daniu prezesowi ministrów, premjerowi, prawa dowodzenia na wojnie i to do tak śmiesznego stopnia, iż wydać się może, że najlepiej byłoby, gdyby naczelnego wodza nie było, a premjer za niego wojnę prowadził. Ze słusznych praw i słusznej teorji, że naczelny wódz stale pracować musi z rządem swego państwa, wywodzi się przesadę, że premjer, który zresztą najczęściej na wojnie się nie zna i dowodzić niekiedy sam sobą nie potrafi, ma prawo kierowania naczelnym wodzem podczas wojny, kierowania jego pracą wojenną. Jeżeli dalej tak te zwyczaje Polski pójdą i ta egzageracja mężów stanu stanie się faktem, to wobec nieznajomości prezesa gabinetu spraw wojskowych może zrodzić się konieczność przystawienia mu fachowego doradcy czy to w postaci dalekiego kuzynka podporucznika, czy w postaci wyranżerowanego generała, by w ten sposób mógł premjer podołać nałożonemu na niego zadaniu.

Wtedy, zgodnie z praktyką polską, kwalifikacja naczelnego wodza w stosunku do jego podwładnych będzie sądzona honorowym sądem przez prezesa gabinetu.

Z rozumnej konieczności współpracy rządu i naczelnego wodza, od którego nieraz ten gabinet zależy i ten premjer zależy, bo dość przegrać bitwę, a oburzenie zmiecie i naczelnego wodza, ale i rząd, — wyciągnięto takie przesadne wnioski, że prezes gabinetu jest stałym doradcą we wszystkich pracach naczelnego wodza. Powiem z praktyki że gdybym musiał razem z kimś myśleć wtedy, gdy dowodzę, to wolałbym nie dowodzić, niż takie głupstwo czynić.

Jest druga egzageracja. Znaną jest teorja, zupełnie słuszna, że w pracach wojennych wojsko nie jest wszystkiem, że wojsko czerpie swe siły z całego państwa.

Wiadomo, że wojsko zależy od wielu prac czysto gospodarczych, które naród stale prowadzić musi. Ciężary, które się na niego nakłada podczas wojny, są o wiele większe, a stąd boleśniejsze są i jego cierpienia. Gdybyśmy na jednej szali kładli cierpienia naczelnego wodza, a na drugiej ból matek, które utraciły swych synów, wyjdzie sąd, że cierpienie naczelnego wodza jest mniejsze. Lecz gdy w ten sposób chcą ludzie powiedzieć, że reprezentantem tego cierpienia i reprezentantem tych ciężarów, spadających na społeczeństwo, naczelny wódz nigdy nie jest, lecz komisja sejmowa, przeciwstawiająca się naczelnemu wodzowi, to wtedy taki pogląd jest czystą egzageracją.

III.

Egzageracja in plus teorji o naczelnym wodzu jest związana z dość popularną u nas ideą, ideą dyktatora. Powiada ona, że jeżeli praca jest tak wyjątkowa, jak praca wojenna, musi być i wyjątkowe prawo, nadane człowiekowi, który tę wojnę na swoje bierze barki. Nie chcę przeczyć, że historja daje przykłady zastosowania w życiu tej teorji. Lubię pod tym względem powoływać się na przykład najsilniejszej demokracji, jaka na świecie istnieje, na przykład Rzymu, który miał w chwilach ciężkich wojen wybierać na czas określony dyktatorów, dając im prawa nadzwyczajne, prawa tak wielkie, jakich może świat potem nikomu

dać nie potrafił. Dyktatura ograniczona była trwaniem półrocznem, a jako oznakę potęgi władzy, jako oznakę prawa karania gardłem, nie sześciu a dwunastu liktorów niosło pęki rózeg z toporem pośrodku, mówiąc o tem, że wyjątkowe prawa bez kary nie istnieją. Gdy stwierdzam ten fakt, który jest tak niezawodnie piękny, że w chwili niebezpieczeństwa szuka się człowieka i jego wyjątkową obdarza się władzą, to stwierdzić muszę, że poza przykładem rzymskim trudno się powoływać na inne przykłady. Byli wprawdzie wielcy monarchowie absolutni, ale ci równą władzę posiadali tak na wojnie, jak i podczas pokoju, gdyż indywidualizowali w sobie całe państwo. Stwierdzić również trzeba, że posłuch i posłuszeństwo uległy z biegiem czasu ogromnej ewolucji i możność wydobywania posłuszeństwa nie jest dziś tak wielka, jak była ongi.

Z drugiej strony stwierdzić trzeba, że rosnące z dniem każdym komplikowanie się życia, ilość rozstrzygnięć, które dawać trzeba we wszystkich dziedzinach życia, przerasta znacznie siłę jednego człowieka.

Wobec tych zjawisk nie byłbym w stanie wypowiedzieć się za tą egzageracją teorji o naczelnym wodzu, wojna bowiem wymaga puszczenia dziś w ruch maszyny o tak rozmaitych prawach działania, że zaspokojenie jej potrzeb nie jest wcale tak proste, jak to było za czasów Rzymu. Ilość praw, dotyczących miljona ludzi, które trzeba ciągle regulować, pociąga za sobą tyle drobnych zabiegów, że w sumie są one za liczne i za różnorodne, ażeby szybko obejmować je mogła jedna głowa.

Dlatego też zawsze w mojej teorji starałem się iść w kierunku, żądającym współpracy stałej i sy-

stematycznej naczelnego wodza z rządem, który prowadzi razem z naczelnym wodzem wojnę.

Jest przytem absolutnem niepodobieństwem na spółkę z kimś o wojnie, prowadzonej przez naczelnego wodza, myśleć, razem dawać rozkazy, razem może, jakby chcieli styliści, styl naczelnego wodza poprawiać. Niepodobnem jest dzielić władzę na placu boju, na którym inne prawa rządzą, zatrzymujące nieraz zupełnie życie. Lecz również niepodobnem jest nie podzielić pracy, ułatwiającej normalne prowadzenie wojny, pomiędzy możliwie małą ilością ludzi. Gdyż im bardziej praca jest indywidualna, tem jest silniejsza w swoich przejawach, im bardziej ludzie indywidualnie silni podadzą sobie ręce dla wspólnej pracy, tem jest bezpieczniejszy naród, który wojnę prowadzić musi, i tem jest lepiej dla pracy zwycięskiej.

Przechodząc do naczelnego wodza w praktyce, wybieram jedną z najcięższych praktyk, które znam w historji, to jest praktykę polskiego naczelnego wodza, którym ja byłem. Wybieram ją rozmyślnie, dlatego, żeby Polskę ostrzec, żeby jej powiedzieć, że z naczelnym wodzem Polska ma się inaczej obchodzić, niż to dotąd było jej zwyczajem.

Wojna, którą prowadziłem w Polsce od 1918 do końca 1920 roku, należała do wojen wyjątkowych, gdyż była prowadzona bez jakiegokolwiek przygotowania, bez jakiejkolwiek myśli przygotowawczej, bez jakiejkolwiek pracy przed wojną z czyjejkolwiek strony, nie wyłączając mnie, gdyż równocześnie z powstaniem państwa wybuchła i wojna.

Taka wojna wymagała ustawicznie improwizacji ze zmieniającą się stale wraz ze wzrostem sił organizacją, ze wzrostem stałym, prawie codziennym środków do walki, gdyż rozpoczęła się wojna pra-

wie z zerem. Podobne wojny są według teorji wojnami zgóry skazanemi na przegraną. Wojnę prowadziłem, nie mając żadnych praw do powiedzenia, że znam moich podwładnych. Z rozbitych bowiem państw zaborczych zbiegali się wojskowi, których nigdy w życiu nie widziałem i z których musiałem także stale improwizować sobie pomoc.

Jak mówiłem panom, każdy naczelny wódz nerwy swoje otwarte nosić musi, musi pozwolić bębnić na nich każdemu głupiemu, czy rozumnemu, gdyż jest ogniskiem pracy wojennej. Musiałem i ja znosić ten los w tak ciężkich i w tak nikczemnych warunkach, jakich historja wojen nie zna. Nie mówię o nikczemności zdrad najwyraźniejszych w świecie, gdy za pieniądze obce ze mną walczono. Nie mówię o steku oszczerstw, publicznie rzucanych, sięgających mojej rodziny, moich najbardziej osobistych spraw. Nie mówię o łajdactwach w prasie, gdy przeciw moim przyjaciołom walczono tak zajadle, jakgdyby byli wrogami państwa. Nie mówię o setkach nikczemnych pisemek, rzucanych śmiało do wojska na froncie.

Nie mówię o pomocy, jaką mi nieżyczliwi, a w największem ciele reprezentacyjnem, w sejmie ustawodawczym, znajdujący poparcie, użyczali. Powiem o trudach pracy w dowodzeniu, gdy miałem w sztabach pełno obcych i oglądających wszystkie papiery. Z powodu braków i nieprzygotowania Polski do wojny byłem zmuszony ustawicznie i ciągle pracować w sposób zupełnie nienaturalny. Musiałem przebiegać od najdrobniejszych rzeczy, któremi nie ma obowiązku naczelny wódz się zajmować, do najcięższych i najważniejszych decyzyj, od których drżało państwo. Musiałem w większości wypadków bronić swojej głowy, jako tajemnicy,

jedynie nie wydawanej nazewnątrz. Gdy sobie te czasy przypominam, zawsze mówię, że raz po raz dusza moja musiała rozpryskiwać się na drobne kawałki i potem dla najcięższych decyzyj w jedno się zbierać dla odniesienia zwycięstwa.

Praktyka polska jest jedną z praktyk najnikczemniejszych, jakie znam, w stosunku do naczelnego wodza. Dlatego też, moi panowie, gdy generał Żeligowski, obecny minister spraw wojskowych, zwrócił się do mnie z propozycją, żebym zajął w wojsku stanowisko, któreby przypominało pracę naczelnego wodza podczas wojny, powiedziałem mu, że nie chcę drugi raz powtarzać doświadczeń, które miałem w latach 1918 do 1920. Postawiłem jeden warunek, dyktowany racją stanu państwa polskiego, — usunięcie praw i ustaw, ubliżających pojęciu naczelnego wodza. Ustawy tej już nikt nie broni, została wniesiona dwa lata temu, pada przez samą głupotę i nikczemność. Lecz dla zaznaczenia, że praca ubliżania naczelnemu wodzowi trwa dalej, ten warunek, który postawiłem, został niedotrzymany i ustawa nie została wycofana. Dlatego też po smutnem doświadczeniu, jakie mam za sobą, jako Naczelny Wódz Polski, który wytrwał przy zwycięskim sztandarze i który sobie powiedział, że przez upokorzenie nie przejdzie i że drugi raz takiej pracy wojennej dusza znieśćby nie zdołała, usunąłem swoją osobę.

Mam prawo tem spokojniej ostrzegać Polskę, że żartować z kotwicą bezpieczeństwa, którą naczelny wódz podczas wojny reprezentuje, jest niebezpiecznem igraniem z ogniem. Polska może niezawsze talentami rozporządzać będzie. Na stanowiskach naczelnych wodzów niech więc Polska ustali swoje ustawy nie dla talentów, lecz miarkując je do

sił przeciętnych, które mniej znosić ciężar dowodzenia są zdolne.

Jeżeli wziąłem praktykę Polski w stosunku do Naczelnego Wodza, to nie dlatego, bym chciał zmusić was do zapomnienia o prostych prawdach dowodzenia i prostych prawdach o naczelnym wodzu, który na barkach swoich nosi, gdy wojna wybuchnie, losy swego państwa, lecz jedynie dlatego, że egzageracje teoretyczne Polski w stosunku do wojny są dla mnie podziwu godne.

Siedem lat długich wojna po ziemiach naszych się przewalała, siedem lat długich znosiła Polska wojnę, dłużej, niż inne narody i państwa. Siedem lat długich Polki i Polacy namyśleć się mogły i mogli nad zjawiskiem wojny, zjawiskiem nieodłącznem od naczelnych wodzów, zjawiskiem nieodłącznem od ich pracy. Siedem lat długich wojna, o której przy suplikacjach głośno wołają: „Od ognia, głodu i wojny racz nas zbawić, Panie", siedem lat długich wojna Polskę i Polaków uczyła.

Gdy myślę o dziejach tak oryginalnych naszego państwa, naszego narodu, gdy myślą się przenoszę do dawnych czasów, gdy Polska z map świata, jako państwo polityczne, wymazana była, widzę historję, wielką mistrzynię życia, jak cicho stąpa, zbiera swoje prawdy, zbiera wszystkie grozy świata, wszystkie jego radości. Myślę, że gdy przechodzi ona tak, jak ongi, przed upadkiem Rzeczypospolitej, tak i teraz, i po naszej ziemi, po naszych osadach, tak samo cicho, patrząc na ludzi, zbierając wszystkie mądrości i wszystką głupotę, to sądzę, że nieraz wiele musi prawd przepuszczać, i tylko dzięki zaiste niepojętej, a tak wielkiej i niezbadanej litości Boskiej, ludzie w tym kraju nie na czworakach chodzą, a na dwóch nogach, udając człowieka.

Tak dużo wojny widzieć i tak mało o niej rozumieć! Lecz widać niezbadana jest litość Boża i dlatego nieraz w pięknych oczach historji błyskają, być może, mylne, ale dla mnie radosne światła.

Pozwólcie mi, panie i panowie, do stałych przestróg, jakie Polska otrzymuje, jakie Polska ma przy przemyślaniach nad życiem codziennem, dodać i przestrogę moją, by pracy wojennej, pracy naczelnych wodzów, nie lekceważyć i nie tak okrutnie losem Rzeczypospolitej się bawić.

XXXII.

O WODZU NACZELNYM I PAŃSTWIE

(15 kwietnia 1926).

Oddawna już w swych studjach wojskowych badałem istotę naczelnego wodza. Wybitnych wodzów na przestrzeni dziejów jest wielu — wszyscy oni wryli się w pamięć potomnych głębiej, niż wspomnienia innych, niewojennych dziedzin życia państw i społeczeństw. Tak więc Aleksander Macedoński dominuje do dziś nad pamięcią o Macedonji. Bo zagadnienie wodza łączy się nierozdzielnie z wkraczającem we wszystkie dziedziny życia zagadnieniem pracy wojny; wybitny wódz naczelny nadaje tej pracy swą indywidualność.

Zjawiskiem nieodłącznem od naczelnego wodza jest wojna. Wojna przeobraża najzupełniej życie ludzkie. A mimo to — nie chce się ludziom przestudjować i zrozumieć wojny. Nawet — by zwalczać wojnę, jako zjawisko, wrogowie jej muszą ją znać.

Tymczasem w Polsce ludzie sądzą, mimo własnych ciężkich doświadczeń z chwili wybuchu wojny z roku 1914, iż wojna — to dalszy ciąg pokoju! Pod względem wojny — niema chyba mniej rozumnego narodu od Polski, mniej nikczemnego myślą — i tylko na podkładzie długiej niewoli da się ten objaw wytłumaczyć.

Wyjątkowa sytuacja wojny wymaga wyjątkowej pracy, wyjątkowych wysiłków ludzi oraz wyjątkowych praw i ustaw. Wyjątkowe prawa pędzą ludzi do wyjątkowych wysiłków. Z tych praw

i wysiłków wyrasta specjalne zjawisko wojny — wódz naczelny.

W poprzednim swym odczycie podkreśliłem, iż z pracą naczelnego wodza, jako prowadzącego wojska do zwycięstwa, związane są prace codzienne całego społeczeństwa. Wybrałem za przykład konia, przy rozdziale bowiem w czasie wojny pokojowego materjału końskiego, musi naczelny wódz w rachunku mieć na względzie i potrzeby wojska, walczącego na froncie, i jego bazy — całego kraju. Tak samo tysiące innych rzeczy musi dzielić w czasie wojny wódz naczelny pomiędzy kraj i armję. A więc — koleje z ich taborem, z którego wojna ogołociła nagle w roku 1914 wnętrza państw walczących, a więc telegraf i telefon, a więc — pieniądze. Niema bowiem dziedziny, niedosięgniętej przez żądło wojny do jej potrzeb.

Wojna wtrąca się we wszystkie działy życia i fakt ten musi mieć w swem obliczeniu każdy naczelny wódz.

Jeżeli zatrzymałem się dłużej nad temi przykładami — uczyniłem to dlatego, że w Polsce, mimo tak radykalnych doświadczeń siedmiu lat wojny, nie rozumieją nawet tak elementarnych pojęć. A trzeba myśleć o wojnie i w czasie pokoju!

Jedną z najważniejszych rzeczy dla wojny jest stan moralny społeczeństwa. Nieraz dla jego podniesienia zmuszano naczelnych wodzów do zwycięstw wbrew rozumowi. Również ma on nieprzemożny wpływ i na stosunki międzynarodowe swego kraju w czasie wojny, czego dowiódł choćby Joffre w czasie wojny światowej. W rękach naczelnego wodza spoczywają losy państwa. Więc wpływ jego na państwo jest tak silny, że w naj-

większych sytuacjach nawet najdemokratyczniejsze państwo — Rzym — oddawało bezgraniczną władzę w ręce jednego człowieka, by nie było żadnych tarć w sprawach wojny. Bez względu na sympatje ludzkie, na mądrość, na zdolności — musi on wpływać na istotę państwa.

W historji były wypadki, że indywidualność naczelnego wodza o wielkim talencie dawała szczęśliwe rozstrzygnięcie w chwilach wojny. Czy jednak w przeciętnem życiu można mierzyć w tak wyjątkowych chwilach wojny miarą wyjątkowych talentów? Nie, bo talent jest od nas niezależny. Ustawy muszą być więc obliczone na miarę przeciętną. Nie wolno tu liczyć na wielkości, bo to może zawieść. W ubiegłej wojnie rozbłysło ledwie parę wielkich talentów. Musi się więc stworzyć takie warunki, by naczelny wódz mógł w wojnie współpracować z innymi.

W Polsce w pracy ustawowej sejm, senat i rząd w tym kierunku poczyniły niedołężne próby. Robi się wszystko tak, jakgdyby naumyślnie szkodząc na wypadek wojny zwycięstwu, by stworzyć wszelkie przeszkody dla tego głuptasa, który w tych warunkach podejmie się naczelnego dowództwa, jakby chcąc upokorzyć naczelnego wodza i „unieszkodliwić“ go, by nic nie mógł zrobić. Cała ustawa nacechowana jest nikczemnością, która chce dowieść, że wszyscy mają zbierać owoce pracy naczelnego wodza — z wyjątkiem jego samego. Myśl o podobnej nikczemności sprzeciwia się myśli o pracy wojny w Polsce.

Zastanawiałem się nad tem i doszedłem do wniosku, że to jest:

1) albo nieuzasadniona zazdrość dla władzy, która gromadzi się siłą rzeczy w rękach naczelnego wodza, chęć zaprzeczenia prawdzie, że tak podczas wojny być musi;

2) albo zwyczajny geszeft, bo nigdzie niema doń tyle okazyj, co podczas wojny;

3) albo wreszcie — przekonanie tych ludzi, że są oni tak nieudolni do pracy w czasie wojny, iż chcą sobie zabezpieczyć udział w tej pracy.

XXXIII.

KONFERENCJA W BELWEDERZE
21 KWIETNIA 1926

— *W oświadczeniu, udzielonem prasie po środowej konferencji z Panem Prezydentem, Pan Marszałek obiecał dać informacje o kwestjach, które były przedmiotem dyskusji. Czy byłoby to możliwem obecnie?*

— Proszę pana, nie mogę i nie chcę powtarzać całości dyskusji, gdyż nie zamierzam brać na siebie obowiązków protokólanta i powtarzać opinji innych panów, biorących udział w dyskusji. Ograniczę się tylko do streszczenia wyrażonego przeze mnie poglądu na sprawę, poruszoną w rozmowie.

Dnia 18 kwietnia zostałem zaproszony w imieniu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej przez prezesa Rady Ministrów do Belwederu dla wypowiedzenia mego zdania w sprawie interpretacji przez rząd ówczesny kilku paragrafów Konstytucji, związanych z upełnomocnieniami Prezydenta Rzeczypospolitej w stosunku do wojska.

Na konferencji wystąpiłem przedewszystkiem przeciw próbie ograniczania praw Prezydenta do wojska na rzecz Rady Ministrów i jej prezesa. Odparłem próby powoływania się w tej sprawie na artykuł 56 Konstytucji, który brzmi: „Rada Ministrów ponosi solidarną odpowiedzialność konstytucyjną i parlamentarną za ogólny kierunek działalności rządu". Stwierdziłem bowiem, że paragraf ten mówi jedynie o budowie gabinetu w uzależnieniu od jego odpowiedzialności solidarnej przed sejmem i oznacza jedynie, że premjer

gabinetu jest szczególnie odpowiedzialny za jego kierunek, tak dalece, że gdy z jakiegokolwiekbądź względu podaje się do dymisji, to musowo podaje w ten sposób do dymisji wszystkich swych kolegów z gabinetu. Atoli artykuł ten nie może być interpretowany jako specjalny przywilej gabinetu w sprawach wojska. Natomiast zwróciłem uwagę, iż Konstytucja nasza w sprawach, dotyczących wojska i jego funkcyj w państwie, jest jedyną w swoim rodzaju pomiędzy konstytucjami całego świata. Nie chce bowiem ani jednem słowem dotykać urządzeń wojska w czasie pokoju, zajmuje się natomiast tylko urządzeniem wojska podczas wojny. Historycznie daje się to wytłumaczyć tem, że gdy układano Konstytucję, Polska nie miała ani przez jedną chwilę wojska w czasie pokojowym. Odwrotnie — od samego początku swego istnienia przechodziła stan wojny ze wszystkiemi jego ciężarami i prawami wyjątkowemi. Stąd zapewne Konstytucja nie mówi o stanie normalnym wojska w państwie, to znaczy o jego urządzeniu pokojowem, oprócz ogólnego określenia, że właśnie Prezydent Rzeczypospolitej jest najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych państwa.

Wobec tego moja interpretacja Konstytucji w stosunku do wojska była następująca:

1) Konstytucja słusznie wyodrębnia funkcje wojska z innych funkcyj państwowych, dając w stosunku do wojska Prezydentowi Rzeczypospolitej większe prawa i uprzywilejowania, niż w stosunku do wszelkich innych dziedzin pracy państwowej. Prezydent Rzeczypospolitej bowiem nie jest w myśl przepisów Konstytucji najwyższym zwierzchnikiem kolei, oświaty, lub jakiej-

kolwiek innej pracy państwa, lecz wyraźnie jest wymieniony, obok innych jego przywilejów, jako najwyższy zwierzchnik siły zbrojnej. W każdej więc ustawie, dotyczącej organizacji władz wojska, o ile nie ma ona być sprzeczną z Konstytucją, musi się znaleźć specjalne zabezpieczenie praw Prezydenta w stosunku do wojska. Wydaje mi się również, że jest to powtórzone w Konstytucji po raz drugi w artykule 54, zawierającym tekst przysięgi Prezydenta Rzeczypospolitej, która go zobowiązuje „wszelkie zło i niebezpieczeństwo od państwa odwracać i godności państwa strzec niezachwianie". Jakiej przysięgi nie składa żaden minister, ani też poseł czy senator. Słowa zaś tej przysięgi stoją w bezpośrednim związku z pracą nad obroną państwa, związaną z siłą zbrojną, reprezentowaną przez wojsko.

2) Rozmyślne przemilczenie w Konstytucji zagadnienia urządzenia wojska w czasie pokoju interpretować — zdaniem mojem — należy w ten sposób, iż Konstytucja pozostawia to urządzenie wszelkim próbom załatwienia go wszystkiemi istniejącemi w państwie drogami, a więc drogą ustaw, dekretów czy rozporządzeń. Interpretując to przepomnienie w pochlebny sposób, należałoby przyjąć, iż autorowie Konstytucji, nie posiadając pod tym względem żadnego doświadczenia, pozostawili przyszłości dokonanie prób tego urządzenia, z tem, by kiedyś, po nabyciu doświadczenia, ważna ta sprawa została załatwiona konstytucyjnie. Nie mogę nie stwierdzić również, że motywem, może historycznym, była niechęć lub bojaźń prawodawców wtrącania się do szczegółów urządzeń wojskowych wobec własnej niemocy myślowej

w tych sprawach i wobec faktu, że na czele państwa stał zwycięski wódz w świeżo przebytej wojnie.

Próby przeciwstawienia się temu rozumowaniu, stojącemu na gruncie specjalnych przywilejów Prezydenta Rzeczypospolitej w stosunku do wojska i jego zadań, polegają zwykle na stwierdzeniu, że każdorazowy rząd jest jedynym czynnikiem odpowiedzialnym, odpowiadając za wszystko, co się dzieje w państwie nietylko podczas jego urzędowania, lecz i za skutki jego czynności i potem. Ten dziwny sposób myślenia spotkał odpór z mojej strony, gdy wskazałem, że rządy nasze nie odpowiadają nawet za kasy publiczne. Gdy zaś składają się z posłów i senatorów, to prawna ich z Konstytucji nieodpowiedzialność najmniej nadaje się do stwierdzenia, że rząd taki za cokolwiekbądź odpowiada. Dodałem, że jeżeli być wiernym duchowi Konstytucji, to minister spraw wojskowych, jako dowódca (nie zwierzchnik) sił zbrojnych państwa, odpowiadać musi w trzech kierunkach: a) przed Prezydentem Rzeczypospolitej, gdyż Konstytucja czyni ministra podwładnym zwierzchnictwu Prezydenta; b) przed gabinetem, którego jest członkiem i c) przed sejmem, przed którym ponosi solidarną odpowiedzialność wraz z całym gabinetem. Zwróciłem przytem uwagę, iż wszelkie próby zrobienia ministra spraw wojskowych odpowiedzialnym przed senatem są najzupełniej sprzeczne z Konstytucją, która obok różnych artykułów, wyraźnie wskazujących jedynie sejm, jako instytucję, przed którą odpowiedzialni są wszyscy ministrowie, w cytowanym już artykule 46 raz jeszcze potwierdza odpowiedzialność ministra spraw wojskowych wyłącznie przed sejmem.

Od dalszej rozmowy, związanej z pracą nad nową ustawą, regulującą życie wojska, usuwałem się starannie, radząc jedynie, by w próbie takiej ustawy nie starano się pomieszczać wszystkich detali, gdyż nie da się to zrobić już chociażby z tej przyczyny, że w sprawach wojska i jego pracy musimy się liczyć z niesłychanie niedostatecznem pojmowaniem przez Polaków służby wojska.

— *Czy na konferencji nie były poruszane kwestje ogólno-polityczne, związane z kryzysem gabinetowym?*

— Przepraszam, ale wolę narazie trzymać się tych granic, które sobie zakreśliłem w publicznem wyjaśnieniu mojej wizyty, danem niezwłocznie po wyjściu z Belwederu.

XXXIV.

KONFERENCJA W BELWEDERZE
9 MAJA 1926

W rozmowie z Panem Prezydentem i panem Władysławem Grabskim zostałem zapytany o sprawy wojskowe w związku z możliwością sformowania gabinetu przez pana Władysława Grabskiego. Stwierdziłem, że sytuacja każdego ministra spraw wojskowych jest bardzo trudna właśnie ze względu na to, że obejmować musi następstwa gospodarki wojskowej po gabinecie pana Władysława Grabskiego. Sądzę więc, że każdy z ministrów tego resortu szukać musi w trudnościach swych jakichkolwiek gwarancyj ze strony premjera, aby zabezpieczyć interesy moralne i materjalne wojska.

Co się tyczy nowych prac o najwyższych władzach wojskowych, stwierdziłem, że nie miałem do nich wglądu i zatem nic pozytywnego o nich powiedzieć nie jestem w stanie.

XXXV.

O WYNIKU PRZESILENIA RZĄDOWEGO

(10 maja 1926).

— *Ponieważ dzisiaj właśnie zakończony został niezmiernie dziwny w swym przebiegu kryzys gabinetowy, w czasie którego Pan Prezydent odwoływał się do opinji Pana Marszałka, czy można prosić Go o wyrażenie poglądu na przeżyte świeżo wypadki ostatnich dni?*

— Nie uważam tego procesu za zakończony, gdyż kilkakrotne próby pana Witosa nie udawały się jedynie z przyczyny nieumiejętności albo niechęci tego pana uwzględniania interesów moralnych państwa. Państwo bowiem ma dwie funkcje wyraźnie państwowe i wyraźnie z jego bytem związane: wojsko i politykę zagraniczną, to znaczy stosunki z innemi państwami. Te dwie funkcje, jak zawsze twierdziłem, nie mogą podlegać fluktuacji gry zawistnych partyj, gdyż system taki prowadzi nieuchronnie państwo do zguby i demoralizuje oraz degeneruje obie te funkcje. Takie było moje zdanie, gdy jako Naczelnik Państwa z trwogą patrzyłem w przyszłość, widząc rozigranie namiętności partyjnych w stosunku do tych właśnie dwóch państwowych *par exellence* funkcyj. Jak w poprzednim kryzysie, gdy padał pan Władysław Grabski, tak i w tym, gdy upadł pan Aleksander Skrzyński, stanąłem w obronie funkcji wojska i dlatego wyłącznie o tem będę mówił.

Pan Wincenty Witos znany jest w historji naszego państwa głównie z bezceremonjalnego stosunku do wszystkich funkcyj państwowych. Dobór

jego kolegów w obecnym gabinecie przypomina mi rząd, utworzony ongiś z wielkim hukiem i hałasem, a co do którego zdecydowałem, iż nie mogę w żaden sposób łączyć mego nazwiska z takim właśnie rządem. Wiedziałem bowiem zgóry, że wraz z powstaniem takiego rządu idą przekupstwa wewnętrzne i nadużycia rządowej władzy bez ceremonji we wszystkich kierunkach dla partyjnych i prywatnych korzyści. Na ministrów wojska od tego czasu zaczęto dobierać generałów, którzyby mieli sumienia giętkie, zdolne do uprawiania — jak ja nazywam — handlu posadami i rangami, dla wygody takiego czy innego stronnictwa, takiego czy innego potrzebnego posła, takiego czy innego wygodnego kupca — jednem słowem, takiego czy innego człowieczka. System demoralizacji wojska, które, nie mając praw wyborczych, ma jedynego przedstawiciela swych interesów i potrzeb w osobie ministra przy odpowiednim doborze tego ministra, zaczął święcić swoje triumfy nie przy kim innym, jak przy panu Wincentym Witosie.

Przypominam też z owych czasów, że wobec mego przeciwstawienia się temu systemowi w stosunku do wojska, zastosowano względem mnie osobiście środki bardzo niedowcipne, ale zato bardzo hańbiące. Otaczano mnie płatnymi szpiegami, przekupywano pieniędzmi i awansami każdego, kto mnie — byłego Naczelnego Wodza — zdradzał, szukano, jak to śmiem twierdzić, mojej śmierci.

— *Pan Marszałek ma na myśli rząd Witosa?*

— Tak. Trwało to przez cały czas rządu pana Witosa i jego szlachetnych kolegów i dowodzenia wojskiem pana generała Szeptyckiego. System ten w inny sposób, bardziej — że tak powiem — roz-

lewny, był stosowany i przy następnem ministerjum pana Władysława Grabskiego wraz z Władysławem Sikorskim.

Gdy więc na szczęście dla Polski padły oba ministerja, ministerja rozwydrzenia partyj, dzielących Polskę na szmatki na rzecz każdej partji i każdego stronnictwa, zostały po nich duże deficyty państwowe i ogólne, daleko idące zubożenie. Odbiło się to dotkliwie i na wojsku. Budżet wojskowy został w jednej chwili zmniejszony do połowy. Minister spraw wojskowych mieć obecnie musi do czynienia z dziesiątkami kryminalnych spraw o nadużycia pieniężne, popełniane przez protegowanych obu kiepskiej pamięci rządów: pana Wincentego Witosa i pana Władysława Grabskiego. Obciążać zaś te kryminały i nadużycia mają nie winnych, lecz zubożały nagle o połowę budżet wojska. To też przestrzegałem Pana Prezydenta i przy pierwszym, i w obecnych kryzysach przed pomijaniem moralnych interesów wojska.

— *Jak należy rozumieć ten moralny interes wojska?*

— Moralne interesy wojska polegają nie na czem innem, jak na pogodzeniu faktu, że wojsko nie jest wyborcą, a więc nie ma pełnych praw obywatelskich, z innym faktem — musem służby w stanie wojskowym, z poczuciem gotowości poniesienia śmierci nie dla siebie, a dla państwa. Moralność zaś publiczna wyklucza zgóry niebezpieczeństwo poniesienia śmierci dla poszczególnego stronnictwa lub poszczególnych posłów, gdy tacy panowie. jak pan Wincenty Witos i jego koledzy, negliżując honor służby i korzystając z faktu, iż wojsko nie jest ich wyborcą, brudną nieraz ręką często mącili su-

mienie wojska. Ale niech ci panowie nie sądzą, że to, co się działo w stosunku do kas państwowych,— używanie pieniędzy skarbowych na przekupstwa, szpiegowanie takich czy innych nieprzyjaciół partyjnych czy osobistych—jest nikomu nieznane. Jest to przecież tajemnicą poliszynela. Wątpię więc, aby gdziekolwiek w wojsku chciano połączyć zjawisko swojej śmierci z takim stosunkiem do rządu podobnego gatunku.

Wogóle negliżowanie funkcyj państwowych, brak szacunku dla służby państwu — jest charakterystyczną cechą rozumowań panów posłów i senatorów. Wyobrażają sobie oni bowiem, iż każdy człowiek, pozostający w służbie państwa, zmieniać się musi w zależności jedynie od tego, jak, powiedzmy, wspólnie przy bufecie sejmowym pili wódkę czy kawę, pan Wincenty Witos z panem Markiem czy panem Chądzyńskim, jaki: kwaśny, czy wesoły uśmiech miał pan Stanisław Grabski w rozmowie z panem Feliksem Perlem (niedawno były to bardzo miłe uśmiechy), czy z panem Chacińskim. Wyobrażać sobie, że ludzie nieznikczemniali mogą do tych wielkich zdarzeń przywiązywać wagę, może tylko pan Wincenty Witos.

— *Przy przeszłym kryzysie Pan Marszałek wymieniał kandydatów na ministrów spraw wojskowych. Obecnie również pan Witos rozgłaszał, iż teka wojska będzie obsadzona w porozumieniu z Panem Marszałkiem. Czy coś podobnego miało miejsce?*

— Ależ nigdy! Przedewszystkiem nigdybym nie wybrał wymienionego już w pismach kandydata. Wogóle byłoby wielką naiwnością wierzyć w podobne nonsensy, że pan Witos, który dba więcej

o wybory, niż o cokolwiek innego, mógł wyrzec się swojej — o ile wiem — zasadniczej myśli używania wpływów wojskowych nie dla czego innego, jak dla swoich partyjnych interesów. Było to jego zasadniczą myślą, którą mi nieraz wyrażał, jako Naczelnikowi Państwa, w okresie zbliżających się wyborów. Wtedy szermował szeroko, wbrew memu pozwoleniu, mojem nazwiskiem, nie przez kogo innego, jak przeze mnie, szukając pomocy wpływów wojskowych dla swojej partji.

— *Znaczy więc, że przy obecnym kryzysie został zatracony interes państwa, ocalony w zeszłym kryzysie przez wyeliminowanie teki wojska z rozgrywki stronnictw sejmowych i pozostawienie jej do dyspozycji Pana Prezydenta?*

— Ja tego stwierdzić nie mogę, gdyż nie jestem poinformowany o stanowisku Pana Prezydenta w tej sprawie. Być może, że domysł pana jest słuszny, gdyż to bardzo patrzy zarówno na pana Wincentego Witosa, jak i na jego kolegów.

— *O ile rozumiem sens wytworzonej sytuacji, powrót Pana Marszałka do wojska ulegnie zwłoce?*

—Naturalnie. Pan widzi, iż ze swej strony nie robię ani kroku dla podtrzymania tak jaskrawego przekroczenia moralnych interesów państwa i moralnych interesów wojska. I staję do walki, tak, jak i poprzednio, z głównem złem państwa: panowaniem rozwydrzonych partyj i stronnictw nad Polską, zapominaniem o imponderabiljach, a pamiętaniem tylko o groszu i korzyści.

PRZYPISY DO TOMU VIII

I.

DEMOKRACJA A WOJSKO.

Do str. 1.

Tekst niniejszy jest streszczeniem odczytu Józefa Piłsudskiego, wygłoszonego dnia 25 maja 1925 w Klubie Społeczno-Politycznym w Warszawie. Jest ono oparte na notatkach trzech słuchaczy — redaktora miesięcznika *Droga*, Adama Skwarczyńskiego, Juljusza Łukasiewicza i Henryka Flojara, zestawionych przez Adama Skwarczyńskiego i drukowanych w zeszycie wrześniowym 1924 *Drogi*, str. 1—8. Tekst odczytu poprzedzony jest następującą notatką:

„Podajemy niniejszem w druku na podstawie dokładnych notatek kilku słuchaczy rekonstrukcję odczytu Marszałka Piłsudskiego, wygłoszonego dnia 25 maja w Klubie Społeczno-Politycznym w Warszawie. Marszałek, dając zezwolenie na publikację, opracowanie literackie rekonstrukcji zostawił na naszą odpowiedzialność. Redakcja".

II.

CZEREMOSZNO.

Do str. 15.

W lecie 1924 wyszedł tom I *Wspomnień Legjonowych*. Książka ta wydana została z inicjatywy i z zasiłkiem finansowym Józefa Piłsudskiego, pod redakcją Janusza Jędrzejewicza, nakładem niedawno utworzonego Instytutu Badania Najnowszej Historji Polski (Skład główny „Ignis". Warszawa, 1924. Str. 207, 1 nlb.).

Jak pisał redaktor w przedmowie, „wydawnictwo ma za zadanie zebrać surowy materjał w formie wspomnień i pamiętników, pisanych przez bezpośrednich uczestników walk

legjonowych. Autorzy nie byli przez redaktora krępowani żadnemi wymaganiami, prócz jednego: bezwzględnej prawdy". W ten sposób powstał zbiór trzynastu artykułów, zawierający wspomnienia z Legjonów i Polskiej Organizacji Wojskowej, drukowanych w porządku chronologicznym zdarzeń.

Wspomnienie Józefa Piłsudskiego *Czeremoszno* zawiera opis zdarzeń w dniu 15 września 1915 roku, w dniu, w którym Piłsudski w sposób gwałtowny przeciwstawił się zarządzeniom Komendy Legjonów i Dowództwa 4-ej armji austrjackiej, dążącym do rozbicia I Brygady Legjonów.

Tło tych zdarzeń było następujące. Kiedy w ciągu lata 1915 roku wojska państw centralnych w pościgu za cofającem się wojskiem rosyjskiem zajęły całe terytorjum etnograficzne Polski, kończył się nasz bezpośredni interes walki z Rosją i jeżeli państwa centralne chciały mieć nas za kombatantów, winny się były wypowiedzieć politycznie w sprawie Polski. Piłsudski w czasie swego pobytu w owym czasie w Warszawie rzucił hasło, że główną pracę nad odrodzeniem Polski trzeba przerzucić w dziedzinie polityki do kraju, w dziedzinie zaś wojska, z chwilą, kiedy stanowisko państw centralnych nie pozwalało rokować zbytnich nadziei na wielką rolę w polityce polskiej Legjonów, należało przerzucić w sferę nielegalnej formacji wojskowej w Królestwie, której zawiązkiem byłaby istniejąca już Polska Organizacja Wojskowa. Na drodze pracy Piłsudskiego w tym duchu stała Komenda Legjonów, instytucja, stworzona przez Naczelną Komendę austrjacką, do której przydzieleni oficerowie austrjaccy mieli czuwać nad legalizmem austrjackim Legjonów i paraliżować wszelkie tendencje zbyt daleko posuniętej samodzielności czy niezależności polskiej.

To też, kiedy w maju 1915 roku przyjechała Komenda Legjonów do Piotrkowa z Bukowiny, gdzie pozostawiała II Brygadę Legjonów, rozpoczęły się odrazu walki wewnętrzne między nią a Piłsudskim, które doszły do punktu kulminacyjnego we wrześniu 1915 roku.

Dnia 11 września wrócił Komendant Piłsudski z Warszawy do Brygady, stojącej wówczas w Kowlu na Wołyniu. Wszystkie siły Legjonów były w tym dniu rozrzucone na ogromnej przestrzeni od Kaszówki nad rzeką Stochód, przez Powursk, Czeremoszno, Zaprudje aż po Wyżwę, osłaniając tym olbrzymim przeszło 60 kilometrów frontu obejmującym łukiem Kowel od wschodu i północy. Od następnego dnia, wobec wejścia na północną część tego frontu większych sił

kawalerji austrjackiej, ściągano siły Legjonów na wschód dla wyparcia sił rosyjskich za Stochód.

Praca wojenna w tym okresie, nosząc charakter działań osłonowych, nie była trudna, wycieńczała jednak wojsko i stwarzała mu wiele niespodzianek. To też bezplanowość i nerwowość pracy Austrjaków pociągała za sobą wyrywanie oddziałów do najrozmaitszych działań, rozbijanie związków, przerzucanie wojsk z jednego krańca frontu na drugi, zależnie od lokalnych uderzeń rosyjskich. Na tem tle doszło do skandalu, którego treścią jest wspomnienie Józefa Piłsudskiego *Czeremoszno.*

Dnia 14 września dowódca 4-ej armji austrjackiej rozkazał Komendzie Legjonów wysłać dwa bataljony z Kowla na południe, na Ołykę, zostawiając poza tem reszcie niezmienione zadanie. Komenda Legjonów poleciła wydać te bataljony Komendzie I Brygady, naznaczając na ich dowódcę szefa Sztabu I Brygady, podpułkownika Sosnkowskiego.

Piłsudski postanowił nie dopuścić do tego. Na popołudnie tegoż dnia zwołał odprawę wszystkich wyższych oficerów I Brygady, będących w Kowlu. Na zebraniu tem przedstawił całość sytuacji ogólnej i wojskowej i swoje przewidywania co do dalszych możliwości pracy. Podał pod rozwagę zebranych oficerów różne sposoby wyjścia Brygady z niezwykle trudnej sytuacji ideowej. Pod tym względem podał różne alternatywy; pierwsza — to ustąpienie swoje z Legjonów, porzucenie Brygady i wyjazd do Warszawy dla osobistego poprowadzenia głównej pracy politycznej; druga — to ustąpienie wszystkich oficerów, a zatem rozwiązanie Brygady. Dalsze możliwości — to trwanie w sytuacji obecnej, robienie skandali, albo też wreszcie poddanie się Brygady pod względem ideowym, zaustrjacczenie jej.

Ogromna większość oficerów wypowiedziała się za ogólnem podaniem się do dymisji, odrzucała natomiast myśl pozostania Brygady bez Piłsudskiego.

Komendant Piłsudski jednak postanowił rzecz rozstrzygnąć inaczej. Sam zostanie w Brygadzie. Dla prowadzenia prac na terenie Królestwa wyjedzie Sosnkowski z kilku oficerami, przeznaczonymi do pracy kierowniczej w P. O. W. Ażeby zaś nie dopuścić do rozbicia Brygady przez wysłanie dwóch bataljonów na południe, zarządził fałszywy alarm.

O godzinie 3 rano dnia 15 września na obsadzonym przez oddziały obserwacyjne „przedmościu" kowelskiem odezwała się gwałtowna strzelanina i w chwilę później przyniesiono do Komendy Brygady meldunek od porucznika Wojszner-Opielińskiego, dowódcy kompanji, o zaatakowaniu jej na

przedmościu przez kilka sotni kozaków. Natychmiast zarządzono alarm wszystkich oddziałów I Brygady w Kowlu i ich wymarsz.
Od tego zaczyna się opowiadanie Józefa Piłsudskiego.

Do str. 15.

Czeremoszno — wieś na Wołyniu, 26 kilometrów na północny wschód od Kowla.

Do str. 17, wiersz 4.

Porucznik Wojszner-Opieliński, wówczas dowódca 3-ej kompanji I bataljonu 1-go pułku, później wysłany do pracy w kraju, odznaczył się jako komendant naczelny Polskiej Organizacji Wojskowej w Warszawie (K. N. 1), w drugiej połowie 1918 w Lublinie (K. N. 4), umarł w październiku 1918 w przeddzień odebrania władzy okupantom austrjackim.

Do str. 18, wiersze 1—2.

K. u. K. Kommando von Legionen — oficjalny, przez władze austrjackie nadany Komendzie Legjonów tytuł brzmiał: *Kaiserliches und Königliches Kommando der polnischen Legionen.* Tytuł ten niedwuznacznie podkreślał austrjacki charakter Komendy Legjonów, stąd też przez jej członków w stosunkach wewnętrznych używany niechętnie, a podkreślany złośliwie przez I Brygadę.

Do str. 18, wiersz 9.

Edward Rydz-Śmigły, wówczas podpułkownik i dowódca 1-go pułku piechoty.

Do str. 20, wiersz 32.

Mowa tu o rozkazie wysłania dwóch bataljonów pod dowództwem Sosnkowskiego do Ołyki.

Do str. 20, wiersz 33.

W owym czasie Komenda Legjonów zaproponowała Józefowi Piłsudskiemu podanie do awansu podpułkownika Sosnkowskiego, co w istniejących stosunkach było wyraźną chęcią przeciągnięcia go na swoją stronę, kiedy w Brygadzie Piłsudskiego nie było warunków odpowiedniej dla niego pracy. Z tego też powodu Piłsudski odpowiedział odmownie.

Do str. 21, wiersz 7.

W I Brygadzie nazywano żartobliwie dowódców „Kościuszkami".

Do str. 21, wiersze 6—9.

Aluzja do próśb oficerów, ażeby Piłsudski nie opuszczał wojska dla pracy politycznej w kraju, groziłoby to bowiem rozpadnięciem Brygady. Ustąpienie w tym wypadku pod naciskiem opinji oficerów Brygady kilkakrotnie później Piłsudski określał jako błąd w swojej działalności.

Do str. 21, wiersz 10.

„Kaki" — szydercze przezwisko dla oficerów z Komendy Legjonów „cesarsko-królewskich" (k. k.).

Do str. 22, wiersz 2.

Mowa tu o przemarszu przed frontem sił austrjackich z Krzywopłotów przez Ulinę do Krakowa w roku 1914. Opis tego marszu: tom IV, str. 215—308.

Do str. 22, wiersze 4—5.

Czetwiertnia — wieś nad Styrem, 15 kilometrów na zachód od miejscowości Kołki.

Do str. 22, wiersz 5.

Hauer — dowódca korpusu kawalerji austrjackiej, operującego wówczas na odcinku kowelskim.

Do str. 22, wiersz 14.

Trojanówka — miasteczko, 8 kilometrów na wschód od Smolar nad Stochodem.

Do str. 27, wiersze 12—13.

Aleksander Litwinowicz, intendent I Brygady.

Do str. 28, wiersze 20—21.

Hulewicze — wieś nad Stochodem, 10 kilometrów na południe od Smolar.

Do str. 29, wiersz 4.

Arcyksiążę austrjacki Józef Ferdynand, dowódca 4-ej armji, któremu Legjony wówczas podlegały.

III.

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ POWSTANIA LEGJONÓW.

Do str. 31.

W dziesiątą rocznicę powstania Legjonów, dnia 10 sierpnia 1924, odbył się doroczny, trzeci zkolei, walny zjazd legjonistów w Lublinie. Przedpołudniem we wsi Jastków pod Lublinem, na której polach stoczyły Legjony bój z Rosjanami w roku 1915, odbyło się poświęcenie kamienia węgielnego pod szkołę, budowaną dla uczczenia pamięci legjonistów, poległych pod Jastkowem. Tegoż dnia popołudniu o godzinie 16 w sali teatru „Corso" odbył się odczyt Marszałka Piłsudskiego. Po odczycie, kiedy tłumnie na sali i ulicy przed teatrem zebrana publiczność urządzała owacje na cześć Marszałka, dał on — jak pisze prasa ówczesna — znak ręką, aby się uciszono, poczem zaintonował pieśń I Brygady. Po zakończeniu pieśni Marszałek odezwał się w te słowa: „Dziękuję wszystkim panom za najdumniejszą pieśń, jaką Polska stworzyła!"

Stenogram odczytu Józefa Piłsudskiego, poprawiony przez autora, został wydany, jako osobna broszura, pod tytułem: *W dziesiątą rocznicę powstania Legjonów. (Przemówienie, wygłoszone dnia 10 sierpnia 1924 na Zjeździe Legjonistów w Lublinie).* Warszawa, 1924. Towarzystwo Wydawnicze „Ignis". E. Wende i S-ka. Str. 31. Tekst niniejszy jest przedrukiem tej broszury.

Dodać tu należy, że na krótko przed uroczystościami legjonowemi — również w związku z dziesiątą rocznicą — wydano we Lwowie jednodniówkę pod tytułem: *Lwów Legjonom,* ozdobioną portretem Józefa Piłsudskiego i autografem jego, specjalnie dla wydawnictwa tego napisanym, następującej treści: „Gdy kura jajko znosi — gdacze wesoło... Gdy legun-jajko się wykluwał — kura gdakać na wet nie chciała. Niech legun nigdy nie żąda, by ktoś nad nim gdakał wesoło, oprócz niego samego. Józef Piłsudski. Sulejówek, 20 czerwca 1924".

IV.

LIST DO REDAKTORA „POLSKI ZBROJNEJ".

Do str. 61.

Na trzecim walnym zjeździe legjonistów w Lublinie dnia 10 sierpnia 1924 została uch[illegible]alona rezolucja, w której zjazd

„domaga się od Prezydenta Rzeczypospolitej, jako najwyższego zwierzchnika wojskowego, i od rządu, w szczególności zaś ministra spraw wojskowych, generała Sikorskiego, podjęcia inicjatywy, która zapewni Józefowi Piłsudskiemu należne stanowisko w państwie".

Odpowiednie depesze zostały uchwalone i wysłane do Prezydenta Rzeczypospolitej Wojciechowskiego, prezesa Rady Ministrów, Władysława Grabskiego, i ministra spraw wojskowych, generała Sikorskiego.

Odpowiedzią niejako na tę rezolucję była opublikowana w *Polsce Zbrojnej* z 24 sierpnia 1924 i powtórzona w innych pismach następująca enuncjacja:

„Dnia dzisiejszego mieliśmy sposobność zasięgnięcia informacyj w sprawie definitywnej organizacji najwyższych władz wojskowych i złączonego z tem powrotu Pierwszego Marszałka Polski Piłsudskiego do służby czynnej w armji. Według tych informacyj sprawa przedstawia się w sposób następujący:

Bezpośrednio po objęciu szefostwa rządu przez pana prezesa Rady Ministrów, Władysława Grabskiego, Prezydent Rzeczypospolitej na wniosek rządu zaproponował powrót do czynnej służby Marszałkowi Piłsudskiemu, ofiarowując mu stanowisko Generalnego Inspektora Wojsk łącznie ze stanowiskiem zastępcy przewodniczącego Rady Wojennej, którym w myśl praktykowanych powszechnie zasad jest minister spraw wojskowych.

Po odmowie Marszałka Piłsudskiego na propozycję powyższą, rząd poświęcił swą uwagę niezwykle dla obrony państwa ważnej kwestji organizacji najwyższych władz wojskowych. Po szczegółowem zbadaniu sprawy, poprzedni projekt tej ustawy wycofano z sejmu, przy opracowywaniu zaś nowego usiłowano zrealizować w całej pełni doświadczenia, poczynione w ostatnich wojnach także i przez inne państwa, sprawę zaś obrony Rzeczypospolitej wyłączyć z gry politycznej stronnictw i rozwiązać ją zgodnie z najżywotniejszemi interesami narodu.

Wpływ czynnika stałego na sprawy naszego pogotowia obronnego zapewniono przez stworzenie stanowiska Generalnego Inspektora Wojsk z szeroką kompetencją, której ramy zostały nakreślone jedynie tylko rzeczowemi względami, z tem oczywiście, że rząd nie mógł w projekcie ustawy wychodzić poza obowiązujące normy konstytucyjne.

Przepracowany na Radzie Wojennej nowy projekt ustawy, uchwalony przez rząd i aprobowany przez Prezydenta

Rzeczypospolitej, wniesiony został dnia 11 marca 1924 roku do sejmu Rzeczypospolitej [1]).

Sejm za ubiegłej kadencji zajęty był — jak wiemy — całym szeregiem ważnych i bardzo pilnych dla państwa spraw, że wymienimy tylko rozpatrzenie i uchwalenie budżetu państwa, ustawę o pełnomocnictwach rządu, ustawy językowe, ze spraw ogólnych zaś — ustawę o powszechnej służbie wojskowej, o podstawowych obowiązkach i prawach oficerów marynarki wojennej, traktowane i załatwione przez komisję wojskową sejmu i senatu oraz uchwalone przez obie izby ustawodawcze.

Wyrazić należy pełne przekonanie, że na jesiennej kadencji sejm w pierwszym rzędzie rozpatrzy i załatwi projekt ustawy o najwyższych władzach wojskowych.

Za ostatnim pobytem odnośnych ministrów u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w Spale rozpatrywano tę sprawę i postanowiono zwrócić się po zwołaniu sejmu do pana marszałka sejmu z wnioskiem o pilne traktowanie tej sprawy.

Sejm poczyni oczywiście pewne poprawki w projekcie ustawy. Rząd zaś przy ich traktowaniu będzie się jedynie kierował pobudkami, które mu podyktują wzgląd na dobro armji oraz konieczność zapewnienia sprawności naszego pogotowia obronnego.

Rząd ma równocześnie nadzieję, że spokojne, rzeczowe, objektywne i pozapartyjne traktowanie spraw armji, które miało miejsce w czasie ubiegłej sesji sejmowej, także w tej niezwykle ważnej sprawie dla naszej przyszłości państwowej, odegra decydującą rolę. Wycofanie projektu ustawy z sejmu i załatwienie go przez dekret Prezydenta Rzeczypospolitej uznano po rozpatrzeniu kwestji ostatnio w łonie rządu ze względów prawnych za niemożliwe.

Jak się również z miarodajnego źródła dowiadujemy, minister spraw wojskowych po uchwaleniu ustawy zaproponuje rządowi i Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej na stanowisko Generalnego Inspektora Wojsk Marszałka Józefa Piłsudskiego".

List Józefa Piłsudskiego do redaktora *Polski Zbrojnej* z dnia 23 sierpnia 1924 jest odpowiedzią na tę enuncjację.

---

[1]) Treść tego projektu por. *Pisma—Mowy—Rozkazy* tom VI, przypis na str. XIX—XXI.

V.

PŁYTY GRAMOFONOWE.

Do str. 65.

Na prośbę firmy B. Rudzkiego w Warszawie Marszałek Piłsudski wygłosił dwa przemówienia w celu utrwalenia ich na płytach gramofonowych. Zdjęcia dokonano 5 września 1924 w mieszkaniu Kazimierza Świtalskiego. Po zdjęciach na oryginale woskowym płyty złożył Marszałek Piłsudski swój podpis, to też na każdej płycie dostrzec można odbitkę autografu. Dosłowny tytuł płyt: *Przemówienie Marszałka Józefa Piłsudskiego — na rzecz uniwersytetu imienia Batorego w Wilnie. Zdjęcie specjalne, wykonane dla firmy B. Rudzki w Warszawie.*

Przemówienia te drukowane były w katalogu firmowym B. Rudzkiego z roku 1924/1925. Przy porównaniu jednak tego pierwodruku z brzmieniem płyt, stwierdzono w nim szereg nieścisłości i odchyleń od istotnej treści.

Na str. 67—69 podajemy przemówienia, ściśle sprawdzone z brzmieniem dwustronnej płyty.

VI.

DEDYKACJE NA KSIĄŻCE „ROK 1920".

Do str. 71.

Niedługo po wyjściu z druku książki *Rok 1920,* dnia 4 października 1924 roku, wezwał Marszałek Piłsudski generałów Tadeusza Piskora i Juljana Stachiewicza, pułkownika Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego oraz majora Aleksandra Prystora i miał do nich przemówienie na temat zmagań swoich w okresie ostatniej wojny; wojna ta była dla wodza tak ciężka, jak mało która w historji. W tych warunkach miał on stałe oparcie w tych czterech oficerach i uważa ich za *équipe de sa volonté.* Dlatego teraz, kiedy napisał książkę, którą uważa za dobrą i która częściowo oddaje jego przeżycia, chce im ofiarować ją, jako swoje podziękowanie i wyraz wdzięczności za pracę w 1920 roku.

Marszałek zaopatrzył egzemplarze książki w dedykacje i rozdał je wymienionym oficerom w następnych miesiącach w różnym czasie. Dochodzi do nich dedykacja, w tym samym czasie napisana, na egzemplarzu, ofiarowanym Waleremu Sławkowi.

Dedykacje dla Aleksandra Prystora, Walerego Sławka i Juljana Stachiewicza były w całości lub częściowo publikowane przy różnych okazjach. Tutaj podajemy je wszystkie w pełnym tekście, według oryginałów na egzemplarzach książki.

Do str. 73.

Walery Sławek wstąpił do P. P. S. w Łodzi w początku roku 1900, bezpośrednio przed aresztowaniem Piłsudskiego z drukarnią *Robotnika*. Wówczas nie znał Piłsudskiego. W Łodzi pracował przez $1^1/_2$ roku w organizacji, poczem musiał uciekać do Warszawy. Odtąd pracuje jako nielegalny, i w tym charakterze pozostaje już do końca swej pracy na terenie zaboru rosyjskiego.

Z Piłsudskim poznał się w Wilnie w roku 1902 po przyjeździe tam Piłsudskiego z zagranicy, zbliżył się do niego tegoż roku na zjeździe Centralnego Komitetu Robotniczego P. P. S. w Lublinie. Odtąd stale pracowali wspólnie: w P. P. S., Organizacji Bojowej, przy pierwszych pracach wojskowych, w Związku Walki Czynnej. Po utworzeniu Polskiego Skarbu Wojskowego w 1912 roku został Walery Sławek jego sekretarzem. W czasie wojny światowej pracował jako polityczny mąż zaufania Piłsudskiego w stosunku do stronnictw polskich, w P. O. W.; więziony był przez Niemców.

W roku 1919 wraz z Aleksandrem Prystorem wziął udział w wyprawie wileńskiej jako polityczny wysłannik Piłsudskiego. Pozostał w Wilnie jako szef oddziału II Sztabu Frontu Litewsko-Białoruskiego, przyczem kompetencje jego obejmowały stosunki polityczne ze wszystkiemi państwami bałtyckiemi.

W roku 1920 zawierał umowę wojskową z Petlurą. W charakterze pełnomocnika politycznego Naczelnego Wodza działał wobec władz ukraińskich przez cały czas ofenzywy i odwrotu na Ukrainie. Pod koniec wojny zorganizował i dowodził grupą ochotniczą polsko-ukraińską. Po wojnie ukończył wyższą szkołę wojenną, wystąpił jednak z wojska, aby stanąć do dyspozycji Piłsudskiego dla prac politycznych.

Do str. 74.

Aleksander Prystor po upadku rewolucji w Królestwie pracuje w Związku Walki Czynnej od jego założenia; w roku 1912 aresztowany w Warszawie, zesłany na katorgę, wraca do Polski w maju 1918. Pracuje w Komendzie Naczelnej

P. O. W. w Warszawie (pseudonim „Senator"), od lipca 1918 w ministerstwie pracy i opieki społecznej jako urzędnik, wiceminister, przez prawie roczny okres czasu — jako kierownik ministerstwa.

Od pracy tej był odrywany przez Piłsudskiego na wiosnę 1919 dla politycznego przygotowania wyprawy wileńskiej, w której też bierze udział jako polityczny mąż zaufania Piłsudskiego.

W lipcu 1920 wstępuje do armji ochotniczej, bierze udział w jej działaniach na froncie i w odwrocie; odwołany przez Naczelnego Wodza, pracuje przy nim w okresie bitwy warszawskiej jako oficer do specjalnych poruczeń.

Potem bierze udział w przygotowaniu „buntu" generała Żeligowskiego, w jego sztabie, przybywa do Wilna i kieruje pracą polityczną przy generale Żeligowskim przez cały okres „Litwy Środkowej".

Do str. 76.

Bolesław Wieniawa-Długoszowski przed wojną światową członek Związku Walki Czynnej w Paryżu; w czasie wojny światowej w Legjonach oficer 1-go pułku ułanów i adjutant Komendanta Piłsudskiego; po kryzysie przysięgowym w wojsku austrjackiem, potem jako wysłannik Komendy Głównej Polskiej Organizacji Wojskowej na Ukrainie i w Moskwie, gdzie był więziony przez bolszewików. W końcu 1918 powrócił do odrodzonej Polski, gdzie został adjutantem Naczelnika Państwa i Wodza Naczelnego i był przez niego używany w poufnych i wymagających absolutnego zaufania misjach wojskowo-politycznych.

Do str. 78.

Tadeusz Piskor, oficer Związku Walki Czynnej, w Legjonach dowódca bataljonu i oficer Sztabu I Brygady; po kryzysie przysięgowym internowany przez Niemców w Benjaminowie; w czasie wojny polskiej używany przez Wodza Naczelnego jako oficer Sztabu Generalnego do specjalnie ważnych funkcyj; w wyprawie wileńskiej jako szef sztabu grupy kawalerji pułkownika Beliny-Prażmowskiego, potem szef sztabu 1-ej dywizji piechoty Legjonów, potem szef adjutantury Naczelnika Państwa i Wodza Naczelnego; współpracował w przygotowaniu ofenzywy na Ukrainie, w czasie której, jak i później, w czasie odwrotu, szef sztabu dywizji kawalerji; potem powrócił na poprzednie stanowisko przy Wodzu Naczelnym; w lipcu 1920 objął szefostwo Oddziału

Operacyjnego Naczelnego Dowództwa i w tym charakterze brał udział w przygotowaniu i w kierownictwie bitwy warszawskiej, później — bitwy nad Niemnem, w której był szefem Sztabu Polowego Wodza Naczelnego, dowodzącego tą bitwą osobiście.

Do str. 80.

Juljan Stachiewicz — oficer Związku Walki Czynnej, w Legjonach — oficer Sztabu 1 Brygady; po kryzysie przysięgowym pracuje w Polskiej Organizacji Wojskowej, w roku 1918 jako szef Sztabu Komendy Głównej; w wojnie polskiej wysłany w styczniu 1919 roku przez Wodza Naczelnego do Poznania, pełni tam funkcję szefa Sztabu Dowództwa Głównego; w lutym przybywa do Warszawy, gdzie obejmuje stanowisko szefa Sekcji, później Oddziału Operacyjnego Naczelnego Dowództwa, pełniąc tę funkcję do lipca 1920 roku. W czasie bitwy warszawskiej — szef Sztabu Polowego Naczelnego Wodza, dowodzącego osobiście frontem środkowym; potem szef sztabu 6-ej armji, operującej na terenie Małopolski Wschodniej i Wołynia.

Do str. 80, wiersz 1.

Stachie-Wiczu — generał Stachiewicz nosił w Związku Walki Czynnej pseudonim „Wicz", którego Piłsudski używał w stosunku do niego również w późniejszych okresach.

VII.

WPŁYW WSCHODU I ZACHODU NA POLSKĘ W EPOCE 1863 ROKU.

Do str. 83.

Wpływ Wschodu i Zachodu na Polskę w epoce 1863 roku— to trzy odczyty, wygłoszone przez Józefa Piłsudskiego w sali teatru wielkiego na Pohulance w Wilnie. Odczyty te zostały wypowiedziane na zaproszenie grona profesorów Uniwersytetu imienia Stefana Batorego w dniach 27, 28 i 29 października 1924 roku. Streszczenia ich, bardzo krótkie, zostały umieszczone w wileńskiem *Słowie* z dnia 28, 29 i 30 października 1924. Tekst, przez nas ogłoszony, jest stenogramem odczytów. Stenogram ten po koniecznych poprawkach został Marszałkowi Piłsudskiemu dostarczony do przejrzenia.

Marszałek Piłsudski na tym egzemplarzu poczynił w roku 1924 własnoręcznie kilkadziesiąt drobniejszych poprawek i dwie wskazówki obszerniejsze. Dlatego można uważać tekst tych odczytów, przez nas obecnie ogłoszony, za autoryzowany przez Marszałka Piłsudskiego.

Do str. 86, wiersz 27.

Cesarstwo francuskie (drugie), proklamowane dnia 1 grudnia 1852 roku na podstawie wyników plebiscytu z dnia 20 i 21 listopada — z cesarzem Napoleonem III na czele.

Do str. 86, wiersz 34.

Zamach stanu Napoleona III, dokonany w nocy z 1 na 2 grudnia 1851 roku: rozwiązanie zgromadzenia narodowego, wprowadzenie zpowrotem powszechnego prawa wyborczego oraz nowej konstytucji, wzorowanej na konstytucji z 1799 roku, z prezydentem na okres 10 lat, izbą posłów bez prawa inicjatywy ustawodawczej, senatem i odpowiedzialnymi przed prezydentem ministrami.

Do str. 86, wiersz 35.

18 *brumaire'a* (9 listopada 1799) — dzień zamachu stanu (zniesienie Dyrektorjatu i rozpędzenie Rady Pięciuset), dokonanego przez Napoleona po powrocie z Egiptu. Naskutek tego zamachu Napoleon został pierwszym konsulem.

Do str. 87, wiersz 9.

Zwycięstwo wojsk francuskich nad wojskiem austrjackiem pod Solferino — 24 czerwca 1859 roku, które spowodowało pokój w Villafranca i oddanie Francji Lombardji, którą Napoleon III przekazał Sardynji.

Do str. 87, wiersz 24.

Mazzini (Giuseppe) — 1805—1872 — włoski rewolucjonista i bojownik o niepodległość i zjednoczenie Włoch, wódz ruchu republikańskiego we Włoszech, twórca „Młodych Włoch" (1832 roku) i Związku Trzech Narodów: Polaków, Niemców i Szwajcarów pod nazwą „Młodej Europy"; uczestnik rewolucji w 1848 w Paryżu i we Włoszech; w 1849 roku — członek triumwiratu w Rzymie.

Do str. 87, wiersz 25.

Garibaldi Giuseppe (1807—1882), wódz i bojownik o niepodległość i zjednoczenie Włoch.

Do str. 87, wiersz 34.

Wojna duńska — zwycięsko prowadzona przez Austrję i Prusy przeciwko Danji w 1864 roku i zakończona pokojem w Wiedniu, na mocy którego Danja ustąpiła Prusom i Austrji księstwa: Szlezwig, Holsztyn i Lauenburg.

Do str. 88, wiersz 9.

Zwycięstwo Prus w roku 1866 nad Austrją, wspomaganą przez państwa południowo-niemieckie, zdecydowane w bitwie pod Königgrätz 3 lipca 1866. Wojna zakończona została pokojem w Pradze 23 sierpnia 1866, na mocy którego Austrja zmuszona była zgodzić się na utworzenie związku państw północno-niemieckich i południowo-niemieckich oraz na porozumienie obu tych związków.

Do str. 88, wiersz 10.

Wojna francusko-niemiecka w 1870 roku po licznych niepowodzeniach oręża francuskiego, po klęsce pod Sedanem (1 i 2 września 1870 roku) i poddaniu się Napoleona III oraz po kapitulacji Paryża, zakończona pokojem frankfurckim (10 maja 1871 roku), na mocy którego Francja utraciła Alzację i Lotaryngję.

Do str. 88, wiersz 31.

Langiewicz Marjan — dyktator powstania 1863. W 1860 brał udział w wyprawie Garibaldiego na Neapol, poczem wykłada w szkole wojskowej w Genui i w Cuneo. W 1862 roku przybywa potajemnie do kraju i zostaje mianowany naczelnikiem sił zbrojnych województwa sandomierskiego. Po kilku zwycięstwach i po upadku dyktatury Mierosławskiego, zostaje ogłoszony dyktatorem (dnia 11 marca 1863). W dziewięć dni po ogłoszeniu dyktatury, to jest 19 marca w drodze do Krakowa został aresztowany i internowany przez Austrjaków.

Do str. 89, wiersz 1.

Brat stryjeczny Napoleona III — Napoleon Hieronim Józef Karol Paweł Bonaparte, syn Hieronima Bonaparte, króla Westfalskiego. Urodzony w 1822, zmarł w 1891 roku.

Do str. 89, wiersz 14.

Wojna krymska, prowadzona przez Turcję, Anglję, Francję i Sardynję przeciw Rosji w latach 1853—1856. Po dłu-

giem oblęganiu Sewastopola i po zajęciu jego przez wojska sprzymierzonych (10 września 1855) zakończona pokojem w Paryżu 30 marca 1856.

Do str. 89, wiersz 17.

Śmierć Mikołaja I nastąpiła nagle dnia 2 marca 1855, podczas najzaciętszych walk pod Sewastopolem.

Do str. 89, wiersz 19.

Aleksander II (urodzony 1818 — zabity 1881 roku) był cesarzem rosyjskim od 1855 do 1881 roku. Zakończył wojnę krymską, przeprowadził szereg reform (zob. poniżej „reformy Aleksandra II"). Podbił ostatecznie Kaukaz oraz kraje: Nadamurski i Nadussuryjski. Prowadził zwycięską wojnę z Turcją (1877—78), która zapewniła Rosji olbrzymie wpływy na Bałkanach. Za jego panowania wzmógł się ruch rewolucyjny w Polsce (powstanie 1863 roku) i w Rosji.

Do str. 89, wiersz 23.

„Reformy Aleksandra II" — najdonioślejszą reformą było uwłaszczenie włościan, zniesienie poddaństwa i oddanie im na stałe użytkowanie ziemi przy pomocy finansowej państwa (manifest z dnia 2 marca 1861 roku). Z reform administracyjnych najważniejsze są ustawy ziemskie z 13 stycznia 1864, które wprowadziły *ziemstwa*, to jest obieralny samorząd wiejski, przekazując mu: powszechne szkolnictwo, drogi, sprawy sanitarne i temu podobne; oraz ustawa miejska z 28 czerwca 1870, zapewniająca miastom pewien samorząd. Reforma sądownictwa z 1864 roku oddzieliła władzę sądową od administracyjnej, wprowadziła jawność sądu, niezależność sędziów, sędziów śledczych, adwokaturę, ustne postępowanie sądowe oraz sądy przysięgłych dla ciężkich przestępstw kryminalnych. W armji (w 1874 roku) zaprowadzono powszechną służbę wojskową przez 6 lat w armji czynnej, 9 — w rezerwie, a do czterdziestego roku życia w pospolitem ruszeniu, i zniesiono karę cielesną. Zreorganizowano oświatę publiczną (ustawa uniwersytecka z 1863 roku, gimnazjalna z 1864 i 1871, o szkołach początkowych z 1864 i tak dalej). W 1865 wydano przepisy prasowe.

Do str. 90, wiersz 17.

Zapadnicy — (*Zapad* w języku rosyjskim: Zachód) — zwolennicy w Rosji za czasów Aleksandra II zbliżenia Rosji do zachodniej Europy.

Do str. 92, wiersz 32.

Koźmian Stanisław — polityk i publicysta. Współpracownik *Czasu* w latach 1863—1865. Historji powstania poświęcił 3 tomowe dzieło *Rok 1863*, Warszawa, 1903.

Do str. 92, wiersz 33.

Limanowski Bolesław — działacz polityczny, historyk i socjolog, urodzony w roku 1837. Za udział w manifestacji antyrządowej w Wilnie w 1861 roku zesłany do Rosji północnej, skąd wraca w 1867. Przebywa kolejno w Warszawie, w Galicji, Szwajcarji i w Paryżu, wszędzie biorąc żywy udział w ruchu niepodległościowym i socjalistycznym. Powstaniu styczniowemu poświęcił pracę *Historja powstania narodu polskiego w 1863 i 1864 roku* — wydanie drugie, przerobione, Lwów, 1909; ponadto *Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość*, Lwów, 1906, *Historja demokracji polskiej w epoce porozbiorowej* — drugie wydanie, Warszawa—Kraków w 1922 roku, trzy tomy, i *Historja ruchu narodowego od 1861 do 1864* — Lwów, 1882.

Do str. 93, wiersz 5.

Berg i Pawliszczew. Por. *Pisma — Mowy — Rozkazy*, tom III, przypisy, str. IX.

Do str. 93, wiersz 7.

Przyborowski Walery (1845—1913) historyk i literat — prace, poświęcone powstaniu 1863 roku: *Historja dwóch lat 1861/62*, 3 tomów, wydane w 1892—96 roku, Kraków. *Dzieje 1863 roku*, 4 tomy, 1897—1905. Kraków; tom V wydał Henryk Mościcki — Kraków, 1919. *Ostatnie chwile powstania styczniowego*, 4 tomy, 1887—88, Poznań i Kraków.

Do str. 93, wiersz 16.

Awejde Oskar — po aresztowaniu Szwarcego członek Centralnego Komitetu Narodowego (3 stycznia 1863 roku).

Do str. 93, wiersz 21.

Zapiski s polskawo wozstanija 1863 goda, 4 tomy, Warszawa, 1866.

Do str. 93, wiersz 23.

Majewski Karol (1832—97) — członek Rządu Narodowego, aresztowany na początku 1864 roku, zesłany do Rosji; po

zeznaniach Awejdy sprowadzony do Warszawy, złożył szczegółowe zeznania o swoim udziale w ruchu powstaniowym.

Do str. 93, wiersz 35.

Szwarce Bronisław — członek Centralnego Komitetu Narodowego, urodzony we Francji, skończył szkołę centralną paryską. Osiadłszy w Białymstoku (w roku 1861), był jednym z założycieli organizacji demokratycznej, która wydawała w języku białoruskim pisemko: *Hutorka Staraho Dzieda*, pod redakcją Białukoza. Brał czynny udział, jako członek Centralnego Komitetu Narodowego, w przygotowaniu powstania. Uwięziony w drugiej połowie grudnia 1862 roku i skazany na śmierć, wskutek interwencji rządu francuskiego zamknięty zostaje w Szlisselburgu, a po 7 latach zesłany na Syberję. Zmarł we Lwowie w roku 1904. Wydał między innemi *Siedem lat w Szlisselburgu*.

Do str. 96, wiersz 22.

Miłkowski Zygmunt; pseudonim Teodor Tomasz Jeż (1824—1915) — powieściopisarz, historyk i publicysta. W 1848 brał udział w rewolucji węgierskiej, w legjonie polskim. W roku 1861 przybywa do Warszawy i porozumiewa się z Komitetem Centralnym; zostaje mianowany pułkownikiem, tworzy oddział polski w Turcji. Po powstaniu tuła się po Europie. Broszurą *Rzecz o obronie czynnej i skarbie narodowym* przyczynia się do skrystalizowania ideologji ruchu wszechpolskiego. Był jednym z twórców „Ligi Polskiej", członkiem wyłonionego z Ligi Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego. Po roku 1905 rozchodzi się z tem stronnictwem, a wkońcu protestuje przeciwko skażeniu programu. Umarł w roku 1915 w Lozannie. Z prac historyczno-publicystycznych, odnoszących się do 1863 roku, wymienić należy: *Ludwik Mierosławski naszkicowany*.

Do str. 97, wiersz 24.

Dubiecki Marjan, urodzony 1838, umarł 1926 (odczyty, wygłoszone były w roku 1924, kiedy Dubiecki jeszcze żył) — członek Rządu Narodowego, historyk. Zesłany w 1861 roku do Rosji. Po powrocie należy do Rządu Narodowego, jako sekretarz do spraw Rusi. Zaufany powiernik Traugutta; aresztowany w kwietniu 1864 roku, skazany na katorgę. W 1883 roku po dwudziestu latach powrócił, osiadł w Krakowie. Ważniejsze prace, odnoszące się do powstania styczniowego:

Echa z powstania styczniowego (1923) i monografja, oparta na tle własnych wspomnień, *Romuald Traugutt i jego dyktatura podczas powstania styczniowego 1863—64* (5 wydań, Kijów), *Młodzież polska w uniwersytecie kijowskim przed rokiem 1863* (Kijów, 1909), *Z przeszłości 1861—62*, (Kijów, 1910).

Do str. 98, wiersz 4.

Unja horodelska zawarta 2 października 1413 roku między Polską a Litwą za Władysława Jagiełły, jako następny etap po układzie Krewskim z 1385 roku do zjednoczenia Polski z Litwą, zakończonego statutem w Lublinie w 1569 roku — zrównała teoretycznie pod względem politycznym, prawnym, społecznym i kulturalnym oba kraje, a bojarów ze szlachtą polską. Lud litewski, bojarowie i litewski kościół katolicki otrzymali prawa publiczne, względnie przywileje na wzór Polski; Litwa otrzymała polską organizację urzędów państwowych; ustalono wspólne sejmy w Lublinie lub Parczewie, obiór króla za wspólną zgodą narodów, a szlachta polska przypuściła do ścisłego braterstwa poleconych przez Witolda bojarów litewskich „po rodzie, godle i zawołaniu".

Do str. 99, wiersz 30.

Wiatka — miasto gubernjalne północno-wschodniej Rosji europejskiej.

Do str. 104, wiersz 17.

Sierakowski Zygmunt (1827—1863) — członek Komitetu Centralnego i Rządu Narodowego. Jeszcze podczas swych studjów wywierał olbrzymi wpływ na młodzież. Jeden z założycieli *Ziemli i Woli*. W roku 1848 skazany *w sołdaty* do bataljonów orenburskich. Potem ukończył akademję wojskową w Petersburgu. Posiadał duży wpływ na ówczesnego ministra wojny Milutina, dzięki czemu doprowadził do ważnych i korzystnych reform wojskowych. W roku 1862 składa Milutinowi raport o militarnem znaczeniu całkowitej autonomji Polski i Litwy. Wezwany przez Rząd Narodowy, staje w roku 1863 na czele powstania na Żmudzi pod znanym później pseudonimem Dołęgi. Dnia 21 kwietnia stoczył zwycięską bitwę z przeważającym nieprzyjacielem pod wsią Ginietyny. W pierwszych dniach maja, ciężko raniony w bitwie pod Birżami, dostał się do niewoli. Na rozkaz Murawjewa 27 czerwca tego roku stracony publicznie w Wilnie.

Do str. 105, wiersz 5.

Orenburg — gubernjalne miasto nad rzeką Uralem.

Do str. 106, wiersz 10.

Sawicki-Stella Jan, pseudonim Struś i Stella (1831—1911), wybitny uczestnik powstania, pułkownik rosyjski, w 1863 roku naczelny organizator sił zbrojnych w Galicji, od 1871 pracuje jako lekarz we Lwowie. Prace Sawickiego o powstaniu: *Galicja w powstaniu styczniowem* (Lwów, 1909) i *Rok 1863* (Lwów, 1905).

Do str. 106, wiersz 19.

Altona — miasto portowe nad Elbą, obok Hamburga.

Do str. 108, wiersze 4—5.

Murawjew Michaił Nikołajewicz (1796—1866) — generał rosyjski, w latach 1857—1861 minister dóbr państwowych. Od 1863 do 1865 roku generał gubernator wileński. Stłumił krwawo powstanie polskie na Litwie; powiesił setki ludzi, zesłał na Sybir przeszło pięć tysięcy osób, palił wioski, nakładał kontrybucje, sekwestrował majątki, rusyfikował kraj. Od cara otrzymał za to tytuł hrabiowski, od społeczeństwa polskiego przydomek *wieszatiela*.

Do str. 108, wiersz 30.

Herzen Aleksander Iwanowicz (1812—1870) — jeden z najwybitniejszych rewolucjonistów rosyjskich, wielki publicysta i ideolog socjalistyczny. Organizator rewolucyjnego ruchu wśród młodzieży rosyjskiej. Aresztowany w 1834 roku i zesłany do Permu. W 1840 roku wraca i znów zostaje zesłany. W 1847 roku wyjeżdża zagranicę, gdzie spędza resztę życia (przeważnie w Szwajcarji). W 1857 założył w Londynie głośne czasopismo *Kołokoł (Dzwon)*, które miało olbrzymi wpływ na kształtowanie się ówczesnej rosyjskiej opinji publicznej w kierunku reform politycznych i społecznych, domagając się konstytucji, uwłaszczenia włościan i tak dalej. W 1861 *Kołokoł* zbliżył się do polskiego obozu narodowo-rewolucyjnego (tak zwanych „czerwonych") i propagował niepodległość Polski. Po wybuchu powstania zdecydowanie popierał sprawę polską, wskutek tego utracił swą olbrzymią popularność w Rosji.

Do str. 109, wiersze 1—2.

Milowicz Włodzimierz — w 1863 roku komisarz Rządu Narodowego we Lwowie. Pozostawił wspomnienia o powstaniu, drukowane pod tytułem *Z papierów po ś. p. W. M.* w IV tomie *Wydawnictwa materjałów do historji powstania 1863—64.*

Do str. 110, wiersz 15.

Rogiński Roman — por. *Pisma—Mowy—Rozkazy*, tom III, przypisy, str. X.

Do str. 112, wiersze 17—18.

„...by z moją partją, idącą na Svbir".. — Józef Piłsudski w 1887 roku został skazany na pięcioletnie zesłanie do Syberji Wschodniej. Na miejsce zesłania wyznaczono miasto Kiryńsk nad Leną, później Tunkę. Podróż na miejsce zesłania trwała przeszło trzy miesiące. Por. poza tem *Pisma—Mowy—Rozkazy*, tom III, str. 55—71.

Do str. 114, wiersz 5.

Zabastowka — strejk. Po wojnie rosyjsko-japońskiej w czasie rewolucji 1905—1906 roku w Rosji przeszła fala strejków.

Do str. 114, wiersz 32.

Muchanow Paweł (1798—1871) — historyk i wyższy urzędnik rosyjski. W roku 1842 został pomocnikiem kuratora okręgu naukowego warszawskiego, w 1851 — kuratorem, a w 1856 — dyrektorem głównym, przewodniczącym w Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych. Zwolniony w 1861.

Do str. 114, wiersz 34.

Paskiewicz Iwan, hrabia Erywański, książę warszawski, rosyjski marszałek polny (1782—1856). Po śmierci Dybicza objął 26 czerwca 1831 roku naczelne dowództwo nad armją, działającą w Polsce. Po zajęciu Warszawy 8 września tego roku mianowany namiestnikiem Królestwa Polskiego, pozostaje na tem stanowisku aż do śmierci. Okres jego rządów, tak zwana era paskiewiczowska, należał do czasów wzmożonego ucisku narodowego w Królestwie Polskiem. W 1849 roku dowodził armją rosyjską na Węgrzech, a w 1854 — nad Dunajem.

Do str. 114, wiersz 35.

Gorczakow Michał (1795—1861) — generał rosyjski. Namiestnik w Królestwie Polskiem od 1856 do 1861 roku.

Do str. 119, wiersz 4.

Oxiński Józef — por. *Pisma—Mowy—Rozkazy*, tom III, przypisy, str. X.

Do str. 121, wiersz 33.

Lewandowski Walenty (1822—1907) — dowódca województwa podlaskiego w powstaniu. Ranny, wzięty do niewoli i zesłany na Sybir. Napisał *Pamiętnik*, drukowany w *Sprawozdaniu Zarządu Muzeum w Rapperswilu* za rok 1908.

Do str. 122, wiersz 11.

Deskur Bronisław — organizator i dowódca ruchu powstańczego w Podlaskiem. Autor pamiętników, z których część wydrukowana została w II tomie *Wydawnictwa materjałów do historji powstania 1863—1864* (Lwów, 1890).

Do str. 131, wiersze 10 i 25.

Cuneo — stolica prowincji Cuneo w Piemoncie (Włochy północne). W 1862 roku istniała tu wojskowa szkoła polska.

Do str. 132, wiersz 7.

Cavour Camillo Benso — twórca zjednoczenia Włoch.

Do str. 132, wiersz 31.

Bem Józef (1794—1850) — generał polski. Kształcił się w korpusie kadetów i szkole artylerji w Warszawie. Odbył kampanję rosyjską w 1812. W 1815 mianowany profesorem w szkole artylerji w Warszawie. Bierze udział w powstaniu 1830 roku, poczem przebywa na emigracji, w Paryżu. Podczas rewolucji marcowej w 1848 roku organizuje obronę Wiednia przeciwko wojskom rządowym. W 1849 roku powierza mu Kossuth organizację i główne dowództwo wojsk węgierskich w Siedmiogrodzie. Po szeregu zwycięskich walk z Rosjanami i Austrjakami zostaje przez generała Lüdersa pobity pod Temeszwarem i Hermemstadtem (w lipcu tego roku). Po powtórnej porażce pod Temeszwarem i poddaniu się Görgeya Bem chroni się do Turcji, gdzie reorganizuje armję.

Do str. 132, wiersz 31.

Dembiński Henryk (1781—1864) — generał polski. W 1807 studjuje inżynierję w Wiedniu. W 1809 roku walczy w Polsce

jako szeregowiec. W 1812 zostaje mianowany kapitanem. Po upadku Napoleona pracuje na roli. Po wybuchu listopadowego powstania w randze podpułkownika bierze udział w walkach, zostaje wysłany na Litwę, a po świetnym odwrocie wskutek niepowodzeń generała Gielguda — do kraju, zostaje gubernatorem Warszawy i naczelnym wodzem. Po upadku Warszawy przebywa we Francji. W 1848 był naczelnym wodzem wojsk węgierskich, poczem po pobycie w Turcji osiada we Francji.

VIII.

PIERWSZE DNI RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

Do str. 139.

Dwa odczyty, umieszczone w tym tomie pod tytułem *Pierwsze dni Rzeczypospolitej Polskiej*, były wygłoszone przez Marszałka Piłsudskiego w Krakowie w dniach 15 i 16 listopada 1924 w sali Starego Teatru. Pisma krakowskie z owego czasu podawały ogólne streszczenia odczytów. Tutaj tekst ich ogłaszamy według stenogramu, który wymagał stylistycznych poprawek.

Do str. 144, wiersz 8.

Komisja Likwidacyjna powstała w Krakowie 29 października 1918 roku; składała się z 23 posłów polskich do austrjackiego parlamentu, reprezentujących wszystkie stronnictwa. Dnia 29 stycznia 1919 roku Polska Komisja Likwidacyjna została przekształcona na „Komisję Rządzącą dla Galicji, Śląska, Spiża i Orawy".

Do str. 144, wiersz 18.

W manifeście z dnia 16 października 1918 roku cesarz Karol zapowiedział przebudowę Austrji na państwo związkowe, „w którem każdy szczep na obszarze osiedlenia tworzy swój własny organizm państwowy". Ustęp tego manifestu, odnoszący się do Polski, brzmiał: „Nie przesądza się przez to bynajmniej zjednoczenia polskich obszarów Austrji z niepodległem państwem polskiem". Tekst polski manifestu został ogłoszony w urzędowej *Gazecie Lwowskiej* z 19 października 1918 roku.

Do str. 145, wiersz 24.

Wysocki Piotr (1799—1875) — organizator spisku i właściwy twórca wybuchu powstania 29 listopada; podporucznik w Szkole Podchorążych; walczył jako kapitan pod Grochowem; przy obronie Woli ciężko ranny, wzięty do niewoli i zesłany na Sybir; powrócił po 25 latach.

Do str. 145, wiersz 24.

Zaliwski Józef — pułkownik, organizator spisku powstańczego w 1830 roku, wybitny partyzant; aresztowany w Galicji i więziony w Kufsteinie do 1848 roku — umarł w 1855 roku.

Do str. 147, wiersz 19.

Republika Tarnobrzeska — powiat tarnobrzeski w Małopolsce zachodniej naskutek działalności księdza Eugenjusza Okonia i posła Tomasza Dąbala, którzy opanowali umysły części ludności i nie uznali władz, istniejących w Warszawie, Krakowie i Lwowie — otrzymał potocznie nazwę „Republiki Tarnobrzeskiej". Działalność Okonia i Dąbala rozpoczęła się w listopadzie 1918 roku; rozruchy, wywołane tą działalnością, zostały ostatecznie stłumione w końcu stycznia 1919 roku.

Do str. 147, wiersz 29.

Rada Ludowa w Poznaniu: — Gdy Wilhelm II abdykował i wybuchła rewolucja żołnierska w Berlinie, Komitet Obywatelski w Poznaniu ukonstytuował się jako tymczasowa Naczelna Rada Ludowa (10 listopada). Komitet Wykonawczy tej Rady (Komisarjat) zwołał do Poznania na 3 grudnia 1918 roku sejm dzielnicowy, z wyborów pochodzący. Sejm ten wyłonił Naczelną Radę Ludową i Komisarjat, które po wybuchu powstania w Poznaniu (27 grudnia 1918 roku) objęły władzę w swoje ręce.

Do str. 148, wiersze 4—5.

Arbeiterraty i *Soldatenraty* — przedstawicielstwa robotników i żołnierzy, które — podobnie, jak w Rosji — powstały w Niemczech przy końcu wojny i przejęły władzę. 10 listopada powstała w Berlinie Centralna Rada robotników i żołnierzy, proklamowała siebie jako najwyższą władzę polityczną i zażądała natychmiastowego zawarcia pokoju i uspołecznienia narzędzi produkcji. Rada ta zatwierdziła powstałą w tymże dniu Radę sześciu pełnomocników ludowych jako

rząd polityczny (fachowi ministrowie mianowani 14 listopada), który przetrwał aż do chwili utworzenia pierwszego rządu normalnego (13 lutego 1919 roku). Po ukonstytuowaniu się tego rządu i zebraniu się niemieckiego zgromadzenia narodowego (6 lutego 1919) — Rady robotnicze i żołnierskie tracą swój wpływ i znikają latem 1919 roku.

Do str. 152, wiersz 25.

Rząd Józefa Świeżyńskiego, powołany przez Radę Regencyjną dnia 23 października 1918 roku bez zatwierdzenia władz okupacyjnych i dymisjonowany reskryptem Rady z dnia 4 listopada tegoż roku.

Do str. 153, wiersze 1—34 i str. 154 wiersze 1—4.

Cytowane według *Kurjera Warszawskiego*, nr. 302, z 1 listopada 1918 roku.

Do str. 154, wiersze 12—26.

Cytowane według *Kurjera Warszawskiego*, nr. 303, z 2 listopada 1918 roku.

Do str. 155, wiersz 11.

Rząd lubelski: — W nocy z 7 na 8 listopada 1918 roku powstał w Lublinie „Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej", na czele którego stanął Ignacy Daszyński. Rząd ten składał się z przedstawicieli stronnictw lewicowych Królestwa i Galicji, a program jego był zawarty w obszernej odezwie z 7 listopada 1918 roku.

Do str. 156, wiersze 13—14.

Rada Regencyjna: — Utworzoną we wrześniu 1917 roku w Warszawie patentami cesarza niemieckiego i austrjackiego, złożona z arcybiskupa Aleksandra Kakowskiego, księcia Zdzisława Lubomirskiego i Józefa Ostrowskiego. Rozwiązała się sama 14 listopada 1918 roku, składając swą władzę w ręce Józefa Piłsudskiego.

Do str. 157, wiersz 4.

Ruszczyc Ferdynand — urodzony w 1870 roku. Wybitny malarz, profesor Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie, profesor i dziekan wydziału sztuki na Uniwersytecie Wileńskim.

Do str. 157, wiersze 15—16.

Polski Komitet Narodowy — utworzony w sierpniu 1917 roku w Paryżu, uznany oficjalnie przez Francję (20 września 1917 roku), Anglję (15 października 1917 roku), Włochy (30 października 1917) i Stany Zjednoczone (1 grudnia 1917 roku). Prezesem Komitetu był Roman Dmowski, wiceprezesem Maurycy Zamoyski. Komitet rozwiązał się w kwietniu 1919 roku.

Do str. 160, wiersz 12.

Dekret „o najwyższej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej" z dnia 22 listopada 1918 roku, *Dziennik Praw*, nr. 17, pozycja 41, na mocy którego Marszałek Piłsudski objął, jako „Tymczasowy Naczelnik Państwa, najwyższą władzę Republiki Polskiej" aż do czasu zwołania sejmu ustawodawczego.

Do str. 160, wiersz 13.

Dekret „o wyborach do sejmu ustawodawczego" z dnia 28 listopada 1918 roku. *Dziennik Praw*, nr. 18, pozycja 47, zarządzający wybory na dzień 26 stycznia 1919 roku, „na podstawie powszechnego, równego, tajnego, bezpośredniego i proporcjonalnego prawa wyborczego", ustalonego w dekrecie o „ordynacji wyborczej do sejmu ustawodawczego" z dnia 18 listopada 1918 roku, *Dziennik Praw*, nr. 18, pozycja 46.

Do str. 164, wiersz 9.

Odezwa rządu Świeżyńskiego, wydana dnia 3 listopada bez porozumienia z Radą Regencyjną, zapowiadająca utworzenie rządu narodowego „w większości swej z przedstawicieli ludu pracującego złożonego" i wzywająca naród do współpracy „w zapoczątkowanem dzisiaj wielkiem dziele budowy Rzeczypospolitej", stała się powodem dymisji rządu Świeżyńskiego.

Do str. 164, wiersz 21.

Manifest „Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej", ogłoszony w nocy z 7 na 8 listopada w Lublinie, proklamujący utworzenie państwa polskiego, zniesienie Rady Regencyjnej, zwołanie sejmu ustawodawczego, równouprawnienie wszystkich obywateli, upaństwowienie donacyj, majoratów i lasów, wprowadzenie ośmiogodzinnego dnia pracy,

oraz zapowiadający wniesienie na sejm ustawodawczy szeregu reform społecznych.

Do str. 164, wiersz 28.

Juljusz Poniatowski — urodzony 1886 roku, brał udział w Legjonach i w pracy P. O. W. Minister rolnictwa w rządzie lubelskim i w rządzie Wincentego Witosa (1920), poseł na sejm ustawodawczy i na sejm pierwszy zwyczajny. Działacz ludowy.

Do str. 164, wiersz 33.

Jan Stecki — urodzony w 1871, były poseł do pierwszej i drugiej *Dumy*, minister spraw wewnętrznych za Rady Regencyjnej. Senator do pierwszego, drugiego i trzeciego senatu. Ekonomista i prezes licznych organizacyj ziemiańskich.

Do str. 168, wiersz 11.

Lerchenfeld Hugo hrabia, — dyplomata niemiecki, urodzony 1871; 1916—1918 przedstawiciel władz niemieckich przy Radzie Stanu w Warszawie; w 1921 roku prezes rady ministrów w Bawarji.

Do str. 173, wiersze 13—23.

Jest tu mowa o pertraktacjach, prowadzonych w dniach 11—17 listopada 1918 roku przez Józefa Piłsudskiego z przedstawicielami stronnictw politycznych.

Do str. 174, wiersze 28—29.

Odezwa rządu Świeżyńskiego — zobacz przypis do str. 164, wiersz 9.

Do str. 177, wiersze 18—31.

Jest tu mowa o okupacji wojskowej niemieckiej na Kresach, która przetrwała aż do pierwszych dni lutego 1919 roku.

Do str. 177, wiersze 32—33.

Jest tu mowa o odczytach, wygłoszonych w Wilnie w dniach 27, 28 i 29 października 1924 pod tytułem *Wpływ Wschodu i Zachodu na Polskę w roku 1863.*

Do str. 180, wiersz 33.

Natson Siemion Jakowlewicz, urodzony 1862, umarł 1887, znany poeta liryczny rosyjski.

Do str. 181, wiersze 4—14.

Wjazd Józefa Piłsudskiego do Wilna nastąpił dnia 21 kwietnia 1919 roku.

IX.

W KSIĘDZE PAMIĄTKOWEJ SZKOŁY PODCHORĄŻYCH.

Do str. 183.

Podane w tekście słowa Piłsudskiego były drukowane na czołowej stronie w jednodniówce *W święto Szkoły Podchorążych 29.XI.1830 — 29.XI.1924*", wydanej nakładem kadry Szkoły Podchorążych piechoty na dzień święta szkolnego i zjazdu kilku dawnych klas szkoły.

Do str. 185, wiersze 1—2.

Piłsudski przeniósł się z prywatnego mieszkania do Belwederu dnia 29 listopada 1918 roku; w tymże dniu Szkoła Podchorążych zaciągnęła wartę w Belwederze; Szkoła pełniła służbę wartowniczą do 22 grudnia 1918. Ustalił się odtąd zwyczaj, że stale w dniu 29 listopada, który jest dniem święta Szkoły, podchorążowie pełnią w Belwederze wartę honorową.

X.

WYWIAD W SPRAWIE PROJEKTU ORGANIZACJI NAJWYŻSZYCH WŁADZ WOJSKOWYCH.

Do str. 187.

Premjer Władysław Grabski zaprosił 11 grudnia 1924 Marszałka Piłsudskiego, ministra spraw wojskowych Sikorskiego, ministra Thugutta oraz referenta sejmowego ustawy o organizacji najwyższych władz wojskowych, posła Stefana Dąbrowskiego, celem przedyskutowania tej ustawy i poprawek, wniesionych do niej w ostatnim czasie przez ministra spraw wojskowych.

Bezpośrednio przed tą konferencją został ten projekt wniesiony przez rząd do sejmu.

Z przebiegu tej rozmowy nie ukazała się żadna wzmianka, natomiast w *Kurjerze Porannym* z dnia 12 grudnia 1924 ogłosił Marszałek Piłsudski wywiad o projekcie ustawy w sprawie organizacji najwyższych władz wojskowych, który tu przedrukowujemy.

Projekt ustawy i poprawki do niego por. tom VI, przypisy, str. XIX i XX.

XI.

WSTĘP DO TOMU II „WSPOMNIEŃ LEGJONOWYCH".

Do str. 197.

Z początkiem roku 1925 wyszedł tom II *Wspomnień Legjonowych* pod redakcją Stanisława Falkiewicza i Janusza Jędrzejewicza. Tom ten nosił podobny charakter, jak niedawno przedtem wydany tom I tegoż wydawnictwa (por. przypis do str. 15). Józef Piłsudski zaopatrzył go we wstęp i opublikował w nim swoje wspomnienie pod tytułem *Ożarów*.

Do str. 199, wiersze 12—14.

W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego 1863—1903, Lwów, 1903. Str. 8 nlb + 558. Zawiera 79 wspomnień uczestników powstania, biorących w niem udział w różnym charakterze i na różnych stopniach, od najwyższego kierownictwa do szeregowego. Józef Piłsudski w swoich studjach nad 1863 rokiem korzystał obficie z tego źródła, uważając je za pierwszorzędne.

XII.

OŻARÓW.

Do str. 203.

Ożarów — miasteczko w powiecie opatowskim, województwa kieleckiego, 23 kilometry na północny-wschód od Opatowa. W czasie ofenzywy państw centralnych w roku 1915 I Brygada Legjonów, ruszywszy z nad Nidy, po bitwie i dłuższym postoju pod Konarami, doszła w dniu 25 czerwca pod Ożarów.

Do str. 205, wiersz 1.

Bidziny — wieś i dwór, 6 kilometrów na południe od Ożarowa.

Do str. 203, wiersze 2—4.

Władysław Belina-Prażmowski, dowódca 1-go pułku ułanów w Legjonach, pochodził z Sandomierskiego. Skupił on u siebie w pułku garść młodzieży obywatelskiej z tamtych okolic i stąd stosunki tamtejszych dworów z Beliniakami.

Do str. 206, wiersz 7.

Staebler — austrjackie określenie oficera sztabu generalnego.

Do str. 206, wiersz 10.

Otieczestwiennaja wojna — wojna ojczysta, nazwa, używana w Rosji w odniesieniu do wojny 1812 roku, kiedy Rosjanie, cofając się w głąb swego kraju, — niszczyli zbiory i palili osiedla dla utrudnienia marszu i wyżywienia armji napoleońskiej. Po wkroczeniu Napoleona do Moskwy i ona również została spalona.

Do str. 206, wiersze 14—17.

Przecież niedarmo Moskwa, spalona pożarem, oddana Francuzowi — jest to cytata z bardzo popularnego w Rosji wiersza Michała Lermontowa — *Borodino.*

Do str. 206, wiersz 19.

Roztopczyn Fiodor, generał i mąż stanu rosyjski, przygotowywał obronę Moskwy w roku 1812.

Do str. 208, wiersz 17.

Linja kolejowa Ostrowiec — Tarnobrzeg, zbudowana przez Rosjan w roku 1915.

Do str. 208, wiersze 28—29.

Naprzeciw I Brygady od marca do 24 czerwca 1915 występowała 83 rezerwowa dywizja z XXXI korpusu rosyjskiego generała Miszczenki, poczem na jej miejsce, po wycofaniu całego korpusu, weszła 3-cia dywizja grenadjerów z XXV korpusu.

Do str. 211, wiersz 1.

A jednak się poruszał — powiedzenie Galileusza, który, wezwany przed sąd Inkwizycji za napisanie dzieła *Dialogo,*

przemawiającego za teorją Kopernika, i zagrożony torturami, wyrzekł się teorji Kopernika o ruchu ziemi. Po rozprawie jednak miał zgnębiony Galileusz oświadczyć: *E pur si muove!*

Do str. 212, wiersz 18.

Własnej ojczyzny.

XIII.

O ISTOCIE DOWODZENIA.

Do str. 215.

Wykłady Marszałka Piłsudskiego *O istocie domodzenia* były wygłoszone w Warszawie. w sali Towarzystwa Hygjenicznego. Pierwszy z nich mówił o dowodzeniu taktycznem (19 stycznia 1925); drugi — o wyższem dowodzeniu (26 stycznia). Nadaliśmy im tutaj wspólny tytuł: *O istocie domodzenia.* Dzienniki ówczesne donoszą, że oba odczyty odbyły się wobec przepełnionej sali, przyczem ogromną większość słuchaczy stanowili oficerowie.

Krótkie streszczenia tych wykładów pomieszczone były w *Kurjerze Porannym* z 20 i 27 stycznia 1925. W papierach pani Marszałkowej Piłsudskiej znalazły się stenogramy tych wykładów w odpisie maszynowym. Na kilku początkowych stronach stenogramu pierwszego odczytu są poczynione nieliczne poprawki ręką Józefa Piłsudskiego, który widocznie zamierzał wydać odczyty te drukiem i w trakcie pracy zamiaru tego zaniechał. W skrypcie drugiego odczytu brak przy końcu jednej lub dwóch stron, których wydawcom nie udało się odnaleźć. To też zakończenie drugiego odczytu musieliśmy podać według streszczenia, drukowanego w *Kurjerze Porannym* z 27 stycznia 1925 roku.

Poza tem tekst, tutaj podany, jest opublikowany na podstawie wymienionego stenogramu. Musiano jednak skreślić, względnie przeredagować, kilka ustępów, niewątpliwie źle lub mętnie przez stenografa zanotowanych.

Do str. 223, wiersze 30—31.

Clausewitz Karol, generał i pisarz wojskowy pruski w epoce napoleońskiej, autor sławnego dzieła o sztuce wojennej *Vom Kriege.*

Do str. 224, wiersz 32.

Miejscowość i poligon wojskowy pod Warszawą, na drodze z Warszawy do Sulejówka.

Do str. 234, wiersz 12.

Marszałek czytał tu ustępy swoich wspomnień z Magdeburga. Stenograf tych ustępów nie zanotował, obecnie zaś nie udało się ustalić, które wspomnienia magdeburskie Marszałek przytaczał.

Do str. 242, wiersz 2.

1-sza armja niemiecka została po mobilizacji skoncentrowana na prawem, północnem skrzydle sił niemieckiego frontu zachodniego, w obszarze między Renem a granicą holenderską, na północ od Akwizgranu i Kolonji. Dowództwo armji sprawował generał von Kluck, szefem sztabu był generał von Kuhl. W skład armji wchodziły następujące jednostki: korpus II (Szczecin), korpus III (Berlin) i III rezerwowy, korpus IV (Magdeburg) i IV rezerwowy oraz później korpus IX (Altona). Przy ogólnym planie niemieckim, według którego siły Niemiec, przeszedłszy przez Belgję, miały okrążyć siły francuskie od północy, na I armję wypadły największe przestrzenie do pokonania; ponadto, w miarę posuwania się na zachód i południe, spadały na nią zadania osłony od wojska belgijskiego i angielskiego.

Do str. 242, wiersz 10.

W ramach, w związku.

Do str. 243, wiersze 3—9.

I armja musiała z obszaru koncentracyjnego, dla ominięcia terytorjum holenderskiego, przejść w całości przez miasto Akwizgran na granicy Belgji.

Do str. 243, wiersze 15—22.

Armja belgijska, odepchnięta przez prące naprzód przez Belgję siły niemieckie, cofnęła się na północ, na Antwerpję, stając w ten sposób za skrzydłem i na tyłach posuwającej się ku południowemu zachodowi 1-szej armji niemieckiej. Dla osłony wystawił generał von Kluck słabe siły, wydzielone z prawoskrzydłowego korpusu, które zresztą wycofał zpowrotem do sił frontowych natychmiast po nadejściu od-

działów rezerwowych. Marszu sił głównych nie zatrzymywał, ani nie zwalniał.

Do str. 243, wiersz 24.

W dalszym marszu na południowy wschód natknęła się 1-sza armja na świeżo przybyłe siły angielskie i stoczyła z niemi bitwę na pograniczu Belgji i Francji pod Mons, z wynikiem niepomyślnym dla Anglików. Jednoczesne cofnięcie się sąsiadującej z nimi 5-ej armji francuskiej zdecydowało o dalszym odwrocie aljantów ku południowi.

Do str. 244—245.

Analiza dni 3—5 września oraz cytaty według książki szefa sztabu 1-szej armji niemieckiej w roku 1914, generała H. von Kuhl: *Der Marnefeldzug 1914.* Berlin, 1921.

Do str. 245—247.

Przeciwko Rosji wystawili Niemcy w Prusach Wschodnich bardzo słabe siły (9 dywizyj piechoty i 1 dywizję kawalerji), 8-mą armję pod dowództwem generała Prittwitza. 1-sza armja rosyjska generała Rennenkampfa (armja Niemna) przekroczyła granicę wschodnio-pruską wzdłuż linji kolejowej Kowno — Królewiec, posuwając się na zachód. 8-ma armja niemiecka przeszła do przeciwnatarcia, które nie zatrzymało jednak definitywnie posuwania się sił rosyjskich. Dowódca armji otrzymał jednocześnie wiadomość, że 2-ga armja rosyjska generała Samsonowa, idąc z Ostrołęki i Łomży, zbliżała się do granicy południowej Prus Wschodnich. Wówczas generał von Prittwitz, zaniepokojony o bok i tyły, zdecydował przerwać bitwę i cofnąć się nad Wisłę. Jednak naczelne dowództwo niemieckie nie zgodziło się z tą decyzją i przeprowadziło zmianę dowództwa, mianując generała Hindenburga dowódcą, a Ludendorffa szefem sztabu 8-mej armji.

Wprowadzając w wykonanie plan niemieckiego szefa sztabu generalnego Moltkego przerzucenia 8-mej armji ofenzywnie przeciw 2-ej armji rosyjskiej z osłoną od armji Niemna, Hindenburg z Ludendorffem stoczyli w dniach 23 do 31 sierpnia bitwę pod Tannenbergiem, zakończoną zupełnem zniszczeniem 2-ej armji rosyjskiej; następnie, odwróciwszy 8-mą armję na północ, zwrócił ją całą przeciw armji Rennenkampfa, która już zagrażała bezpośrednio tyłom niemieckim. Rennenkampf nie czekał na natarcie i 31 sierpnia rozpoczął odwrót za jeziora mazurskie.

XIV.

PRZEMÓWIENIE NA ZEBRANIU „RODZINY WOJSKOWEJ".

Do str. 251.

Dnia 3 lutego 1925 odbyło się w kasynie garnizonowem w Warszawie inauguracyjne zebranie tworzącego się wówczas stowarzyszenia rodzin wojskowych — „Rodzina Wojskowa". Obrady zagaiła generałowa Konarzewska, poczem Marszałek Piłsudski wygłosił przemówienie, które podajemy tu według *Kurjera Porannego* z 4 lutego 1925.

XV.

PRZEDMOWA DO „MOICH PIERWSZYCH BOJÓW".

Do str. 257.

W roku 1925 wyszły w wydaniu książkowem trzy wspomnienia Józefa Piłsudskiego z przeżyć legjonowych pod wspólnym tytułem *Moje pierwsze boje. Wspomnienia, spisane w twierdzy magdeburskiej.* Warszawa, 1925. Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska". (Str. VI, 182, 1 nlb, portret i 3 mapy). Autor zaopatrzył je w przedmowę, którą tutaj przedrukowujemy.

Same wspomnienia, pisane w Magdeburgu w roku 1917—1918, były wydrukowane w tomie IV *Pism — Mów — Rozkazów*, str. 213—470, i przypisy, str. LXV—LXVIII.

Do str. 259, wiersz 4.

Marszałek Piłsudski został zaaresztowany przez Niemców w Warszawie jednocześnie z pułkownikiem Sosnkowskim, w nocy z 21 na 22 lipca 1917. Został przewieziony do Gdańska, skąd po kilku dniach do Szpandawy (Spandau), gdzie przesiedział około tygodnia. Stąd przewieziono go do Wesel, gdzie był więziony przez przeszło miesiąc, do początku września 1917. Stamtąd do Magdeburga. Etapy tych podróży i warunki życia w różnych więzieniach opisał Kazimierz Sosnkowski we wspomnieniu *Z Legjonów do Magdeburga (Za kratami więzień i drutami obozów.* Tom II, Warszawa, 1928).

Do str. 259, wiersz 17.

Dosłownie: letnia izba aresztu oficerskiego.

Do str. 262, wiersz 31.

Clausewitz — por. przypis do str. 223, wiersze 30—31.

Do str. 263, wiersze 32—33.

Ulina Mała — por. tom IV *Pism — Mów — Rozkazów*, str. 215, Marcinkowice — por. tamże, str. 309. Kostjuchnówka — por. tamże, przypisy, str. XIV.

XVI.

PRZEDMOWA DO WYDAWNICTWA „POLSKA INWALIDOM".

Do str. 269.

Podana w tekście przedmowa ogłoszona została — jako odbitka fotograficzna autografu — w czasopiśmie *Polska Inwalidom* w roku 1925.

XVII.

PSYCHOLOGJA WIĘŹNIA.

Do str. 273.

Odczyt pod tytułem *Psychologja więźnia* wygłosił Józef Piłsudski w Warszawie, dnia 24 maja 1925, na zaproszenie komitetu byłych więźniów politycznych. Wykład był stenografowany przez sprawozdawców *Kurjera Porannego* i ukazał się drukiem w czterech numerach tego dziennika z dni 25—28 maja 1925.

Przekład angielski i francuski tego odczytu ukazał się w czasopiśmie *Revue Pe'nitentiaire de Pologne*, wydawanem w Warszawie przez E. Neumarka w roczniku 1930/31, str. 32—50 *(The psychology of the prisoner)* i 51—70 *(La psychologie du prisonnier)* oraz w osobnych odbitkach; również w nakładzie tegoż czasopisma odbitka polska. (Warszawa, 1931, str. 20).

Tekst niniejszy jest przedrukiem tej broszury.

Do str. 276, wiersze 2—5.

Niedokładne powtórzenie zwrotów z wiersza *Do matki Polki* Adama Mickiewicza:

Każże mu wcześnie w jaskinię samotną
Iść na dumania... zalegać rohoże,
Oddychać parą zgniłą i wilgotną
I z jadowitym gadem dzielić łoże...
. . . . . .
Wcześnie mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza...

Do str. 286, wiersze 10—11.

Forteca Petropawłowska w Petersburgu nad rzeką Newą.

Do str. 286, wiersze 10—11.

Józef Piłsudski był więziony w fortecy Petropawłowskiej w roku 1887, przed zesłaniem na Syberję.

Do str. 286, wiersz 30.

Szlisselburg — twierdza rosyjska przy wypływie rzeki Newy z jeziora Ładoga, w 1810 roku zamieniona na więzienie.

Do str. 286, wiersz 32.

Janowicz Ludwik, urodzony 1859 na Żmudzi, działacz socjalistyczny, podczas studjów w Moskwie nawiązał stosunki z rosyjską młodzieżą rewolucyjną; organizował młodzież polską pod sztandarem socjalizmu; w 1884 przybył do Warszawy i wstąpił do „Proletarjatu"; skazany na 16 lat katorgi, odbywał ją w Szlisselburgu, potem na osiedleniu w obwodzie jakuckim. Umarł w roku 1902 w Jakucku śmiercią samobójczą.

Do str. 287, wiersze 17—19.

Łukaszewicz Józef, przyrodnik, urodzony w 1863. Studja odbywał na uniwersytecie petersburskim. Za udział w ruchu rewolucyjnym skazany na śmierć, potem ułaskawiony, przebył 18 lat w twierdzy szlisselburskiej; uwolniony w roku 1905, pracował w Komitecie Geologicznym, był profesorem i rektorem Instytutu Geograficznego w Petersburgu. Od roku 1920 profesor geologji fizycznej na uniwersytecie wileńskim. Umarł w październiku 1928. W odbitce osobnej *Psychologji więźnia* mylnie podany, jako Łukasiewicz.

Do str. 293, wiersz 22.

Por. przypis do str. 259, wiersz 4.

XVIII.

PRZEDMOWA DO JEDNODNIÓWKI 6-go PUŁKU PIECHOTY LEGJONÓW.

Do str. 297.

Szósty pułk piechoty Legjonów wydał na dziesięciolecie swego powstania jednodniówkę *(Jednodniówka w dziesiątą*

rocznice 6 p. p. Leg. 28.VII. 1915—1925. Wilno, 1925. Str. 72). Na pierwszem miejscu (str. 5—6) jest pomieszczony artykuł Józefa Piłsudskiego bez tytułu.

Do str. 299, wiersz 1.

Szósty pułk został w Legjonach utworzony w lecie 1915 roku i dopiero w jesieni tego roku wziął udział w bojach Legjonów na Wołyniu. Był to zatem ostatni z pułków, w Legjonach sformowanych.

Do str. 300, wiersz 6.

Chłodno potraktowana.

Do str. 300, wiersze 33—34.

Nieścisłe o tyle, że austrjacki pułkownik Grzesicki był mianowany dowódcą III Brygady Legjonów, w skład której wchodził 6-ty pułk. Przebywał wraz z pułkiem w Piotrkowie do czasu jego sformowania, potem wraz z nim przybył na front, gdzie, w braku 4-go pułku, który wraz z 5-tym walczył pod dowództwem Piłsudskiego dalej na południe, miał, jako brygadjer, pod swojemi rozkazami tylko 6-ty pułk piechoty.

Do str. 301, wiersze 31—35.

W czasie demonstracyjnego zdjęcia odznak oficerskich w czerwcu 1916 roku 6-ty pułk zastosował się do uchwały Rady Pułkowników bez wahania, za co Komenda Legjonów zawiesiła w czynnościach ówczesnego dowódcę pułku, pułkownika Norwid-Neugebauera; we wrześniu tegoż roku, po dymisji Piłsudskiego z Legjonów, oficerowie i szeregowi 6-go pułku narówni z I Brygadą wnieśli gremjalnie podania o zwolnienie z Legjonów; również w okresie odmówienia przysięgi w roku 1917 6-ty pułk piechoty w całości wniósł podania o zwolnienie, w wyniku czego podzielił los swoich kolegów z I Brygady w obozach jeńców w Benjaminowie, Szczypiornie i Łomży, oraz w wojsku austrjackiem, gdzie oficerowie zostali zdegradowani na *feldfebli.*

Do str. 302, wiersz 3.

W roku 1919, przy formowaniu dywizyj legjonowych, została utworzona początkowo 2-ga, potem przemianowana na 1-szą, dywizja z pułków 1-go i 5-go — dawnych I Brygady Legjonów — oraz 6-go. W tym składzie piechoty 1-sza dywizja stale walczyła w latach 1919—1920 (czwarty pułk dywizji nie był stale przy niej), w tym też składzie pozostaje dywizja po dziś dzień.

XIX.

WYWIAD O NACZELNYCH WŁADZACH WOJSKOWYCH.

Do str. 303.

Wywiad ten był ogłoszony w dzienniku wileńskim *Słowo* dnia 23 lipca 1925. W parę dni później, 27 lipca, warszawski *Kurjer Poranny*, który poprzednio podał tylko telegraficzne streszczenie, ogłosił tenże wywiad, zaznaczając: ...„dzisiaj wywiad ten z własnoręcznemi uzupełnieniami Marszałka Piłsudskiego zamieszczamy w całości". W tekście podaliśmy wywiad według *Kurjera Porannego*. Tezy, tutaj poruszone, zostały szczegółowo omówione przez Marszałka Piłsudskiego w wywiadach prasowych w styczniu i lutym 1926 (Por. *Enuncjacje w sprawie powrotu do wojska).*

Do str. 306, wiersz 13.

Marszałek francuski Pétain — pod koniec wojny światowej naczelny wódz sił zbrojnych francuskich.

Do str. 308, wiersz 25.

Teobald Bethmann-Hollweg, kanclerz Rzeszy niemieckiej w latach 1909—1917. W pierwszej fazie wojny światowej, po ustąpieniu szefa sztabu generalnego niemieckiego, Moltkego, wszedł na to stanowisko minister wojny Rzeszy, generał Falkenheim. Ulegał on w sprawach politycznych kanclerzowi Bethmann-Hollwegowi. Kiedy w roku 1916 szefem sztabu generalnego został Hindenburg z Ludendorffem, jako zastępcą, objęli oni faktyczną dyktaturę, wywierając decydujący wpływ nietylko na sprawy wojenne, lecz również i na polityczne Niemiec.

Do str. 308, wiersz 28.

W czasie wojny prusko-francuskiej w 1870 roku kanclerzem Niemiec był Bismarck, zwany „żelaznym kanclerzem".

XX.

W ZŁOTEJ KSIĘDZE DRUSKIENIK.

Do str. 309.

Podane w tekście rozważania powstały w lecie roku 1925 w czasie pobytu Marszałka Piłsudskiego w Druskienikach. Wpisał on je wówczas do *Złotej Księgi* zakładu Rozważania te drukowane były następnie w kilku dziennikach. Przedrukowujemy je tutaj z wydawnictwa *Kresy Wschodnie*, Warszawa, 1 maja 1930, str. 2.

XXI.

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE LEGJONISTÓW W WARSZAWIE.

Do str. 313.

W dniach 8 i 9 sierpnia 1925 roku odbył się w Warszawie czwarty walny zjazd legjonistów. Dnia 9 sierpnia, o godzinie 18 wygłosił Józef Piłsudski odczyt w sali ratuszowej. Odczyt ten, drukowany w streszczeniach w różnych pismach, ukazał się drukiem w pełnym tekście według stenogramu w broszurze *Argumenty i Kontrargumenty Polemiczne.* Warszawa, 1925. Wydawcy *Pism—Mów—Rozkazów* otrzymali ponadto pełny stenogram wykładu, poprzednio niepublikowany, od pana Leona Barysza. Tekst stenogramu pana Barysza różni się bardzo nieznacznie od tekstu, publikowanego w roku 1925. Tutaj drukujemy stenogram pana Barysza.

Do str. 317, wiersz 29.

Cendrillon — po francusku kopciuszek.

Do str. 318, wiersze 6—7.

Na Wawelu były w XIX wieku i pierwszych latach XX wieku koszary austrjackie. Kopiec Kościuszki w Krakowie obudowany jest koszarami i murami obronnemi, wzniesionemi przez Austrjaków.

Do str. 319, wiersze 9—11.

Aluzja do tego, że legjonistów traktowali Austrjacy, dopóki nie przyszło do walki, jako wojsko drugorzędne, niefachowe.

Do str. 320, wiersze 32—34.

Aluzja do tego, że krwawe boje legjonistów na froncie były wyzyskiwane dla własnej reklamy przez tyłowych oficerów legjonowych, szczególnie v Departamencie Wojskowym Naczelnego Komitetu Narodowego.

Do str. 321, wiersz 33.

W okresie bitwy pod Jastkowem i wkroczenia Legjonów do Lublina (lipiec 1915) ofenzywa państw centralnych postępowała bardzo szybko; Rosjanie odstępowali coraz więcej ziemi polskiej, co wytwarzało w Legjonach nastrój radosny i pełen nadziei na pomyślne rozwiązanie sprawy polskiej.

Do str. 322, wiersz 12.

W czasie ofenzywy w roku 1915 pierwsi wkroczyli do Lublina ułani Beliny, witani bardzo serdecznie przez mieszkańców miasta.

Do str. 323, wiersze 20—23.

Aluzja do taniego sprzedawania państwom centralnym wartości i atutów, zdobytych trudem wojennym i krwią legjonistów.

Do str. 324, wiersze 4—8.

Jednocześnie ze zwolnieniem z Legjonów Piłsudskiego, we wrześniu 1916, przemianowali Austrjacy Legjony na Polski Korpus Posiłkowy, co było okrzyczane przez Komendę Legjonów, Departament Wojskowy Naczelnego Komitetu Narodowego i t. p. za wielkie zwycięstwo; faktycznie zdobycz to była bardzo nieistotna. W rozporządzeniu o utworzeniu Korpusu Posiłkowego było, jako wielkie ustępstwo ze strony Austrji, powiedziane, że przydzieleni tam oficerowie austrjaccy będą nosili mundury legjonowe. Ówczesny porucznik Wieniawa-Długoszowski ułożył wówczas piosnkę satyryczną, która wnet stała się bardzo popularną. Jedna z jej strofek brzmiała: „sam pan generał będzie ubierał w maciejówkę łeb".

Do str. 324, wiersze 11—14.

Józef Piłsudski zwrócił się do posła Jędrzeja Moraczewskiego, który siedział w pierwszym rzędzie audytorjum. Moraczewski, oficer legjonowy, został „wyrzucony" z Legjonów w roku 1916, jako „politycznie podejrzany" *(politisch verdächtig)*.

Do str. 324, wiersze 18—19.

Aluzja do masowego zamknięcia legjonistów w okresie przysięgowym 1917 w obozach jeńców i więzieniach, kiedy jednocześnie lojalni w stosunku do Komendy Legjonów robili szybkie karjery.

Do str. 325, wiersz 5.

Aluzja do ogromnego entuzjazmu, z jakim Piłsudski został w całej Polsce powitany i obdarzony najwyższemi w państwie godnościami w listopadzie 1918.

Do str. 325, wiersze 31—32.

Piłsudski, objąwszy władzę w Polsce w listopadzie 1918, puścił w niepamięć wszystkie dawniejsze sprawy i dopuścił do pracy wojskowej wszystkich, których dawniej uważał za szkodników w sprawie polskiej.

Do str. 326, wiersze 13—14.

„ni z tego, ni z owego będzie Polska na pierwszego", słowa popularnej w Legjonach piosnki-satyry na różnych oportunistów, którzy przez cały czas wojny przywozili do Legjonów wiadomości, że sprawa polska jest na najlepszej drodze i lada dzień będzie załatwiona.

Do str. 326, wiersz 20.

Mowa tu o analizie Piłsudskiego w cytadeli magdeburskiej przeżyć legjonowych.

Do str. 326, wiersz 26.

Entläusung — odwszenie; czynność, znana dobrze w okupacji niemieckiej w czasie wojny, stosowana bardzo szeroko przez Niemców.

Do str. 327, wiersze 26—35.

Analogiczne zwierzenia w mowie Piłsudskiego w Bristolu, 3 lipca 1923, por. tom VI, str. 45 i nast.

Do str. 328, wiersz 2.

Suwerenami nazywano w roku 1919 posłów sejmowych — sejm bowiem został w tak zwanej „Małej Konstytucji" z marca 1919 określony jako „suwerenny".

Do str. 328, wiersze 4—11.

Aluzja do stosunków, jakie panowały w pierwszym okresie niezależnej Polski, gdzie wzajemnie wypominano sobie stosunki z zaborcami i frymarczenie sprawą polską, oraz do wzajemnej nieufności i wynoszenia się jednej dzielnicy nad drugą.

Do str. 328, wiersze 31—35 i do str. 329, wiersze 1—2.

Piłsudski z niepokojem śledził, jak generał Sikorski, który w Legjonach w sposób nader ugodowy szedł na rękę

Austrjakom i Niemcom, organizował reklamę swoich czynów w czasie wojny bez skrupułów w stosunku do istotnej prawdy historycznej, dla ułatwiania sobie w ten sposób karjery i pięcia się do władzy.

Do str. 330, wiersz 19.

Mowa tu o majorze francuskim, Karolu Kuntz, z Misji Wojskowej Francuskiej w Polsce, który pisał kilka prac o Polsce, między innemi historję Legjonów.

XXII.

LIST DO REDAKTORA „KURJERA PORANNEGO" W SPRAWIE USTAWY O NAJWYŻSZYCH WŁADZACH WOJSKOWYCH.

Do str. 333.

List ten stanowił ostateczne rozcięcie niejasnej sytuacji, jaka dokoła sprawy ustawy o najwyższych władzach wojskowych była stwarzana przez ministra spraw wojskowych. Przez szereg miesięcy dawał on bowiem w różnej formie do zrozumienia, że pracuje pod kątem umożliwienia Marszałkowi Piłsudskiemu powrotu do wojska. Piłsudski, ogłaszając swój list do Sikorskiego z 29 lutego 1924 roku, dotychczas nikomu nieznany, demaskował fałszywość gry ministra Sikorskiego.

List do Sikorskiego z dnia 29 lutego 1924 ogłoszony był w tomie VI, str. 321—325, ponadto dla wyjaśnienia całej sprawy okoliczności powyższego listu por. tom VI, *Wstęp* i *Przypisy* str. XVIII—XXI. Odpowiedź gabinetu ministra spraw wojskowych na list Piłsudskiego z 12 sierpnia 1925 przytoczona jest w tomie VI, przypisy — str. XXI.

Do str. 336, wiersz 9.

Generał Sikorski urządził w tym czasie manewry na Wołyniu i na Pomorzu, bardzo efektownie wyreżyserowane, bardzo silnie reklamowane w prasie, na które byli zaproszeni liczni wojskowi zagraniczni.

XXIII.

LIST OTWARTY Z POWODU KOMUNIKATU SZEFA SZTABU STANISŁAWA HALLERA.

Do str. 339.

Naskutek ustępu końcowego przemówienia Piłsudskiego na zjeździe legjonistów w dniu 9 sierpnia, ogłosił szef Sztabu

Generalnego, generał Stanisław Haller, następujący komunikat:

„Według sprawozdania w *Kurjerze Porannym* z 10 sierpnia roku bieżącego miał Pan Marszałek Piłsudski na zjeździe byłych legjonistów dnia 9 bieżącego miesiąca rzekomo oświadczyć, że przy okazji pracy nad książką *Rok 1920* przekonał się, iż archiwum Sztabu Generalnego zawiera odnośnie operacji tego roku dokumenty nieprawdziwe, z czego wysnuły niektóre pisma ostre zarzuty przeciw Sztabowi Generalnemu, insynuując mu świadome fałszowanie, względnie usuwanie aktów operacyjnych.

Jako zwierzchnik, odpowiedzialny za prace Sztabu Generalnego, zastrzegam się przeciw podobnym twierdzeniom, godzącym w honor żołnierski i sumienność naukową tych, którym powierzono stać na straży aktów historycznych.

W czasie opracowywania przez Pana Marszałka Piłsudskiego książki *Rok 1920* szef Biura Historycznego przeprowadzał osobiście poszukiwania w archiwum aktów, w myśl żądań Pana Marszałka, robiąc odpisy i wyciągi. Nie podniesiono wówczas z żadnej strony wątpliwości ani co do wiarogodności, ani co do kompletności pewnych dokumentów.

Zwróciłem się do Pana Marszałka Piłsudskiego z prośbą, by podał do wiadomości Sztabu Generalnego, jakie dokumenty kwestjonuje, lub jakich dokumentów brak zauważył.

Z chwilą sprecyzowania zarzutów odpowiednie działy archiwum będą zbadane przez fachową komisję, złożoną z historyków wojskowych i zaproszonych cywilnych, a to celem stwierdzenia zarówno autentyczności, jak kompletności materjału źródłowego i usunięcia krzywdzących podejrzeń, ciążących na Sztabie Generalnym".

W odpowiedzi na powyższy komunikat ogłosił Marszałek Piłsudski w *Kurjerze Porannym* z dnia 6 września 1925 list otwarty, podany tutaj w tekście.

Do str. 343, wiersze 20—21.

Stronica podana według pierwszego wydania *Roku 1920*. W wydaniu *Pism—Mów—Rozkazów* por. tom VII, str. 216.

Do str. 343, wiersze 21—24.

Aluzja do ustępu w komunikacie szefa Sztabu, że w czasie opracowywania książki *Rok 1920* nie podniesiono z żadnej strony wątpliwości co do wiarygodności względnie kompletności pewnych dokumentów.

Sprzeczność tego ustępu z faktycznym stanem rzeczy wykazał zresztą jeszcze przed listem otwartym Piłsudskiego szef Biura Historycznego z roku 1924, który zestawiał ma-

terjały dla pracy Marszałka nad *Rokiem 1920*, generał Stachiewicz, w swoim raporcie do szefa Sztabu (por. tygodnik *Głos Prawdy* 1925, str. 360).

Do str. 344, wiersz 19.

Przysłowie łacińskie „gdybyś milczał, pozostałbyś filozofem".

* * *

Po liście otwartym Marszałka Piłsudskiego zwołał minister spraw wojskowych, generał Sikorski, komisję dla zbadania stanu aktów operacyjnych z 1920 roku. W skład komisji weszli generał Leonard Skierski, jako przewodniczący, profesor uniwersytetu we Lwowie Stanisław Zakrzewski, profesor uniwersytetu w Krakowie Władysław Konopczyński, pułkownicy Wacław Tokarz i Bronisław Gembarzewski.

Komisja rozpoczęła swe prace dnia 3 października i zakończyła 6 listopada 1925 roku. Przez ten czas odbyła kilkanaście posiedzeń i zasięgnęła opinji u 28 oficerów. Między innymi odbyła ona konferencję w dniu 28 października z Marszałkiem Piłsudskim. Jeden z członków komisji, profesor Konopczyński, opublikował w rok później w dzienniku krakowskim *Głos Narodu* z 22 października 1926 zakończenie konferencji u Marszałka Piłsudskiego, stwierdzając, że tekst ten powstał z notatek w czasie przemówienia. Opuszczenia i niedokładności są możliwe tylko w wyrażeniach mniej ważnych. Oto tekst przemówienia według relacji Konopczyńskiego:

„Nie należy mieszać dwóch rzeczy: Naczelnego Wodza z Naczelnem Dowództwem. Każdy Wódz Naczelny ma swój indywidualny system działania. Mój system był dostosowany do potrzeb i stanu Polski. Wojsko nasze szybko formowano wśród wojny — to jego pierwszy minus. Drugi, że generałowie kłócili się ze sobą; nie było zaufania. Trzeci, że się nawzajem nie znano. Czwarty — to nacisk ciągły państw zwycięskich; wszyscy prócz mnie poddawali się temu naciskowi; musiałem ciągle strzec się zdrady. Groziła ona od Sztabu Generalnego, generałów, sejmu, ministerstwa spraw zagranicznych; najlepiej jeszcze współpracował ze mną Sapieha. Wojnę zwycięsko przeprowadziłem wobec Polaków — z takimi Polaczyszkami musiałem wciąż walczyć.

Jeszcze jedną przeszkodą było Naczelne Dowództwo. Stworzyłem je sam; wobec panującego w wojsku zepsucia finansowego i kradzieży, wyrzekłem się spraw finansowych, nie mogąc nad niemi czuwać. Naczelne Dowództwo miało prowadzić gospodarkę wojskową. Kontrola się nie udawała, choć wybierałem do niej ludzi cywilnych. Rządowi ufać nie

mogłem, bo onby jeszcze gorzej rozkradał. Żadnego zaufania nie miałem do sejmu i rządu. Jeszcze najlojalniej wobec mnie postępował Skulski. Na wojnie ci ludzie nic się nie rozumieli. Znosiłem mnóstwo płatnych ataków od posłów i stronnictw. Jestem przekonany, że to były płatne narzędzia *Ententy* — wszyscy, nie wyłączając marszałka sejmu.

Oparłem się więc na bardzo nielicznych ludziach. Książkę *Rok 1920* posłałem z dedykacją czterem tylko ludziom. Są to: Piskor, Stachiewicz, Wieniawa i Prystor (mój przyjaciel). Całą ofenzywę na Ukrainę układałem z pomocą dwóch tylko ludzi — Wieniawy i Stachiewicza; później przyłączył się do nich Stanisław Radziwiłł. Powiedziałem o tej pracy Stanisławowi Hallerowi, gdy już była gotowa, bo też w Sztabie każdy cudzoziemiec mógł czytać, co chciał, i tajemnice dochodziły do Niemców i bolszewików. Żadnego tam nie było sekretu. Francuzi czytali wszystko, a co wiedzieli Francuzi, to mogli wiedzieć i Anglicy, co Anglicy, to Włosi, co ci wszyscy — to Niemcy, a od Niemców i bolszewicy. Nic dziwnego, że niektóre operacje nie były w Sztabie należycie przygotowane.

Mało było ludzi, przyzwyczajonych do tak zwanej buchalterji wojny. Wśród legjonistów było takich ledwo kilku. Wyższe wykształcenie do tego mieli tylko oficerowie z armji austrjackiej. Oni to utworzyli to, co nazwałem mafją austrjacką: komunikowali pewne rzeczy tylko swoim ludziom, nie innym. Na czele stanął Szeptycki; opierał się temu Stanisław Haller, ale potem i on przystąpił.

W Naczelnem Dowództwie działy się olbrzymie nadużycia. Prawdopodobnie i wielu posłów sejmowych maczało w nich ręce: niejedna fortuna poselska wyrosła z nadużyć w gospodarce wojskowej, zwłaszcza brudna była sprawa rozdrapania materjałów zdobycznych, wziętych na Niemcach. Wtedy zmusiłem Paderewskiego, żeby podczas swych częstszych odjazdów powierzał zastępstwo Wojciechowskiemu, ministrowi spraw wewnętrznych, i razem z nim próbował walczyć z tem złem. Zacięte były walki z Zarządem Ziem Wschodnich, bo tam chciano, co można, zachować dla miejscowej ludności. Chciano wymusić nagły rozkaz, aby dla wojska kupować wszystko za wszelką cenę. Odmówiłem Stanisławowi Hallerowi podpisu pod takim rozkazem. Wtedy, po zwycięstwie wileńskiem 1919 roku, powstało Naczelne Dowództwo dla spraw ekonomicznych. Ale w prowadzeniu wojny zupełnie się nie liczyłem ze zdaniem Naczelnego Dowództwa. Zwycięstwa odnosiłem tak, że porzucałem na j... pies inne sprawy, rzucałem się w jedną stronę, obejmowa-

łem dowództwo i zwyciężałem. Zwycięstwa odnoszone były pod moim batem. Pisano w Sztabie Generalnym dużo, ale nic z tego się nie robiło. Rozwadowski pisał ciągle różne projekty — efemerydy. Trzymałem go w 1920 roku na stanowisku szefa Sztabu, bo z austrjackich oficerów on jeden nie upadł moralnie".

Komisja historyczna wydała swoje orzeczenie w dniu 5 listopada 1925. Minister spraw wojskowych ogłosił je w prasie dnia 13 listopada. Do tego ogólnego orzeczenia dodali swoje odrębne enuncjacje przewodniczący komisji, generał Skierski, i profesor Stanisław Zakrzewski.

Poniżej podajemy tekst orzeczenia oraz obu oświadczeń — według tekstu, ogłoszonego w *Kurjerze Porannym* z 13 listopada 1925.

„Komisja, powołana przez ministra spraw wojskowych do zbadania stanu aktów operacyjnych z 1920 roku w związku z zarzutami, wysuniętemi przez Pana Marszałka Piłsudskiego, po odbyciu kilkunastu posiedzeń, gruntownem zbadaniu aktów i zasięgnięciu informacyj u 28 oficerów, zakończyła swe prace, przedstawiając panu ministrowi następujące orzeczenie:

„Polemika publicystyczna, a następnie wojskowo-pamiętnikarska, rozpoczęta po odniesieniu zwycięstwa, jakiego Polska nie zaznała od czasów Jana III, doprowadziła do głębokiego rozgoryczenia umysłów oraz odebrania wojsku i jego Wodzowi radości z dokonanych czynów. Nie zabrakło prób udowodnienia, że zwycięstwo było jedynie wynikiem wskazań doradców obcych, choć doradcy ci z całą szczerością żołnierską zaprzeczali temu, że uwieńczyło ono nasze chorągwie dzięki przypadkowi, dzięki niższości przeciwnika, choć straty jego i nasze protestowały swą krwawą wymową przeciwko podobnym wywodom, że odnieśliśmy je wbrew wszelkim regułom strategji i taktyki, przez Wodza i dowódców niefachowych. Mówiono o zwycięskim Wodzu kampanji 1920 roku, że miał być rzekomo marjonetką w ręku swych doradców; usiłowano całość zasługi przenieść na jednych, całość winy na drugich.

Z tej atmosfery niechęci, z tej polemiki, nad którą głęboko ubolewać należy, wyrosły później zarzuty Marszałka Piłsudskiego.

Komisja, badająca te zarzuty, musiała na wstępie stwierdzić tę tak smutną ich genezę, a później nieścisłość lub bezpodstawność przeważnej ich części. Jeżeli istniały u nas obawy stronniczej publicystyki i pamiętnikarstwa wojny roku 1920, to nie myślano nigdy o fałszowaniu dokumentów tej

wojny lub celowem usuwaniu z archiwów znajdujących się już w nich aktów.

Miały natomiast miejsce zjawiska innego rodzaju, które uszczupliły stan materjału źródłowego już w czasie wojny, gdy znajdował się jeszcze w ręku sztabów, kierujących nią. W czasie, gdy przy niezwykłem napięciu woli i nerwów prowadziło się działania bardzo odpowiedzialne i równocześnie tworzyło wojsko, trudno było wymagać od ludzi, pochłoniętych temi czynnościami, należytej pieczy nad biurową i archiwalną stroną ich pracy. Nie wszystkie rozkazy przechowały się w swych pierwopisach koszulkowych, stanowiących tak cenny materjał dla historyka: niejednokrotnie los ten spotkał nawet najważniejsze rozkazy operacyjne: nie mogło być mowy o naklejaniu wszystkich rozmów *hughesomych*. Niejednokrotnie bardzo ważne rozkazy operacyjne załatwiano drogą rozmowy ustnej lub telefonicznej. Ten stan rzeczy uległ dalszej niekorzystnej zmianie w czasie przekazywania aktów operacyjnych do archiwum sekcji historycznej, zarodka późniejszego Biura Historycznego Sztabu Generalnego. Akta Naczelnego Dowództwa, frontów, armij, dywizyj, oddziałów, napływały w stanie bardzo rozmaitym, często nieuporządkowane i uszczuplone. Niektóre grupy aktów pozostały dotąd w ręku oddziałów Sztabu Generalnego, departamentów ministerjum spraw wojskowych oraz sądów wojskowych. Inne, niejednokrotnie bardzo ważne, znalazły się w ręku dowódców i dopiero stanowczy rozkaz pana ministra umożliwił częściowe ich zdobycie; niektóre z nich wpłynęły do archiwum Biura Historycznego dopiero w maju roku bieżącego: inne znajdują się po dziś dzień w rękach prywatnych. Później, gdy większość aktów znalazła się już w archiwum Biura Historycznego, szereg przyczyn wpłynął na to, że ich inwentaryzacja i uporządkowanie musiały postępować niezwykle wolno. Sześciokrotne przenoszenie Biura Historycznego z lokalu do lokalu, szczupłość przyznawanego każdorazowo pomieszczenia, skromna ilość etatów archiwalnych (dwóch oficerów, podczas gdy w Rumunji, naprzykład, 20 oficerów nie ukończyło uporządkowania aktów z czasów wojny światowej), brak pracowników, przygotowanych fachowo do roboty archiwalnej i pozostających w niej dłużej — robiły tutaj swoje. Następnie część aktów z archiwum sekcji historycznej wypożyczała Najwyższa Komisja Opinjująca do spraw przeciwko poszczególnym uczestnikom wojny, nie przestrzegając przytem kardynalnych zasad porządku archiwalnego. Akta te zrazu nie wróciły do archiwum Biura Historycznego, ale znalazły się w oddziale V Sztabu Gene-

ralnego, skąd odebrano je dopiero w roku 1924. Niektórzy dowódcy oraz autorowie prac historyczno-wojskowych wypożyczali z archiwum całe kompleksy aktów, co również sprzeciwia się zasadom praktyki archiwalnej. Ten stan rzeczy ulegał z każdym dniem zmianie na lepsze, dzięki energji Biura Historycznego Sztabu Generalnego, zbierającego skrzętnie akta operacyjne i podporządkowującego je coraz dokładniej. Na tle jednak stanu rzeczy w latach 1923/24, gdy pewna część dokumentów znajdowała się jeszcze w oddziale V Sztabu Generalnego w rękach osób poszczególnych, gdy stan uporządkowania archiwum nie pozwalał jeszcze stwierdzić, czy dany dokument, nieodnaleziony w tekach Naczelnego Dowództwa, nie znajdzie się w tekach frontów, powstawały podejrzenia, które ostatnio znalazły wyraz publiczny w liście otwartym do *Kurjera Porannego*. W sprawie tych oskarżeń komisja, zbadawszy wszystkie dostępne akta oraz przesłuchawszy cały szereg oficerów z Marszałkiem Piłsudskim na czele, stwierdza, że: 1) nie może być mowy o sfałszowaniu rozkazu Wodza Naczelnego do generała Rydza-Śmigłego, nakazującego mu odwrót z Kijowa na Żytomierz. Autentyczny — jak to stwierdził w komisji Pan Marszałek — rozkaz Wodza Naczelnego z dnia 10 czerwca 1920 roku został przesłany natychmiast przez Naczelne Dowództwo do dowództwa frontu ukraińskiego, w celu przekazania go 3-ej armji, zaś ówczesny szef Sztabu Generalnego, generał Stanisław Haller, nietylko wydał wszelkie potrzebne zarządzenia dalszego przekazania tego rozkazu, lecz w rozmowie *hughesowej* z generałem Listowskim z dnia 10 czerwca zapytywał wyraźnie: „Czy depeszą radjo do generała Śmigłego była podana zasadnicza treść rozkazu Naczelnego Wodza?“ i otrzymał na to odpowiedź „tak“. Winę formalną niezrozumienia i niedokładnego przekazania rozkazu z dnia 10 czerwca 1920 roku ponosi więc dowództwo frontu ukraińskiego.

2) Komisja, mimo starannych poszukiwań i wysłuchania wyjaśnień Marszałka Piłsudskiego, nie odnalazła żadnego pisma generała Stanisława Hallera do generała Szeptyckiego, w którymby generał Stanisław Haller, powołując się na wolę Wodza Naczelnego, lekceważył doniosłość obrony Wilna. Wszystkie istniejące z tych czasów rozkazy stwierdzają przeciwnie, że zarówno Wódz Naczelny, jak i szef Sztabu Generalnego przywiązywali do obrony Wilna bardzo duże znaczenie.

O ile chodzi o depesze Wodza Naczelnego do generała Boruszczaka, to Pan Marszałek zgodził się w komisji na to,

że za depeszę tę uznać można jego depeszę do dowództwa frontu północnego z dnia 12 lipca 1920 roku, nakazującą bezwzględną ochronę Wilna przeciwko bolszewikom i Litwinom. Depeszy tej nie było w archiwum Biura Historycznego Sztabu Generalnego w roku 1923, to jest w czasie zbierania materjałów do książki Pana Marszałka, gdyż znajdowała się w aktach sprawy generała Boruszczaka, przekazanych przez Najwyższą Komisję Opinjującą Oddziałowi V Sztabu Generalnego.

3) Komisja stwierdziła, że w nocy z 20 na 21 sierpnia 1920 roku miała istotnie miejsce ostra rozmowa telefoniczno-*hughesowa* pomiędzy Panem Marszałkiem i generałem Rozwadowskim, spowodowana zmianą przez Naczelne Dowództwo kierunku pościgowego 1-ej armji z północno-wschodniego na północno-zachodni.

Wkońcu komisja podnosi z uznaniem sumienną działalność obydwu szefów Biura Historycznego w latach 1923-25, w szczególności stwierdza, że obecny szef Biura, generał Kukiel, położył istotne zasługi w kompletowaniu i porządkowaniu archiwum.

Oświadczenie niniejsze obejmuje tylko te punkty, na które zgodzili się wszyscy członkowie komisji.

Generał Skierski i profesor Zakrzewski, podpisując oświadczenie powyższe, zastrzegli równocześnie, że złożą oświadczenia uzupełniające.

Warszawa, dnia 5 listopada 1925 roku.

Podpisali: Przewodniczący Komisji generał dywizji Leonard Skierski.

Członkowie: Bronisław Gembarzewski, Wacław Tokarz, Stanisław Zakrzewski, Władysław Konopczyński".

Oświadczenie generała Skierskiego.

„Ponieważ orzeczenie komisji dla zbadania stanu aktów operacyjnych z roku 1920 nie wyczerpuje całości i dotyka więcej kwestyj formalnych, niż zasadniczych — uważam za swój obowiązek moralny, jako obywatela Rzeczypospolitej i żołnierza, który całe życie pragnął z honorem nosić mundur żołnierski, — wyrażenie zdania właśnie w tych sprawach najistotniejszych, zasadniczych, nieobjętych orzeczeniem komisji, gdyż zdaje mi się, że tylko odpowiedź na nie może w należytym stopniu oświetlić sprawę zarzutów Marszałka Piłsudskiego.

Odnośnie do pytań, danych komisji przez pana ministra spraw wojskowych, muszę jeszcze krótko powrócić do pytania drugiego, „czy istnieje podstawa do przypuszczenia,

że poza przedstawionemi dokumentami istnieją dla tejże sprawy inne, sprzeczne z przedstawionemi, a celowo usunięte".

Komisja stwierdziła między innemi, że istotnie brakuje bardzo ważnej rozmowy *hughesowej* Pana Marszałka z generałem Rozwadowskim w nocy z 20 na 21 sierpnia 1920 roku, — rozmowy, dotyczącej zmiany przez Naczelne Dowództwo kierunku pościgowego 1-szej armji z północno-wschodniego na północno-zachodni.

Od siebie, jako jedyny w komisji oficer linjowy, dodaję, że taka zmiana bez rozkazu Naczelnego Wodza była faktycznie pokrzyżowaniem jego strategicznych planów i dlatego brak istniejących kiedyś egzemplarzy tej rozmowy usprawiedliwia zarzut Pana Marszałka.

W sprawie opuszczenia Kijowa i kierunku odwrotu 3-ciej armji stwierdzam, jako jedyny w komisji oficer linjowy, że w operacji tej nad całem położeniem, które się wówczas wytworzyło, nad rozważaniami i możliwościami, górowała świetna twórcza myśl Naczelnego Wodza, i że gdyby była wcielona w życie, istotnie mogłaby zaważyć decydująco na losach całej kampanji.

W sprawie ocalenia Wilna w lipcu 1920 roku zarzuty Pana Marszałka mogłyby znaleźć właściwe światło w badaniu bardzo skrupulatnem i długiem aktów Najwyższej Komisji Opinjującej, co przekraczało możliwości komisji.

Korzystając z objętego *Wskazówkami dla prac Komisji* prawa, stawiam dodatkowe pytanie, które dla mnie, jako żołnierza, jest najważniejsze.

„Czy zawarte w piśmie pana ministra cztery pytania ujmują istotę sprawy, będącej przedmiotem rozpatrywania przez komisję i co właściwie spowodowało Pierwszego Marszałka Polski do Jego wystąpienia"?

Na samym wstępie twierdzę, że owe 4 pytania dotykają sprawy z bardzo wąskiego punktu widzenia, i odpowiadając tylko na te punkty, nie spełniłbym swego zadania, zmierzającego do wyświetlenia istoty sprawy.

Otóż jako żołnierz, mający nieograniczone zaufanie do Wodza Naczelnego, widzę w wystąpieniach Marszałka Piłsudskiego protest, nietylko tyczący się oświetlenia tego lub owego zdarzenia wojennego, ile raczej protest przeciw systematycznemu w ciągu lat całych naruszaniu autorytetu Naczelnego Wodza.

Jeżeli mam wypowiedzieć się, jako rzecznik nietylko własnego sumienia, ale przedewszystkiem sumienia żołnierskiego, to ono nakazuje mi zameldować, że prace w komisji

utwierdziły we mnie i wzmocniły dawno już ugruntowane przeświadczenie żołnierskie, że:

1) Najwyższy dorobek armji, jako całości, a mianowicie wiara żołnierska w Naczelnego Wodza, była w czasie wojny systematycznie podkopywana przez istoty małe, nie pojmujące jego znaczenia lub nie chcące go pojąć. Przebieg naszych zmagań na froncie ujawniał już wówczas częste załamanie dusz żołnierskich, zatruwanych jadem wsączanych w nie wątpliwości w stosunku do Naczelnego Wodza. Już wówczas wiele organów prasowych różnych kierunków szerzyło destrukcyjną robotę, która zmniejszała odporność żołnierzy wobec nadchodzących wielkich zdarzeń.

Mimo to jednak, gdy było bardzo źle, granitową ostoję stanowiła wiara w tegoż Naczelnego Wodza, a gderanie „fachowego" mentorstwa milkło tam, gdzie zjawiał się Naczelny Wódz. W chwili najcięższej, gdy wróg stał pod murami stolicy, osobiste zjawienie się Naczelnego Wodza zelektryzowało żołnierzy; wszyscy oni, a przedewszystkiem ci, którzy stali przy samym warsztacie pracy bojowej i skromnym swym wysiłkiem kładli fundamenty chwały całego narodu, nietylko wierzyli w zwycięstwo, ale byli go pewni.

Oto jest najgłębsza prawda historyczna, której nie może i nie powinno przesłonić jednostronne studjum „dokumentów" w ścisłem słowa znaczeniu (rozkazów, depesz, rozmów telefonicznych i *hughesowych* i tym podobnych).

2) Historycy oficjalni i nieoficjalni, fachowi i niefachowi, tacy, co wąchali proch bitewny polski, i tacy, co go nie wąchali (a tych było najwięcej), uzbrojeni w wiedzę lub w nią nieuzbrojeni — zabrali się do roboty, zebrali masę materjału rozmaitej wartości, często wątpliwej, i zaczęli pisać historję. W większości tych „dzieł", które mają potomności zostawić kronikę sławy narodu polskiego, a której to kronice przybyło pierwsze od czasu bitwy pod Wiedniem walne zwycięstwo z roku 1920 — niema bardzo często, aż nadto często, należnego Naczelnemu Wodzowi miejsca.

Jako członek komisji, składającej się przeważnie z historyków, która to komisja ma za zadanie szukanie prawdy, nie mogę zapoznać tej prawdy wyższego rzędu, że h i s t o r j a b y ł a i j e s t f a ł s z o w a n a w sensie powyżej wyłożonym Zaciera się w świadomości narodu i zmaleć zupełnie może w potomności ta prawda, że wojnę polsko-bolszewicką wygrał na tyłach naród polski, wzmacniany moralną powagą swego Naczelnika Państwa — na polu zaś bitewnem wygrał wojnę Wódz Naczelny, ten, który od bardzo już wielu lat, gdy większość jeszcze spała, a w najlepszym razie tylko marzyła

o niepodległości, w pierwszych szeregach walczył o nią i ją uważał za najświętszy cel swego życia ofiarnego. Wszyscy inni pretendenci do stopnia „zbawców ojczyzny" niech zajmą właściwe miejsce i niech nie przesłaniają czołowej postaci byłego Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza.

Przesłanianie postaci Naczelnego Wodza jest fałszem wyższego rzędu, który u jednych prostych, jak ja, żołnierzy wywołuje wielki smutek i przygnębienie, a u drugich natur, pełnych woli i czynu, żywiołowy odruch prawdy, niepokojący swym niesamowitym wyrazem. To też w łonie komisji musiało zjawić się przeświadczenie, że wystąpienie Marszałka Piłsudskiego było tym żywiołowym odruchem w poszukiwaniu prawdy wyższego rzędu w naszem życiu publicznem.

Jako Naczelny Wódz, spełniał swe zadanie, milcząc i wybaczając swym przeciwnikom i opornym — teraz zaś mówi soczyście, po żołniersku (oczywiście — nie po salonowemu), co myśli o smutnych praktykach naszego życia publicznego.

Odezwał się człowiek niezwykłej miary i kryształowej czystości, najstarszy żołnierz niepodległej Polski i zwycięski Wódz.

3) W toku prac komisji nasunęła się też wątpliwość, czy prawda historyczna może być odnaleziona w aktach i koszulkach, częstokroć niekompletnych i nieodtwarzających zupełnie prawdy żywej, — czy uda się ją odnaleźć w krótkim stosunkowo czasie, kiedy przytem tak rozpowszechnione namiętności i ambicje przeszkadzają bezstronnemu wnikaniu w rzeczy. Nie można bowiem sugestjonować się wyłącznie zestawieniem dokumentów i badaniem świadków tego, co się działo w sztabach rozmaitych szczebli, zapoznając najważniejszy moment ustalania historycznej prawdy — wniknięcia w duszę najgłówniejszego czynnika i narzędzia walki — żołnierza żywego.

Otóż stwierdzić należy, że jeszcze w czasie wojny, kiedy w sztabach wrzała na froncie i na tyłach całą pełnią robota, już wtedy bakcyl niepokoju, wszczepiony metodami wyżej wskazanemi, wykoślawiał duszę żołnierską. Nie były nasze sztaby gorsze od innych, jednakowoż pamiętać należy, że częstokroć składały się z oficerów dawnych armij zaborczych, którzy niezawsze potrafili się wżyć w psychikę młodej podówczas armji polskiej. W sztabach tych siedzieli często ludzie z bagażem moralnym, zapożyczonym od obcych. Stare nawyknienia nie mogły odrazu za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zniknąć, a wśród nich często głośne myśli o samym sobie stały na pierwszem miejscu.

Stanowisko Naczelnego Wodza było wobec tego niesłychanie trudne. Wiedzą też żołnierze, jak wielką była wyrozumiałość Naczelnego Wodza, co jaskrawo rzuca się w oczy przy wertowaniu aktów Najwyższej Komisji Opinjującej, jak pobłażliwym był i przebaczającym i wielkodusznym nadmiar.

Zdawałoby się, że powinien był zyskać serce, a będąc władcą dusz prostych żołnierzy, powinien był otrzymać uznanie i współpracę od wyższych warstw stokroć spotęgowane. Tymczasem, nawet podczas najgorętszych wydarzeń na froncie, niezawsze było bez zarzutu pod tym względem i niektórzy strategicy dyplomowani nie umieli zdobyć się na lojalność bezwzględną.

Przy wertowaniu aktów, dokumentów i wydań rozmaitych nie mogło się nie nasunąć komisji pytanie:

Czy nie należą do kategorji fałszów historycznych niektóre opinje Najwyższej Komisji Opinjującej oraz broszura bezimienna *Rok 1920 w świetle prawdy*. Artykuł zaś *Pierwsze wytyczne operacyj warszawskich*, napisany, — sądzę — w dobrej wierze, czy nie jest przykładem właśnie niedojrzenia historycznej prawdy wyższego rzędu? A wszak te rzeczy tworzą, niestety, u nas historję, czego najlepszym dowodem, że broszura bezimiennego autora cytuje się w owym artykule.

Samolubstwo i ambicje niewłaściwe stworzyły atmosferę, w której praca armji w szukaniu własnej doktryny i to przedewszystkiem moralnej — rwała się i rwie nieustannie.

Oto są przyczyny ciężko postawionych przez Pana Marszałka zarzutów.

4) Wreszcie z całokształtu moich rozważań podczas prac komisji i wgłębiania się w otaczającą rzeczywistość wysuwa się następująca konkluzja:

Ponad dokumenty, które przecież niezawsze dokładnie — zwłaszcza co do ducha — odtwarzają myśli, które często są nawzajem sprzeczne, ponad różne dochodzenia i przesłuchania świadków, przedziera się głębokie przeświadczenie i głos sumienia:

Autorytetowi byłego Naczelnego Wodza wypowiedziano od początku jego działalności wojnę — nasamprzód wojna ta wypowiedziana została przez jednostki i całe grupy polityczne, a potem i przez niektórych żołnierzy, a to pismami, publikacjami i niepowściągliwością języka, a wreszcie — i to jest najboleśniejszem dla żołnierzy — dążeniem do zdarcia z byłego Naczelnego Wodza nienaruszalnego w imię

moralności ogólnej, a żołnierskiej w szczególności — nimbu jego zasług i sławy.

Dzieje się przez to armji krzywda moralna, którą trzeba naprawić co najrychlej, gdyż trucizna wsiąka coraz mocniej w moralny organizm wojska.

Honor to bóg wojska. Niemasz go — kruszeje potęga wojska. Ten honor wojska stworzył zpowrotem i reprezentował zwycięski Naczelny Wódz — ten honor winien być nienaruszalny.

Generał dywizji *Leonard Skierski*".

Oświadczenie profesora Zakrzewskiego.

„Mam zaszczyt zwrócić uwagę pana ministra, że byłoby o wiele lepiej, gdyby samo archiwum aktów operacyjnych nie było związane organizacyjnie z Biurem Historycznem, a było zarządzane samodzielnie, tak, jak Bibljoteka Wojskowa lub Archiwum Centralne. Zadaniem bowiem Biura Historycznego nie jest konserwacja aktów z punktu widzenia ściśle archiwalnego. Biuro pracuje nad dziejami wojny w ścisłym związku z zadaniami Oddziału Operacyjnego, pracuje ono nad utworzeniem polskiej doktryny wojennej zobrazowaniem niedawnych doświadczeń, a pośrednio — nad szkoleniem wyższych oficerów. Jednem słowem, pracuje Biuro na terenie historji stosowanej, przyczem akt jest przedmiotem użytku naukowego, często z konieczności subjektywnego. Historycy wojen i nie wojen, prowadzący czasem między sobą prawdziwe *bella* atramentowe, nie powinni równocześnie ponosić odpowiedzialności za konserwację opracowywanych przez nich archiwaljów. Cóż dopiero, gdy w danem archiwum pracuje ciągle kilku referentów-autorów, którzy przy najlepszej woli aktów nie konserwują, lecz je zużytkowują.

Dyrektor i personel archiwalny nie powinien więc podlegać szefowi i redaktorowi prac historyczno-operacyjnych. Niezależność organizacyjna i personalna archiwum od Biura Historycznego wytworzy atmosferę zaufania do archiwum wszystkich czynników, interesujących się wojną, i sprawi, że nawet luki w nagromadzonym materjale, o ile wpłynie on ze wszystkich oddziałów zarówno Sztabu, jak Ministerjum, czego koniecznie domagać się należy, wówczas żadne luki dokumentu nie będą w stanie zasłonić na dłuższą metę prawdy historycznej. Naprzykład, rozkaz, zagubiony w Naczelnem Dowództwie, znajdzie się w aktach frontu, zaginiona roz-

mowa *hughesowa* lub nawet telefoniczna odbije się w ten czy inny sposób, zostawiając ślad bądź w dokumentach niższych jednostek, bądź w rozmaitych księgach kontroli kancelaryjnej, dotąd nie zgromadzonych w archiwum i nie badanych.

Niezależność archiwum od Biura i lepsza dotacja archiwum sprawi, że ulegnie poprawie konserwacja aktów i ich ewidencja. Samo archiwum nie powinno się mieścić w pokoju przechodnim, lepszy powinien być stan półek i szaf, do samych aktów w archiwum powinien mieć dostęp jedynie personel archiwalny. Akta powinny być jak najszybciej ponumerowane, a każda teczka posiadać własny spis treści; odnosi się to przedewszystkiem do aktów Naczelnego Dowództwa.

Należałoby również zastanowić się nad tem, by komitet redakcyjny Biura Historycznego nie był tworzony wyłącznie na podstawie formalno-biurokratycznej. Wszystkie najważniejsze czynniki, pracujące w swym czasie nad wojną polską z Marszałkiem Piłsudskim na czele, winny mieć możność opinjowania prac operacyjno-historycznych, przeznaczonych do druku.

Jestem daleki od gloryfikacji przesadzonej i osobistej chociażby najwybitniejszych ludzi. Nie może jednak ulegać wątpliwości, że praca historyczna nad wydarzeniami lat ostatnich musi być wolna od tendencyj politycznych i tendencyj tego lub innego prądu czy kierunku pracy wojskowej, inaczej nie będzie historyczną.

Z tego względu postać Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa musi odbijać się w literaturze, wydawanej na koszt państwa, w sposób, odpowiadający rzeczywistości lat 1918—1922, a także w formie, odpowiadającej kształceniu obywatela wogóle i w szczególności armji. Literatura państwowa musi być wolną od tendencyjności.

Jest zupełnie zrozumiałem, że Naczelnik Państwa z lat 1918—1922, wysoce osamotniony już wówczas, tem silniej odczuwa wszystko, co dotyczy jego wysiłków z lat 1918—1922, i to tem bardziej, o ile dana praca nie jest oparta na zużytkowaniu dostatecznem jego własnych świadectw. Wychowanie narodu i wojska wymaga kategorycznie, by w literaturze i szkole postać zwycięskiego Wodza i jego współpracowników znalazła wyraz, należny zasłudze, stanowiącej wynik zbiorowego wysiłku narodu".

XXIV.

NIECO O BIURZE HISTORYCZNEM.

Do str. 345.

Artykuły Marszałka Piłsudskiego *Nieco o Biurze Historycznem* ogłoszone były w *Kurjerze Porannym* w dniach 3, 5, 12, 14, 21, 22 października i 6 listopada 1925.

Do str. 347, wiersze 1—2.

Biuro Historyczne Sztabu Generalnego istniało w roku 1925 jako instytucja, zależna wprost od szefa Sztabu Generalnego; zadaniem jego było gromadzenie i konserwacja aktów operacyjnych i opracowanie naukowo-wojskowe historji Polski odrodzonej. Szefem Biura był w roku 1925 generał brygady doktór Marjan Kukiel.

Do str. 347, wiersz 20.

W tym właśnie czasie zbierała się komisja dla zbadania stanu aktów operacyjnych z 1920 roku, zwołana przez ministra spraw wojskowych z powodu zarzutów Marszałka Piłsudskiego przeciw Biuru Historycznemu (por. przypisy poprzednie).

Do str. 347, wiersze 23—24.

Aluzja do tego, że chociaż komisja miała rozpatrywać zarzuty, skierowane przeciw Biuru Historycznemu, wskazówki dla jej prac, referaty, zestawienia materjałów i tym podobne opracowywał szef tegoż Biura.

Do str. 347, wiersz 27.

Bellona, miesięcznik wojskowy, wydawany przez Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy, oficjalny organ naukowy Sztabu Generalnego, wydał w piątą rocznicę bitwy warszawskiej specjalny zeszyt (sierpień, 1925, tom XIX, zeszyt 2, str. 113—293) poświęcony tej bitwie, z następującemi artykułami: Generał brygady Marjan Kukiel *Pierwsza wytyczna operacji warszawskiej*, major Józef Moszczeński *Rosyjski plan bitwy nad Wisłą w 1920 roku*, kapitan Adam Borkiewicz *Koncentracja na Wisłą*, generał brygady Józef Zając *Bitwa 5-ej armji nad Wkrą*, major Sztabu Generalnego Edward Perkowicz *Bitwa pod Warszawą w sierpniu 1920 i jej kryzys* oraz podpułkownik Sztabu Generalnego Tadeusz Różycki

Możliwość interwencji konnej armji Budiennego w bitwie warszawskiej. Część autorów (Kukiel, Moszczeński, Borkiewicz, Perkowicz) byli to pracownicy Biura Historycznego, pozostałe prace powstały z materjałów i na podstawie dyrektyw Biura Historycznego. Stąd też, jakkolwiek nie było to nigdzie zaznaczone, zeszyt ten był publikacją Biura Historycznego.

Do str. 349, wiersze 15—17.

Generał Kukiel ukończył studja historyczne na uniwersytecie lwowskim, obecnie imienia Jana Kazimierza, i tam też otrzymał tytuł doktorski.

Do str. 349, wiersze 23—28.

Por. *List z powodu komunikatu szefa Sztabu Generalnego,* str. 339—344. Aluzja do licznych, w odnośnikach w artykule Kukiela cytowanych, dokumentów generała Rozwadowskiego, szefa Sztabu Generalnego w okresie bitwy warszawskiej, które zostały oddane do Biura Historycznego dopiero w roku 1925. Nie było ich zatem w archiwum w czasie, kiedy Marszałek Piłsudski pisał swój *Rok 1920* (1924).

Do str. 350, wiersz 26.

Wszystkie stronice *Roku 1920* są w tekście cytowane według pierwszego wydania tej książki. Str. 164 — por. *Pisma—Mowy—Rozkazy,* tom VII, str. 172.

Do str. 352, wiersz 6.

Von Schlieffen Alfred, feldmarszałek niemiecki, szef sztabu generalnego w latach 1891—1905, wybitny teoretyk wojskowy, wydał dzieło pod tytułem *Cannae,* w którym manewr dwustronnego oskrzydlenia, wykonany przez Hannibala przeciw Rzymianom pod Kannami w roku 216 przed Chrystusem, stawiał jako wzór działania operacyjnego. Manewr dwustronnego oskrzydlenia „kanneński" stał się doktryną operacyjną wojskowych niemieckich i austrjackich, stosowaną przez większych i mniejszych dowódców z różnem powodzeniem w czasie wojny światowej. Między innemi znalazł on zastosowanie z pełnem powodzeniem w bitwie pod Tannenbergiem 1914 roku.

Do str. 352, wiersze 13—14.

Aluzja do odezwań generała Rozwadowskiego, który w licznych rozmowach bezpośrednich i *hughesowych* z dowódcami frontowymi radził im z humorem bolszewików „wystrzeliwać śrutem, jak kaczki".

Do str. 356, wiersze 30—31.

Pod patronatem cesarza z najwyższą chwałą — złośliwe zestawienie łacińsko-niemieckie formuły, używanej na dyplomach doktorskich w Austrji.

Do str. 357, wiersz 23.

Por. tom VII, str. 182.

Do str. 358, wiersz 28.

Por. tom VII, str. 184, wiersz 2.

Do str. 362, wiersz 4.

Por. tom VII, str. 185.

Do str. 365, wiersze 21—23.

Tytuł oficjalny zaboru austrjackiego, dzisiejszej Małopolski.

Do str. 366, wiersze 8—9.

Generał francuski Henrys, szef francuskiej misji wojskowej w Polsce w roku 1920. Piłsudski wielokrotnie nazywa go swoim przyjacielem.

Do str. 368, wiersz 19.

Por. tom VII, str. 158—159.

Do str. 368, wiersz 33.

Por. tom VII, str. 159—162.

Do str. 369, wiersz 1.

Por. tom VII, str. 161.

Do str. 369, wiersz 19.

Rodzaj nijaki.

Do str. 372, wiersz 11.

Por. tom VII, str. 161—162.

Do str. 375, wiersze 5—6.

Mowa tu o anonimowej broszurze *Kampanja roku 1920 w świetle prawdy*, Lwów, 1924. Piłsudski napisał o tej broszurze ustęp bardzo zjadliwy w *Roku 1920*. Por. tom VII, str. 175.

Do str. 375, wiersze 15—16.

Cui bono — dla czyjej korzyści; ad cuius maiorem gloriam — dla czyjej większej sławy.

Do str. 375, wiersze 23—27.

Aluzja do częstych w przypisach powoływań się na publikacje generała Piskora oraz rozmowy *hughesowe* Piskora (w czasie bitwy warszawskiej szefa Oddziału Operacyjnego Naczelnego Dowództwa), pułkownika Kutrzeby (szefa sztabu frontu południowo-wschodniego), generała Rozwadowskiego i tak dalej.

Do str. 376, wiersz 16.

Komu się przydaje.

Do str. 377, wiersze 5—6.

Mowa tu o artykule generała Józefa Zająca *Bitwa 5-ej armji nad Wkrą*.

Do str. 377, wiersz 20.

Aluzja do meldunków sytuacyjnych generała Sikorskiego w czasie jego dowodzenia grupą poleską, które w przesadny sposób przedstawiały trudności taktyczne tej grupy.

Do str. 377, wiersz 21.

Orzyc — rzeka, wpadająca do Narwi od północy powyżej Pułtuska. Wkra — dopływ północny Narwi koło Modlina. Według pierwotnego planu miały siły północnego skrzydła zatrzymać nieprzyjaciela na Orzycu, faktycznie odwrót potoczył się aż do Wkry i z tej rzeki dopiero rozpoczęto przeciwnatarcie.

Do str. 377, wiersz 25.

Aluzja do odprawy, która odbyła się w Modlinie, w sztabie 5-ej armji generała Sikorskiego, a na którą zjechali: generał Józef Haller, dowódca frontu północnego, i jego szef sztabu,

pułkownik Zagórski, obaj w czasach legjonowych popierający politykę Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego, kierowanego przez Sikorskiego; wreszcie generał Rozwadowski, który był autorem pomysłu i zwolennikiem manewru zaczepnego również od północy.

Do str. 378, wiersz 10.

Departament Wojskowy miał przez dłuższy czas w roku 1915 siedzibę w Piotrkowie.

Do str. 380, wiersze 28—29.

Są to słowa jednego z oficerów austrjackich z Komendy Legjonów do jednego z oficerów sztabu I Brygady w 1915 roku. Słowa te były przez długi czas powszechnie wykpiwane, jako przykład austrjackiej polszczyzny oficerów w Komendzie Legjonów.

XXV.

PIĘKNE „WCZORAJ".

Do str. 385.

W listopadzie 1925 roku wyszła nakładem Polskiej Organizacji Wolności publikacja pod tytułem *Przełom. Jednodniówka, poświęcona wypadkom 7—11 listopada 1918 roku.* Na treść tej jednodniówki złożyło się kilka wspomnień wybitniejszych działaczy w dobie przewrotu 1918 roku.

Przedmowę do tego wydawnictwa napisał Józef Piłsudski. Była ona drukowana bez tytułu na str. 2; przedruk jej pomieszczono w zbiorze *Polska Organizacja Wojskowa. Szkice i wspomnienia — pod redakcją Juljana Stachiewicza i Wacława Lipińskiego,* Warszawa, 1930. Instytut Badania Najnowszej Historji Polski, str. 7—10, pod tytułem *Piękne Wczoraj.*

Do str. 388, wiersz 23.

Żuliński Tadeusz, por. tom IV, przypis str. XI.

XXVI.

DEKLARACJA, ZŁOŻONA PREZYDENTOWI RZECZYPOSPOLITEJ STANISŁAWOWI WOJCIECHOWSKIEMU.

Do str. 391.

W dniu 13 listopada 1925 podał się premjer Władysław Grabski, a za nim cały gabinet, do dymisji. Bezpośrednim

powodem dymisji gabinetu były trudności walutowe oraz gospodarcze państwa, których premjer w istniejącej sytuacji nie czuł się na siłach rozwiązać. Okoliczności jednak, w jakich dymisja gabinetu nastąpiła, — tegoż dnia zostały ogłoszone oświadczenia członków komisji, badającej akty archiwum wojny, z pomiędzy których oświadczenie generała Skierskiego odsłaniało bez ogródek demoralizującą pracę generała Sikorskiego przeciw Marszałkowi Piłsudskiemu (por. przypis na str. XLIII—LVI) — wytwarzały atmosferę, w której wśród szerokiego ogółu ustąpienie ze stanowiska ministra spraw wojskowych generała Sikorskiego było łączone ze zdemaskowaniem jego akcji przeciw Piłsudskiemu.

W tej sytuacji, w czasie prac Prezydenta Wojciechowskiego nad utworzeniem nowego gabinetu, dnia 14 listopada o godzinie 14 zjawił się w Belwederze, siedzibie Prezydenta, Marszałek Piłsudski i odczytał Prezydentowi deklarację, podaną w tekście. Tekst deklaracji publikujemy według *Kurjera Porannego* z dnia 15 listopada 1925.

Dalsze szczegóły, dotyczące rozmowy Prezydenta Wojciechowskiego z Marszałkiem Piłsudskim: por. *Enuncjacje w sprawie powrotu do wojska, Wywiad I* z 14 stycznia 1926, str. 426—433.

XXVII.

PRZEMÓWIENIE W ROCZNICĘ POWROTU Z MAGDEBURGA.

Do str. 395.

Oficerowie garnizonu warszawskiego, chcąc złożyć hołd Marszałkowi Piłsudskiemu w siódmą rocznicę jego powrotu z Magdeburga, udali się w dniu 15 listopada 1925 masowo do siedziby Marszałka w Sulejówku. W demonstracji tej wzięło udział kilku generałów oraz około tysiąca oficerów.

W imieniu zebranych przemówił do Marszałka generał Dreszer w następujące słowa:

„Panie Marszałku, w rocznicę zaślubin Twych z państwem siedem lat temu, przybywamy do Pana Marszałka, by wspomnieć czasy, gdyś wrócił z więzienia niemieckiego i znalazł Polskę, zdawało się, niezdolną do nowego życia. Stargane w niewoli nerwy, złamane nieraz w zwątpieniach serca i mózgi — dawały podkład dla namiętności, walk, swarów i gry małych ambicyj. W kilka dni po Twoim powrocie, zwiastującym odrodzenie, wziąłeś śmiało najwyższą, chociaż niepisaną władzę dyktatorską w swoje ręce.

Dałeś nam potem chwałę, tak dawno w Polsce nieznaną, okrywając nasze sztandary laurem wielkich zwycięstw.

Gdy dzisiaj zwracamy się do Ciebie, mamy także bóle i trwogi, do domu wraz z nędzą zaglądające. Chcemy, byś wierzył, że gorące chęci nasze, byś nie zechciał być w tym kryzysie nieobecny, osieracając nietylko nas, wiernych Twoich żołnierzy, lecz i Polskę, nie są tylko zwykłemi uroczystościowemi komplementami, lecz że niesiemy Ci prócz wdzięcznych serc i pewne, w zwycięstwach zaprawione szable".

W odpowiedzi Marszałek Piłsudski wygłosił przemówienie, podane w tekście.

Cała ta demonstracja, jak i oba przemówienia w momencie kryzysu rządowego, wówczas trwającego, nazajutrz po deklaracji Marszałka, złożonej Prezydentowi Rzeczypospolitej, nabierały szczególnej wymowy.

Tekst obu przemówień podajemy według *Kurjera Porannego* z 16 listopada 1925.

Do str. 399, wiersze 33—34.

Por. oświadczenie generała Skierskiego, przypis na str. LV.

XXVIII.

STOSUNEK WZAJEMNY WOJSKA I SPOŁECZEŃSTWA W 1863 ROKU.

Do str. 401.

W 63 rocznicę wybuchu powstania styczniowego, dnia 24 stycznia 1926, odbył się staraniem Koła Oficerów Sztabu Generalnego w wielkiej sali Szkoły Podchorążych w Warszawie odczyt Marszałka Piłsudskiego. Za temat odczytu wybrał Marszałek stosunek wzajemny wojska i społeczeństwa w 1863 roku. Jak podają ówczesne pisma, wykład zgromadził licznych weteranów powstania 1863 roku, przeszło dwudziestu generałów z ministrem spraw wojskowych, generałem Żeligowskim, na czele, oraz ponad tysiąc oficerów.

Stenogram tego odczytu drukowany był w tygodniku *Głos Prawdy*, nr. 125 z 30 stycznia 1926, str. 50—54, pod tytułem *Marszałek Piłsudski o źródłach klęsk Rzeczypospolitej*. Tekst niniejszy jest przedrukiem z *Głosu Prawdy*.

Do str. 403, wiersz 21.

Piłsudski nieściśle podaje datę; idzie o wykłady, wygłoszone w roku 1912, a więc przed 14 laty, wydane pod ty-

tułem *Zarys historji militarnej powstania styczniowego.* Por. *Pisma—Mowy—Rozkazy,* tom III, str. 81—182.

Do str. 413, wiersz 25.

Sierakowski — por. przypis na str. XX.

Do str. 416, wiersz 20.

Mowa tu o powstaniu i wojnie z Anglją trzynastu kolonij angielskich w Ameryce Północnej pod wodzą Washingtona w latach 1775—1777.

Do str. 418, wiersze 6—8.

Por.: *Pisma—Mowy—Rozkazy,* tom VII, str. 20.

XXIX.

ENUNCJACJE W SPRAWIE POWROTU DO WOJSKA.

Do str. 423.

Po powstaniu w listopadzie 1925 roku nowego gabinetu z premjerem Skrzyńskim i ministrem spraw wojskowych, generałem Żeligowskim, opinja publiczna spodziewała się rychłego załatwienia sprawy powrotu Marszałka Piłsudskiego do czynnej pracy w wojsku.

Tymczasem jednak sprawa przez dłuższy czas nie była poruszona wcale, kiedy zaś na posiedzeniu Rady Ministrów w dniu 7 stycznia 1926 minister Moraczewski wystosował zapytanie, czy rząd nie uznaje konieczności rychłego powrotu Marszałka Piłsudskiego do wojska, okazało się, że w nowym gabinecie działają w dalszym ciągu te same wpływy, przeciwne powrotowi Marszałka Piłsudskiego do czynnej pracy państwowej, które w poprzednim gabinecie odwlekaniem sprawy coraz bardziej ją zabagniały. Na temat interpelacji ministra Moraczewskiego, jak w formie pogłosek donosiła prasa ówczesna, wywiązała się gorąca dyskusja, w wyniku której Rada Ministrów miała zdecydować przekazanie sprawy Komitetowi Politycznemu.

Istotnie, dnia 12 stycznia ukazał się w prasie następujący półurzędowy komunikat: „Wczoraj dnia 11 bieżącego miesiąca odbyło się posiedzenie Komitetu Politycznego Rady Ministrów. Obok innych spraw bieżących, omówiono również zgłoszone na ostatniem posiedzeniu Rady Ministrów przez pana ministra Moraczewskiego zapytanie do pana prezesa Rady Ministrów w sprawie ewentualnego powrotu do służby czynnej Marszałka Piłsudskiego. Komitet postanowił, aby

pan prezes Rady Ministrów zwrócił się do pana marszałka sejmu z prośbą o przyśpieszenie prac sejmu nad projektem ustawy o naczelnych władzach wojskowych".

Z powodu tego komunikatu ogłosił Marszałek Piłsudski w *Kurjerze Porannym* z dnia 13 stycznia 1926 list otwarty do redaktora, podany w tekście. Zasady projektu ustawy o organizacji najwyższych władz wojskowych podane były w tomie VI, przypisy, str. XIX.

Do str. 424, wiersz 26.

Drugie oświadczenie, złożone Prezydentowi Rzeczypospolitej: por. *Wywiad* z 14 stycznia, str. 431—432.

Do str. 426.

Wywiad z dnia 14 stycznia, stanowiący jakby komentarz do listu z 12 stycznia, był ogłoszony w *Kurjerze Porannym* z dnia 15 stycznia 1926 pod tytułem: *Rozmowa z Marszałkiem Piłsudskim o organizacji władz wojskowych i stosunku rządu do Marszałka.*

Do str. 426, wiersz 23.

Por. tom VI, str. 321 i przypis str. XVIII.

Do str. 427, wiersz 3.

Por. str. 333.

Do str. 430, wiersz 11.

Feldmarszałek pruski Hellmuth Moltke, w latach 1858—1888 szef sztabu generalnego pruskiego, faktyczny jego twórca w nowoczesnem znaczeniu. Opracował plany i był faktycznym wodzem w kampanjach 1866 przeciw Austrji i 1870 przeciw Francji.

Do str. 434.

Wywiad, ogłoszony w *Kurjerze Porannym* dnia 20 stycznia 1926, pod tytułem *Naczelny Wódz a organizacja władz wojskowych (Rozmowa z Pierwszym Marszałkiem Polski)*, oraz w tygodniku *Głos Prawdy*, nr. 124, z 23 stycznia 1926 pod tytułem *Marszałek Piłsudski o swoim powrocie do wojska. Rozmowa redaktora „Głosu Prawdy" z Marszałkiem.*

Do str. 436, wiersze 7—8.

Zgnilizna moralna.

Do str. 438, wiersz 2.

Por. przypis do str. 395.

Do str. 438, wiersz 9.

Aluzja do komisji historycznej, zwołanej przez generała Sikorskiego dla zbadania zarzutów Marszałka Piłsudskiego w sprawie Biura Historycznego Sztabu Generalnego. Por. przypis do str. 343.

Do str. 438, wiersz 13.

Reichstag — parlament niemiecki, *Duma* — parlament rosyjski.

Do str. 441.

Trzeci zkolei wywiad prasowy Marszałka Piłsudskiego został ogłoszony w *Kurjerze Porannym* z dnia 10 lutego 1926, pod tytułem *Zerwanie rozmów Marszałka Piłsudskiego z obecnym rządem. Oświadczenie Pierwszego Marszałka Polski;* tenże wywiad w nr. 127 *Głosu Prawdy* z 13 lutego 1926.

Do str. 441, wiersz 1.

Kurjer Poranny z dnia 7 lutego donosił, że „w przeciągu ostatniego tygodnia czynione były ze strony poszczególnych członków rządu usiłowania zaktualizowania sprawy organizacji najwyższych władz wojskowych. Rzecz nie wyszła jednak z zakresu konferencyj poufnych".

W temże piśmie z dnia 9 lutego była podana wiadomość, że „Marszałek Piłsudski na zaproszenie Prezydenta Rzeczypospolitej przybył wczoraj o godzinie 6 po południu do Belwederu. W kołach sejmowych mówiono, że w rozmowie z Panem Prezydentem Rzeczypospolitej poruszona była sprawa ustawy o naczelnych władzach wojskowych, przyczem Marszałek Piłsudski jeszcze raz miał najkategoryczniej zaznaczyć, że nie ma najmniejszego zamiaru podejmować dyskusji na temat ustawy, uważanej przez niego za najzupełniej wadliwą i szkodliwą".

Do str. 441, wiersz 11.

Rozmowa.

Do str. 442, wiersz 23.

Konferencja w Spa aljantów z Niemcami w sprawie rozbrojenia i reparacyj 5—16 lipca 1920. Na konferencji tej Pol-

ska przyjęła warunki, na jakich Koalicja godziła się pośredniczyć w sprawie zawarcia pokoju między Rosją sowiecką a Polską i ewentualnie udzielić pomocy Polsce. Główny warunek brzmiał, że Polska wycofa swe wojska na tak zwaną linję Curzona z grudnia 1919, która pokrywała się z linją dawnego Królestwa Polskiego, bez Suwalszczyzny, z dodaniem obwodu białostockiego, a więc pozostawiała Wilno Litwinom; we wschodniej Galicji wojska miały być zatrzymane na linji, osiągniętej w dniu rozejmu; ponadto musiała delegacja polska zgodzić się na przyjęcie przez Polskę decyzji Rady Najwyższej w sprawie granic litewskich, przyszłości Galicji wschodniej, sprawy cieszyńskiej i przyszłego traktatu gdańsko-polskiego.

Do str. 442, wiersze 26—27.

Mowa tu o delegacji pokojowej, która wyjechała do Mińska litewskiego w okresie zbliżania się wojska sowieckiego pod Warszawę.

Do str. 442, wiersz 30.

Marszałek Piłsudski po wycofaniu się z życia publicznego w roku 1923 utrzymywał dom z pracy pisarskiej, a całą pensję oddawał na cele publiczne.

Do str. 444, wiersze 12—13.

Jędrzej Moraczewski był wówczas ministrem z ramienia klubu parlamentarnego Polskiej Partji Socjalistycznej. Dymisja jego w dniu 7 lutego 1926 była motywowana złym stanem zdrowia.

Do str. 446.

Czwarty wywiad Marszałka Piłsudskiego pomieszczony był w *Kurjerze Porannym* z 12 lutego 1926 pod tytułem: *Stanowisko Pana Marszałka Piłsudskiego — bez zmiany. (Rozmowa z Pierwszym Marszałkiem Polski).*

Do str. 446, wiersze 1—4.

Kurjer Poranny z dnia 11 lutego 1926 drukował następującą wiadomość:

„Na wczorajszem posiedzeniu Rady Ministrów minister spraw wojskowych, generał Żeligowski, postawił wniosek o wycofaniu z sejmu znajdującej się w sejmowej komisji wojskowej ustawy o organizacji najwyższych władz woj-

skowych. Rozwinęła się dyskusja, której wynikiem była konkluzja premjera, iż ponieważ niektórzy z ministrów nie znają istoty sprawy, przeto winni się z nią zapoznać. Zdecydowano wobec tego, iż tekst ustawy w brzmieniu obecnem (po przeredagowaniu w dwóch czytaniach w komisji) zaprezentowany zostanie w odbitkach ministrom. Ministrowie, należący do koalicji, wniosek generała Żeligowskiego zreferują swym klubom w sejmie tak, że przedmiot będzie już mógł być omawiany w środę nadchodzącą na Radzie Ministrów. Będzie wówczas można, jak zapewniają koła rządowe, omówić równocześnie sprawę wprowadzenia Marszałka Piłsudskiego do armji".

I tamże dalej:

„Generał Żeligowski zakomunikował wczoraj wieczorem premjerowi, że poda się do dymisji, o ile ustawa o organizacji naczelnych władz wojskowych nie będzie wycofana z sejmu, oświadczenia swego nie zmienił i trwa przy niem bezwzględnie".

Do str. 448, wiersze 3—4.

Por. *Wywiad I*, str. 431—432, gdzie Józef Piłsudski zbył zapytanie w sprawie drugiego oświadczenia Prezydentowi ogólnikiem.

Do str. 448, wiersz 16.

Mowa tu o oficjalnych podróżach Józefa Piłsudskiego, jako Naczelnika Państwa, do Paryża w 1921 i do Sinaja, letniej siedziby króla rumuńskiego, w 1922.

Do str. 448, wiersz 17.

Sapieha Eustachy, minister spraw zagranicznych w roku 1920—1921, otrzymał votum nieufności w sejmie i wskutek tego został ze stanowiska swego odwołany w czasie dyplomatycznej podróży zagranicą.

Do str. 449, wiersz 22.

Kundschafter Stelle — ekspozytury oddziału wywiadowczego austrjackiego sztabu generalnego.

Do str. 451.

Wywiad piąty był ogłoszony w *Kurjerze Porannym* z 17 lutego pod tytułem *Sprawy wojska i obyczaje sejmowe. (Uwagi Pierwszego Marszałka Polski).*

Do str. 451, wiersze 7—8.

Mowa tu o odczycie, wygłoszonym 24 stycznia 1926, który publikujemy tu na str. 401—420, pod tytułem *Stosunek wzajemny wojska i społeczeństwa w 1863 roku.*

Do str. 452, wiersz 33.

Przy otwartej książce, bezpośrednio.

Do str. 453, wiersz 23.

Na łasce.

Do str. 455, wiersz 24.

W połowie lutego 1926 Marszałek Piłsudski spędził kilka dni w łóżku z powodu przeziębienia.

Do str. 455, wiersz 30.

Aluzja do zwyczaju, w ostatnich czasach rozpowszechnionego, tworzenia gabinetów na podstawie zupełnie sztucznych i przypadkowych układów partyjnych.

Stanisław Grabski należał do Związku Ludowo-Narodowego, Stanisław Thugutt do Wyzwolenia, Norbert Barlicki do P. P. S.

Do str. 458.

Wywiad szósty umieszczony był w *Kurjerze Porannym* z dnia 19 lutego 1926 pod tytułem *Rzekomy militaryzm Polski i potrzeby życia wojskowego (w oświetleniu Pierwszego Marszałka Polski)* oraz w *Głosie Prawdy*, nr. 129 z 27 lutego 1926 pod tytułem *Wielka deklaracja Marszałka Piłsudskiego. Rozmowa redaktora „Głosu Prawdy" z Marszałkiem.*

W końcowych ustępach obu tych tekstów są pewne różnice. Mianowicie *Kurjer Poranny* ustępy od „Inną rzeczą jest wojsko, jako stała instytucja państwowa" (str. 463) do słów „utrwalić byt Polski w obecnych granicach" drukuje w krótkiem streszczeniu, zapowiadając, że pełny tekst ze względów technicznych będzie ogłoszony następnie. Tekst ten podajemy według *Głosu Prawdy*. Natomiast *Głos Prawdy*, drukowany w kilka dni po udzieleniu wywiadu, opuścił ustęp ostatni, podany w *Kurjerze Porannym*, jako już nieaktualny. Na posiedzeniu Rady Ministrów sprawa decyzji co do wycofania z sejmu projektu o najwyższych władzach wojskowych została jeszcze raz odroczona.

Tutaj drukujemy tekst z *Kurjera Porannego*, uzupełniony według *Głosu Prawdy*.

Do str. 461, wiersz 30.

Czasy minione.

Do str. 461, wiersz 31.

Locarno, miasto szwajcarskie nad Lago Maggiore, gdzie w październiku 1925 odbyła się słynna konferencja przedstawicieli najważniejszych państw europejskich, na której zostały zawarte w dniu 16 października umowy pokojowe i arbitrażowe pomiędzy Niemcami, Francją, Anglją, Belgją, Włochami, Polską i Czechosłowacją. Istota tych umów polega na uznaniu przez Niemców ich obecnej granicy zachodniej, na przyjęciu procedury arbitrażowej w wypadkach sporów, oraz na wstąpieniu Niemiec do Ligi Narodów w charakterze członka stałego Rady Ligi.

Konferencja w Locarno była uważana za kapitalny krok w kierunku zagwarantowania pokoju powszechnego, to też modnem się stało mówić o epoce Locarna, duchu Locarna, jako symbolu ogólnej zgody i pokoju.

XXX.

LIST DO MINISTRA SPRAW WOJSKOWYCH.

Do str. 467.

W wywiadzie prasowym z 11 lutego Marszałek Piłsudski, mówiąc o swojem oświadczeniu, złożonem Prezydentowi Rzeczypospolitej, przytoczył tam ustęp oświadczenia, w którym radzi przy wyborze szefa Sztabu pominąć oficerów z dawnego austrjackiego sztabu generalnego, przyczem scharakteryzował ich bardzo ostro (por. str. 449).

Na tę enuncjację zareagował ówczesny dowódca okręgu korpusu w Krakowie, generał Mieczysław Kuliński, pochodzący z austrjackiego sztabu generalnego, a za nim kilkunastu wyższych oficerów tegoż pochodzenia, pismem do ministra spraw wojskowych, żądającem wzięcia przez niego w obronę obrażonych oficerów austrjackiego sztabu generalnego, grożąc, że w przeciwnym razie pociągnie Marszałka do sądu za „notoryczne oszczerstwo".

Minister, generał Żeligowski, przesłał te listy Marszałkowi Piłsudskiemu z prośbą o wypowiedzienie się w tej sprawie.

List Marszałka jest odpowiedzią na tę prośbę. Podajemy go według *Kurjera Porannego* z dnia 21 marca 1926.

Na podstawie tego minister generał Żeligowski wydał dnia 20 marca 1926 rozkaz, w którym stwierdził, że „wypowiedziana krytyka nie dotyczy ogółu oficerów, pochodzących z byłego austrjackiego sztabu generalnego". Naskutek tego rozkazu 11 oficerów wycofało swoje skargi.

XXXI.

NACZELNY WÓDZ W TEORJI I PRAKTYCE.

Do str. 473.

Odczyt pod tytułem *Naczelny Wódz w teorji i praktyce* był wygłoszony w sali „Colosseum" w Warszawie dnia 21 marca 1926 w południe. Jak donosi prasa ówczesna, sala była przepełniona — słuchało odczytu 3000 osób, ponadto masy osób na sali się nie zmieściły i musiały się zadowolić urządzeniem na ulicy owacji przyjeżdżającemu Marszałkowi.

Tekst odczytu podajemy według *Kurjera Porannego* z 22, 23 i 24 marca 1926.

Do str. 477, wiersz 8.

Por. *Dowodzenie podczas wojny*. Wykład czwarty. *Pisma — Mowy — Rozkazy*, tom VI, str. 189—190.

Do str. 483, wiersze 3—5.

Autorem odezwy był Feliks Perl, podówczas redaktor nielegalnego *Robotnika*. Odbito ją w Rydze, w drukarni *Robotnika* w marcu 1904.

Do str. 483, wiersz 11.

Katajama — delegat japońskiej partji socjalistycznej na europejskie kongresy socjalistyczne.

XXXII.

O WODZU NACZELNYM I PAŃSTWIE.

Do str. 493.

Odczyt Marszałka Piłsudskiego *O wodzu naczelnym i państwie* odbył się dnia 15 kwietnia 1926 w lokalu Klubu Polityczno-Społecznego na Starem Mieście w Warszawie. Odczyt ten, urządzony za zaproszeniami, zebrał, jak donosi

prasa ówczesna, mnóstwo wybitnych przedstawicieli świata politycznego i wojskowego.

Tekst odczytu podajemy według streszczenia, pomieszczonego w *Kurjerze Porannym* z 16 kwietnia 1926 roku.

XXXIII.

KONFERENCJA W BELWEDERZE 21 KWIETNIA 1926.

Do str. 499.

Dnia 19 lutego 1925 odbyło się posiedzenie Rady Ministrów, na którem miał być załatwiony definitywnie wniosek ministra spraw wojskowych, dotyczący wycofania z sejmu projektu ustawy o najwyższych władzach wojskowych. Komunikat z tego posiedzenia ogłasza, że przed przystąpieniem do dyskusji nad tym wnioskiem „pan prezes Rady Ministrów odczytał pismo Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, w którem Pan Prezydent żąda udzielenia odpowiedzi co do jego uprawnień, wynikających z Konstytucji, jako zwierzchnika sił zbrojnych państwa, oraz co do jego stanowiska w sprawie obrony państwa i stosunku jego do rządu, a w szczególności do ministra spraw wojskowych.

Wobec tego Rada Ministrów poleciła premjerowi Skrzyńskiemu, ministrowi spraw wojskowych, generałowi Żeligowskiemu, i ministrowi sprawiedliwości, panu Piechockiemu, przygotowanie odpowiedzi na pytania, postawione przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, i przedłożenia Radzie Ministrów do aprobaty".

Dnia 18 kwietnia Prezydent Rzeczypospolitej zaprosił Marszałka Piłsudskiego na dzień 21 kwietnia do Belwederu dla wysłuchania jego opinji w sprawie interpretacji Konstytucji przez rząd. W posiedzeniu tem wziął udział premjer Skrzyński i generał Żeligowski.

Rozmowa ta wypadła właśnie w momencie przesilenia rządowego, wywołanego przez ustąpienie P. P. S. z dotychczasowej koalicji. Dla usunięcia plotek, które wizytę Marszałka w Belwederze wiązały z przesileniem rządowem, ogłosił on bezpośrednio po wyjściu z Belwederu następujące oświadczenie:

„Dla uniknięcia fałszywych plotek i przypuszczeń z powodu pobytu Pana Marszałka Piłsudskiego w Belwederze, oświadcza on, że rozmowy, które miały miejsce, nie dotyczyły w żadnym stopniu kryzysu gabinetowego.

Toczyły się one, zgodnie z zaproszeniem Pana Marszałka jeszcze w niedzielę, dokoła próby wypracowania nowej ustawy o najwyższych władzach wojskowych oraz interpretacji Konstytucji w związku z uprawnieniami Prezydenta Rzeczypospolitej w stosunku do wojska i obrony państwa.

Rozmowy były prowadzone w tej materji z Panem Prezydentem, z panem Aleksandrem Skrzyńskim oraz z generałem Żeligowskim.

Pan Aleksander Skrzyński przed końcem rozmowy odszedł.

Pan Marszałek, odkładając wyjaśnienie swego stanowiska, które zajął w tej sprawie, podał jedynie do wiadomości, że na zakończenie rozmów wyraził swoją zupełną nieufność w możliwość szybkiego załatwienia w sejmie nowej ustawy; dalej — zaznaczył, że nie będzie w stanie prowadzić żadnej poważnej rozmowy o swojej pracy w wojsku bez cofnięcia z sejmu leżącej tam dotąd ustawy pana Sikorskiego o najwyższych władzach wojskowych, wreszcie dodał, że ostrzega Pana Prezydenta przed użyciem generała Sikorskiego w pracy czy to w centralnych instytucjach wojskowych, czy to, jak już słyszał, na stanowisku ministra spraw wewnętrznych“ [1]).

W dwa dni później, dnia 24 kwietnia 1926, ogłosił *Kurjer Poranny* wywiad pod tytułem *Marszałek Piłsudski o swojej konferencji w Belwederze,* który tu podajemy w tekście na str. 499—505.

XXXIV.

KONFERENCJA W BELWEDERZE 9 MAJA 1926.

Do str. 507.

Dnia 5 maja nastąpiła dymisja gabinetu Skrzyńskiego. W przeddzień minister spraw wojskowych wycofał z sejmu projekt ustawy generała Sikorskiego o najwyższych władzach wojskowych i złożył na ręce marszałka sejmu nowy, przyjęty przez Radę Ministrów, projekt, opracowany przez Skrzyńskiego, Żeligowskiego i Piechockiego (por. przypis poprzedni).

Przez kilka dni trwały na terenie sejmu rozmowy i targi na temat stworzenia rządu prawicowo-centrowego, względnie lewicowo-centrowego. Kiedy 8 maja ustaliło się, że stworzenie rządu parlamentarnego jest niemożliwe, Prezydent po-

[1]) Prasa podawała w związku z przesileniem informacje, że generał Sikorski ma objąć Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

wierzył misję stworzenia gabinetu urzędniczego Władysławowi Grabskiemu.

Możliwość utworzenia tego gabinetu uzależniona była w znacznej mierze od opinji Marszałka Piłsudskiego, bez jego aprobaty bowiem trudno było znaleźć kandydata na ministra spraw wojskowych.

Dnia 9 maja o godzinie 17 odbyła się w Belwederze konferencja Marszałka Piłsudskiego z Prezydentem Wojciechowskim i Władysławem Grabskim. W trakcie rozmowy pan Grabski opuścił Belweder.

Po konferencji tej Marszałek Piłsudski podał do prasy komunikat, powtórzony tu w tekście za *Kurjerem Porannym* z dnia 10 maja 1926.

Po tej rozmowie Władysław Grabski zrzekł się misji tworzenia rządu, dowiedziawszy się, że tymczasem doszło do porozumienia między przewódcą „Piasta", Witosem, a prawicą, naskutek którego Prezydent w dniu 10 maja mianował gabinet centrowo-prawicowy z Witosem jako premjerem.

XXXV.

O WYNIKU PRZESILENIA RZĄDOWEGO.

Do str. 511.

W związku z przesileniem rządowem Marszałek Piłsudski upoważnił redakcję *Kurjera Porannego* do ogłoszenia rozmowy, podanej w tekście według *Kurjera Porannego* z dnia 11 maja 1926.

Numer ten z powodu ogłoszenia rozmowy z Marszałkiem został przez Komisarjat Rządu na m. st. Warszawę skonfiskowany.

SPROSTOWANIE.

W tomie II *Pism—Mów—Rozkazów* na str. 307 oraz w przypisach do tegoż tomu na str. XII skreślić: „Z listu do Ignacego Daszyńskiego“ i wpisać: „Z listu do Feliksa Perla“.

W tymże II tomie *Pism—Mów—Rozkazów*, w przypisach na str. XII w wierszu 13 od góry po wyrazach: „czytamy w tym liście“ wstawić: „List ten adresowany był do Feliksa Perla i posłużyć miał, jako materjał do nekrologu w możliwym wypadku utraty życia pod Bezdanami. Do rąk Ignacego Daszyńskiego, podówczas posła do parlamentu austrjackiego, oryginał listu trafił na przechowanie wraz z całym szeregiem innych dokumentów ze względu na nietykalność poselską jego osoby.

W tomie IV *Pism—Mów—Rozkazów* na str. 12, wiersz 17 oraz w skorowidzu nazwisk i pseudonimów skreślić: „Bartnowski“ i wpisać: „Bortnowski“.

W tymże tomie IV *Pism—Mów—Rozkazów* na str. 211, wiersz 20 skreślić: „najsłuszniejszemi“ i wpisać: „najniesłuszniejszemi“.

*
* *

Możliwe i już zauważone opuszczenia w materjałach, stanowiących dorobek pisarski Józefa Piłsudskiego, wraz z temi, które będą opublikowane ewentualnie w najbliższej przyszłości — zostaną ogłoszone w dodatkowym tomie.

OD KOMITETU REDAKCYJNEGO.

Kończąc niniejszym tomem wydanie zbiorowe „Pism—Mów—Rozkazów" Józefa Piłsudskiego z lat 1893 do maja 1926, dotychczas drukiem ogłoszonych, Komitet Redakcyjny składa podziękowanie wszystkim, którzy swoją pomocą przyczynili się do ułatwienia pracy redakcyjnej, — w szczególności pani Aleksandrze Piłsudskiej, panu profesorowi Kazimierzowi Bartlowi, Redakcji „Kurjera Porannego", Dyrektorowi Centralnej Bibljoteki Wojskowej pułkownikowi Łodyńskiemu, Dyrektorowi Bibljoteki Publicznej w Warszawie Faustynowi Czerwijowskiemu, Dyrektorowi Bibljoteki Sejmowej dr. Kołodziejskiemu, Zarządowi Związku Nauczycielstwa Polskiego, Dyrekcji Bibljoteki Uniwersyteckiej i Redakcji „Słowa" w Wilnie, Dyrekcji Bibljoteki Jagiellońskiej w Krakowie

oraz panom Antoniemu Anuszowi i Leonowi Baryszowi w Warszawie, Emilowi Bobrowskiemu w Krakowie, Aleksandrowi Dębskiemu w Warszawie, Tadeuszowi Fenrychowi w Poznaniu, Iwonowi Jaworskiemu w Wilnie, Zygmuntowi Klemensiewiczowi w Krakowie, Adamowi Lewakowi i Zdzisławowi Lubomirskiemu w Warszawie, Aleksandrowi Litwinowiczowi w Grodnie, Kazimierzowi Pietkiewiczowi, Stefanowi Pomarańskiemu, Kazimierzowi Rożnowskiemu i Adamowi Skwarczyńskiemu w Warszawie, Konstantemu Srokowskiemu w Krakowie, Leonowi Wasilewskiemu w Warszawie, Zygmuntowi Zygmuntowiczowi we Lwowie i Stanisławowi Żelazowskiemu w Warszawie.

SKOROWIDZ NAZWISK I PSEUDONIMÓW.

(Liczby arabskie — tekst; liczby rzymskie — przypisy; liczby rzymskie z dodatkiem litery w. — wstęp. Liczby, ujęte w nawias, — nazwiska w tekście nie zostały wymienione).

Adamski — 151.
Aleksander II. — 89, 90, 105, 107, 108, (109, 110), 130, 132, XVII, (XXI).
Aleksander Macedoński — 177, 495.
Awejde Oskar — 93, 94, 124, XVIII, XIX.

Barlicki Norbert — 455, 456, LXIX.
Barysz Leon — XL.
Batory Stefan — 318, 409, XIV.
Belina — zobacz Prażmowski Władysław.
Bem Józef — 132, XXIII.
Berg Mikołaj — 93, XVIII.
Berbecki — 23, 28.
Bethmann-Hollweg Teobald — 308, XXXIX.
Białukoz — XIX.
Biernacki — 115.
Bismarck — 308, XXXIX.
Bolesław Chrobry — 317, 405.
Bolesław Śmiały — 405.
Bonaparte Napoleon, Hieronim, Józef, Karol, Paweł — 89, XVI.
Bonaparte Hieronim — XVI.
Borkiewicz Adam — (348, 376, 377), LVII, LVIII.
Boruszczak — 342, 343, XLIX, L.
Budienny — 368—370.
Budzyński Franciszek — 148.
Carnot Łazarz Mikołaj — 8.
Cavour Kamil — 132, XXIII.
Chaciński — 516.
Chądzyński Adam — 516.
Chodkiewicz Karol — 410.
Clausewitz Karol — 223, 224, 241, 262, XXXII, XXXVI.
Cooper — (4).
Curzon — XLVII.
Czarniecki Stefan — 410.
Czartoryski — 101.
Danton — 7.
Daszyński Ignacy — (155—157, 162 — 164, 166, 169, 173, 175), XXVI, (XXVII, XXVIII).
Dąbal Tomasz — (147), XXV.

Dąbrowski Jarosław — 94, 122, 123, (124).
Dąbrowski Stefan — XXIX.
Dembiński Henryk — 132, XXIII, XXIV.
Deskur Bronisław — 122, XXIII.
Diamand Herman — 465.
Długoszowski Bolesław — 76, 77, (324 — 327), XI, XIII, XLI, XLVI.
Dmowski Roman — (157, 158, 172), XXVII.
Dołęga — zobacz Sierakowski Zygmunt.
Dreszer Gustaw — (397, 398), 438, 439, LXII, LXIII.
Dubiecki Marjan — 97—99, (100), XIX, (XX).
Dubiecki (brat) — (99, 100).
Dybicz — XXII.
Falkenheim — 308, XXXIX.
Falkiewicz Stanisław—(201), XXX.
Ferdynand I., król Rumunji — (LXVIII).
Flojar Henryk — III.
Franciszek Józef, cesarz — 41, 44, 48.
Fryderyk Wielki — 410.
Galecki — 145, 146, 156.
Galileusz — (211), XXXI, XXXII.
Garibaldi Giuseppe — 87, 88, 129, 130, 137, XV, XVI.
Gembarzewski Bronisław — (347, 438, 443, 447, 452, XLIV), XLV, (XLVI—XLIX), L, (LI—LVII, LXII, LXVI).
Giełgud — XXIV.
Giller Agaton — 115, (116).
Głowacki — 148.
Goethe — 481.
Goltz, von der — 479, 480.
Gorczakow Michał — 114, 115, XXII.
Görgey — XXIII.
Grabski Stanisław — 435, 436, 516, LXIX.
Grabski Władysław — 63, 426, 427, 433, 437, 509, 513, 515, IX, XXIX, LXI, (LXII), LXXIII.
Grzesicki — 300, (301), XXXVIII.
Gustaw — zobacz Sławek Walery.

Habsburgowie — 365.
Haller Józef — 343, (377), 380, 381, LX, (LXI).
Haller Stanisław—339, 341—344, (349), 439, 472, XLIII, XLIV — XLVI, XLIX, (LVIII).
Hannibal — 352 — 356, 358, 362, 364, 369—371, 373 — 377, LVIII.
Hauer — 22, VII.
Henrys — 366—371, 373, 375, LIX.
Herodot — 452.
Herzen Aleksander — 108—110, 116, XXI.
Hindenburg — 51, 243 — 248, 308, XXXIV, XXXIX.
Homer — 452.

Jagiellonowie — 317, 403 — 407, 451.
Jan Kazimierz — 349—356, 364, LVIII.
Janowicz Ludwik — 286, (287), XXXVII.
Jeż Teodor Tomasz — zobacz Miłkowski Zygmunt.
Jędrzejewicz Janusz — (201), III, (IV), XXX.
Joffre — 496.

Józef Ferdynand, arcyksiąże — (29, V), VII.

Kadenacowa — (113, 114, 116).
Kakowski Aleksander — (136, 139), XXVI—XXVIII.
Karol I, cesarz — 144, 382, (388), XXIV.
Karol Stefan, arcyksiążę — 382.
Katajama — 483, LXXI.
Katarzyna II — 410.
Kazimierz Wielki — 403.
Keller — 49.
Kluck, von — 242—245, 247, 248, XXXIII, (XXXIV).
Konarzewska — XXXV.
Konarzewski — 439.
Konopczyński Władysław — (347, 438, 443, 447, 452, XLIV), XLV, (XLVI — XLIX), L, (LI — LVII, LXII, LXVI).
Konstanty Mikołajewicz, wielki książę — 93, 107, 112.
Konstanty Pawłowicz, wielki książę — 133, 183.
Kopernik Mikołaj — XXXII.
Korfanty Wojciech — 151.
Kossuth — XXIII.
Kościuszko Tadeusz — 21, 276, 317, 318, 329, 377, VII, XL.
Koźmian Stanisław — 92, XVIII.
Krajna Kazimierz — 148.
Kraszewski Józef Ignacy — 115.
Krzyżankiewicz Stanisław — 148.
Kuhl, von — 244, XXXIII, XXXIV.
Kukiel Marjan — (348), 349—354, (355), 356, (357, 358), 359—367, (368), 369, (370), 371—379, 383, (384), L, LVII, LVIII.
Kuliński Mieczysław — 469 — 472, LXX, (LXXI).
Kuntz Karol — (330, 331), XLIII.
Kutrzeba — 372, 373, LX.

Lammasch — 146.
Langiewicz Marjan — 88, XVI.
Lerchenfeld Hugo — 168, XXVIII.
Lermontow Michał — 206, (214), XXXI.
Lewandowski Walenty — 121, XXIII.
Limanowski Bolesław — 92, XVIII.
Lipiński Wacław — LXI.
Listowski — XLIX.
Litwinowicz Aleksander — 27, VII.
Livjusz — 432.
Lloyd George — 336.
Lubomirski Zdzisław — (136, 139), XXIV—XXVIII.
Ludendorff Erich — 246, 247, 308, XXXIV, XXXIX.
Lüders — XXIII.

Łukasiewicz Juljusz — III.
Łukaszewicz Józef — 287, 290, XXXVII.

Majewski Karol — 93, XIX, XX.
Maksymiljan, książę Badeński — (152, 153), 154.
Mamajew — 110 — 112.
Marek — 516.
Marja Kazimiera — 354 — 356.
Marja Teresa — 410.

Mazzini Giuseppe — 87, 129, 137, XV.
Mickiewicz Adam — 37, 56, 57, 99, 181, 276, 294, 295, XXXVI.
Mierosławski Ludwik — 294, XVI, XIX.
Miklaszewski — 63.
Mikołaj I, cesarz — 89, 90, 105, 108, 109, 114, 126, XVII.
Mikołaj II, cesarz — (41).
Mikołaj Mikołajewicz, wielki książę — 41, 206.
Milowicz Włodzimierz — 109, XXII.
Milutin — 105, 413, XX.
Miłkowski Zygmunt — 96, (97), XIX.
Miszczenko — 208, XXXI.
Moltke — XXXIV, XXXIX.
Moltke Hellmuth — 430, LXV.
Moraczewski Jędrzej — 160, (324), 444, 445, XLI, LXIV, (LXV), LXVII.
Mostowscy — 115.
Moszczeński Józef — (348, 376, 377), LVII, LVIII.
Mościcki Henryk — XVIII.
Mroczek — 125.
Muchanow Paweł — 114—117, XXII.
Muchanowowa (żona) — (115, 116).
Murawjew Michał — 108, XX, XXI.

Napoleon I, cesarz — 12, 86, (128), 206, 430, 458, XV, XXIV, XXXI, XXXII.
Napoleon III, cesarz — 87—89, 128, 237, XV, XVI.
Natanson — 116, 117.
Natson Siemion — 180, 181, XXIX.
Neumark E. — XXXVI.
Neugebauer Mieczysław — XXXVIII.
Norwid — zobacz Neugebauer Mieczysław.
Okoń Eugenjusz — 147, XXV
Opieliński — 17, V, VI.
Ostrowski Józef — (156, 159), XXVI — XXVIII.
Oxiński Józef — 119 — 121, XXIII.

Padlewski Zygmunt — 94, 95, 103, 123, 138.
Paderewski Ignacy — XLVI.
Paskiewicz Iwan — 114, XXII.
Pawliszczew — 93, 115, XVIII.
Perkowicz Edward — (348, 376, 377), LVII, LVIII.
Perl Feliks — (483), 516, LXXI.
Pétain — 306, XXXIX.
Petlura — XII.
Piastowie — 405, 451.
Piechocki — LXXII, LXXIII.
Piłsudska Aleksandra — XXXII.
Piłsudska Jadwiga — 332, (460).
Piłsudska Wanda — 332, (460).
Piskor Tadeusz — 78, 79, 367, 375, XI, XIII, XIV, XLVI, LX.
Plehwe — 115.
Poniatowski Juljusz — 164, XXVIII.
Poniatowski Stanisław August, król — 411.
Poszwiński — 151.
Potjebnia Andrzej — 119.
Prażmowski Władysław — (205), XIII, XXXI, XLI.

Prittwitz — 246, XXXIV.
Prystor Aleksander — 74, 75, XI — XIII, XLVI.
Przyborowski Walery — 93, (94), 95 — 97 122, 124, XVIII.

Radziwiłł Stanisław—XLVI.
Rataj Maciej — (X, XLVI, LXV, LXXIII).
Rennenkampf — 245, 246, XXXIV.
Robespierre — 7.
Rogiński Roman — 110, 111, (112), 121, (122), 125, XXII.
Roja — 166, 355, 356.
Romer — 367.
Roztopczyn Fiodor — 206, XXXI.
Rozwadowski Tadeusz — 166, 343, 351, 362, 363, (366), 367, 372. 375, (377), 383, 384, XLVII, (XLIX), L, LI, LVIII—LXI.
Różycki Tadeusz — (348, 376, 377), LVII, (LVIII).
Rudzki B. — XI.
Ruszczyc Ferdynand — 157, XXVI.
Rydz Edward — 18, 29, 166, 344, VI, XLIX.
Rzepecki Karol — 148.

Samsonow — 246, 247, XXXIV.
Sapieha Eustachy — 448, XLV, LXVIII.
Sawicki Jan — 106, (107), 119, 132, XXI.
Schlieffen Alfred — 352—354, 356, 364, 369, 370, LVIII.
Senator — zobacz Prystor Aleksander.
Seyda — 149.
Sienkiewicz Henryk — (249).
Sierakowski Zygmunt — 104 — 106, (107), 117, 118, 137, 138, 413, 414, XX, LXIV.
Sikorski Władysław — 64, 330, 332, 335, 336, 360, 369, 377, 378 — 383, 424, 426, 427, 432, 433, 437, 438, 445 — 447, (449), 450, 457, 472, 515, IX, (X), XXIX, XLII, XLIII, (XLVII, XLVIII, L — LII, LV, LVII), LX—LXII, LXVI, LXXIII.
Skierski Leonard — (347, 399, 438, 443, 447, 452, XLIV), XLV, (XLVI), XLVII, (XLVIII, XLIX), L, (LI—LIV), LV, LVII, LXII, LXIII.
Skrzyński Aleksander — (423, 424), 427, 431 — 433, (441), 448, 470, (501), 513, LXIV, (LXV, LXVIII), LXXII, LXXIII.
Skulski — XLVI.
Skwarczyński Adam — III.
Sławek Walery — 73, XI, XII.
Sobieski Jan III, król — 409, XLVII, (LII).
Sosnkowski Kazimierz — 20, (21), 63, 152, (167), 168, (260), 261, 264, 266, 267, V, VI, XXXV.
Spławski — 120, (121).
Stachiewicz Juljan — 80, 81, 343, XI, XII, XIV, (XLIV), XLV, XLVI, (L), LXI.
Stecki Jan — 164, XXVIII.
Stella — zobacz Sawicki Jan.
Struś — zobacz Sawicki Jan.

Suchodolski — 122.
Suworow Arkadjusz — 108.
Szeptycki Stanisław — 332, 342, 370, 432, 450, 457, 472, 514, XLVI, XLIX.
Szwarce Bronisław — 95—97, 100, 138, XVIII, XIX.

Śmigły — zobacz Rydz Edward.
Świeżyński Józef — 152—155, 164, 174, XXVI — XXVIII.
Świtalski Kazimierz — XI.

Thugutt Stanisław — 455, 456, XXIX, LXIX.
Tokarski — 99.
Tokarz Wacław — (347, 438, 443, 447, 452, XLIV), XLV, (XLVI—XLIX), L, (LI—LVII, LXII, LXVI).
Tokarzewski — 99.
Tołstoj Leon — 482.
Traugutt Romuald — 97, XIX, XX.
Trąmpczyński Wojciech — (XLVI).
Trepow — 95.
Tuchaczewski Michał — 350—352.

Washington — (416), LXIV.
Wazowie — 408.
Wende E. — VIII.
Wicz — zobacz Stachiewicz Juljan.
Wilhelm II, cesarz — 41, 44, 382, (388), XXV.
Wielopolski — 103 117, 123.
Wieniawa — zobacz Długoszowski Bolesław.
Witold — książę litewski — XX.
Witos Wincenty — 513—517, XXVIII, LXXIV.
Władysław Jagiełło, król — XX.
Władysław Łokietek, król — 405.
Władysław IV, król — 409.
Wojciechowski Stanisław — (63), 391, (393, 394, 400, 424, 431, 432, 448—450, 470—472, 501, 509, 513, 515, 517), IX, (X), XLVI, LXI, LXII, (LXIII, LXV, LXVI, LXVIII, LXX, LXXII, LXXIII), LXXIV.
Wojszner — zobacz Opieliński.
Wysocki Piotr — 133, 145 XXV.

Zagórski — (377), 380, 381, LXI.
Zając Józef — (348, 376, 377—379), LVII, (LVIII), LX.
Zakrzewski Stanisław — (347, 438, 443, 447, 452, XLIV), XLV, (XLVI), XLVII, (XLVIII, XLIX), L, (LI—LIV), LV, LVI, (LVII, LXII, LXVI).
Zaliwski Józef — 122, 133, 145, XXV.
Zamorski — 44.
Zamoyski Maurycy — (157, 158, 172), XXVII.
Zieliński — 373.

Żółkiewski Stanisław — 410.
Żeligowski Lucjan — 438, 444, 445, 447, (467, 469—472), 489, XIII, LXIII, LXIV, LXVII, LXVIII, LXX, LXXI, LXXIII.
Żuliński Tadeusz — 388, LXI.

SPIS RZECZY TOMU VIII.

DEMOKRACJA A WOJSKO 1
CZEREMOSZNO 15
W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ POWSTANIA LEGJONÓW 31
LIST DO REDAKTORA „POLSKI ZBROJNEJ“ . . 61
PŁYTY GRAMOFONOWE 65
DEDYKACJE NA KSIĄŻCE „ROK 1920“ 71

Waleremu Sławkowi 73
Aleksandrowi Prystorowi 74
Bolesławowi Wieniawie-Długoszowskiemu . . 76
Tadeuszowi Piskorowi 78
Juljanowi Stachiewiczowi 80

WPŁYW WSCHODU I ZACHODU NA POLSKĘ W EPOCE 1863 ROKU 83

Wykład pierwszy 85
Wykład drugi 104
Wykład trzeci 127

PIERWSZE DNI RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ . 139

Wykład pierwszy 141
Wykład drugi 169

W KSIĘDZE PAMIĄTKOWEJ SZKOŁY PODCHORĄŻYCH 183
WYWIAD W SPRAWIE PROJEKTU ORGANIZACJI NAJWYŻSZYCH WŁADZ WOJSKOWYCH . . 187

WSTĘP DO TOMU II „WSPOMNIEŃ LEGJONOWYCH“ 197
OŻARÓW 203
O ISTOCIE DOWODZENIA 215
Wykład pierwszy 217
Wykład drugi 234
PRZEMÓWIENIE NA ZEBRANIU „RODZINY WOJSKOWEJ“ 251
PRZEDMOWA DO „MOICH PIERWSZYCH BOJÓW“ 257
PRZEDMOWA DO WYDAWNICTWA „POLSKA INWALIDOM“ 269
PSYCHOLOGJA WIĘŹNIA 273
PRZEDMOWA DO JEDNODNIÓWKI 6-GO PUŁKU PIECHOTY LEGJONÓW 297
WYWIAD O NACZELNYCH WŁADZACH WOJSKOWYCH 303
W ZŁOTEJ KSIĘDZE DRUSKIENIK 309
PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE LEGJONISTÓW W WARSZAWIE 313
LIST DO REDAKTORA „KURJERA PORANNEGO“ W SPRAWIE USTAWY O NAJWYŻSZYCH WŁADZACH WOJSKOWYCH 333
LIST Z POWODU KOMUNIKATU SZEFA SZTABU GENERALNEGO STANISŁAWA HALLERA . . 339
NIECO O BIURZE HISTORYCZNEM 345
PIĘKNE „WCZORAJ“ 385
DEKLARACJA, ZŁOŻONA PREZYDENTOWI RZECZYPOSPOLITEJ, STANISŁAWOWI WOJCIECHOWSKIEMU 391
PRZEMÓWIENIE W ROCZNICĘ POWROTU Z MAGDEBURGA 395
STOSUNEK WZAJEMNY WOJSKA I SPOŁECZEŃSTWA W 1863 ROKU 401

ENUNCJACJE W SPRAWIE POWROTU DO WOJSKA 421

List do redaktora „Kurjera Porannego" . . 423
Wywiad pierwszy 426
Wywiad drugi 434
Wywiad trzeci 441
Wywiad czwarty 446
Wywiad piąty 451
Wywiad szósty 458

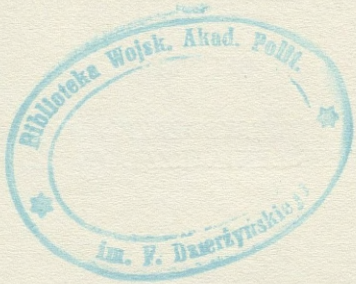
LIST DO MINISTRA SPRAW WOJSKOWYCH . . 467
NACZELNY WÓDZ W TEORJI I PRAKTYCE . . . 473
O WODZU NACZELNYM I PAŃSTWIE 493
KONFERENCJA W BELWEDERZE 21 KWIETNIA 1926 499
KONFERENCJA W BELWEDERZE 9 MAJA 1926 . . 507
O WYNIKU PRZESILENIA RZĄDOWEGO . . . 511

PRZYPISY I

SPROSTOWANIE LXXV

OD KOMITETU REDAKCYJNEGO LXXVI

SKOROWIDZ NAZWISK I PSEUDONIMÓW . . LXXVII


Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
im. F. Dzierżyńskiego

Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej
16278/1 T.8
11-016278-008-0